

Piotr

**PATYKIEWICZ**



**Zły brzeg**

supernOWA

# Spis treści

- Karta tytułowa
- ZŁY BRZEG
- Prolog
- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI
- Rozdział VII
- Rozdział VIII
- Rozdział IX
- Rozdział X
- Rozdział XI
- Rozdział XII
- Rozdział XIII
- Rozdział XIV
- Rozdział XV
- Rozdział XVI
- Rozdział XVII
- Rozdział XVIII
- Rozdział XIX
- Rozdział XX

- Rozdział XXI
- Rozdział XXII
- Rozdział XXIII
- Rozdział XXIV
- Rozdział XXV
- Rozdział XXVI
- Rozdział XXVII
- Rozdział XXVIII
- Rozdział XXIX
- Rozdział XXX



superNOWA  
2006

Łatwiej pokonać diabła niż kobietę!!

Kiedy Żarek, syn Kościucha, wdepnął w łajno wilkołaka, myślał, że w całym jego prostym życiu nie wydarzy się nic bardziej wstrząsającego. Mylił się!

Nie wiedział, że będzie musiał dać się pożreć, żeby przeżyć. Odrzucić królewską koronę, żeby zyskać przyjaźń diabła. Urodzić się po raz drugi. Całować żaby. Powalać olbrzymy. Nie wiedział, że będzie musiał przeciwstawić się Złu, jakiego ludzie po tej stronie morza nie znali od wieków. A nade wszystko nie wiedział jednego - że przed wypiciem wódki zawsze należy zapytać, z czego ją pędzono!

ZŁY BRZEG to historia chłopaka z rybackiej wioski, który bardzo szybko musi przemienić się w prawdziwego mężczyznę i nauczyć się, do czego służy krew miesięczna, smocza łza i jądra czarta.

Poznaje mściwość ludzi, zjadłość topielców i podłość księżniczek.

Walczy z piratami, wspina się na niezdobyte turnie i zamorza wśród śnieżycy. Jada rzeczy, jakich porządni ludzie nie rzucają nawet psom, i tuli w ramionach najbrzydszą dziewczynę, jaką widziano na tym i na tamtym, „złym” brzegu.

Zdobywa serca dwóch pięknych kobiet, a każda z nich jest na swój sposób niezwykła.



Mam trzydzieści trzy lata, trzy córki i syna. Studiowałem politologię, a potem uprawiałem wiele najrozmaitszych zawodów: byłem dziennikarzem prasy lokalnej (z sentymentem wspominam sprawozdania z wiejskich meczów piłki nożnej), ochroniarzem w supermarkecie, pomywaczem w pizzerii, robotnikiem fizycznym, parkingowym, kierownikiem klubu

studenckiego, agentem ubezpieczeniowym, bukinistą - i robiłem jeszcze wiele innych rzeczy, które wyparłem ze świadomości, żeby mieć spokojny sen.

W fantastyce debiutowałem opowiadaniem „Czorty” („Fénix” 3’96). Przez ostatnie lata prowadziłem sklep zoologiczny.

To właśnie za ladą tego przybytku, między jednym klientem a drugim, pisałem . Sklep był zdecydowanie nastawiony na egzotykę (pająki, gady, owady) i to wyjaśnia ponadprzeciętne stężenie potworów w mojej prozie. Potrafię nawet dokładnie opisać, jak wygląda przewód pokarmowy węża morskiego i co należy zrobić, żeby ubić wąpierz krwiopijcę.

*Piotr Patykiewicz*

## P R O L O G

Wąski jar dochodził prawie do samego morza. Dołem, pod chwiejącymi się na wietrze pióropuszcami paproci, wił się strumień, a wielki księżyc odbijał się na wodzie rozedrganą plamą. Porośnięte gęstym lasem zbocza były czarne i ciche.

Potrącony czyjąś stopą kamień zaszeleścił w poszyciu i z pluskiem wpadł do strumienia.

- Który tam lezie jak ślepy dziad? - zduszony szept wybił się ponad szmer wiatru.

W wylocie jaru widać było nocne niebo i ciemny skrawek morza, na którym bieleły się niewyraźnie grzbiety fal.

- Znam to wybrzeże, urodziłem się tutaj. - Można było się domyślić, że człowiek, który to powiedział, jednocześnie wzruszył ramionami. - Nic nam już nie grozi.

- Kiedy wejdziemy na statek, będziesz mógł gadać, ile chcesz. Ale póki co, zamknij się. Idziemy.

To nie był męski głos. Brzmiał, jakby należał do bardzo młodej kobiety. Zamiast odpowiedzi od przeciwległego zbocza odbił się zmieszany chrzęst kilkudziesięciu stóp, a potem spłynął razem ze strumieniem, grzęznąc w piachu wybrzeża.

Ludzie trzymali się cienia. Tylko chybotające się wierzchołki młodych drzewek zdradzały, którądy szli. Jeszcze kilkakrotnie staczały się kamienie, ścigane syczącymi przekleństwami, ale nikt już nie przystawał. Głębokie,

donośne westchnienie morza rozbudzało nadzieję. Wydawało się, że wystarczy poczuć pod nogami mokry piasek, zostawić za plecami pełną przez ciemność strach, a dalej wszystko już będzie dobrze.

Ktoś potknął się i przebiegł kilka kroków z rozłożonymi ramionami, łapiąc równowagę. Przez mgnienie oka było całkiem cicho. Potem nagle zadudnił odgłos staczającego się po zboczu ciała.

- Żeby wam kulasy powykręcało! - Kobieta nie starała się już tłumić wściekłości. - Mówiłam, żebyście nie chlali przed drogą. Czego stoicie? Wyciągnąć go!

Kilka cieni wysunęło się z mroku, mącąc lekki opar przesiąknięty poświatą księżyca. Ostrożnie stawiając kroki na pochyłości, ludzie zaczęli schodzić do strumienia. Byli w połowie drogi, kiedy zatrzymali się, wszyscy naraz.

- No, co z wami? Dalej! - Kobiety głos popędził ich, ale oni nie ruszyli się ze swoich miejsc. Jeden z nich powoli wyprostował plecy i wtedy w mżącym poblasku zaświecił jego szyszak.

- Coś tutaj jest nie tak. On się nie rusza.

- Przestań mędrkować, tylko złap go za kudły i przywlec na górę!

- Ale on... - człowiek zdjął szyszak i pochylił się, żeby lepiej widzieć. - Jezus Maria.

Wrócili, ślizgając się na rozmiękłych liściach i chwytając się wystających korzeni. Słyszeli ciężkie oddechy tych, którzy skupili się wokół nich.

- Nie możemy go tak zostawić! - Płaszcz wydał się na plecach kobiety, kiedy wypełnił go wiatr. - Jeśli go znajdą, zdradzi nas.

- Nic im nie powie.

- Zgłupiałeś? - prychnęła. - Oni umieją robić z człowiekiem takie rzeczy, że nawet niemowa wyda własną matkę.

- Nic im nie powie, bo nie żyje. - Woj nasadził szyszak głębiej na mokre czoło. - Coś mu wyżarło oczy.



Ludzie poruszyli się w ciemności, dociągając pasy i przesuwając pochwy mieczy bardziej w przód. Pospieszyli dalej, ku morzu, nie czekając na rozkaz. Co chwila zadzierali głowy i przypatrywali się niebu, które miało barwę stygnącego popiołu. Ktoś wyciągnął do góry ramię i jego wskazujący palec zaczerniał na tle księżyca.

- Jest.

Nad nimi krążył nietoperz. Trzepotał skrzydłami, walcząc z wiatrem, ale z każdym zatoczonym nad jarem kręgiem obniżał lot. Od morza nadlatywał następny, słyszeli jego ciche popiskiwanie.

- Znalazły nas! Jeszcze zdążymy, ale teraz każdy musi sam zadbać o siebie. - Płaszcz kobiety wplątał się w jakieś kolczaste gałęzie, więc szarpnęła zapinkę pod szyją, pozwalając mu spłynąć po plecach. - Powodzenia.

Bez szelestu wsunęła się między krzewy. Ludzie spojrzeli po sobie, jakby nie od razu zrozumieli jej słowa. Ale nie widzieli już swoich twarzy, coraz szybciej gęstniał cień. Gdzieś z góry, z bardzo wysoka, jakby wprost z czarnych przestrzeni między gwiazdami, spływała nad wybrzeże ogromna chmura. Dalekie piski rozlały się po niebie.

Wtedy zaczęli biec, pochylając głowy i osłaniając ramionami twarze. Wiedzieli, że mają bardzo niewiele czasu. Zdawało im się, że po karkach już zaczynają ich muskać błoniaste skrzydełka. Piski wzmagaly się, zlewając w jeden ogłuszający wrzask, który wkłuwał się ludziom do uszu, wyciskając łzy.

Wbiegali już na piasek, kiedy nagle któryś z nich zachwiał się i upadł na kolana. Jego skowyt zmiękczył kolana tym, którzy byli na tyle blisko, że mogli go usłyszeć. Oglądali się, ale nie przestawali biec.

Na twarzy klęczącego człowieka siedział ogromny nietoperz. Szeroko rozłożonymi skrzydłami obejmował mu skronie, wbijając ostre pazurki gdzieś z tyłu jego głowy. Człowiek próbował jeszcze sięgnąć zakrzywionymi

palcami do porośniętego szarą sierścią grzbietu, ale słabł z każdą chwilą. W brodę wsiąkała mu jego własna gęsta krew. Osunął się na plecy. Wstrząsnęły nim krótkie drgawki, ubił piętami mokry piach. Potem znieruchomiał.

Nietoperz podniósł skrzydła, skoczył i stopił się z nocą. Człowiek patrzył za nim krwawymi dziurami, w których nie było już oczu.

Daleko od brzegu, poza cieniem uskrzydłonej chmury, chwiał się maszt statku. Ludzie skakali w morze i rozbryzgiwali pianę rozpaczliwymi zamachami ramion. Płynęli, dopóki wystarczało im sił, a nad nimi, niziutko, furkotały skrzydła.

## R O Z D Z I A Ł I

Żarek wiele razy później próbował zrozumieć, od czego zaczęło się całe zło. Czy to było wtedy, kiedy Kościuch ze Starym znaleźli na brzegu Północnicę? Mogło być. Ludzie zaczęli potem robić rzeczy, o których nigdy wcześniej w tej okolicy nie słyszano. Ale przecież zanim morze wyrzuciło ją na brzeg, była burza. Burza? Nie. Coś straszniejszego. To był koniec świata, jaki znali.

A jeszcze wcześniej Stary wyłowił z morza pierścien. Niby nic wielkiego, to mogło zdarzyć się wszędzie. Zresztą wyrzucił go szybko i nikt nigdy więcej o tym nie wspominał. Ale Żarek dobrze pamiętał swój niepokój, kiedy Rudawka opowiedziała mu o pierścieniu. Coś jak przeczucie, jak uchwycony kątem oka cień strachu. Potem, kiedy fale zmyły już ostatnie ślady po wiosce, mógłby przysiąc, że to właśnie wtedy był początek.

A wcześniej... Wcześniej było morze. Wszystkie najdawniejsze obrazy w głowie Żarka związane były z morzem. Ciągle jeszcze potrafił wzbudzić w sercu tamtą dziecięcą radość, kiedy łodzie rybaków dobijały do pomostu, a on, uczepony kurczowo kiecki Żywuli, wypatrywał ojca. Ciężkie kroki dudniły na deskach, ludzie prostowali plecy. Zapach ryb, mokrego drewna i gnijących wodorostów - to był zapach jego wspomnień. Kościuch razem z innymi schodził na piasek. Bez jednego słowa mijali baby z rozwrzeszczanym kłębowiskiem dzieciaków. Rozkołysanym pochodem pieli się wąską ścieżką na górę, do wioski. Baby za nimi, drobiazg na końcu. Dopiero za progiem chaty, owiany dymem z paleniska, Kościuch siadał z nogami wyciągniętymi przed siebie i siorbiąc piwo, opowiadał, jak tam dzisiaj było na morzu. Jeśli dobrze, Żywula nie słuchała do końca, tylko brała

ostrzy nóż i szła oprawiać ryby. Jeśli źle, to też nic wielkiego. Kościuch zasypiał z głową odrzuconą do tyłu, ale Żarek nie odchodził od razu, tylko wyobrażał sobie, że w jego słonawym oddechu słyszy wspomnienie burzy. Takiej prawdziwej, którą można spotkać tylko daleko od brzegu.

A potem był nowy dzień.

Ale morze dało też Żarkowi pierwszy zimny strach. Mógł mieć ze trzy lata, brodził w płytkiej wodzie, szukając muszelek. Niespodziewanie większa fala zwała go z nóg, a spływająca woda pociągnęła za sobą. Umiał pływać. Wszystkie dzieciaki w wiosce prędzej pływały, niż chodziły. Ale wtedy chyba musiał uderzyć głową o jakiś kamień, bo stracił poczucie kierunku. Wszędzie była woda, a jemu trwoga usztywniła mięśnie. To nie mogło trwać długo, Kościuch szybko złapał go za przegub ręki i postawił na nogi. Ale Żarek nie zapomniał tego pierwszego strachu. Nigdy potem nie lekceważył wody.

Morze. Morze, a co za nim? To było jak olśnienie, kiedy pewnego dnia zrozumiał, że po drugiej stronie też musi być jakiś brzeg. Piasek, skały, drzewa. Ludzie. Pobiegł do matki z wargami rozedrganymi z przejęcia, ale Żywula tylko rozczochrała mu włosy na głowie i zaśmiała się krótko.

- A skąd ja mam wiedzieć, co tam jest? Czy ja jestem jakaś latawica, żeby włączyć się po świecie? Tutaj mam swój brzeg. Wystarczy.

Żarek wykręcił jej się z ramion i zbiegł na dół, do pomostu. Matka jak matka, ale ojciec musi wiedzieć!

- Tam jest Północ. - Kościuch zwijał na ramieniu linę, zachodzące słońce oświetlało mu połowę twarzy.

Żarek bezgłośnym ruchem ust powtórzył nowe słowo, w którym grał czar nieznanego.

- I są tam rybacy? - W myślach widział pomost, wysoką skałę i chaty na skale. Wszystko takie samo jak tu, a jednak trochę inne.

- Nie wiem, czy tam są rybacy. - Kościuch wyprostował się, spojrzał na

niego z góry. - I nie obchodzi mnie to.

Za to wiem, że tam są Północnicy. Wiem, że całe diabelstwo, jakie tylko włóczy się po świecie, tam właśnie się lęgnie.

Głośno charknął, splunął Żarkowi pod nogi. Znowu zaczął nawijać linę.

- Dla nas byłoby lepiej, żeby tamtego brzegu w ogóle nie było - mruknął jeszcze i odwrócił się plecami.

Tyle Żarek dowiedział się tamtego dnia. A potem przez długi czas bał się pytać. I może porzuciłby te dziwne myśli, gdyby kiedyś nie odkrył, że Rudawka ma bardzo podobne.

- Tam gdzieś mieszka mój ojciec i moja matka - machnęła ręką w nieokreślonym kierunku, kiedy zgadało im się o tym. Żarek parsknął lekceważąco.

- Przecież ty jesteś znajda!

- No wiem - pokiwała głową, jak kiwa się dziecku na odczepnego. - Ale ktoś mnie przecież kiedyś urodził. Nie Żywula. I nikt z wioski.

Podumał nad tym chwilę, postukał palcem w zęby.

- To czemu cię twoi nie zabiorą do siebie?

- A po co mieliby zabierać, jak przedtem wyrzucili? - Mówiła bez żalu, z babskim przekonaniem o nieuchronności zdarzeń. - Ale ja i tak kiedyś ich poszukam. Jak dorosnę.

- Mogą być bardzo daleko.

- Poszukam. Choćby za morzem.

To było jeszcze wtedy, kiedy mieszkała w chacie Kościucha, jakby była jedną z jego córek. Dziwne, ale w tamtych latach Żarek mało z nią rozmawiał. Dopiero potem, kiedy przeniosła się do wiedzmy Lubichy... Coś między nimi porobiło się dziwnego. Im bardziej stawała się inna, jakaś taka oddalona od zwyczajnej wioskowej codzienności, tym bardziej go do niej ciągnęło. Zaczął myśleć o niej jak o swojej przyszłej żonie. Nie od razu i nie

całkiem świadomie, ale tak myślał.

A ona nigdy nie próbowała wybić mu tego z głowy.

Z czasem coraz mniej mówiła o swoich rodzicach, tych sennych widziadłach, w które można wierzyć, ale można i nie. A kiedy już wsiąkla u Lubichy, jakby w ogóle o tym zapomniała. Były przecież poza nią u rybaków i inne sieroty, zdarzały się też znajdy. Z latami wrastały między ludzi i mało kto pamiętał potem, że nie urodziły się tutaj. Tylko z jedną Rudawką było inaczej. Zawsze pozostała jakby trochę obca, niewioskowa.

I to właśnie Rudawka zaprowadziła Żarka do Lubichy.

Rybackie dzieciaki trochę z wiedźmy szydziły, a trochę się jej bały. Zwykle na ich zaczepki tylko odsłaniała bezzębne dziąsła, ale w gniewie umiała uderzyć kijaszkiem w plecy. Żyła sama, zawsze tak było. Trochę zamieszania zrobiło się między ludźmi, kiedy wzięła Rudawkę do siebie. Ale nie za dużo. Koniec końców obie były dziwaczne, mówili rybacy, to niech żyją ze sobą.

Żarek pierwszy raz przestępował próg jej chaty z miękkimi kolanami. W środku było tak ciemno, że z trudem mógł dojrzeć własne dłonie. Gdyby nie czuł za sobą Rudawki, uciekłby stąd.

- A! To ty - zaskrzeczała stara w ciemności. - Czego chcesz?

Głośno przełknął ślinę.

- Rudawka mówi, że ty wiesz, jak jest po drugiej stronie morza.

Nie odpowiedziała od razu. Żarek miał niepokojące wrażenie, że ona go w tym mroku widzi. Że patrzy na niego małymi starczymi oczkami i bada go. Jego wygląd, jego zachowanie. Jego myśli.

- Wiem — teraz miała inny głos, nie wrogi, ale i nie zachęcający. - I co? Taki jesteś ciekawy?

Wiedział, że będzie musiał powiedzieć jej wszystko, o co tylko go zapyta.

- Tak.

- A nie pomyślałeś nigdy, że tam może nic nie ma, o czym warto by gadać?

- No... Coś na pewno jest.

Znowu długo milczała, a potem zaszurała nogami i nagle była całkiem blisko. Poczł jej dłonie na swojej głowie.

- Niby syn Kościucha, a taki marzyciel, he, he, he! Skąd takie nierybackie myśli załęgły ci się w głowie?

Pewnie Rudawka cię zbałamuciła, teraz już jesteś jej, he, he! No, tak... - zdawało mu się, że zobaczył jej pomarszczoną twarz. - Zajdź do nas czasem, jeśli chcesz. Może usłyszysz to i owo.



- Hej, czekaj!

Białe łydki migały w trawie, gąszcz tłumil wołanie. Żarek starał się nie tracić Rudawki z oczu, ale ona była zwinna jak wiewiórka. Rozpłomieniona plama jej włosów to pokazywała się, to nikła w zieleni.

- Czekaj!

Gałęzie biły go po twarzy, potykał się o wystające korzenie. Bał się, że mu ucieknie. Zawsze była taka dzika - bardziej z lasu niż z morza. Tutaj, między drzewami, to ona brała górę nad Żarkiem, choć był od niej trzy lata starszy.

A pomyśleć tylko, że Rudawki w ogóle by nie było, gdyby nie dobre ucho Dziecieliuchy. Zmarniałyby z głodu, zadławiłyby się płaczem.

Dwanaście lat już przeszło od tamtego ranka. Rybacy szli do Grodziska całą kupą, na targ. Na wozach stały jeden na drugim kosze pełne ryb, koła skrzypiały, woły stękały pod ciężarem. Niebo było bezchmurne, zapowiadał się upał, więc się śpieszyli. Źle było iść w takie gorąco z rybami, a i wozy mieli opłacone u Żyda z podgrodzia tylko do wieczora.

Nie dziwota, że Stary opędał się od Dzięcielichy, kiedy zaczęła go ciągnąć za rękaw.

- Kwili coś! Pójdę zobaczyć.

- Nie trzeba być ciekawym, kiedy coś odzywa się w puszczy. Pilnuj wołu, bo lezie w krzaki.

Ciągnęli długim szeregiem, noga za nogą, wóz za wozem. Z prawej strony drogi opadało w dół strome zbocze, u podnóża omywane przez fale. Woły wybałuszały niespokojne ślepia, pchały się w lewo, do lasu. Pienista kipiela daleko w dole przyciągała każdego, kto się zapatrzył zbyt długo.

- No kwili, kwili w lesie, przecież nie dzwoni mi w uchu!

- Dzięcielicha wspinała się na palce, chciała dojrzeć coś ponad zbitą gęstwą krzaków. Ale widziała tylko pnie drzew, a między nimi mrok.

- A idź i nie wracaj! - Stary rozgniewał się już nie na żarty. - Potem to ty będziesz kwilić, jak się zgubisz.

Zniknęła w lesie, nim jeszcze skończył mówić. Zaruszały się krzaki, spadło parę liści - tyle ją widzieli. Po paru krokach Stary zatrzymał się i położył wołu dłoń na pysku. Drugą rękę podniósł do góry, żeby wszyscy stanęli.

- Trzeba poczekać, bo ją naprawdę coś chwyci za gardło - mruknął do Kościucha, który zapatrzył się na morze roziskrzane słonecznym blaskiem.

- Zaraz tu przygna z jakimś ptaszkiem albo źrebaczkiem, albo...

Dzięcielicha wypadła z lasu, jakby ją coś goniło, mało nie poleciała urwiskiem na dół. Sadziła w ich stronę wielkie susy, słyszeli z daleka jej sapanie. W miarę, jak się zbliżała, coraz wyraźniej widzieli jej szeroko otwarte oczy. Dopadła Starego, długo nie mogła złapać tchu.

Do piersi przyciskała mały tłumoczek.

- Znalazłam... płakało... - ciężko jej było sklecić kilka słów. Stary chwycił zawiniątko. Musiał szarpnąć, bo nie chciała puścić. Położył je w trawie na



poboczu i ostrożnie rozwinął.

Dziecko mogło mieć ze dwa miesiące. Nie wyglądało na chore, ale w ciemnych oczach był głód.

- Dziewczynisko? - Dziecielicha klasnęła w ręce, zakręciła się na pięcie. - Chodźcie tu która z pełnymi cyckami, szybko!

Kobiety stłoczyły się za jej plecami. Dziecko jeszcze przez chwilę patrzyło spokojnie, a potem nagle rozwrzeszczało się, do reszty przerażone gwarem. Poczzerwieniało od pięt aż po rudy meszek na głowie. Przepchała się do przodu Zywula, przyciskała rękami napinające kieckę piersi.

- Dawaj, ja mogę.

- Czekaj. - Stary rozłożył szeroko ramiona, odgradził je wszystkie od dziecka. Rozpaczliwy wrzask powoli przechodził w urywane żałosne zawodzenie.

- Co ty, trzeba ją nakarmić!

- Czekaj - powtórzył twardo, odczekał, aż baby odsunęły się dwa kroki do tyłu. - Najpierw trzeba zobaczyć, czy to nie...

Nie dokończył, powoli pochylił się nad dzieckiem. Odszukaj wzrokiem Kościucha, przywołał go skinieniem ręki.

- Co myślisz?

Kościuch zakręcił palcem w uchu, zmarszczył czoło.

- Wygląda dobrze, ale... No, sprawdźmy. Najpierw zęby.

Stary wsadził brudny paluch prosto między niebieskie od płaczu wargi. Przeciągnął po dziąsłach, z dołu i z góry. Dziecko na chwilę zamilkło, spróbowało ssać palec, a potem nabrało powietrza do chudego ciała i wrzasnęło jeszcze głośniejsze, aż woły zadreptały niespokojnie.

- Gładkie. Oczy?

- Teraz nic nie zobacz jony, przecież nie rozewrę jej powiek siłą.

- Zwyczajne były, wszyscy widzieli! Ślepka jak ślepka - zapiszczała im

nad głowami Dziecieliha.

- Może zwyczajne, może niezwykłe. Nie patrzyłem.

- Ale nie były czerwone! Czerwone byś zobaczył! - prawie skoczyła Staremu z pazurami do gardła.

- Zobaczyłbym - zgodził się, wytarł mokry paluch w portki. - Jeszcze tylko z tyłu.

Kościuch ostrożnie obrócił dziecko na brzuch. Zamilkło, walczyło z własną głową ciężąca mu do ziemi. Przyjrzeni się uważnie temu miejscu, gdzie tuż nad tyłkiem było wklęsnięcie, ale nie zobaczyli niczego, co mogłoby być zawiązkiem ogona.

- A teraz przestańcie mędrkować, bo tu baby trzeba! - Żywula rozepchnęła ich na boki. Zawinęła dziecko w czystą szmatę i przystawiła do piersi. Dziecieliha drżącą ręką gładziła rudoblada główkę.

Tak to właśnie z nią było, z tą Rudawką. Albo jakoś podobnie, bo czas robił swoje i ludzie różnie opowiadali. A Żarek za bardzo nie dopytywał o te dawne dzieje.

Las przed nim przerzedził się, miękki mech ustępował miejsca trawie. Kiedy chłopak usłyszał szmer strumienia, zwolnił kroku. Wiedział, dokąd poszła Rudawka.

Polana otwierała się całkiem niespodziewanie, prosto z chłodnego cienia Żarek wszedł w zieloną jasność. Trawa sięgała kolan, przez środek między kamieniami przeciskał się strumień. Rudawka siedziała na niskiej skarpie, oparta na łokciach, i muskała stopą zimną wodę.

Nawet nie odwróciła głowy, kiedy podszedł.

- No co? Czego uciekasz? - Przysiadł koło niej, szybkim ruchem złączonych dłoni złapał małą wyblakłą zabkę.

Plusnęła nogą mocniej, aż krople poleciały mu na twarz.

- A ty czego gonisz?

- Mieliśmy iść szukać jagód.

- To idź. Mnie tu dobrze.

Nie zdziwił się za bardzo, przyzwyczał się do jej narowów. Posiedzi sobie, ochłonie, a potem i tak pójda razem na te jagody. Położył sobie żabkę na wierzchu dłoni i patrzył, jak się nadyma.

- Żarek? - odezwała się całkiem innym głosem, jakby przed chwilą wcale się na niego nie boczyła. - A jak Kościuch nie da zgody?

- Na co?

- Żebyś mnie wziął za żonę.

- Co się ma nie zgodzić? - wzruszył ramionami. - Brakuje ci ręki albo nogi?

- Jestem znajda.

- A ja to co? Wielmoża o tłustym pysku? - Puścił żabkę do wody, spojrział Rudawce prosto w oczy. - Moja matka cię wykarmiła. Jesteś u nas jak swoja. Ani lepsza, ani gorsza.

Położyła się na plecach i rozrzuciła ramiona. Rude włosy nasiąkały od rosy wilgocią.

- Swoja to ja jestem tutaj. W lesie.



Chata Lubichy stała trochę na uboczu, niemal pod drzewami. Od wioski oddzielał ją spływający jarem strumień. Kiedy przybór wody przykrywał płaskie kamienie, trudno było się do niej przeprawić. Bywało, że całymi dniami siedziała sama. Ale zwykle ktoś zaglądał - a to trzeba było komuś opatrzeć ranę, a to rozpędzić złe sny albo tylko poradzić w potrzebie, jak człowiekowi. Ludzie przez te wszystkie lata wydeptali w trawie wąską ścieżynę, od wioski prosto pod jej płot. Dostawała od nich kosz ryb, czasem

kurę, a nierzadko tylko dobre słowo. Do siebie jej nie prosili, bo i po co. Wiedźma to wiedźma. Żyje sama, bo tak żyją wszystkie wiedźmy, i Bóg z nią. Albo diabeł.

Dawniej, kiedy ruszała się jeszcze żwawo, sama chodziła w las zbierać zioła. Inne w dzień, inne w nocy, przy księżycu. Ale czas mijał, a każda zima mocniej przyginała jej grzbiet do ziemi. Dreptała ze swoim kijaszkiem coraz wolniej, przystawała co kilka kroków. Gdzie jej tam było do bobrowania za zielskiem między paprociami. Musiała poszukać sobie pomocy. Długo przypatrywała się ludziom zza strumienia, słuchała ich rozmów. Zaczepiła tego i owego, zagadała, a w końcu upatrzyła sobie Rudawkę.

Dziewczyna przemieszkowała jeszcze wtedy trochę u Kościucha, trochę u Dziecielichy, ale pod dachem spędzała tylko noce. A czasem znikła na parę dni i przed nikim się z tego nie tłumaczyła. Nie była już dzieckiem, chociaż jeszcze nie wyrosła na kobietę. Ręce miała nadmiernie długie, ruchy niezgrabne - jak to podlotek. Najpierw nie chciała słuchać starej wiedźmy i śmiała się prosto w jej zmętniałe oczy. Ale przyszła za parę dni, a potem znowu. Chciała jakoś znaleźć swoje miejsce wśród ludzi, a póki co spodobało jej się takie bieganie po lesie. Szybko uczyła się odnajdować w cieniu drzew te zioła, które były potrzebne Lubisze. Była pojętna, chciwie chłonęła wszystkie te leśne mądrości, bez jakich strach było zapuszczać się w ostępy.

Tylko w nocy wiedźma chodziła sama.

- Jeszcze by ci się coś stało, to zaraz rybacy by szeptali po kątach, że oddałam cię czortom na uciechę - kręciła głową, nie dawała się uprosić.

- Ale co mi się może stać w lesie? - Rudawka chciała mówić do niej z góry, jak dorosła, ale wychodziło jej całkiem po dziecinnemu. - Blisko wioski nie chodzi gruby zwierz, a drogę znam.

- Jak słońce świeci, to znasz.

- Księżyc też świeci.

- Świeci. Ale nie tylko zwierząt trzeba się bać w lesie po zmroku. Nie

pójdiesz.

Próbowała przekonać ją za każdym razem, ale nic z tego nie wychodziło. W końcu byłaby może wykradła się za nią bez pytania, ale bardziej od ciemności bała się Kościuchowej pięści. Machała w złości rękami, życzyła starej połamania kulasów w jakimś wykrocie. A potem wracała do chaty i długo w noc leżała z otwartymi oczami. Duszno jej było po tej stronie drzwi.

Tak to szło przez całą wiosnę, a potem lato. Czuła się u Lubichy prawie jak u siebie. Siadała pod ścianą, podciągała kolana pod brodę i patrzyła, jak wiedźma, postępując, krząta się po izbie. Nad paleniskiem wisiał kociołek z warem, na ścianach suszyły się całe pęki zielska. Stara brała w palce zeschnięty liść i rozkruszała go nad kociołkiem, mrużąc do siebie odwieczne zamawiania. Woda robiła się bura albo zielona, albo czasem prawie czarna. Chatę aż po dymnik wypełniał wierzący w nosie zapach.

- To dla Drożdziela - objaśniała Rudawkę jednostajnym, cichym mrużeniem. - Jak wypije, wyzdychają robaki, co to mu się w brzuchu zaległy. To dla Głowacza. Wrzód na tyłku trzeba naciąć, a potem obłożyć. To dla... dla...

Otwierała szeroko oczy, jakby sama zdziwiona tym, że nie pamięta.

- Dla Liśca, na spanie - rzucała ze swojego miejsca niedbale dziewczyna, ale dopiero po chwili, żeby Lubicha mogła docenić jej pomoc.

- Tak, dla niego - uśmiechała się stara zadowolona, a wtedy oczy całkiem zniknęły jej wśród zmarszczek. - Dobrześ to podsłuchiwała.

Z początku ludzie trochę krzywili się na Rudawkę, że muszą przy niej mówić, z czym przychodzą. Ale z czasem przestali ją zauważać, stała się w chacie Lubichy zwyczajna. Jak szczury, których wiedźma nie zabijała, tylko żyła z nimi w zgodzie. Słuchała, słuchała, a wreszcie coraz częściej sama z siebie umiała zgadnąć, jaką radę da Lubicha na to, a jaką na tamto. Jeszcze zanim wiedźma zdążyła się odezwać, ona już grzebała między suchymi pęczkami na ścianie.

Bywało też i tak, że ją całkiem zaskakiwała.

Kiedyś przyszedł sam Stary. Nieczęsto tu zaglądał. Za czasów Rudawki był ze dwa razy. Przeształ próg, przez chwilę przyzwyczajął oczy do mroku.

- No, co tam? - zagadał zwyczajnie, jakby to Lubicha przyszła do niego, a nie on do niej.

Wiedźma uznawała jego władzę we wiosce, choć sama żyła poza gromadą. Jeśli był ktoś na całym wybrzeżu, kto pamiętał czasy jej młodości, to chyba tylko on. Trzymał się jeszcze prosto, pływał z siecią jak inni, ale w oczach miał już cienie starości.

- Nic. Jest, jak było przedtem. Dla takich jak my jedyną odmianą jest mogiła. - Lubiała czasem wypomnieć mu sędziwy wiek, bo wiedziała, że to go złości. - Ale nam się chyba nie pali do ziemi, co, Stary?

- Kto komu grób wykopie, to się jeszcze zobaczy. - Tylko Lubisze uchodziły płazem takie prześmiewki ze Starego, nikt inny by się nie ośmielił. - A póki co... Ot, to.

Coś błysnęło na jego wyciągniętej dłoni. Lubicha podeszła blisko, długo się przypatrywała.

- Gdzieś to znalazł? - Twarz jej sposepniała.

- Zaplątało się w sieci.

Rudawka spod swojej ściany zobaczyła, że Stary uniósł dwoma palcami jakiś pierścień. Chyba brakowało mu kamienia, ale i tak wart był więcej, niż wszystkie łodzie we wsi razem wzięte.

- Rzuć go we wodę! Nie powinieneś w ogóle go zabierać.

- To... z Północy?

- Z Północy. - Odwróciła się plecami, jakby straciła chęć do rozmowy. - A ty napatrzyłeś się w życiu dosyć na podobne paskudztwa, powinieneś sam poznać.

Stary zważył pierścień w ręku, uniósł lekko brwi.

- Wyrzucę jeszcze dzisiaj.

Rudawka odezwała się dopiero wtedy, kiedy kroki Starego ucichły za strumieniem.

- Co to było?

Myślała, że wiedźma jej nie odpowie, bo siedziała przy ogniu, kiwając się w przód i w tył. Chciała biec za Starym, zobaczyć, dokąd pójdzie, ale w progu osadził ją głos Lubichy.

- Nie idź, to nie twoja sprawa.

- Lubicha! Za taki pierścień można by... No, bo ja wiem? Żyć jak sama księżna!

Wiedźma zaskrzypiała krótkim, starczym śmiechem.

- Jak księżna, mówisz? A co ty wiesz o tym, jak żyje księżna? Może gorzej jak ty? Ech, Rudawka, Rudawka. Durna jeszcze jesteś. A takich świecidełek trzeba się strzec, choćby nie wiem, jak cię wabiły.

- Ale czemu? Żywula ma pierścień w skrzyni, kiedyś mi pokazała.

- Niech ma. Ja jej w skrzynię nie zaglądam. Ale na pewno nie taki jak ten.

Rudawka nic z tego nie mogła zrozumieć. Zaczęła myśleć, że Lubicha naśmiewa się z niej.

- Nie taki, to jaki?

- Z Grodu. Albo od kupca. Ale nie z Północy, bo coś takiego na pięć kroków śmierdzi Złem.

Nic więcej jej nie powiedziała. Późno było, Rudawka wyszła z chaty z głową nabitą myślami. Zbiegła urwiskiem na dół, na brzeg. Słońce już zaczynało czerwienieć. Widziała, jak Stary siedzi w swojej łodzi, równo pracuje wiosłami. Niebo z wolna ciemniało, od lasu odzywały się nocne głosy. A Stary płynął coraz dalej w morze, aż zniknął jej z oczu.

## ROZDZIAŁ III

Żywuła wyprostowała się znad gara, potarła pięścią obolałe krzyże.

- Który tam się zesrał? Idź zobacz, Żarek, bo mi śmierdzi.

W kącie chaty Kościuch przed laty postawił przegrodę dla świń. Trzymali zawsze kilka wieprzków - dobrze było powąchać zimą świniny, a nie tylko ciągle ryba i ryba. Ale kiedy Żarek dorósł, a Żywuła niespodziewanie znowu zaczęła chodzić z brzuchem, zrobiło się ciasno. Dni świniaków były policzone. Ostatnie prosię zarznęli, kiedy urodziły się bliźniaki. Tylko zagródki Kościuch nie rozebrał. Wysprzątał, siana narzucił i Lestek z Pestkiem żyli tam sobie w zaciszu, jak małe niedźwiadki w mateczniku. Przynajmniej nie włązili nikomu pod nogi.

Zapiszczeni z uciechy, kiedy Żarek przetrzepywał siano w zagródce. Tu wygrzebał jakieś drewnienko, tam kamyczek - nic więcej.

- To nie oni.

- A kto? - Żywuła obejrzała się na drzwi, potem na Żarka. Nikogo więcej nie było w chacie. - Pies jakiś przyłazł? Albo tyś gdzie wdepnął.

Żarek usiadł, schylił się niepewnie. Aż go poderwało. Między palcami stóp miał kleiste grudki, od których smród bił jak od ścierwa. Rozejrzył się za kubłem z wodą.

- Nie tutaj! - Żywuła wielką łychą wskazała mu wyjście. - Idź do strumienia, bo mi wszystko zapaskudzisz.

Zaraz za progiem Żarek skoczył w trawę, żeby z grubsza obetrzeć nogi. Obrzydzenie wypychało mu żołądek do góry. Ale łajno nie schodziło tak łatwo - tylko je rozmamlał, aż po same kostki.



Syknął z bólu, kiedy poczuł na ramieniu mocny uścisk.

- Co ty robisz?

Nad nim stał Stary. Płaty długiego nosa drgały mu jak u wietrzącego wilka.

- Wlazłem gdzieś w to paskudztwo. Ojej, zostaw! To boli!

Stary jedną ręką chwycił go za łydkę i stęknąwszy podniósł do góry jak wierzgającego cielaka. Wystawił jego umazaną stopę ku słońcu, przybliżył oczy. Patrzył i patrzył. A kiedy z powrotem postawił Żarka na trawie, twarz miał sinobiałą.

- Gdzieś wlazł?

- A bo ja wiem? - Żarka bolała wykręcona noga, jąkał się ze złości. - Co ja ci zrobiłem złego? Tylko rozciapałem sobie gówna na nodze!

- Gdzieś dzisiaj chodził? Przypomnij sobie! - Stary jakby go nie słyszał. Przez nos głęboko wciągał powietrze, z każdym oddechem mrużył oczy.

- No... Rano byłem na dole. Łataliśmy z ojcem łódź.

- Chodź.

Stary nawet na niego nie spojrział. Pobiegł do zbocza, a potem krętą ścieżką w dół. Sadził takimi susami, że Żarek ledwo za nim nadązał.

Kościuch ciągle jeszcze biedził się przy łodzi. Była wysłużona, popstrzona łatami jak kiecka Lubichy. Podniósł oczy znad roboty. Na widok Starego pędzącego z rozwianą siwą grzywą otworzył ze zdumienia usta. A kiedy jeszcze zobaczył za nim Żarka, na poły przestraszonego, na poły ogłupiałego, odłożył narzędzia i wstał.

- Tutaj łąziłeś? - zaskrzypiał Stary jak suchy rzemień.

- Tutaj i tutaj. - Żarek powiódł ręką dokoła, potem machnął w stronę krzaków porastających podnóże skały.

- I tam, jak mnie przynagliło.

Stary dopadł krzaków w kilku skokach, niecierpliwie rozgarnął ramionami

cienkie gałązki. Zmarszczył czoło, znieruchomiał. Potem jednym szarpnięciem wyrwał krzak z korzeniem i odrzucił za siebie.

Kiedy podeszli Kościuch z Żarkiem, smród uderzył w nich ze zdwojoną siłą.

W trawie leżało łajno. Poderwały się z niego spłoszone nagłym ruchem wielkie muchy, wściekle bzykając za uszami. Wyglądało jak ludzkie, ale nie całkiem. Powleczone było mazistą, zielonkawą błonką. No i cuchnęło bardziej, niż cokolwiek innego.

- Wołaj ludzi! Niech każdy rzuca robotę i idzie na górę, do mojej chaty.

Kościuch jeszcze nie zrozumiał, ale brzmienie głosu Starego obudziło w nim czujność. Cisnął na łajno garść rozgrzanego słońcem piasku. Ożarte muchy rozbrzęczały się wszystkie naraz. Stary słuchał tego grania, jakby chciał się z niego dowiedzieć czegoś więcej. Potem obrócił się i wysuwając do przodu głowę, jakby węszył, spojrzął na morze.

- Wróciły, sucze syny.

Tego dnia rybacy wiecowali do samego wieczora, ale nic nie uradzili. Równy z zachodem słońca zeszli nad samą wodę i czuwali do świtu, z nożami do oprawiania ryb w zaciśniętych pięściach. Nie gadali, patrzyli. Każdy plusk fali, każdy szmer w krzakach podrywał ich na nogi. Obracali białka oczu, dodawali sobie ducha głośnym przytupywaniem, ale nic się nie stało. Nad ranem przysnęli, okutani w kożuchy, wymęczeni strachem. Zbudził ich drobny deszcz, który o wschodzie zwilżył piasek. Jeden po drugim wstawali, chowali noże za pasy i plując za siebie przez lewe ramię, szli do wioski. Wyglądało, że na tym się skończy i następne dni będą podobne do wszystkich poprzednich.

Ale Stary nie dał im spokoju. Znowu zwołał radę, chociaż tym razem trwało o wiele dłużej, nim wszyscy się zeszli. Przyprowadził nawet Lubicę, chociaż każdy wiedział, że baby powinny siedzieć przy ogniu, a nie wiecować.

- Mnie nie słuchacie, to może posłuchacie wiedźmy — rzucił im twardo.

Patrzyli na nią w milczeniu. Czekali. Wiedzieli, że jeśli ktokolwiek ma coś do powiedzenia w tej sprawie, to tylko ona. A Lubicha otarła długą nitkę śliny wiszącą jej u wargi i stuknęła kijaszkiem w klepisko.

- Tu trzeba wojów, a nie wiedźmy.

Popatrzyli po sobie stropieni.

- A skądby u nas woje?

- Ja pamiętam i Stary też pamięta, jak to wyglądało dawniej. Kiedy kto znalazł na piasku dziwne ślady albo niedojedzone ochłapy mięsa, albo choćby łajno, wszyscy wiedzieli, co robić. Rybacy nocami stróżowali na brzegu. Nie tak jak wy, całą kupą, niby wróble, tylko dwójkami. Palili ognie. Bywało, że padał deszcz, a wtedy one wyłaziły o wiele śmieiej. Czasem nawet lała się krew. Ale już od wielu lat jest spokój. Zdążyliście zbabieć, zapomnieliście, jak się zabija. Dlatego mówię: trzeba posłać do Grodziska i prosić o wojów. Stary z grododzierzcą Wojśławem znają się przecież jeszcze od młodości, to jakoś się ugadają.

Głowacz porwał się na nogi.

- Woje wyżrą nam wszystko, co mamy, aż do najmniejszej ości! Nic nie zostanie! Ty możesz być spokojna, boś stara, ale inne baby chyba trzeba by było przechować gdzieś w lesie, bo tacy nie przepuszczą żadnej, choćby kulawej i zezowatej. Nie, woje muszą trzymać się z daleka od wioski. Poradzimy sobie bez grododzierzcy. No i skąd wiemy, że to... że to są one?

- Było gównno - wtrącił się niepewnie Kościuch.

- Gównno jak gównno. Zwykła rzecz w krzakach. Nigdy nie wlażeś?

- Ludzie, Zło wróciło! — Stary wyszedł z cienia i stanął przed nimi wyprężony, z wysoko uniesioną głową. - Raz w życiu czułem smród takiego łajna, dawno temu. Ale tego się nie zapomina. Wiem, że to one. Poznałem od razu.

- Od smrodu nikt jeszcze nie umarł - zaśmiał się krótko Głowacz, ale zaraz zamilkł, bo inni siedzieli cicho. Lubicha prychnęła gniewnie.

- Od smrodu nie. A wiesz - pochyliła się do niego - jak boleśnie szarpie duszę krzyk człowieka, którego one dostaną w łapy? Nie wiesz. I bodaj byś się nigdy nie dowiedział.

Głowacz tylko przez chwilę wytrzymał jej wzrok, potem spuścił oczy. Stary odczekał, żeby ostatnie słowa wiedźmy dobrze zapadły im w głowy.

- A najbardziej zawsze lubiły dzieci, bo co młode, to słabo się broni. I mięso miękkie.

Zaszurali nogami, zaświecili oczami. Ten i ów zaklął pod wąsem. Tego dnia zgodzili się na wszystko, czego zażądał Stary. Odgadywali jego zamiary z samych pochrząkiwań i ochoczo kiwali głowami.

A Żarek długo jeszcze chodził z brodą wyżej nosa, pusząc się przed innymi chłopaczyskami. Nawet Rudawka teraz patrzyła na niego jakby onieśmielona.

- I co? - pytała po raz nie wiadomo który, a uszy piekły ją z przejęcia. - Sam tam byłeś? W tych krzakach?

- Pewnie, że sam. - Marszczył czoło, tak samo, jak to podpatrzył u Starego. - Samiuteńki. Kucam sobie w krzakach. Kucam, kucam i robię... No wiesz. Naraz słyszę, jak coś czai mi się za plecami. I warczy. I trzaska zębami. Chuch ma gorący. A ja... ja...

- A ty kucasz - odpowiedziała mu szybko, odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

- Kucam. Wstaję, odwracam się... skaczę na niego i...

Odrobinę za późno wyczytał w oczach Rudawki, że trochę się zapędził. Gorączkowo szukał jakiegoś wyjścia, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Skaczę... ale on mi uciekł, bo... bo...

- Bo ci się portki oplątały na łydkach. Zapomniałeś podciągnąć! -

Dmuchnęła mu w nos i odeszła.

Patrzył za nią z rozdziawionymi ustami. W gardle mu zaschło, krzyknął do jej pleców schrypniętym głosem:

- Właśnie!



Wichura rozszalała się wczesnym rankiem, kiedy ludzie jeszcze spali. Wstające słońce z trudem cedziło światło zza gęściejącej zasłony chmur. Morze było niespokojne. Potężniejący wiatr zrywał z czubów fal białe kłaki piany. Kiedy na niebie rozpały się cienkie nitki błyskawic, po nadmorskim piasku zaszeleścił deszcz. Nic nie zapowiadało, żeby do wieczora coś miało się zmienić.

Rybacy wychodzili za progi swoich chat bardziej z nawyku niż z potrzeby. W taki dzień nie mieli nic do roboty. Wyciągnięte na brzeg łodzie mokły wywrócone brzuchami do góry, między palami pomostu kotłowała się woda. Wioskowe psy z podkulonymi ogonami pchały się do uchylonych drzwi.

Ledwo Kościuch przełknął z rana parę łyżek kaszy, w ruch poszedł kubek z piwem. Pił zawsze na taką pogodę. Pili wszyscy. Łatwiej było przeczekać męczący bezruch. Warczał na Żywulę, łypał oczami tu i tam, a dzieciaki nie śmiały wystawić nosów ze swojego kąta. Nawet Żarek siedział cicho. Patrzył spod rzęs, jak ojciec kiwa się na boki, jak przysypia od czasu do czasu złym snem. Potem zrywał się, chodził ciężko od ściany do ściany, krzyczał o żarcie. Znowu pił, siadał. Byle do wieczora.

Niewidoczne słońce przetoczyło się po niebie, ścigane nieustającym grzmotem burzy zapadło się w morze. Bezgwiazdne niebo zdawało się wisieć nisko, tuż nad strzechami. Po czczym dniu zapadła wreszcie noc, przynosząc złudzenie ulgi.

Kościuch chrapał na ławie ze zwieszoną głową. Żywula stanęła przed nim i wyciągnęła mu z dłoni pusty kubek.

- Budź się, opilcu jeden. Czas.

Zamamlał wargami, wciągnął głęboko powietrze. Przez dłuższą chwilę patrzył nieprzytomnie. Potem bez słowa wstał, z trzaskiem przeciągnął ramiona. Kiedy otworzył drzwi, ogień na palenisku przygasł od nagłego podmuchu.

Po cuchnącym ludzkimi wyziewami zaduchu chaty ożywczy wiatr od morza mącił w głowie jak mocne wino. Deszcz siąpił teraz ulotnym wodnym pyłem. Chmury rozeszły się trochę, księżycowy blask kładł się na falach.

- Ojciec, idę z tobą.

Żarek dogonił go w pół drogi do pomostu. Kościuch dostrzegł jeszcze w otwartych drzwiach chaty Żywulę, jak stoi w blasku płomienia z paleniska i patrzy za nimi. Wyglądała jak pękata wierzba. Po chwili światło zgasło, drzwi się zamknęły.

- Taak? - wzruszył ramionami i nawet nie przystanął.

- To zadanie dla chłopów, nie dla dzieciaków. Wracaj.

Żarek aż zasapał się ze złości, ale nie zwolnił. Kościuch wciąż słyszał za plecami jego kroki.

- Idę, ojciec.

- A nie zeszczasz się ze strachu?

- Ojciec! Piętnasty rok mi idzie. Nie jestem smarkiem.

- Dobra, ja ci tam lat nie liczę. Nie mam do tego głowy. - Czknął kwaśno po piwie, obejrzał się na syna. - Chcesz, to chodź. Ale jak się zeszczasz, to powiem wszystkim dziewczuchom we wiosce. A pierwszej Rudawce.

Żarek zaświstał dziwacznie, w ostatniej chwili zmełł w zębach to, co miał do powiedzenia. Poszli dalej ramię w ramię, wiatr szarpał im włosy.

Głowacz czekał na nich ukryty pod pomostem, z pochodnią wetkniętą w

piasek koło siebie. Wilgoć osiadała mu na postrzępionej brodzie i ściekała małymi strużkami.

- A, toś sobie wymędrkował, Kościuch! - zaśmiał się jeszcze z daleka. - Młody popilnuje, a ty pośpisz?

- Przynajmniej taką mam z niego wyрекę - burknął niechętnie Kościuch, bo nigdy się z Głowaczem nie lubili.

- A ty? Pusto masz w chacie, to pewnie wolisz pleśnieć tutaj jak szczur, niż pić do ściany?

- Moja kolej stróżowania, to siedzę.

Zawsze się tak przegadywali, Żarek znał to dobrze. Teraz Głowacz będzie przez czas jakiś siedział naburmuszony, próbując ułożyć sobie w głowie ciętą odpowiedź. Ale nic nie wymyśli, nigdy mu się nie udaje. Ma tak pusto w głowie, że kiedy się drapie nad uchem, idzie pogłos jak z bębna. Pozostanie mu cierpliwie czekać na okazję do nowej zaczepki.

Pod pomostem wszystko było przygotowane jak należy

- szczapy na ogień porąbane, dwa pniaki do siedzenia. Obok, wetknięte drzewcami w piasek, długie włócznie z wąskimi grotami. Żarek dotknął jednej z nich końcami palców, oblizał wargi.

- Ojciec, mogę?

- Stróża to nie zabawa, Żarek. - W głosie ojca nie było teraz ani kpiny, ani złości. - Jakeś tu już przylazł, to siadaj na tyłku. I nie zasypiaj.

Pniaki były tylko dwa, więc Żarek musiał przysiąść na piętach w mokrym piasku. Nad nim krople deszczu bębniły o deski pomostu, ulewa znowu narastała.

Głowacz przytknął pochodnię do stosu drew. Kiedy zrobiło się jasno, strzyknął śliną prosto w ogień.

- Pewnie, że nie zabawa - powtórzył mrukliwie niby do siebie, niby do nich.

Wybiegając za ojcem z chaty Żarek czuł, jak podniecenie rozpala mu policzki. Teraz tamten zapał ulatywał z każdą chwilą gdzieś w milczącą pustkę. Rybacy siedzieli na swoich pieńkach nieruchomo, jakby sami byli wyrzeźbieni z drewna. Ogień znaczył na piasku czerwony krąg, za którym była noc. Wiatr grał cichutko na ostrzach włóczni, morze wdzierało się na brzeg głębiej niż zwykle.

- Ojciec?

- No?

- Czemu palimy taki wielki ogień? Nic nie widać, co się dzieje tam dalej.

- One nie lubią ognia.

Żarek wstrzymał oddech, serce zabiło mu mocniej. Ojciec nigdy nie rozmawiał z nim o tych sprawach, zawsze go zbywał. Zanim zapytał znowu, ostrożnie ułożył sobie w głowie każde słowo.

- To znaczy, że nie wyłazą, jak jest ogień?

Kościuch nie odpowiedział od razu. Patrzył na morze, jakby spodziewał się coś rozeznąć w takim mroku.

- Wyłazą, jak jest deszcz. Ognia nie lubią, ale bywa, że są bardzo zawzięte. Wtedy nawet ogień ich nie zatrzyma.

- I co?

- Nic. Od tego mamy włócznie, synu.

Żarek rzucił okiem na ostre groty, pokiwał głową.

- A gdyby jednak przeszły?

- Polazłyby na górę, weszłyby do chaty, wywlekłyby za łeb jakieś dziecko albo babę, albo nawet chłopca, jeśli spity. Zadusiłyby szybciej, niżby zdążył zobaczyć, z kim ma sprawę. A kiedyś może woda oddałaby jego ogryzione kości, a może nie.

- A ty, ojciec? Widziałeś kiedyś topielucha?

Głowacz poruszył się niespokojnie, Kościuch powoli odwrócił twarz w



stronę syna.

- Zapamiętaj, Żarek, bo następnym razem dostaniesz w gębę: nigdy nie mów tego słowa bez potrzeby A już na pewno nie w nocy. Licho słucha.

Przez chwilę zdawało się, że deszcz ustanie zupełnie, ale zaraz załomotał nad głowami z nową siłą. Żarek długo zbierał się w sobie, nim zapytał znowu.

- Ale... widziałeś?

- Nie. Ani ja, ani Głowacz, ani nawet Stary. Nikt nie widział, od wielu lat. Ale to nie znaczy, że nie trzeba się strzec w czasie deszczowych nocy. Musi być ogień. Tak robił mój ojciec. I mój dziad, i dziad dziada. I ty tak będziesz robił. A na razie - Kościuch znowu odwrócił się ku morzu - przestań mleć ozorem. W twoim wieku nie wiedziałem o tych rzeczach prawie nic, a ty byś chciał wszystko od razu.

Potał dłonią kark, a potem dorzucił jeszcze, szczerząc zęby:

- Pilnuj lepiej portek, czy jeszcze suche, czy już obeszczone.



Obudziło go zimno.

Kiedy otworzył oczy, nie od razu przypomniał sobie, gdzie jest. Potał pięściami powieki. Próbował wstać, ale zaraz podparł się rękami, bo zdrętwiałe nogi nie mogły go utrzymać. Musiał odczekać jakiś czas, nim powróciło czucie w stopach. Wtedy podniósł się znowu, tym razem bardzo ostrożnie.

Był już dzień. Gęsta mgła wisiała nisko nad ziemią, słaby podmuch pchał ją mozolnie z lądu nad wodę. Żarek mógł dojrzeć jedynie wygasły stos, najbliższe pale pomostu, a dalej już nic. Po ojcu i Głowaczu zostały tylko zdeptane ślady przy pieńkach.

Trząśł się z zimna, a jednocześnie czuł rozlewającą się gdzieś tam od środka gorącą falę wstydu. Zasnąć w taką noc! W pierwszą noc. Kiedy będzie następna? Kolej ojca na stróżowanie wypadnie znowu za kilkanaście dni. Ale co z tego? Nie weźmie go więcej ze sobą. Ani Kościuch, ani nikt inny. Zasnąć w taką noc...

Spróbował rozgrzebać popiół, żeby rozdmuchać żar i ogrzać się trochę przy ogniu, ale zgrabiałe palce nie mogły utrzymać patyka. Cisnął go ze złości w piasek i wbił głowę w ramiona. Nie ma co, trzeba wracać. A tam, w chacie, pewno ojciec siedzi sobie już na ławie i patrzy z uśmiechem na drzwi. Jakie będzie jego pierwsze słowo? Ech!...

Wydało mu się, że usłyszał kroki. Deszcz siąpił teraz ledwo, ledwo, wiatr ustał. Nie mógł się przesłyszeć, ktoś szedł w jego stronę. Piasek cicho osypywał się pod leciutkim stąpieniem, jakby dziecięcym. Człap, człap. Tak nie mógł chodzić ani ojciec, ani Głowacz. Ani żaden inny chłop. Człap, człap, człap. Żarek słuchał, wpatrując się w kłębiasty opar mgły. Rzucił bezwiedne spojrzenie za siebie, gdzie ciągle tkwiły wetknięte w piasek włócznie. A potem, w jednej chwili, zjeżyły mu się włosy na karku.

Uświadomił sobie, że kroki słychać od strony morza.

Skoczył do ucieczki jak spłoszony koźlak. Minął popielisko, kątem oka ułowił błysk włóczni. Przebiegł jeszcze parę kroków, zarył piętami w piasek. Wrócił, szarpnął szorstkie drzewce obiema rękami. Drętota ramion ustąpiła, krew zaszumiała mu w uszach. Pochylił się do przodu, wysunął ostrze daleko przed siebie. Musiał dwukrotnie przełknąć ślinę, zanim udało mu się dobyć głosu.

- Ty! Stój!

Chwila ciszy, a potem znowu kroki.

- Stój, bo cię zadźgam!

Człap. Człap, człap.

Pierwszy raz w życiu doznał tego dziwnego, upajającego uczucia, kiedy

strach przeradza się we wściekłość. Ścisnął drzewce włóczni, aż trzasnęły wyiębione stawy. Zdawało mu się, że sam w sobie rośnie jakoś tak od środka, że tężeje. Zaczynał ufać we własne siły. Krzyknął tak głośno, jak tylko mu się udało:

- Zabiję cię, poczwaro! Wypruję ci bebechy!

Człap.

Wiatr dmuchnął mocniej, mgła trochę przejaśniała na parę kroków przed nim. Zobaczył małą, ciemną postać wyłaniającą się zza pala.

- Poczwara? Czyś ty, Żarek, odumiał?

Lubicha z trudem brnęła w jego stronę, zapadając się po kostki w nawilgły piasek. Kurczowo zaciskała trzęsącą się rękę na kijaszku, w krzyżu przegięta była w pół.

- Rzuć to, bo zaraz się potniesz - jej głos był pełen poświstów i stęknień, rozdygotany jak ona sama.

Żarek na przemian zaciskał i rozwierał szczęki. Patrzył na wiedźmę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Czuł, jak krew powoli napływa mu do twarzy. Miał ochotę popłakać sobie jak dziecko. Lubicha musiała to dostrzec, bo nagle uśmiechnęła się do niego.

- Nie gryź się, synku. Kościuch z Głowaczem wyglądali tak samo jak ty ledwie chwilę temu. Pospaliście się wszyscy. Mogłam wam napluć do gardeł, takeście chrapali.

- Gdzie oni? - Żarek w głowie czuł jeszcze pustkę, ale zrobiło mu się różniej. Jeśli Lubicha mówiła prawdę, nie było tak źle.

- Tam ich masz! - wskazała kijaszkiem ku morzu. Z mgły cicho wysunął się Kościuch, a za nim Głowacz.

Coś musiało być źle. Ojciec na czole miał krople potu, które starł, chowając twarz w dłoniach. Podeszedł do włóczni, wyrwał z piasku od razu dwie. Jedną rzucił Głowaczowi, drugą oparł sobie na karku, przewieszając

ramiona luźno przez drzewce.

- Miałaś rację. W samą porę zagasiliśmy ogień.

- Wiem, że miałam. Z takiej stróży jak wasza więcej mogło być złego, jak dobrego. Widzieliście coś?

- Nie, za gęsta mgła. - Kościuch puścił mimo uszu przyganę. - Ale po wodzie głos niesie się daleko.

- Tamci też starają się być cicho, choć pora taka, że stukniesz żelazem o żelazo, a kto chce słyszeć, ten słyszy.

- Głowacz mówił i jednocześnie cały czas kręcił głową, jakby chciał sam sobie zaprzeczyć. - Skąd wiedziałaś?

- Jestem wiedźmą, żeby wiedzieć. Chodźmy, może coś zobaczymy z góry.

Kiedy zostawili za sobą zwały lepkiej mgły, zgryzota prawie całkiem odtajała w sercu Żarka. Tutaj, w rzeźwym powietrzu, można było odetchnąć swobodniej. Białe słońce dawało niewiele ciepła, chmury cicho przetaczały się po niebie. Skała urwiska ciągle jeszcze była mokra po nocnym deszczu. Doszli na górę, odwrócili się w stronę morza.

Ale morza nie było widać, jakby przykrywały je ruchome zaspy śnieżne, u dołu nieprzeniknione, z wierzchu ulotne i czerwone od słońca.

- Jest! - Kościuch pokazał palcem i wszyscy wyciągnęli szyje w tamtą stronę.

Z początku nic nie widzieli, tylko białą kotłowanąinę, jak wszędzie. Zaraz potem - jakiś odmienny ruch, jednostajny i równy. Długi, czarny cień przesuwiał się z zachodu na wschód. Woda chlupotała pod piórami wiosła, nad tumanem mgły starczała sama końcówka masztu.

- Tak blisko! - Wargi Kościucha były całkiem białe, jak na mrozie. - Musiał w nocy płynąć prosto na ogień. Gdybyśmy nie zagasili, dobiłby do pomostu.

- Nie dobiłby. - Głowacz nie wiadomo czemu mówił szeptem. - Musiałby

znać przejście między skałami, inaczej zostałyby z niego drzazgi.

- Tak czy tak, blisko było. Jak nigdy.

Patrzyli, póki okręt nie zniknął im z oczu. Zdawało im się, że słyszą jakieś wypowiedane półgłosem słowa, skrzypienie kroków na deskach pokładu. Ale to mogło być złudzenie, zwodziły ich zwyczajne odgłosy morza.

Odwrócili się i poszli w stronę wioski.

## R O Z D Z I A Ł E   I I I

- Burza idzie.

Stary niechętnie spojrział na Żarka spod nastroszonych brwi. Nie lubił, kiedy taki dzieciak odzywał się nie pytany.

- A ty co? Raz cię ojciec w morze wziął, to ci się we łbie pokręciło? - Trącił Kościucha pod bok, skrzywił się. - Pilnuj ty go, bo niedługo własny syn cię przegada.

- A bo taki on już jest. - Kościuch rozparł się w łodzi, obrócił twarz do słońca. - W matkę się wdał. Oba takie same pyskate.

Nie patrzyli na siebie, pilnowali swojej roboty przy sieciach. Cicho było, sennie. Morze wydymało się i opadało bez pośpiechu.

- Burza idzie.

Głos Żarka jeszcze nie całkiem przełamał się z dziecięcego na męski, czasem popiskiwał, a czasem muczał jak niedojona krowa. Stary aż się wzdrygnął, tak nieprzyjemnie jego słowa wystrzępiły ciszę. Był zły na Kościucha, że pozwolił młodemu wprosić się na łódź.

- Ki czort? - Kościuch potarł nos, zmrużył oczy. - Niebo przecież było jasne od samego rana...

Stary powoli wyprostował grzbiet, wsparł się pod boki. Czerwone błyski, dalekie, jeszcze bezgłośnie, odbijały mu się na mokrym czole.

Znali przecież dobrze burzę, jak to rybacy. Zawsze zaczynało się podobnie. Najpierw ciemniejące nad głową chmury, wiatr targający strzechy, bryzgi wody wysoko nad nadmorskimi skałami. Wybiegali wtedy wszyscy z chat, gnali urwiskiem nad sam brzeg. Ciągnęli łodzie głęboko w piach,

zwijali rozwieszono do suszenia sieci.

Przekrzykiwali ryk morza. A potem siadali pod dachem ciasnym kręgiem wokół ognia i słuchali nawałnicy przetaczającej się nad światem. Ani straszno im było, ani dziwnie. Ot, burza. Trzeba przeczekać.

Ale tym razem wszystko działo się inaczej.

Daleko, nad samym widnokrepiem, woda zamrugala czerwonym blaskiem. Raz, drugi, trzeci. Chwila spokoju, a potem znowu zapalił się ogień, nie wiadomo - na morzu czy na niebie.

Żarek przysiadł skulony na wąskim dziobie łodzi, a Stary z Kościuchem wstali chwiejnie na nogi. Długo nikt nie odezwał się słowem. Wyciągali szyje, nozdrza im się rozdymały jak u spłoszonych koni. Czekali na wiatr, na deszcz. Na cokolwiek. Ale nic się nie działo. Bezruch. Tylko te błyski na widnokrepiu, jak zza uchylonych drzwi do piekła.

- Co to jest, psiakrew?

Teraz nawet Żarek zrozumiał, że dzieje się coś niezwykłego. Ostrożnie, rakiem wycofał się z dziobu, bo nagle poczuł się tam całkiem samiuteńki, chociaż ojciec był trzy kroki od niego. Rzucił szybkie spojrzenie za siebie, ku wiosce.

- Wracamy! - Kościuch chwycił niepewnie wiosło, a potem wolno, jakby nie chciał wywoływać złego, wsunął je do wody. Łódź zakolebała się lekko, obróciła dziób w stronę brzegu.

- Wracamy. - Stary pokiwał głową bardziej z nawyku niż z potrzeby, bo Kościuch już napierał na wiosła. Teraz czerwone błyski mieli za plecami. Nie oglądali się za siebie.

Skalisty występ wsparty na piaszczystej łasze białał w oddali. Na górze przysiadły czarne, wkopane w ziemię rybackie chaty. Szczerbate zagrody, drewniany pomost nad wodą. Żarek osłonił ręką oczy, żeby lepiej widzieć. Od chat zbiegali ku pomostowi ludzie. Unosili ramiona, chyba krzyczeli, ale do łodzi dobiegały tylko jakieś urywki tych wrzasków.

Równy napierali na wiosła. Przechylił ciała, pchnięcie, opór wody. Nie szło to lekko, bo wlekli za sobą prawie pełne sieci. Twarze im zwilgotniały, nawet Żarkowi zarzęziło w piersiach od wysiłku. Mimo woli rozglądali się na boki. Morze po obu stronach łodzi zdawało się coraz bardziej nasycać czerwienią. Powoli, ale nieustannie. Krople ściekające z wiosła skrzyły się jak krew. Tam, na brzegu, ludzie przestali machać rękami. Ucichli, patrzyli.

Znowu błysk za plecami, jaśniejszy niż poprzednie. Zaraz potem poczuli pod stopami, jak przez łódź przeszło krótkie drzenie. Było słabe, ale powtórzyło się. Spojrzeli po sobie bezradnie. Gdzieś z głębi, jakby od samego dna morskiego płynął ku powierzchni głuchy, narastający pomruk. Na gładkiej wodzie potworzyły się ruchliwe zmarszczki, zimny wiatr uderzył im w karki.

- Żarek, ty masz dobre oczy! - Stary przestał wiosłować, zamarł z głową przekrzywioną do tyłu. - Co to jest?

Daleko, gdzie niebo z morzem zlewało się w czerwieni, coś zaczynało się dziać. Jakby ciemna, szybko grubiejąca krecha przecięła widnokrąg tuż nad powierzchnią wody. Wiatr smagnął jeszcze gwałtowniej.

Zrozumieli prawie równocześnie, za gardła chwycił ich strach.

- Tnij sieci, Żarek! Prędko! - głos Starego ledwo się przebił przez szybko narastający grzmot.

Łódź zachwiała się mocno, nabrała trochę wody. Żarek trzęsącymi się rękami odciął sznury, a potem już bez dalszego gadania dopadł wiosła. Łódź szarpnęła się naprzód. Chwilę trwało, nim wyrównali pociągnięcia. Krew uderzała im do głów w miarę zamachów ramion, wicher zapierał dech. Przyciągali wzrokiem daleki brzeg. Trwoga zwarła im szczęki, aż zgrzytnęły zęby. Zdawało się, że lada chwila nad ich plecami wyrośnie straszliwy czarny wał wody.

Nie daliby rady, za daleko było - ale wicher pogał ich przed sobą jak śmieć. Rzucili wiosła i zacisnęli zbielełe palce na bokach łodzi. Jeszcze



chwila, a nie widzieli już nic, wodny pył przesłonił wszystko. Lecieli, tonęli, spadali, skakali do góry, dławili się morską wodą i własnymi wymiocinami. Morze oszalało tak nagle i bez powodu, że nie zdążyli nawet pomyśleć o śmierci.

Nagle zamajaczył tuż przed nimi pomost. Trzask łamanych desek, krzyki - ludzie wyciągali ich do góry za włosy, za portki, byle szybciej. Ledwo przytomni pobiegli za innymi, przez piach ku skałom, a potem na górę, kalecząc bose stopy o kamienie. Zostawili za sobą wodne piekło, ale nie zatrzymali się, póki nie dopadli pierwszych chat. Padali pod płotami bez sił, łapali oddech ze świstem.

- Dalej! Dalej, w las!

Na czworakach, na brzuchach, wlekli jedni drugich za ręce. Dalej, dalej! Przerazający grzmot ciągle się wzmagął, niewidzialnymi łapami ścisnął ludziom głowy. Przez łąy zobaczyli pnie drzew jęczące pod naporem wiatru. Zbili się razem, objęli ramionami. Kiedy znowu spojrzeli ku morzu, w jednej chwili zapomnieli o zmęczeniu. Zapomnieli o wszystkim.

Olbrzymia fala zdawała się pędzić przed sobą chmury. Tu i tam przemykał ogłuszony strachem ptak, z wyłamany do góry skrzydłami. Wielki jak góra wał wody rósł jeszcze, pędził, sięgał poranionego błyskawicami nieba. Jeszcze jeden oddech, jedno uderzenie serca, na chwilę jakby wszystko ucichło. Ale zaraz łoskot zderzenia wody ze skałą sprawił, że ziemia zatrzęsa się pod nimi. Ludzie przypadli twarzami do trawy, ogłuchli, oślepli, bezradni jak niemowlęta. Czuli, jak drżąca pod palcami skała walczy o przetrwanie. Woda rozszalała się tysiącem wirów, rozbryzgała brudną pianą, skoczyła niewiarygodnie wysoko i napała na ląd tak mocno, jak nigdy przedtem. Liznęła progi chat, spieniła się wściekłym sykiem, zajrzała ludziom w otepiałe twarze.

Jak długo to trwało - ciemność, grzmot, groza - nie wiedzieli. Nie ruszali się, zaciskali pozbawione czucia dłonie na kamieniach. Ale wreszcie woda

wygładziła się, a potem wolno, wolniutko zaczęła opadać. Jakieś dziecko zapłakało.

Wtedy zdali sobie sprawę, że jest całkiem cicho.



Schodzili ostrożnie, noga za nogą. Ślizgali się na mokrych wodorostach, na porozrywanych resztkach tego, co jeszcze wczoraj było żywe. Całe zbocze pokryte wymiocinami morza, zwrócone ku wiosennemu słońcu, zaczynało cuchnąć.

- Dziwne, że jeszcze nie zleciało się ptactwo na żer. — Żarek pochylił się, dźgnął patykiem wyłupiastookie ścierwo.

- Kto wie, czy jakieś ptaki przetrwały tamto... - Kościuch zająknął się, brakło mu słowa. Splunął, ruszył żwawiej przed siebie.

Na dole, u podnóża skał, piasek był brudnozielony. Lepił się do stóp. Biła od niego stęchła woń, jak od bagna. Stopy wyciskały tutaj płytkie zagłębienia, które zaraz nasiąkały wodą. Poszli dalej, gdzie fale leniwie łechtają brzeg. Płycizna była mętna, nieprzejrzysta.

Mimowolnie cofali się, kiedy piana omywała im nogi. Niebo było czyste, dzień jasny, ale morze ciemniało jak przed samą nocą.

- Ze dwa dni przejdą, nim się to wszystko na nowo uładzi. Podzielimy się, trzeba się rozejrzeć, czy ocalały jakieś łodzie. - Na słowa Starego ludzie podwijali nogawki i odchodzili małymi grupkami wzdłuż brzegu.

Kościuchowi nadzieja na odnalezienie czegokolwiek szybko wietrzała z głowy. Po pomoście nie została nawet jedna drzazga. Dalej na zachód, gdzie wysoka skała brzegowa opadała łagodnie prawie po sam piasek, zobaczyli to, co zostało z lasu. Potrzaskane pnie bieleły się jak gnaty olbrzyma, wyrwane korzenie zryły ziemię. Wodorosty, z daleka wyglądające jak porozwieszane

sieci, czerniały na słońcu.

- Tu nic nie ma. Wracamy. - Kościuch spojrział na Żarka zmęczonym wzrokiem, ale chłopak się nie zatrzymał. Szedł jak półprzytomny, chwiejnie, wypatrując czegoś przed sobą.

- Żarek, głuchy jesteś?

- Tam coś jest. - Końce palców jego wyciągniętej ręki drgały lekko. Kościuch wysilił oczy jak umiał, ale dostrzegł tylko maleńką czarną kropkę na piasku.

- Pniak.

- Nie pniak, ojciec.

- Łódź?

- Nie.

- Gadajże jak człowiek! - Kościuch wybuchł nagle, sam nie wiedział czemu. - Widzisz coś, czy nie widzisz?

Żarek nawet nie odwrócił głowy, pobiegł w tamtą stronę, rozchlapując wodę. Kościuch rzucił za nim wściekłe przekleństwo, gderał chwilę do siebie, ale w końcu tylko machnął ręką i poszedł za synem. Nie podobało mu się to wszystko. Widział, jak Żarek dobiega na miejsce, przystaje. Podbiegł, a potem też zatrzymał się wpół kroku, kiedy wreszcie zrozumiał, czym jest ciemny kształt na piasku.

- Trzeba wołać Starego - zachrypł nagle, odkaszlnął.

- Niech on myśli, co dalej.

- Pewnie, niech myśli. Ale my musimy podejść bliżej.

Kościuch czuł mrowienie pod piętami, zadreptał w miejscu bezradnie. Żarek podszedł jeszcze bliżej.

- No i co? - przerwał dłużącą się ciszę, bo chłopak tylko stał i patrzył. - Żywy?

- Gdzie tam żywy. Głowy nie ma.

- Jak nie ma?

- No, nie ma. Urwana. Tam dalej leży.

Żarek poczuł na karku przyspieszony oddech Kościucha.

- Znaczy, nieżywy.

Znali się na topielcach, jak to między rybakami. Trup nie leżał długo w wodzie, nie zdążył nawet opuchnąć. Ale okaleczony był strasznie, wyglądał jak zagoniony przez wilki zając. Głowa była do połowy przysypana piaskiem, widzieli jasne, pozlepiane krwią włosy. Nie ruszali jej, nie chcieli oglądać twarzy.

- Zza morza, psiakrew! - Kościuch wsparł dłonie na kolanach, pochylił się, żeby lepiej widzieć. - Patrz na okucie pasa. A tam, co? Żelazo? Miecz. Nie rusz!

Obeszli zwłoki dwakroć dokoła, rozgrzebali piasek. Znaczny to musiał być człowiek, nie byle zbój morski. Ubiór, choć w strzępach, był godny książęcego dworzyszczka. Jakieś części wojackiego osprzętu, pogięte blachy, nóż, potrzaskany szyszak. Woj. Woj z Północy, zza morza. Nic dobrego.

- Jest jeden, pewnie są i inni. Szybko, przed wieczorem trzeba obejść brzeg. - Kościuch odzyskiwał pewność siebie, bo wreszcie zdarzyło się coś, co mógł zrozumieć. - Leć po Starego, ja tu poczekam.



Kościuch trącił ciało nogą. Czarne włosy rozsypały się na piasku.

- Jezusie! To dziewczyna.

Twarz miała brudną, skrwawioną i opuchniętą. Lewa ręka była wykręcona pod plecy w jakiś niemożliwy sposób, ale poza tym wyglądało, że jest cała. Pod strzępami ubrania zakrzepła krew odcinała się na jasnej skórze siatką czarnych nitek. Stary podszedł i przykucnął przy Kościuchu.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Dziewczyna na statku Północników?  
- Zdmuchnął piasek z twarzy trupa.

- I to prawie dziecko.

- Może to córka któregoś z tamtych - Kościuch wskazał kciukiem za siebie, gdzie rybacy układali ciała równo jedno przy drugim na wysokim stosie smolnych szczap. Znaleźli już więcej jak dwudziestu, zaczęli układać czwartą warstwę, a jeszcze ludzie nieśli z daleka następnych.

- Może córka, może nie. Kto tam się zna na ich wilczych obyczajach. - Wstał, chwycił trupa za nogi powyżej kostek. - A ty co stoisz? Łap z drugiej strony.

Kościuch stanął za głową dziewczyny w szerokim rozkroku, żeby nie przydeptać włosów. Schylił się i zamarł z luźno zwieszonymi rękami. Stary chwilę patrzył na łysy czubek głowy Kościucha, a potem puścił nogi Północnicy w piasek.

- No co? Dźwigaj! - Aż zapłuł się ze złości, otarł brodę rękawem. Kościuch wyprostował się wolno, szczeka mu wisiała jak przetrącona.

- Ona na mnie patrzy.

Stary w jednej chwili był przy nim. Spojrzał w twarz trupa, a potem założył sobie dłonie pod pachami.

- Co ty wygadujesz? Słońce ci przygrzało?

Kościuch ciągle stał na pokracznie rozstawionych nogach, kostki u nóg trzęsły mu się z wysiłku. Oblizwał wargi końcem języka.

- Mówię ci. Ona patrzyła mi w oczy.

- Powieki jej się odchyliły, kiedy szarpnąłem za nogi. Nie bądź głupi.

Usłyszeli coś, jakby cichą skargę pisklęcia. Pochylili się równocześnie i nasłuchiwali wstrzymując oddechy.

- Powietrze uchodzi z płuc. To tak czasem bywa po gwałtownej śmierci - odezwał się Stary o wiele ciszej niż przedtem.

- Jęknęła - zaszeptał Kościuch.

- Nie jęknęła.

- Jęknęła.

Stary niespodziewanie chwycił go za gardło i mocno pchnął do tyłu. Kościuch zakręcił rękami w powietrzu, upadł na tyłek. Kiedy podniósł oczy, nastroszone brwi Starego łaskotały go po czole.

- Nic nie słyszałeś! Nic a nic. A jeśli nawet słyszałeś, to już o tym nie pamiętasz.

Twarz Starego była gorąca, jego czerwony nos lśnił od potu. Dyszał jak pies w pełnym słońcu.

- Ale ja...

- Nic a nic! - Pozwolił Kościuchowi wstać i otrzepać portki, ale nie spuszczał z niego oczu. Kościuch bezradnie rozłożył ręce, jakby coś jeszcze chciał powiedzieć. Spojrzał na zaciśnięte wargi Starego i tylko rzucił ciche przekleństwo.

Jeszcze zanim dowlekli bezwładne ciało do stosu, Kościuch prawie uwierzył, że to było tylko złudzenie. Głowa Północnicy kołysała się w takt kroków, czarne włosy szeleściły mu pod nogami. Oczy ciągle miała otwarte, ale w zmatowiałych źrenicach już nie było życia.

Przy stosie stał Głowacz z płonącymi pochodniami w obu rękach. Jaskrawy blask odbijał się na twarzach ludzi stojących ciasno za jego plecami.

- Koniec?

Stary z Kościuchem rozhuścili trupa za ręce i nogi, rzucili na sam wierzch. Coś chrupnęło, brzęknęło żelastwo.

- Koniec. - Stary otrzepał ręce, powiódł wzrokiem po ludziach. - Ale jeszcze nie zapalaj.

Byli tu wszyscy, cała wioska. Nawet najmniejsze dzieciaki wystawiały

łebki z za babskich kiecek. Stary słyszał nierówny, pełen napięcia oddech tłumu.

- A teraz wyciągajcie wszystko, coście nakradli! - Pokazał ruchem głowy na stos. - I rzucajcie tutaj.

Zdziwili się, ale milczeli. Tłum zafalował, jedni chowali się za plecami innych. Stary zrobił jeden krok w ich stronę i podniósł głos.

- Dziecielicha! Kabłaczek.

Zmarszczyła nos, ale posłusznie sięgnęła pod kieckę. Kabłaczek zadzwieczał czysto, kiedy rzuciła go między trupy.

- Żywula, pas.

Kiedy odpinała pas z bioder, w oczach zalśniły jej łzy. Stary poczekał, aż Żywula wróci na swoje miejsce, a potem podniósł do góry rękę ze szponiasto zakrzywionymi palcami i krzyknął na nich tak głośno, aż przymrużyli oczy:

- Ludzie! Cokolwiek zatrzymacie dla siebie, będzie z tego nieszczęście dla całej wioski! Nie jesteśmy obdziercami zmarłych, tylko rybakami. Trzeba spalić wszystko, aż do ostatniej drzazgi. Wszystko!

Posłuchali go. Pac! Pac! - nad głowami poleciały na stos pierścienie, cizmy, noże, drewniane wykończenia statku. Tłum rozstąpił się przed Łysoniem, który razem z synami przydźwigał wielki, rzeźbiony, smoczy łeb. Wdrapali się z nim na górę w zupełnej ciszy. Kiedy zeszli, rozproszone światło zmierzchu wybieliło gadzie zęby sterczące w dumnie rozwartym pysku.

Stary kiwnął na Głowacza.

- Diabli nadali, niech diabli zabiorą.

Obie pochodnie z furkotem przezołkowały w powietrzu i upadły na stosie. Suche szczapy przyjęły ogień od razu. Zakopcił czarny, tłusty dym, a potem ogień strzelił w górę podsycany wiatrem od morza.

Ludzie cofnęli się i odwrócili twarze od gorąca.

Nagle Dziecielicha wrzasnęła kocim, dzikim krzykiem. Dzieciaki jak stadko saren rzuciły się do uciezki. Baby łapały się za głowy, rybacy patrzyli przed siebie jak skamieniali.

Na samym wierzchu stosu, tuż obok smoczego łba, usiadł jeden z trupów. Płonęło na nim ubranie, na głowie wyrosła korona ognia. Siedział w samym środku huczącego piekła i patrzył na ludzi szeroko otwartymi, zielonymi oczami.

Kościuch zobaczył, że Żarek dobiega do stosu i skacze w ogień. Porwał się naprzód, ale Stary osadził go w miejscu mocnym uchwytem. Łapiąc gryzący dym otwartymi ustami Kościuch patrzył, jak Żarek pnie się do góry na kolanach i na rękach, a niebieskie płomyki biegają mu po barkach jak szczury. To musiało trwać jedno mgnienie, ale Kościuchowi się zdawało, że Żarek porusza się wolno, jak pod wodą. Czepiając się trupów, chowając twarz w zgięciu ramienia dotarł na wierzch stosu. Wyprostował się na kolanach. Z dołu wyglądało to tak, jakby krztusząc się dymem modlił się do zielonych oczu Północnicy. A potem chwycił ją pod ręce i nie patrząc za siebie rzucił się plecami w dół.

Snop iskier strzelił w ciemniejące niebo, wrzask Żywuli smagnął ludzi prawie do bólu.



Kiedy tak leżała na piasku, pokurczona, nadpalona, ludzie z niedowierzaniem kręcili głowami. Zaświecili jej w twarz pochodnią - młoda była, dziecko prawie. Z szeroko otwartych oczu ciekły jej po policzkach brudne łzy. Skomlała jakoś tak nieludzko, po psiemu. Chyba nie czuła bólu, bo nie przetrzymałaby tego. Nie mogła wiedzieć, co się z nią dzieje, ale mogła się bać. Wciąż żyła, więc płakała.

- Zemrze do rana. - Stary pierwszy się wyprostował, przygryzł wargi. - Nie



trzeba jej było ruszać.

Zza pleców rybaków przepchała się Lubicha. Ludzie zrobili jej miejsce - wiedzieli, że gdzie nieszczęście, tam i ona. Pochyliła jeszcze bardziej trzęsącą się głowę, długo patrzyła w milczeniu.

— Jeśli tyle wytrzymała, może wyżyć - zaskrzeczała po swojemu. - Silna jest. Chcecie dobić, dobijajcie. Ale jeśli chcecie ratować, to słuchajcie mnie.

Stary przeniósł spojrzenie z Żarka na Kościucha. Ogarniała go złość. Dwa guzy wyskoczyły mu po obu stronach szyi.

- A kto ją weźmie do siebie? Ty?

Kościuch zawiercił piętą w piasku, wzruszył ramionami.

- No chyba ja, bo kto?

Ludzie pomogli zanieść ją do chaty. Nie bardzo wiedzieli, jak ją chwycić, bo ręce i nogi miała wykręcone ze stawów. Sklecieli naprędce jakieś nosidło z gałęzi, podnieśli najostrożniej, jak umieli. Głowa poleciała jej do tyłu, omdlała. U Kościucha w chacie rzucili pod ścianą trochę słomy, rozesłali skóry. Wyszli mijając w drzwiach oniemiałą Żywulę. Została tylko Lubicha. Ostrożnie rozebrała Północnicę, ale kiedy chciała odrzucić na bok nadpaloną koszulinę, palce rannej zacisnęły się na rękawie i nie puściły. Wydawało się, jakby Północnica patrzyła spod opuszczonych rzęs. Dopiero kiedy wiedźma wsadziła jej zwiniętą koszulę pod głowę, palce rozluźniły się. Lubicha przysiadła na pniaczku, wyciągając nad palenisko powykręcane dłonie.

- No, co tam, Żywula? - zaśmiała się, zaświstała. - Złe czasy na ciebie idą. Chłop do chaty młodszą sobie przydźwigał.

Potem już nic nie gadała do nikogo, tylko kazała nagotować wrzątku, posłała Rudawkę za strumień po wszystko to, co mogło być potrzebne, i oparłszy brodę na rękach założonych na kijaszku zapatrzyła się w twarz Północnicy.

## R O Z D Z I A Ł E I V

Cała wściekłość Żywuli skupiła się na Żarku, bo tylko on jeden był pod ręką. Kościuch nie pokazał się w chacie do samego rana, Lestek z Pestkiem sami wyczuli, że lepiej siedzieć cicho, a na Lubichę nie miała odwagi podnosić głosu.

- Tyle ludzi tam było, a tylko tobie jednemu zadymiło się pod piętami! Nie mogłeś ustać na miejscu, co? - Wcierała mu w poparzone dłonie mazidło, które dostała od wiedźmy. - I to po co? Dla zdychającej wywłoki z Północy!

Żarek syknął z bólu. Maść Lubichy przynosiła ulgę, ale każde mocniejsze dotknięcie piekło żarem.

- A co, miałem patrzeć, jak się piecze żywcem?

- Przestań wreszcie kłapać głupim dziobem! - Uderzyła go otwartą dłonią w głowę, kurz z nadpalonych włosów wzbił się do góry szarą mgiełką.

- Nie tłucz chłopaka, bo nie zasłużył. - Lubicha odwróciła się od wyrka pod ścianą tylko na chwilę, żeby posłać im krótkie spojrzenie. - Pokazał, że będzie z niego dobry rybak. Jest dzielny.

- A głupi jak stara koza!

Smuga światła na klepisku poszerzyła się, w uchylonych drzwiach pokazała się głowa Kościucha. Żywula zaparła się pod boki i prawie nie poruszając wargami, wycodziła:

- Jak chłopak nie ma być głupi, kiedy go spłodził taki bezmózgi cap! - Zamilkła, a kiedy głowa Kościucha zaczęła się cofać, skoczyła do drzwi jak młódka. - Chodź, chodź! Z tobą też mam do pogadania.

Na twarzy Kościucha nieprzespana noc odcisnęła głębokie bruzdy.

Wciągając brzuch, przepchał się między ścianą a Żywulą, ciężko opadł na ławę obok Żarka.

- No, jak tam? - zerknął z ukosa na jego ręce.

- Lubicha mówi, że wygoi się szybko. Nawet blizny nie będą duże.

- Dobrze. - Kościuch roztargnionym wzrokiem błędził gdzieś blisko Żywuli, ale nie spojrzał na nią ani razu. - A ona?

Żarek przysunął się do ojca. Prawie zetknęli się czołami. Mówił na tyle cicho, że nie mogła go słyszeć ani matka, ani wiedźma.

- Żyje. Lubicha biedziła się przy niej całą noc. Ma wiele połamanych kości i poparzeń, ale nie bardzo głębokich.

Kościuch pokiwał głową, podrapał się paznokciem za uchem.

- No tak. Nie myślałem, że wyżyje do rana.

- Ty też życzysz jej śmierci? - Żarek na przemian dmuchał na jedną i drugą rękę. - Coście się tak zawzięli?

Kościuch westchnął i oparł dłonie na kolanach.

- A bo widzisz, synku, to wszystko nie jest takie proste. Północnica pod dachem to nic dobrego.

- To też człowiek - wzruszył ramionami Żarek. - I nie zrobiła nam nic złego.

- Ano nie zrobiła.

Żywula trzaskała michami koło paleniska. Przestraszone muchy brzęczały jej nad głową. Lubicha wstała ze swojego miejsca i zacisnęła palce na kijaszku. Szare cienie na twarzy jeszcze bardziej ją postarzały.

- Zrobiłam, co mogłam. - Słuchali jej w ciszy, nawet Żywula. - Teraz będzie spała. Trzeba jej dawać dużo wody, choćby nawet nie chciała. Przyślę do was Rudawkę, ona się tym zajmie.

- Rudawkę? - Żywula wysunęła do przodu brodę. - A ja co, za głupia na to jestem, żeby robić przy wywłoce?

Wiedźma drobnymi kroczkami poszła w stronę drzwi. Plecy przygięły się jej tak bardzo, że głowę miała niżej od dłoni obejmującej kij. Kiedy mijiała Żywulę, zatrzymała się jeszcze.

- Nie zżymaj się, bo nie ma o co. Wiem, że się boisz, i wcale ci się nie dziwię. Wzięłabym ją do siebie, ale u mnie w chacie kręci się za dużo ludzi, a jej potrzebny jest spokój. Jak tylko stanie na nogi, będziesz mogła wypędzić ją za próg, a nikt nie powie ci złego słowa. Ale póki co, nie żałuj jej tego miejsca pod ścianą. Tylko tyle.

Wyszła, zostawiając za sobą nie domknięte drzwi. Słuchali postukiwania kijaszka, póki nie roztopiło się w wioskowym gwarze.

Żywula podeszła do ławy i rozpychając ich na boki, wcisnęła zadek między Kościucha a Żarka. Położyła jednemu i drugiemu dłoń na kolanie i zapatrzyła się przed siebie ze zmarszczonym czołem.

- Ja przecież nie jestem zwierzęciem, też mam serce. Ale to jest Północnica. Lepiej by było, gdyby tam pod ścianą leżał zdechły kot. Ona jest gorsza niż... niż...

- Cicho! - Kościuch bodnął ją czołem w ramię jak zawsze, kiedy chciał ją rozweselić. - Tak naprawdę to my nic o niej nie wiemy.

- Jak to nic? Zapytaj Starego, jak to dawniej bywało z Północnikami. On nie zapomni.

- To było przed wielu laty, a od tamtych czasów jest spokój. Nic się nie stanie. Ona jest tylko jedna, co nam może zrobić? I nie zostanie u nas ani o pół dnia dłużej, niż będzie trzeba.

Żywula powoli się rozluźniała, miękkie napięte mięśnie na jej twarzy. Do chaty zajrzała mała Leszczyńska, w potarganych włosach miała siano. Za nią tłoczyła się reszta wioskowej dzieciarni. Dzieciaki były głodne, słońce już mocno prażyło.

- Właźcie, jak musicie, ciekawskie sroczki! - Żywula wstała, związała sobie z tyłu włosy. - Dam wam jeść, koniec tego bałaganu. Tylko cicho, bo w

chacie jest... chora.

Weszły całą gromadą, miękko przesuając bosymi piętami po klepisku. Wyglądały okrągłymi ślepkami jeden z za pleców drugiego, a ich oddechy parowały podszytą strachem ciekawością. Za nimi cicho wsunęła się Rudawka. Skinęła głową Żywuli, spojrzała przelotnie na Żarka i podeszła do Północnicy.

Jakoś wszystko uładziło się samo, jak zawsze.

Ale musiał upłynąć jeszcze cały ten dzień, zanim Żywula po raz pierwszy podeszła do wyrka. Wieczorem, kiedy dzieciaki już spały, a Kościuch kiwał się na ławie poświstując przez nos, przykucnęła koło Rudawki. Spojrzała w jej skupione oczy, a potem odwróciła twarz, wyciągnęła rękę i odgarnęła włosy z twarzy Północnicy.

- Nie jest starsza od ciebie - powiedziała po chwili milczenia. - Jeszcze dzieciak.

- Lubicha mówi, że dzięki temu przeżyła to wszystko. Ma w sobie dużo siły.

Rudawka zwilżyła czoło chorej mokrą szmatą. Żywula w zamyśleniu pokiwała głową.

- No i jest ładna. Inna niż nasze dziewczyny, ale ładna.

Rudawka przyjrzała się Północnicy, przekrzywiając głowę.

- Tak myślisz? Jakaś taka dziwna.

- Zobaczysz. Włosy jej odrosną, a jeśli blizny na gębie nie będą głębokie, to każdy chłop się za nią obliże.

Rudawka obejrzała się za siebie na izbę, bo zakłuł ją nagły niepokój.

- Gdzie Żarek?

- A pognałam go! - Żywula uśmiechnęła się pierwszy raz od chwili, kiedy nad morzem zapłonął stos. - Niech prześpi sobie kilka nocy pod płotem. Przekona się, że cielece porywy mogą dużo kosztować.

Od klepiska pociągnęło chłodem. Żywuła narzuciła na ramiona chustkę i pogładziła Rudawkę po policzku.

- Widzisz, dziecko, jak to na babie może się zemścić głupota chłopa? Dwóch ćwoków tam się znalazło przy stosie. Jeden, żeby tę diablicę wyciągnąć z ognia, i drugi, żeby ją tutaj przytargać. Jeden syn, drugi mąż! Tyle ludzi, cała wioska, ale ćwoki tylko dwa! - Znowu zatrzęsa się ze złości, jakby nagle przypomniała sobie wszystko na nowo.

Północnica jęknęła, zacisnęła mocniej powieki. Rudawka dotknęła jej ręki, a potem spojrzała na Żywulę i położyła palec na wargach.

Głowacz stał na samym środku ścieżki z rękami założonymi na piersiach. Kościuch chciał go minąć bez słowa, ale w tym miejscu przejście między skałami było za wąskie.

- Czego stoisz jak kołek? - szczeknął niechętnie i zrzucił z obolałych pleców kosz pełen ryb. Był głodny i zły.

- Chcę z tobą pogadać.

- To przyjdź do mnie wieczorem, jak człowiek, a nie napadaj na drodze jak zbój.

Głowacz wyprostował się i lekko rozstawił nogi. Za jego plecami urwisko pięło się do góry, a od wioski spływał zapach gorącego tłuszczu.

- Wściekleś się, że tak warczysz? - Przymrużył oczy. - A może Żywuła tak ci dopieka?

- Twoja Jątrzała od trzech lat w piachu leży, toś pewnie zapomniał, jak się z babą żyje. Zresztą to nie twoja rzecz.

- Moja, bo od tych waszych wrzasków kogut mi wyłysiał.

Kościuch przykucnął i zarzucił kosz na plecy. Kiedy się podniósł, twarz miał czerwoną.

- Z drogi!

- Czekałże, człowieku! - Głowacz rozłożył ręce. - Chcę ci tylko pomóc.

Daj ją mnie, a będziesz miał spokój. Jak przedtem.

Kosz opadł na ścieżkę, aż ziemia jęknęła.

- Żywulę?!

- Tfu, tfu! Nie gadaj głupio, bo lichy słucha! Żywulę sobie zostaw, a mnie daj tę małą.

Kościuch stał z otwartymi ustami, czoło świeciło mu od potu. Wyglądał, jakby niewiele z tego wszystkiego zrozumiał.

- A na co ci ona?

Głowacz położył mu dłoń na ramieniu i uśmiechnął się niepewnie. Zaczął teraz mówić bardzo szybko, jakby się bał, że coś mu może przeszkodzić.

- U ciebie są maleńkie dzieciaczki, no i Żywula. A Żarek jest w takim wieku, że... Sam wiesz. Mogłoby mu się zamąć w łbie, kiedy się na nią napatrzy. A i tobie jeszcze jeden żołądek nie jest do niczego potrzebny. Co innego u mnie. Pusta chata, miejsca pod dostatkiem... - zaciął się raz i drugi. - Zawsze miałbym do kogo zagadać, a nie tylko ciągle sam i sam.

Urwał, przez chwilę patrzył Kościuchowi w oczy. Zabrał dłoń z jego ramienia i zachichotał krótko.

- To jak będzie?

Kościuch chwycił go nagle za koszulę na piersi i przyciągnął do siebie. Górna warga odwinęła mu się do góry i odsłoniła przyzólcone zęby.

- Ty byś nawet nie zaczekał, aż pozrastają jej się kości. Chuć wypaliła ci rozum, capi dziadu!

Zarzucił kosz na plecy i ruszył pod górę tak gwałtownie, że mało nie przewrócił Głowacza. Znikał już za skalnym załomem, kiedy usłyszał za sobą jego cienki krzyk.

- Nie, to nie! Przecież cię nie przymuszam. Tylko nie rozpowiadaj tam nikomu!

Kościuch nawet nie zdążył wysapać złości, kiedy znienacka na górze

wybuchł gwałtowny babi jazgot. Słowa zlewały się, trudno było coś zrozumieć. Przyspieszył kroku i prawie biegiem wpadł między pierwsze chaty. Wrzaski leciały w niebo z obejścia Dziecielichy. Ludzie biegli w tamtą stronę, jedni drugich pytali, co się dzieje.

Przed progiem chaty baby próbowały utrzymać miotającą się Dziecielichę. Oczy miała wybałuszone, w kącikach warg pękały bańki śliny. Wyła takim głosem, od którego ludziom robiło się duszno.

- Co jest? - Kościuch trącił łokciem Liścica, wyściubił koło niego głowę ponad płotem. - Wrzeszczy gorzej jak moja Żywula, kiedy rodziła Lestków-Pestków.

Liściec uderzył się otwartą dłonią w czoło, aż klasnęło.

- Całkiem zdumiała. U niezamężnych bab tak się robi w tym wieku.

Dziecielicha wierzgała dalej, nawet wtedy, kiedy baby obaliły ją na ziemię. Dociskały ją jak mogły, kładły się na nią po dwie i trzy naraz. Dławiąca kurzawa opadała bardzo powoli, wrzask Dziecielichy przerodził się w gwałtowny kaszel.

Stary roztrącił ludzi, kazał babom wstawać i sam przykucnął przy Dziecielisze. Odgarnął jej włosy z boku głowy i zajrzał w ucho. Potem siłą obrócił głowę na drugą stronę, docisnął policzkiem do ziemi. Zajrzał w drugie ucho i zaklął cicho. Kościuchowi się wydało, że dojrzał cienką nitkę krwi wyciekającą Dziecielisze z ucha na szyję.

- Wołajcie Lubichę! - Stary wstał, popatrzył po ludziach. - A chłopcy do mnie.

Nie wszyscy jeszcze wiedzieli, co się stało, kiedy siadali do rady. Jakieś nieszczęście z Dziecielichą, ale co? Wbili przestraszone oczy w twarz Starego, kiedy zaczął mówić.

- Zdaje się, że gdzieś niedaleko mamy świdrzaki.

Z początku nie rozumieli. Musieli wyłuskać to słowo z dawnych wspomnień, a potem jeszcze pojąć od nowa, co oznacza. Ale nawet wtedy nie



poczułi strachu.

- To mogło być cokolwiek. Czemu od razu najgorsze? - pokręcił byczym karkiem wielki Gizd. - Mnie też poszła krew z ucha, kiedy spadłem z pomostu i rozbiłem głowę na kamieniu.

Stary z namarszczonym czołem przeszedł się po izbie tam i z powrotem.

- Była w lesie za grzybami. Mówiła, że coś ją ukłuło w uchu, a potem zaboląło. Pocięła krew. Przez chwilę nic nie widziała. A teraz mąci jej się w głowie, sami widzieliście.

Zamilkli. Jeśli to prawda, to lepiej by było Dzięcieliszę od razu skoczyć ze skały do morza.

- Lubicha mówi, że jeszcze się jej poprawi. A potem tak czy tak za kilka dni wszystko się okaże. No, ale na to nic nie poradzimy. Trzeba ją mieć na oku i w razie czego... Co wam będę gadać. Musimy chronić innych. - Odetchnął głębiej. - Takie plugastwo trzeba dusić w zarodku.

Ludzie nie mieli nic więcej do powiedzenia. To nie było na ich głowy. Jest Stary i jest Lubicha, niech ci dwoje myślą. Zachrzękali, zaczęli zbierać się do wyjścia.

- No, ale jest i tamta. - Głowacz wskazał końcem brody Kościucha i wszystkie oczy przeniosły się na niego. Przestał dłubać w nosie, niepewnie stroząc brwi, wytarł palec w koszulę.

- Jest.

- Co z nią? - Pytanie Starego trzasnęło sucho w nagle zapadłej ciszy.

- Leży, nic nie mówi. Lubicha jakoś tam odgania od niej kostuchę. Każdą jedną kosteczkę wymacała pod skórą, poskładała jak trzeba. Każdą ranę z osobna przejrzała. Gdzie trzeba było ropę wyciskać, wycisnęła, gdzie wypalić, wypaliła. Moczyła szmaty w swoich wywarach, a potem kładła na oparzeliny. A i Rudawka swoje dołożyła, bo to jeść daj, obmyj, tyłek podetrzyj. Jak z dzieckiem.

Słuchali Kościucha ciekawie, ale kiedy skończył, nie szukali jego wzroku. Tylko Stary ciągle siedział sztywny, patrzył surowo.

- I co z nią zrobicie dalej, jak już wydobrzeje?

- Nie wiem jeszcze, bo co? Chyba sama pójdzie... Przecież Żarek tyle czasu śpi pod krzaczkiem, bo matka gna go za próg. Ona tam goła leży, jakże chłopak ma na to patrzeć?

- A ty, Kościuch, a ty? - Głowacz rozjazgotał się na całego. - Patrzysz sobie, co? Patrzysz? Pewnie, że patrzysz!

Buchnęli gromadnym śmiechem, aż łzy cisnęły się do oczu. Kościuch poczekał, aż się wyrechotają do końca.

- Patrzę. A jakże. Skóra wisi na kościach. Strupy. Smród bije, że ciężko oddychać. Wszy ją żrą, bo Lubicha ma za krzywe paluchy, żeby iskać, a komu innemu nie pozwala. Nie płacze, nie mówi, mało je. Oczy ma wielkie, zielone, a jak spojrzy na człowieka, to jakoś tak niezwyczajnie się robi. Wtedy wychodzę. - Położył brodę na dłoniach, zapatrzył się na plamę światła na klepisku. - Chciałbym, żeby w chacie znowu było jak dawniej.



Żarek przestraszył się, kiedy zobaczył Rudawkę. Pod opuchniętymi oczami miała zapadnięte policzki. Na jego widok wstała, ale ledwo trzymała się na nogach.

- Co ty tu robisz? - Obejrzała się niespokojnie za siebie, gdzie pod ścianą leżała tamta. - Żywuła zakazała ci przychodzić.

- Nie wychodzisz w ogóle na świat, siedzisz tu jak w norze - mówił niby obojętnie, ale starał się dostrzec coś za jej plecami. - Chciałem tylko z tobą porozmawiać.

- Cicho! - syknęła, położyła palec na ustach. - Bo ją obudzisz.

- Siedzisz tu noc w noc - zniżył głos do szeptu, ale nie dawał wypchnąć się do wyjścia. - Zapomniałaś o mnie czy co?

- Nie zapomniałam. Ale Lubicha jest za stara na to, żeby przy niej czuwać. A Żywula nie patrzy na nią dobrze, zresztą z Kościuchem idą o świcie do swojej roboty. No to ja siedzę.

Zwiotczała, opuściła rękę. Musiała być już bardzo zmęczona.

- A niech tam, chodź. Pogadamy, łatwiej będzie dotrzeć do dnia.

Żarek wyminął ją, przykucnął przy rozestanych skórkach. Słyszał nierówny oddech, czuł ostrą woń potu, ale w mroku niewiele mógł zobaczyć.

Rudawka położyła mu dłoń na ramieniu. Odeszli, przycupnęli przy palenisku. Żarek dmuchnął, aż z żaru podniosły się małe ogniki. Dorzucił parę drewniek, spojrzał z boku na Rudawkę.

- I co, mówiła już coś?

- Nie, nic. Cały czas pali ją gorączka. Tylko jęczy we śnie. Zwilżam jej wargi zimną wodą, ocieram pot z twarzy. A czasem wystarczy tylko potrzymać ją za rękę, żeby się uspokoiła. - Zamyśliła się przelotnie. - Ona chyba nie wie jeszcze, co się stało.

Ogień trzasnął głośniej, na ścianach zatańczyły cienie.

- Wyżyje?

- Jak Lubicha mówi, że wyżyje, to wyżyje. - Wzruszyła ramionami, a potem uśmiechnęła się słabo sama do siebie. - Wiesz, chciałabym ją zapytać o różne rzeczy. Z daleka jest, dużo widziała.

Żarkowi nagle przestała się ta rozmowa podobać. Wydał wargi z niechęcią.

- A ja nie. I ty lepiej też pilnuj swojego nosa. Ludzie mówią, że nic dobrego z tego nie będzie. Jak ona wyzdrowieje, dostanie starą kieckę po Żywuli, rybę do węzła i dobre słowo na drogę.

Rudawka wyprostowała się, siedziała teraz bardzo sztywno.

- Nie jesteś ciekaw, jak tam jest?

- Gdzie, do czorta?

- No tam, u niej! - Znowu się uśmiechnęła do swoich myśli. - Gdzieś na innej skale, na innym brzegu. Wśród innych ludzi.

- A co ci do innych ludzi, jak ty będziesz żyła z tutejszymi?

Teraz i Rudawkę ogarnęła złość, ale nie odgryzła mu się. W milczeniu trawili swoje żale. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Żywuła na swoim wyrku głośno przewróciła się na drugi bok. U Lestków-Pestków w zagrodce zakotłowało się i ucichło.

Nagle, bez ostrzeżenia, nieokreślony niepokój schłodził Żarka pod żebrami. Zerwał się na nogi, odwrócił w głąb chaty.

Dziewczyna siedziała pod ścianą i patrzyła na nich.

Rudawka zacisnęła palce na jego rękawie. Wstała powoli, wytarła spotniałe dłonie w kieckę.

- Czekał tu.

Podeszła do dziewczyny i ostrożnie wyciągnęła przed siebie rękę. Tamta nie uchyliła się, kiedy Rudawka dotknęła jej policzka. Pozwoliła odgarnąć sobie włosy z twarzy.

- Trzeba ci czegoś? - Uklękła przy niej, starała się mówić spokojnie. Spękane wargi Północnicy poruszyły się lekko, ale nic nie odpowiedziała.

- Rozumiesz mnie?

Żarkowi się zdawało, że dostrzega lekkie skinienie głowy, ale to mogło być tylko złudzenie, gra ruchomych cieni. Przeniosła spojrzenie z Rudawki na niego. W rozedrganym świetle jej jasne oczy wyglądały, jakby tlił się w nich zielony żar.

Żarek zrobił krok do przodu.

Zanim postawił nogę na klepisku, wszystko się zmieniło. Jednym ruchem ręki dziewczyna złapała Rudawkę za włosy i przyciągnęła do siebie. Oplotła jej szyję ramieniem. Tylko na jeden krótki błysk zielonych źrenic oderwała

spojrzenie od Żarka. Teraz znowu patrzyła na niego nieruchomo, skóra na szczęce napięła się jej z wysiłku.

- Jeszcze jeden krok, a przetrączę jej kark! - Głos miała czysty i dźwięczny.

Żarek wiedział, że z otwartych ust wisi mu nitka śliny, ale bał się podnieść rękę, żeby ją obetrzeć. Szybko mrugał powiekami, w gardle mu zaschło. Widział, jak Rudawka wywróconymi białkami oczu patrzy w górę. Wargi miała fioletowe, rozpaczliwie szukała oddechu.

- Ja... my... - mówił cienko jak dziecko, nie poznawał własnego głosu. - Przecież ona cię doglądała!

Oddech Północnicy powoli się wyrównywał, uspokajała się. Ale nie rozluźniła uścisku. Bose nogi Rudawki zaczynały ryć piętami ziemię.

- Zabijesz ją! - Żarek chciał krzyknąć, ale wyszedł z tego jakiś cielecy pisk.

Zielone oczy wbiły się w niego, patrzyły i patrzyły. Czuł, jak wiotczeją mu kolana. Nie mógł się ruszyć, nie mógł nawet myśleć. Otępiały gapił się na sine paznokcie Rudawki drapiące klepisko.

- A wiesz ty, wywłoko, co u nas robią z takimi jak ty?

- To była Żywula, jej głos dobiegał do Żarka jakby zza ściany. - Puść ją, morska diablico. Już!

Czar prysł, jakby ktoś jednym kopnięciem rozrzucił ognisko. Rudawka osunęła się na klepisko, rżąc i plując krwią. Próbowwała podnieść się na rękach, ale nie miała siły. Żywula z wargami zaciśniętymi w jedną krechę sięgnęła po siekiere. Ruszyła w stronę dziewczyny.

- Nie, matka! - Rozłożywszy ramiona, Żarek zastąpił jej drogę.

- Teraz umiesz mleć ozorem, co?

Odepchnęła go tak mocno, aż poleciał na ścianę. Uniosła siekiere w górę, skoczyła naprzód. Żarek zamknął oczy, nie chciał na to patrzeć. Czekał, ale nic się nie działo. W końcu zaszleściła kiecka Żywuli, ciężko brzęknęła w

kącie odrzucona siekiera.

- Wiesz, kiedy mdleć, sucza twoja mać. Ale nie myśl, że wywiniesz mi się tak łatwo.

Rudawka długo przychodziła do siebie. Kręciło się jej w głowie i chrupotało w szyi, kiedy ruszała się gwałtowniej. W chacie było duszno, ale ona nie chciała wyjść.

- To nie była jej wina. Nie wiedziała, co robi. - Drżącymi rękami wygładzała kieckę na kolanach. - Przestraszyła się.

Żarek starał się nie patrzeć w stronę, gdzie leżała Północnica. Zza drzwi dobiegało jazgotanie Żywuli, która wylewała złość na Kościucha.

- Oczy miała całkiem przytomne. Tylko jakieś dziwne.

- Zgarbił się na samo wspomnienie. - Czuję, że ona by to zrobiła. Do samego końca.

Rudawka zaśmiała się krótko, niepewnie.

- Co ty gadasz! Jest osłabiona gorączką, jeszcze nawet wszystkie gnaty jej się nie pozrastały. Dałbyś jej radę jedną ręką.

Żarek wstał, otrzepał portki.

- Gdyby nie matka, już byś tu stygła. Z nią jest coś nie tak, Rudawka. Mówię ci. Nie mogłem się ruszyć, kiedy na mnie patrzyła.

- Ej, Żarek, Żarek! Dziewczyna na ciebie tylko spojrzy, a ty tracisz głowę.

Chyba powiedziała to do śmiechu, ale Żarek się nie śmiał.

## R O Z D Z I A Ł V

Stary czekał na Lubichę przed drzwiami chaty Kościucha. Nie chciał wejść do środka nawet na prośby Żywuli. Podroczył się trochę z Lestkami-Pestkami, którzy w pokrzywach osaczyli gdakającą kurę. Przysiadł w cieniu płotu obok Żarka. Spojrzał z ukosa na jego odęte wargi.

- Czegoś się tak nabzdyczył?

- Ee! - Żarek wsadził między zęby źdźbło trawy i wzruszył ramionami. - Ludzie zlatują się tutaj jak wrony do ścierwa.

- Co się dziwisz? Każdy jest ciekawy.

- Gdzie tam ciekawy! Czekają, kiedy wreszcie zdechnie, i tyle.

Stary spojrzał mu teraz prosto w twarz.

- A ty, Żarek? Co ty o niej myślisz?

- Na złość wam wszystkim ona nie umrze. Bardzo się zawzięła.

- Nie o to pytam. Lubisz ją?

Żarek błysnął oczami i zawiercił się niespokojnie. Wypluł źdźbło daleko przed siebie.

- To moja rzecz.

- Twoja, twoja. - Stary pokiwał głową. - Ale z ciebie jeszcze dzieciak. Słyszałem, że ona jest ładna. Bądź pewien, że jak wyjdzie na słońce, to jeszcze wypięknieje. A ty jesteś jej wybawcą, bo skoczyłeś dla niej w ogień. No to chyba jak już wydobrzeje, to będzie dla ciebie miła, co?

Żarkowi poczerwieniały uszy, ale nie odezwał się słowem.

- Gównu! - Stary huknął na niego zniecka. - To jest Północnica! Dla niej

nie jesteś ważniejszy niż robak pod kamieniem. Zmądrzej, Żarek, bo potem będziesz łykał łyzy.

Przestraszeni Lestek z Pestkiem gapili się na Starego z półotwartymi ustami, jak ryby rzucone na brzeg. Ale zaraz zerwali się na nogi, bo drzwi skrzypnęły i Lubicha ostrożnie przestąpiła próg. Za nią pokazał się zamyślony Kościuch i Żywula ze zmarszczką na czole.

Stary podszedł do nich i zawiesił wyczekujące spojrzenie na twarzy wiedźmy.

- Spodziewałam się od początku, że się z tego wygrzebie. To nie taka trzcinka jak nasze dziewczki, byle co jej nie złamie. - W źrenicach Lubichy tliła się niepewność. - Ale żeby tak szybko? Po złamanej ręce nawet nie zostało zgrubienie na kości. Tam, gdzie były głębokie oparzenia, teraz są tylko czerwone plamy, a i one bledną z każdym dniem. Jeszcze niedawno na głowie miała zaropiałe, łyse placki, a teraz odrosły jej włosy. I to bardziej gęste, jak przedtem.

Żywula głośno splunęła za siebie, przez lewe ramię.

- Diabeł ją leczy!

- Ja ją leczę, nie diabeł - prychnęła gniewnie wiedźma.

Kościuch wsadził ręce za pas i świsnął przez zęby.

- A może oni tacy już są, ci Północnicy? Jak szczury. Trudno ich zabić.

Lubicha przytuliła policzek do kijaszka.

- Nie, to nie tak. Pewnie, że jak ich od dziecka osmaga zimny wiatr, północne powietrze weźre się w krew, to potem więcej zniosą. Ale to są ludzie, tacy sami jak my. Coś tu jeszcze musi być...

- Czort! - ucięła krótko Żywula. - Czuję od niej czorta.

Stary zapatrzył się na uchylone drzwi. Wytężał oczy, jakby chciał coś zobaczyć w czarnej szparze. Otrząsnął się i mocno zamrugał powiekami.

- A Rudawka ciągle przy niej?



Pokiwali głowami wszyscy naraz.

- Żarek! Wołaj ją.

Kiedy wyszła na obejście, oślepiło ją słońce. Zachwiała się i przyłgnęła plecami do ściany. Stary wziął ją pod rękę, podprowadził do pieńka jak starowinkę. Usiadła sztywno i opuściła nabrzmiące powieki.

- Niedługo to ty zlegniesz i trzeba będzie cię doglądać. - Stary położył jej dłoń na włosach. - Musisz się wyspać.

- Jeszcze nie. Niech najpierw Gudrun nabierze sił...

Urwała, zaczerwieniła się aż po linię włosów. Stary uklęknął przed nią i położył swoje stwardniałe dłonie na jej rękach.

- Co mówisz?

- Nic.

Lekko zacisnął palce, zjrzał jej z bliska w oczy.

- Nie ma czasu na zmyślanie. Gadaj wszystko, jak jest. Skąd znasz jej imię?

Rudawka rzuciła szybkie spojrzenie na Lubichę, jakby szukała u niej pomocy. Blade twarze Kościucha i Żywuli wypłynęły zza pleców Starego jak zjawy.

- Mówiła mi.

- Dawno z nią gadasz?

- Nie... Kilka dni.

- Dlaczego nikomu nic nie powiedziałaś?

Rudawka milczała z nisko opuszczoną głową. Na rzesach powoli zbierały jej się świecące kropelki.

- Mów! - Stary potrząsnął jej rękami.

- Prosiła mnie o to. Nie chciała, żebyście wiedzieli.

- Co jeszcze mówiła?

- Że jej nienawidzicie - westchnęła, kropelki z rzęs spłynęły jej na wargi. -  
Że tylko ja jedna mogę jej pomóc.

- Jak pomóc? Czego od ciebie chciała?

- No... Takie tam.

- Rudawka!

- Chciała, żebym ukradła dla niej miecz.

Stary wstał i bez słowa obrócił się w stronę chaty. Kopniakiem otworzył drzwi i wszedł do środka. Widzieli jego znikające w półmroku plecy, ze strzechy poleciało trochę słomy. Potem cisza.

Znowu zobaczyli jego kościsty grzbiet. Plecy zbliżały się. Szedł tyłem, krok za krokiem. Potykając się na progu, minął drzwi i stanął w pełnym świetle. Ostrze miecza dotykało jego szyi, rękojeść ciągle kryła się w ciemności.

- Czego chcesz? - wychrypiał.

Grdyka zalatała mu gwałtownie, czubek miecza mocniej naparł na gardło. Cofał się bardzo ostrożnie, z łokciami wysuniętymi na boki i otwartymi dłońmi skierowanymi przed siebie. Ostrze odbiło blask słońca i na chwilę wszyscy odwrócili oczy. Kiedy spojrzeli znowu, Północnica stała przed chatą z mieczem niedbale zarzuconym na ramię.

- W moich stronach zawsze w twarz mówimy to, co nas uwiera. - Żrenice miała zielone jak młoda trawa. - Nie szeptamy pod płotami.

Stary dwoma palcami roztarł czerwoną plamkę na szyi.

- A w tych stronach od gościa nie spodziewamy się złodziejstwa. To mój miecz.

- Jest dobry - pokazała równe zęby. - Ale znać po nim, że nie używany. Tobie się nie przyda, a dla mnie będzie jak znalazł.

Stary zrobił krok do przodu. Na odsłoniętym ramieniu Północnicy mięśnie napięły się lekko.

- Chcesz kogoś popłatać? - zapytał.

- Nie chcę. Ale nigdy nic nie wiadomo. Nie należy ufać ludziom szemrającym za plecami.

Żywuła nagle wysunęła głowę do przodu i ruszyła w jej stronę.

- Słuchaj, śmierdzielko!...

Ostrze zatoczyło łuk i zakołysało się prosto przed nosem Żywuli. Północnica opuściła czarne rzęsy.

- A, jest i gospodyni. Przez ostatnie dni nasłuchiwałam się z twoich ust o sobie więcej, niż przez całe życie.

- Mów, czego chcesz! - Stary przygryzł wąsa. - Tak niczego nie zdołaasz, bo jesteś sama. Jednego rozplatasz, a reszta zatłucze cię kamieniami.

Pokiwała głową, po lśniących włosach przebiegła smuga światła.

- Dobra. Potrzebuję łodzi i dwóch tęgich wioślarzy.

- Łódź sama możesz sobie ukraść, masz w tym wprawę. Ale do wiosła nikogo nie namówisz.

- Tak? - W jednej chwili zszarzała ze złości, rozejrzała się po obejściu. Przyklękła na jedno kolano i wyciągnęła przed siebie rękę.

- Chodź do mnie, Lestek czy Pestek, albo nawet obaj. Mam coś dla was...

Nie dokończyła. Otworzyła usta, jakby zaskoczona. Osunęła się bezwładnie na ziemię i zaryła nosem w trawę. Za nią w czarnym otworze drzwi stał Żarek. W dłoni ścisnął ucho od glinianego dzbana, a wokół niego wałały się potrzaskane skorupy. Spomiędzy włosów Północnicy, na czubku głowy, wysączyła się krew.



- Mieszek srebra dla każdego.

Białe grzbiety wydm szeleściły suchymi porostami. Słońce grzało z bezchmurnego nieba, nogi grzęzły w piachu po kolana. Kiedy w prześwicie między wydmami pokazywało się morze, jego blask raził oczy.

- Zamknij się, suko, bo ci wdeptam głowę w piasek - wysapał Łysoń z wyschniętego gardła.

- Dwa mieszki! - Gudrun próbowała podciągnąć się na związanych rękach, ale tylko zdarła skórę na nadgarstkach.

Łysoń z Kościuchem uwiązali ją na drągu za ręce i nogi i nieśli głową w dół, jak ubitego dzika. Przy każdym ich kroku kołysała się bezwładnie tam i z powrotem, a w zeszywniałych mięśniach kłuły igielki bólu.

- Łaskawa jesteś. - Widziała kolana Kościucha i poszarpane nogawki jego gaci. - Dorzuć jeszcze złoty łańcuch i jesteś wolna.

- Nie kpij, gnoju! - Znowu musiała się podźwignąć, żeby złapać trochę powietrza. - Jestem bogatsza, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Łysoń zagryzł dolną wargę i zakołysał drągiem. Z bólu zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Cicho!

Kościuch potknął się i uderzył kolanem w jej czoło. Zaklął głośno, poprawił sobie ciężar na ramieniu.

- Może już starczy, Łysoń? Odeszliśmy tak daleko, że nie zdążymy do wsi przed nocą.

- Ludzie! - zawyła Północnica. - Puśćcie albo zabijcie! Jesteście gorsi niż zwierzęta!

Zaszumiało jej w głowie, przygryzła sobie język. Po chwili zdała sobie sprawę, że leży na boku w gorącym piachu. Nagłe odciążenie obolałych przegubów i łydek rozlało jej się po całym ciele uczuciem błogiej ulgi.

- Dobra, wracamy! - Łysoń splunął, poczuła na twarzy jego ciepłą ślinę. - No to bywaj, mała.

Kopniak prosto w żołądek odebrał jej oddech na bardzo długo. Zrobiło jej się zimno, dostała gwałtownych drgawek. Miała uczucie, że zapada się w ruchomych piaskach, a słońce nad nią w ogóle nie grzeje. Potem wolno powróciło ciepło, mogła rozprostować ręce i nogi.

Nagle coś poruszyło się w jej polu widzenia. Z trudem podniosła głowę, żeby się lepiej przyjrzeć. Najpierw myślała, że to jakaś zabłąkana wioskowa psina przywlokła się tutaj za ludźmi. Ale złudzenie trwało krótko, poznała, że to wilk. Wyglądał na starego, bo miał zapadłe boki i siwy pysk, a kiedy zaczął zakosami zbliżać się do niej, podkurczył jedną z tylnych łap. Widać było po nim, że od dawna nie udało mu się niczego upolować. Ze zwieszzonego jęzora kapała piana.

Twardy jak drewno sznur wżarł się głęboko w poranione miejsca. Stęknęła przez zaciśnięte zęby. Ziarenka piasku dostały się między sznur a ranę i teraz każdy ruch oznaczał piekący ból. Zaszlochała. Rozpalone słońce przytłoczyło ją upałem. Czuła, jak język jej wysycha, a to, co wyciekło z nosa, sztywnieje w twardą skorupę.

Wilk wcale się nie śpieszył, kluczył dokoła niej na trzech zdrowych łapach. Czasem znikał gdzieś za jej plecami, a wtedy była zdana tylko na słuch i to, co podsuwała wyobraźnia. Musiała się powstrzymywać, żeby nie krzyczeć ze strachu. Znowu się pojawiał, za każdym razem bliżej. Chwilami przysiadał, owijając wąski zad ogonem i patrząc prosto na nią. Był już na tyle blisko, że mogła zobaczyć dziwny, prawie ludzki smutek w jego załzawionych ślepiach.

Spróbowała zebrać myśli. Chciała zamknąć oczy, ale powieki jej się nie domykały. Głowa puchła, krew huczała w uszach. Nieruchome ramiona znowu zaczynały drętwieć, w barkach narastał tępy ból. Zrobiło się bardzo duszno. Cień wilka padł na jej twarz. Miała poczucie zbliżania się do niewidzialnej granicy, poza którą znika strach, a zaczyna się ulga. Wilgotny nos dotknął jej szyi.

- Pójdiesz won, ludojadzie!

Odbity od żeber wilka kamień upadł w piach niedaleko głowy Gudrun. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak kuląc pod siebie ogon i skamląc po psiemu, wilczyśko znika za grzbietem wydmy. Poleciały za nim jeszcze dwa kamienie, a potem zapadła cisza.

Szarpnęła prawą rękę, wkładając w to wszystkie siły. Ból niemal pozbawił ją przytomności.

- Czekaj, nie miotaj się tak. Pomogę ci.

Kiedy czarna zasłona wolno się rozwiała, przed sobą zobaczyła błękit nieba. Leżała na plecach, a wyprostowana ręka obok niej, jak coś obcego. Zgięła łokieć i obróciła głowę. Ostrożnie poruszyła kciukiem, potem powoli zacisnęła dłoń w pięść. Obróciła się na bok i sztywnymi palcami sięgnęła do węzła na drugiej ręce. Musiała pomóc sobie zębami, ale uwolniła także lewy nadgarstek. Usiadła. Poczekwała, aż świat przestanie wirować, i rozsuptała sznur na nogach.

- No, rybojady! - wyświstywała słowa jak starucha. - Jeśli myślicie, że teraz już macie mnie z głowy, toście się pomylili.

- Szczął ich pies.

Głos dobiegł z za jej pleców. Przyciskając prawą rękę do boku wstała i obróciła się ostrożnie.

- A jednak nie wszyscy rybacy są tacy źli! - Głowacz wyszczerzył do niej zęby. - Gdyby nie ja, byłoby smutno. Zębiska kłapały już nad gardziółkiem.

Próbowała złapać spojrzeniem jego rozbiegane źrenice.

- Wolę nikomu z was nic nie zawdzięczać, taki z was miły ludek.

- Stary kazał cię wygnać na pustkowie i ubić, jeśli znowu pokażesz się blisko wioski. Zresztą byliby cię zarżnęli na miejscu, gdyby cię wiedźma nie wybroniła.

W głowie znowu rósł szarpiący ból. Słońce przesunęło się trochę na niebie,

teraz piekło ją w kark. Chciała znaleźć gdzieś trochę wody, a potem wczołgać się do jakiejś nory i przeczekać skwar.

- Czego chcesz?

- Mówiłem. Chcę ci pomóc.

Przyjrzała mu się uważniej. Nie mógł być jeszcze stary, chociaż na czole i wokół oczu miał nasiąknięte brudem zmarszczki. Patrzył koso, dziwacznie, trochę z nienawiścią, a trochę z nadzieją.

Dostrzegła rękojeść noża wystającego zza jego pasa i uśmiechnęła się lekko.

- Może moglibyśmy się dogadać. Jesteś pierwszym chłopem na tym brzegu, który nie patrzy na mnie jak na czorcicę.

- Eee... - kłapnął szczęką, poruszył się zmieszany. - Ja tylko...

- Dobra. - Odrzuciła włosy do tyłu i położyła rękę na biodrze. - Chodź tu.

Tego się nie spodziewał. Podchodził do niej potykając się co drugi krok. Wielkie, zielone oczy pod czarnymi rzęsami patrzyły na niego wyzywająco. Poczuł dawno zapomniane łaskotanie w gardle. Była tak blisko, że widział kropelki potu w zagięciu jej szyi. Pomyślał o tym, jak dobrze byłoby zanurzyć twarz w jej czarnych włosach.

Zgiął się w pół, kiedy jej kolano wbiło mu się w krocze. Upadł na kolana i zarył czołem w piasek. Poczuł, jak wyszarpnęła mu zza pasa nóż, usłyszał jej cichy śmiech.

- Jak tam, kmiotku? Ostudziło cię trochę?

Podniósł się siny z gniewu i wstydu.

- Nie wyglądasz jak czorcica, ale chyba nią jesteś.

- Nie, Głowacz! - obracała nóż w palcach, a słońce zapalało się i gasło na ostrzu. - To byłaby dla ciebie za prosta wymówka. Powaliła się baba, nie żadna czorcica. I do tego poraniona baba, cha, cha!

Spojrzał bykiem, przestąpił z nogi na nogę. Syknął z bólu.

- Nie martw się. - Przekrzywiła głowę. - Trochę będziesz sikał krwią, ale to minie.

Odwrócił się i odszedł bez słowa. Piasek cicho osypywał się do lejów po jego stopach. Na samym grzbiecie wydmy zatrzymał się i popatrzył na nią z góry.

- Czego ty tak naprawdę chcesz? Będziesz potrzebowała ludzi, żeby przetrwać, a robisz sobie samych wrogów.

Pośród rozgrzanych gór piachu wyglądała jak biedna, zagubiona dziewczynka.

- Mam ciebie.

- Co?!

- A tak. - Dmuchnęło od morza, kiecka załopotała wokół jej łydek. - Chciałeś mnie mieć jak pierwszą lepszą, a ja ci na to nie pozwoliłam. Ale to nie znaczy, że teraz masz kulić ogon pod siebie.

Ręce opadły mu luźno wzdłuż ciała. Pokręcił głową.

- Nie rozumiem cię. Nic a nic.

- Te wasze wioskowe dziewczuchy chyba jakieś takie mało pogmatwane, co? Zresztą co tu jest do rozumienia?

- wzruszyła ramionami. - Nie mędrkuj tyle, ale bądź chłop. Może kiedyś przyjdzie taki dzień, kiedy nie nadziejesz się na moje kolano?

Poszedł, zostawił ją samą. W pamięci został mu widok jej włosów szarpanych przez wiatr.



Musieli związać Dzięcielichę, bo sama nie chciała iść. Próbowali ją nieść, ale tak się wila, że nie mogli jej utrzymać. W końcu Gizd znalazł radę - chwycił ją pod kolana i pociągnął za sobą jak kłodę. Kiedy przeciągał ją



przez strumień, jej wrzaski zamieniły się we wściekłe bulgotanie. Cisnął ją taką podtopioną w obejście Lubichy i obrócił się na pięcie.

- Hej, czekaj! - Wiedźma wykuśtykała z chaty. - Czegoś tak ją sponiewierał?

- Pogorszyło jej się! - rzucił przez ramię. - Baby boją się o dzieciśka. Zrób z nią coś albo niech nie wraca do wsi.

- Przyjdiesz, zbójcu, prosić o mazidło na swoje spękane pięty, to ci plunę w oczy! - pogroziła mu kijaszkiem, ale Gizd już skakał przez strumień i pewnie niewiele dosłyszał.

Przybiegła Rudawka, podłożyła rękę pod kark Dzieścielichy i dźwignęła jej głowę na swoje kolana. Długo się biedziła z rozsypłaniem sznura na zsiniałych przegubach. Przyglądała jej potargane włosy i otarła łzy.

- Coś im takiego narobiła? - Wiedźma oparła kijaszek o ścianę i usiadła na progu. Czekwała, aż Dzieścielisze wyrówna się oddech i zwiotczają napięte mięśnie.

- Sama nie wiem. Czasem bardzo boli mnie głowa, a potem nic już nie pamiętam.

Wiedźma wymieniła krótkie spojrzenie z Rudawką.

- No dobra. Spróbujemy coś na to zaradzić.

- Lubicha! - Dzieścielicha złapała ją za kostkę i nie pozwoliła wstać. - Czy to jest... to?

Wiedźma nie odpowiedziała od razu. Od lasu powiał wiatr i podniósł jej rzadkie, siwe włosy. Stuknęła kijaszkiem w ziemię, jakby podjęła jakiś zamiar.

- Tak. Myślę, że to są świdrzaki.

Zdawało się, że Dzieścielicha przyjęła to spokojnie. Leżała z głową na kolanach Rudawki i słuchała wiatru. A potem przekręciła się na bok i gwałtownie zwymiotowała żółcią. Kiedy przestało nią szarpać, usiadła z

kolanami podciągniętymi pod brodę i rozplakała się cicho.

- Ile mam czasu?

- Jest jeszcze nadzieja.

Rudawka chciała objąć ją ramieniem, ale ona się uchyliła.

- Chcę wiedzieć, kiedy umrę!

- Mówię ci, że jest jeszcze nadzieja - podniosła głos Lubicha. - Ale będziesz musiała być bardzo dzielna.

Dzięcielicha zamknęła oczy, a potem powoli skinęła głową.

- Nie wiem, o czym mówisz. Ale cokolwiek zamierzasz, powiedz chociaż, czy robiłaś to już przedtem?

- Nie. A teraz dosyć gadania. Wejź do chaty i zaczekaj na mnie.

Zachwiała się wstając, ale poszła. Lubicha jednym zwinnym ruchem złapała za szyję koguta, który pętał się nachmurzony po obejściu, i przysunęła sobie nogą pienek. Drugą ręką sięgnęła po siekierkę.

Łeb koguta odskoczył od pierwszego ciosu, potoczył się pod płot. Bezgłowy ptak wyrwał się wiedźmie z ręki i pobiegł przed siebie trzepocząc skrzydłami. Uderzył w ścianę chaty, zerwał się znowu, ale zaraz upadł i znieruchomiał.

Lubicha spojrzała na Rudawkę spod nastroszonych brwi.

- Przynieś.

Rudawka rozgrzebała pokrzywy pod płotem, oblizwała niespokojnie wargi. Chwyliła ptasią głowę za grzebień dwoma palcami. Wiedziała, że tym razem będzie inaczej niż zwykle. Nie bardzo była pewna, czy dalej chce na to patrzeć.

- Wydłub ślepią, wrzuć do kociołka i zalej wodą.

Spodziewała się właśnie czegoś takiego. Odetchnęła dwa razy głęboko, żeby przytłumić nagłe poruszenie żołądka.

- Lepiej ty to zrób - przełknęła głośno ślinę. Za głośno. Lubicha odwróciła

się do niej tak gwałtownie, aż ją przestraszyła.

- Słuchaj, córuchno! Jakżeś już zamyśliła zostać wiedźmą, to teraz mi tu nie ślntaj, tylko się ucz. Idziemy.

Dzięcielicha leżała na ławie z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Nie zwracała uwagi na krzątanicę wiedźmy, która zawiesiła kociołek nad ogniem i wkruszała do niego małe szczypty ziół, szepcząc pod nosem swoje zamawiania.

- Dobra, to już prawie wszystko. - Strzepnęła z dłoni do kociołka resztki pokruszonych liści i pokazała palcem mały woreczek zawieszony pod samą strzechą. - A teraz podaj mi to.

Rudawka zrobiła w tamtą stronę parę sztywnych kroków, ale odwróciła się w połowie drogi. Przeniosła niepewne spojrzenie z Dzięcielichy na wiedźmę.

- Ale to są... - zawiesiła głos.

Dzięcielicha podniosła się na łokciu.

- Co to jest? Chcę wiedzieć.

- Nic ci do tego! - Lubicha zamieszała łychą w kociołku. - Ale niech będzie. Powiem ci, bo jeśli to cię nie zabije, to może uratuje. To są suszone jaja diabła.

Dzięcielicha opadła na plecy i zawisała pustym spojrzeniem na dymniku. Nawet nie mrugnęła, kiedy zabłąkana ćma usiadła jej na powiece.

- Jesteście obie wariatki. - Jej słowa zabrzmiały całkiem spokojnie. - Dwie żmije, którym powinno się rozdeptać łby.

- Pewnie, pewnie. A na przyszłość nie pytaj, jeśli nie chcesz usłyszeć odpowiedzi.

Rudawka musiała podłożyć sobie pień, żeby sięgnąć po woreczek. Podała go wiedźmie i zrobiła dwa kroki w tył. Lubicha rozsypała sznurki, drżącą ręką wysypała na otwartą dłoń dwie małe czarne kuleczki.

- Nigdy nie myślałam, że kiedyś tego użyję! - Bezwiednie zważyła

kuleczki na dłoni.

- Skąd... - Rudawka odchrząknęła. - Skąd je masz?

- Jak wszelkie inne plugastwo, pochodzą z Północy. Z dalekiej Północy, gdzie noc trzyma się przez całą zimę. Tam, wysoko w górach, zdarza się czasem, że ludzie dopadną jakiegoś osłabionego diabła. Urzynają mu jęzor, uszy i jaja, a potem kupcy wiozą to w szeroki świat. Dawniej statki pływały po morzu częściej niż dzisiaj. Nie tylko na wojnę, ale i na targ. Znałam jednego takiego włóczypiętę, który nie bał się zmoczyć tyłka. — Uśmiechnęła się lekko do swoich wspomnień. - Dostał ode mnie dobrą cenę za te skarby.

Jednym palcem zepchnęła kuleczki z dłoni do wrzątku.

- No, poszło.

Woda wzburzyła się, jakby to były rozżarzone kamyki. Mocny, gęsty zapach zmieszał się z dymem. Nie wzbudzał wstrętu, raczej odbierał pewność siebie.

Za zasłoną pary i dymu twarz Lubichy zmieniła się. Z szeroko otwartych oczu ulotniła się łzawa warstewka wilgoci, źrenice rozszerzyły się i znieruchomiły.

- Weź kubek i każ jej pić.

Rudawka pochyliła się nad garem. Ciecz była ciemna i mętna. Starła się tak zaczerpnąć, żeby ani jedna kropla nie spadła na palce. Drobnymi kroczkami podeszła do Dziecielichy i podłożyła jej lewą dłoń pod głowę. Zanim przytknęła brzeg kubka do warg, na chwilę spotkała jej oczy. Odwróciła wzrok.

Usłyszała, że Dziecielicha się krztusi, i poczuła na przedramieniu uchwyt jej palców. Docisnęła kubek mocniej, aż zastukał na zębach. Dziecielicha sapnęła przez nos i zaczęła gorączkowo chłeptać. Kiedy skończyła, Rudawka odskoczyła od niej i przesadziwszy palenisko, zatrzymała się przy drzwiach.

Dziecielicha jęczała cicho. Kręciła głową, bladła i czerwieniała. Nagle jej

chrapliwy oddech urwał się, przyłożyła rękę do brzucha.

- Zaraz się porzygam!

Wiedźma cisnęła łychę o ścianę z taką siłą, że z drewnianych bali wzbił się kurz.

- Oszukał mnie, świński ryj! To były zwykłe jaja barana...

## R O Z D Z I A Ł E V I

Morze było prawie gładkie. Mewy kołowały w nieruchomym powietrzu, nagrany piasek parzył stopy. O rzut kamienia od brzegu pluskało się kilka fok. Wysoko nad powierzchnię wystawiały pyski, jakby się czemuś dziwiły, a potem znikwały, rozbryzgując wodę tłustymi brzuchami.

- Płyniesz ze mną? - Żarek wszedł po kolana w wodę i patrzył przed siebie, osłaniając oczy dłonią. - Raz, dwa, trzy. A tam dalej jeszcze jedna.

Rudawka leniwie obróciła się z pleców na brzuch, otrzepując z ramion piasek.

- Gdzie cię nosi? - prychnęła z niechęcią. - Foki jak foki.

- Lubię je. I one mnie też lubią. Stukają mnie nosami, kiedy z nimi pływam.

- Aha. - Rudawka schowała twarz w zgięciu ramienia, pozwalając słońcu prażyć się w pięty.

Żarek wszedł jeszcze głębiej w wodę, aż sięgnęła mu powyżej pasa. Dopiero wtedy ściągnął portki i koszulę, rzucił na brzeg.

- Rozwieś na krzakach, żeby wyschło! Płynę.

Bryznął na nią wodą, aż kilka kropel spadło jej na policzek.

- A płyń i stukaj się z nimi nosami, ile tylko masz ochotę - burknęła, odepchnęła nogą mokre szmaty. - Tylko się z żadną nie zamieniaj na rozum, bo będziesz za mądry.

Tego już nie usłyszał. Rozgarnął wodę ramionami, miły chłód przeszedł mu wzdłuż pleców. Poczował na wargach smak morza. Czerpał powietrze krótkimi, równymi oddechami, pod powierzchnią wypuszczał strugi bąbli. W

mętniejącej wodzie patrzył na opadające pod nim piaszczyste dno.

Jakaś mewa trąciła wodę tuż obok niego i poderwała się z wrzaskiem. Foki z nastroszonymi wąsami patrzyły w jego stronę. Czekwały na niego. Kiedy się zbliżył, zniknęły wszystkie naraz, ale szybko zobaczył je znowu, wszędzie wokół siebie. Pływały to na grzbiecie, to na brzuchu, zaczęły zataczać dokoła niego zacieśniające się koła. Czasem widział ciemne kształty pod sobą, prawie ocierały mu się o nogi.

Przewrócił się na plecy. Płynął teraz powoli, leniwie mieląc wodę raz lewą, raz prawą ręką. Szum własnej krwi zlewał mu się w uszach z szumem morza. Zamknął oczy. Zachichotał, kiedy poczuł na plecach, tuż pod krzyżem, miękkie dotknięcie.

Ośmielone tą pierwszą próbą foki stłoczyły się z obu stron. Przestał płynąć i biernie poddał się ich zabawie. Rozochoczone trącały go pyskami jak kłodę, próbowały nawet na niego włązić. Wtedy udawał, że tonie, a one swoimi mięsistymi karkami wypychały go ku górze. Zwabione gwałtowną chlapaniną mewy trzepotały skrzydłami tuż nad Żarkiem, czujne i gotowe w każdej chwili uderzyć pazurami w wodę.

Poczuł silną, zgniłą woń. Jedna z fok patrzyła na niego całkiem z bliska, prawie łaskocząc go wąsami w nos. Śmierdziało z jej otwartego pyska.

- No, takie umizgi to nie do mnie! — Żarek schował się pod powierzchnię i wystawił głowę kawałek dalej. Strzepał z włosów wodę, rozejrzył się.

Foka była tam, gdzie przedtem. Czarnym okiem patrzyła prosto na niego. Kwiknęła krótko, gardłowo, nozdrza zwarły jej się z cichym mlaśnięciem. Zniknęła. Pozostały po niej tylko kręgi na wodzie.

- Nie trzeba od razu się boczyć! Ja po prostu już mam narzeczoną. Znajdź sobie jakiegoś grubego samca i... - urwał, odgarnął włosy z czoła.

Był sam. Foki przepadły w głębinie, woda po nich zdążyła się już wygładzić. Mewy znowu kreśliły swoje kręgi wysoko ponad nim. Obejrzał się na brzeg. Odpłynął trochę dalej niż zwykle. Dostrzegł Rudawkę. Stała na

brzegu nieruchomo, chyba patrzyła w jego stronę. Wyglądała z daleka jak mała czarna trawka.

Było cicho. Przez głowę jak cień przeleciało mu dziwne, złe przecucie. Jakaś większa fala na chwilę zalała mu głowę, głośno wypluł wodę.

Czas wracać.

Wtedy nagle poczuł na brzuchu dziwne dotknięcie. Od razu wiedział, że to nie foka. Dotyk był krótki i twardy, jakby palec.

Rzucił się w stronę brzegu, zanim zdążył pomyśleć. Miał uczucie, jakby kurczyła mu się cała skóra. Płynął nierówno, krztusił się.

Znowu. Dotyk na piersi, a zaraz potem nad kolanem. Zgubił rytm, znalazł się pod wodą. Pilnował się, żeby nie otwierać oczu, póki znowu nie był na powierzchni. Zrobiło mu się teraz bardzo zimno, z trudem oddychał. Płynął dalej, starał się myśleć tylko o równej pracy ramion.

Tuż koło niego z bulgotem wyskoczyły z wody bąbelki powietrza. Wiedział, że coś jest prosto pod nim. Spojrzał przed siebie - brzeg skakał mu przed oczami, nie mógł dostrzec Rudawki.

Zachłysnął się, kiedy poczuł muśnięcie na łydce. Rozpaczliwie zawierzgał nogami, przestraszył się własnego jęku. Zdał sobie sprawę, że mięśnie ramion mu wiotczeją. Ugryzł się w język do krwi, kiedy wokół kostki zacisnął mu się chłodny uścisk. Jak dłoń.

Szarpnął nogą, ale uchwyt jeszcze stężał. Zapiszczał z przerażenia jak dziewczyna. Na ślepo sięgnął ręką pod siebie i spróbował dosięgnąć kostki. Przekrzywiając głowę starał się utrzymać usta nad wodą. Przesunął ręką w lewo i w prawo, zaboląły go napięte mięśnie barków. Spróbował jeszcze raz. W jednej chwili świat stał się błękitno-zielony.

Był pod wodą. Mocno, nieustępliwie coś ciągnęło go w dół.

Teraz już wiedział, że walczy o życie. Był na wydechu, kiedy zamknęło się nad nim morze. Nie miał w płucach żadnego zapasu powietrza. Niemal natychmiast poczuł w piersi ostry, rwący skurcz. Wypreżył się, podniósł ręce



do góry, ale powierzchnia była już za daleko.

Nie myślał, wił się jak robak rzucony na ognisko. Wolną nogą młócił wodę. Zgiął się w pół, rozcapierzonymi palcami łapał pustkę. W skroniach dudniło mu głucho, krew naparła ze środka głowy na oczodoły. Całą siłę włożył w to, żeby nie pozwolić wodzie wedrzeć się do płuc.

Ale nic nie mógł zrobić. Kiedy to zrozumiał, przestał się bać i poczuł ulgę. Serce przestało mu walić, zwiotczał jak przekłuty rybi pęcherz. Patrzył, jak szarość wokół niego szybko miesza się z czernią.

Zdążył jeszcze poczuć, że nagle zakotłowało się wokół niego. Myślał, że z trzaskiem pękną mu żebra, kiedy woda zaczęła wdzierać się do gardła.

A potem już tylko rzygał słoną krwią, a każdy oddech był jednocześnie rozkoszą i bólem. Wolno, bardzo wolno zbierał myśl do myśli. Niebo. Chmury. Wiatr na twarzy. Ból w płucach, gwałtowny skurcz — znowu płwociny skapujące z warg. Piasek. Brzeg. Straszny ból głowy.

Rudawka siedziała za nim, mocno ściskając jego brzuch. Nie przestała, póki nie wycisnęła z niego wszystkiego, czego się nałykał. Kiedy przestał się kztusić, położyła go na boku. Lekko pogładziła go po głowie.

Przypomniał sobie wszystko. Zanim się odezwał, popatrzył na morze. Było blisko, o parę kroków. Podkurczył nogi, rozkaszał się na nowo.

- Myślałem, że po mnie. - Otarł wargi wierzchem dłoni. - Nic nie mogłem... nie mogłem...

- Cicho, cii. - Ujęła jego głowę w dłonie, pocałowała go w czoło. - Wiem.

Od wioski szli ludzie, Żarek słyszał ich głosy. Spojrzał na Rudawkę.

- Ty mnie wyciągnęłaś?

- Ja, a kto?

- Ale tam był... Jak go odpędziłaś?

Rudawka zamknęła mu usta muśnięciem warg.

- Krew.

Zdumiony podniósł się na łokciach.

- Co?

- Krew miesięczna. - Kiedy się nad nim pochylała, jej rude włosy przeświałało słońce. - To jedyne, co je płoszy. Nie wiedziałaś?

- To przecież ty się uczysz na wiedźmę, nie ja. - Usiadł, odetchnął. - Ale skąd ty nagle miałaś krew?

- To nawet tego nie wiesz? - Rzuciła mu portki, trzepnęła w ucho. - Ubieraj się, bo ludzie będą gadać.



Polana nad strumieniem powoli stygła po upalnym dniu. Gdzieś blisko grał świerszcz, pachniało żywicą i zbutwiałym drewnem. Na zimnej, ruchliwej wodzie tańczyły plamki światła.

Rudawka zobaczyła ją z daleka, zanim jeszcze wyszła z cienia lasu. Gudrun patrzyła pod nogi, żeby nie poranić na kamieniach bosych stóp. Jej czarne włosy lśniły na słońcu jak nasmarowane tłuszczem. Kieckę podwiązała wysoko, żeby nie poszarpały jej kolce jeżyny.

Teraz i ona dostrzegła Rudawkę. Rozejrzała się po polanie, jakby szukała kogoś jeszcze, a potem ruszyła prosto w jej stronę. Zatrzymała się tuż przed nią, zasłaniając słońce.

- A więc to tutaj uciekasz przed ludźmi! - Błysnęła w uśmiechu zębami. - Dobre miejsce.

Rudawka posunęła się trochę, zrobiła jej miejsce koło siebie. Ale nie odpowiedziała uśmiechem.

- Było dobre, póki nikt tu nie przychodził.

Gudrun rozchlapała wodę nogami i szturchnęła ją łokciem w bok.

- Czego się boczysz? Przecież nie łązę za tobą. Trafiłam tu za strumieniem.

Słońce grzało prosto w twarz. Rudawka przymknęła oczy, pod powiekami przelatywały jej czerwone błyski. Ciepło rozluźniało ją, uspokajało. Sennie poddawała się pieszczocie wilgotnego powiewu od lasu.

Drgnęła nieznacznie, kiedy poczuła na ramieniu dotyk palców Gudrun. Z ociąganiem podniosła powieki.

- Nie lubię, jak mnie dotykasz. Jesteś... - urwała.

W zielonych oczach Gudrun naraz zobaczyła coś dziwnego. Strach, a może tylko napięcie. Nasłuchiwała z lekko przekrzywioną głową.

- Słyszałaś?

Rudawka mimo woli wstrzymała oddech. Szum strumienia, lekkie poruszenie liści w konarach drzew.

- Nie.

- Tam, w górze strumienia. - Znowu dotknęła jej ramienia. - Cii...

Wyraźnie trzasnął patyk pod czyimś naciskiem. Szelest odsuwanych gałęzi, znowu trzask. Cisza.

Rudawka wyjęła nogi z wody. Przyglądziła włosy, otrzepała z kiecki źdźbła traw.

- Może tur, może niedźwiedź. Co ty, las ci dziwny?

Błysnęło żelazo, kiedy Gudrun zacisnęła pięść na rękojeści noża. Rudawka odstąpiła dwa kroki do tyłu.

- Skąd to masz? Stary ci zakazał...

- Mam, bo mam. - Gudrun wstała, odetchnęła głęboko. - Nie twoja rzecz.

- Ty chyba masz w głowie zajęcze bobki, nic więcej! Robisz wszystko, żeby rybacy cię utopili.

- Jasne. Tak się ich boję, że nie sypiam ze strachu po nocach. A ty nie gadaj tyle, tylko patrz. Tam!

W miejscu, w którym strumień wyłaniał się z lasu, gęste krzewy ocieniały

jego łożysko. Nic nie było widać, tylko czarny wyłom w zielonej ścianie drzew, gdzie w promieniach słońca przesianych przez liście kołowały roje małych muszek.

Coś wyłoniło się z mroku. Rudawka najpierw pomyślała, że to zdechły ptak spływa z prądem. Nagle stęknęła cicho, jakby ktoś uderzył ją pięścią w żołądek.

To była ludzka dłoń. Łokieć, całe ramię. Powoli, szurając po kamieniach, woda wlokła bezwładne ciało człowieka. Leżał twarzą do dna, a strumień co chwila przykrywał całą głowę. Zaczepił nogami o wystającą z brzegu kępę trawy, spiętrzona woda zakipiała, przelała się przez jego plecy. Zaraz strumień porwał ciało dalej i zakręcił nim na głębszym miejscu.

Gudrun z długim kijem w rękach zbiegła ze skarpy.

Zatrzymała się, kiedy woda sięgnęła jej po pas. Zęby jej szczękały z zimna. Kiedy trup był blisko, jednym rzutem kija przygarnęła go do siebie. Chwyciła go za włosy i zapierając się przed wartkim nurtem, wolno ruszyła w stronę brzegu.

- Pomóż mi, czego tak stoisz! - zawołała.

Rudawka weszła kilka kroków w wodę. Zimno trochę ją ocuciło. Wystawiła rękę, pociągnęła Gudrun do brzegu. Wsadziły kij pod ciało i naparły razem. Z chlupotem obróciły go na plecy.

- Dziecielicha!

Oczy miała otwarte, patrzyła w chmury. Wargi zastygły jej wykrzywione w grymasie, nie wiadomo - uśmiechu czy trwogi. Kołysała się w płytkiej wodzie, jakby zaraz miała wstać i pójść sobie.

- Mówiła, że idzie zbierać szczaw. Pewno osłabła i wpadła do wody. - Rudawka była już całkiem spokojna, wycierając mokre dłonie w trawę. - Same nie damy rady zawlec jej do wioski. Trzeba wołać chłopów.

- Nikogo nie będziemy wołać! - Północnica cały czas pochylała się nad Dziecielichą, jakby chciała coś odgadnąć z wyrazu jej martwych oczu.

- Co?

- Patrz tu - zbliżyła koniec palca do jej twarzy i odchyliła płatek nosa. -  
Widzisz?

Coś tam w środku mignęło, gwałtownie cofając się w głąb czaszki. Rudawka zzieleniała na twarzy, a potem padła na kolana. Wymiotowała długo, z gwałtownymi nawrotami. Gudrun poczekała, aż trochę odetchnie, a potem pomogła jej wstać.

- Wiesz, co to jest?

Rudawka obmyła twarz w strumieniu, dokładnie wypłukała usta.

- Wiem. Bardzo dawno tego u nas nie było.

- Ale jest. Wiele się ostatnio zmienia, co?

Nazbierały chrustu, nałamały suchych gałęzi. Ułożyły z tego stos i przywlekły pod ręce Dziecielicę. Nie mieściła się cała, nogi sterczały jej ze stosu na trawę.

- To nic - machnęła ręką Gudrun. - Ważne, żeby głowa była w ogniu. Trzeba iść do wioski po żar.

- Mam tu krzesiwo. - Rudawka wspięła się na palce przy pniu zmurszałej wierzby, sięgnęła do dziupli.

Długo trwało, nim od snopa iskier buchnął mały płomyk. Rozdmuchały go ostrożnie, dorzuciły zeschniętej trawy. Kiedy rozeszła się woń palonych włosów, Gudrun pociągnęła Rudawkę do tyłu.

- Nie stój tak blisko. Patrz.

Ogień spopielił Dziecielicę włosy, skóra na twarzy zaczęła odchodzić od ciała. Rudawka znowu poczuła mdłości, ale silny głos Gudrun osadził ją na miejscu.

- Patrz!

W jednej chwili głowa trupa podskoczyła, a z płuc ze świstem uciekło powietrze. Z nosa, z gardła, z uszu zaczęły uciekać białe długie robaki.

Skręcały się w płomieniach, zwęglone resztki spadały na trawę. Było ich więcej i więcej, całe setki. Wypchnęły Dzięcieliszę od środka oczy, rozwarły szczęki. Sypały się wokół stosu cichym, spopielałym deszczem.

Gudrun pozwoliła dopalić się ogniowi. Potem wygarnęła z popiołów pustą, poczerniałą czaszkę. Lekko trąciła ją stopą.

- No i po ścierwie. Teraz można pochować ją jak człowieka. - Zaciągnęła się przez nos powietrzem przesyconym wonią spalenizny. Zielonymi źrenicami zapatrzyła się w las.

- Były larwy, gdzieś są i dorosłe.



Żarek potem żałował, że zakradł się do chaty Starego. Żałował z całego serca. Wiedział przecież dobrze, że rada to nie jest miejsce dla takich jak on wyrostków. Ale nie mógł się powstrzymać. Wślizgnął się zaraz za plecami Kościucha i przycupnął w ciemnym kącie.

Stary wyglądał na chorego. Twarz miał bladą, włosy zlepione potem w mokre kłaki. Siedział z rękami zwieszonymi między kolanami, nie podnosił głowy. Ludzie patrzyli na niego przygnębieni. Powinien coś powiedzieć. Zawsze mówił.

Ale Stary milczał.

Pod przymkniętymi powiekami szukał jakiejś rady. Luźne obrazy zapalały mu się na chwilę w wyobraźni, ale zaraz gasły i odpływały w mrok. Ciężko mu było zatrzymać myśli w jednym miejscu. Ogień trzaskał na palenisku, trzaskał głośniejsz niż zwykle. Huczał mu pod czaszką. Chyba brała go gorączka.

- Jeśli szukają naszej wioski, już by tu byli.

Zaszemrali, pokiwali głowami. Pewnie, już by byli. Zakasłali, zasiorbali

nosami, a potem znowu zgęstniało milczenie.

Kiedy to było? Ze sześćdziesiąt lat temu... Był chłopcem, kiedy smukłe statki z Północy pokazały się na tych wodach. Wszystko zaczęło się o pierwszym brzasku, a przed południem był koniec. Ci, którzy nie zdążyli dopaść lasu na pierwszy okrzyk trwogi, zginęli najpierw. Północnicy zarżnęli ich jak woły. Potem, kiedy krew już spłynęła urwiskiem i wsiąkła w piasek, zapłonęły chaty. A na koniec jeszcze te opętańcze gonitwy po lesie - młódki brali na sznur i na okręty, wyrywając im z ramion wierzgające dzieciaki. Rzucali je w wodę, przytapiali wiosłami. Resztę - chłopów i stare baby - cięli toporami przez łeb. Bach! bach! bach! Ci, którzy cudem przeżyli, poznawali potem swoich po ubraniu, bo z twarzy się nie dało.

A potem przez całe lata był spokój. Jakoś się z tego podnieśli, policzyli żywych i zabitych. Trzeba było żyć dalej. Różnie ludzie potem gadali. A to, że niby księżę ułożył się z Północnikami, żeby pływali na zbójowanie do innych brzegów. Nawet podobno swoją własną córę dał na żonę zbójcekiemu księciu. Albo też tak, że tam u nich samo się coś przewaliło, uładziło i zajęli się swoimi sprawami, zamiast mordować kmiotków na południowym brzegu. Dość, że od tamtych strasznych dni nikt nie widział cichych okrętów z gadzimi łbami na dziobach.

Stary zacisnął ręce w pięści, aż poczuł, jak paznokcie wbijają się w skórę. Powieki mu ciążyły, wzrok się mącił.

- Może tylko zbłądzili! Tak. Może zbłądzili.

Ludzie znowu się zgodzili, ale tym razem z ociąganiem. Stary czuł to, nawet nie musiał na nich patrzeć.

- W tamtych czasach były i inne dziwne rzeczy. Pamiętasz, Stary? - To była Lubicha, przysłała na radę jak do siebie, chociaż tym razem nikt jej nie prosił. - Takie rzeczy, o których strach gadać wieczorem.

Chciał się jej przyjrzeć, choć na chwilę zatrzymać na niej oczy, ale mu się nie udawało. Jej pomarszczona twarz tańczyła w migotliwym świetle.

- To było bardzo dawno temu. Od tego czasu nigdy się nie powtarzało - wymamrotał.

- Nie, aż do teraz. Sam widziałeś łajno.

Widział. Mógł się mylić co do łajna, ale nie mógł się opędzić od tych wszystkich niejasnych przeczuć, które pchały mu się do głowy. Czy to możliwe, żeby znowu...

- Obudźcie się, ludzie!

Wiedźma nie mówiła już do niego. Mówiła tak, jakby jego zdanie już przestało ważyć.

- Nie siedźcie tu jak kury na grzędzie, bo będzie za późno! Żyliście dotąd w spokoju, ale nie zawsze tak było. Wiecie o tym. Każdy przecież kiedyś słuchał gadek dziadów, którzy to pamiętali. Dziady pomału, a wy razem z nimi zakopaliście w ziemi pamięć o tamtych czasach. Nic nie chcecie wiedzieć. Ruszycie się dopiero wtedy, kiedy trwoga podejdzie pod same progi waszych chat. Ale wtedy będzie już za późno.

Rozkaszała się, łzy zaświeciły jej w kącikach oczu. Ludzie wodzili wzrokiem za smużkami dymu ulatującymi w górę.

- A ja wam nie pomogę, jeśli wy sami nie zechcecie sobie pomóc. - Głos Lubichy był już tylko schrypłym szeptem. - Wiecujcie, radźcie, myślcie, ale śpieszcie się. Macie mało czasu.

Wyszła w noc, zniknęła. Stary zrobił jakiś niezdecydowany ruch ręką, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko zacisnął wargi. Zrobiło mu się gorąco, a zaraz potem bardzo zimno, jakby od drzwi pociągnęło mrozem.

- No tak - usłyszał łysego Koniucha, który stękając podnosił się z ławy. - Trzeba iść spać, chłopcy. Dzisiaj nic już nie uradzimy.

Żarek wyszedł ostatni, cicho jak cień. W drzwiach obejrzał się jeszcze. Stary wyglądał, jakby spał. Tylko grdyka mu latała z góry na dół, bardzo szybko.



Zobaczył wiedźmę z daleka, księżyc świecił bardzo jasno. Stała na skraju urwiska z kapturem narzuconym na głowę. Na tle rozgwieżdżonego nieba jej przygarbiona postać wsparta na kijaszku odcinała się czarno. Żarek podszedł do niej ostrożnie.

Stanął koło niej, ramię przy ramieniu. Nietoperze furkotały tak nisko, że prawie muskały im czoła.

- Widzisz, synku, tak to właśnie jest - mówiła, jakby wiodła dalszy ciąg urwanej rozmowy. - Jak człowiek za bardzo w coś wrośnie, to staje się bezbronny. Popatrz na drzewo. Trzyma się mocno korzeniami swojego kawałka ziemi. Ciągnie z niej to wszystko, co mu do życia potrzebne. Spróbuj je szarpać, ciąć, palić ogniem... nie podda się, aż do samego końca. Trzeba je wyrwać, trzeba zabić, żeby puściło się ziemi. Tak i oni tu wrosli, cała wioska. W skałę wrosli, w morze wrosli. W ryby, w sieci, w to wszystko. Nie chcą niczego innego.

Powiodła końcem kijaszka w powietrzu, zakreśliła przed sobą półkole.

- A do nas idzie śmierć. Idzie zło tak wielkie, jakiego nikt z nas nie umiałby nawet sobie wyśnić. A oni co? Trzymają się korzeniami, nic ich nie ruszy.

Poruszyła się lekko, zaświeciły w mroku białka jej oczu.

- Ale ty jeszcze nie wrosłeś. Inny jesteś albo tylko za młody. Nie wiem. Możesz ocalić siebie i Rudawkę. - Żarek słuchał jej głosu bez ruchu, jak zaczarowany. - A może nawet ich. Musisz mi pomóc, synku.

## R O Z D Z I A Ł E VI I

Grododzierzca Wojsław patrzył w kierunku, który mu pokazywał Stary. Ze skalnego występu otwierał się szeroki widok na nowy pomost, łodzie, a dalej wielki kawał morza. Słońce dopiero wzeszło i kładło na wodzie długą, oślepiającą smugę.

- Od dawna tu są? - Grododzierzca przygryzł wąsa i wychylił się do przodu. Małeńka skaza na jasnym widnokręgu nikła i pojawiała się znowu.

- To się zaczęło wtedy, kiedy przysłała wielka woda. Pływają dwa, trzy, czasem więcej. Dzień w dzień. I nigdy nie podchodzą bliżej.

Ciemne podłużne statki z jednym żaglem bezszelestnie ślizgały się po falach. Były za daleko, żeby dostrzec ludzi na pokładzie, ale Wojsław znał się na tym. Jeśli ludzie z Północy płynęli, żeby walczyć, mogło ich być na jednym statku nawet pięćdziesięciu. Każdy z mieczem, toporem i łukiem.

- Ilu masz we wsi ludzi przy broni?

- Pięciu się ueziera z mieczami, ale marnymi - skrzywił się. - Rybaka trudno przyuczyć do wojowania. Ostrza rdzewieją poupychane po strychach, co tu gadać.

- Rdzewieją? - Głos Wojsława prawie się nie zmienił, ale Stary usłyszał w nim jakiś cichy zgrzyt. Sprężył się w sobie, po skroni spłynęła mu mokra strużka. Grododzierzca wyprostował się i przeniósł wzrok na jego twarz.

- Rdzewieją - powtórzył. - Płatnerze na podgrodziu kują za moje srebro najlepszą broń, żeby rybacy po wioskach mieli się czym opędzić od napaści, a ty mi mówisz, że rdzewieją? Co to ma być? Baba z ciebie czy sołtys? Bata nie masz? U mnie w grodzie na takich, co zaniedbują swoje powinności

wedle księcia, czeka katowski topór. Kładzie głowę rybak, co nie dopilnował miecza, kładzie i sołtys, co nie dopilnował rybaka.

Wojśław wymawiał słowa powoli, prawie szeptem. Stary pobladł, ale wytrzymał jego rybie spojrzenie. Znał grododzierzcę wystarczająco długo i wiedział, że nie może okazać po sobie strachu.

- A może to grododzierzca zaniedbał rybackie sprawy i zostawił wszystkie wioski swojemu losowi? - odpowiedział spokojnie. - Nie widzieliśmy gońca z grodu ani nawet ogona jego konia. A sprawy mają się coraz gorzej.

Woje, którzy stali kilka kroków dalej wsparci na włóczniach, nie śmieli głośno odetchnąć. Czekali na błysk miecza grododzierzcy i stukot głowy Starego toczącej się po kamiennym urwisku w dół.

Cisza trwała bardzo długo. Dopiero kiedy Stary dostrzegł w zwężonych źrenicach grododzierzcy krótki błysk, poczuł łaskotanie między łopatkami. Nie przeliczył się. Wszystko było tak, jak dawniej.

- Nic się nie zmieniasz, stary knurze. - Wojśław założył ramiona na piersi. - Pyskujesz jak za młodych lat, kiedyśmy biegali patrzeć na gołe baby nad rzekę. Ale to było dawno. A teraz ja jestem grododzierzcą, a ty warujesz tutaj, u samego morza. Uważaj, żebyś się kiedyś nie zaciął tym swoim ostrym ozorem.

Zrobił krok do przodu i położył dłoń na jego ramieniu.

- No to pokaż mi teraz, jakie tu piwo warzycie, skoro czym innym nie możesz się pochwalić.

Takiej pijatyki we wsi dawno nie widziano. Sam Stary nigdy nie pił dużo, tyle, co przy gościach, a tacy nie zachodzili często do jego chaty. Czasem ktoś z wieściami z grodu, czasem z innej wsi. Tej nocy wytoczył z piwniczki wszystkie beczki, jakie miał. Na obejściu w blasku wielkiego ognia pili woje razem z mniej znacznymi rybakami. Z początku patrzyli na siebie niechętnie, jak to zwykle między obcymi. Ale odbili jedną beczkę, potem drugą i przed północą przemierzali się jak starzy znajomkowie. Jeden drugiemu wrzeszczał

prosto w ucho sprośne piosnki. Bełkotliwe krzyki buchały daleko poza wioskę i spływały urwiskiem ku morzu.

W chacie pito nie gorzej, choć przy Wojsławie starzy rybacy siedzieli trochę onieśmieleni. Noc była ciepła, a od paleniska szedł żar. Szybko zaczęli kolebać się na ławie, a potem ten i ów leciał na bok. Psy coraz odważniej pchały pyski na kolana i porywały ledwo nadgryzione kawały jadła. Potem nazarte kładły się pod ścianami, warcząc walczyły z zataczającymi się ludźmi o wolne miejsce.

Wojsław wychylił kubek do dna i odrzucił za siebie. Otarł wąsy rękawem, przymknął oczy. Przez chwilę Stary myślał, że i on padnie pod ławę, ale grodzierzca nagle spojrzał na niego przytomnie.

- No to gdzie jest ta mała zmiyka?

Stary przygryzł wargi. Aż do tej chwili miał nadzieję, że obejdzie się bez tego, ale w głębi duszy spodziewał się takiego pytania.

- Siedzi w lesie, niedaleko stąd. Kto ci doniósł?

Wojsław odpiął zapinkę pasa i z ulgą wyciągnął nogi przed siebie.

- Nie twoja sprawa. Muszę mieć swoje uszy na całym wybrzeżu, bo inaczej księżę posadziłby na moim miejscu kogo innego. A ten ktoś inny na pewno by ci podziękował lepiej ode mnie! - Uderzył się brzegiem dłoni w szyję. - Za to, żeś go nie powiadomił o rozbitkach.

- To tylko głupia dziewczka. Harda, ale głupia. Nie myślałem...

- Dość! - Grodzierzca stęknął i usiadł prosto. - Zawsze miałeś miękką rękę, nawet jeszcze w drużynie. Dobrze wiesz, że powinienes mi pokazać nawet zatarty ślad na piasku, jeśli śmierdzi Północnikiem.

- Wiem.

- To co z tobą?

Stary zapatrzył się w ogień i pokiwał głową sam do siebie. Próbował zebrać do kupy wszystko, co się wydarzyło, i jakoś to sobie ułożyć na nowo.

- Wiele się zmieniło.

- To wiem bez ciebie.

- Pogorszyło się. Bardzo. Znowu wracają rzeczy, które nękały naszych ojców. To chyba idzie z za morza.

Za ścianą chaty ucichły ostatnie pijackie rżężenia. Ludzie chrapali z twarzami w kałużach piwa i wymiocin.

- Źle się dzieje na Północy. - Wojsław bezwiednie skubał brodę. - Tyle tylko, że większość wieści stamtąd to takie tam gadanie między ludźmi. Nie wiadomo, prawda czy bajka. Nie miałem posła z za morza od roku, choć sam słałem dwóch. Żaden nie wrócił.

- Do kogo słałeś?

- Do Olafa Grzywacza, do Knuta Zbója, do Leifa Bez Ręki. Do wszystkich.

- Kupcy mówią, że tam wojna.

- Mówią i inne rzeczy.

- Jakie?

Wojsław pociągnął łyk piwa i przełknął głośno.

- Że tam teraz sam Diabeł panem.

Stary pokiwał głową, jakby niczemu się nie dziwił. Wojsław stuknął kubkiem w ławę.

- A ty co myślisz?

- Nic nie myślę. Patrę. Przez całe życie nie widziałem tylu statków z Północy, nawet jak byłem wojem i sam szukałem ich na morzu. Wojna? Może i wojna. Ale czemu żaden statek nawet nie zbliża się do nas, jakby tutaj wcale nie było brzegu? Na wojnie kupcy siedzą w domu, to prawda. Ale nie zbóje. A z tej strony morza jest ludne grodzisko z dwoma podgrodziami i wioski bronione przez kmiotów z zardzewiałymi mieczami. Wszyscy to wiedzą. U Olafa, u Knuta i u tego niedźwiedzia Leifa. Jak wojna, to i łup. A

oni co? Pływają jak za mgłą. Jakby w innym świecie.

- Z Leifem jest drużba, a Harald i Knut nigdy nie byli na tyle mocni.

- Szczał pies drużbę, kiedy można łupić! Nie znasz ich? - Stary roześmiał się głośno, jakby słowa grododzierzcy go bawiły. - Wojna to wojna. Hula się i tyle.

Wojśław klepnął się w udo i ziewnął szeroko.

- E, mędrkujesz...

- Ja myślę, że te statki, któreś widział, nie pływają tam bez celu. To jest stróża.

- Co?

- Zwyczajnie. Idą jeden za drugim. Pilnują, żeby nikt się nie przedarł z jednego brzegu na drugi.

Wojśław zmarszczył czoło.

- Boją się nas?

- Nie mają czego. - Stary pokręcił głową. - Oni warują, żeby nikt od nich nie przedarł się tutaj. I nie upilnowali, bo jeden mały stateczek się prześlizgnął.

- Wtedy, kiedy była ta dziwna burza?

- Wtedy. Ale to nie była burza. Kiedy woda zwała się na brzeg, pierwszy raz w życiu posrałem się ze strachu.

- Ta może nie ostatni, jeśli ludzie prawdę mówią o tym Diabie. - Grododzierzcy już plątały się słowa i ciążyły powieki. - A póki co, miej tamtą małą na oku i nie przestawaj być czujny.



Zając podniósł się na skokach, zastrzygł uszami. Wilgotne chrapki

wystawił na wiatr. Musiał usłyszeć, jak Gudrun podnosi się zza krzaka, bo łypnął w tamtą stronę czarnym okiem. Błysnął grot strzały. Zając zerwał się do skoku, ale zanim dotknął przednimi łapami ziemi, skręcił się w powietrzu. Strzała przebiła szyję, krew bluznęła na trawę.

- Iii-aa! ... - Gudrun wyskoczyła z krzaków z łukiem nad głową, wrywając stopami kępki mchu. - Mamy uszaka, zeżremy go do ostatniej kosteczki!

Żarek gramolił się za nią, strząsając z włosów zeschnięte liście. Wszystko stało się tak szybko, że niewiele zdążył zobaczyć. Jęk cięciwy ciągle brzęczał mu w uszach, a ona już wiązała zająca do pasa.

- To pas Dziecieli chy. - Spochmurniał, założył ramiona na piersi. - A nóż chyba Głowacza.

Odrzuciła włosy do tyłu, mrugnęła do niego.

- Dziecielisze pas już nie będzie potrzebny, nie? A nóż... No co? Nie daliście mi nic na odchodne. Miałam sobie radzić w lesie pazurami?

- A łuk?

- He, he! Sama zrobiłam. Te twoje kmiotki pewnie nawet nie widziały takiego na oczy.

Poszła przed siebie, uszy zająca zaszurały po ziemi. Obejrzała się, a w kącikach ust zaigrał jej uśmiech.

- Chodź, posmakujesz czegoś nowego. Od tych waszych ryb tylko smród z gęby, nic więcej.

Dogonił ją. Szedł za nią tak blisko, że czasem jej czarne włosy łaskotały go w nos. Czuć ją było potem, krwią i lasem. Ze spalonych słońcem ramion skóra odłaziła płatami. Przedtem, rankiem, kiedy wykładał się z wioski jak złodziej, chowając się przed wszystkimi, a najbardziej przed Rudawką, sam nie wiedział, czemu to robi. Chciał ją zobaczyć. Chciał z nią porozmawiać. Ale teraz, kiedy od jej zapachu zakręciło mu się w głowie, przestał się wstydzić nawet sam przed sobą.

- Myślałem, że popłyniesz do swoich - odezwał się po chwili.

- A popłynę! - Podniosła łuk do góry, przebijając się przez gęstwę. - Ale jeszcze nie teraz.

- We wiosce cię nie chcą, a na Północ daleko. No to gdzie będziesz żyła?

Gęstwina się urwała, wyszli na otwartą przestrzeń. Trawa bujnie porastała niskie brzegi strumienia.

- Tutaj.

Skarpa, zakole, płycizna. Żarek stał i patrzył, bezwiednie odganiając muszki brzęczące mu koło nosa. Gudrun ciągle się uśmiechała, z jedną ręką wspartą na biodrze i łukiem przewieszonym przez plecy. W jej zielonych oczach lśniło wyzwanie.

Na skarpie stał szałas. Skleciła go porządnie z równo przyciętych gałęzi, przyrzuciła liśćmi i całymi kawałami darni. Gdyby chciała, mogłaby w nim nawet zimować.

Żarek poczuł mrowienie pod stopami.

- Dlaczego właśnie tutaj?

- Bo to dobre miejsce. - Pochyliła się lekko do przodu, jakby chciała, żeby lepiej usłyszał. - Rudawka mi mówiła.

Z początku nie czuł się dobrze, kiedy tak siedział na skarpie i udawał, że wszystko jest tak, jak być powinno. Patrzył, jak Gudrun sprawnie odziera zająca ze skóry i wygarnia ze środka wszystko to, co niepotrzebne. Ale kiedy wielkie krople tłuszczu zaczęły skapywać w ogień, a zapach pieczonego mięsa napędził mu ślinę pod język, zapomniał o niepokoju. Nie czekał, aż mięso ostygnie, prawie poparzył sobie wargi. Nie pamiętał, żeby Żywula kiedykolwiek zrobiła coś równie dobrego. Mrużył oczy z zadowolenia, kiedy chrząstki trzaskały mu w zębach.

- I co? Lepsze takie żarcie niż te wasze słone ścierwa?

Nie odpowiadał, póki mógł upchać w siebie choćby jeden kęs. Brzuch miał



wzdęty jak u niemowlaka.

- Dobrze, dobre - westchnął, odbiło mu się głośno. - Ale rybak ma tylko sieć, a zające nie pływają w morzu.

- Głupie gadanie głupiego kmiotka.

Oblizła palce świecące tłuszczem i zeszła do strumienia. Dogasający ogień kopał czarnym dymem. Żarek położył się w trawie, przeciągnął ramiona, aż trzasnęły stawy. Zamknął oczy.

- Skąd ty to wszystko umiesz?

Chwilę chlapała wodą, zwlekała z odpowiedzią. Usłyszał jej kroki, potem usiadła obok niego.

- Ciebie uczą, jak się nie utopić. Mnie uczyli czegoś innego.

Rozlazłe myśli napływały i odpływały. Jakiś ptak zaświergolił niedaleko.

- A kim ty tam, u swoich, właściwie byłaś?

- Kim byłam? - Parę kropel z jej włosów spadło mu na twarz, chyba pochyliła się nad nim. - To nieważne, kim byłam. Ważne, kim będę.

Przestał czuć słońce na czole. Była tuż nad nim, poczuł jej oddech na policzku. Lekko, leciutko musnęła go wargami. Nie spodziewał się tego, serce nagłym skurczem wtoczyło mu do głowy falę krwi.

- A ty, Żarek, kim będziesz? - Teraz jej usta były przy jego uchu, łaskotała go wilgotnym szeptem. - Wyrośnie z ciebie drugi Kościuch czy ktoś inny?

Przysunęła się, poczuł na piersiach jej ramię. Zanurzyła mu dłoń we włosach - jak Żywula, kiedy był dzieckiem. Wiedział, że jeśli teraz podniesie powieki, zobaczy zieleń jej oczu. Chciał tego.

Jej ręka znieruchomiała, przestał słyszeć jej oddech. Zaszepotała tak cicho, że bardziej domyślił się słów, niż je zrozumiał.

- Nie ruszaj się. Ani drgnij.

Teraz usłyszał - krótkie mlaśnięcie, szelest trawy. Gudrun leżała obok niego sztywna, czuł tylko bicie jej serca. W nosie zawiercił mu smród.

Pomyślał, że to jemu popuściło się z przejedzenia, i poruszył się zawstydzony.

- Leż! - Przycisnęła go ramieniem tak mocno, że zaboląły go zębra. Młaśnięcie powtórzyło się, potem cisza. Plusk wody. Minął jeszcze jakiś czas, zanim rozwiął się smród.

Gudrun zwolniła uścisk i usiadła. Ręce jej się trochę trzęsły, kiedy otrzepywała kieckę.

- Świdrzak - skrzywiła się. - Blisko był.

Żarek zerwał się spłoszony, odskoczył od wody.

- Tutaj?... Skąd?

- Chyba go spłoszyliśmy, bo ty nie umiesz chodzić po lesie cicho. We wiosce jest za dużo ludzi i dlatego na razie was omijają. Najwięcej ich się gnieździ w górze strumienia. Siedzą gdzieś w mokrych wykrotach i czekają. Dopadły Dziecieliuchy, dopadną i innych.

Żarek oglądał się na miejsce, gdzie strumień wypływał z lasu. Zamierał na każdy ruch wśród liści. Gudrun podeszła do niego i podrapała się po nosie.

- Boisz się?

Nie musiała pytać. Kolana miał miękkie, mokre portki lepiły się do tyłka.

- A ty?

- Pewnie, że się boję - mówiła spokojnie, jak do dziecka. - Ale strach nie odbiera mi rozumu. Zawsze pierwsi umierają durnie i tchórze, pamiętaj.

Odetchnął parę razy głębiej, zatarł ręce.

- Lubicha mówiła, że one składają jaja w głowie żywego człowieka. Że... że przez cały czas wszystko się czuje, tylko nie można się ruszyć. A potem z jaj lęgną się larwy. I to też się czuje.

Patrzył na nią wyczekująco, jakby wiele zależało od jej odpowiedzi.

- Dobrze ci mówiła. Ale kiedy larwy wyzerają mózg, to już nic się nie czuje. Człowiek pada, jak stał, nawet pisnąć nie zdąży.

Żarek podniósł oczy na słońce. Z żółtego stawało się pomarańczowoczerwone.

- Pójdę już - zająknął się, nie patrzył na nią. - Późno.

W jej milczeniu usłyszał coś, od czego wstyd rozpałił mu policzki. Odchodząc obejrzał się jeszcze na skraju lasu, ale już jej nie zobaczył.



Drzwi skrzypnęły. Do chaty na chwilę zajrzało nabite gwiazdami niebo. Lubicha nie słyszała kroków, ale odezwała się w duszny mrok:

- Czekałam na ciebie.

Wiedźma nigdy nie paliła ognia, kiedy była sama. Blask księżycy wpadający przez dymnik srebrną mgiełką nie mógł rozproszyć ciemności. Ale ktoś szedł w jej stronę, poczuła leciutkie poruszenie powietrza. Wyciągnęła przed siebie kij. Powietrze zawirowało, a potem zamarło w bezruchu. Lubicha słyszała tylko własny nierówny oddech.

- To ma być jakaś próba?

Zaskoczyło ją, że głos dobiegł z za pleców. Pociągnęła kij do siebie, uśmiechnęła się w mrok.

- Albo zjadłaś jedno takie ziele, które znają tylko wiedźmy, albo masz oczy jak kot.

Była pewna, że chwila ciszy, jaka zapadła po jej słowach, oznacza wzruszenie ramion.

- Nie jestem bydlęciem, to nie zrę trawy. Zresztą nie odróżniam szczawiu od rumianku. Od dziecka dobrze widzę.

- A, to też ciekawe. Mówią, że u was na Północy te włochate czorty z gór czasem schodzą między ludzi i parzą się z waszymi babami. To, co się urodzi, ma czerwone ślepia i widzi w nocy.

- Taki odmieniec nigdy nie żyje dłużej niż kilka lat. I wygląda inaczej niż ja. Gdybym taka była, ukręciłabyś mi łeb na samym początku.

Gdzieś daleko, na drugim końcu wsi, zaszczekał pies.

- Powiesz wreszcie, kim jesteś?

- Jestem przybłądą. Nikim więcej.

Srebrzysta poświata przy dymniku powoli się rozwiewała. Po niebie przeciągały ciemne chmury.

- Pewnie, pewnie. Tylko że jak na przybłądę za dużo robisz wokół siebie zamieszania. Ot... zjawiasz się między ludźmi, a tu wszystko odmienia się na złe.

- Wygnali mnie, kiedy jeszcze ledwo stałam na nogach! - Wiedźma słyszała teraz głos przed sobą i podniosła głowę. - Pluję na ich troski.

Lubicha długo siedziała bez ruchu, jakby wsłuchana w daleki szum morza. Gudrun usiadła naprzeciw niej, w mroku błysnęły jej białe zęby.

- Złości cię, że tak mówię? Przecież sama dobrze wiesz, że to tylko kmioty.

- Kmioty - zgodziła się Lubicha, choć głos miała zmieniony. - Ale to nie znaczy, że są gorsi niż ty czy ja. Są prości, ale nie głupi. Jeszcze się zdziwisz.

- Zdziwię się, kiedy któryś puści przy mnie bździnę i przeprosi.

- Uratowali cię.

- Ty mnie uratowałaś, nie oni.

Lubicha pokiwała w ciemności głową, wypuściła głośno powietrze przez nos.

- I co dalej? Myślisz, że jesteś ważniejsza, bo wiesz o świecie więcej niż oni? Zrozum wreszcie, że ja jestem ich wiedźmą i muszę się troszczyć najpierw o nich, a dopiero potem o całą resztę. Oni nie mają nawet pojęcia, jaki kruchy jest ich spokój.

- Kmioty! - powtórzyła Gudrun i po męsku splunęła w ogień.

- Kiedy będą musieli bronić swojego kawałka brzegu, całego tego świata, jaki znają, będą się bić do ostatniego. Ale jeśli mieliby kupić spokój za twoją głowę, zrobiliby to.

Gudrun przygryzła wargi.

- O czym ty gadasz?

- Rozpal ogień. - Wiedźma rozgarnęła kijaszkiem wygasłe palenisko. - Łatwiej mówić, kiedy można zajrzeć w oczy.

Kiedy Gudrun łamała chrust, trzęsły jej się ręce. Ale bardzo szybko zapanowała nad sobą. Ogień rozświetlił jej bladą, choć spokojną twarz. Rozedrgana jasność wypełniła chatę po samą strzechę, wywabiając ze szczelin wielkie szeleszczące ćmy.

- Domyślam się, że to ciebie szukają, ci na okrętach. A ty się przed nimi chowasz, choć to przecież twoi. Dlaczego?

Oczy Gudrun zwęziły się w dwie szparki.

- Za dużo chcesz wiedzieć.

- Chcę wiedzieć tylko tyle, ile muszę. Nie narażę całej wioski dla kogoś, o kim nawet nie wiem, jak się nazywa.

Północnica poruszyła się zaskoczona.

- Mówiłam ci, że nazywam się Gudrun.

Lubicha zmarszczyła czoło, potarła pięścią nos.

- Kiedy leżałaś w gorączce, słyszałam jeszcze inne imię.

- Jakie?

- Ty mi powiedz.

Ciężki oddech Gudrun zagłuszył trzepotanie ciem. Siedziała bez ruchu, ale wiedźma poczuła zapach jej strachu. Odezwała się cicho, jakby całe jej zdecydowanie gdzieś uleciało.

- Matka mówiła na mnie Ździebeczka.

Lubicha zacisnęła pokręcone palce na kijaszku.

- Właśnie. I do tego mówisz po naszymu, a u Północnicy to rzadkość. Matka cię uczyła?

- Matka. I co z tego?

- Jeśli twojej matce pozwolili cię wychować, to znaczy, że nie była niewolnicą, tylko żoną. A Północnicy nie biorą sobie żon z tej strony morza. - Zawiesiła głos. - Poza jednym z nich.

Pod długimi, zawiniętymi do góry rzesami czało się stężone oczekiwanie.

- Jarl Harald Wilcze Zęby dostał przed laty za żonę córkę naszego księcia.

Gudrun klepnęła się otwartą dłonią w udo.

- Ha! Odumiałaś!

Wiedźma w zamyśleniu pokiwała głową.

- Krew masz północną, co tu gadać - mruknęła. - Ale musisz wbić to sobie do głowy, że jesteś tutaj sama. Gdyby rybacy dowiedzieli się, kim naprawdę jesteś, zatłukliby cię kijami bez mrugnięcia okiem. Jak wściekłego psa, na wszelki wypadek. Tak samo zrobiliby ze mną, gdybym próbowała się za tobą wstawiać.

W oczach Gudrun zapaliły się złe iskierki.

- To im nie mów.

- Pewnie, że nie powiem. Choć dla nich i bez tego nie jesteś lepsza od topielucha. Póki siedzisz w lesie, jakoś to będzie. Tylko nie pchaj się ludziom w oczy.

Przerwała, znowu się zamyśliła. Na strzesze zaszemrał łagodny, nadranny deszczyk. Gudrun siedziała ze wzrokiem wbitym w ogień.

- A teraz powiedz mi wszystko, całą prawdę - Lubicha cedziła powoli słowo po słowie. - Nic nie opuszczaj.

Północnica położyła dłoń na biodrze, gdzie pod kiecką widać było kształt noża.

- Żądasz, żebym sama podbijała cenę za swoją głowę. Ale nie licz na wiele, starucho. Jeśli zwabisz tutaj statki z Północy, nie będą ci dziękować. Oni bardzo rzadko bywają wdzięczni.

- Posłuchaj mnie dobrze, dziecko. - Lubicha pochyliła się do przodu. - Żyję na tym świecie bardzo długo i nie jestem wcale ciekawa takich głupich dziewczek jak ty. Mów, o co cię pytam, albo idź prawić swoje mądrości leśnym muszkom-gównojadkom.

Cienkie żyłki w białkach oczy Gudrun pogrubiały od gryzącego dymu. Pod powiekami zbierały się łzy.

- Nie mów tak do mnie! Nie wolno ci.

- No to zabieraj się, księżniczko, do swojej nory i więcej tu nie wracaj.

Wargi Gudrun drgnęły, kiedy się podnosiła. Kostki zsiniały na zaciśniętych w pięści dłoniach. Kiwnęła się na piętach w przód i w tył.

- Lubicha...

Dwie łzy spłynęły jej po policzkach, rozmazała je rąbkiem kiecki.

- Pomóż mi.

## R O Z D Z I A Ł E   V I I I

Leśna dróżka wkręcała się w gąszcz jak żmija. Korony drzew łączyły się na górze w zieloną strzechę, przez którą słońce odciskało na mchu jasne plamki. Szum morza tutaj nie docierał. Las żył swoim własnym, zrodzonym w półmroku życiem. Lekki wiatr ciągnął między pniami, przyjemnie chłodząc mokre od potu plecy.

Lubicha szła na przedzie, Żarek z Gudrun za nią. Zdawało się, jakby w puszczy wiedźma zapominała o swojej starczej niedołężności. Prawie nie wspierała się na kij, tylko odgarniała nim na boki jęzory paproci wpełzające na ścieżkę. Ptaszą dłonią odginała nisko zwieszające się gałęzie, a Żarek warczał, kiedy smagnięcie puszczonej nagle witki piekło mu policzek ogniem.

Gudrun szła na końcu i głośno zaśmiewała się za każdym razem, kiedy Żarek nie zdołał się uchylić.

- Ha! Kościuch mówi, że masz dobre oczy, a ty... Ha! Znowu!

- Idźże przodem! - rzucił Żarek zza zaciśniętych zębów, samymi wargami.  
- Albo zamknij się wreszcie.

- Mogę iść, czemu nie? Mam oczy w głowie, a nie w du... Ha, ha, ha!  
Znowu!

Żarek wypuścił powietrze nosem, jak tur przed walką. Czerwone pręgi na policzku nabrzmiały mu jeszcze bardziej.

- Mówię ci, Gudrun, za chwilę...

- To tu.

Lubicha zatrzymała się tak nagle, że Żarek wpadł na jej przygarbione



plecy. Sprężył się, gotów skoczyć Gudrun do oczu na pierwsze nieopatrzone słowo. Ale ona się nie śmiała. Stała bez ruchu, wpatrzona gdzieś ponad jego ramieniem. Poczuł, że Lubicha ciągnie go za rękę.

- Teraz pokażesz, czyś naprawdę taki chwat, jak o sobie mówisz.

Nasyp wyglądał na wzniesiony przed wielu laty. Szeroki na krok, długi na trzy, pierwotnie musiał być wyższy od człowieka. Teraz rozlazł się na boki i przyplaszczył. Porósł trawą i młodymi brzoźkami. Kiedy podeszli bliżej, spod nóg śmignął im zajęc.

- Zdaje mi się, że byłem już tutaj. Przecież to niedaleko. - Żarek rozglądał się na boki ze zmarszczonym czołem. - Ale tego nigdy nie widziałem.

- Nie widziałeś, bo nie mogłeś. To nie jest miejsce, gdzie byle rybak może trafić, kiedy mu się zachce.

Nie spodobało mu się to, wcale a wcale.

- I mówisz, że tu jest zakopany ten topór? Pod tym wzgórkim?

- Tu.

Żarek obejrzał się na Gudrun, jakby szukał u niej pomocy.

- Ale mówiłaś, że to jest topór wielkiego woja. I że on nigdy się z nim nie rozstawał.

- Tak było. Dawniej woje inaczej odnosili się do swojej broni, nie to, co teraz. Żadna baba nie mogła dotknąć topora, miecza ani tarczy. Straciłyby swoją moc.

- Jeśli to był taki ważny topór, to po co ten woj go zakopał?

- Nie zakopywał go. Trzymał go w garści, do końca. Do śmierci.

- No to jak... - urwał, źrenice rozszerzyły mu się nagłym niepokojem. Słyszał, jak Gudrun głośno sapie za jego plecami.

- Tu go pochowali, bardzo dawno temu. - Wciąż patrzyła nieubłaganie, nawet nie drgnęła jej powieka. - Mówiłam ci, synku, że to nie będzie łatwe.

Twarda ziemia na nasypie stawiała opór. Żarek z całych sił bódł

zaostrzonym kijem, spulchniał oplątane korzeniami kawały, ale robota szła bardzo powoli. Stopniowo wgryzał się w pochyłość nasypu. Sucha, pomieszana z drobnymi kamieniami ziemia ustępowała miejsca wilgotnej, a odrzucone na bok grudy parowały w słońcu.

Gudrun przysiadła na mchu obok Lubichy i żując źdźbło trawy, patrzyła na spocone plecy Żarka.

- Jeśli ten topór jest taki cudowny, to czemu aż do dziś nikt na niego się nie połasił? Leży w grobie i nie ma z niego pożytku.

- Tam jest jego miejsce. Ludzie wykuli go w czasach, kiedy świat był całkiem inny. Młody, dziki i nieujarzmiony. Ludzie też byli inni. - Wiedźma przydeptała czarną grudkę, która potoczyła jej się pod nogi. - No, ale oni dawno wymarli. Leżą w ziemi, a z nimi wszystko, co do nich należało.

- A jednak chcesz go wykopać.

- Chcę. Nie wiem, co z tego będzie. Może samo zło. Ale trzeba próbować, kiedy nie ma innej rady. Może dzięki niemu będziemy mogli się obronić.

Gudrun sposepniała i oparła brodę na rękach.

- Mówiłaś, że baba nie może go dotykać.

- Nie może. Dlatego jest z nami Żarek.

- On umie najwyżej machać łychą, ale nie toporem. Jeśli to Żarek ma go nosić przy boku, to już lepiej będzie...

- Stuknęło!

Żarek wyprostował plecy i wychylił się z płytkiego dołu. Twarz miał czerwona, oczy mu lśniły.

- Trafiłem na coś twardego.

- Dobrze! - Lubicha wstała, dźwigając się na kijaszku.

- Teraz bardzo ostrożnie odgarnij ziemię rękami.

To była tarcza. Wielka, okrągła, z odstającym guzem na środku. Dawniej musiała być jaskrawo malowana, ale po farbie zostały tylko złuszczone

strzępy. Żarek jednym palcem lekko omiół jej brzegi, a potem powoli, warstwa po warstwie zaczął odgarniać ziemię. Pojawił się zarys ciała, ręce ułożone wzdłuż boków, czaszka.

- Teraz wyłaź.

Wyskoczył, położył się na brzuchu i opuścił ramiona do wykopu. Szybko zrobiło mu się niewygodnie i rozbolały go ręce, ale nie zważał na to. Każdą kość oskrobywał paznokciem i nadymając policzki, zdmuchiwał suchy pył. Zdawało mu się, że słyszy nad sobą mamlanie dziąseł wiedźmy i bicie serca Północnicy. Kiedy skończył, włosy miał mokre od potu, a spod połamanych paznokci sączyła się krew. Podniósł się z ulgą i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

Kościęc zachował się bardzo dobrze. Bielał na dnie wykopu i patrzył na świat pustymi oczodołami. To musiał być silny człowiek, chociaż nie bardzo wysoki. Kości ramion miał grube, a pierś szeroką. Na gładkim czole tkwił nasadzony szpiczasty szyszak, na brzuchu leżała tarcza. Szponiaste paluchy prawej ręki trzymały trzon topora. Ostrze było gładkie, bez śladu rdzy.

- Topór jak topór — wzruszyła ramionami Gudrun. - Niewielki. U nas takimi wprawiają się chłopcy.

- Sama nie wiesz, co gadasz! — Lubicha odepchnęła ją do tyłu i machnęła kijaszkiem na Żarka. - A ty go weź. Tylko spokojnie.

Żarek znowu wskoczył do dołu. Okrakiem stanął nad szczątkami woja i pochyliwszy się, chwycił trzonek samymi palcami. Szarpnął. Pokręcił głową. Chwycił całą dłoń i szarpnął znowu.

- No, bierz go! - krzyknęła mu nad głową Gudrun.

Stał przez chwilę nieruchomo, z przygarbionymi plecami. Potem odwrócił do nich mokrą twarz.

- Nie mogę. Trzyma.

- Bierz, bo sama wleżę! - Gudrun stanęła na krawędzi wykopu, ale Lubicha chwyciła ją za włosy i nadspodziewanie silnie pociągnęła w tył.

- Nie ruszaj się stąd. - Wiedźma spojrzała jej w oczy i nie spuściła wzroku, póki Gudrun nie skinęła głową. Odwróciła się i schyliła nad Żarkiem.

- Nie szarp się. Spokojnie.

- Kiedy on naprawdę trzyma! - Żarek z całych sił próbował zapanować nad łamiącym się głosem. - Nie chce go oddać.

Lubicha położyła mu dłoń na włosach. Poczuł, jak pod tym dotknięciem odpływa od niego strach.

- Poproś go.

Chłopak wyciągnął przed siebie drżącą rękę. Leciutko dotknął kościstej skroni, a potem położył swoją dłoń na dłoni woja zaciśniętej na trzonku. Spojrzał w głąb czarnych oczodołów. Wolniuteńko wysunął trzonek spomiędzy białych palców. Jakiś krąg w szyi trupa puścił z cichym trzaśnięciem i czaszka obróciła się na bok. Z oczodołów posypał się proch.

- Dziękuję - wyszeptał Żarek.

- Unieś go nad głowę.

Ramiona zadrżały mu z wysiłku. Trzymał trzonek oburącz, policzki miał czerwone z przejęcia. Płaskie ostrze lśniło w słońcu, aż bolały oczy.

- Na stare zło potrzebna jest stara broń. - Lubicha stuknęła kijaszkiem w ziemię. - Jest twój, synku.



Myślała, że Stary ją uderzy. Skoczył do niej z uniesioną pięścią i zatoczył się jak pijany.

- Teraz mi to mówisz?

Rudawka musiała wyteńczyć całą siłę woli, żeby nie uciec. Takim go jeszcze nie widziała.

- Widziałam wejście do ich jaskini tylko z daleka i nie wiedziałam, że...

- To nie są jakieś tam wyrośnięte nietoperze! One zabijają!

- Przecież są tam od dawna. - Patrzyła na cień jego pięści na klepisku, bała się podnieść oczy. - I nic się nie stało.

Stary opuścił rękę, jakby nagle zabrakło mu sił.

- Czy ty wiesz, latawico, o czym mówisz? Przez twoją głupotę już mogło być po wiosce!

Drzwi skrzyknęły i do chaty wsunęła się Lubicha. Rzuciła okiem na Rudawkę, stanęła między nią a Starym.

- Wrzaski nic już nie pomogą, uspokój się. A ona nie jest niczemu winna.

- Nie jest? - Stary wściekł się na nowo, zaczął krążyć od ściany do ściany.

- Od dawna wie, gdzie jest gniazdo, i nic nikomu nie mówi!

Lubicha objęła Rudawkę ramieniem, a potem lekko popchnęła w stronę ławy. Usiadła obok niej i ścisnęła kijaszek kolanami.

- A ja wiedziałam jeszcze dłużej.

- Co?

- Mówiłam, żebyś się uspokoił. - Spojrzała na niego twardo. - Nie znasz się na tych sprawach.

Stary oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy. Czoło świeciło mu od potu. Końcem języka zwilżył górną wargę.

- Dobra. Mów.

- To jest małe gniazdo. Matka i kilka młodych. Jeszcze nie wylatują same na żer.

- Tym gorzej, bo to znaczy, że matka musi być bardzo zajadła. Skąd wiesz, że nie spróbuje u nas szukać wypasu? To wcale nie jest tak daleko.

Lubicha wierciła kijaszkiem dziurę w klepisku.

- Już próbowała.

Stary bezwiednie opuścił obie ręce, otworzył oczy. Osunął się plecami po ścianie i przykucnął skulony, jak zbity pies. Kilka razy otworzył usta, ale się nie odezwał.

- Pokazałam jej, że czuwam. To wystarczyło. Więcej się nie odważy.

- Czemu jej nie zabiłaś?

- Bo jestem na to za stara - odpowiedziała mu spokojnie.

Oczy Starego śledziły ruchy kijaszka.

- Jeśli te młode dorosną i wylecą na żer, wtedy nikt ich nie powstrzyma. Nawet ty.

- Wiem o tym. Dlatego powtarzam ci ciągle, że mamy coraz mniej czasu.

- Na co?

- Żeby stąd uciec.

Stary powoli odwrócił od niej oczy. Lubicha wstała, kiwnęła głową na Rudawkę. Wyszły na skąpany słońcem świat. Dziwnie było patrzeć na tych wszystkich ludzi zajętych swoimi zwyczajnymi, codziennymi sprawami.

- Uparty jest jak wół! - W głosie Lubichy nie było złości, raczej smutek. - Co jeszcze musi się stać, żeby wreszcie zrozumiał?

Poznała odpowiedź już po dwóch dniach, kiedy o świcie zleciały się do niej prawie wszystkie baby z wioski. Gardłowały jedna przez drugą, nie dało się z tego wrzasku wyłowić jednego słowa. Lubicha patrzyła na nie zza płotu. Wreszcie podniosła obie ręce do góry, uciszając jazgot.

- Żywuła! - pokazała kościstym paluchem. - Ty mów.

- Źle jest, Lubicha. Gizd poszedł w las i nie wrócił.

Wiedźma pokiwała głową, jakby tego właśnie się spodziewała.

- Kiedy poszedł?

- Wczoraj. A dzisiaj wszystkie chłopcy chcą iść go szukać.

- No, dobra. - Wyprostowała się trochę, żeby ją lepiej słyszały. —

Powiedzcie chłopom, że po Gizda ja pójdę. I znajdę go.

Obróciły się na piętach jak jedna, poleciały do wsi. Nie słyszały, jak Lubicha rzuciła za nimi niegłośno:

- Tylko nie wiem, czy go jeszcze poznacie.

Poszła, jak stała. Rudawka chciała biec za nią, ale wiedźma tylko warknęła przez ramię:

- Ani się waż!

Odeszła w górę strumienia, postukując kijaszkiem na kamykach. Ludzie patrzyli za nią, póki nie zniknęła w lesie. Potem w milczeniu znikali w swoich chatach, zamykając za sobą drzwi.

Żarek jednym skokiem przesadził strumień i zziębnięty dopadł płotu. Rudawka ciągle jeszcze stała niepewna, patrzyła na las.

- Co jest? - zapytał.

Otrząsnęła się jak szczeniak wyjęty z wody, odwróciła do niego nieprzytomne oczy.

- A, to ty. Lubicha poszła szukać Gizda.

- To widziałem. A my?

Rudawka już zdążyła ochłonąć. Jeszcze raz spojrzała w górę strumienia, zacisnęła wargi.

- A my czekamy.

Żarka aż poderwało, płot zaskrzypiał pod jego ciężarem. Kury z wrzaskiem rozbiegły się po obejściu.

- Rudawka, co z tobą? Zresztą rób, jak chcesz. Ja idę!

Gdyby teraz na niego krzyknęła, nie zwróciłby na to uwagi. Ale ona odezwała się całkiem cicho. Zarył piętami w ziemię, aż podniosła się kurzawa.

- Ona wie, co robi. Tylko ona wie. To jest tak, Żarek: topielucha możesz zarznąć nożem, jeśli jesteś szybki. Świdrzaki można wytępić jak wszy. Ale z

wąpierzami jest inna sprawa. Ich nie można tak po prostu zabić.

Żarek oblizał końcem języka wargi.

- To po co Lubicha tam poszła?

- Jest wiedźmą. - Rudawka rozłożyła ręce. - Ale i ona nie może wszystkiego. Myślę, że chce pokazać ludziom, co z nimi będzie, jeśli tu zostaną.

Miała rację. Zmierzchało, kiedy od strony lasu usłyszeli kroki. Żarek wybiegł jej na spotkanie, ale ona minęła go bez słowa. Dopiero w drzwiach chaty rzuciła mu sucho:

- Wołaj ludzi.

Rybacy schodzili się jeden za drugim, ale nie śpieszyło im się za bardzo. Zapełnili obejście zwartym, milczącym tłumem. Stali głowa przy głowie, twarze mieli nieruchome. Zafalowali niespokojnie, kiedy Lubicha wyszła przed próg.

Pospuszczali oczy na jej widok. Była zła jak bezgwiezdna noc. Ci, którzy stali na przedzie, nie mieli odwagi głośniej odetchnąć. Dopiero jakiś przyduszony głos zza pleców przerwał ciszę.

- Gdzie Gizd?

Wiedźma sięgnęła za pazuchę i rzuciła im coś pod nogi.

Z początku nie rozumieli. Pochylali się, długo patrzyli. A potem jeden po drugim nagle się prostowali. Z białymi twarzami szeptali między sobą.

To była pusta skóra ludzka. Nic więcej. Wiedzieli, że to Gizd. Poznali szorstki wiecheć włosów, gęste brwi. Niżej puste dziury po oczach, usta. Ręce i nogi. Rozwleczona na ziemi drżącymi dłońmi, przybrała kształt człowieka. Była tak cienka, że prześwitywały przez nią kępy traw.

- Tu macie Gizda. Chciał sam jeden porwać się na wąpierz. Dzielny był, ale dumy. Włazł do gniazda. Pewnie nawet nie zdążył ich zobaczyć. Kiedy są głodne, to nigdy nie trwa długo. A kiedy wessą się dwa albo trzy naraz, tyle



właśnie zostaje.

Podniosła głos, patrzyła na strzechy wioski ponad ich głowami.

- To koniec, ludzie. Nie ma na to rady. Kto chce żyć, musi uciekać. A kto chce zostać, niech najpierw zbije sobie trumnę.

Stuknęła kijaszkiem. Nawet kury przestały grzebać w ziemi.

- Bardzo małą trumnę.



Z czarnej jamy wykrotu czuć było stęchlizną. Splątane wąsy suchego mchu zwieszały się z grubych korzeni, a wybujale wyżej pasa paprocie zasłaniały kryjówkę. Wielka pajęczyna rozpięta nad wykrotem chwiała się na wietrze.

- Na pewno tam siedzi? - Żarek wystawił głowę zza drzewa i rozluźnił koszulę pod szyją.

- Mówię, że siedzi, to siedzi. - Gudrun rozgarnęła stopą suche liście, schyliła się i podniosła kamień. Żarek patrzył niepewnie, jak Północnica waży go w ręce.

- Może najpierw zajrzemy po cichu?

- Chcemy wypróbować topór czy nie chcemy? - Omiotła go spojrzeniem, podrzuciła kamień wysoko i złapała w drugą rękę.

- Ty chcesz. Ja wierzę Lubisze.

- A ja nie wierzę niczemu, czego nie zobaczę na własne oczy. - Roześmiała się, odrzuciła włosy do tyłu. - Słuchaj, Żarek. Możesz tym toporem rąbać drwa na opał, możesz nawet drapać się po plecach. Ale przecież nie po to go masz? No, chyba że po to.

Żarek szybko oblizał wargi i położył dłoń na trzonku.

- No nie... Ale tak od razu... Nie moglibyśmy zacząć od dzika?

- Dzika to ja mogę zatłuc tym kamieniem - fuknęła. - A topór ma być cudowny, nie? Stawaj przed wykrotem albo się wynoś, bo mi szkoda na ciebie czasu.

Wyszedł z za pnia ostrożnie, starając się nie szeleścić liśćmi. Tłusta mucha przeleciała mu koło ucha. Chwilę kołowała u wejścia do jamy, a potem nagle jej brzęczenie zmieniło ton. Zamotana w pajęczynę, ponawiała rozpaczliwe próby wyrwania się z matni. Żarek chwycił trzonek blisko ostrza i uniósł wysoko nad głową.

- Nie tak! Niżej, dwoma rękami. - Gudrun stanęła z boku, trochę za nim. - Rozstaw nogi i ugnij kolana, bo inaczej zrobisz krzywdę sobie, a nie jemu.

Nie spodobał mu się sposób, w jaki do niego mówiła. Wściekły kopnął jakiś pniak i zaklął pod nosem.

- Rzucaj!

Nie czekała ani chwili. Kamień zatoczył łuk i wpadł w sam środek jamy, rozrywając po drodze pajęczynę. Ucichło drażniące brzęczenie muchy, w przesianych promieniach słońca z korzeni osypał się drobnutki pył. Kątem oka Żarek zobaczył, że Gudrun znika w krzakach za jego plecami.

Odgłos uderzenia zaniepokoił go. Kamień upadł miękko, a potem stuknął jeszcze raz, jakby odbity. Zrobiło się tak, jakby cisza zgęstniała. Nawet wiatr przestał szumieć w gałęziach. Zwieszony mchu poruszyły się wszystkie naraz, a zaraz potem z jamy buchnął Żarkowi prosto w twarz ryk, od którego chłopak przestał myśleć.

Ziemia stęknęła, paprocie legły jak skoszone. Na światło dnia wygramolił się największy niedźwiedź, jakiego Żarek widział w życiu. Kiedy wspiął się na zadnie łapy, mógłby targać strzechy z chat. Pokazał zęby, znowu ryknął. Rzeźbiąc w ziemi głębokie bruzdy, opadł na cztery łapy. Zobaczył Żarka. W czarnych ślepiach odbijało mu się słońce.

Zakrzywione pazury mignęły Żarkowi przed nosem. Opadł na kolana. Ciężar topora pociągnął mu osłabłe ramiona w dół. Zamknął oczy i czekał na

cios.

Krótki świst nad głową, cisza. Schował głowę w ramiona i mocniej zacisnął powieki. Ziemia zadrżała mu pod kolanami od potężnego uderzenia, jakby waliło się drzewo. Odważył się złapać pierwszy oddech dopiero wtedy, kiedy za plecami usłyszał kroki.

- Cały jesteś, pogromco leśnych mocy? - usłyszał męski głos.

Otworzył oczy. Tylne łapy niedźwiedzia właśnie przestawały drgać. Żarek wparł trzonek topora w ziemię i podniósł się na miękkich nogach. Z otwartego pyska wystawały pióra strzały. Ślepia zmętniały, bure kłaki na grubym grzbiecie lepiły się od krwi.

- Pijany jesteś czy jak? - Grododzierzca obszedł łeb dookoła i pochylił się nad pyskiem. - Twoje szczęście, że rękę ciągle jeszcze mam pewną.

Wyrwał strzałę razem z kawałkiem mięsa. Oczyszczył ją zwitkiem trawy, a potem sięgnął po nóż i urznął uszy. Jedno rzucił Żarkowi pod nogi i wyszczerzył zęby.

- Masz. Za to, żeś mu nie pozwolił uciec, ha!

- Ja... chciałem...

- Czekaj. - Wojsław podniósł z ziemi łuk. - Opowiesz, jak ochłoniesz. Sam byłeś?

Żarek rzucił szybkie spojrzenie za siebie. Wydawało mu się, że w miejscu, gdzie zniknęła Gudrun, ciągle kołyszą się liście.

- Sam.

Przedarli się przez gęstwę do ścieżki. Żarek z płonącymi policzkami obracał w palcach włochate ucho. W pośpiechu zatknięty za pas topór uwierał go w biodro. Mógłby przysiąc, że długo jeszcze dźgało go w kark pogardliwe spojrzenie.

W wiosce przy pierwszej sposobności śmignął między płoty. Grododzierzca oglądał się za nim, ale w końcu machnął ręką. Ze zwieszoną

głową Żarek poczłapał do Lubichy. Bał się patrzeć ludziom w oczy, żeby czegoś się nie domyślili. Otworzył drzwi chaty kopniakiem i z rozmachem wbił topór w próg.

- Weź go sobie, a bajki zostaw dla dzieciaków!

Chciał odwrócić się i uciec, ale żal ściskający gardło przykuł go do miejsca. Pod powiekami czuł wzbierające łzy. Lubicha cicho wyłoniła się z mroku chaty i zatrzymała się krok przed nim.

- Porwałem się na niedźwiedzia i gdyby nie Wojsław, byłoby po mnie. Naopowiadałaś mi głupot. To jest zwyczajne stare toporzysko.

Patrzyła w milczeniu. Szczury popiskiwały w głębi chaty.

- Słyszysz, co mówię? - Płaczliwie podniósł głos. - Nic mi nie przybyło sił! Nawet nie mogłem dźwignąć tego żelastwa ze strachu!

Lubicha poruszyła się nieznacznie. W jej oczy wpadło trochę słonecznego światła.

- Nigdy nie mówiłam, że on ci doda rozumu.

Złość i wstyd tajały bardzo powoli. Rozmazał rękawem łzy na policzku, pociągnął nosem. Lubicha wyszła przed drzwi i przysiadła na progu.

- Przyjdzie czas, że poznasz jego moc. Zobaczysz.

- Ale jak? Po czym poznam, że to już?

- Nie wiem - uśmiechnęła się lekko. - Jestem tylko babą. Nigdy nie dotykałam takiego oręza.

Żarek zwarł palce na trzonku. Ostrze wyszło z progu prawie bez oporu. Przerzucił go z ręki do ręki, pokręcił głową. Topór wydawał się jakiś lżejszy niż przedtem.

- Zawsze tak gadasz, żeby tylko zakołować w głowie.

- Od tego jestem wiedźmą, nie? - Spróbowała chwycić mu nos w dwa palce, ale zdążył się uchylić.

Za płotem nagle zadudniły kroki. Na obejście wpadł Głowacz. Koszulę

miał rozchełstaną, oczy rozbiegane. Nawet nie spojrzął na wiedźmę, tylko podszedł do Żarka i chwytając go za włosy, przyciągnął jego twarz ku sobie.

- Gdzie ona jest? - Po bokach szyi urosły mu wielkie gule, oczy się zwężyły. - Poszliście w las razem, a wróciłeś z grodzierzczą.

- Puść! - Ręka sama znalazła topór i Żarek podsunął Głowaczowi ostrze pod nos. - Nie łączę za nią. I ty też nie powinieś.

Głowacz opuścił ramiona, odchylił się do tyłu. Nie odrywał wzroku od ostrza.

- No co ty?

- Won z mojego obejścia! - zaskrzeczała Lubicha i szturchnęła go kijaszkiem w pierś. Poszedł bez słowa, ale na odchodnym splunął jeszcze przez ramię.

Żarek przyłożył dłoń na płask do żelaza. Szybko zamrugał powiekami, aż mu się ruszały uszy.

- Obudził się, prawda? Ciepły? - Zmarszczki wokół ust wiedźmy zgęstniały.

Żarek podniósł na nią okrągłe oczy, a potem nagle oderwał dłoń od ostrza i wsunął topór za pas.

- E, nic - mruknął, patrząc na swoje stopy. - Słońce pali, to się nagrzał.

## R O Z D Z I A Ł E I X

Głowacz dobrze wiedział, jak to miejsce wygląda. Prawie pionowa ściana wyrastała prosto z wody, a jej ostry, porośnięty krzewami wierzchołek zdawał się rwać chmury na strzępy. Ale teraz, podpływając łódką z Gudrun przycupniętą na dziobie, patrzył na to wszystko nowymi oczami.

- Tam. - Północnica końcem noża wskazała czarną plamkę na skale, bardzo wysoko.

Głowacz wiedział, że ma rację. Na całej olbrzymiej kamiennej płaszczyźnie nie było innego otworu. Mocniej ścisnął wiosła, bo zaczęły mu się ślizgać w dłoniach.

- Jak tam wleziemy?

Gudrun schowała nóż za pas. Była ubrana po męsku, w portki i koszulę. Stała na szeroko rozstawionych nogach, łódź zakołysała się pod jej ciężarem.

- Gizd wylazł, to i nam się uda.

Zbyła go tą odpowiedzią, ale Głowacz pokiwał głową. Gdyby teraz pozwolił sobie na myślenie, pewnie odwróciłby łódź w przeciwną stronę. Wypatrzył szeroki występ skalny, który łagodnie schodził do wody. Gudrun skoczyła, nim dziób łodzi stuknął o kamień. Pomogła Głowaczowi wygramolić się na ląd, potem razem wyciągnęli łódź. Głowacz bardzo długo wiązał ją do wątego krzaczka, żeby nie zabrało jej morze. Chciał, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

- No, co jest? - Gudrun stała nad nim z ręką na biodrze, a kąciki ust drgały jej lekko. - Idziemy.

Przez jedną krótką chwilę miał ochotę uderzyć ją wiosłem w głowę i zepchnąć do wody. Ręka mu skoczyła. Ale koniec końców nawet nie spojrzał jej w oczy. Podszedł do skały i położył rękę na ścianie. Była chropawa, pełna szczelin i załamów, choć z daleka wyglądała przecież jak szkło. Podniósł kolano, wetknął palce stopy w skalne pęknięcie.

- Zaraz, czekaj! - Gudrun skoczyła w górę jak ryś, od razu złapała uchwyt dla obu rąk. - Ja pierwsza. Jak odpadniesz, nie polecisz mi na łeb.

Mignęły mu przed oczami jej bosa pięty, mały kamyk stuknął go w czoło. Zaklął. Wyrzucił ramię do góry i dźwignął na lewej ręce całe ciało. Chwilę pomacał nogą, nim znalazł oparcie dla stopy. Lazł do góry z mozołem, jak tłusty karaluch. Oddychał ze świstem, ale nie pozwalał sobie na odpoczynek. Po każdym kroku patrzył na Gudrun. Wyglądało, że dobrze jej idzie. Ruszała się zwawiej, sprężystymi ruchami całego ciała sięgała tak daleko, jak tylko było to możliwe. Jeden jej ruch wynosił ją w górę tak samo, jak jego trzy. Tylko jeden, jedyny raz obejrzała się w dół. Posłała mu dziwny grymas, trochę uśmiech, a trochę szyderstwo. A potem już nie patrzyła za siebie, parła w górę, strącając stopami skalne odpryski.

Głowacz poczuł na twarzy powiew wiatru. Gdzieś obok niego zagwizdał ptak. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał w dół.

Źle zrobił. Uda mu zmiękły, ale utrzymał się jakoś na samych rękach. Strach zmroził mu kark, odebrał władzę nad mięśniami.

Nigdy w życiu nie był tak wysoko. Łódź, pozostawiona na skalnym występie, wyglądała jak drewnienko. Morze spłaszczyło się i ściemniało, a białe kreski piany na falach zdawały się nieruchome. Przytulone do ściany mewy patrzyły na niego czarnymi oczkami, przekrzywiając w zadziwieniu łebki.

- Głowacz, nie patrz w dół!

Poczuł, że zakrzywione palce przestają trzymać się ściany. Zrozpaczony szarpnął głową. Wysoko nad sobą zobaczył zielone oczy Gudrun.

- Nie patrz w dół! - Poszukała sobie pewniejszego oparcia, znowu odwróciła się do niego. - Patrz tylko na mnie. Tylko na mnie.

Nie wiedział, czy jeszcze wisi, czy już spada. Nie wiedział nawet, gdzie jest morze, a gdzie niebo.

- Otwórz oczy, Głowacz! Patrz na mnie! Nad tobą, po prawej stronie, jest głęboka szczelina. Tam się utrzymasz.

Zaparł się nogami, skoczył. Paznokcie zaskrobały po nagiej skale. Stało mu serce, a potem rozbuchało się gwałtownymi skurczami, kiedy ręka trafiła na oparcie. Lewa noga, prawa noga. Skupione oczy Gudrun. Oddech, zamach, lewa ręka.

- Dobrze! Tylko spokojnie. Jesteśmy już blisko. - Patrzyła jeszcze przez chwilę, a potem poszła dalej.

Palce miał sztywne i zdarte do krwi, kiedy zobaczył przed oczami jej rękę. Złapał ją poniżej łokcia i otarł mokre czoło o jej rękaw. Z wysiłkiem dźwignął się do góry.

Półka skalna była na tyle wąska, że ledwo się na niej razem zmieścili. Siedzieli ramię przy ramieniu, z nogami opuszczonymi w pustkę. Długo czekali, zanim ustało drzenie mięśni i wyrównały się oddechy.

- Wejście jest tuż nad nami. - Słowa Gudrun wydały się Głowaczowi bardzo głośne w tym bezkresie pustej przestrzeni. - Nie możemy tu długo odpoczywać.

Spróbował rozprostować stężałe palce, ale ból promieniował aż po łokcie. Podciągnął nogi i klęknął twarzą do skały.,

- Podsadzę cię, tylko wstań.

Musiała go trzymać za koszulę, bo kolana ciągle mu się trzęsły. Na wysokości głowy czerniał w skale otwór. Nie był duży, ale dorosły człowiek mógł wczołgać się przez niego do środka. Wiało z niego chłodem i wilgocią.

- Dawaj nogę. Powoli, bo polecisz.



Najpierw wsunął głowę, potem ręce i barki. Gudrun pchnęła go mocniej, zaszurał brzuchem po kamieniu. Było tu całkiem ciemno. Podczołgał się na łokciach kawałek dalej i poczuł, że ciasny korytarz trochę się poszerza. Słyszał, że Gudrun weszła za nim, jej oddech owiał mu pięty.

- Naprzód, nie zatrzymuj się. Jak cię tutaj dopadną, to nawet nie kiwniesz palcem w tej ciasnocie.

Zrobiło się mokro. Po ścianach ciekły strużki wody, gdzieś w ciemności miarowo spadały krople. Sklepienie powoli odsuwało się do góry, zimny powiew się wzmagił.

Jeszcze trochę, a mogli wstać na nogi i iść dalej pochyleni. Ciemność zdawała się gęstnieć z każdym krokiem.

Poczuł rękę Gudrun na ramieniu, zbliżyła wargi do jego ucha.

- Teraz musimy być całkiem cicho. Idź naprzód i nic nie mów, póki nie zapalę pochodni.

Minęła go i poszła przodem. Wysunął z za pasa nóż, przymierzył dłoń do drewnianej rękojeści. Obejrzał się. Małe, dalekie oko niebieściło się jasnością dnia. Położył ręce na przeciwległych ścianach i poszedł za Gudrun.

Odgłos jego własnych kroków zmieniał się. Przestrzeń wokół nich była coraz większa, odbity pogłos wracał zwielokrotniony. Ściany uciekły na boki, pod nogami z cichym szmerem płynęła woda. Gudrun człapała coraz wolniej, Głowacz czuł zapach jej wilgotnych włosów. Przystanęła, wyciągnęła do niego rękę. Chwilę szukali się w ciemności, a potem Północnica dotknęła czubkami palców jego pleców i lekko pchnęła go do przodu.

Głowacz poczuł się tak, jakby wychodził z tunelu. To musiała być ogromna jaskinia. Powiew to wzmagił się, to zanikał. Wodą szumiała ze wszystkich stron.

Snop iskier rozświetlił na chwilę twarz Gudrun. Znowu trzasnęło krzesiwo, tym razem mały ogienek przeskoczył na pochodnię. Ciemność się

rozpierzchła, Głowacz zamrugał.

Przed sobą mieli czarną powierzchnię wody, po której od czasu do czasu przebiegały małe zmarszczki. W świetle pochodni nie mogli dojrzeć ścian jaskini ani sklepienia. Głowaczowi się zdawało, że nad głową słyszy szum wiatru, ale szybko zrozumiał, że to spotężniały odgłos jego własnego oddechu. Każdy ruch, każdy trącony nogą kamień odzywał się echem z najmroczniejszych kątów.

- Jeśli nie znajdziemy ich, zanim się obudzą, to po nas! - szepnęła mu w ucho Gudrun.

Płomień pochodni zakołysał się, kiedy weszła w wodę. Głowacz wzdrygnął się przed pierwszym krokiem. W takim czarnym bajorze może żyć wszystko to, co boi się jasności dnia. Podwinął nogawki i poszedł za Północnicą. Woda była tak zimna, że bardzo szybko stracił czucie w stopach. Mimo woli wciągnął brzuch i stawiał nogi sztywno, jak bocian. Dno trochę opadało, ale powierzchnia rozlewiska nie sięgnęła mu kolan.

Gudrun poczekała na niego. Odrzuciła do tyłu włosy, przymrużyła oczy. Podniecenie rozdymało jej nozdrza.

- Są tam. Czuję krew na ich pyskach.

Poszła dalej, z pochodnią w lewej i nożem w prawej ręce. Płonące grudki z pochodni z sykiem wpadały w wodę. Głowacz rozprostował obolałe barki, parę razy zgiął i wyprostował palce. Gudrun nie oglądała się na niego. Nogi miał jak drewniane kłocze, nie mógł iść bez rozchlapywania wody. Po każdym kroku musiał łapać równowagę od nowa. Nie zauważył, że dno znowu się podnosi. Potknął się, przebiegł parę kroków machając rękami. Zatrzymał się na suchej skale, rozejrzał się za Gudrun.

Wyszła z wody w innym, bardziej dogodnym miejscu. Pochyliła się powoli i wetknęła pochodnię w skalne rumowisko. Krąg światła się zawęził, ale płomień zajaśniał teraz równo.

Głowacz oderwał oczy od Gudrun. To była mała, płaska wysepka, nie

szersza niż na trzydzieści kroków.

Zobaczył je od razu.

Siedziały stłoczone pośrodku. Wyglądały jak dzieci, które zgubiły drogę i zatrzymały się tutaj, żeby odpocząć. Zbite w gromadkę, z powieszanymi głowami, otulone skrzydłami jak płaszczami. Wtulały się w siebie jak stadko porzuconych piskląt, piersi podnosiły im się w spokojnym oddechu.

Poczuł ukłucie w boku. Gudrun kolnęła go lekko końcem noża.

- Pobudka! - Nie starała się już mówić cicho, nawet uśmiechnęła się przelotnie. - Nie bój się, śpią jak zabite. Nażarły się Gizdem na parę dni. Młode nie budzą się za dnia z byle powodu. A matki nie ma.

— Są takie... takie małe. Jak niemowlęta.

Gudrun przyjrzała mu się z uwagą. Znowu się uśmiechnęła do własnych myśli.

— Żal ci? Chodź, coś ci pokażę.

Pociągnęła go za rękę, prosto do nich. Parę kamieni z łoskotem potoczyło się do wody, ale żaden z młodych wapiery nawet nie drgnął. Gudrun dwoma palcami chwyciła kępkę włosów nad czołem pierwszego z brzegu i uniosła jego głowę.

Głowacz cofnął się do tyłu.

- O Jezusie!

Twarz była prawie ludzka, ale właśnie dlatego wyglądała jak chorobliwy majak. Skóra biała, niemal przezroczysta, z gęstą siateczką żyłek wokół oczu i warg. Powieki bez brwi i rzęs, opuchnięte i ściśle zlepione śluzową wydzieliną. Między wąskimi, sinoniebieskimi wargami bieliły się dwie szpile kłów, u nasady pokryte czarnymi plamkami zakrzepłej krwi. Z odstających uszu wyrastały delikatne rude włoski.

- Miły chłopak, nie? Patrz dalej.

Wsadziła ręce między złączone na piersi skrzydła i rozwarła je jednym

szarpnięciem. Były błoniaste, poprzetykane żebrowaniem leciutkich kości. Pod nimi rudziła na piersi krótka szczecinka, a niżej wywalał się aż na sterczące kolana wielki, nabrzmiały brzuch.

- Twój niemowlaczek się ożarł. - Zmarszczyła nos, szybkim ruchem odwróciła głowę. - I chyba bździ sobie cichutko przez sen.

Głowacz odetchnął dopiero wtedy, kiedy smród się rozwiął. Przyłożył nóż do mięsistego gardła wąpierza. W tej samej chwili poczuł ból w nadgarstku, usłyszał chrupnięcie kości. Nóż z brzękiem upadł na kamień. Głowacz podparł się na drugiej ręce, żeby nie upaść.

- Czemu mnie kopnęłaś, głupia suko? - Patrzył, jak nadgarstek puchnie w oczach. - Chyba złamałaś mi rękę!

Gudrun schyliła się po jego nóż i wetknęła go sobie za pas. Chwyciła wąpierza pod skrzydła i odciągnęła na bok.

- Jeśli go zranisz, on krzyknie. Wiesz, co to jest krzyk wąpierza?

Ból w ręce rósł, Głowaczowi w oczach zaświeciły łzy. Wielkie zielone oczy Gudrun co chwila mu się zamazywały, chociaż ciągle stała przed nim na lekko przygiętych nogach. Mówiła mu prosto w twarz.

- Nie mógłbyś się ruszyć. Przypląszczyłbyś się do ziemi jak przerażony królik. Myślałbyś, że zaraz pęknie ci czaszka. I jeśli straciłbyś przytomność od tego krzyku, byłbyś szczęśliwcem. Bo na wołanie młodych wąpierz zawsze przylatuje matka.

Głowacz jęknął i spróbował zapanować nad oddechem. Nie poznawał Gudrun, zaczął się jej bać. Przygryzł wąsy i z trudem wstał na nogi.

- Umiem tak poderżnąć gardło, że ani by pisnęły.

- Nie ma na świecie takiego ostrza - przerwała mu gniewnie. - Rozerwiesz wąpierza na pół, a on dalej będzie krzyżeć. Wyrwiesz mu bebechy, nie przestanie.

- No to jak je zabijemy?

- Jest tylko jeden sposób. - Patrzyła prosto w jego umęczone oczy. - Stary, zdradziecki sposób zabijania silnego przez słabego. Trzeba je otruć.

Ból pulsował Głowaczowi w głowie, powodował drzenie kolan. Rybak zachwiał się, zapłakał bezgłośnie. Nie rozumiał, nic nie rozumiał.

- Jak otruć? Czym?

- O, jest wiele trucizn - wzruszyła ramionami. - Wiem o tym co nieco, bo u nas na Północy jest wielu słabych, którzy nienawidzą mocnych. Ale Lubicha zna się na tym lepiej ode mnie, dlatego ukradłam jej to...

Sięgnęła po woreczek uwiązany do pasa i rozsypała go ostrożnie. Ostry, dławiący zapach uderzył Głowacza tak mocno, że na chwilę zapomniał o bólu.

- Co to jest?

- Nie wiem. Chyba grzybki, ale może i jeszcze coś obrzydliwszego.

- Mało tego.

Gudrun uniosła brwi, uśmiechnęła się samymi wargami.

- W wiosce dałam jedną szczyptę na rybę. Tyle, ile mieści się na końcu noża. Zawołałam psiaka. Wiesz, tego łaciatego. Zeżarł rybę na dwa kęsy. Nie zdążył się nawet oblizać, a już leżał z kulasami sterczącymi w niebo.

- Ten łaciaty był mój.

- Wiem. - Zieleń jej oczu była teraz taka, jak puszcza o zmierzchu. - Ale wydawało mi się, że nigdy go za bardzo nie lubiłeś.

Głowacz patrzył na rękojeść swojego noża za paskiem Gudrun. Ciągłe jeszcze nie rozumiał, ale zaczynał już przeczuwać. Przycisnął złamaną rękę do boku i spojrzał w stronę korytarza. Musiał przełknąć ślinę, bo gardło miał zaciśnięte.

- Nie masz ryby.

Gdyby usłyszał choć drgnienie w jej głosie, może znalazłby siły do walki. Ale ona stała przed nim i mówiła tak spokojnie, jakby rozmawiali o czymś

całkiem nieważnym.

- One nie jedzą ryb, wiesz przecież o tym.

Upadł na kolana. Zadał sobie wiele trudu, żeby jej nie błagać.

- A gdybym z tobą nie poszedł? Co byś zrobiła?

Dotknęła końcami palców jego czoła, odgarnęła mu włosy. Odezwała się cicho i łagodnie:

- Ale poszedłeś, Głowacz. Jesteś tutaj, żeby mi pomóc.

Wyciągnęła zza pasa nóż.

- Nic nie zaboli. Obiecuję.



Wojśław wychylił się z łodzi i splunął w wodę.

- Nie rób tego - syknął Stary. - To im się może nie spodobać.

- Tylko patrzeć, jak zaczniesz się bać swojego cienia. - Wojśław roześmiał się i splunął znowu. - A ja chciałbym wreszcie coś zobaczyć, bo na razie tylko kraczesz.

- One się nie pokazują tak łatwo. - Żarek poprawił trzonek topora za pasem i naparł na wiosła. - Mnie kiedyś jeden chwycił za nogę i...

- Zamknij dziób i wiosłuj! - Stary trzepnął go pięścią w kark. - Nie odzywaj się, jak nikt cię nie pyta.

Niebo ciemniało. Ciężkie, poszarpane chmury toczyły się znad lądu, gnane potężniejszym wiatrem. Tu, na dole, było jeszcze cicho. Ostatnie zaniepokojone mewy śmigły nisko nad wodą. Ale parne powietrze już było czuć burzą.

- Niedługo się zacznie. - Stary wysunął drugą parę wioseł. - Trzeba się pospieszyć.

Złowili niewiele. Stary pieklił się od samego rana, bo Żarkowi topór zawadzał przy robocie, a za nic nie chciał zostawić go w chacie. No i jeszcze Wojsław, który zabrał się z nimi nie wiadomo po co. Nie przydał się na nic, za to musieli omijać jego tłusty brzuch.

- Coraz mniej wierzę w te wasze strachy. - Grododzierzca rozparł się wygodniej. - Siedzę u was jak głupi i wącham rybi smród, a drużyna rozchlała mi się na całego.

Jakaś zapóźniona mewa przysiadła na wiosle. Przekrzywiła łebek w jedną i drugą stronę, a potem z wrzaskiem poleciała dalej. Ciepły, letni deszczyk zakłuł powierzchnię wody tysiącem igiełek.

Nagle łódź zakolebała się mocniej i pozostała w lekkim przechyleniu. Stary z Żarkiem przestali wiosłować i podnieśli głowy.

- No nie! - parsknął Wojsław. - Wy naprawdę puszczaście ze strachu bą...

Wiosła z pluskiem osunęły się do wody. Żarek przyłgnął palcami do trzonka topora, a Stary wolno podniósł się na nogi.

- Wstań bardzo powoli i odejdz stamtąd. - Patrzył gdzieś za plecy grododzierzcy.

Wojsław obejrzał się przez ramię. Dolna szczeka zwisała mu luźno, jakby wypadła z łożyska. Tuż obok niego, na krawędzi łodzi, zaciskała się dłoń.

Wyuczonym odruchem ręka skoczyła mu do boku, wyrwał nóż. Dłoń zniknęła. Łódź z chłupotem wróciła do równowagi, ale po paru chwilach napiętej ciszy przechyliła się na drugą stronę. Na przeciwległej krawędzi z cichym plaśnięciem zahaczyły się zagięte palce. Obok pokazała się druga dłoń. Żarek przygiął kolana i chwycił topór obiema rękami. Grododzierzca wysunął nóż przed siebie.

- Może mi któryś pomoże, zamiast świecić w oczy żelazem? - Głos dobiegał z dołu, z wody.

Żarek był pierwszy, któremu udało się zamknąć rozdziawione usta. Wetknął topór za pas i pomógł Gudrun wdrapać się na łódź. Wciągnęła za

sobą ciasno zasznurowany, skórzany worek. Ociekała wodą jak podtopiony kociak. Przysiadła na piętach i ciężko łapiąc oddech, patrzyła na nich spod rzęs.

- No co? - Zarzuciła głową w prawo i w lewo, a słony deszcz z jej włosów zrosił im twarze. - Będziemy się tak na siebie gapić?

Zieleń jej oczu zgasła, kiedy pochyliła się nad workiem.

Wysunąwszy koniec języka, zabrała się za rozsupływanie mokrych rzemieni.

- Widzę, że prawdę mi o tobie mówiono. - Grododzierzca przestąpił z nogi na nogę. - Jesteś szalona.

- Mnie też mówiono o tobie prawdę. - Brwi zbiegły jej się na środku czoła. - Jesteś gruby.

Deszcz nasilił się. Wielkie krople skapywały Wojsławowi z wąsów i brody, pobladła twarz lśniła od wilgoci.

- Trochę pokory, dziecko. Mówisz do książęcego grododzierzcy.

- A ty mówisz do Gudrun Czarnowłosej, córki króla Haralda Wilcze Zęby, ostatnio lepiej znanego na Północy jako Harald Opętany. - Nie spojrzała na nich, tylko rwała rzemienie z coraz większą wściekłością. — Mówisz do jedynej spadkobierczyni jego tronu, dlatego waż lepiej każde swoje słowo. Jestem bardzo pamiętliwa.

Zbyt wiele się stało w tak krótkim czasie, żeby Wojsław mógł to od razu przetrwać. Przygarbił się i wsadził kciuki za pas.

- Wracajmy do wioski. Chyba musimy sobie trochę porozmawiać.

Stary z Żarkiem skwapliwie chwycili za wiosła, ale Gudrun powstrzymała ich ruchem ręki.

- Tu jest dobre miejsce. Nie jesteśmy ani na twojej ziemi, ani na mojej. Morze należy do wszystkich.

- Ale ta łódź należy do księcia - zmarszczył czoło grododzierzca. - I ja



mam na niej ostatnie słowo.

- Wiem. Właśnie dlatego chcę ją kupić.

- Nie wyglądasz, jakbyś miała za co.

- Wszyscy przejmują się moim wyglądem, a nikt nie słucha tego, co mówię. - Wstała z kolan, trzymając pod pachą rozsypłany worek. - Nie dam rady wiosłować sama, dlatego potrzebuję jeszcze dwóch ludzi. Mogą być wioskowi, mogą być woje. Wszystko mi jedno.

- Nie wiem, jak jest u was na Północy, ale u nas sam czort nie zmusi rybaka do opuszczenia wioski. A wojów nie rozdaję, bo tutaj ich nie sieją.

Gudrun sięgnęła do wora. Chwilę gmerała w środku palcami, zaciskając wargi, a potem jednym szarpnięciem wyciągnęła coś ciężkiego i rzuciła Wojsławowi pod nogi.

- Wiesz, co to jest?

Głowa wąpierza zatoczyła małe koło i zatrzymała się wsparta o stopę grodzierzcy. Białe kły ukosem celowały w niebo. Stary zaklął, Żarek zzieleniał i oparł się na obu rękach. Wojsław trącił łeb dużym palcem stopy i poczuł, jak obłazi go gęsia skórka.

- Domyślam się. - Odchrząknął, splunął. - I co dalej?

- Głupie kmioty od razu się domyśliły, że to wszystko dzieje się z mojego powodu. Topieluchy, świdrzaki, wąpierze i cała reszta tego diabelstwa, które dopiero nadejdzie. To psy gończe, którym kazano mnie dopaść. Ale na razie mnie nie widzą. Kąsają, gdzie popadnie. Polują na ludzi z nadzieją, że może któraś z kolei będę ja.

Podniosła wąpierzy łeb za rudą szczecinę i rzuciła w morze.

- Tylko ja mogę je powstrzymać. Wiem, jak to zrobić. W zamian żądam tylko małej łodzi z dwoma ludźmi.

Grodzierzca patrzył na czarne chmury, które zasnuły połowę nieba. Kiedy Gudrun skończyła mówić, opuścił na nią oczy i uśmiechnął się

samymi wargami.

- Ciekawe, komu na Północy tak bardzo zależało za skórę, że jego nienawiść mogła otworzyć bramy piekieł. Ktokolwiek to jest, słuchając cię, zaczynam go rozumieć. Ale może jest prostszy sposób, żeby te bramy zamknąć? Na przykład cię zabić.

Ostatnie słowa wymawiał już sięgając po nóż. Natarł na Gudrun z nisko pochyloną głową. Żarek jednym skokiem stanął na jego drodze.

- Nie!

Cios pięścią w skroń odrzucił go do tyłu. Wojsław przeskoczył nad nim i odchylił za siebie rękę w głębokim zamachu. Celował prosto w wycięcie koszuli pod szyją Gudrun.

Napotkał jej spojrzenie i na mgnienie się zatrzymał. Przestraszył się tego, co zobaczył w jej oczach. Zdało mu się, że ona odpływa od niego na jakieś innej łodzi. Otrząsnął się - zrozumiał, że Gudrun z rozkrzyżowanymi ramionami leci w tył. Przepadła przez krawędź łodzi i zamknęła się nad nią woda.

Nóż grodzierzcy przeciął powietrze.

## R O Z D Z I A Ł E X

Stary siedział na wysokiej skale i patrzył na morze. Mały statek z maszcikiem jak drzazga wolno ślizgał się po linii widnokregu. Bliżej kołysały się na płaskiej fali łódzie rybaków, a między nimi, klaszcząc ogonami o powierzchnię wody, nurkowały foki.

Usłyszał Wojsława z daleka. Każdy jego krok brzęczał żelazem, jakby ktoś niósł worek pełen srebrnych monet. Kiedy wszedł na skalny występ, spod jego stóp osypały się małe kamienie. Zatrzymał się za plecami Starego, a ostatnie brzęknięcie długo dobrzmiewało w ciszy.

Stary niechętnie oderwał oczy od morza. Wstał i odwrócił się do grodzierzcy.

- No i co?

- I nic. - Wojsław miał szyszak nasunięty głęboko na lśniące potem czoło. - Pusto, żadnych śladów. Szalas kazałem spalić.

- Naprawdę myślałeś, że tam wróci?

- Nie wróci, bo właśnie tuczają się na niej wasze ryby.

Stary spojrzał na ciemniejące ponad wioską drzewa.

Pierwsze liście zaczynały już żółcić się po brzegach.

- Uwierzę, kiedy zobaczę jej trupa. Ona powinna być martwa już kilka razy. A ciągle żyje.

- Jak chcesz. - Grubo wyprawiona skóra kaftana zaskrzypiała, kiedy Wojsław wzruszył ramionami. - Dla mnie jest po sprawie. Posłałem wojów wzdłuż brzegu, w obie strony. Jeśli morze ją wypłuje, to może nawet będziesz miał swojego t

Stary ocienił oczy dłonią i spojrzął w dół, gdzie biała płaszczyzna piasku oślepiła odbitym światłem słońca.

- Twei ludzie chyba właśnie wracają. Nie wygląda to za dobrze.

Dwóch wojów szło utwardzonym, mokrym piaskiem. Spieniona woda omywała im stopy. Między sobą nieśli trzeciego, jego odrzucona do tyłu głowa kiwała się bezwładnie. Wojsław ze Starym zeszli do nich po kamiennej ścieżce. Nie patrzyli na siebie.

Woje położyli tego trzeciego na piasku i weszli po kolana w morze. Nabierali wody w złączone dłonie i lali sobie na rozgrzane karki. Kiedy zobaczyli grodzierzcę, stanęli przed nim wyprężeni, ale oczyma uciekali na bok.

- Waśnie umarł. - Wyższy, z jasnymi włosami, rozłożył ręce. - Żył cały czas, jakeśmy go nieśli. Nie dotrzymał na sam koniec.

Niższy skrzywił się i przygiął kolana, jakby go nagle coś zabolalo w kroku.

- Poszedł w krzaki, bo od tego wioskowego piwa człowiek tylko leje i leje... Strasznie krzyczał. Coś mu wyrwało połowę bebechów.

Muchy obsiadały miejsce, gdzie przedtem było podbrzusze trupa. Wojsław obrócił się gwałtownie i zerwał z głowy szyszak. Łapał powietrze jak ryba rzucona na brzeg.

Drgnęli, kiedy nagle załopotwały skrzydła spłoszonej mewy. Od wioski wolniutko schodziła Lubicha. Badała drogę przed sobą kijaszkiem, a drugą rękę wspierała na ramieniu Rudawki. W swojej czarnej kiece wyglądała jak wrona na jasnej skale. Zgarbiona stanęła nad trupem. Patrzyła długo, a potem wyciągnęła dwa palce i zamknęła mu powieki. Szurając kijaszkiem po piasku, odwróciła się do Wojsława.

- Nie czekaj na tamtych, których posłałeś w drugą stronę. Nie mieli tyle szczęścia i nie ma ich kto przynieść.

- A ty co, jedzo? - Wojsławowi zatrzęsła się głowa jak starcowi. - Umiesz

latać, że zdążyłaś obrócić tam i nazad?

Podniosła na niego łzawe oczy, wielkie i uważne. Siwe pasma jej włosów tańczyły na wietrze.

- Oni nie żyją. Trzeba ich pogrzebać, póki nie dobrały się do nich jakieś trupojady.

Grododzierzca podniósł rękę. Byłby uderzył, gdyby Stary nie złapał go za nadgarstek.

- Jeśli Lubicha tak mówi, to tak jest! - syknął mu w ucho, a ręka Wojsława opadła prawie od razu.

- Nikt nie będzie zabijać bezkarnie moich drużynników! Znajdę tego, kto to zrobił, i oprawię go tak samo. - Skinął głową w stronę trupa. - A jeśli się okaże, że to ktoś od was, spalę też całą tę waszą sparszywiałą wieś.

- Nie z ludźmi masz sprawę. - Stary puścił jego rękę.

- Żadne zwierzę nie kaleczy w ten sposób. Coś takiego mógł wymyślić tylko człowiek.

- Jeśli przyjrzesz się ranie, zobaczysz ślad pazurów - powiedziała cicho Lubicha. - To nie było ani zwierzę, ani człowiek. Wilkołak.

Woje, którzy przynieśli trupa, równocześnie obrócili głowy w stronę, z której nadeszli. Piach, morze, skały - jak wszędzie.

- Tej nocy wyły. Kto się nie schlał, ten słyszał. Jeśli zabiły tak szybko i do tego za dnia, to znaczy, że jest ich bardzo wiele. I że są bardzo zuchwałe.

Wojsław podrapał się w tył głowy. Po raz pierwszy spojrzął na wiedźmę niepewnie.

- Gdzie one są? Byłem w lesie i nic mi się nie stało.

- Zawsze najwięcej szczęścia mają głupcy. One są blisko. Bardzo blisko. Mogą patrzeć na nas zza każdego drzewa i z każdej kępy krzaków.

Zamilkli. Wyraźnie było słychać, jak komuś strach burczy w jelitach.

- To co radzisz? - Wojsław przestąpił z nogi na nogę.

- To samo, co i przedtem. Zabierać się jak najdalej stąd.

Grododzierzca podniósł szyszak i otrzepał go z piachu. Mimo woli oglądał się na skupisko wątych drzewek pod samym urwiskiem.

- Nigdy nie uciekałem przed wrogiem. A to jest księżęca wioska, nie twoja. Jestem tu po to, żeby jej bronić.

- Przed chwilą chciałeś ją puszczać z dymem.

- Przestań się mądrzyć, ropucho! - Odetchnął głęboko.

- Przed nocą postawimy zasieki. Wykopiemy rów. Przyłgniemy na tej skale jak orlęta w gnieździe. Nic nas nie ruszy.

- A żreć będziemy trawę - mruknął Stary i machnął ręką.

- Koniec gadania! - Wojsław nałożył szyszak i wbił go na czoło uderzeniem pięści. - Będzie tak, jak mówię. Baby z dziećmi w las albo brzegiem morza do Grodziska. Chłopy zostają. Jak któremu nie w smak, to pętla na szyję.

- To nie wszystko - głos wiedzmy skrzypiał jak stare drzewa na wietrze.

- Co jeszcze?

- Ona. Ani jej nie zabiłeś, ani nie dałeś, czego chciała.

- Na nią też przyjdzie czas, jak pozbędziemy się tego tu - zrobił nieokreślony ruch ręką. - Jeśli ona w ogóle żyje.

- Żyje. I jeśli jest wystarczająco wściekła, to prędzej przyjdzie czas na nas, jak na nią.

- Gadajże jasno! Co nam może zrobić?

- Może się ujawnić. A wtedy wszystko to, co teraz podgryza nas na ślepo, spadnie na ten kawałek brzegu z całą diabelską zajadłością. Nie zostanie nic. Tylko smród, którym przesiąkną nawet kamienie.

Wojsław potarł brodę.

- Wtedy i ona zginie, jeśli to właśnie jej szukają.

- Ona jedna mogłaby ocaleć! Urodziła się na Północy. Oni tam żyją w cieniu Zła od pokoleń i znają się na tym. Jest śmiała, prawie szalona. Może spróbować.

- Ale jak? Wylezie na skałę i zacznie machać rękami?

- Nie wiem. - Wiedźma zmarszczyła czoło. - Różnie to bywa. Jeśli teraz Zło jej nie widzi, to znaczy, że coś ją chroni. Musiałaby zrobić coś... Wyjść z cienia.

- Co?

Wiedźma wyprostowała się nagle.

- Czasem wystarczy zabić niemowlę i wypić jego krew.

- Tfu! - Wojsław otworzył szeroko oczy. - Aż taka szalona to ona chyba nie jest.

- Ukręcić łeb czarnemu kogutowi, pomazać juchą próg chaty i wezwać diabła.

- Ona nie ma chaty.

- Stracić wianek.

- Ona nie... - grodzierzca urwał.

Wszyscy popatrzyli po sobie, sprawdzając, czy to odkrycie na każdym zrobiło takie samo wrażenie. Po pewnym czasie ich oczy zatrzymały się na Rudawce.

- Gdzie Żarek? - szeptem zapytał Stary.



Póki ostatni czerwony rąbek słońca sterczał nad wodą, Żarek nie tracił nadziei, że ją odnajdzie. Wytrwale szedł brzegiem morza. Czasem podbiegał, kiedy wydawało mu się, że coś widzi. Ale słońce świeciło coraz słabiej, a

jemu oczy zaczynały łzawić od ciągłego wysiłku. Zaglądał za każdy pień wyrzucony na brzeg, odwracał się na każdy plusk od strony morza. Nic. Skrzypienie piasku i cichy szmer fal. Poddał się, kiedy na widnokręgu zgasł wąły promyczek. Wyszukał jakiś płaski kamień i siadł z łokciami opartymi na kolanach. W głowie miał pustkę, a w sercu zamęt.

Pochylił się i zaraz wyprostował plecy z sykiem bólu. Krwawe pręgi na grzbiecie po bacie grododzierzcy piekły ogniem, kiedy ocierała się o nie koszula. Przymknął oczy. Uparcie, od nowa smakował pod językiem cierpki smak nienawiści. Ręką kołował przy boku, gdzie mógł gładzić pieszczotliwie płaski kształt topora. Był ciężki, obciągał mu pas. I zimny.

Westchnął, podniósł głowę.

I wtedy nagle ją zobaczył. Stała kilkanaście kroków dalej, na płyciźnie, a wokół jej kolan zbierała się biała piana. Patrzyła na morze. Czarny nieruchomy cień na tle ciemniejącego nieba.

Wstał. Szło mu się lekko, jak we śnie. Nie myślał o niczym, nawet o niej. Chciał tylko spokoju i zdawało mu się, że właśnie idzie po spokój.

Ocknął się, kiedy zimna woda schłodziła mu stopy. Przeszedł go krótki dreszcz. Drobnymi kroczkami uciekł przed następną falą i zatrzymał się na mokrym piasku. Wyciągnął przed siebie obie ręce.

- Gudrun.

Był tak blisko, że musiała go słyszeć. Ale nie odwróciła się. Stała lekko pochylona do przodu, jakby walczyła z naporem wody. Ubranie wisiało na niej w strzępach i łopotało na wietrze.

- Gudrun! To ja. Cała jesteś?

Chyba wydała jakiś cichy dźwięk, jakby przytłumiony płacz niemowlęcia. Nigdy nie słyszał u niej czegoś podobnego. Zrobił krok naprzód i odruchowo wciągnął brzuch, kiedy mokry chłód sięgnął mu łydek. Wyciągnął do przodu rękę najbardziej jak mógł i dotknął palcami jej pleców. We włosy miała wplątane wodorosty. Poczuł, że skórę ma zimną i napiętą.



Teraz wyraźnie usłyszał, jak jęknęła.

Cofnął rękę zbyt gwałtownie i stracił równowagę. Niezdarnie przebiegł parę kroków, zaczepił stopą o zielsko i zaraz poczuł między zębami denny piasek. Zerwał się prychnając, z nosa kapały mu wielkie słone krople. Chłodny wiatr na mokrej skórze wydał mu się prawie lodowaty. Zwarł szczęki. Prawie jednocześnie poczuł, jak gdzieś od biodra błogą falą promieniuje ciepło.

Gudrun była tuż obok niego. Jej przemoczone łachy śmierdziały zgnilizną. Kiedy skupił na niej wzrok, stęknął ze zgrozy i chwycił toporek. Zanim trafił na trzonek, musnął palcami ciepłe ostrze.

Nie miała twarzy. Nie miała oczu, nosa ani ust. Wszystko było pokryte grubą warstwą półprzezroczystej, bezbarwnej mazi, od czoła aż do podbródka. Ale to była ona. W odbitej od wody słabej poświacie Żarek poznawał jej włosy i kształt jej głowy.

Zdrętwiał ze strachu, ale patrzył. Stała bez ruchu, tylko jasne kropki gwiazd odbijające się w tym, co miała na twarzy, trzęsły się leciutko. To musiało być żywe. Wydzielało bladą jasność, jak próchno w ciemnej dziupli wierzby. Drżało, falowało, kurczyło się i pęczniało. Cieniutkie jak włos żyłki biegły od brzegów i skupiały się w środku, gdzie ledwie zauważalnie tłoczyło krew czerwone jądro.

Z podniesionym toporem Żarek krok za krokiem wycofał się na brzeg. Głowa Gudrun obróciła się za nim, jak słonecznik za słońcem. Zdawało mu się, że powietrze zgęstniało nagle i stawiało opór, jak woda.

Przylga! Prawdziwa przylga! Oślizgła i śmierdząca, z samego dna najgłębszego morza.

Żarek odbiegł parę kroków, zatrzymał się. Zawrócił. Kolana mu się trzęsły, bezradnie rozejrzał się dookoła. Gorączkowo próbował połączyć ze sobą jakieś ulotne strzępy dawnych gadek. Wiedział, że musi się spieszyć, bo dla Gudrun w każdej chwili może być za późno.

Rąbać toporem? Nie. Tylko rozłupie Gudrun czaszkę, a zamiast jednej

przyłgi będą dwie. Jakby to miało być takie proste, to Północnica sama zdrapałaby ją palcami. Przynajmniej póki jeszcze mogła się ruszać tak, jak chciała. Nic siłą, nic siłą... Ogień! Nic, co żyje w wodzie, nie przetrwa próby ognia!

Ale skąd tu wziąć ogień?

Ostrze topora grzało przez portki. Podniósł go przed sobą i głośno chlapiąc dla dodania sobie otuchy wrócił tam, skąd uciekł. Z każdym krokiem topór rozpalał się bardziej, Żarek czuł jego żar na wargach. Kiedy zatrzymał się przed Gudrun, kropla wody spadła na żelazo i wyparowała z sykiem.

Przygryzając koniec języka, zbliżył ostrze do twarzy Gudrun. Odbite w wodnistym cieple przyłgi gwiazdy przestały drgać. Ostrożnie przyłożył topór do miejsca, gdzie łączyły się żyłki. Zaskwierczało, ale z początku nie stało się nic więcej. Usłyszał, jak trzaskają stawy w zaciśniętych pięściach Gudrun. A potem przyłga skurczyła się nagle, żyłki skróciły się i zgrubiały. Musiał powstrzymać się całą siłą, żeby nie odskoczyć. Z cichym mlaśnięciem jedna po drugiej puszczały przyssawki. Kiedy wydało mu się, że to wszystkie, poderwał topór do góry. Nie pozwolił przyłdze osunąć się do morza. Zakręcił trzonkiem nad głową i odrzucił ją daleko na brzeg. Pacnęła w piasek jak ochłap mięsa. Kiedy się nad nią pochylił, wyglądała jak rozmazana kupka śluzu. Oklapła, ale ciągle żyła.

- Zostaw.

Nie słyszał, jak podeszła. Chciał spojrzeć na jej twarz, ale skrywał ją mrok.

- Bez wody zdechnie. Do rana wyschnie na wietrze.

Zza chmury wychylił się sierp księżyca, dał więcej światła. Gudrun poruszyła się, jakby chciała się odwrócić, ale nie zrobiła tego. Pozwoliła mu się obejrzeć. Twarz miała upstrzoną maleńkimi rankami, a na każdej z nich nabrzmiewała kropelka krwi. Powieki miała gołe, po rzęsach i brwiach zostały białe ślady.

- Uroda rzecz ulotna. - Otarła twarz zgiętym ramieniem, ale tylko

rozmasała krew. - Zresztą zagoi się. Bywało gorzej.

- Jak... - szczęki Żarka ciągle jeszcze były sztywne. - Jak się czujesz?

- Od dwóch dni nic nie jadłam. Boli mnie każda kość. Szuka mnie grododzierzca i wszystkie dzieci piekła, jakie sobie tylko wymyślisz. Właśnie wyrwałeś mnie od śmierci, a nawet czegoś gorszego. Poza tym dobrze, dziękuję.

- Ale to... czy ty... - zaplątał się i zamilkł. Gudrun sypnęła garść piasku na dogorywającą przylgę i uśmiechnęła się.

- Nie. Blisko było, ale nie zdążyła nade mną zapanować. Inaczej nie rozmawiałabym z tobą. Nie przeżyłabym rozdzielenia.

Żarek wsunął topór za pas. Drżenie ramion ustępowało bardzo powoli.

- A ty zawsze jesteś pod ręką, kiedy cię potrzebuję. - Podeszła do niego całkiem blisko. - Co na to Rudawka?

Jej skóra pachniała morską solą. Powoli oplotły go jej ramiona, gorący oddech owiał mu twarz.

- Czegoś tak zesztyniał? Już nic nie mam na twarzy.

- Otarła się o niego, a potem przyciągnęła do siebie. - Chcę ci tylko podziękować, kmiotku.

Nie mógł z nią walczyć. Nie chciał. Zamknął oczy i miękko dotknął wargami jej warg. Czuł się tak, jakby cały świat okręcił się wokół niego, a potem usunął mu się spod nóg.

- Puść.

Nie był pewien, czy to naprawdę usłyszał. Wrzasnął i odskoczył, kiedy go ugryzła w ucho.

- Mówię, żebyś puścił. Coś jest nie tak.

Stał jak ogłuszony, w głowie dudniła mu krew. Dotknął ucha i poszukał jej wzrokiem. Nasłuchiwała czegoś, z brodą wysuniętą do przodu.

- Nie dziękuj mi nigdy więcej! - jęknął, a potem wyprostował się nagle i

spojrzał na morze.

Woda zaczynała bulgotać, całkiem jak w kociołku. Wielkie bąble wydobywały się z głębi i pękały na powierzchni. Tysiące małych wirów tworzyło się i znikало, kipiwały bryzgi piany. Księżycowy sierp podskakiwał na wodzie, gwiazdy wirowały jak oszalałe. Bulgot ciągle narastał, a drobniutki wodny kurz osiadał im na policzkach.

- Co to jest? - Musiał podnieść głos, chociaż Gudrun stała obok. Mrużyła bezrzesne powieki, coś mamrotała sama do siebie. Wspięła się na palce i krzyknęła mu prosto w ucho:

- To jest koniec! Zaraz tu będzie piekło!



To był bieg śmierci. Która padła, ta już nie wstawała. Nawet nie oglądały się na taką, tylko wyrywały do przodu, ile sił w nogach. Ale słabły, było ich coraz mniej. Zostawiały za sobą pnie drzew obryzgane krwią.

A przecież kiedy przed wieczorem wychodziły z wioski, nawet nie przeczuwały tego, jak to naprawdę będzie wyglądać. Żegnały się z chłopami cicho, prawie bez łez. Dawały im jeszcze na chwilę dzieciaki, żeby popodrzucali je do góry, potarmosili za włosy, a potem wciągały na plecy tłumoczki i zagarniając przy kieckach rozwrzeszczany drobiazg, szły w las. Przy ostatnim płocie stała Lubicha ze Starym. Sołtys patrzył na długi szereg bab, a w jego przygarbionych plecach znać było zwątpienie. Wiedźma wyłuskała z ciżby Rudawkę i przywołała ją do siebie.

- Musisz je poprowadzić. Trafisz?

Dziewczyna zakryła włosy białą chustą. Twarz miała bladą, ale spokojną. Pokiwała głową, cały czas patrzyła na swoje stopy.

- Ty nie idziesz?

- Wolę zostać, żeby nam chłopcy nie pogłupiały bez opieki.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale Rudawka już tego nie zobaczyła. Odbiegła bez słowa, a za chwilę przesłoniły ją liście.

W miejscu, gdzie zaczynał się leśny cień, każda po raz ostatni odwracała głowę. Wieś bez dzieci wyglądała prawie jak wymarła. Nad żadną strzechą nie unosił się dym. Chłopy z wojami obsiedli zasieki i gryźli pazury. Niektórzy machali do bab, ale więcej w tym było bezradności niż pociechy.

W lesie Rudawka wysunęła się naprzód. Szła pewnym krokiem, nie patrzyła między drzewa. Babom co chwila się zdawało, że wąska ścieżyna wsiąknie w gąszczu, ale Rudawka za każdym razem rozgarniała krzaki i odnajdywała drogę. Nienawykłe do lasu dzieciaki szybko umilkły. Z otwartymi ustami patrzyły, jak nad głowami zwiera się liściasty dach. Słysząc było tylko trzaskanie ściółki pod stopami i ciężkie, urywane oddechy.

Najwięcej mitręgi miała Żywula. Starsze dzieci szły same uczezione kiecek, noworodki można było przewiesić przez plecy, a tylko Lestek z Pestkiem byli w takim wieku, że jeszcze trzeba było ich dźwigać, a przecież już swoje ważyli. Nasadziła ich sobie okrakiem z obu stron na biodra i przywiązała chustą. Wlokła się sapiąc i postępując, nawet nie miała jak obtrzeć potu lejącego się z czoła.

- Daleko pójdziemy? - Szła tuż za Rudawką, bo bała się zostawać z tyłu.

- Nie bardzo. Ale musimy zdążyć, nim zajdzie słońce.

Z niepokojem patrzyły na czerwieniejący za drzewami krąg. Dzieciaki coraz częściej się potykały. Niektóre zaczynały popłakiwać z głodu, bo przecież opuściły chaty w pośpiechu, poganiane krzykami grododzierzcy.

Żywula zatrzymała się w pół kroku. Chuda, żylasta Trzemcha odbiła się od jej pleców. Przestraszeni Lestek z Pestkiem wychylili się pod piersiami Żywuli i spojrzawszy na siebie, rozplakali się żałością.

Nad puszcza przeszedł szum, jakby tysiące ptaków naraz zerwało się do

spłoszonego lotu. Czuby drzew zakołysały się, spadło trochę szyszek i suchych liści. Zaraz potem coś uderzyło głucho i potężnie. Wyraźnie poczuli pod piętami, jak przez ziemię przeszedł dreszcz. Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, na niebo powoli nasuwał się cień. Baby straciły w lesie poczucie kierunku, ale po zapachu powietrza poznały, że to wszystko idzie od strony morza.

- Biegiem! - Wysoki krzyk Rudawki wyrwał je z odrętwienia. - Biegiem, która chce żyć!

Ruszyły posłusznie, ciężko załomotały stopy. Strach rozszerzał im oczy, płacz dzieci świdrował uszy. Wydawało im się, że śmigają jak samy, ale Rudawka co chwilę od nowa smagała je krzykiem.

- Szybciej! Bieg, bieg!

Dzieci, uczone kiecek piąstkami, przestawały nadązać. Baby brały je na ręce i sadzały sobie na karki albo po prostu trzymały je pod pachą, z wierzgającymi nogami. Ścieżka była wąska. Stopy obijały się na korzeniach, a liście szorowały po twarzach. Kolczaste krzewy łapały kiecki i darły z nich długie pasma.

Nad ich plecami na niebo nasuwała się noc. Czarne chmury kłębiły się nisko, prawie nad samym lasem. Coś się działo, coś strasznego. Wydawało im się, że razem z nabierającą siły wichurą przylatują krzyki ludzi.

- Bieg!

Nagle któraś wrzasnęła. Krótko, przesywająco. Zwolniły, obejrzały się tuląc mocniej dzieci. Młoda Świtlica stała na miękkich nogach, w oczach miała szaleństwo. Na rękach trzymała dziecko bez głowy, lepka kałuża rozpełzała jej się wokół stóp. W krzakach tuż koło niej ruszały się liście.

- Bieg, baby! - Rudawka trzasnęła w twarz pierwszą z brzegu, jej głos zaświdrował im pod czaszkami. - Bieeeeeg!

Więcej nie musiała ich przynaglać, bo prawie wszystkie były matkami. Poderwały się do dzikiej gonitwy. Ścisnęły dzieciaki do bólu i gnały, gnały

co sił. Znowu gwałtowna kotłowanina w krzakah, znowu krzyk. Łoskot padającego ciała, a zaraz potem mlaskanie, chłeptanie, rwanie mięsa. Nie patrzyły, zasłaniały dzieciom oczy. Przeskakiwały nad ciepłymi kałużami krwi i biegły na poobijanych nogach dalej, nie czując bólu.

Żywula starała się nie tracić z oczu białej chusty Rudawki. Lestek z Pestkiem już nie płakali, ale bała się sprawdzić, czy oddychają. Reszta dzieciaków śmigła to tu, to tam, z włosami targanymi wiatrem i oczami ciemnymi od trwogi. Mniej objuczone baby próbowały przeciskać się koło Żywuli, ale ona bodła na ślepo łokciami i nie ustępowała. Oddech stawał się coraz płytszy, w piersiach kłuło. Biała chusta Rudawki rozmywała się we łzach.

Nagły powiew smrodu wyprostował ją na krótkie mgnienie. Z boku, blisko bezwładnie zwisającej ręki Pestka, usłyszała krótkie, gardłowe warknięcie. Skoczyła do przodu, ale w ostatniej chwili obróciła głowę i spojrzała w krzaki. Żółte zęby, ślina spływająca po bokach szczeciniastego pyska. Przekrwione ślepia z ciemnymi wrzecionkami źrenic... I niemilknący wrzask tej, która biegła za nią.

Wilkołaki stawały się coraz zajadlejsze. Przestały szarpać z ukrycia i teraz jeden za drugim wyskakiwały na ścieżkę. Babom plątały się nogi, otumaniał strach. Były i takie, które rzucały się na ziemię i przykrywały dzieci sobą. Wilkołaki bez pośpiechu wyłuskiwały spod nich przyduszone niemowlęta, a potem przekrzywiając łby żarły na ich oczach. A one nie miały nawet sił, żeby wstać i biec dalej.

Las ustąpił tak nagle, że Żywula prawie upadła, kiedy wysoka trawa oplotła jej kostki. Złapała równowagę, poprawiła osuwających się Lestka z Pestkiem i szybko zamrugała powiekami. Pod poszarzałym niebem ciemniała gładka powierzchnia jeziora.

- Do wody! Do wody i na wyspę! - Rudawka obejmowała wespół słaniające się baby i siłą spychała je z niskiego brzegu. - Nie wleżą za wami do wody!

Chłód orzeźwiał. Opuchłe łydki nie wytrzymały, odzywały się palącymi skurczami. Ale baby szły dalej na kolanach i na rękach. Słyszały, że smrodliwe stado zatrzymało się na brzegu, i to wracało im siły. Nie oglądały się, utkwily oczy w czarnej kępie drzew na małej wysepce. W najgłębszym miejscu woda nie sięgała nad pas. Wyczołgiwały się na kamienisty brzeg wysepki, łkając ze zmęczenia i strachu. Kładły się na brzuchach, chowały twarze w dłoniach i wyły jak zwierzęta. Nie miały siły, żeby policzyć dzieci. Nie miały siły na nic.

- Wstawać, wstawać! - Rudawka biegała między nimi i szarpała je za włosy. - Musimy rozpalić ogień!



## ROZDZIAŁ XI

Póki gnali wzdłuż brzegu, Żarek wierzył, że Gudrun ma jakiś pomysł. Ślizgał się na meduzach, rozbryzgi słonej wody zalewały mu oczy. Morze wrzało i kipiało, a ryby śmigały w powietrzu jak ptaki. Noc ciemniała, gwiazdy gasły jedna po drugiej.

W mroku potknął się o coś twardego i głucho uderzył plecami w piasek. Na chwilę zaparło mu dech. Krzyk Północnicy z trudem przebijał się przez ryk morza.

- Wstawaj, tu jest łódź! Musimy ją zepchnąć na wodę!

Macał rękami na oślep, póki palce nie natrafiły na szorstkie drewno. Złapał za krawędź łodzi i postępując podciągnął się na nogi. Gudrun stała po drugiej stronie, jedyny nieruchomy cień w tym czarnym zamęciu.

- Zepchnąć? - Wiele dałby za to, żeby móc teraz zobaczyć jej twarz. - To śmierć! Musimy uciekać od brzegu!

- Myślisz, że w lesie jest lepiej? - Przechyliła się do niego i wydało mu się, że złapał jej spojrzenie. - Tam pewnie nikt nie dożyje dnia. Ale my możemy jeszcze ocaleć, musimy tylko przebić się na głębokie morze!

Żarek wyciągnął rękę nad wodę, jakby chciał pokazać jej coś, czego dotąd nie dostrzegą. Poczuł, że łódź poruszyła się i powoli szoruje mu po brzuchu. Pośród wycia wichru wyłowił uchem jakieś inne głosy, bijące z lasu w otchłań nieba. Zęby mu ścierpły, napał mocno na kadłub od swojej strony. Dziób wciął się w bluzgającą wodę, szarpnął do góry i na dół, a za chwilę skoczył do przodu, jakby pociągnięty zachłanną ręką. Żarkowi ziemia uciekła spod nóg, zawisł w powietrzu kurczowo uczepony jakiejś deski. Gwałtowny

napór wody prawie go oderwał, ale przetrzymał najgorsze i jednym rzutem ciała przetoczył się przez krawędź łodzi. Usiadł, rozejrzał się pośpiesznie. Gudrun leżała na brzuchu, na dnie. Chciał do niej podpełznąć, kiedy nagle deski pokładu umknęły spod niego i poczuł, że leci w powietrzu. W jednym błysku zdążył ocenić znikomość nadziei, że opadnie z powrotem do łodzi. Chwilę potem głowa odskoczyła mu od uderzenia, a w ustach poczuł krew.

- Trzymaj się, bo cię zmiecie!

Rzucił się na brzuch koło Gudrun i przyłgął twarzą do mokrych desek. Jedną rękę zacisnął na krawędzi, a drugą objął Północnicę w pasie. Przy następnym skoku łodzi trzasnął czołem w dno, ale nie ruszył się. Czuł pod ramieniem jej napięte plecy i starał się nie myśleć o niczym.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Czas zaczął płynąć inaczej niż przedtem. Jakby dostał drgawek, przeskakiwał od jednego uderzenia fali do drugiego. Ryk, ryk, ciągły grzmot. Morze się rozstępowało i wtedy łódź leciała w dół. Potem króciuteńka chwila cichej równowagi i znowu podrzut, wypychający wnętrzności przez gardło. Łomot w obitej głowie, drżenie zdrętwiałych palców. Plując wodą, musiał szukać oddechu. Nie wiedział nawet, czy łódź płynie, czy tylko miota się blisko brzegu. Walczył z narastającym w duszy zubożeniem na to, co będzie dalej.

Ale przecież w końcu coś zaczęło się zmieniać. Najpierw bardzo powoli, prawie niezauważenie, ale z czasem coraz wyraźniej. Huk morza jakby słabł, łódź nie opadała już tak głęboko. Od palców wczepionych w drewno płynęło nieuchwytnie przeczucie ulgi. Strach przestawał pętać wolę.

Kiedy łódź znowu zakołysała się leciutko na łagodnej fali, było to jak łyk mocnego wina. Ryk morza ciągle trwał, ale został gdzieś za nimi. Musieli odczekać jeszcze trochę, zanim odważyli się podnieść głowy.

- Początek mamy za sobą - odezwała się cicho Gudrun, a Żarek poczuł pod ramieniem, jak zbiegają jej się na plecach łopatki. Podniosła się na łokciach. Długo, bez słowa patrzyli w stronę brzegu.

Trzy kroki za łodzią gładka powierzchnia morza zaczynała się marszczyć. Kawałek dalej woda już bulgotała, a jeszcze bliżej brzegu szalała kipiela. Niebo rozpięło się im nad głowami czysto i gwiaźdzście, ale nad lądem chmury przytłaczały ziemię czarnym nawisem. Pajęczyny błyskawic zapalały się i gasły nad lasem.

- Początek? - Żarek spróbował wstać, ale nogi miał jeszcze miękkie. - Nie ma nic gorszego niż to, z czegośmy się wyrwali.

Uśmiechnął się do niej, ale ona miała oczy ciągle skupione.

- Tak? No to obejrzyj się za siebie.

Głowa topielucha sterczała tuż nad burtą. Wyłupiaste oczy bez powiek patrzyły wzrokiem pozbawionym myśli. Cieniutkie jak kościane igielki zęby jaśniały w świetle księżyca. Po obu stronach bezuchego łba przewieszały się przez burtę długie ręce z błoną między palcami.

Toporek Żarka wbił się w głowę topielucha aż po szczękę. Truchło osunęło się pod wodę, ale palce zaczepiły się jeszcze na krawędzi łodzi. Zniknęły dopiero wtedy, kiedy przyszła większa fala i mocniej szarpnęła ciało. Żarek odczekał jeszcze chwilę, a potem wsunął toporek za pas.

- Szybki jesteś! - Gudrun pokręciła głową. - Jakby broń sama ci wskoczyła do ręki.

Wzruszył ramionami, chociaż w duchu cały się napuszył. Ale nie dałby głowy za to, że nie było właśnie tak, jak ona mówiła.

Usłyszał ciche stuknięcie, zaraz potem plusk wody. Łeb znowu się pojawił w tym samym miejscu. Obok niego drugi. Tym razem Żarek ciął z boku, w pokryte srebrną łuską szyje. Rybie ślepie do ostatniej chwili patrzyły prosto na niego. Nie schował topora, pewniej chwycił trzonek.

- Mogę je porozwalać wszystkie po kolei.

Do następnego musiał podbiec, bo pokazał się tuż przy dziobie. Błada pianka mózgu powoli ściekała po ciepłym ostrzu. Żarek rozkołysał własnym ciężarem łódź, upadł na kolana.

- Ile ich może być? - Łeb z tyłu, po prawej, cięcie. - Lgną do nas jak muchy do...

Nie dokończył, bo następny już wyłaził z tyłu. Zanim do niego podbiegł, topieluch był już prawie w łodzi. Uderzył, zepchnął śliskie ciało nogą do wody. Ciął następnego. Musiał przerzucić toporek do drugiej ręki, żeby roztrzaskać łeb po drugiej stronie łodzi. Kiedy dwa naraz zaczęły gramolić się od dzioba, a trzeci z tyłu, wiedział już, że nie zdąży.

- Pomóż mi, masz miecz! - Zakręcił toporkiem koło, teraz pruł już brzuchy. - Gudrun!

Północnica siedziała na brzegu łodzi z nogami przerzuconymi na drugą stronę. Opędzała się kopniakami jak mogła, ale błoniaste palce coraz gęściej wczepiały się jej w łydki.

- To na nic! - krzyknęła przez ramię. - W końcu nas obleżą!

Żarek poczuł mokry dotyk na karku. Wyprowadził za siebie cios lewym łokciem, a prawą ręką machnął toporkiem, obracając się na pięcie. Odrąbane ramię topielucha spadło na deski. Zginało się dalej, jak odnóże pająka. Rozcapierzone paluchy chwyciły powietrze. Topieluch nawet nie jęknął, tylko ślizgając się we własnej jusze, ruszył do przodu. Łódź skrzypnęła, a potem zanurzyła się głębiej, nabierając trochę wody. Śmierdzące szlamem topieluchy pchały się teraz ze wszystkich stron, płetwiaste stopy klaskały na deskach.

- Skacz! - Gudrun z szeroko rozłożonymi ramionami stała nad wodą. Z trudem łapała równowagę. Kilkanaście łap naraz wyciągało się do niej z morza.

Żarek nie mógł sobie pozwolić na więcej niż jedno krótkie spojrzenie. Toporek ciągle furkotał, ale ból w przeciążonych łokciach zaczynał już krępować ruchy

- Gudrun!

- Skacz! Pójdą albo za tobą, albo za mną! Są za głupie na to, żeby się

rozdzielić! Jedno z nas może przeżyje.

Dokoła siebie widział zawężający się krąg wytrzeszczonych ślepi. Zęby kłapały niecierpliwie. Jakaś uporczywa myśl tłukła mu się po głowie.

- Krew miesięczna!

- Co?

- Odpędzi je krew miesięczna!

- A skąd ja ci wezmę krew miesięczną?!

Cios, oddech, cios. Brakowało mu miejsca do zamachu.

- Nie wiem, Rudawka miała!

Chwilę było cicho. A potem głos Gudrun rozedrgał się wściekłością.

- Ale ja nie mam, jełopie!

Usłyszał, jak woda rozpryskuje się pod jej ciężarem. Ogłupiałe topieluchy bezradnie załomotały od spodu o dno. Odciążona łódź przechyliła się gwałtownie. Żarek przycisnął toporek do piersi i głową w dół skoczył w morze.



Spróbował zebrać w ustach trochę śliny, ale tylko zaszorował sztywnym językiem po wyschniętym podniebieniu. Skrzywił się, zapiekły go popękane wargi. Ruszył głową i tępy ból pod czaszką ocucił go do reszty. Z jękiem przetoczył się z pleców na bok i otworzył oczy.

Pełny blask słońca wdarł się przez źrenice i odnalazł w głowie samo jądro bólu. Żarek prawie natychmiast zamknął powieki, ale i tak miał uczucie, jakby ktoś wbijał gwoździe w jego opuchnięty mózg. Na górną wargę spłynęła mu słona łza. Zlizał ją chciwie, ale nie przyniosło mu to nawet złudzenia ulgi.

- Hej, obudź się! Żarek!

Skulił się z bólu. Każdy głośniejszy dźwięk podsycił nacisk krwi w głowie. Chciał zasłonić uszy, ale udało mu się tylko lekko poruszyć końcami palców.

- Wstawaj! Umrzesz, jeśli nie wstaniesz!

Znał ten głos.

Spróbował skupić się na znaczeniu słów. Znowu odemknął powieki, ale tym razem tylko troszeczkę. Tyle, żeby zobaczyć coś zza rzęs. Dmuchnął chłodniejszy wietrzyk i pogładził mu czoło zbawienną pieszczotą.

- Wstawaj!

Z wysiłkiem przewrócił się na brzuch. Otwarte dłonie przyłożył do nagrzanego drewna. Chciał tylko ciszy i parę łyków wody. Wiedział, że jeśli się nie podniesie, nie będzie miał ani jednego, ani drugiego. Kiedy napiął mięśnie szyi i dźwignął głowę ciężką jak głaz, ból rozświdrował mu się w skroniach.

- No, wreszcie! Widzisz mnie?

Rozmazane plamy zataczały zwięzające się koła. W miarę, jak zbliżały się do środka, nabierały barwy i kształtu. Zeszły się w jednym miejscu i znieruchomiły.

- Czego... - oblizał wargi i poczuł, jak język trze o twardy naskórek. - Czego się wydzierasz?

Gudrun siedziała ze skrzyżowanymi nogami. Opadła na ręce i przysunęła się do niego na kolanach. Jej wielkie oczy lśniły zielono, jak łąka po deszczu.

- Wydieram się od samego rana, żeby słońce nie wypaliło z ciebie życia. Ale nie wyglądało, że się jeszcze ruszysz.

Zadrżały mu nadgarstki, kiedy się podniósł wsparty na dłoniach. Ból zaczął ściekać z głowy wzdłuż sztywnego karku. Znowu dmuchnął wiatr, a potem nagle cały świat przechylił się na bok i Żarek znowu padł na plecy.

- Co to jest? - Zerwał się przestraszony, bo coś szarpnęło go nad kostką i pociągnęło na kolana.

- Nie brykaj. Jesteś na statku.

Usta mu się nie domknęły, kiedy rozejrzył się dokoła.

Statek był ogromny. Jak trzy rybackie chaty, a może i cztery. Wysoki dziób gładko ciął wodę, smoczy łeb szczyrzył z góry drewniane zębiska. Maszt, wielki jak topola, prawie zbierał z nieba pierzaste chmurki. Dobrze nasmołowane boki, sklecone z ciasno nachodzących na siebie deseczek, ugiwały się lekko pod naporem fal.

Dalej, z drugiej strony masztu, siedzieli ludzie. Wielkie brodate chłopcy z długimi włosami splecionymi w warkocze grube jak ręka dziecka. Powoli przeżuwali wąskie paski suszonego mięsa, inni drzemali świsając przez nosy, z głowami opartymi na tarczach. Było sennie i cicho. Morze wyrzuszało się co jakiś czas, a wtedy statek przechylał się i skrzypiał jak stare drzwi. Jakiś dziurawy szyszak z hałasem przekulał się po pokładzie.

- Ale to przecież są... - Odpychając się piętami, Żarek przysunął się na tyłku do Gudrun. Zatrwożony szept zmieszał się z brzęczeniem łańcucha umocowanego do obręczy na jego łydce.

- Północnicy - pokiwała głową, uśmiechnęła się nieznacznie. - Jeden w drugiego.

Złapał za łańcuch i pociągnął go tak mocno, aż napotkał opór. Drugi koniec był owinięty wokół masztu. Puścił, łańcuch głośno zachrobotał po pokładzie. Nikt nawet nie spojrział w ich stronę.

- Gdzieś ty mnie przywlokła? - wionął jej w ucho swoim strachem.

- A co? - zmarszczyła nos. - Wolisz topieluchy?

Statek się przechylił, szyszak potoczył się na drugą stronę. Żarek spróbował przełknąć ślinę, ale wyszedł z tego tylko skurcz wyschniętego gardła. Gudrun sięgnęła za siebie i ostrożnie podała mu wyszczerbioną miszkę. Chwycił ją w obie dłonie i pochylił nad nią twarz. Na dnie było trochę

mętnej, cuchnącej wody, w której pływały białe robaki.

- Ty to też piłaś? - spojrzał na nią spod oka.

- Zostawiłam dla ciebie. Nie chcesz, to dawaj.

Przyłożył brzeg miski do warg i zamknął oczy. Obrzydzenie mieszało się z rozkoszą chłonną wilgoć gardła.

- Starczy! - Wyrwała mu miskę z rąk, ale nic nie uroniła. - Nie wiadomo, kiedy znowu dadzą nam wody.

Zlizał każdą kropelkę, która została mu na wargach. Przesunął się tak, żeby objął go cień masztu. Odetchnął z ulgą i położył się z rękami wsuniętymi pod głowę. Zerwał się prawie natychmiast.

- A gdzie toporek?

- Zgubiliśmy. - Gudrun poprawiła obręcz na swojej kostce i Żarek zobaczył, że skórę ma zdartą do krwi.

- Jak to zgubiliśmy?

- Po prostu. Już go pewnie pokrył muł na dnie morza. Ale i tak cię uratował. Kiedy skoczyłeś z łodzi, wszystkie topieluchy rzuciły się za tobą. One zawsze najpierw kończą z tym, kto je wcześniej zabijał.

Pociemniało mu w oczach, kiedy zrozumiał.

- Wiedziałaś o tym! Kazałaś mi skakać, żebyś sama mogła odpłynąć.

Przez chwilę nic nie mówiła. Zarzuciła głowę, jakby odganiała muchę, a przez jej wargi prześlizgnął się dziwny grymas. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak. A co? Twoim zdaniem piękniej byłoby umrzeć razem?

Niezauważenie ból znowu zakradł mu się do głowy. Zaczął swoje wiercenie z tyłu, u samej nasady czaszki. Żarek poruszył szyją w prawo i w lewo, ale niewiele to pomogło.

- Zostawmy to - powiedział cicho. - Co było dalej?

- Dalej było to, co zawsze, kiedy topieluchy mają już człowieka w wodzie.



Pociągnęły cię na dno. Trochę się miotaleś, tyle zdążyłam zobaczyć. Potem odpłynęłam.

Ostatnie słowa umyślnie powiedziała twardo. Znowu spotkali się wzrokiem. Żarek podniósł głowę i rozejrzał się po morzu. Tkwili w samym środku pustego koła widnokręgu, w którym nie było nic oprócz wody, nieba i ciemniejszego pasa lądu na samym krańcu pola widzenia.

- Musiałaś się nadziać właśnie na nich?

- Głupi jesteś czy jak? Chociaż pływam bardzo dobrze, to nie jestem rybą. Zdarłam gardło prawie do bólu, zanim mnie zobaczyli. Ciemno było, słońce jeszcze nie wzeszło. Najpierw chcieli walić mnie wiosłem przez łeb, ale potem przyjrzeni się lepiej i wciągnęli na pokład. U Północników młoda niewolnica jest w cenie.

- Pewnie. A ja?

- Ty? — Polizała palec i wsadziła go między obręcz a nogę. - Z tobą było trudniej, bo najpierw trzeba było cię znaleźć. Ale szybko cię wypatrzyli. Pływałeś brzuchem do góry, a twarz miałeś siną jak trup. Dawno powinienesz utonąć, a nie tonąć. Topieluchy pływały wszędzie wokół, ale bały się zbliżyć. Na piersi miałeś toporek, obie dłonie zaciskałeś na trzonku. Jego ostrze było rozgrzane do czerwoności. W mroku, z daleka, wyglądał jak ogień na wodzie. Chyba cię nie parzył, chociaż nie umiałabym tego wytłumaczyć. Miałeś zamknięte oczy i wydawało się, że po prostu śpisz.

Syknęła, poprawiła obręcz. Żarek poruszył się niecierpliwie.

- I co?

- I nic. Kazali mi skakać do morza.

- Po mnie?

- Nie. Po toporek.

Spojrzał na nią uważnie.

- Dotykałaś go?

- A co miałam robić? Podpłynęłam do ciebie, a topieluchy tylko wywalały ślepie. Woda była ciepła, a tuż przy tobie prawie gorąca. Chyba to właśnie je odstraszało. Ale kiedy tylko dotknęłam toporka, zgasł jak zdmuchnięta świeca. A ty poszedłeś pod wodę jak kamień, ledwo cię wytargałam na pokład. Ale toporka już nie złapałam.

- Lubicha miała rację. Stracił moc.

- Może. Ale Północnicy się wściekli, chcieli cię z miejsca rzucić z powrotem. Topieluchy znowu zwietrzyły łup.

- Ale nie rzucili. Czemu?

- Widzisz tam tego grubasa? - Pokazała mu palcem zwalistego rudzielca z dwoma podbródkami. - On cię wybronił. Jesteś teraz jego niewolnikiem.

Żarek wyciągnął szyję i przyjrzał się Północnikowi, który spał z głową odrzuconą do tyłu. Tłuste wargi trzęsły mu się po każdym chrapnięciu. U pasa wisiał mu nóż o pięknie rzeźbionej białej rękojeści.

- To chyba nie jest aż tak źle? Wygląda oblesnie, ale musi być z niego jakiś ludzki człowiek.

- No - kąciki ust Gudrun podniosły się leciutko. - I lubi takich miłych chłopców jak ty. Sam zobaczysz.



Daleki brzeg wyglądał jak cienki nalot brudu na czerwieniejącym morzu. Czasem znikał poza widnokretem, ale Żarek ani na chwilę nie tracił z oczu wątej niteczki dymu, która chwiała się na wietrze. Północnicy pokazywali ją sobie brudnymi paluchami.

- To wioska. - Gudrun odeszła od masztu, jak daleko pozwalał łańcuch. Wciągała powietrze przez nos, jakby chciała poczuć zapach spalenizny.

- Skąd wiesz? - Żarek wyteżył oczy. - To mogło być cokolwiek. Choćby

las.

- Las pali się inaczej. Ogień idzie szeroko, jak fala.

A tam był pożar w jednym miejscu, przy samym brzegu. To wioska.

Łańcuch brzęknął, kiedy Żarek usiadł. Przygryzł dolną wargę i po raz ostatni obejrzał się za siebie.

- To nic. Odbudujemy Gudrun błądziła wzrokiem gdzieś między czerwono-czarnymi chmurami. Patrzyła, jak ich postrzępione brzegi zlewają się ze sobą. Kiedy opuściła oczy na Żarka, był w nich tylko chłód.

- Jacy my?

- No, my. Rybacy.

- Aha. - Zaplotła ręce na piersi. - A jak myślisz, ilu z nich przeżyło tę noc?

Zerwał się z zaciśniętymi pięściami. Któryś Północnik rozkleił powieki i obrócił głowę w ich stronę. Ziewnął szeroko, podrapał się pod pachą.

- Lubisz krakać, co? - Żarek pochylił się nad Gudrun i wysyczał jej do ucha całą swoją wściekłość. - A może byś wołała, żeby cała wieś przepadła, co?

Stała naprzeciw niego. Zachodzące słońce zapaliło jej w źrenicach dwie czerwone kropeczki.

- Uspokój się. Od twoich wrzasków nic nie będzie lepiej.

Ostudziła jego gniew tak łatwo, jakby zdmuchiwała świecę. Żarek bezradnie rozłożył ręce i uciekł wzrokiem w bok.

- A bo tak gadasz, jakbyś już wszystko sobie odpuściła.

- Nigdy nie odpuszczam niczego, co jest dla mnie ważne. Albo mogłoby być. Nigdy. Inaczej nie rozmawiałbyś ze mną, tylko gryzłbyś piach.

Słońce utonęło już do połowy. Wśród Północników powoli zaczynał się ruch. Wstawali, przeciągali ramiona, aż trzeszczały barki. Mało rozmawiali, rzucali tylko jakieś pojedyncze chropawe słowa.

- Coś się będzie dziać. - Żarek usiadł oparty plecami o maszt, Gudrun

przykucnęła obok niego. - Może wreszcie dadzą nam coś do jedzenia?

- Lepiej nie rób sobie za wiele nadziei. - Zakiwała się na piętach. - Oni nie zmarnują na ciebie ani kęsa. Dla nich nie jesteś człowiekiem. Nawet nie jesteś psem.

Żarkowi głośno zaburczało w brzuchu. Stuknął się pięścią pod żebra, przestało.

- Ale za to ty jesteś z ich krwi. Pogadaj z nimi.

Trzasnęła go w ucho otwartą dłonią. Przez chwilę siedział zamroczony. Kiedy przestało mu dzwonić w głowie, usłyszał jej ciche słowa.

- Nigdy nie mów nikomu, kim jestem. Przenigdy. Choćby cię żywcem gotowali we wrzątku, ty masz milczeć.

- Dobra, nie musisz mnie od razu walić! Przecież nie chcę cię wydać.

- Tu nie chodzi o mnie ani o ciebie. Ani o waszą śmierdzącą rybami wieś. Ani nawet o cały brzeg, ten czy tamten. Chodzi o coś o wiele ważniejszego.

- Pewnie - wzruszył ramionami. - A ja jestem za głupi, żebyś mi o tym mogła powiedzieć.

- Nie wiem. Może nie. Ale na pewno byś się posrał z przejęcia. Zresztą na wszystko przyjdzie czas. Jeśli pójdziesz ze mną, sam to zobaczysz na własne oczy.

Północnicy poprawiali na głowach szyszaki, przytracali do pasów miecze i topory. Oglądali się na sterczący nad wodą czerwony rąbek słońca.

- Coś się będzie dziać, oni się szykują! - Żarek pokręcił głową, a potem obrócił się nagle do Gudrun. - Co? Co ty powiedziałaś?

- Daję ci wybór. Żebyś potem nie płakał, że gdzieś cię ciągnę wbrew woli.  
- Końcami palców wyskubywała nitki z rękawa, mrużąc oczy, jakby to było coś bardzo ważnego.

- Ale... co... - jąkał się, wytrzeszczając oczy to na nią, to na Północników. - Gdzie ty chcesz iść? A oni?

Podniosła wzrok tylko na chwilę. Potem wysunęła koniec języka i skubała dalej z jeszcze większą uwagą.

- Nie martw się o nich, tylko o siebie. To ciebie pytam, czy jesteś ze mną.

Liny przy żaglu napięły się mocniej. Biała płachta wypełniła się wieczornym wiatrem, zatańczyły warkocze na brodach Północników. Żarek podniósł się na kolana.

- Wiesz co? Chyba przez ostatnie dni za dużo zważyło ci się na głowę. Popatrz tylko na nich! Co im chcesz zrobić?

- A pozabijam ich.

Żarek opadł tyłkiem na pięty. Żagiel łopotał, szczekało żelazo. Statek ślizgał się na fali, zostawiając za sobą długą smugę piany

- Dobra, koniec tego. Zgłupiałaś. Jestem pewien, że ten mój grubas da mi jakieś żarcie. Dobrze mu z oczu patrzy. A ty sobie rób, co chcesz.

Gudrun nie odpowiedziała, póki nie wyskubała do końca następnej nitki. Skręciła ją w palcach w małą kuleczkę, położyła na palcu i pstryknęła Żarkowi prosto w czoło.

- Myślałam, że mogę liczyć na twoją pomoc. Ale nie, to nie. Może to nawet lepiej.

Wstała i przeszła na drugą stronę masztu. Łańcuch włókł się za nią jak żmija, wiatr wył w jego żelaznych ogniach. Tuż przed zgaśnięciem słońca na krótką chwilę wystrzeliły na pół nieba dwa promienie. Podświetliły chmury, zadrgały, a potem rozpuściły się w szarości. Noc rozpanoszyła się po niebie i po morzu, a razem z ciemnością zaczynał przenikać do kości chłód. Lepka mgiełka owijała się wokół masztu.

Żarek wsadził dłonie pod pachy i wtulił głowę w ramiona. Wiedział, że to będzie noc bez snu. Patrzył na nieruchome, brodate cienie Północników. Żelazna obręcz ziębiła mu łydkę. Zdawało mu się, że szybko gęstniejąca mgła ociera się o niego i zostawia mu na skórze wilgotną warstewkę. Wzdrygnął się, przytulił policzek do drewna masztu.

Zesztywniał, kiedy poczuł na szyi ciepło. Myślał, że to złudzenie, ale zaraz potem kwaśny oddech owiał mu twarz. Twardy zarost zakłuł go w policzek. Szarpnął się do tyłu, ale wielka łapa zmięła mu koszulę na piersi i przyciągnęła z powrotem. Poznał rudego grubasa. Tłuste policzki zatrzęsły się, kiedy powiedział coś cicho.

- Ja... - Żarek próbował uchylić się przed jego ustami.

- Co ty robisz?

Rzucił się znowu, uderzył tyłem głowy w maszt. Grubas przyciągnął go za nogi do siebie i przywalił swoim cielskiem. Przez dłuższy czas Żarek nie mógł złapać oddechu. Dopiero kiedy przestał wierzgać, grubas podniósł się trochę i wsadził łapę pod siebie. Żarek zawył, a potem jęknął, kiedy Północnik odwrócił go na brzuch i przygniół łokciem jego głowę. W pośladek wgniatała mu się kościana rękojeść noża.

Przez łyzy zobaczył stopy Gudrun. Udało mu się wyszarpnąć jedną rękę i kurczowo złapał ją za łydkę.

Kiedy się odezwała, prawie nie poznał jej głosu. Kilka gardłowych wyrazów w mowie Północy sprawiło, że grubas przestał sapać. Podniósł się na kolana, a potem głośno stękając, stanął na nogach. Skrzywił się, splunął Żarkowi w twarz. Odszedł, dopinając pas i gadając do siebie pod nosem.

- No i? — Gudrun postawiła stopę na piersi Żarka i lekko nacisnęła. - Jak było?

- Zamknij się!

Przeniosła ciężar ciała do przodu.

- Jeśli to jest podziękowanie, to nie ma za co. - Zaczekała, aż Żarek przestanie się krztusić, a potem zabrała nogę. - Ale więcej na mnie nie licz. Nie mieszam się do cudzych spraw miłosnych.

Żarek wstał chwiejnie. Musiał położyć dłonie na jej ramionach, żeby się nie przewrócić. Próbował dojrzeć zieleń jej oczu, ale było za ciemno.

- Co mu powiedziałaś?

- Że jesteś chory. No, zarażony. Że jeśli cię tknie, to najpierw mu szernieje, a potem odpadnie... Zresztą nieważne. Zdradziłam się przed nim, że znam ich język. Teraz ten wór sadła siedzi i dziękuje swojemu szczęściu, ale niedługo ochłonie i opowie innym, co się wydarzyło.

Pod palcami czuł jej napięte ramiona. Przekrzywiła głowę i zbliżyła twarz do jego twarzy.

- Dość zabawy, Żarek. Idziesz czy zostajesz?

Obejrzał się. Grubas stał na szeroko rozstawionych nogach, zaglądał sobie w spodnie i nie przestawał gadać.

- Pewnie, że idę.

## R O Z D Z I A Ł E X I I

Mgła była tak gęsta, że Żarek nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki. Przysunął się do Gudrun. Bał się, że szare kłęby wcisną się między nich, a wtedy na dobre straci ją z oczu. Musiał nachylić się do niej, żeby przekrzyczeć łopot niewidzialnego żagla.

- Dmucha, że mało głów nie pourywa, a mgła stoi w miejscu!

Odchyliła się do tyłu, żeby Żarek mógł zbliżyć ucho do jej twarzy.

- To nie jest zwykła mgła. To zasłona.

- Co?

- Zasłona! Cała tamta zawierucha z poprzedniej nocy na nic się nie zdała, bo mnie nie znaleźli. Ten, który mnie ściga, też już o tym wie. Dlatego teraz posyła swoje następne psy gończe, właśnie przeprawiają się przez morze. Ale one nie lubią ludzkich spojrzeń. Dlatego potrzebna jest zasłona.

- Czeka! - Złapał ją pod ramię. - Kto cię właściwie ściga?

- No... On.

Wiedział, że teraz nic więcej mu nie powie. Machnął ręką w stronę, gdzie za nieruchomą mgłą powinni być Północnicy.

- A oni? Wyglądają, jakby się bali.

- To też są ludzie, Żarek. Służą temu samemu panu co całe piekło, ale są ludźmi. Muszą się bać.

Wyczuł w jej głosie napięcie. Chwycił jej głowę w obie dłonie i zajrzał w oczy. Gdyby na ich dnie odnalazł niepewność, nie potrafiłby dalej walczyć ze swoim strachem. Ale nic takiego nie zobaczył.



- Posłuchaj. - Chwyciła jego nadgarstki. - To, co teraz zrobię, może ci się nie spodobać. Ale jakoś to wytrzymaj. Przywiąż sobie ręce do tyłka, jeśli musisz, tylko przez te parę chwil mnie nie dotykaj, póki sama cię nie poproszę.

Wyciągnęła przed siebie nogę z łańcuchem i zgięła kolano. Obręcz zsunęła się po łydce i zatrzymała na kostkach.

- Co chcesz zrobić? - spytał zaniepokojony.

Chwyciła obręcz dwiema rękami i mocno nacisnęła w dół.

- Muszę ściągnąć to żelastwo.

Skóra na kostkach zmarszczyła się, pociekło parę kropel krwi. Naciskając raz z jednej, raz z drugiej strony, Gudrun po kawałeczku przesuwiała obręcz dalej.

- Ból jest tylko złudzeniem. - Czoło jej zwilgotniało. - To coś, co siedzi w głowie i nie pozwala człowiekowi być wolnym.

Obręcz utknęła tuż przed najszerszym miejscem. Kostki zbieleły, żyły wybrzuszyły się na wierzchu stopy. Gudrun zaczerpnęła pełne płuca powietrza i zamknęła oczy. Nacisnęła gwałtownie, z całych sił. Skóra na kostkach pękła, a obręcz przeskoczyła w dół znacząc za sobą krwawe smugi.

- Złudzenie. - Gudrun oddychała teraz bardzo szybko.

- To tylko złudzenie.

- Dobra, ale co teraz... - Gęsia skórka obsypała Żarka od karku po łydki, zdrętwiały mu zęby. - Uch!

Zaparła się teraz palcami stopy o maszt. Nacisnęła obręcz tak mocno, że na ramionach zadrgały jej mięśnie. Pięta wsunęła się pod żelazo, ale tylko kawałeczek. Wydawało się, że żyły na podbiciu zaraz pękną od nadmiaru krwi. Pot spływał Gudrun po policzkach i mieszał się ze łzami. Żarek zerwał się na nogi, zamachał jej gwałtownie rękami nad głową.

- Przestań!

Stęknęła. Z przegryzionej wargi pociekła krew. Obręcz znowu przesunęła się odrobinę, ale razem ze skórą. Gudrun zwolniła nacisk i wyprostowała rękę w łokciach, nie wypuszczając obręczy.

- Kopnij mnie między łopatki. Inaczej nie przepchnę, nie mam tyle siły.

Kiedy za nią stanął, zrobiło mu się duszno. Wydała mu się jakaś dziwnie pokurczona. Cofnął się o krok. Widział, jak Gudrun wstrzymuje oddech.

— Wal!

Kopnął podeszwą, z całej siły. Kiedy otworzył oczy, leżała na boku i miarowo uderzała pięścią w maszt. Podeszedł do niej na trzęsących się nogach.

- Co ci się dzieje?

- Nic, głupku. Boli mnie. - Obróciła się na plecy i podkurczyła okrwawioną nogę. - Coś chrupnęło, ale poszło. Dobra, teraz ty Żarek poczuł, jak mięśnie pośladków kilka razy bardzo szybko napinają mu się i wiotczeją.

- Nie.

- Co nie? - Usiadła, ale cały czas trzymała nogę w górze. - Ach! Nie, nie o to chodzi. Przecież nie każę ci robić tego, co ja. W końcu jesteś tylko kmiotkiem. Chcę, żebyś znalazł to, co się oderwało od mojej nogi.

Macał rękami na oślep, dłonie ślizgały mu się na lepkich smugach krwi. Natrafił palcami na coś miękkiego i odruchowo cofnął rękę. Musiał się przemóc, żeby to podnieść dwoma palcami.

- To tylko skóra i trochę mięsa, czego się trzęsiesz? - Gudrun przyciągnęła sobie stopę do twarzy i patrzyła na nią ze zmarszczonym czołem. — Teraz wyrwij mi garść włosów.

Ostrożnie wyłuskał wąskie pasemko na czubku jej głowy i pociągnął. Zostało mu w dłoni kilka włosów.

- Powiedziałam: garść!

- To może lepiej uciąć?

- A jak? Poprosisz swojego tłustego przyjaciela o jego ozdobny nożyk?  
Rwij.

Zanurzył obie dłonie w jej wilgotnych włosach i szarpnął do góry. Między palcami jego zaciśniętych pięści sterczały czarne kłaki.

- Jeśli chcesz, żebym cię oskubał do gołej skóry, to przypominaj mi o nim dalej!

- Ciało, włosy i krew. - Gudrun lekko dotykała palcami obolałych miejsc na głowie. - Potrzebujemy jeszcze kości.

- Kości? Jakiej kości?

- Mojej. - Potarła w zamyśleniu policzek, jakby nie zauważyła jego przestרחu. - Chyba najłatwiej będzie z zębem. Musisz mi wybić ząb.

Żarek zwinął wyrwane włosy w kulkę i położył obok zdartego kawałka pięty. Zaplótł sobie palce na karku, pokręcił głową.

- Ty to lubisz, co? Słyszałem o czymś takim. Zwyczajnie lubisz, żeby cię bolało.

- A ty lubisz podstarzałych Pólnoc...

Poleciała na wznak, uderzenie odrzuciło jej głowę na bok. Dłuższą chwilę dochodziła do siebie, zanim się podniosła. Podsunęła sobie pod brodę otwartą dłoń i coś wypluła.

- Przedni górny. - Pomacała językiem dziąsło. - Będzie widać. No, trudno. Teraz utargaj z koszuli kawałek szmatki, zbierz to wszystko do kupy i zawiń. Masz? Daj.

Podał jej małe zawiniątko i obtarł dłonie w gacie. Gudrun obróciła sobie rękaw koszuli szwem do góry i podsunęła Żarkowi pod oczy.

- Widzisz miejsce, gdzie wysupłalam nitki? Pomacaj palcami.

Przejechał kciukiem po nadprutym szwie. Natrafił na twarde zgrubienie. Ostrożnie, kawałeczek po kawałeczku, wysunął zaszyty w rękawie cienki,

ostrzy kolec.

- Co to jest?

- Ząb jadowy smoka. - Gudrun wyjęła mu go z ręki, przyłożyła ostrym końcem do zawiniątka i przebiła szmatkę.

- Jezu! - Żarek pokręcił głową. - Słyszałem, że smoczy jad daje nieśmiertelność!

- E, przesada. Musiałbyś chyba wypić całe wiadro, a tyle jadu nie ma pewnie na całej Północy. Ale to jest najlepszy lek na świecie, taki ząb z jedną kropelką jadu w środku. - Uśmiechnęła się pod nosem. - Nic tak nie ożywia. Myślisz, że bez tego przeżyłabym wasze wioskowe leczenie?

- Lubicha mówiła, że coś za szybko ozdrowiałaś. Dużo tego masz?

- Ten był ostatni. — Odrzuciła ząb za siebie. - I dobrze. Może teraz zacznę na siebie bardziej uważać.

Żarek wyprostował się nagle, w ciemności zabielała jego twarz.

- Ale czemu wbiłaś go w...

- Weź i wyrzuć to do morza. — Wcisnęła mu zawiniątko w rękę. - Jak najdalej.

Odszedł na całą długość łańcucha, mgła zwarła się za jego plecami.

- Gudrun?

- No? - Chociaż była tak blisko, jej głos był lekko przytłumiony.

- Zrobię, jak mówisz. Ale najpierw mi powiedz, co z tego będzie.

- Czegoś taki dociekliwy? Zobaczysz.

- Masz dziwne pomysły. Chcę wiedzieć.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy wyrzuciło mnie na brzeg? Byłam wtedy zbyt lekkomyślna. Popełniłam błąd i pozwoliłam, żeby mnie dostrzegł ten, który mnie szuka. A on zrobił wszystko, żeby zatopić nasz statek. Wzburzył morze, walił piorunami. Ledwo uszłam z życiem. Ci, co byli ze mną, poginęli. Co ci będę gadać, przecież sam ich zbierałeś. Ale tym razem to ja będę chytra.

Rzucimy mu na żer to, co trzymasz w ręku. Ciało, krew i kość. A on pomyśli, że to ja.

- Ale czemu miałyby tak pomyśleć, kimkolwiek jest?

Gudrun na chwilę zawiesiła głos. Nie mógł jej zobaczyć w ciemności, ale był prawie pewien, że odsłoniła równy rząd zębów z jednym pustym miejscem.

- Bo to jest prawda. Mówiłam ci, że nic nie ożywia lepiej niż smoczy jad.

Żarek osłupiał. To, co było w szmatce, poruszyło się na jego dłoni. Wrzasnął i szerokim łukiem wyrzucił zawiniątko przed siebie, w noc.



Zanim jeszcze krwawa paczuszka dotknęła wody, na mgnienie oka stał się dzień. Niebo z morzem połączyło się rozświetloną wstęgą gromu. Żarkowi się zdawało, że na tę jedną, osłepiająco jasną chwilę zwolnił czas, a błyskawica rozpruła głębię aż do piaszczystego dna. Zawiniątko zniknęło. Zobaczył wyraźnie, jak to, co z niego pozostało, opada na fale drobinkami popiołu. A zaraz potem czas pognał znowu do przodu, jakby chciał nadgonić poprzednią opieszałość. Huk przygiął ludziom kolana, a gwałtowna nawałnica zwałała z nóg. Błyskawica zgasła, a ciemność stała się jeszcze czarniejsza niż przedtem. W uszach zadzwoniła cisza.

Żarek podniósł się na drżących kolanach. Po omacku zaczął pełznąć w stronę, gdzie powinien być maszt. Statek z trudem wracał do równowagi po głębokim przechyle. Drewniane klepki trzeszczały, jakby lada chwila miały puścić. Coś ciężkiego z łomotem potoczyło się po pokładzie i podcinając Żarkowi ręce, pociągnęło go za sobą. Złapał za jakiś sznur, uderzył głową w coś twardego. Nie puścił, póki pokład pod nim nie przestał się kołysać. Dopiero wtedy wyciągnął rękę i dotknął tego, co go przywalilo. Włosy, nos. Człowiek. Przesunął palce dalej i natrafił na tłuste fałdy podbródka. Grubas!

Ręka skoczyła mu do tyłu, ale przemógł się i sięgnął jeszcze dalej. Zamarł, a potem podniósł dłoń i dokładnie wytarł ją o koszulę grubasa. Jego gardło było rozorane, od ucha do ucha.

Odepchnął ciało nogą, przysiadł na piętach i czekał. Bardzo powoli zaczął odzyskiwać wzrok. Najpierw widział tylko różne odcienie czerni, potem szarawe plamy, wreszcie i kształty. Kiedy znowu mógł rozpoznać smukłość masztu w prześwietlonej księżycem mgłę, usłyszał krzyki. Prawie natychmiast odwrócił się spłoszony, czując na policzku ciepły dotyk.

Gudrun pochylała się nad nim z palcem na ustach. Twarz miała spokojną i pewną siebie. Żarek przysunął wargi do jej ucha.

- Ilu?

- Siedmiu! - pokazała mu na palcach, a potem spojrzała na leżące kilka kroków dalej cielsko grubasa i uśmiechnęła się.

- To nawet jeszcze nie ćwiartka! - burknął Żarek i odsunął się od niej. - Reszta szybko się połapie.

Gudrun wyprostowała się i nasłuchiwała przez chwilę.

- Już się połapali. Idą tu.

- I co teraz?

Żarek zerwał się na nogi. Na deskach dudniły zmieszane kroki, wściekłe głosy nawoływały się w ciemnościach.

- To, co zawsze. - Utykając podbiegła do grubasa, wyrwała mu zza pasa miecz i rzuciła Żarkowi pod nogi. - To wprawdzie nie jest żaden czarodziejski toporek-samobijek, ale też można nim walczyć. Więc walcz!

Wycofała się tyłem, zniknęła za masztem. Żarek podniósł miecz i pobiegł za nią, ale jej już tam nie było. Odwrócił się twarzą do zbliżającej się wrzawy. Oburącz uniósł nad głową ciężkie ostrze i wytężył oczy.

Pierwszy Północnik sam wlaźł mu pod miecz. Żarek ciął prosto, z góry na dół, przebił się przez szyszak i czaszkę aż do szczęki. Zęby trupa ze stukotem

rozsypany się Żarkowi dookoła stóp. Następny szedł tuż za plecami pierwszego. Nie było czasu, żeby podnieść miecz, ale Żarkowi udało się zadać szybkie pchnięcie. Trafił czysto między żebra. Zanim jeszcze Północnikowi zmętniały oczy i osunął się na pokład, Żarek już wypatrywał ponad jego ramieniem innych. Ale tam było cicho i pusto.

Raczej wyczuł, niż usłyszał za sobą ruch. Schylił się, ostrze ze świstem przecięło powietrze tuż nad jego głową. Rzucił się na pokład i odtoczył w bok. Kiedy znowu stanął na nogi, unosząc przed sobą miecz, barczysty Północnik patrzył na niego, bezgłośnie poruszając wargami. Ciężko opadł na kolana, a potem przewrócił się na twarz. Za nim stała Gudrun. Wylała nóż w nogawkę i przymknęła oko.

- No proszę, uszy masz jak zajączek! Ilu usiekłeś?

- Dwóch. — Ani na chwilę nie przestawał się rozglądać.

- A ty?

- Jeszcze pięciu. - Ten pod jej nogami przestał skrobać paznokciami po deskach. - Sześciu.

- Psiakrew, mało! Teraz będą ostrożniejsi. Otoczą nas i rozniosą na kawałeczki, takie całkiem małe. - Ciężko dysząc, pokazał jej na opuszku palca, jak małe. - A mówiłaś, że sama ich pozabijasz!

- Przesadziłam! - Rzuciła w powietrze nóż, który z furkotem obrócił się kilka razy i z plaśnięciem upadł prosto na jej otwartą dłoń. - Ale oni i tak umrą. Nie wiem, co ich pan jest gotów jeszcze wypuścić na świat, ale na pewno będzie to wszystko, co ma najlepszego. A dzisiejszej nocy nie oszczędzi niczego, co pływa po morzu i oddycha, nawet na jego własnych statkach. Musi mieć pewność, że nic nie przedrze się na drugą stronę.

- Chciałaś mnie pocieszyć? - fuknął i rzucił jej złe spojrzenie. - Nie udało ci się.

- Nie. Chciałam ci powiedzieć, że czas zmienić wcześniejsze zamiary.

Żarek najpierw dostrzegł błysk stali, a dopiero potem usłyszał kroki za

plecami. Obrócił się na tyle szybko, żeby zobaczyć, jak Północnik siłą rozpędu przebiega jeszcze kilka kroków na mięknących nogach. W jego gardle tkwił nóż. Kiedy upadł, brzęknął pęk kluczy przy jego pasie.

- Zawsze mówisz mi w ostatniej chwili o takich rzeczach! Czy moje zdanie w ogóle cię obchodzi? - Żarek przez chwilę przebierał w kluczach, zanim znalazł właściwy. Uwolnił się z obręczy i z ulgą potarł łydkę.

- Nie bardzo. Ale na przyszłość mów śmiało, kiedy masz coś na wątrobie.

Teraz Północnicy pokazali się ze wszystkich stron naraz. Zostało ich jeszcze kilkunastu. Stanęli kołem i podnieśli miecze. Żarek był pewien, że usłyszał zgrzytanie ich zębów. Okręcił się bezradnie na pięcie i jęknął głośno.

- Jezu! Dlaczego ja w ogóle za tobą polazłem?

- Bo ci się podobam. - Gudrun stanęła przy nim i odetchnęła kilka razy głęboko. - Nabierz w płuca tyle powietrza, ile zdołasz. To może potrwać.

Bardzo chciał zapytać, co może potrwać, ale w ucho wpadł mu jakiś nowy odgłos i zapomniał o tym. Północnicy też to usłyszeli, zatrzymali się. Opuścili miecze i oglądając się za siebie, szeptali niespokojnie. Poza statkiem, we mgle, z morzem zaczynało dziać się coś dziwnego. Brzmiało to tak, jakby na jego powierzchnię wyskakiwały z głębi ogromne bąble powietrza i pękały jeden po drugim z głośnym cmoknięciem. Statek zachwiał się na nagle wzburzonej fali.

- Masz, przewiąż się w pasie! - Żarek poczuł w dłoni szorstkie sploty sznura, drugi koniec Gudrun owijała wokół siebie. - I wyrzuć to żelastwo. Przez jakiś czas nie będzie ci potrzebna broń.

Północnicy całkiem przestali zwracać na nich uwagę. Rozbiegli się po statku, jakby pokład zaczynał parzyć im stopy. Bąble pękały coraz bliżej, Żarkowi opadł na twarz deszcz słonych kropelek. Zrobił, jak chciała. Związał się ciasno i szarpnięciem spróbował, czy dobrze trzyma. Spojrzał na Gudrun i otworzył usta, ale już nic nie zdążył powiedzieć. Pokład podskoczył tak gwałtownie, że wylecieli w powietrze. Tuż przed sobą Żarek zobaczył



wierzchołek masztu, rozwiane włosy Gudrun, potem jakiegoś Północnika nogami do góry. Twardo uderzył plecami o wodę.

Na samym początku, króciutko, miał uczucie ulgi. Przejście od ryku rozszalałego morza do podwodnego świata ciszy, gdzie w uszach szumiała tylko własna krew, stworzyło złudzenie bezpieczeństwa. Ale już w następnej chwili całe jego ciało skrzyło się gwałtownie, a ręce i nogi zatrzepotały, szukając drogi ku powierzchni. Było ciemno i zimno, a każdy kierunek mógł być tym właściwym. Żarek otworzył oczy, zagarnął wodę ramionami i rzucił się tam, gdzie zobaczył światło gwiazd. Jeszcze raz, jeszcze, mrok wokół niego jakby stawał się mniej nieprzenikniony.

I wtedy zatrzymał go sznur.

Szarpnął się mocno, spłoszony, ale sznur nie puścił. Mocno naprężony, ciągnął się prosto w dół, do dna. Żarek położył ręce na brzuchu i rozbieganymi palcami poszukał węzła. Znalazł go, ale to tylko wzmogło w nim strach. Pamiętał, jak go zawiązywał. Wiedział, ile staranności włożył w to, żeby dobrze trzymał. Nie udało mu się nawet wetknąć palca między ciasne sploty Teraz po raz pierwszy, odkąd znalazł się w wodzie, poczuł, że brakuje mu powietrza. Wiedział, że będzie mógł wytrzymać przez jakiś czas, ale musiał bardzo szybko coś wymyślić. Wypuścił nosem małą chmurkę pęcherzyków i spojrzał w górę. Gwiazdy ciągle tam były. Tak blisko, że prawie mógłby ich dotknąć wyciągniętą ręką. Ale i tak zbyt daleko.

Obrócił się głową w dół i położył ręce na sznurze. Przekładając dłoń za dłoń, zaczął się wciągać w głąb morza. Ciemność znowu zgęstniała, a szum w uszach odezwał się z nową siłą. Nie widział swoich rąk, nie widział sznura. Nie widział nic. Ale nie zamykał oczu. Gdzieś tam, po drugiej stronie, musiała być Gudrun. Tak samo przewiązana w pasie i tak samo pogrążona w ciemności. Czekala na niego. Żywa albo martwa, ale czekała.

Wydawało mu się, że wytrzymał tak długo, jak tylko się dało. Wypuścił ustami to, co uwierało go w płucach, i zacisnął zęby. Dobrze wiedział, że od

tej chwili zostało mu tylko kilka szybkich ruchów rękami.

Raz, dwa, trzy.

Poczuł, że coś chwyta go za włosy i ciągnie w dół. Obił się żebrami o kamienie, a potem trzasnął czołem w ciemność, która nagle stwardniała. Jęknął z bólu. Usłyszał własny głos i zdał sobie sprawę z tego, że znowu może oddychać. Leżał na brzuchu, z głową w kałuży wody spływającej z jego włosów, i patrzył w mrok, którego nigdy nie tknęło światło.

- Żarek? - Głos Gudrun zdawał się dobiegać ze wszystkich stron naraz, powtarzając ciągle od nowa jego imię, coraz ciszej i ciszej. Jej oddech był jak szum wieczornego lasu.

- No? - Czuł się tak, jakby mówił do niej z dna studni.

- Gdzie jesteś?

- Przy tobie. Czekaj. - Poczuł, jak sznur się napręży, a jej kroki rozhuczały się jak burza. - O, już.

Podłożyła mu rękę pod pierś i pomogła wstać. Usiadł, ostrożnie wyciągając przed siebie nogi. Gdzieś blisko spadła kropla wody i głośno rozbiła się o kamień.

- Coś się stało z moimi uszami. I oczami.

- Nie, wszystko jest dobrze. - Kucnęła przed nim i usłyszał, jak trzasnęły jej kolana. - Jesteśmy pod morskim dnem.

Oddychał równo i głęboko. Powietrze było trochę zatęchłe, ale i tak sprawiała mu przyjemność sama praca płuc. Oparł się na łokciu i kilka razy potrząsając głową, otrzepał włosy. Rozumiał każde jej słowo, ale jeszcze nie umiał ich powiązać w żadną treść.

- Gdzie jesteśmy?

- Gdyby nie sznur, nic nie mogłabym zrobić. Utopiłbyś się. Ale jakoś przeciągnęłam cię przez skalne przewężenie, kiedy zaczynałeś już wiotczeć. A dalej wypchnęła cię woda.

Zaczął wszystko odtwarzać sobie w głowie, chwila po chwili. Pomacał ręką obok siebie, gdzie w skalnym dnie był okrągły, zalany wodą otwór.

- Tędy?

- Tędy.

- No dobra. - Zmarszczył czoło. - Ale jeśli jesteśmy pod morskim dnem, to skąd tu powietrze?

- Ojej, nie widziałeś bąbli? - W jej głosie wyraźnie zabrzmiało rozdrażnienie. - Drążyły swoje przejścia przez całe wieki jak korniki w drewnie. Gdzieś daleko, na lądzie, jest wylot. I to niejeden. A tutaj jest ich nora. Tu śpią.

Powoli wyciągnął rękę z wody i otrzepał ją. Krople rozsypały się po ścianach z cichym szelestem.

- Czekaj, czekaj. Czyja nora?

Długo milczała, ale nie ponaglał jej. Wiedział, że nawet gdyby było jaśniej, nie patrzyłaby mu teraz w oczy.

- Nigdy nie słyszałeś o węzach morskich?

Teraz on zwlekał. Powietrze zaczęło mu śmierdzieć, starał się oddychać przez usta.

- Coś tam słyszałem. Ale zawsze myślałem, że to tylko takie tam... Bajdy.

- Dla jednych bajdy, dla innych nie bajdy. Ale to prawda, że bardzo niewielu ludzi je widziało. Wypływają na powierzchnię tylko nocą, zwykle na bardzo krótko. Tyle, żeby nabrać zapas powietrza. A najlepiej czują się wtedy, kiedy jest gęsta mgła. W taką pogodę, jeśli się ma szczęście, można dostrzec nad wodą ich płaski łeb.

- Raczej nieszczęście. - Podciągnął nogi i odsunął się od otworu. - Ale skąd wiedziałaś, że właśnie tutaj jest taka nora?

- Nie wiedziałam. Ale widziałam, co się stało ze statkiem. Byle ryba nie ma tyle siły. No i te bąble. Popłynęłam w dół i miałam nadzieję, że się nie

myle.

- Więc nie myliłaś się. Siedzimy sobie pod dnem morza, w jamie potwora, który teraz nad naszymi głowami spokojnie dożera Północników z roztrzaskanego statku. - Żarek wstał. - Sam bym tego lepiej nie wymyślił. I co dalej? Szukamy wyjścia czy czekamy, aż gadzina wróci?

Drgnął. To była tylko jej ręka na jego ramieniu.

- Dziwny jesteś. Właśnie ocaliłam ci życie, a ty się pieklisz. Nie bój się. Wszystko przemyślałam.

- Taak? - Wzruszył ramionami, jej ręka się ześlizgnęła. - No to słucham.

- Na powierzchni nie byłoby dla nas żadnej nadziei. Jak długo moglibyśmy pływać? Przez noc? Jeszcze przez dzień? Nawet gdybyś miał siły na dziesięć dni, nie dopłynąłbyś do brzegu. - Przerwała, zaszeleściła jej kiecka. - A szukanie drogi w tej gmatwaninie ciemnych korytarzy oznacza śmierć głodową.

- I co dalej?

Z trzaskiem pękła urwana nitka, rozległ się dźwięk prutego szwu.

- Mam tu coś zaszyte w drugim rękawie.

- Mówiłaś, że tamten smoczy ząb był ostatni!

- Bo był. - Sapała przez nos, rozgarniając palcami nitki. - To jest smocza łąza.

Poszukała jego ręki, siłą rozprostowała palce i położyła mu coś na otwartej dłoni. Było lekkie i chłodne jak okrągły kawałek bursztynu.

- Jak to ma działać? Podobnie jak jad?

- Odwrotnie.

- Odwrotnie? - Chciał cofnąć rękę, ale ona przytrzymała mu dłoń. - Chcesz powiedzieć, że to... zabija?

- Nie! Zamierzam uciec z tej dziury, ale nie z tego świata! Jeśli to połkniesz, to będziesz... No, jak by ci to powiedzieć? Zaśniesz. Dawniej,

kiedy o smoki było jeszcze łatwo, górale na Północy używali ich łąz, jak przytrafiła się bardzo sroga zima. Łykali, a potem tylko czekali wiosny. Nie musieli ani jeść, ani pić, ani nawet oddychać. Nie miał się ich nawet mróz. Nic! Jakby byli martwi, a przecież ciągle żyli.

Żarek sam do siebie pokiwał głową, ale dalej nic nie rozumiał.

- Nie jeść, nie pić, nie oddychać. W porządku. Możemy tu siedzieć i czekać. Ale właściwie na co?

Woda w otworze nagle zakipiała. Żarek wyczuł pod stopami leciutkie drżenie skały. Gudrun chwyciła go za drugą dłoń i mocno ścisnęła.

- Uwierz mi. Chociaż raz mi uwierz. Nie mamy innego wyjścia.

Woda przelała się przez krawędź otworu i schłodziła Żarkowi pięty. To, do czego Gudrun próbowała go przekonać, było takie dziwaczne, że chociaż ciągle stała przed nim i trzymała go za ręce, on dalej nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Bardzo chciał coś powiedzieć. Cokolwiek, żeby tylko się przekonać, że nie zawodzą go zmysły.

- Trzymasz z nimi, co? - Drżenie się powtórzyło, a na powierzchnię wody z bulgotem wyskoczyło parę pęcherzyków powietrza. - Ty też służysz piekłu! Wszystko dotąd było tylko udawaniem, żeby mnie omamić!

Wspięła się na palce i czołem dotknęła jego czoła.

- Żarek, na litość boską, nie bredź! Gdyby tak było, to mogłam cię zabić tysiące razy A ja chcę, żebyś żył. Żebyśmy żyli oboje. - Mówiła coraz wolniej, coraz bardziej rozwlekle. - Po prostu nie ma innego sposobu.

Poczuł, że Gudrun osuwa się na kolana. Chciał ją podtrzymać, ale zamiast tego tylko pochylił się nad nią w ciemności.

- Już to zrobiłaś, prawda? - wyszeptał.

Przez chwilę słuchał jej słabnącego oddechu. Potem zacisnął pięść. Smocza łza uwierała go jak kamyk w bucie. Kiedy palce Gudrun ześlizgnęły się z jego nadgarstków, poczuł się tak, jakby obudził się w grobie.

Wtedy przeraził się naprawdę. Pomyślał, że mógłby nie zdążyć, i trwoga zacisnęła mu gardło tak mocno, że musiał chłodną grudkę siłą przepychać palcem przez przełyk tak daleko, jak tylko sięgnął. Miała smak żywicy.

Wyciągnął palec i przestraszył się, że zwymiotuje. Zapomniał o tym, kiedy woda znowu wystąpiła z dziury i coś ciężkiego zaczęło wsuwać się do jaskini. Chciał odbiec dalej, ale nie mógł się ruszyć. Nie wiedział, czy to jeszcze strach, czy już zaczęła rozpuszczać się w żołądku mała kropelka smoczego smutku. Modlił się w duchu, żeby to było to drugie.

Wężowe łuski bez pośpiechu chrobotwały na skalnym progu. Potem na chwilę zrobiło się całkiem cicho. Kiedy rozdwojony koniec gadziego języka musnął mu twarz, wiedział, że płaski łeb jest tuż przed nim. Wąż dźwignął się jeszcze wyżej i powoli, jakby nie chciał zrobić mu krzywdy, chwycił zębami czubek jego głowy. Zanim zaczął nasuwać się dalej, Żarek prawą piętą kopnął się w lewą goleń. Nic nie poczuł. Wtedy zamknął oczy i rozluźnił mięśnie.

## R O Z D Z I A Ł E X I I I

Pierwszym odczuciem, jakie potem mógł sobie przypomnieć, był smród. Smród tak wielki i wszechobecny, że sprawiał wrażenie czegoś, co można zobaczyć i czego można dotknąć. Wyzwał nieodpartą chęć ucieczki. Ale nogi jeszcze Żarka nie słuchały. Nawet nie mógł sprawdzić, czy wciąż je ma. Były tylko powieki, które odchyłały się bardzo opornie, a dopiero potem cała reszta ciała, w którym powoli zaczynała krążyć krew. Kiedy udało mu się na dobre otworzyć oczy, czysty i zimny błękit sprawił mu ból swoją jasnością. W nagłym dreszczu zeszło odrętwienie z szyi i udało mu się obrócić głowę. Pod policzkiem miał coś ciepłego i miękkiego. Smród wciskał się do nosa z nową siłą, aż wreszcie z oczu poleciały łzy.

Długo zbierał się w sobie, zanim zdołał unieść plecy i podeprzeć się z tyłu łokciami. Było jasno, chłodno i cicho. Poczul na stopach łagodny wietrzyk, poruszył kolanami. Kiedy zrozumiał, że falujący szum, który słyszy, jest odgłosem morza, świat znowu stał się dla niego jednością.

- Długo będziesz leżał w tym gównie?

Głos dochodził z tyłu. W pierwszym odruchu Żarek chciał się obrócić na brzuch, żeby spojrzeć za siebie, ale przypomniał sobie cuchnącą miękkość pod policzkiem i wybrał trudniejszą drogę. Kiedy siadał, miał wrażenie, że ziemia pod nim się chwieje. Poczekał, aż ustąpi przed oczu ciemność, a potem wstał. Przetrwał na nogach pierwszy silniejszy podmuch wiatru i uwierzył, że wszystko będzie dobrze.

- A co? - Język mu się jeszcze trochę plątał. - Spieszmy się gdzieś?

Gudrun stała po łydki w morzu i z głową przechyloną na bok wyzymała z

włosów wodę. Skóra na jej twarzy i ramionach była zaróżowiona, jakby świeżo wyszorowana.

- Jasne, że się spieszymy. Ale wykąpać się zdążysz. - Rozpuściła wilgotne włosy na plecy. - No, chyba że ci na tym nie zależy. Ale wtedy będziesz musiał iść pięć kroków za mną, i to pod wiatr!

Ruszył naprzód na uginających się nogach. Minął Gudrun, szeroko rozchlapując wodę, przeszedł jeszcze kilka kroków, a potem rozłożył ramiona i rzucił się twarzą w dół, naprzeciw wzdymającej się fali. Dotarło do niego jej zaniepokojone wołanie, ale zamiast odpowiedzi jeszcze głębiej zanurzył głowę. Wyrwał garść wodorostów i zaczął mocno trzeć skórę wszędzie tam, gdzie mógł dosięgnąć. Śmierząca, wyschnięta na wietrze skorupa pod wodą schodziła prawie bez oporu. Pomyślał o różowej skórze Gudrun i szorował jeszcze mocniej. Potem zdarł z grzbietu koszulę, wysunął się z portek i tak długo ugniatał je w piasku na dnie, aż wypłukał z nich nawet wspomnienie tego obrzydliwego zapachu.

Kiedy wychodził z morza, Gudrun leżała ze zgiętymi kolanami i wystawiała twarz do bladego słońca. Opadł koło niej i z ulgą wyciągnął się pomiędzy pokruszonymi kamieniami. Zrobiło mu się zimno, kiedy z ubrania zaczęła parować woda, ale pozwolił dreszczom swobodnie przebiegać przez ciało. Całym sobą chłonał to przyjemne doznanie, jakim jest życie.

- Jestem taka głodna, że zjadłabym zdechłą meduzę!

Zastanowił się leniwie nad jej słowami i już po chwili poczuł, jak zaczyna go ssać w żołądku.

- Jak długo to trwało?

- Niedługo. Inaczej moglibyśmy teraz nawzajem policzyć sobie kości pod skórą. Myślę, że jakieś kilka dni.

Spojrzał w stronę, gdzie na jasnym piasku ciemniała rozwłóczona, gęsta maź. Powiał stamtąd wietrzyk i Żarek przyłożył do twarzy obie dłonie.

- Chryste! Skąd tego aż tyle?



- A jak? Przecież gadzina miała co trawić.

Żarek spróbował przypomnieć sobie, ilu ludzi mogło być na pokładzie statku. Wzdrygnął się i nie ciągnął tych rozważań.

- A co by było, gdyby nas wysrał pod wodą?

- To byśmy się tak nie upaprali! - Gudrun zachichotała, ale szybko umilkła, kiedy zobaczyła zacięte wargi Żarka. - No, co ty? Przecież nie namawiałabym cię do tego, gdybyśmy mieli się potopić. Wiesz, jak tutaj, na Północy, ludzie nazywają ten kawałek piachu? Cuchnące Wybrzeże. Węże morskie właśnie w tym miejscu wyłazą z wody, żeby się parzyć i składać jaja. No i srać. Tak było zawsze.

- Składają jaja? - Podłożył ramię pod głowę. - No to przecież wystarczy skłuć im te jaja widłami i już. Nie ma gadów.

- Może i wystarczy, ale nie radzę. Miejscowi rozerwaliby cię na strzępy. Oni żyją z tych węży.

- Miejscowi? - zaniepokoił się nagle. - Przyjaciele czy wrogowie?

Gudrun usiadła i zanurzyła we włosach obie dłonie. Były już prawie suche. Wstała, obciągnęła sukienkę na biodrach.

- Póki co, nie spodziewaj się na Północy żadnych przyjaciół. - Stała nad nim, zasłaniając mu słońce. - Będą tylko ci, których trzeba zabić, i ci, których trzeba przekupić.

W jej cieniu szybko zrobiło się całkiem zimno. Kiedy Żarek się podnosił, piasek sypał mu się z włosów za koszulę.

- Uroczo. Miły ten twój kraj.

- Mój to on dopiero będzie, kiedy go dla siebie wydrę. A co do miejscowych, to poza niektórymi dziwnostkami są z nich całkiem zwyczajni rybacy. Biedni, chytry i kłamliwi. Zresztą chyba niedługo sam ich poznasz. Od samego początku gapią się na nas z tamtych krzaków.

Żarek rzucił okiem w kierunku, w którym skinęła głową. Wydawało mu

się, że w kępie krzewów u podnóża wydm dostrzegł błysk słońca odbity w żelazie.

Czemu nie podchodzą?

- A ty byś podszedł, gdyby z gadziego łajna wylazł żywy człowiek? - Klepnęła go otwartą dłonią w kark, aż szczęknęły mu zęby. - Bo ja nie. Lepiej chodźmy do nich. Musimy się najeść, bo nie wiadomo, kiedy będzie następny raz.

Dogonił ją w połowie drogi. Stawiała pewne kroki, pod jej piętami zgrzytał piasek. Chwycił ją pod łokieć, ale ona tylko przycisnęła ramię do boku i szła dalej.

- Czekaj! - wyszeptał. - My nawet nie mamy broni!

- Nie mamy - przytaknęła. — Toteż nie idziemy z nimi walczyć, tylko kupić trochę żarcia.

- Nie masz nic na wymianę, sprułaś już oba rękawy. - Zmarszczył czoło i spróbował z boku zajrzeć jej w oczy. - Chyba żeś znowu coś uknuła przeciw mnie, jak wtedy z topieluchami?

- Nie zapomnisz mi tego, co? - wyduła wargi. - Jakoś to przeżyję. Ale posądzasz mnie niesłusznie. Tym razem będzie odwrotnie, bo to ty mnie sprzedasz.

Byli już całkiem blisko, kiedy krzaki poruszyły się i wyczołgał się z nich człowiek. Był kudłaty, brodaty i czuć go było rybami. Wstał i strzepując z włosów liście, wyciągnął przed siebie nóż. Zawołał coś do nich.

- Dobra. - Gudrun przeszła jeszcze parę kroków i zatrzymała się. - Teraz posłuchaj. On będzie gadać tylko z tobą, bo jesteś chłopem. Dla nich baba nie ma więcej rozumu niż kura. Ja będę tylko tłumaczyła.

Żarek nie spuszczał wzroku z noża, który przesuwiał się w lewo i w prawo, od Gudrun do niego i z powrotem.

- I ty chcesz być tutaj królową?

- Królowych nie dotyczy to o kurach! - Pokazała zęby
- Przynajmniej mam taką nadzieję. Powiedz mu, że oddasz mnie za żarcie.
- Bardzo chętnie.

Rybak zawołał znowu. Za jego plecami zrobił się ruch, a po chwili z krzaków wyszło dwóch następnych. Wyglądali na przestraszonych, ale w rękach tak samo zaciskali noże. Żarek stęknął, kiedy Gudrun kolnęła go łokciem w żebra. Podrapał się w głowę, a potem podniósł do góry otwartą dłoń.

- Nie przychodzę jako wróg! - zaczął niepewnie, odchrząknął, poczekał, aż Gudrun skończy tłumaczyć. - Chciałem tylko wymienić babę za jedzenie. Wiem, że za taką jak ta dacie mi tylko rybi ogon, ale dobre i to.

- Nie pozwalaj sobie! - syknęła Gudrun, a potem tłumaczyła coś głośno przez dłuższy czas, machając rękami i przewracając oczami.

- Coś tam nawymyślała? - Żarek próbował jej wejść w słowo. - Ja tak długo nie gadałem.

- Bo ty w ogóle nie umiesz się targować! - odwarknęła i dorzuciła jeszcze dla rybaków kilka słów. - Przy tobie daliby nam co najwyżej powąchać jedzenie.

Rybacy wymienili spojrzenia. Ten pierwszy wsadził ostrze noża między zęby i zaczął wydłubywać jakąś ość. Potem podszedł do nich bez pośpiechu, błędząc wzrokiem po rękach Żarka. Zatrzymał się przed Gudrun i rzucił Żarkowi jakieś pytanie.

- On pyta, czy jestem... nie ruszona. — Gudrun wytrzymała bez ruchu, twarzą w twarz z rybakiem, tylko brwi zeszyły jej się na środku czoła. - Kiwnij mu głową. Tylko szybko, bo ma oddech jak stary pies. Nie zniosę tego dłużej.

- E, no... Co?

Brwi Gudrun ściągnęły się jeszcze bardziej. Cały czas patrzyła

Północnikowi prosto w oczy. Odezwała się do niego, ale mówiła coraz wolniej i coraz ciszej. Kiedy skończyła, rybak wsadził nóż za pas i zaczął podwijać rękawy koszuli.

- Nie wierzy mi. Chce sam sprawdzić. - Głos Gudrun był lekko schrypnięty. - A ja mu rozerwę krtań pazurami, jeśli mnie dotknie. Powiedz mu, Żarek. Powiedz mu, bo inaczej żarcie mamy z głowy.

Żarek wyciągnął rękę i położył na ramieniu rybaka. Uśmiechnął się tak promiennie, jak tylko potrafił, i uroczyście pokiwał głową.



Wyrwał kręgosłup jednym ruchem, ale mniejszymi ościami nie zawracał już sobie głowy. Zjadł rybę w całości.

Wyszał łeb i ogryzł ogon, tylko łuski strzelały. W misce miał jeszcze dwie, pachnące morzem i sosnowym dymem. Słuchał, jak Gudrun na boku pogwarza z babami, a od żołądka na całe ciało rozlewało mu się miłe ciepło. Piwo tu mieli podłe, ale za to mocne. Dotknął wargami brzegu kubka i powoli, odchylając głowę, wlał wszystko do gardła.

Nagle, bez żadnej przyczyny zrobiło mu się tak smutno, że aż chlipnął sobie cichutko. Przypomniał sobie tamtą rozmowę z Rudawką, sprzed lat, kiedy jeszcze razem marzyli o drugim brzegu. No i co? Siedzi teraz wśród obcych ludzi, skubiąc rybę, ale tak naprawdę to jest całkiem sam. Gudrun kręciła się gdzieś przy innych ogniskach, widział ją raz tu, raz tam. Poczł się jak zdrajca, jak jakiś zaprzaniec, chociaż sam nie wiedział za dobrze, dlaczego.

Wytarł nos i zaczął rozglądać się po ludziach, żeby jakoś rozgonić smutne myśli. Niby byli podobni do kmiotków z drugiej strony morza, ale też nieuchwytnie odmienni. Proste gacie i koszula, spracowane ręce, ciężki rybacki chód. Baby ciche, nie pytane nie odzywały się prawie wcale.

Wszędzie, gdzie się tylko dało, pozawieszane miały jakieś błyskotki - w uszach, we włosach, na szyi, na kieckach. Kiedy podchodziły bliżej, słysząc było cichutkie pobrzękiwanie. Przyjrzał się lepiej, kiedy młoda dziewczyna o bladej twarzy przyniosła mu dzban z piwem. Oprócz wisiorów i pierścieni miała na sobie kilkanaście sprzączek od pasów i kawałki jakiegoś okucia, nie wiadomo od czego. Wypatrzył nawet długi grot włóczni, takiej samej, jaką noszą woje. Wyglądało to wszystko dziwnie, ale Żarek tylko wzruszył ramionami. Tu prawie każda rzecz pod pozorem zwyczajności była dziwna. Tylko dzieciaki takie same, jak wszędzie - ciekawskie, głośne i w nadmiarze.

Ludzie żyli tu inaczej. Nie budowali drewnianych chat, tylko ryli w piaszczystych zboczach nory, jak krety. Póki było ciepło, palili obramowane kamieniami ognie pod gołym niebem, przed niskimi wejściami do ziemianek. Ze zwierząt trzymali jakieś chude kozy, trochę świń i kury, a wszystko to łączyło między ludźmi, zaglądając siedzącym przez ramię i dożerając każdą okruszynę, która wypadła z miski. No i była też cała kupa psów. Ale nawet one były inne niż te swojskie, wioskowe. Nie takie rozzuchwalone. Na widok kija kuliły pod siebie ogony i znikwały w krzakach.

Dali mu miche, dali pieniek pod tyłek i zostawili samego. Z początku próbował zagadać raz i drugi, kiedy ktoś go mijał, ale szybko rozbolały go ręce od bezradnego machania. A i rybacy nie palili się do rozmowy. Patrzyli krzywo, kiwali głowami i szli w swoją stronę. Nie byli wrodzy, ale nie byli też przyjaźni. Byli obojętni.

- No, no, powolutku! - Żarek zakrztusił się piwem i odruchowo zasłonił miskę ramieniem, kiedy stanęła nad nim Gudrun. - Nie bój się, nie poluję na twoją miche. Mnie też dali jeść. Jak świni, nie jak człowiekowi, ale dali. Już nie jestem głodna. A ty tyle nie pij, bo masz dzisiaj jeszcze coś do zrobienia.

Wsadził palec w skrzela i podniósł rybę. Zajrzał życzliwie w jej szkliste ślepie.

- Nic z tego. Zjem, wypiję i idę spać. Po tym wszystkim, cośmy przeszli, muszę odpocząć.

- Odpocząć? - Gudrun zaplotła ramiona na piersi. - Tobie chyba ciągle się wydaje, że siedzisz przed swoją chatą. Obudź się, Żarek! Jesteś na Północy.

- I co z tego? Tutaj się nie śpi?

- Tacy jak my odpoczywają dopiero wtedy, kiedy dopną swego. Inaczej giną.

Nadgryzł rybę. Miał wrażenie, że jedno oko ciągle na niego patrzy. Nie smakowała mu już tak samo jak poprzednia. Położył miskę między nogami i wytarł palce w gacie.

- Dobra. Czego znowu chcesz?

- Potrzebna nam broń. Nie możemy iść dalej z gołymi rękami. Próbowałam wypytać baby, czy rybacy by czegoś nie sprzedali, ale chyba drugi raz nie dadzą się oszukać. Ukraść nie mogę, bo mnie pilnują. A ty nie umiesz.

- Może umiem, ale nie chcę? - Siorbnął z kubka, ale piwo wydało mu się za gorzkie i wypluł je na trawę. - Jesteś między swoimi, to się z nimi dogadaj. Ja muszę iść... gdzieś.

Czuł się ciężki, ale pomimo tego pognął w las całkiem rażno. Znalazł dobre miejsce, suche i zaciszne. Spędził tam trochę więcej czasu, niż musiał, ale potrzebował go dla zebrania myśli.

Kiedy znowu wystawił głowę z krzaków, na ścieżce stał jakiś człowiek.

Widział go już przedtem. Był kulawy i nierówno zarośnięty na policzkach, ale chyba jeszcze nie stary. Od początku kręcił się koło niego, powłócząc za sobą sztywnym kulasem. Zachodził od tyłu, zerkał z boku, ukradkiem przysłuchiwał się rozmowom. Gdyby Żarek wcześniej zwrócił na niego baczniejszą uwagę, dostrzegłby, że różni się od rybaków. Wszyscy tutaj pracowali, baby, dzieci i starcy, a on jeden nie. A kiedy przychodziła pora na jedzenie, siadał do michy razem z innymi i nikt nie odganiał go kopniakiem ani nawet krzykiem. Ale Żarek był zbyt pochłonięty napychaniem brzucha,

żeby jeszcze przyglądać się ludziom. Teraz, kiedy sobie ulżył i w głowie mu pojaśniało, zatrzymał się i zmarszczył czoło. Potarł skroń, jakby usiłował coś skojarzyć.

- Łazisz za mną czy co?

Nie czekał na odpowiedź, bo nie spodziewał się, że kulawy może go zrozumieć. Tym szerzej otwarły mu się oczy, kiedy usłyszał jego niski głos.

- Łażę. Chcę z tobą porozmawiać.

Mówił z trudem, jak ktoś, kto dawno nie posługiwał się mową używaną na tamtym brzegu. Po każdym słowie robił krótką przerwę, żeby pomyśleć nad następnym.

- Aha. - Żarek zaczął się jąkać. - Kim jesteś?

- To ty tu jesteś gościem. Najpierw ty się przedstaw.

Żarek szybko rozejrzał się dookoła. W pobliżu chyba nie było nikogo innego, ale gdyby głośno krzyknął, Gudrun we wiosce pewnie by go usłyszała.

- Mówiłem już - odpowiedział ostrożnie. - Jestem rozbitkiem.

- A ona? - Kulawy pokazał kciukiem za siebie, w stronę wioski.

- To moja niewolnica. Znaczy... Już nie. Sprzedałem ją.

Kulawy zbliżył się, szurając wykrzywioną stopą po zeschniętych liściach. Żarek opuścił wzrok na jego ręce, ale były puste.

- Widziałem, jak twoja niewolnica wrzeszczy. Na ciebie wrzeszczy. To chyba bardzo zła niewolnica?

Żarek podrapał się po nosie i poczuł, że się czerwieni.

- I właśnie dlatego ją sprzedałem.

- Kłamstwo nie jest łatwe. - Kulawy niespodziewanie roześmiał się i potrząsnął głową. - Źle to robisz. Wy wszyscy z Południa źle kłamiecie.

Żarek szybkim ruchem nogi rozrzucił liście i podniósł największy kamień, jaki był w jego zasięgu.

- Dobra. Czego chcesz?

Kulawy przestał się śmiać. Ale wesołość w jego oczach nie ustąpiła przed strachem, tylko przed powagą. Nawet nie spojrzął na kamień. Przyciągnął sztywną nogę do zdrowej i wyprostował się.

- Ty nie podnoś na mnie ręki, mały. Stoisz o jeden krok od śmierci. O pół kroku. Tylko ja mogę cię uratować, ale jak rozwalisz mi głowę, to już nie będę mógł ocalić twojej.

- Niby czemu mam ci wierzyć? Skradałeś się za mną!

- Kulawy nie może się skradać. Kulawego każdy słyszy.

- Ja nie słyszałem.

- Może za głośno puszczałeś wiatry?

Przez dłuższą chwilę świstali przez nosy w milczeniu, prawie dotykając się czołami. A potem Żarek odrzucił kamień w chaszczę.

- Powiesz mi wreszcie, czego chcesz?

- Mądra głowa, tylko gorąca! - Kulawy z zadowoleniem mlasnął. - Ty teraz idź i powiedz swojej... niewolnicy, że ja tutaj czekam na nią. Muszę z nią pogadać, ale nie przy rybakach.

- Mogę jej powiedzieć, ale ona i tak nie przyjdzie - wzruszył ramionami Żarek.

- To ci niewolnica! Nie tylko wrzeszczy, ale jeszcze się nie słucha! - Kulawy znowu zarechotał, skubiąc brodę. - Ty nie smuć się. Powiedz jej, że czeka na nią Eryk Chyżonogi. Wtedy ona przyjdzie.

Kiedy Żarek odszedł na kilkanaście kroków, obejrzał się za siebie. Ale kulawego już nie było, tylko lekko drżały gałązki krzaków na poboczu ścieżki.

Znalazł Gudrun między dziećmi, jak przekomarzała się z nimi hałaśliwie. Odciągnął ją na bok i opowiedział wszystko przyciszonym głosem. Spodziewał się po niej niepokoju albo chociaż zdumienia, ale ona



tylko skinęła głową.

- Długo się kręcacz namyślał.

- Co?

- Myślał, że go nie poznałam. Ale ja mam dobre oko i dobrą pamięć, ha! Pójdę. A ty... - sięgnęła ręką za siebie i wygarnęła zza pleców chudego chłopczykę. - To diablątko zaprowadzi cię w pewne miejsce, gdzie powinieneś znaleźć to, co jest nam potrzebne. Tylko spraw się szybko, bo nie mamy wiele czasu.

Chłopak włosy miał białe, a całą twarz w rudych piegach.

- A ty?

- Ja jestem niewolnicą, zapomniałeś? Sprzedałeś mnie za pełną miczę. - Szepnęła małemu coś do ucha, a on zniknął pomiędzy suchymi badylami. - Idź za nim. A potem nie wracaj już tutaj, tylko schowaj się wśród tamtych wzgórz.

Mały zjechał na tyłku po wydmie. Żarek pobiegł za nim, ale po kilku krokach stanął i obejrzał się na Gudrun. Z jego głosu zniknęła pewność siebie.

- No, a ten... - wśród rybaków kręcących się przy ogniskach poszukał wzrokiem kudłacza, któremu sprzedał Gudrun. - Co zrobisz, jak... no wiesz.

- Poradzę sobie - uśmiechnęła się lekko. - Ty zrób swoje. Znajdę cię, jak zapadnie noc.

Mały czekał na dole. Piegi miał wszędzie, nawet na powiekach i za uszami. Gwizdnął na Żarka jak na psa i ruszył biegiem. Piasek był grząski, a Żarek ocięzały i zły. Ledwo nadązał. Chłopiec co chwila nikł mu z oczu między przeredzonymi krzaczkami, a potem znowu wyskakiwał nie wiadomo skąd i wsadzając palce między wargi, gwizdał przeciągle. Śmiał się głośno, a Żarek był pewien, że to z niego. Obiecał sobie, że nie pożałuje mu paru kopniaków, jak już go dopadnie. Ale kiedy mały w końcu się zatrzymał, Żarek tylko pochylił plecy, położył dłonie na kolanach i zwymiotował całą

rybę, razem z ościami. Wyprostował się, z trudem łapiąc oddech. Mały patrzył na niego z szerokim uśmiechem. W ręce trzymał długi kij.

- Co ci tak wesoło, ryżawa wszo? - wysapał Żarek, ocierając wargi. - I po co ci ten drag? Bić się chcesz czy co?

W ostatniej chwili wyciągnął przed siebie ręce, chroniąc twarz, kiedy kij poleciał w jego stronę. Jakoś go złapał, ale chyba wybił przy tym kciuk.

- Stój! - wrzasnął na małego, który odbiegł na bok, przeskakując piaszczysty wał. - Bo ci powyrywam...

Zwolnił, zatrzymał się. Przez chwilę patrzył na wał, za którym zniknął chłopak.

Coraz mniej mu się to wszystko podobało. Rozejrzał się po okolicy. Po kamienistym wybrzeżu płożły się suche zielska, dalej w głębi lądu zaczynały się już skarłate drzewka. Szum morza, krzyk mew. Niby zwyczajnie, ale... Zapach. Chwycił kij obiema rękami i głęboko zapadając się w piach, zaczął się wdrapywać na wał. Kiedy stanął na górze, pokiwał w milczeniu głową. Mały zniknął, a po drugiej stronie na przyżółconej trawie leżał ogromny placek węzowego łajna. Mógł mieć z dziesięć kroków, od brzegu do brzegu. Żarek przełknął ślinę i poczuł ulgę na myśl o tym, że jego żołądek jest już pusty.

- Księżniczka! - powiedział półgłosem dla dodania sobie odwagi. - Co się będzie sama babrać, kiedy głupi Żarek ją we wszystkim wyręczy?

Westchnął, ruszył przed siebie. Zbliżając się do łajna, naciągnął koszulę na nos, pod same oczy

- Miejscowi żyją z węży, co? - Przypomniały mu się brzęczące błyskotki na babach i zaklął. - To się niczym nie różni od rozkopywania mogił. Rybacy, tfu!

Kiedy stanął nad plackiem, z obrzydzenia łzy napłynęły mu do oczu. Ciemna powierzchnia placka wydawała się gładka i napięta. Łajno było świeże i wilgotne, parował z niego smród. Szeroki, wygnieciony w trawie

ślad zakosami wiódł do morza. Żarek skierował koniec kija na placek. Zanim dźgnął, zamknął oczy.

Najpierw poczuł lekki opór, ale zaraz przebił kozuch na powierzchni i kij gładko poszedł w głąb. Sam odgłos mokrego mlaśnięcia wywołał u Żarka nową falę mdłości. Zamieszał kijem, a każdy ruch tylko potęgował smród. Odczekał chwilę, aż znowu był w stanie oddychać, i otworzył oczy.

W miejscu, gdzie stał, łajno oklapło i trochę rozlało się na boki. W błotnistej mazi pływały grudy, wielkie jak ludzka głowa. Żarek wiedział, że będzie musiał każdą z nich rozetrzeć, i na jakiś czas zwątpił, czy uda mu się to zrobić. Ale zebrał się jakoś, opanował drżenie kolan i przydusił kijem pierwszą grudę, najbliżej siebie. Zanim opary smrodu uniosły się na wysokość jego twarzy, zdołał rozgnieść następną. Przy trzeciej nogi już same wrywały mu się w tył. Otrzeźwiał, kiedy poczuł, że trafił kijem na coś twardego. Nie od razu udało mu się wygarnąć to na trawę, ale wreszcie dokonał tego. Pochylił się, poskrobał w głowę.

- Nóż. Nie wiem, czy będzie wystarczająco dobry dla księżniczki, ale dla mnie w sam raz.

Zerwał wiązkę trawy i zaczął go gorączkowo oczyszczać. Jego ruchy stawały się coraz wolniejsze w miarę, jak spod warstwy łajna pokazywała się biel kościanej rękojeści.

- Nie życzyłem ci aż tak źle, grubasie - powiedział cicho.



Zobaczył Gudrun, kiedy słońce kładło już na wzgórzach swój czerwony blask. Stała na tle mieniącego się ognistymi barwami nieba, wyprostowana i nieruchoma. Wiatr targał jej czarne włosy. Nie mogła go dostrzec w ciemnej dolince, w której przycupnęła, a jednak zeszła bez wahania płytkim jarem na sam dół. Rozgarnęła przed nim krzaki i przez chwilę patrzyła bez słowa,

jakby spodziewała się kogoś innego.

- Narobiłeś ze strachu czy co? - zmarszczyła nos. — Cuchniesz z daleka.

Gdyby nie odchyliła się czujnie do tyłu, byłby ją trzasnął w głowę. Powąchał swoje ręce i schował je za siebie.

- Zaczynam już rozumieć, czemu musiałś uciekać z tego kraju. Jeśli każdemu tak dziękujesz jak mi, to pewnie nie zostało ci wielu przyjaciół.

- Ani jeden. - Zmrużyła oczy - Ale wcale nie z tego powodu, o którym myślisz.

- Tak? Ciekawe, z jakiego.

- Bo żaden z nich nie żyje.

Zagarnęła włosy za prawe ucho i zapatrzyła się w ciemniejący las. Żarek niespokojnie przestąpił z nogi na nogę, zrobiło mu się wstyd. Żałował, że poniosła go złość, i chciał to jakoś załagodzić. Rozłożył bezradnie ręce, ale palec Gudrun przyłożony do warg nie pozwolił mu otworzyć ust. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwali razem, starając się powstrzymywać oddechy, choć Żarek nie wyłowił spośród zwyczajnych odgłosów nadmorskiego wieczoru nic niepokojącego.

- Co?

- Ciii... Teraz.

Najpierw pomyślał, że to był krzyk mewy, który doleciał aż tutaj od niedalekiego morza. Ale kiedy po chwili ten sam głos się powtórzył, wiedział już, że się pomylił. Żadne ze zwierząt nie mogłoby wyrazić krzykiem tyle bólu i strachu. To musiał być człowiek. Żarek wtulił się głębiej w leśne poszycie, ale nic więcej już nie usłyszał.

- Jezu! Co to było?

- Kudłaty nas wydał. Wiedziałam, że tak będzie, ale miałam nadzieję na kilka spokojnych dni.

- Dlaczego miałyby nas wydać? - Żarek pospiesznie wyplątywał się z

krzaków. - Przecież dobiliśmy targu!

- Dobiliśmy. Ale mógł poczuć się oszukany, kiedy mnie nie znalazł wieczorem w swojej norze, nie?

Żarek uzmysłowił sobie, jak łatwo zapomniał, że to on oszukał, a nie jego oszukano. Zapiekły go policzki. Ale i tak wciąż niewiele z tego rozumiał.

- To on krzyczał?

- On. Myślał, śmierdziel, że wyciągnie dla siebie podwójną korzyść, jeśli mnie sprzeda dalej. Ale Eryk mnie ostrzegł. Kudłaty próbował iść za mną, a ja nie starałam się zacierać śladów. W lesie dałam mu po głowie kijem. Pożyczyłam sobie jego gacie, bo kiecka dobra jest do garów, a nie do tego, co nas czeka. - Przepięła pas o jedną dziurkę dalej i wygładziła wystrzępione nogawki. - Przywiązałam go do drzewa. No cóż... Nie miał szczęścia. Pewnie ocknął się za szybko i zdążył jeszcze zobaczyć to, co się do niego skradało.

Wyszli na grzbiet wzgórza. Niżej, w wycięciu dolinki, widzieli kawałek morza, na którym drżały plamki księżycowego światła. Gdzieś między nimi a morzem musiały być ziemianki rybaków, ale nie mogli dostrzec nawet śladu ognisk.

- Kiedy mówię, że na tym kraju trzyma swoją przeklętą łapę Zły, to nie dlatego, żeby cię straszyć. - Gudrun stanęła za plecami Żarka i położyła mu dłonie na ramionach. - Chcę tylko, żebyś wiedział, co nas czeka. Władca tej ziemi wcale nie chowa się za wałami grodu. Nie musi. Wystarczy sam strach, który potrafi rozsiać ludziom w głowach. Nawet jego własni woje najchętniej rozpierzchliby się po lasach, gdyby tylko mogli. Ale nie mogą.

Żarek miał odczucie, że jej oddech jest chłodny. Otrząsnął się i odwrócił do niej twarzą w twarz.

- Coś kręcisz. Przecież rybak musiał mieć czas, żeby nas wydać. Musiał znaleźć kogoś, kto ma oczy i uszy. To wszystko stało się za szybko.

- Zły ma oczy i uszy wszędzie tam, gdzie chce. - Żarek poczuł się dziwnie, kiedy przypomniał sobie rybie ślepie patrzące na niego z miski. - A już na

pewno wszędzie tam, gdzie zwraca się człowiek, który ma odwagę ich poszukać.

- Mówisz tak, jakby wystarczyło krzyknąć do gwiazd na niebie albo do cieni wydm na piasku! To jakieś bzdury.

- Odkąd stanęliśmy na tym brzegu, wystarczy jedno słowo, żeby dotrzeć do uszu Złego. - To nie jej oddech był chłodny, to zrywał się zimny północny wiatr. - A czasem tylko jedna myśl.

- Gdyby miała wystarczyć jedna moja myśl, już by cię nie było - mruknął na tyle cicho, żeby go nie usłyszała.

Ale Gudrun i tak nie zwracała teraz na niego uwagi. Stała bez ruchu, z podniesioną twarzą, i wsłuchiwała się we wiatr. Albo w samą siebie. Żarek obejrzał się do tyłu, zaszurał nogami, a potem dotknął jej ramienia.

- Gudrun!

Drgnęła, opuściła na niego oczy

- Jeśli kmiotek zrobił to z chciwości, to się przeliczył. Ten, któremu nas wydał, zawsze żąda posłuchu, ale nigdy nie wynagradza. Rybacy też musieli słyszeć jego krzyk. Pozalewali ogniska i siedzą teraz cicho, pewnie popierdują sobie ze strachu. Ale kto wie? Może i na nich przyjdzie groza? Noc jest długa.

Podeszła do niego całkiem blisko i objęła go za szyję. Zamknął oczy, w ciemności poszukał wargami jej warg. Ale nie znalazł ich. Gudrun odepchnęła go lekko, a potem poczuł na twarzy smagnięcie jej włosów, kiedy odwróciła się i poszła grzbietem wzgórza w głąb lasu. Kiedy zobaczył, że Gudrun wsuwa sobie za pas nóż, klepnął się ze złością w puste miejsce na biodrze.

- Mogłaś poprosić! - krzyknął do jej pleców. - Miałem dwa.

- Nigdy nie proszę o to, co sama mogę zabrać. - Nie słyszał jej wyraźnie, bo nie odwróciła do niego głowy. - To ułatwia życie. Idziesz czy nie?

Ruszył za nią, kiedy prawie już znikła w mroku lasu, a jemu ziąb od morza liznął plecy i kark. Dogonił ją i przez dłuższy czas szedł w milczeniu, sapiąc ze złości. Po obu stronach łagodnie opadały gęsto porośnięte drzewami zbocza, gdzieś niżej w ciemnej dolinie szemrał strumień. Szło się dobrze, chociaż wciąż pod górę. Zimny powiew studził głowę, jednostajny chrzęst kroków uspokajał. Żarek rzucił szybkie spojrzenie na twarz Gudrun, potarł policzek.

- Myślisz, że tam wyżej będziemy bezpieczni?

- Nigdzie nie będziemy bezpieczni. - Ona też coś musiała sobie przemyśleć, bo z jej głosu zniknęła drwina. - Ale tutaj czekalibyśmy tylko na pewną śmierć. Jutro rano przygnają tutaj woje. Znajdą trupa kudłatego i zedrą z niego skórę. Za dnia będą go włóczyć końmi po wybrzeżu, na trwogę innym. Takie wieści idą między ludzi jak ogień. Jutro nie znaleźlibyśmy już nikogo, kto chciałby nam pomóc. Zamiast targowania od razu byłby nóż w gardło.

- Ale co tam jest, w tych górach? Na bezludziu nikt jeszcze nie znalazł ocalenia.

- Mylisz się. Tam są ludzie. Bardzo wysoko, ale są. Nikt ich nigdy nie ujarzmił. Żyją prawie pod samymi szczytami, jak wolne ptaki.

Żarek zwolnił, a potem zatrzymał się. Tym razem Gudrun też stanęła po paru krokach i popatrzyła na niego uważnie.

- No co?

- Nie mówiłaś, że pójdziemy w góry.

- No to teraz mówię. I co z tego?

- To, że tylko głupek szedłby tam z własnej woli. W górach są diabły.

Gudrun wróciła wolnym krokiem. Położyła ręce na biodrach, wysunęła brodę do przodu.

- Na świecie są o wiele gorsze rzeczy od diabłów. Zwłaszcza ostatnio.

- Może i są. - Żarek unikał patrzenia na ostre szczyty, wyrastające poza pasmem wzgórz. - Ale dla Kościucha i Żywuli zawsze najgorsze były diabły. I dla mnie też są. Ja wracam.

Pokiwała głową, ale wcale nie wyglądało to tak, jakby się z nim zgadzała. Opuściła luźno ręce i pochyliła się do niego jeszcze bardziej.

- Głupio mi będzie zostawić cię tutaj samego. Tym bardziej, że od długiego czasu coś za nami lezie.

- Chcesz mnie nastraszyć! - Żarek walczył z gwałtowną chęcią, żeby uskoczyć z drogi w krzaki. - Nic nie...

Po zboczu potoczył się kamień. Żarek obrócił się z ręką przy nożu i wpatrzył się w mrok. Wyraźnie usłyszał szeleszczące na suchych liściach kroki. Szept Gudrun zlał się z tym szelestem tylko po to, żeby podjudzić jego strach.

- To może być sarna, ale może też być kostucha. Kto ciekaw, niech zostaje. Ja idę.

Gdyby założyła mu sznur na szyję i pociągnęła go za sobą, wyszłoby na to samo. Pobiegł za nią na miękkich nogach. Wyżej grzbiet wzgórza wyginał się ostrym łukiem i drzewa przesłoniły drogę, którą przebyli. Ale Żarek w ostatniej chwili spojrzął za siebie. Długo potem, kiedy stromizna zaczęła być jeszcze bardziej stroma, a drzewa pochowały się gdzieś niżej, wytarł spoconą twarz w koszulę i pokręcił głową.

- To chyba był ten piegowaty chłopak. Uciekaliśmy przed dzieciakiem.

- To możliwe. - Nawet się nie zdziwiła. - Był synem kudłatego, a matki nie miał, jeśli dobrze się dopytałam. Został sam, więc chciał iść z nami. Ale... dałbyś głowę za to, że to był właśnie on?

Czarne wierchy trącały gwiazdy. Żarek wyobraził sobie, że tam wysoko, do samych szczytów, nie dolatuje nawet wiatr.

- Nie.



## R O Z D Z I A Ł E X I V

Tego dnia zostawili za sobą wielki szmat lesistej drogi. Mogliby pewnie zająć dalej, gdyby Gudrun nie zatrzymywała się na każdy szelest, na każde poruszenie w krzakach i koronach drzew. Z początku Żarek nasłuchiwał razem z nią, mrużył oczy, wypatrując niewidzialnego niebezpieczeństwa, ale szybko się tym znudził.

- To jest las - mruknął, kiedy powiał gwałtowniejszy wiatr, otrząsając z gałęzi liście, a Gudrun położyła palec na ustach. - W lesie zawsze coś zaszeleści.

- Żałuję, że nie wróciliśmy, żebyś obejrzał sobie to, co zostało z kudłatego. Może wtedy byś tyle nie pyskował.

Wiatr ucichł, poszli dalej. Ścieżka dawno zgubiła się w poszyciu, ale im wyżej się wspinali, tym las był rzadszy. Niskie kolczaste krzaki czepiały się nogawek, ale poza tym szło się dobrze.

- Nie chcę się z tobą spierać. - Teraz mogli nawet iść obok siebie. - Ale mówisz mi tak mało, że sam już nie wiem, co mam myśleć.

Im rozleglejsze robiły się prześwity między drzewami, tym Gudrun oddychała swobodniej. Spojrzała na Żarka prawie przyjaźnie.

- A co byś jeszcze chciał wiedzieć?

- Weźmy tego Eryka Chyżonogiego. Czemu nie idzie z nami?

- Bo mu życie miłe! - Oczy Gudrun błysnęły zielonkawo.

- Dzięki.

- Hej, nie złość się! - Bodnęła go pięścią w ramię. - To, że nas ostrzegł, wcale nie znaczy, że nam ufa. Ani my jemu. Tutaj nikt nie ufa nikomu, nawet

swojej własnej matce. Uciekinierzy z królewskiego dworu chowają się jedni przed drugimi, bo w tym kraju zdradzić kogoś jest równie łatwo, jak rozdeptać dżdżownicę.

- Przecież Eryk wie, kim jesteś.

- Nie wie, tylko się domyśla, a to jest różnica. Byłam małą dziewczynką, kiedy popadł w niełaskę i musiał zniknąć. Wtedy mój ojciec nie był jeszcze tym, kim jest teraz. Pamiętam, że siadywałam mu na kolanach i bawiłam się sprzączką u jego pasa. Dawne dzieje.

Więcej o tym nie mówili. Żarek szedł zamyślony, a Gudrun tak samo czujna, jak przedtem.

Kiedy wieczorem kładli się w wysokiej trawie, Żarek był pewien, że zaśnie od razu. Łydki drżały mu ze zmęczenia. Powieki ciążyły tak bardzo, że dopiero potykając się o korzenie, odkrywał, że idzie z zamkniętymi oczami. Był u kresu sił. Ale kiedy wreszcie mógł położyć głowę na zgiętym ramieniu, senność się ulotniła. Gudrun pochrapywała cicho, a on leżał patrząc w gwiazdy. Nocny chłód, przed którym nie było ucieczki, otulał go coraz szczelniej.

Ale wreszcie chyba zasnął, bo kiedy otworzył oczy, był dzień. Jaskrawoczerwona plamka na tle zieloności i brązów była czymś tak nieoczekiwanym, że otrzeźwiał w mgnieniu oka. Usiadł, zacisnął mocno powieki, a potem podniósł je znowu.

Dwa łokcie od niego na małym kamyczku siedział skrzat. Nie był większy od ludzkiego kciuka. Szpic jego czerwonej czapeczki ledwo sięgał powyżej źdźbeł trawy. Gładził swoją białą brodę, uśmiechał się leciutko i patrzył prosto na Żarka. Potem wstał, założył ręce z tyłu i odszedł w kierunku kępy paproci bez pośpiechu, ale i bez ociągania. Wszystko trwało na tyle krótko, że Żarek nie zdążył nawet złapać oddechu, który uwiązał mu w gardle.

Trzęsącymi się rękami obudził Gudrun. Podniosła się od razu, przytomna i skupiona. Zanim na niego spojrzała, powiodła wzrokiem po lesie.

- Co jest?

- Skrzacik! - Głos łamał mu się ze wzruszenia. - Tutaj jest malutki, dobry skrzacik!

- Gdzie? - Miała napięty kark i zaciśnięte usta, ale nie wzbudziło to jego czujności.

- W paprociach!

Kiedy tam podeszła i przykucnęła, Żarek jeszcze niczego się nie domyślał. Podcięła nożem paproć tuż nad ziemią, wyrwała ją i odrzuciła za siebie. Skrzat ciągle tam był. Stał z uniesionymi rękami i patrzył w górę. Już się nie uśmiechał. Jego pomarszczona jak orzech twarzyczka była biała z przerażenia. Gudrun podniosła nogę i dopiero teraz Żarek zrozumiał. Wiedział, że nie zdąży dobiec, więc tylko odwrócił głowę.

Skrzat pisnął jak myszka i umilkł. Gudrun jeszcze długo wierciła stopą w ziemi.

- Jesteś szalona! - Żarkowi drżały wargi. - Rozdeptałaś skrzacika! U nas za coś takiego ludzie utopiliby cię pod pomostem. Co on ci zrobił?

Gudrun starannie wytarła podeszwę w trawę. Żarek starał się nie patrzeć w dół.

- Nic nie zrobił, bo nie zdążył. Ale te małe sukinsyny trzeba tępić jak pluskwy.

- Skrzaty? One pomagają ludziom!

- Może i kiedyś tak było. - Gudrun spojrzała na niego z ukosa. - Ale teraz już nie. Za to wściubiają swoje małe noski wszędzie, gdzie tylko się da. Rozumiesz? Zapomnij o świecie, w którym skrzaty robią niemowlętom ciepłe okłady na wzdęte brzuszki i wyciągają bydłu ciernie z kopyt. Tutaj jest inaczej. Dzięki nim Zły może się dowiedzieć nawet tego, ile masz pryszczu na tyłku.

Wsadziła nóż za pas i zaczęła wspinać się pod górę.

- One nigdy nie łążą w pojedynkę, na pewno było ich więcej. - Obejrzała się przez ramię. - Teraz wieść o nas właśnie mknie do dworu równie szybko, jak biegnie pożar po suchej trawie. Ruszaj się.



Wąska zatoka wrzynała się w ląd długim jęzorem. Wysokie lesiste stoki z obu stron opadały prosto do morza. Tuż przy brzegu na wodzie unosił się brązowozielony kozuch zeschłego igliwia.

- Wyżej, szybko! - Gudrun parła do góry, chwytając się paproci. - Leziesz jak kwoka!

Żarek szedł za nią, głośno posapując. Ślizgał się na mokrym zboczu, przeskakiwał od drzewa do drzewa, żeby nie polecieć w dół. Obejrzał się na gładką powierzchnię wody, po której przesuwały się cienie obłoków.

- Tu nic nie ma! Całkiem cicho. Czego się boisz?

Zatrzymała się, spojrzała na niego przez ramię. Obiegła wzrokiem zatokę i przeciwległy stok.

- Za cicho. Nawet mucha nie bzyknie.

Żarek wstrzymał oddech. Słyszał szmer osypujących się po pochyłości igiełek, szum wiatru i pojedyncze uderzenia spadających szyszek. Nic więcej. Powoli wypuścił powietrze nosem i zmarszczył czoło.

- No, dobra. Co o tym myślisz? - Przełknął ślinę, żeby odetkać uszy.

- Myśleć będziemy potem. Teraz uciekamy.

Pobiegła dalej, a Żarek za nią, z nosem przy ziemi.

Słońce ciągle jeszcze grzało, ale powietrze zrobiło się chłodne. Oddychało się nim lekko, nogi uginały się jak po piwie. Im wyżej, tym drzew było mniej. Ziemia twardniała, tu i ówdzie sterczał na wpół zakopany, omszały głaz.

Nie od razu zrozumiał, co znaczą ciemniejsze plamy na wypłowiej trawie. Podniósł oczy i zobaczył, że Gudrun mocno kuleje. Szmata na jej stopie nasiąkła krwią, przy każdym stąpieniu zostawiała lepki ślad. Dogonił dziewczynę i objął ramieniem.

- Możesz iść?

- Przecież idę! — warknęła, ale wsparła się na nim.

- Coś tam musiałaś sobie naruszyć. Musimy się zatrzymać i obejrzeć ranę.

Podprowadził ją do samotnego drzewa i posadził między korzeniami. Odwinął szmatę, którą przewiązana była noga, skrzywił się.

- Nie wygląda to dobrze.

- Wiem, ale to nic. Wytrzymam. Gorsze jest co innego.

- No?

- Nie jest dobrze krwawić... Zwłaszcza tutaj. Nigdy nie wiadomo, kogo znęci zapach juchy.

Strzepnął szmatę, kropelki krwi upstrzyły mu nogawki. Rozejrzał się po stoku.

- Musimy obmyć ranę. Pójdę poszukać wody.

Nie powiedziała nic, kiedy się podnosił. Odszedł kilkanaście kroków. Coś uderzyło go w kark i upadło koło niego na ziemię. Schylił się przestraszony, ale to była tylko szyszka. Obrócił się do Gudrun. Siedziała, jak ją zostawił. W prawej ręce podrzucała szyszkę i patrzyła prosto na niego. Powiedziała coś, czego nie mógł usłyszeć. Ale domyślił się.

- Wrócisz?

Uśmiechnął się do siebie i odwrócił się do niej tyłem.

Szedł prosto, starał się nie zbaczać ani w górę, ani w dół. Liczył na to, że w końcu natrafi na jakiś górski potok. W takiej ciszy mógłby usłyszeć szmer wody nawet z bardzo daleka. Tam, na dole, gdzie niebieściła się zatoka, był jakiś inny świat, pełen plusków, szumów i ptasich świergotów. Tutaj słyszał

tylko własne kroki rozbrzmiewające w rozrzedzonym powietrzu. Cienie drzew wydłużyły się, jakby powoli zsuwały się po zboczu do morza.

Nagle zobaczył coś, czego nie powinno tutaj być. Zanim uświadomił to sobie wyraźnie, przeszedł jeszcze kilka kroków. Potknął się, przystanął. Po plecach spłynęło mu gorąco, jakby ktoś oblał go ukropem.

Cień jednego z drzew był inny niż reszta. Jakby smukły pień miał u samej nasady jakąś narośl. Żarek na chwilę odwrócił oczy i zamrugał szybko powiekami. Kiedy spojrzał znowu, nic się nie zmieniło.

Po drugiej stronie drzewa ktoś stał.

Przycisnął łokcie do boków i wtulił głowę w ramiona. Gdyby tylko mógł sprawić, żeby serce przestało bić, zrobiłby to. Ale wiedział, że jest za późno. Ktokolwiek tam się czaił, musiał słyszeć jego kroki już od dłuższego czasu. Żarek obrócił się niepewnie w stronę, z której przyszedł. Pod piętą trzasnęła sucha gałązka. Zesztywniał, spojrzał na cień. Nic, ani drgnął.

Rozłożył ręce i wychylił się na bok tak daleko, jak mógł. Nie zobaczył nic więcej. Zrobił krok w górę zbocza, potem drugi. Starał się stawiać stopy tylko na miękkiej trawie. Nie odrywał oczu od drzewa. Wolniutko obchodził je szerokim łukiem, a pień obracał się przed nim. Łydki mu drżały. Gdyby teraz trzasnęła gałązka, pewnie uciekłby, nie oglądając się za siebie.

Nisko, tuż przy korzeniu, coś zabielało w ostrym słońcu. Jeszcze dwa kroki, jeszcze trzy. W miarę, jak przed Żarkiem odsłaniał się widok drugiej strony drzewa, jego oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy. Chęć ucieczki jeszcze się wzmogła, choć wiedział już, że nikt go nie będzie gonił.

To był ludzki kościec. Kłuł oczy swoją białością, jakby ktoś każdą kostkę z osobna wyszorował piaskiem. Stał obrócony do drzewa, a jego wyciągnięte w górę ramiona wczepiały się dłońmi o długich palcach w najniższą gałąź. Patrzył oczodołami w niebo, dolna szczeka zwisała mu luźno.

Powiał wiatr. Sypnął garścią suchych igieł, które zakręciły się między żebrami, spłynęły po kościach miednicy i spadły na białe stopy.

Kiedy Żarek gnał z powrotem, cienie drzew na trawie zwały mu się w jeden szarozielony migot. Miał uczucie, jakby powietrze zgęstniało, a cisza nagle nabrała kształtu i wagi, gniotąc barki i utrudniając bieg. Zrobiło mu się zimno na myśl o tym, że mógłby teraz zabłądzić. Ale nie

- poznał tamto drzewo z daleka, Gudrun wyglądała pod nim jak porzucona kupka śmieci. Była blada, a pod jej nogą rosła bura plama.

- Uciekamy!

Nie zauważył, że na górnej wardze Gudrun skrapla się pot. Chwycił jej dłoń i zaraz puścił.

- Jezu! Jesteś gorąca.

Oddychała ze świstem. Pozwoliła opaść powiekom i osunęła się plecami po pniu.

- Znalazłeś wodę?

- Nie. - Obejrzał się za siebie. - Ale znajdę. Tylko chodźmy stąd szybko.

Przełożył jej ramię przez swój kark i dźwignął ją z wysiłkiem. Odruchowo podkurczyła krwawiącą nogę, nogawka podjechała do góry. Zobaczył, że opuchlizna podpełzła od pięty aż do połowy łydki.

- Bardzo boli?

Spojrzała na niego z boku.

- Mówiłam ci, że ból to tylko zło...

Chlasnęła go otwartą dłonią w czoło, aż głowa odskoczyła do tyłu. Zapiekło go między brwiami. Gudrun wsparła się mocniej na jego ramieniu i zbliżyła wewnątrz otwartej dłoni do oczu. Nagle odepchnęła go z całej siły. Podskakując na jednej nodze, łapała równowagę.

- Rozbieraj się!

- Masz gorączkę.

Wyciągnął do niej rękę, ale ona nie pozwoliła się dotknąć. Policzki miała czerwone, włosy zlepione potem.

- Wyskakuj z portek, szybko! - Pokazała mu dłoń. - Wiesz, co to jest?

Wyglądało jak krwawa plwocina, z której sterczały drgające odnóża. Żarek potarł nos i podniósł brwi.

- Nie wiem... Jakiś owad?

- Mrówka! - Przepędziła ten wyraz przez zęby, jakby to miało starczyć za całe wyjaśnienie. - Łaziła ci po twarzy! Zrzucaj łachy albo sama je z siebie zedrę.

Wyciągnął koszulę z gaci, rozpiął pas. Sam przed sobą udawał, że robi to tylko dla uspokojenia jej chorobliwych majaków, ale strach powoli zaczynał drapać go w gardle. Rzucił koszulę w trawę i rozłożył ręce.

- No?

Gudrun oparła palce chorej stopy na kamieniu.

- Gacie!

- To się odwróć.

- Ściągaj.

Z rozmachem rzucił gacie obok koszuli. Był tak wściekły, że nawet nie czuł wstydu.

- I co, teraz mam zatańczyć?

Prześlizgnęła po nim szybkim spojrzeniem. Podkuśtykała bliżej, rozgarnęła stopą jego ubranie. Wielka, ruda mrówka wystawiła czułki z rękawa koszuli, a potem wspięła się na źdźbło trawy.

- Zabij!

Kiedy ją rozgniatał kamieniem, prawie słyszał, jak pęka jej nabrzmiały odwłok. Potem ubrał się klnąc pod nosem.

- Mrówka? - Dopiął pas, podwinął rękawy. - Jedna mrówka i tyle wrzasku?

Widać było, że ten zryw bardzo Gudrun osłabił. Chwiała się, głowa uciekała jej na boki.



- Dwie. Ta była druga.
- No to dwie! Co za różnica?
- Ogromna. - Z wysiłkiem podniosła powieki. - A teraz chodźmy stąd, bo zaraz będziesz musiał mnie nieść.



Pierwszy raz zemdląła zupełnie niespodziewanie, w pół kroku. Osunęła się bezwładnie, ledwo zdążył złapać ją za nadgarstek ręki przewieszanej przez jego szyję. Ostrożnie ułożył ją na trawie. Kiedy pochylił się nad nią, otworzyła oczy.

- Jeszcze nie. Dalej, dalej!

Słońce schowało się już za skalnym grzbietem, było szaro i zimno. Wiatr przewalał się nad górskim łańcuchem i ześlizgiwał w dół, nabierając mocy.

- Nie mogę cię tak wlec. - Poglądził ją po rozpalonej skroni. - Zaraz będzie noc. Odpoczniesz.

Dźwignęła się na łokciach. Od wysiłku wypłynęły jej z kącików oczu dwie łzy. Wiatr osuszył je od razu.

- Jak nie chcesz mi pomóc, to mnie zostaw. Może już pora zadbać o własną głowę?

Bez słowa złapał Gudrun pod pachy i dźwignął do góry. Przykucnął, zarzucił ją sobie na plecy, chwytając pod kolana. Uraził przy tym jej chorą nogę, ale nawet nie pisnęła. Zwieszona ręce zakolebały się luźno.

- Gudrun?

Nie odpowiedziała. Poczul za uchem jej nierówny oddech i ruszył pod górę.

Nie miał wiele sił. Cały dzień na czczo i bez wody dawał o sobie znać. Co parę kroków musiał przystawać, żeby podrzucić Gudrun do góry, bo

wysuwała mu się z rąk. Czuł pod stopami, że zbocze staje się coraz bardziej kamieniste. Ostatnie skarłate drzewka zostawił za sobą, kiedy zmierzch przechodził w noc. Od czasu do czasu noga osuwała mu się na drobnym żwirze, a wtedy wyraźnie słyszał, jak Gudrun zaciska zęby. Od napiętej szyi ból promieniował mu na plecy. Nie mógł nawet podnieść głowy, żeby wybadać drogę przed sobą. Ale kiedy Gudrun mdlała, było jeszcze gorzej. Musiał bardziej pochyłać się do przodu, żeby jej nie zgubić.

- Woda...

Głos Gudrun zachrząścił, jakby ktoś nasypał jej do gardła piasku. Ścisnęła kolanami jego żebra tak mocno, aż stęknął.

- Cicho. W końcu gdzieś dojdziemy

- Nie, słyszę wodę.

Zatrzymał się. Rozluźnił uchwyt prawej ręki, żeby Gudrun mogła stanąć na zdrowej nodze. Z ulgą wyprostował plecy. Przez chwilę było mu prawie dobrze, kiedy chłodny wiatr łaskotał go po skroniach.

Teraz i on to usłyszał. Daleki, cichy szmer, inny od podmuchów wiatru.

- No widzisz? - Wyciągnął rękę za siebie i poklepał Gudrun po biodrze. - To gdzieś z góry Chodźmy.

Jednym skokiem przywarła do jego pleców. Prawie go zadławiła, oplatając mu ramiona wokół szyi.

- To nie jest woda! Biegnij!

- Co? - Musiał siłą odgiąć jej palce ze swojej krtani. - Co znowu?

- Biegnij! - Owinęła go nogami w pasie i piętą bodnęła w podbrzusze. - Wio!

Ruszył nie czekając, aż przestaną mu śmigać przed oczami ciemne kłaczki. Biegł na przykurczonych nogach, zgięty w pół. Odzyskał oddech dopiero po kilkunastu krokach.

- Stój! - Szarpnęła go za włosy. - Do tamtej skały!

Samotna kamienna iglica czerniła się na stoku, a wianuszek gwiazd migotał wokół jej wierzchołka. Żarek zatrzymał się zziębnięty u jej podnóża. Chciał powoli opuścić Gudrun na ziemię, ale wyrwała mu się. Poczł jej kolana na barkach, po chwili postawiła mu zdrową stopę na ramieniu. Kiedy podniósł głowę, pięła się w górę jak młody niedźwiedź do miodu, ściskając iglicę udami. Oparł dłonie na kolanach i z otwartymi ustami łapał powietrze.

- Włazże!

Musiła upłynąć jeszcze chwila, żeby zrozumiał, że narastający szum nie pochodzi z wnętrza jego głowy. Był równomierny, ciągły, szeroko rozlewał się po stoku. Zbliżał się. Powoli zagłuszał wiatr.

Podskoczył i uczeplił się palcami skały. Zamachał nogami, szukając jakiegoś oparcia. Nie znalazł, obił tyłek o kamienie. Teraz nie potrzebował już żadnych ponagleń. Miał wrażenie, jakby ze zbocza schodziła lawina piasku, która zaraz porwie go ze sobą i przygniecie swoim ciężarem. Znowu podskoczył, znalazł pewniejszy chwyt. Wyżej było łatwiej, bo skała zwęzła się ku górze. Parł naprzód, a odłupane kawałki skały stukały na dole o kamienie. Czubkiem głowy uderzył w coś miękkiego. Gudrun zawyła.

- Uważaj, ślepy wszarzu! To moja noga!

Szum jeszcze spotęźniał, a potem nagle osiągnął swój szczyt, przewalając się u podnóża iglicy. Żarek podkurczył nogi, zaswędziały go podeszwy stóp. Czuł, jak skała zadrgała leciutko pod jego palcami. Szu, szu, szuuu! I już ciszej. Szmer rozpełzł się po stoku, wolno zamierając gdzieś w dole. Jakby wyczerpało się źródło niewidzialnego wodospadu. Spojrzał pod siebie, ale zobaczył tylko czarną czeluść.

- Złazimy?

Nie odpowiedziała. Zwaliła mu się na kark całym ciężarem, przetoczyła się przez jego plecy. W ostatniej chwili złapał ją jedną ręką za koszulę. Zachwiał się, ale nie odpadł. Kiedy wreszcie jakoś zszedł, długo jeszcze nie mógł bez bólu rozprostować palców.

Położył Gudrun na boku przy skale i wyciągnął się koło niej. Rozgarnął jej włosy na karku i wtulił twarz w jej szyję. Zamknął oczy. Słyszał jej ciche jęki, czasem wstrząsały nią dreszcze. Zasnął szybko. Potem kilka razy budziło go pragnienie i zimno, ale tylko patrzył na rozgwieżdżone niebo i pozwalał na nowo ogarniać się senności.

Kiedy się obudził, tuż przed sobą zobaczył kroplę rosy, drżącą na samotnym źdźble trawy. Zlizał ją i podniósł głowę. Świtało. Dzień przyszedł mokry i zamglony. Rozłożyste, ciemne chmury pełzły wolno od morza w stronę gór. Po chropawej powierzchni skały niteczki wody spływały w dół krętymi zawijasami.

W zagłębieniach między kamieniami błyszcząły małe kałuże. Położył się na brzuchu i długo chleptał jak pies. Potem nabrał wody w złączone dłonie i na kolanach zbliżył się do Gudrun. Wpuścił jej między wargi parę kropel, a ona wysunęła język jak niemowlę szukające piersi. Wlał resztę, poszedł po jeszcze. Kiedy znowu się do niej obrócił, patrzyła na niego, wsparta na łokciu.

- I jak? - Spróbował się uśmiechnąć, ale wiedział, że mu to nie wyszło. - Lepiej?

- Bo ja wiem? - Zakrztusiła się, odkaszlnęła. - Gorączka chyba spadła.

- A noga? Pokaż.

- Już widziałeś. - Wyciągnęła przed siebie ręce i zatrzymała go. - Nic ciekawego.

Usiadł koło niej, oparł się plecami o mokrą skałę. Pod oczami miał wielkie sińce. Zapatrzył się na ośnieżone szczyty gór.

- Czy to wczoraj to było to, co myślę?

Skinęła głową.

- Ten, którego widziałeś przy drzewie, próbował uciec, ale nie zdążył.

Żarek wstał i przestępując z nogi na nogę, przyjrzał się trawie. Bezwiednie

otrzepał nogawki gaci.

- Nie bój się. - Gudrun spróbowała się podnieść, ale twarz poszarzała jej z bólu. - One nie wychodzą, jak jest deszcz. A zaraz lunie.

Żarek podał jej rękę, pomógł stanąć.

- I co dalej?

- Nic. Musimy dostać się jeszcze wyżej.

Czuł, jak wzbiera w nim głucha złość. Puścił rękę Gudrun i wsparty pod boki patrzył przez chwilę, jak chwiejnie łapie równowagę.

- Czy ty w ogóle jesteś podobna do ludzi? Ja muszę jeść, żeby się ruszać.

- Ja też. - Przykucnęła i podparła się końcami palców.

- Ale nic nie poradzę na to, że nie jesteśmy krowami i nie nazjemy się trawą! Musisz wytrzymać jeszcze ten dzień. Przed wieczorem usiadziemy pod dachem przy ogniu i napchamy brzuchy aż po same gardła. Obiecuję.

- Jakoś nie bardzo ci wierzę. Ale chyba nie mam wyboru.

- Nie masz. A teraz chodź tu i nadstaw plecy.

Zaplótł ręce na piersi i popatrzył jej w oczy.

- Czy ty kiedykolwiek o coś prosisz?

Wytrzymała jego wzrok.

- A muszę?

Podszedł, schylił się i pozwolił jej wskoczyć na siebie. Umościła się wygodnie, jakby to było jej właściwe miejsce. Zanim zrobił pierwszy krok, obrócił do niej głowę.

- Jeszcze tylko jedno. Nie mów do mnie jak do konia.

- Jasne. - Pogładziła go po policzku. - No to wio!... Znaczy, naprzód.



- Wolne ptaki, co? - Żarek spróbował podrapać się po swędzących plecach związanymi z tyłu rękami, ale niewiele z tego wyszło. - Nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół? Dach nad głową i żarcie, tak?

Ogień rzucał trzęsące się cienie na ściany jaskini. Dym uciekał wąską szparą w sklepieniu.

- Nie trzeba było włązić do tej dziury. - Gudrun wzruszyła ramionami na tyle, na ile pozwalały jej pęta. Gorączka wyłobiła jej głębokie bruzdy po obu stronach nosa.

- Wozisz się na mnie i jeszcze ci źle? Lało, to wlałem.

Co ona mogła wiedzieć? Przespała najgorsze, kiedy niebo pozbywało się nadmiaru wody, jakby ciemne chmury porozpruwały się o ostrą grań. Zboczem rwały setki spienionych potoków, a stopy osuwały się na śliskich kamieniach. Woda zalewała oczy, wiatr siekł z boku kroplami ostrymi jak igielki. Na gołym stoku nie było gdzie się schronić, ale Żarek uparcie piął się do góry, chociaż zdawało mu się, że drepce w miejscu.

I nagle coś się zmieniło. Zamiast płaskiego zbocza, mokła w deszczu poszarpana linia skał. Puścił się w tamtą stronę ociężałym biegiem. Potykając się, wpadł między pierwsze głazy, a potem przecisnął się dalej wąskim przesmykiem skalnym. Woda ciągle lała się z góry, ale przynajmniej nie zacinała już od boków. Przystanął, rozejrzał się. Sapnął z radości, kiedy zobaczył tuż nad ziemią niski czarny otwór jaskini.

Posadził Gudrun w błocie, a sam położył się na brzuchu i wsadził rękę do środka. Zamachał w prawo i w lewo, wyczuł wyraźny ciąg powietrza. Wczołgał się tyłem, a potem chwycił Gudrun za ręce i wciągnął ją za sobą. Tuż za wejściem zebrały się płytkie kałuże, ale dalej podłoże podnosiło się trochę i było całkiem sucho. W ciemności poszukał rękami równego miejsca i tam podciągnął Gudrun. Dotknął jej twarzy, przez chwilę słuchał oddechu.

Głód i zmęczenie przytępiły mu zmysły. Powinien wyczuć zapach człowieka, zanim jeszcze tutaj wszedł. Stukot potraconego czyjaś nogą

kamienia odbił mu się pogłosem pod czaszką, ale było już za późno. Siedział bez ruchu, patrząc szeroko otwartymi oczami w ciemność, i czekał na cios.

A teraz musiał jeszcze wysłuchiwać, że to wszystko przez niego. Oparł głowę o ścianę jaskini, ale zaraz szarpnął się do przodu, sycząc przez zęby. Wielki guz z tyłu czaszki rwał bólem, aż łzawiły oczy.

- Ale mi przywalił, cap jeden! Nie musiał aż tak mocno.

- Czego się dziwisz? Dla niego każdy, kto przychodzi z dołu, jest podejrzany.

- To mu powiedz, że my nie jesteśmy.

- Mówiłam.

- I co?

- I nic. - Gudrun przekręciła się i wystawiła do ognia drugi bok. Z mokrej koszuli odparowywała wilgoć. Ogień nie był wielki, ale palił się równo. - Oni nie myślą zbyt szybko. Wróci, to znowu z nim pogadam.

- Mnie tam nie spieszno do jego smrodu. - Żarek zapatrzył się na niebieskawe płomyki. Nagle drgnął. - Co to jest, że tak długo się pali? Myślałem, że jakieś próchno. Ale chyba nie?

- Suszone diable łajno.

Znowu uderzył głową o kamień. Tym razem czekał dłużej, aż minie ból. Twarz Gudrun rozdziwiła się, a potem bez pośpiechu zlała w jedno.

- Tutaj są diabły? - zapytał.

- Tutaj chyba nie. Przynajmniej nigdy nie było. Ale górale chodzą w różne miejsca. Drewna na tych wysokościach już nie ma, no to palą tym.

- Jezusie! I to mają być ludzie, których chcesz prosić o pomoc?

- Nie prosić. - Spojrzenie jej stwardniało. - Żądać. To jest moja ziemia.

- Jasne, księżniczko. Tylko czy oni o tym wiedzą?

U wejścia do jaskini zachrząściły kroki. Żarek zapał się plecami o skałę i podciągnął nogi do siebie. Patrzył w ciemny otwór, wstrzymując oddech.

Prawie odetchnął z ulgą, kiedy z mroku wysunęła się łysa głowa górala. Skóra na jego czaszce upstrzona była ropiejącymi krostami. Wczołgał się na łokciach, podniósł na kolana i pokazał im w uśmiechu poczerniałe zęby. We włochatej pięści ścisnął pęczek jakiegoś przywiędłego zielska. Powiedział coś i roześmiał się głośno, aż Żarek poczuł na twarzy kropelki jego śliny. Wytarł się szybko o ramię Gudrun, ale nie spuszczał wzroku z pooranej bliznami gęby górala.

- Co on mówi? - zapytał szeptem.

Zwlekała z odpowiedzią, aż Żarek odwrócił do niej głowę. Siniała w oczach. Pomyślał, że wraca jej gorączka, i dotknął jej czoła. Było zimne.

- Mówi, że będzie dobre żarcie.

- Te listeczki? Nawet koza się tym nie nażre!

- To... - Gudrun przymknęła oczy i lekko potrząsnęła głową. - To tylko do smaku. Przyprawa.

- Aha.

Prawda opornie docierała mu do głowy. Ale wreszcie dotarła. Wbił oczy w górala krzątającego się przy ogniu, a zęby cichutko mu szczękały.

- Mógłby?...

- Czemu nie. To surowy kraj.

- Ale przecież nie zeżre nas obojga? - Patrzył, jak góral kładzie zielsko na płaskim kamieniu i wyciąga nóż. - Jest duży, ale nie aż tak!

- Nie, chyba nie - odparła Gudrun bezbarwnym głosem. - Najpierw weźmie się za to, co lepsze.

Wolno podciągnęła nogawkę na chorej nodze. Brzegi rany poczerniały i odwinęły się do góry skóra napinała się na opuchliznie.

- Osz, ty gnido! - Żarek zerwał się na nogi. - Tak chcesz się wywinąć?

Koniuszek noża dotknął jego nosa. Góral nacisnął i jedna kropelka krwi spadła Żarkowi na dolną wargę. Oczy zbiegły mu się na rękojeści, ostrożnie



osunął się plecami po skale. Kiedy usiadł, góral podniósł nóż i odwrócił się do ognia.

- Słyszysz? - zapytała cicho Gudrun.

- Znowu leje deszcz. - Żarek z trudem wydobywał słowa z zaciśniętego gardła. - I co z tego? Będzie miał czym popić.

- To nie deszcz.

Poznał ten szum. Szybko oblizwał wargi, nie odwracając wzroku od grubego karku górala.

- Co robimy?

- Trzeba go jakoś stąd wywabić. - Gudrun zmarszczyła nos. - Ty uciekaj, a ja go zatrzymam, jak długo się uda.

- Głupia jesteś? Mam związane ręce i nogi!

- No to pełzaj! - Spojrzała na niego w taki sposób, że zamilkł.

Przewrócił się na bok i odpychając się nogami, zaczął się przesuwać w stronę wejścia. Zanim usłyszał warknięcie górala, zdążył włożyć głowę w otwór. Nie zatrzymał się. Każde zgięcie i rozprostowanie kolan pchało go odrobinę dalej. Zobaczył jeszcze, jak góral idzie w jego stronę z nożem w uniesionej ręce, a Gudrun rzuca się przez ognisko, wznecając deszcz iskier, i wbija zęby w jego łydkę. Potem był półmrok, powiew wiatru na twarzy i wreszcie światło słońca. Poobijał sobie boki, ale jakoś się wygramolił. Usiadł obok wejścia do jaskini i spojrzał w dół.

Najpierw niczego nie zauważył. Ot, rudawy stok pod zasnutym chmurami niebem. Potem uderzyło go coś dziwnego, jakby nieznaczące zamazanie kształtów i barw. Całe zbocze pokryte było warstewką czegoś, co z daleka wyglądało jak ruchomy czerwony mech.

Niezmierzona rzesza mrówek pokrywała stok od krańca do krańca. Spływały w dół, omijając sterczące skały i większe kamienie. Cisza, spokój i tylko ten jednostajny, niepodobny do niczego innego szum.

Kiedy zobaczył górala wyczołgującego się z jaskini, wiedział, co robić. Położył się na plecach i podkurczył związane nogi. Liczył na jego zaskoczenie. Nie pomylił się. Góral wstał, wyjął nóż z zębów i zamarł lekko wychylony do przodu, gapiąc się na drgający stok. To wystarczyło. Żarek kopnął z całych sił, trafił go piętami prosto w goleń. Podcięty góral zawył, przeokoziółkował kilka razy na stromiźnie i zatrzymał się dużo niżej, na jakiejś kupie kamieni. Podniósł się jeszcze na nogi i zamroczony potrząsnął głową. Mrówki w jednej chwili oblały mu stopy, kolana, uda. Usiadł, jakby zdziwiony. Podniósł oczy. Żarek nie zdążył na czas odwrócić głowy i napotkał jego spojrzenie. Jeszcze długo potem tego żałował. Góral podniósł ręce obronnym ruchem i krzyknął, ale mrówki już przez nos i usta włożyły mu do płuc. Krzyk zamilkł.

Zniknął prawie w oczach. Najpierw zamienił się w rozedrganą owadzią masę, a niedługo potem rude nitki zaczęły odpływać w dół, w ślad za tymi, które już zniknęły we mgle. Kiedy ostatnia mrówka odeszła, na kupie kamieni pozostał tylko biały, siedzący kościec. Żarkowi się zdawało, że ciągle jeszcze na niego patrzy dwiema ciemnymi dziurami.

W otworze jaskini pokazała się Gudrun. Wargi miała rozbite, pod lewym okiem nabrzmiwał czarny siniec. Usiadła obok Żarka i roztarła obolałe nadgarstki.

- Przepaliłam sznur. Daj, rozwiążę cię.

Podsunał jej ręce, starał się nie patrzeć w dół.

- Nie uwierzyłbym w to, gdybym sam nie widział. Skąd one się biorą?

- Kto to wie? - Pochyliła się nad węzłem. - Wyłazą ze skalnych szczelin. Może z samego piekła. Są tutaj po to, żeby odciąć górali od ludzi na dole. Zły nie mógł się do nich dostać, no to wypchnął ich prawie pod same szczyty.

- Jeśli inni są tacy sami jak ten tu - pokazał na kupę kamieni - to im się należało. Jeśli ktoś kiedyś wybije ich do nogi, nie będę po nich płakał.

- Nic nie wiesz o Północy. - Gudrun musiała pomóc sobie przy węźle

zębami. - Nic a nic.

## R O Z D Z I A Ł E X V

Ośnieżone szczyty raziły oczy odbitym słonecznym blaskiem. Wielkie lodowe jezory spływały żlebami i szeroko rozpląszczały się na skalnych rumowiskach. Resztki przyżółconego mchu trzymały się jeszcze tu i tam, ale i one zanikały z każdym krokiem. Z przodu szeroko otwierał się świat pełen związanych lodem kamieni i hulającego wiatru, a na dole trawiaste zbocza tonęły we mgle.

- Nie mogę tak dalej! - Żarek stanął i chwiejąc się na nogach, wystawił twarz na podmuchy zimnego wiatru. - Tam wyżej nic nie ma. Można sobie dziabnąć chmurę paluchem, i to wszystko.

Gudrun była lekka jak dziecko. Skóra na jej twarzy stała się prawie przezroczysta, można było dostrzec każdą najmniejszą żyłkę. Oczy jeszcze się powiększyły, ostro odcinając się swoją zielonością w tej krainie bez barw.

- Jeszcze tylko kawałek - jej szept sparzył Żarka w ucho. - Naprawdę.

- Ciągłe obiecujesz to samo! Czy ty w ogóle wiesz, gdzie jesteśmy? Tutaj mieszka chyba tylko śmierć. Czuję ją - pociągnął głośno nosem. - Coś tu niedaleko zdechło, bo śmierdzi padliną.

Poczuł, jak Gudrun kładzie mu dłonie na barkach i prostuje ramiona.

- Puść mnie.

Podszedł do dużego kamienia i przykucnął. Zsunęła mu się z pleców jak zwiędły liść. Włosy opadły jej na oczy, ale ich nie odgarnęła.

- A teraz idź sobie, gdzie chcesz. Byle szybko.

- Nie gadaj głupot, bo...

- Wynoś się! - Było coś takiego w jej nagłym wyprostowaniu pleców, że

Żarek się przestraszył. Niezdecydowanie przestąpił z nogi na nogę.

- Co cię użarło?

Wiedział, że Gudrun patrzy na niego, ale pod włosami nie mógł zobaczyć jej oczu. Ramiona podnosiły się w nierównym oddechu. Położyła dłoń na chorej stopie, a potem jednym ruchem zadarła nogawkę.

- To ci śmierdzi, a nie żadna padlina.

Myślał, że jeśli odwróci głowę, to wystarczy. Ale nie wystarczyło. Upadł na kolana i długo walczył ze skurczami pustego żołądka. Potem wytarł wargi rękawem i wpatrzył się w zimne szczyty, które zdawały się być niemal na wyciągnięcie ręki.

- Czemu nic nie mówiłaś?

Powinien na nią spojrzeć, ale nie zrobił tego. Nie był pewien, czy usłyszał szelest opuszczanej nogawki.

- I co byś zrobił? Wróciłbyś poradzić się Lubichy?

- No wiesz... - zawiesił głos, rzucił jej szybkie spojrzenie. - W takim stanie to już nie ma co wiele gadać, tylko trzeba...

Nie dokończył. Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wiem, co trzeba. Zrobiłabym to sama, ale nie mam topora. A nożem nie dam rady. Chyba że... - Teraz ona przerwała w pół słowa i przyglądała mu się z przekrzywioną głową.

- No co?

- Chyba że ty mi jakoś pomożesz?

Położył się na boku i przyłożył policzek do zimnej skały. Nie miał czym wymiotować i przez to męczył się bardziej, a ona o tym wiedziała. Trąciła go w plecy zdrową nogą.

- Sam widzisz. Jedyne, co możesz dla mnie zrobić, to ponieść mnie jeszcze trochę. Nawet jak nie znajdziemy górali, to oni znajdą nas. A dla nich urznąć komuś nogę, gnijącą czy zdrową, to jak pierdnąć po jedzeniu. - Wyciągnęła

do niego ręce i uśmiechnęła się. - W ogóle oni są mało obrzydliwi. Sam zobaczysz.

Kręciło mu się jeszcze w głowie, ale zarzucił ją na plecy i ruszył tak dziarsko, jak po długim popasie. W ustach czuł gorzki smak własnej żółci, w gardle go paliło. Smród ropiejącej rany ciągle był tuż obok, ale starał się o tym nie myśleć. Oddychał przez usta i nie odrywał oczu od kamieni pod nogami.

Szybko stracił poczucie czasu. Wiedział, że musi iść pod górę i starał się pilnować tylko tego. Wszystko inne - stukot kamieni pod stopami, wiatr, plecy swędzące od potu - przestało do niego docierać. Bał się, że przyjdzie taka chwila, kiedy nogi wbrew woli same staną w miejscu, a wtedy już nie będzie mógł nimi poruszyć. Zaczął głośno liczyć kroki. Do stu, a potem od nowa. Na pewien czas pomogło, ale potem zaczął się mylić i musiał wszystko zaczynać od początku. Coraz częściej się potykał, a wtedy czuł, jak Gudrun ściska udami jego boki. Spodziewał się, że usłyszy za sobą jęk bólu albo chociaż jakąś skargę, ale z tyłu była tylko cisza.

Kiedy wokół kolan zawirowały mu białe plamki, myślał, że to głód odbiera mu jasność spojrzenia. Zacisnął powieki i potrząsnął głową, ale plamki nie zniknęły.

- Śnieg! - Odrzucił głowę do tyłu i pozwolił lodowym drobinom roztapiać się na czole. - Dopiero skończyło się lato, a tutaj już sypie!

- Jesteśmy bardzo wysoko. Tutaj lata nie ma nigdy. A zima zabija.

- I co? Dalej się upierasz, że znajdziemy ludzi?

- Właśnie znaleźliśmy.

Wyglądało to tak, jakby ktoś do skalnej rozpadliny wlał sypkie światło. Dopiero kiedy Żarek stanął przy samej krawędzi, chmura przesłoniła słońce i blask zmatowiał. Wąska, długa szczelina wypełniona była pokruszonym lodem.

- Co to jest?

- Spiżarnia.

- Jedzenie? - Ssanie w kiszkach przybrało na sile, w ustach zebrała się ślina. - Gdzie?

- Lepiej chodźmy dalej.

- Muszę wreszcie coś zjeść! - Z rozmachem kopnął lodową bryłę. - Cokolwiek!

Ucichł. Dwa kroki przed nim sterczała z lodu ludzka stopa. Skóra na niej była oszroniona, a paznokcie sine. Żarek przygarbił się, a Gudrun nagle stała się cięższa niż przedtem.

- Nie. - Ledwo poruszył wargami.

- Co nie?

- Ci, do których idziemy, nie mogą być ludźmi.

Gudrun długo milczała. Trochę dalej, za spiętrzonym rumowiskiem, prosto w niebo ciągnęła się smużka dymu. Zachwiała się, przełamała na wietrze i rozpełzła na boki małymi kłębami.

- Są. Tylko nie można ich mierzyć naszą miarą.

- Srał pies takie gadanie! - W głosie Żarka odezwały się piskliwe tony. - To... to... Ja do nich nie pójdę!

Za rumowiskiem pokazała się głowa. Zaraz za nią trzy następne. Słońce świeciło z tyłu i na tle nieba głowy wydawały się prawie czarne.

- Nie zawsze tacy byli. Ale sam widziałeś, co się dzieje tam, niżej. A oni się nie poddali, chociaż siedzą tutaj całkiem odcięci od świata. Trwają.

- To są zwierzęta!

Górale szli w ich stronę, a ostre kamienie osypywały im się spod nóg. Nie spieszyli się, nie krzyczeli. Szli.

- Za późno na wątpliwości. A teraz bądź cicho, ja z nimi pogadam.

- Pewnie! - Żarek zestawił ją na ziemię. - Jak będą rozdzielać miejsca w spiżarni, dla mnie poproś o takie z widokiem na wierchy.

Gudrun podniosła rękę i zawołała. Górale nawet nie popodnosili głów, jakby nic nie słyszeli.

- Co im powiedziałaś?

- Że jestem panią całej Północy. - Otarła czoło, na którym pomimo zimna pojawił się pot.

- To ich chyba nie wzruszyło? - Żarek szybko rozejrzał się na boki. - Musisz spróbować czegoś innego.

Zawołała jeszcze głośniej.

- A teraz co?

- Że jesteś strasznym zabójcą zza morza i zaraz pourywasz im głowy.

Byli coraz bliżej. Zmierzwione brody opadały im aż na brzuchy, za pasy mieli pozatykane topory o kamiennych ostrzach.

- Nie boją się!

Żarek skoczył do tyłu, ale tam po stromym zboczu pięła się już cała gromada. Wolno, z rozmysłem stawiali kroki. Żarek usiadł przy nodze Gudrun i schował twarz w dłoniach. Usłyszał, że krzyknęła jeszcze raz. Zachrypiąca jak po długim biegu.

Żarek długo patrzył na stojących nieruchomo górali, zanim odważył się podnieść na nogi.

- A teraz co?

- Uff! - Chwyciła go pod ramię i wsparła się na nim.

- Złoto, Żarek. Obiecałam im złoto. To nigdy nie zawodzi.



- Nie jesz?

Żarek pochylił nos nad miską. Z głodu trzęsły mu się ręce, po brodzie



ściekała ślina. Wetknął palec między czerwone kawałki, ale zaraz go cofnął, jakby mięso było za gorące.

- Nie wiem. - Wytarł rękę w gacie, chciało mu się płakać. - A ty?

Sięgnęła do swojej miski i wyjęła to, co było w środku. Kilka strużek tłuszczu popłynęło jej po przedramieniu aż do łokcia. Powoli zbliżyła rękę do ust i mlasnęła językiem.

- Ach! Życ, nie umierać!

Dalekie szczyty górskie zaczęły kręcić się Żarkowi dookoła głowy. Patrzył, jak Gudrun chwyta zębami tłusty kęs i z zadowoleniem przymyka oczy. Nie wytrzymał, kiedy głośno trzasnęła jakaś chrząstka.

- Jezu! Żresz jak Świnia!

Wzruszyła ramionami i poprawiła miskę na kolanie. Jej tłuste palce świeciły w blasku ognia.

- Jestem głodna.

- Ale to przecież może być ludzkie mięso!

Przestała ruszać szczękami, zatrzymała na nim spojrzenie. Potem pogrzebała w swojej misce. Wyciągnęła coś długiego i wiotkiego, rzuciła mu pod nogi.

- Ludzie tego nie mają, nie?

Żarek schylił się i podniósł to na jednym palcu. Wyglądało jak szczurzy ogon. Bez słowa odrzucił go za siebie i wsadził obie dłonie do miski. Kiedy skończył jeść, wylizał tłuszcz do suchego drewna. Odbiło mu się. Westchnął, położył rękę na brzuchu i oparł się plecami o skałę.

- No! Teraz znowu mogę myśleć.

Siedzieli pod wielkim nawisem skalnym, w szerokim zagłębieniu oddzielonym od gołego stoku rumowiskiem. Było tu zacisznie i sucho, chociaż zimno. Żarek pochylił się z boku nad wątlym ogniem i dmuchnął w żar.

- A oni co? - Machnął ręką w tę stronę zagłębienia, gdzie w kącie trwała nieruchomo zbita kupa czarnych cieni. - Przesiedzą tak do rana?

Byli tak brzydzy, jakby celowo dbali o swoją szpetotę. Brody i wąsy sterczały im w tłustych, sztywnych kłakach. Oczy, cofnięte głęboko pod płaskie czoła, nie zdradzały żadnej myśli. Wargi mieli grube, a kości policzkowe szerokie. Poobwijali się grubymi kozuchami, ale Żarek był prawie pewien, że pod spodem po całym ciele są obrośnięci włosami. Z początku obstąpili ich przy ogniu ze wszystkich stron, powystawiali końce grubych języków i patrzyli. Brali w dwa palce czarne włosy Gudrun i pochylali się nad nimi, pomrukując gardłowo. Szorstkimi dłońmi pocierali różowe policzki Żarka. Ale znudzili się szybko. Jeden po drugim odchodzili do przeciwległego kąta, aż w końcu zostawili ich samych.

- Grzeją się nawzajem. Tutaj ogień jest zbyt cenny, żeby go marnować z byle powodu. — Gudrun ziewnęła szeroko.

- Z byle powodu? Jest zima, nasypało śniegu po kolana!

- Nie, Żarek. Jest wczesna jesień. Jak zastanie cię tu zima, sam zauważysz różnicę. Uwierz mi.

Dzień zaczynał zmierzchać. Po niebie rozpięły się wielobarwne smugi światła, jakby tuż przed nocą słońce chciało jeszcze pokazać wszystko, co ma najlepszego. Było pięknie, cicho i mroźno. Zdawało się, że jeśli nawet Zły rozpleni swoje moce po całym świecie, to tutaj, pod wierchy, nigdy nie sięgnie jego oko. A nawet jeśli spróbuje ogarnąć te lodowe przestrzenie swoim chorobliwym oddechem, to każdy powiew od piekła zwiędnie w czystym górskim powietrzu, ześlizgnie po stokach i zatrzyma dopiero na nadmorskich skałach.

- Tu jest jak w niebie! - wyszeptał Żarek.

- Pewnie. A tam śpią anioły! - Gudrun zachichotała, ale zaraz syknęła z bólu i przyciągnęła nogę do siebie. - Bardzo szybko polubiłeś te strony.

Żarek przypomniał sobie szczelinę wypełnioną światłem. Ona też z daleka

wyglądała pięknie. Westchnął, rzucił ostatnie spojrzenie na niebo, ale tam podbarwione czerwienią i żółcią chmury zaczynały już gasnąć.

- Przy tobie nie da się pomyśleć o niczym przyjemnym, bo zaraz musisz sypnąć człowiekowi popiołem w oczy. Czemu taka jesteś?

- Ja nie tracę czasu na miotanie się między udręką a zachwytem. - Próbowała to ukryć, ale Żarek widział, że zabołały ją jego słowa.

- Dobra - rozłożył ręce. - Jak dotąd, wszystko wychodzi na twoje. Może naprawdę skrzykniesz tę swoją drużynę dzikusów i pójdziesz odbijać rodowe gniazdo. Czy co tam chcesz.

- A, to jeszcze daleka droga. Najpierw trzeba załatwić się z tym - oblizując z tłuszczu wszystkie palce po kolei, pokazała łokciem na chorą nogę.

Żarek zebrał w dłoni kilka małych kamyczków i zagrzechotał nimi bezwiednie.

- Widziałem, jak gadałaś z tym kostropatym, co ma poszarpane ucho. On to zrobi?

- Chciałabym - pokiwała głową. - Nie wygląda na takiego, któremu zadrży ręka. Ale nie jestem pewna, bo ich mowa różni się od tej, którą słychać na całej Północy. Nie wszystko rozumiem. O, właśnie idzie.

Góral był wielki i barczysty, poruszał się rozkołysanym krokiem niedźwiedzia. Kopniakiem odrzucił na bok pustą miskę i usiadł przy ogniu. Owinął się po same uszy śmierdzącą skórą barana. Kiedy się odezwał, Żarek odruchowo odchylił się do tyłu, żeby być dalej od jego oddechu.

- Co mówi? - Trącił Gudrun w ramię.

- Że nazywa się Kamienna Czaszka czy jakoś tak. Pyta, kim ty jesteś.

- Bardzo ładne imię. - Żarek odchrząknął. - Powiedz mu, że...

- Czeka! - Gudrun położyła mu rękę na kolanie. - Ja będę mówić za ciebie.

Ciężko szła ta rozmowa. Gudrun długo obracała w zębach każde słowo,

zanim udało jej się trafić na właściwe. Góral odpowiadał krótko, a czasem tylko kiwał głową albo wzruszał ramionami. Z ciemności falami napływało zbiorowe pochrapywanie. Z początku Żarek słuchał czujnie, ale ciepłe jedzenie i cichy szmer ognia sprawiły, że musiał się zmagać z opadającymi powiekami. Podparł czoło pięścią, kiwnął się lekko w przód i w tył.

Szturchnięcie w żebro wyrwało go z odrętwienia. Gudrun siedziała z zaciętymi wargami i rzucała kamyczki na dogasający żar. Po góralu została mgiełka smrodu.

- I co? - Żarek szybko roztarł pięściami powieki. - Dogadałaś wszystko?

- Nie - odpowiedziała. Brwi zbiegły jej się na środku czoła.

- Gudrun? - Żarek machnął jej ręką przed oczami.

- Może nie trzeba będzie ciąć nogi. - Sypnęła w ogień całą garść kamyczków i wyprostowała się. - Ale to zależy od ciebie.

- Jak to? - W jednej chwili oprzytomniał do końca. - Co on ci powiedział?

- Pamiętasz Dzięcielichę? Wiesz, co Lubicha chciała jej wtedy uwarzyć.

- No wiem, ale... - Żarek podrapał się po czubku głowy. - To się nie udało.

- Ale teraz może się udać. Tutaj niedaleko są prawdziwe jaja diabła. Najprawdziwsze. Musisz tylko mi je przynieść.

Zerwał się tak gwałtownie, że aż od strony górali podniosło się kilka głów.

- Idę!

- Poczekaj do rana. - Gudrun oparła się na łokciu i położyła głowę na dłoni.

- Uwinę sobie z jakiejś szmaty pochodnię! Znajdę, tylko powiedz, gdzie.

- Poczekaj. Musisz wiedzieć jeszcze jedno.

- No?

- Te jaja ciągle jeszcze wiszą na swoim miejscu.

Długo odgarniał stopą kamienie z miejsca, na którym chciał usiąść.

Rozpaczliwie poszukiwał w głowie odpowiednich słów.

- Nie ma innego sposobu?

Gudrun położyła się na plecach i przykryła twarz ramieniem.

- Dobra. Nie mówmy o tym więcej.

Żarek odgarnął ostatni, najmniejszy kamyczek. Uzbierał się z tego mały kopczyk. Kopnął go z taką siłą, że kamienie zastukały po skalnym nawisie.

- Pójdę. Mów.

Wydawało mu się, że broda jej zadrżała, ale kiedy się podniosła, oczy miała suche.

- Kawałek stąd jest wejście do podziemnej płataniny jaskiń. Czasem tam zimują ludzie, czasem diabły. Różnie. Niedawno zapadła pod ziemię cała wataha, diabeł i kilka diabolic. Górale podbierają im młode.

- Młode? - Żarek chciał o coś zapytać, ale przypomniał sobie ogonek w misce i tylko czknął głośno.

- No. Ale ostatnio diabły zeszyły głębiej.

- I ja mam zleźć do nich na dół, znaleźć czarta, zarznąć, urwać mu, co trzeba, i jeszcze nie pogubić się w ciemności? - Splunął w żar, zasyczało. - Nic trudnego. Robiłem to setki razy.

- Nigdzie nie musisz złązić. - Gudrun niecierpliwie potarła nos. - Góralka go wywabi. Diabeł zawsze wyłazi, jak poczuje babę.

- Jaka znowu góralka? Za dnia przyjrzałem się im wszystkim uważnie. Tu są same chłopcy.

- Baby też są. Nie najpiękniejsze - zastrzygła oczami.

- Ale są.

- Które to?

- Te bez bród.

Żarek pokiwał bez przekonania głową. Spojrzał na Gudrun spod oka.

- Chcesz nakłonić tych wszarzy, żeby dla ciebie szli na wojnę, a nie możesz ich poprosić, żeby ubili jednego diabła?

- Moja noga nie jest dla nich wystarczającym powodem, żeby nadstawiać karku - wzruszyła ramionami.

- A co jest?

- To sprawa między mną a nimi. Obiecałam nagrodę i wypłacę się im do samego końca.

Żarek przykucnął. Poprzednie poczucie sytości legło mu teraz w żołądku kamieniem.

- Jesteś pewna, że pomoże ci to, co przyniosę?

- Nie. - Podniosła na niego oczy. - Ale jak nie spróbuję, to się nie dowiem.



Przez noc napadało tyle śniegu, że mała, płytka kotlinka wyglądała jak biała misa o wyszczerbionych brzegach. Gdzieś na środku, gdzie śnieg był najgrubszy, czerniło się kilka otworów. Dokoła nich biała pokrywa była zdeptana i przybrudzona rozwłóczonymi odchodami.

- Tam? - Żarek wystawił głowę ponad krawędź kotlinki. - Nic się nie rusza.

- Śpią.

Gudrun obejrzała się i cicho gwizdnęła na góralkę. Brudna baba podczołgała się na łokciach, wcisnęła między nich i zaległa na brzuchu. Dolna szczęka wystawała jej do przodu, nad oczami sterczały grube fałdy. Kiedy się uśmiechnęła, Żarek schował twarz w śniegu. Mrucząc pod nosem, wysłuchiwała, co Gudrun jej wyszeptała do ucha, a potem przetoczyła się przez krawędź kotlinki i zaczęła ostrożnie ześlizgiwać się w dół.

- Nawet diabeł się na nią nie skusi - prychnął Żarek.

- Za stara.

- Nie jest starsza od ciebie. One takie już po prostu są.

- Jezu, co za kraj! A coś ty jej naobiecowała, że zgodziła się iść na wabia?

- E, takie tam! - Gudrun skrzywiła się i oparła brodę na dłoni. - A teraz cicho. Bądź gotów.

Kilkudziesięciu górali obsiadło kotlinkę dookoła, mościli się w śniegu jak kokosze. Pogadywali między sobą półgłosem, pokazywali paluchami to na Żarka, to na góralkę.

- A ci co? Będą się tak gapili jak na widowisko? A jak coś pójdzie nie tak, to pewnie nie ruszą tyłków.

- Nie ruszą. - Gudrun położyła mu rękę na plecach. - Ale ty nie zajmuj się nimi, tylko tym, co na dole. Powtórz, co masz robić.

- Przewrócić go. Nożem w ślepie. Urznąć, uciekać.

Góralka była już w połowie łagodnego skłonu. Zostawiała za sobą głęboką bruzdę, śnieg osypywał się wokół niej. Podniosła głowę, poszukała wzrokiem Gudrun i pomachała do niej.

- Dalej, dalej! - zamruczała Gudrun, podnosząc w odpowiedzi rękę. - Jeszcze dalej.

Góralka dojrzała do miejsca, gdzie stok prawie się wyrównywał. Przestała się ześlizgiwać, otrzepała skórzane portki i poszła dalej, zapadając się w śniegu powyżej kolan. Z góry wyglądało to tak, jakby była już całkiem blisko otworów, ale to musiało być jakieś kilkanaście kroków. Wysupłała z kożucha ręce, klasnęła w dłonie.

- Jak ci powiem, Żarek, biegnij! - Gudrun podniosła się na łokciach i wyciągnęła szyję.

Góralka uniosła ręce nad głowę i klasnęła jeszcze dwa razy. Krzyknęła. Pogłos odbił się od ścian kotlinki i uleciał w niebo. Nawisły nad otworami śnieg osypał się drobnym puchem. Żarek wciągnął pod brzuch najpierw

jedno kolano, potem drugie. Przesunął w dłoni gruby, natłuszczony sznur, póki nie natrafił palcami na pętlę.

- Spokojnie. Czekać.

Góralka gwizdnęła przeciągle, ile sił w płucach. Zatupała, z ust uleciała jej para. Podniosła trochę śniegu, ulepiła kulę i rzuciła w stronę najbliższego otworu. Nie trafiła. Ulepiła drugą, wrzasnęła i rzuciła znowu. Kula poleciała wysokim łukiem i zniknęła w czarnej czeluści.

- Sikać mi się chce. - Żarek klękając podniósł pętlę nad głową. - Ale jakoś wytrzymam.

Coś się działo. Z krawędzi otworu znowu osypał się śnieg, gdzieś głęboko stuknął kamień o kamień. Zaraz potem kotlinkę wypełnił dziwny głos, jakby zwielokrotnione mruczenie naźartego kocura.

- Dobra. - Gudrun chwyciła Żarka za rękaw. - Obudził się.

Góralka cofnęła się trochę. Obejrzała się szybko, przygięła kolana gotowa do ucieczki. Żarek nie spuszczał wzroku z otworu. Gudrun uklękła przy nim.

- Pamiętaj, żeby mieć słońce za sobą. One są za dnia prawie ślepe. No i będziesz miał tylko jeden rzut. Jak nie trafisz, uciekaj.

Na krawędzi otworu pokazała się czarna pazurzasta łapa. Obok niej druga. Żarek wiedział, że Gudrun coś jeszcze mówi, ale nie docierały do niego jej słowa. Patrzył, jak na tle śniegu powoli podnosi się w górę rogaty łeb. Góralka zadrobiła nogami do tyłu, potknęła się i usiadła w śniegu. Chrapy diabła zadrgały, sklezione śluzem powieki podniosły się lekko, odsłaniając krwistoczerwone ślepia. Capia bródka zamiotła śnieg, kiedy diabeł schylił się, wyciągając z otworu kolano.

Żarka przeszły dreszcze. Poczuł na karku ciepłą dłoń Gudrun.

- Jeszcze nie.

Diabeł wydobył drugie kolano. Wygiął włochate plecy w koci grzbiet i ziewnął szeroko. Wnętrze jego pyska było czarne. Podniósł długi ogon



zakończony rudawą kitą, na śnieg poleciały ciemne kulki łąjna. Kiedy wstawał, Żarek z przejęcia wysunął język. Był chudy, zebra mu sterczały nad zapadniętym brzuchem, ale za to bardzo wysoki. Z łysego czoła ukośnie sterczały dwa proste rogi. Wyciągnął przed siebie łeb na chudej szyi i jeszcze raz głośno zaniuchał. Góralka grzebała piętami w śniegu, jakby chciała wstać, ale zamiast tego coraz bardziej osuwała się w dół. Białe grudki staczały się po zboczach i zatrzymywały przy kopytach diabła. Słońce wysunęło się zza chmury i na chwilę zalało kotlinkę światłem. Czerwone szpary między powiekami diabła zgasły, kiedy zamknął ślepia. Po omacku zrobił krok do przodu.

Gudrun wbiła Żarkowi paznokcie w kark.

- Leć!

Skoczył. Kolana się pod nim ugięły, ale po paru krokach odzyskał równowagę i pognął w dół. Skakał obunóż, byle szybciej. Mroźne powietrze kłuło w płucach. Mignęła mu w oczach wysunięta szczeka góralki. Podniósł nad głowę pętlę i zakręcił, nie zwalniając biegu. Spojrzał w górę. Czarne, prążkowane rogi były wyżej, niż się spodziewał. Przez wilgotne chrapy przebiegały fale dreszczy. Diabeł wyczuł niebezpieczeństwo, odwinął górną wargę i pokazał rząd białych zębów.

Żarek zamknął oczy i rzucił pętlę prawą ręką, w lewej zaciskając sznur. Usłyszał krzyk Gudrun, ale nie miał czasu o tym myśleć. Poczuł, że sznur znalazł zaczepienie, i zawisł na nim całym ciężarem. Kiedy zebrał odwagę i spojrzał w górę, zobaczył, że pętla zacisnęła się na jednym rogu. Na chudej szyi diabła napięły się ścięgna. W krtani szybko narastał mu wściekły warkot.

- Żarek, puść! Uciekaj! - zawołała Gudrun.

Pociągnął za sznur, ile miał sił. Diabeł zaparł się kopytami, ale musiał się pochylić. Powieki podjechały mu do góry i potoczył wokół ślepym, krwistym spojrzeniem. Żarek zacisnął mocniej palce i podkurczył nogi. Ziemia usunęła mu się spod stóp. Stok zatańczył mu przed oczami, przeleciały czarne otwory

jaskiń, a potem zobaczył przed sobą płaski, porośnięty krótkimi włosami brzuch. Wtedy nagłym błyskiem zajaśniała mu w głowie świadomość tego, jaki popełnił błąd.

Diabeł runął na śnieg. Krzyk Gudrun wypełniał kotlinkę.

- Uciekaj! To jest samica! Ucieeeekaj!

Zbierał się z głębokiej zasy, rżąc ze strachu. Diablica wierzgała kopytami, na ślepo machając łapskami próbowała zrzucić pętlę z rogu. Gdzieś zza pleców Żarka na białą płaszczyznę nasuwał się długi, rogaty cień. Wiedział, że nie ucieknie. Krzyki Gudrun umilkły. Stał na drżących nogach i obrócił się powoli.

Ten drugi na pewno był samcem. To, co trzeba, majdało się na wysokości twarzy Żarka.

Zacisnął zęby i ciachnął nożem, z prawej w lewo.

Najpierw pomyślał, że cały świat wali mu się na głowę. Ryk diabła był gorszy niż wszystko, co dotąd słyszał w życiu. Upadł na kolana i przycisnął dłonie do uszu. Próbował krzyczeć, ale nie umiał wydobyć głosu. Chwilę przed tym, nim pociemniało mu w oczach, zobaczył w śniegu na wyciągnięcie ręki czarny zakrwawiony ochłap. Podniósł go i zaczął się czołgać.

## R O Z D Z I A Ł E X V I

To była zła mgła. Nie przyszła z żadnego określonego kierunku, tylko po prostu pojawiła się nagle między chatami i rozpełzła się zwiewnie po całej wiosce. Ludzie czuli, jak dotyka ich skóry, jak włązi do ust i do nosów. Była za gęsta, za ciężka, za lepka jak na zwyczajną mgłę. Była zła.

Każdy to widział, ale nikt nic nie mówił. Patrzyli, jak wilgotne kłęby przewalają się nisko nad ziemią i mieszają się ze sobą. Czasem rzedły, ale potem znowu zbijały się w zwartą zasłonę. Słońce zniknęło. Błada, drżąca poświata zdawała się płynąć ze wszystkich stron naraz, jakby światło rozpuściło się we mgle. Zimna chora jasność, która nie daje żadnej nadziei. Słyszeli morze, ale nie widzieli go. Każdy plusk, każdy syk fali na piasku był inny od tego, jaki znali. Morze zdziczało, jak pozostawiony w lesie pies.

Lubicha stała w najwyższym miejscu zasieków. Póki ludzie mogli ją widzieć, oglądali się na nią, jakby czegoś od niej oczekiwali. Słowa, spojrzenia. Czegokolwiek. Ale ona milczała. Nawet drgnieniem powieki nie zdradziła, o czym myśli. Trzymała się na tyle prosto, na ile zdołała, i jak inni patrzyła w stronę, gdzie we mgle zgubiło się morze. Dopiero wtedy, gdy padł rozkaz grododzierzcy, a za nim rozbrzmiał zgrzyt wysuwanych z pochew mieczy, Lubicha poruszyła się.

- To na nic. Póki co, to nie jest sprawa na miecze.

- Oni to robią dla okiełznania własnego strachu. - Staremu mgła skraplała się na wąsach. - Ale rybaków tym nie uspokoją.

Grododzierzca z wojami rozłożył się niżej, gdzie zasieki prawie podchodziły do urwiska. Ostatnią rzeczą, jaką Stary z Lubichą mogli

zobaczyć, była żółta kita na jego szyszaku. Potem przesłoniła go mgła, przez którą nie mógł się przebić nawet chrzest jego niespokojnych kroków.

- Ktokolwiek zechce, będzie nas mógł powybierać w tym mleku jak jaja spod kwoki - mruknął Stary. - A tak parno, że aż zatyka.

Lubicha poruszyła wargami, jakby mówiła sama do siebie. Oczy miała szeroko otwarte. Przeciągnęła kijaszkiem po ziemi, a wtedy mgła zakręciła się wokół jego końca.

- Będzie źle, Stary.

Krótki skowyt człowieka zabrzmiał tak, jakby dobiegał z wielkiego oddalenia. Zaraz po nim wybuchły zmieszane krzyki. Ale to wszystko było bardzo blisko - widzieli poruszające się cienie ludzi kilkanaście kroków od siebie. Jeden z nich urósł nagle i zza mlecznej zasłony wypłynęła twarz Kościucha.

- Liściec nie żyje! - Ziajał strachem, oczy miał przyblakłe. - Udusił się.

Stary poszukał prawie po omacku jego ramienia i przyciągnął go bliżej. Rozkaszłał się sucho, otarł wargi.

- Jak to udusił się?

- Najpierw krzyczał, machał rękami, jakby się od czegoś opędzał. Potem zsiniał, pozieleniał, wywalił język i umarł. Zwyczajnie się udusił!

Stary chciał coś jeszcze powiedzieć, ale następny krzyk rozległ się z drugiej strony zasieków.

- To u wojów!

Nie czekali długo. Wojsław wspinał się do nich zasapany, podpierając się mieczem. Żółta kita nasiąkła wodą i oklapła jak przywiędły kwiat.

- Straciłem dwóch ludzi, chociaż nawet nie powąchaliby krwi! Zadławili się czy jak? - Zerwał szyszak z głowy i cisnął go przez zasieki we mgłę. - Stałem i patrzyłem, jak umierają.

Krzyk po drugiej stronie wioski, a potem dwa następne, całkiem blisko.

Ludzie na zasiekach nie widzieli się nawzajem i strach tym mocniej buzował im w głowach. Ktoś tam nie wytrzymał czekania i potykając się, zbiegł na dół, między chaty.

- To są dusznice. - Lubicha przycisnęła kijaszek do policzka. - Gorzej być nie mogło.

Wojśław przeciągnął dłonią po mokrych włosach.

- Jak to zwał, tak zwał, ale póki chowają się we mgle, nie rozsiedzemy ich mieczami.

- Nie, to nie tak. - Lubicha przełożyła kijaszek z ręki do ręki. - One nie kryją się we mgle. One są mgłą. Z nimi nie da się walczyć.

Znowu wrzask. Gdzieś niżej usłyszeli urywane rżenie człowieka, który daremnie próbował zdobyć jeszcze jeden oddech. Słuchali go aż do samego końca, póki nie umilkł. Wtedy grodzierzca pochylił się nad Lubichą, żeby zobaczyć jej twarz.

- Czas na te twoje zamawiania, wiedźmo. Pokaż, co umiesz.

Lubicha przygarbiła się jeszcze bardziej. Patrzyła, jak mgła snuje się dokoła jej kolan.

- One zwykle same odchodzą. Trzeba je przeczekać.

Wojśław zamarł z otwartymi ustami. Spojrzał na Kosiucha, a potem znowu na wiedźmę. Kiedy ciszę wypełnił łoskot spadającego ciała, złapał ją za łokieć.

- Zgłupiałaś na starość? - Potrząsnął mocno, aż kijaszek wysunął jej się z ręki. - Nie słyszysz, co tu się dzieje?

Stary skoczył do grodzierzcy, podbił mu rękę i chwycił w obie garście jego brodę. Oczy mu pociemniały.

- Nie dotykaj jej! - Zakrztusił się własną wściekłością.

- Bo nie wybroni cię nawet cała drużyna, kiedy zobaczą to moje chłopcy!

Grodzierzca sięgnął do boku i położył dłoń na rękojeści miecza. Nie

mógł ruszyć głową, bo kościste ręce Starego nie puszczały. Jego czerwona rozedrgana twarz była tak blisko, że Wojsław mógł widzieć cieniutkie pajęczynki zmarszczek wokół jego oczu.

- Puść mnie, szaleńcze, bo rozpruję ci brzuch!

Twarz Starego poczerwieniała jeszcze bardziej, jakby za chwilę krew miała trysnąć z niego wszystkimi porami skóry. Źrenice zwęziły mu się gwałtownie. Brwi się nastroszyły, nozdrza rozděły. Zacisnął pięści tak mocno, że Wojsława zaboląła naciągnięta skóra na szczęce.

- Puszczaj!

Wyrwał miecz i bodnął go rękojeścią pod żebra. Stary stęknął, zachwiał się, ale ustał. Oczy zaczęły mu matowieć, rozchylił wargi i wysunął koniec języka. Powoli, jakby z rozmysłem zaczął osuwać się w dół. Najpierw opadł na jedno kolano, potem dostawił drugie. Przez chwilę całym ciężarem wisiał na brodzie grodzierzcy, a potem palce mu się rozluźniły i poleciał na bok. Kiedy Kościuch obrócił go na plecy, źrenice uciekły mu pod powieki, a gołe białka oczu ślepo patrzyły w szare niebo.

- Tylko go dźgnąłem, bo wczepił się jak kleszcz! - Wojsław rozłożył ręce.  
- Co z nim jest?

Kościuch dwoma palcami dotknął szyi Starego i chwilę odczekał. Potem z dołu spojrział na grodzierzcę, pokręcił głową.

- Nie dycha.

- Jezu, tak po prostu? - Wojsław szybko obejrzał się za siebie. - Pstryk, i nie ma człowieka!

Kościuch wstał z kolan i podszedł do Lubichy. Podniósł kijaszek, starannie otarł z niego wilgotny nalot i włożył jej do trzęsącej się dłoni. Oparła się na nim ciężko, jakby aż do tej chwili wszystkie siły wkładała w to, żeby nie upaść. Podkuśtykała do Starego, długo patrzyła na jego twarz.

- Nie powinien był dożywać takich czasów. Za dużo zważyło się na jego siwą głowę, nie udźwignął tego - powiedziała cicho, a potem podniosła oczy

na Wojsława. - Idź do ludzi. Dopilnuj, żeby nikt nie patrzył w moją stronę, kiedy się zacznie. A potem wróć.

Grododzierzca potarł dłonią kark.

- Co się zacznie?

- Jest taka rzecz, którą każda wiedźma może zrobić raz w życiu. Jeden, jedyny raz. Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek przyjdzie na to pora. Ale przyszła. - Odwróciła się jeszcze do Starego, odetchnęła głęboko. - Nie powinien tego dożywać.

Grododzierzca poprawił pas, a potem odwrócił się i odszedł. Zanim zniknął we mgle, Lubicha podniosła kijaszek i stuknęła nim tak mocno, aż stojący bliżej ludzie popodnosili głowy.

- Pamiętaj! Niech nikt nie patrzy.

Odczekała, aż umilkną jego kroki, i położyła Kościuchowi dłoń na ramieniu.

- Zostawiła Żywula w skrzyni jakieś zimowe odzienie?



Kościuch uwinął się szybko. Ledwo zniknął, a zaraz usłyszeli, jak drapie się z powrotem na zasieki. Przydźwigał z chaty barani kozuch i wielką, włochatą czapę. Rzucił to Lubisze pod nogi i niepewnie spojrzał na grododzierzcę.

- To wszystko, co wygrzebałem. Nic więcej nie mam.

- Powinno wystarczyć. - Lubicha spojrzała spod oka na Wojsława. - No, na co czekasz? Wdziewaj to.

Grododzierzca prychnął gniewnie i zahaczył kciuki o pas na grubym brzuchu.

- Bredzisz, starucho? A na co mi to?

- Możesz dalej ciąć mieczem cienie we mgle, jeśli chcesz - podniosła głos Lubicha. - Ale wtedy nie przybiegaj do mnie więcej po pomoc.

Zmarszczył czoło, choć w oczach błysnęła mu wesołość.

- Zhardziałaś! Kto to widział, żeby książęcy woj służył pod starą babą? - Podniósł czapę i strzepnął z niej kurz.

- Ale wygląda na to, że masz mnie w garści. Pamiętaj tylko o jednym. Jeśli się okaże, że twoje sposoby są głównie warte, obetnę ci ten przemądrzały łeb! Na to mój miecz jeszcze wystarczy.

- Wiedźmy nie umierają tak zwyczajnie - odstoniła dziąsła. - Inaczej nie zostałyby na świecie ani jedna, bo takich narwańców jak ty jest wielu.

- Już czuję, jak rybackie wszy gonią się z moimi własnymi. - Podrapał się pod czapą i dopiął kozuch. - Powiedz przynajmniej, co zamierzasz.

- Dusznice nie boją się ani miecza, ani ognia. Jedyne, co je zabija, to mróz. Zamieniają się wtedy w małe ziarenka lodu, które sypią się na ziemię jak drobny grad.

- To wszystko bardzo pięknie! - Wojsławowi było za ciasno i za gorąco. - Ale co z tego? Ściągniesz tutaj zimę?

- Aż taka mocna to ja nie jestem. Ale za to wiem, gdzie teraz jest bardzo zimno. Wystarczy, żebyś ty tam się znalazł. Potem tylko przywołasz dusznice i będzie po nich.

Czapa opadła mu na oczy, poprawił ją niezgrabnie. Kapnął zębami, ale odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Jak to przywołał? Posłuchają mnie?

- Przywoływanie zła nigdy nie jest trudne. Jest na to zaklęcie, nauczę cię. Gorzej, kiedy człowiek chce się pozbyć tego, co przywołał.

Grododzierzca kiwnął głową, znowu musiał poprawić czapę. Zwlekał z tym jednym, jedynym pytaniem, ale w końcu musiał je zadać.

- Gdzie to ma być?



Wiedźma wyciągnęła przed siebie rękę i skierowała kciuk w górę.

- Tam.

Wojśław zadarł brodę. Wysoko nad wioską mgła się przerzedzała, a jeszcze wyżej przeciągały po niebie deszczowe chmury.

- Gdzie tam?

- Właśnie tam. - Położyła dłoń na kijaszku i pogładziła go.

Wojśław opuścił brodę. Tym razem poprawiał czapę długo i starannie, jakby to była ostatnia taka sposobność w jego życiu. Potem wsadził między zęby paznokieć małego palca i odgryzł go głośno.

- Jeszcze jedno głupie słowo, a każę zrzucić cię z urwiska - powiedział wolno i cicho. - Nie pozwolę się ośmieszać.

Wiedźma odwróciła się i spojrzała na Starego. Wydawał się jeszcze chudszy niż za życia. Z obu dziurek w nosie ulatywały mu cieniutkie smużki mgły.

- Dusznice są leniwe, kapryśne i złe. Zabijają dla zabawy. Zwykle szybko się nudzą, choć jak się zawezmą, mogą nas tak dręczyć przez wiele dni. Ale nawet wtedy radziłabym, żebyśmy czekali, bo ostateczne sposoby trzeba zostawiać na ostateczne zgrozy. A pewnie czekają nas o wiele gorsze chwile. No, ale one zabiły Starego, a tego im nie podaruję. - Znowu podniosła wzrok na grodzierzcę. - Jak będę chciała cię ośmieszyć, na pewno tego nie przegapisz. Ale teraz nie pora na to.

Wojśław słuchał jej z nastroszonymi brwiami. Odgryzł paznokieć z drugiego palca i znowu spojrzał w niebo. Odetchnął głęboko, jak przed skokiem do wody, a potem przygładził sobie wąsy do policzków i uderzył piętą w gmatwaninę zasieków, aż zatrzęsł mu się brzuch.

- No to zróbmy to, byle szybko! Tylko jak? Zamienisz mnie we wronę? W muchę? A może tylko kopniesz w tyłek i...

- Zamknij się wreszcie! - Podesunęła mu pod nos kijaszek. - Weź go i siadź

na nim okrakiem.

Poczerwieniał z wściekłości, ale nie odezwał się słowem. Ścisnął kijaszek udami i oburącz chwycił przed sobą. Nie patrzył na Lubichę, czekał i sapał.

- Powiedziałeś ludziom, żeby nie patrzyli?

- Powiedziałem. - Rzucił czujne spojrzenie w stronę, gdzie za mgłą stała drużyna. - Moi posłuchają, bo to rozkaz. A jak reszta, to nie wiem.

- Dobra. - Lubicha kiwnęła na Kościucha i oparła się na jego ramieniu. - Kto ma rozum, ten odwrócił się plecami. A teraz słuchaj dobrze. Kiedy już tam będziesz, zawołasz tak: „Dusznice-siostrzyce, mgielne dziewice, w piekle mnie słuchajcie, z wiatrem przybywajcie”.

- Mgielne dziewice? - Wojsław splunął. - To głupie.

- A kto ci mówił, że zaklęcie musi być mądre? Ważne, że daje się łatwo zapamiętać. I że działa.

Wojsław zawiercił się pod kozuchem. Chciał znowu splunąć. Charknął, ale w ustach miał sucho.

- Jasne. No to lecę. Tylko co mam powiedzieć? „Leć, patyczku, leć pod chmury, ponad lasy, ponad góry”?

- Nie. - Wiedźma dotknęła kijaszka. - Wystarczy to.

Wydawało się, że ledwie skrobnęła paznokciem i szepnęła pod nosem jakieś słowo. Wojsław po raz ostatni poprawił czapę i wytarł spocone dłonie o kozuch. Chwycił za kijaszek w ostatniej chwili, tuż przed szarpnięciem. Odgiął się do tyłu, kiedy kijaszek wyrwał się skosem do góry. Ni to jęknął, ni zaklął, kiedy ziemia umknęła mu spod stóp.

- Nie patrz - ostrzegła Lubicha i położyła Kościuchowi dłoń na oczach.

Odruchowo zacisnął powieki, ale i tak miał wrażenie, że tuż przed jego twarzą wybuchło nowe słońce. Długo mrugał oczami, zanim przestały mu wirować dookoła głowy czerwone kręgi.

- Co to było?

Lubicha stała z zadartą głową i patrzyła na niebo. Kościuch zmrużył oczy, ale dostrzegł tylko jakiś mały, szybko znikający cień.

- W tym błysku wyzwoliła się bardzo wielka moc. Posłałam go wyżej, niż kiedykolwiek była wiedźma. Ale muszę mieć pewność, że wszystko pójdzie tak, jak trzeba, bo powtórki nie będzie.

Kościuch pomyślał o Wojślawie i nagle zakręciło mu się w głowie.

- A co się stanie, jak ze strachu zapomni zaklęcia?

- Zgłupiałeś? - Wiedźma spojrzała na niego ostro. - Nie wyjawiałabym temu grubemu turowi nawet zaklęcia na sraczkę, a co dopiero takiego! To by była za wielka potęga na jego tłuste paluszki.

- Jezu, Lubicha! To coś ty mu powiedziała?

- Ładne, nie? Wymyśliłam sobie. A dusznice poślę za nim sama. Tylko dajmy mu czas, żeby wzleciał tak wysoko, jak trzeba.

Kościuch usiadł, oparł się z tyłu na rękach. Patrzył na gnane wiatrem chmury, które były o wiele czarniejsze niż zwykle.

- Czy on wróci?

- Wróci - Lubicha nie odpowiedziała od razu. - Kijaszek opadnie mniej więcej tam, gdzie będę ja. Ale czy grodzierzca to przeżyje? Nie wiem, nie wiem.



Pilnował, żeby kijaszek nie wyslizgnął mu się z rąk, i przez pierwszych parę chwil nie mógł myśleć o niczym więcej. Czuł wiatr na czole, świst w uszach i ból w kroku. Zdawało mu się, że czyjeś ręce wplątały mu się we włosy i ciągną go w tył. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby pokonać opór powietrza i przechylić się do przodu, wtulając głowę w ramiona. Poprawił dosiad i przez chwilę napawał się ulgą, kiedy zniknęło bolesne gnienie.

Potem otworzył oczy.

Przed sobą miał morze i niebo. Widnokrąg powoli, ale nieustannie opadał w dół. Nieskończoną, pustą przestrzeń wypełniał tylko wiatr. Było chłodno, chociaż słońce mocno grzało w plecy. Wisiał gdzieś wysoko pod chmurami, słuchając dochodzących z dołu krzyków mew, a ruch stał się tylko ulotnym wrażeniem, czymś, czego dopiero trzeba się domyślać. Ogarnęło go dziwne, ale przyjemne uczucie wyzwolenia się od własnego ciężaru, a nawet kształtu. Rozprostował po kolei palce obu dłoni, a potem znowu chwycił kijaszek mocniej i spojrział w dół.

Błogostan prysł, grodzierzca zapiał z przerażenia. Wszystko, co jeszcze mógł dostrzec na dole, zmniejszało się coraz szybciej, a jednocześnie zaczynało krążyć po jakimś wielkim kole. W miejscu, gdzie była wioska, na samym styku lasu i morza, nieruchomo warował płat mgły. Przykrywał chaty, płoty i kawałek urwiska, ale wszystko dookoła kąpało się w pełnym słońcu.

- Ściągnij mnie na ziemię, stara ropucho! - zawył płacząco grodzierzca, a wichur zawtórował mu łopocąc jego portkami. Każde słowo z osobna odklejało mu się od warg i wessane powietrznym wirem, leciało w pustkę. Przekładając ostrożnie dłoń za dłonią, podciągnął się do przodu, przylegając czołem i brzuchem do drewna. Zamknął oczy i zwymiotował pod siebie. Przysięgł sobie w duchu, że nie spojrzy na świat, póki nie poczuje pod stopami ziemi.

Wiatr zelżał, ale robił się coraz zimniejszy. Wciskał się pod kozuch i pod koszulę, ziębiąc gołą skórę. Wojsław co chwila musiał uderzać głową w kijaszek, żeby odetkać uszy. Czapa suwała mu się po czole tam i z powrotem.

Poczuł mocne, pojedyncze uderzenie w kij. Zanim pomyślał, złamał przysięgę. Podniósł głowę i spojrział przed siebie.

Czteropalczaste ptasie łapy obejmowały drewno tuż koło jego dłoni. Na zakrzywionych pazurach gwizdał wiatr. Łapy były grube i gołe, dopiero

gdzieś wyżej, na samym krańcu pola widzenia porastały je czarne pióra. Mógłby przekreślić się na bok i zobaczyć więcej, ale nie zrobił tego. Oderwał od kijasza prawą dłoń i zgrabiętymi z zimna palcami sięgnął po miecz. Łapy zniknęły, a odciążony przód kijasza podskoczył w górę i opadł.

Wojśław wysunął do końca miecz z pochwy, zwiesił luźno ramię i spojrzał wzdłuż ostrza. Strach owiał go mrozem, ale szybko się ulotnił. Tym razem wrażenie nie było już tak silne, jak za pierwszym razem. Brązowo-zielony ląd i niebieskie morze wczepiały się w siebie wypustkami zatok i półwyspów. Rzeczki i potoki lśniły w słońcu jak srebrne żyłki. Widok stawał się zbyt nierzeczywisty, żeby wywołać kolejny zawrót głowy.

Nagły ból w barkach rozpałił się ogniem i spłynął kręgosłupem do krzyża. Wojśław odruchowo owinął łokieć lewej ręki wokół kijasza i to go uratowało. Szarpnięcie było tak silne, że pazury wyrwały mu z pleców kawałki mięsa. Ale utrzymał się, chociaż w łokciu trzasnęła jakaś kość. Ptasie łapy puściły, poleciał do przodu i rozbił nos. Drgnął, kiedy coś wielkiego zaciemniło nad nim słońce. Machnął mieczem ponad siebie szeroko, ale na ślepo. Nie natrafił na opór.

Wydało mu się, że gdzieś z boku wiatr zajęczał innym tonem. Dźgnął w tamtym kierunku. Poczował, że coś przebił, więc jeszcze zaświdrował ostrzem, ile się dało. Prawie jednocześnie usłyszał ochrypły wroni wrzask i coś targnęło mieczem tak mocno, że nie zdołał utrzymać w dłoni rękojeści. Kilka piór zawirowało mu przed oczami, a potem jedno z nich owinęło mu się wokół głowy. Było wielkie jak stara paproć i lepiło się od krwi. Z obrzydzenia wstrzymał oddech, póki nie udało mu się zedrzeć go z twarzy i puścić z wiatrem.

Wystarczyło, że przestał się ruszać, a ból w plecach powrócił z nową siłą. Grodzierzca oparł czoło na kijaszkę i zacisnął zęby. Czekał. Wiedział, że na odparcie następnego ciosu nie starczy mu sił.

Wycie wiatru nad nim znowu zmieniło barwę. Nie musiał podnosić głowy,

żeby wiedzieć, co się dzieje. Wyraźnie czuł, jak gdzieś od tyłu bezgłośnie nasuwa się na niego wielki cień. Okrył mu stopy, potem łydki, kolana i uda. Kiedy sięgnął pleców, gęsta i gorąca kropla spadła Wojśławowi na goły kark. Spłynęła po obojczyku i zabarwiła mu brodę na czerwono.

- Święta Panienko! - wyszeptał.

Uderzenie dzioba spadło na dolną część kręgosłupa. Było tak straszliwe, że grodzierzca jakimś zakątkiem mózgu, który nie przestawał działać, ocenił, że dziób przebił go na wylot. Czekał, aż wnętrzności zaczną ciągnąć się za nim na wietrze. Ale nic takiego się nie stało. Kijaszek zakołysał się jak łódka na wysokiej fali, a ogromne, rozpięte skrzydła ześlizgnęły się bokiem i zniknęły w dole.

Ból szybko dogasał. Kręcił się jeszcze przez chwilę po krzyżach, uszczypnął raz i drugi, aż wreszcie zniknął zupełnie. Ale nie zostawił po sobie ulgi, tylko jakąś tężającą drętwotę. Wojśław napiął mięśnie brzucha i spróbował podciągnąć pod siebie prawą nogę. Nie udało mu się. Spróbował lewą. Nic. Zrozumiał, co to oznacza, i obwisł bezwładnie na kijaszku. Przypłynęła mu do głowy wyraźna, kusząca myśl, żeby zrobić ostatni wysiłek i stoczyć się na bok, w pustkę. Rozłożyć ramiona i pomknąć przez przestrzeń, po raz ostatni poczuć się swobodnie. Ale po chwili pomiędzy luźnymi strzępami wspomnień wypatrzył to, które go otrzeźwiło. Spuchnięte żyły na skroniach Starego, kropelki śliny na jego wargach i wyraz jego szeroko otwartych oczu, kiedy zrozumiał, że nie wywalczy już następnego oddechu.

- Zrobię to do samego końca, ty zmurszała wierzbo! - powiedział sam do siebie. A może tylko pomyślał.

To, co działo się potem, było jak sen. Taki sen, w którym wszystko można widzieć i słyszeć, ale nic nie można zrobić. Chyba kilka razy tracił przytomność albo tylko ogłuszał go mroźny wicher. Kiedy trzeźwiał, palce ciągle obejmowały kijaszek, jak zeszywniałe dłonie trupa. Z tyłu luźno

zwisały nogi, stukając jedna o drugą. Kijaszek zwilgotniał, a potem okrył się białą warstewką szronu. Oddech zaczął się skraplać, osiadając lodowymi soplekami na brodzie. Kiedy grododzierzca spróbował dźwignąć głowę, nie puściły przymarzniałe do kijasza sztywne kłaki. Zmrużył oczy i spojrzał pod siebie, ale tam poza skłębionym morzem chmur nie było już nic. Oddech mu spłycał, myśli coraz częściej grzęzły w zmrożonym bezruchu. Ale było mu coraz lepiej, prawie dobrze. Powoli przestawał się zмагаć sam ze sobą. Przestawał walczyć. Ucichł wicher, w uszach przestał gwizdać pęd powietrza. Oddychało mu się trudno, coraz ciężiej, ale nie dbał o to. Był pewien, że jeżeli tylko zechce, będzie mógł obyć się bez oddychania.

Kijaszek zakołysał się w obie strony, leciutko, jakby nie chciał go z siebie stracić. Niebo podpłynęło najpierw pod lewe, a potem pod prawe oko Wojsława.

Było czarne. Ale to nie była noc, bo słońce ciągle świeciło oślepiająco jasno. Gwiazdy tkwiły w tej czerni gęsto poupychane i patrzyły na niego obojętnie. Żadna z nich nie mrugała, jakby pokrył je lodem wszechobecny mróz.

Wtedy sobie przypomniał. Było to tak nieoczekiwane, że aż zmarszczył czoło. Nie był pewien, czy jeszcze mu się uda poruszyć wargami, czy wydobędzie głos. Ale spróbował. Zabrzmiało to jak skrzypnięcie starych drzwi.

- Dusznice-siostrzyce...

Napiął kark i oderwał przymarznąłą brodę.

- ...mgielne dziewice, w piekle mnie słuchajcie...

Gwiazdy zgasły. Ogarnęła go ciemność, przed którą nie ma odwrotu. Pomyślał, że jeśli zaczerpnie oddechu, to jeszcze choćby na jedną chwilę odzyska wzrok. Zrobił straszliwy wysiłek, ale to, co wciągnął do płuc, nie było już podobne do powietrza. Szczęknęły mu zęby, zaczęły się drgawki. Rozchylił wargi, ale już nie usłyszał własnego głosu.

- ...z wiatrem przybywajcie.

W zimnym i ciemnym świecie ciszy coś się zaczęło dziać. Z dołu do góry płynął biały wąż. Skręcał się, przerywał, ale potem znowu scalał i płynął, płynął do nieba. Kiedy się zbliżył, czerń zaczęła przezierać przez jego ciało utkane z mgły. Wspiął się jeszcze wyżej, i jeszcze, wężowata smuga spłaszczyła się i zbiła w kłębiastą chmurę. Najpierw powoli, a potem coraz gęściej zaczął sypać się z niej biały lodowy deszcz.

Wojśław uśmiechnął się. To było ostatnie, co zobaczył.



## R O Z D Z I A Ł E X V I I

Kiedy ogień rozświetlił wysepkę, brzegi jeziora utonęły w mroku. Nad lasem wisiało szarawe niebo, ale niżej, gdzie szeleściły na wietrze rdzawiejące liście, nie było widać nic. Powierzchnia wody była gładka, nic nie mąciło czarnej toni.

Na samym środku wysepki rósł dąb. Nie był wysoki, ale bardzo rozłożysty. Baby obsiadły jego gruby pień, kładły dzieci między prującymi zbitą ziemię korzeniami. Nie było płaczu, nie było krzyków. Po kościach rozłaziło się ospałe zmęczenie po straszliwym biegu. W kupie było ciepło, głowy się kiwały.

Rudawka przycupnęła przy stosie zeschniętych trzcin. Dorzucała do ognia po trochu, kiedy jej się zdawało, że płomień maleje. Zsunęła z głowy chustę i zarzuciła na ramiona, bo od wody ciągnął po plecach chłód. Zapatrzyła się na czerwone iskierki. Nie chciało jej się nawet podnieść głowy, kiedy usłyszała kroki.

- Idź spać - burknęła pod nosem. - Póki mamy ogień, nic nam nie grozi.

- Takaś pewna?

Rudawka poznała zmęczony, ale po dawnemu twardy głos Żywuli. Kiedy kobieta zbliżyła się do ognia, dmuchnął wiatr i sypnął jej na kieckę garść iskier. Strzepnęła ręką w tych miejscach, w których się zatliło, i przykucnęła.

- Tak naprawdę to nie. Ale nie mamy niczego innego.

- Rudawka spojrzała na nią sennie, a potem zaniepokoiła się nagle, kiedy zobaczyła, że włosy Żywuli są pozlepiane krwią. - Co z Lestkami-Pestkami?

- Dobrze, śpią z innymi. - Żywula bezwiednie dotknęła zaskorupiałej

plamy. — A to nie od nich ani ode mnie. Chlusnęło gdzieś z przodu, ale nie patrzyłam.

Rudawka pokiwała głową, przygarbiła plecy.

- Jutro będzie sądny dzień, kiedy zaczniesz do bab docierać, co naprawdę się stało.

Duża świecąca kropla spłynęła Rudawce po policzku do kącika ust. Żywuła położyła dłoń na jej kolanie.

- Teraz ty jesteś między nami najważniejsza. No i nie masz dzieci. Nie wolno ci płakać, bo baby na ciebie patrzą.

- Ja nie płaczę. - Rudawka zlizwała kroplę i zmarszczyła czoło. - Idzie ulewa.

Na ciemnoszare niebo szybko napływały czarne, poszarpane chmurzyska. Wiatr targnął gałęziami dębu, zmarszczył powierzchnię wody. Najpierw z rzadka, a potem coraz gęściej na jeziorze zaczęły pękać bąble od uderzeń kropel deszczu. Las rozszemrał się w ciemnościach. Czerwone węgielki gasły z cichym sykiem.

- I co teraz? - Żywuła patrzyła gdzieś daleko, poza wodę, gdzie w miarę dogasania ognia wyłaniały się z nocy smukłe kształty drzew.

- Nie wiem. Do dnia chyba nie zostało zbyt wiele...

Wróciły biegiem, bo ulewa siekła już na całego. Gałęzie dębu o przeredzonych liściach nie dawały dobrej osłony. Woda przecedzała się coraz śmieiej, a w zagłębieniach między korzeniami tworzyły się błotniste kałuże. Kobiety otrząsały się z odrętwienia, rozbudzone dzieci zaczynały popłakiwać. Kiedy nagle na pół nieba rozpięła się pajęczyna błyskawicy, na jedną chwilę wyrwała z mroku białe, stężałe od strachu twarze.

- Bierzcie się wszystkie pod ręce! - Rudawka musiała głośno krzyżeć, żeby się przebić przez szum ulewy. - Dzieci między siebie!

Ruszyły się niezdarnie, pełzały dookoła pnia jak robaki spod uniesionego

kamienia. Potem znowu znieruchomiały, ale teraz ciaśniej zbite, splecione ramionami. Trwały w ciszy, zwrócone plecami do drzewa, a twarzami do nocy. Czekwały na to, co musi się wydarzyć.

Znowu błyskawica schłostała chmury Woda w jezioru przybrała gwałtownie, sięgając czarnej mazi, w którą zamieniło się ognisko. Tuż nad ziemią unosiły się rozpylone drobinki wody z rozbryzgujących się kropeł.

- Boimy się nie wiadomo czego, a po prostu się potopimy! - krzyknęła Żywuła w ucho Rudawce. Posadziła sobie Lestka na jednym kolanie, a Pestka na drugim i przycisnęła ich do siebie.

- To by było za dobrze! - Rudawka pokazała wyciągniętym palcem w niebo. - Tam!

Wysoko, pod samymi chmurami przesuwały się szybko czarne kropki. Kiedy rozpałała się błyskawica, zdawało się, że gwałtownie rosną.

- Co to za ptaszyska latają w taką noc?

- Strzygi! - Z palca Rudawki skapywała woda. - Znalazły nas.

Były coraz bliżej, zniżały lot. Wielkie błoniaste skrzydła nierówno tłukły powietrze. Ostre piski odbijały się od ziemi i wracały pod spękane na czerwono niebo. Jeszcze chwila, a przestrzeń nad wysepką wypełniła się ogłuszającym furkotem.

- Siedzieć, baby! Trzymać się! - wrzasnęła Rudawka.

Strzygi skłębiły się nad dębem. Musiało ich być bardzo dużo, bo łopot skrzydeł poruszał gałęziami. Ich głosy zlały się w jeden przeraźliwy pisk, który wciskał się do głowy pomimo dłoni przyciśniętych do uszu. Dzieci wpychały się za plecy matek, próbowały chować się pod ich kiecki. Rudawka podniosła głos, żeby wszystkie ją usłyszały.

- Słuchajcie! Póki będziecie siedziały bez ruchu, one was nie zobaczą! Ale która drgnie, ta umrze.

Baby wcisnęły głowy w ramiona i przygniotły dzieci do pnia dębu

własnymi plecami. Chlipały głośno, jęczały, ale nie ruszały się. Skrzydła przesłoniły niebo i nawałnica zelżała. Kiedy mlasnęło błoto pod pierwszą strzygą, zrobiło się prawie całkiem cicho. Osiadały miękko jedna po drugiej, składały skrzydła i prostowały się bez pośpiechu. Rudawka usłyszała, jak Żywula głośno przełyka ślinę.

- Nie ruszaj się! - szepnęła. - Trzymaj małych i nie ruszaj się, choćby waliło się niebo!

W mroku niewiele było widać, tylko same czarne kształty. Były chude i nieduże. Złożone skrzydła sterczały im po obu stronach głowy, ostro zakończone uszy poruszały się niespokojnie. Kiwały się na krótkich nóżkach, bez ładu dreptały dookoła dębą kaczym krokiem. Ale cały czas zacieśniały krąg. Deszcz ustał. Było słycać, jak skrzydła skrzypiąc ocierają im się o boki.

Stały długo, jakby na coś czekały. A potem jedna z nich nagle zakiwała się z boku na bok i ruszyła do przodu.

- Jezu, idzie na mnie! - Mięsień w ramieniu Żywuli stwardniał i zastygł w napięciu. Rudawka odezwała się cicho, wyraźnie oddzielając słowo od słowa:

- Nic się nie stanie, jeśli tylko się nie ruszysz.

Strzyga podeszła jeszcze bliżej. Zatrzymała się dopiero między stopami wyciągniętych nóg Żywuli. Lekko rozłożyła skrzydła i wysunęła do przodu łeb. Nastroszyła uszy. Z mroku wyłoniły się okrągłe, pozbawione powiek ślepia.

Nie wytrzymała Trzemcha, podciągnęła do siebie nogi. W tej samej chwili strzyga zacisnęła łapy na jej łydce i wbiła pazury aż do kości. Krótkimi zrywami wywlekła wrzeszczącą babę spod drzewa, ale ona ciągle była zaczepiona z Żywulą pod łokieć. Przewróciła się na brzuch i drapiąc palcami wolnej ręki mokrą ziemię, zawyła przeraźliwie:

- Żywula, trzymaj mnie!

Rudawka mocniej ścisnęła jej ramię, powolutku odwróciła do niej głowę.

- Nie możesz jej pomóc. Puszczaj.

Żywula coraz bardziej wychylała się do przodu. Nie odrywała oczu od twarzy Trzemchy. Kiedy strzyga szarpnęła mocniej, Żywula poczuła w barku rwący ból. Załkała. Głos Rudawki z trudem przebijał się do jej głowy.

- Puszczaj! Albo ona, albo Lestek.

Otrzeźwiała gwałtownie. Poczuła, jak Lestek powoli wysuwa się spod jej pachy. Spojrzała jeszcze raz w oczy Trzemchy, a potem zacisnęła powieki i szarpnęła się w tył. Uderzyła plecami o drzewo, ale nie puściła Lestka.

Kiedy wrzask Trzemchy rozdarł noc, kobietom uwięzły oddechy. Potem krzyk zmieszał się z głośnym biciem skrzydeł, a kiedy Żywula znowu otworzyła oczy, z wolna milkł gdzieś nad czubami drzew.



Te, które ze strachu straciły przytomność na samym początku, miały najlepiej. Ominął je nie kończący się, nadludzki wysiłek zastygłego trwania, pełen nierównych oddechów i drażniącego zapachu potu. Różnie sobie radziły. Jedne zamykały oczy i próbowały nie myśleć o niczym. Poddawały się otępieniu, które przytłumiało strach. Ale to mogło też być zgubne, bo zawsze mógł przydarzyć się bezwiedny ruch ręką albo nogą, jak we śnie. Inne, zwłaszcza te z dziećmi, nie pozwalały sobie nawet na jedną chwilę rozluźnienia. Siedziały sztywne, z napiętą uwagą, ze słuchem wyostrzonym na najmniejszy szelest. Gotowe przydusić własnym ciałem każde dziecko, które zacznie wierzgać z niewygody.

Po tym, jak krzyk Trzemchy wsiąknął w noc, długo trwała cisza. Ciemne koło strzyg zwęziło się jeszcze trochę i znieruchomiło. Czasem przelewało się zza chmur światło księżyca i wtedy wyłaniała się z mroku guzowata, ptasia łapa albo zagięty jak u orła dziób. Kiedy się zdarzyło, że błysnęły ślepie, wtedy nawet najwytrwalsze spośród bab zaciskały powieki. Tak

przeszedł jakiś czas, a potem strzygi nagle się ruszyły. Zaczęły wolno przechadzać się dookoła drzewa, wyciągając przed siebie łapy o rozcapierzonych palcach i kiwając łbami. Wydawało się, że w ogóle przestały zwracać uwagę na to, co dzieje się między korzeniami. Ale to było tylko złudzenie.

Trzymane tak długo bez ruchu mięśnie coraz częściej odmawiały posłuszeństwa. Zaczęły się przykurcze. Oddechy zgęstniały, w zdrętwiałych kończynach coraz dokuczliwiej odzywał się ból. Strzygi zwalniały kroku, przystawały. Zaglądały babom w twarze. Gdzieś zaczęło płakać dziecko, prawie natychmiast zawtórowało mu inne. Te najmłodsze jeszcze nie umiały bać się prawdziwym, dorosłym przerażeniem, które owiewa serce zimnym smrodem śmierci i pozwala opierać się własnemu zmęczeniu. Nie. One tylko chciały, żeby wreszcie coś się stało, co zburzy bezruch. Pierwszy płacz umilkł bardzo szybko, matce udało się jakoś powstrzymać ten głośny przypływ żalu. Ale drugi tym bardziej się wzmógł, kiedy został sam. Wiercił w głowach, szarpał serca. Wznosił się wyżej i wyżej, aż przemienił się w jakieś chore, urywane wycie, które nie było już podobne do głosu niemowlęcia.

Któraś zerwała się na nogi. Podniosła dziecko nad głowę i potrząsnęła nim kilka razy, jakby chciała, żeby coś w nim pękło w środku. Zamilkło, ale tylko na krótką chwilę, w czasie której cisza była tak głęboka, że prawie odurzała. Kiedy dziecko wrzasnęło znowu, zdawało się, że jego małe płuca nie wytrzymają tego. Matka przycisnęła je do piersi i rozejrzała się szybko, szukając jakiejś wyrwy między czarnymi cieniami strzyg. Nic więcej nie zdążyła zrobić. Dwie strzygi równocześnie uderzyły skrzydłami i wbiły w nią szpony z obu stron. Kiedy odlatywały, każda z nich unosiła swoją część łupu.

Ale płacz ciągle nie milknął. Baby patrzyły, jak dziecko odwraca się na brzuch, nieporadnie dźwigając główkę. Łykały łyzy. Strzygi jeszcze go nie dostrzegły, bo było za nisko i ruszało się zbyt ślamazarnie.

- Trzeba coś zrobić! - Rudawka ocknęła się dopiero na głos Żywuli, która

wbijając jej paznokcie w ramię. - Za chwilę będzie po nim!

Rudawka ruchem samych oczu przeniosła wzrok z dziecka na Żywulę. Główki Lestka i Pestka sterczały jej pod pachami i świeciły białkami oczu.

- Myśl o swoich! - Nie poznawała własnego głosu. - Myśl tylko o nich!

- Nie mogę tak! To teraz jest sierotka. Żeby tak jakoś go przyciągnąć...

- Czekaj. - Rudawka przygryzła wargi, a potem bardzo powoli obróciła głowę i spojrzała prosto na dziecko. - Ja pójdę. Ty masz dla kogo żyć.

Twarz Żywuli ginęła w mroku, ale Rudawka mogła sobie wyobrazić, jak od krzyku dziecka puchną jej powieki.

- Ale bez ciebie baby nie poradzą sobie w lesie!

- Mnie też taką znaleźliście, pamiętasz? - Rudawka szybko napinała i rozluźniała mięśnie łydek, żeby przegnać drętwołę. - Pójdę.

Miała bardzo niewiele czasu. Strzygi stały się teraz czujniejsze, z ciemności dochodziły ich niespokojne popiskiwanie. Rudawka wstrzymała oddech i podciągnęła nogi pod siebie. Krzywe pazury zachręściły na kamieniach bardzo blisko niej. Czekala, ale nic się nie stało. Powoli położyła rękę na ziemi, namacała jakiś kamień i zwarła na nim pięść. Blisko, bliźniętko, z suchym trzaskiem zamknął się dziób. Spróbowała zrobić trzy długie, spokojne oddechy, a potem ostrożnie rozruszała kamień i wygrzebała go z ziemi.

- No, wrony! Łapcie.

Rzuciła kamień prawie bez zamachu i w tej samej chwili skoczyła w bok, przylegając do ziemi. W ciemności rozjątrzyło się krótkie, gwałtowne zamieszanie, uderzył dziób i o pień drzewa zastukały kawałki rozłupanego kamienia. Przeciągły, gniewny skrzek jeszcze bardziej przypłaszczyl Rudawkę do mokrej podściółki z liści. Ale płacz dziecka nie pozwolił jej na trwanie w tym bezpiecznym przyczajeniu. Wyciągnęła przed siebie ręce najciszej, jak umiała, i nie podnosząc głowy, zaczęła pełznąć przez noc.

Miała nadzieję, że póki nie będzie musiała wstać, strzygi jej nie znajdą. Z ulgą zobaczyła, że chmury znowu zakrywają księżyc. Szeroko rozstawiła palce obu dłoni i dokładnie sprawdzała drogę przed sobą. Przesuwała się tak wolno, że prawie nie poruszała nogami. Pomyślała, że gdyby trzeba było, mogłaby pełznąć tylko samymi skurczami mięśni brzucha, jak wąż.

Natrafiała palcami na jakąś większą gałązkę. Spróbowała ją przesunąć, ale ona trzymała się ziemi, jakby była wrośnięta. Leciutko podniosła głowę, żeby trochę zwiększyć pole widzenia. Chwilę trwało, zanim różne odcienie czerni zlały się w jeden kształt. Pojęła, że ma przed sobą stopę strzygi, i gorąco uderzyło jej do głowy. Trzy palce rozchodziły się w trzy strony jak korzenie młodego drzewka.

To, że aż dotąd w jej kark nie wbiły się szpony, dawało jakąś małą nadzieję. Strzyga musiała ją zobaczyć, ale może była zbyt zaskoczona jej śmiałością, żeby uderzyć od razu. A może chciała się upewnić, z czym ma do czynienia, i czekała na jeszcze jeden, jedyny ruch. Ale Rudawka nie zrobiła tego ruchu. Usztywniła kark, żeby podtrzymywać głowę ciągle na tej samej wysokości, nie pozwoliła sobie nawet na drgnienie małego palca. Czują na sobie stęzały, bezmyślny wzrok. Powstrzymywała się od mrugania powiekami i oczy zaczęły jej łzawić. Łapa podniosła się, zostawiając odcisnięty w ściółce trójpalczasty ślad.

Rudawka skupiła całą uwagę na utrzymywaniu głowy nieruchomo. Kiedy do jej świadomości dotarło zamieszanie powstałe wśród strzyg, ich piski prawie już zagłuszały krzyk niemowlęcia. Trzepotały skrzydła, wirowały poderwane pazurami liście. Nie było czasu na myślenie. Rudawka podniosła się na rękach i jak kot skoczyła w ciemność. Kiedy się czołgała, odległość od dziecka wydawała jej się ogromna. Teraz były to tylko dwa rozciągnięte, przyczajone kroki. Podniosła go za koszulinę na grzbiecie i przycisnęła do siebie, chowając jego główkę w zagłębieniu swojej szyi. Wyprostowała się i ze zdumienia otworzyła usta.

Strzygi odlatywały. Jedna po drugiej rozkładały skrzydła, zagarniały pod



siebie powietrze krótkimi uderzeniami i podkurczając łapy, unosiły się w mrok. Ich piski długo jeszcze tłukły się między niebem a lasem, ale na wysepce zostało po nich tylko kilka mokrych piór.

- Cicho! - Rudawka pogładziła palcami meszek na głowie niemowlęcia, które wyczerpane zasypiało jej na ramieniu. - Cicho, baby!

Podniosła oczy i spojrzała na niebo, w przeciwną stronę niż ta, w której zniknęły strzygi. Gwiazd nie było wiele, ale i tak można było dostrzec, jak gasną i zapalają się znowu, kiedy na ich tle przemykał jakiś wydłużony kształt. Mknął prawie w ciszy, najwyżej z leciutkim szumem, jaki wydaje wiatr poruszający źdźbłami traw. Zbliżał się, rósł w oczach. Baby też go zobaczyły i wszystkie naraz podniosły wrzask.

- To nie strzyga! - Rudawka wyciągała szyję, żeby nie krzyczeć dziecku do ucha. - Nie bójcie się!

Szybko uczyły się pokładać w niej wiarę. Ucichły i zgarniając wokół siebie dzieci, zadzierały głowy.

Cokolwiek leciało pod nocnymi chmurami, wyraźnie zataczało wielkie, ale z każdym nawrotem zmniejszające się koła, z wysepką jako środkiem. Było coraz niżej, coraz bliżej. W końcu, żeby nadążyć za nim wzrokiem, trzeba było okręcać się na pięcie. Leciało wolniej niż przedtem, ale i tak wzbudzało ruch powietrza, który podnosił kobietom brzegi kiecek. Kręgi skurczyły się do rozmiarów wysepki, a po chwili ciemna, zgrubiała na środku krecha zawisała nad wierzchołkiem drzewa. Trwała przez chwilę w chwiejnym zawieszeniu, po czym runęła w dół. Trzaskały połamane gałęzie, liście oddawały nadmiar wody. Baby odskakiwały od pnia drzewa, oglądając się za siebie z niepokojem.

Ale na ziemię spadł tylko zwyczajny kijaszek.



- Kilka czarnych i jedna siwa. - Kościuch podniósł w górę worek, w którym trzepotało coś żywego.

- Siwa się nie przyda, wypuść ją. - Lubicha wybrała drzewo o szerokim pniu i wyciągnęła rękę do Kościucha.

- Dawaj tu jedną czarną!

Wrona o jasnych piórach z wrzaskiem wystrzeliła ponad wierzchołki drzew. Kościuch zanurzył w worze rękę aż po łokieć.

- Tną jak diabli! - skrzywił się. - O, mam!

Wiedźma wprawnym ruchem odchyliła wroni łebek do tyłu i chwyciła ją tak, że ptak nie mógł dziobem dosięgnąć jej palców. Przycisnęła go grzbietem do pnia i drugą ręką rozłożyła czarne skrzydło.

- Dobra. Wal.

Kościuch przyłożył do skrzydła ostry drewniany kołek. Zważył w ręce ciężki kamień, przymknął jedno oko i uderzył. Wrona zakrakała przesywająco. Próbowwała się szarpać, ale kołek trzymał mocno. Kiedy wiedźma rozłożyła drugie skrzydło, ochrypły ptasi wrzask jeszcze przybrał na sile.

- Przybij!

Odeszli dwa kroki w tył. W milczeniu patrzyli na wronę, która bezradnie uderzała ogonem w korę. W jej rozwartym dziobie drgał malutki, czerwony jęczyzek.

- Ukręciłbym jej chociaż szyję! - mruknął Kościuch. - Przynajmniej by tak nie krakała.

- Tak jest dobrze. Poprzybijaj resztę dookoła wzgórza, w równych odstępach. I ostrożnie, bo one muszą żyć. Niech kraczą jak najgłośniej, aż do samego rana. Dzięki nim może przeżyjemy następną noc.

Kiedy wracała, minęła drużynę siedzącą w cieniu lasu z powieszanymi głowami. Woje bali się podchodzić do Wojsława. I wcale nie chodziło o to,

że widzieli, jak był nad chmurami i potem wrócił żywy. Ostatnio wydarzyło się zbyt wiele niepojętych rzeczy, żeby dziwić się zbyt długo czemukolwiek. O wiele mocniej powstrzymywało ich to, że grodzierzca walił pięściami na oślepa w każdą gębę, która mu się nawinęła. Leżał pod sosną, gdzie go zostawili, patrzył na swoje nieruchome, jak z drewna, nogi i ryczał z wściekłości. Woje go unikali, ale rozumieli. Co to za chłop, którego trzeba nosić? To już lepiej by dla niego było, gdyby roztrzaskał łeb o gałęzie tamtego dębu, na wysepce.

Ale nie roztrzaskał. Rudawka z babami jakoś zwlekły go na ziemię, chociaż myślały, że już nie oddycha. Był taki zmrożony, że kiedy podnosiły mu głowę, żeby wlać do gardła trochę piwa, od szyi odpryskiwały mu kawałki lodowej powłoki. Własnymi oddechami ogrzały mu twarz, a kiedy odtajała, Rudawka odchyliła mu powieki i zajrzała w źrenice. Wstawał dzień. Powoli, kropelka po kropelce, do zmętniałych oczu Wojsława zaczęło wracać życie.

Potem któraś z bab zawołała, że od lasu idzie Lubicha, i zapomniały o nim na dłuższy czas.

Za wiedźmą noga za nogą wlokła się przetrzebiona drużyna, a na końcu rybacy. Kołysali się całkiem tak samo, jakby wracali po połowie od pomostu do wioski, ale twarze mieli inne. Baby nie czekały, aż przebrną przez staw, tylko płacząc wbiegały w wodę i wieszały się chłopom na szyjach. Która nie znalazła swojego, ta miotała się przez jakiś czas od człowieka do człowieka, ciągnąc za rękawy i zaglądając w twarze, a potem wracała na wysepkę na sztywnych nogach, z szeroko otwartymi oczami. I tyle tylko było radości i rozpacz, bo wiedźma kazała odszukać w trzcinach swój kijaszek i już pędziła ludzi dalej. Woje wzięli Wojsława na barki, nie wiedząc nawet, czy niosą trupa, czy żywego. Szli przez wodę, a potem przez las, unikając szerszych drózek i przeskakując strumienie. Coraz dalej i dalej od morza, prosto w nieznaną głusz.

Pierwsze zaczęły szemrać baby, jak zwykle. Poszeptały na boku, a potem

pchnęły Rudawkę do przodu, do Lubichy. Kiedy wiedźma zobaczyła jej cień koło siebie, kiwnęła na nią głową, żeby się zbliżyła.

- Dobrze sobie poradziłaś - powiedziała, kiedy Rudawka zrównała z nią krok. - Kiedyś będzie z ciebie wiedźma, że hej.

Rudawka lekko poczerwieniała, ale nie uśmiechnęła się. Poprawiła Gniotka, który spał w chuście na jej plecach.

- Baby chcą wiedzieć, dokąd idziemy.

- Baby? - Lubicha potknęła się, kijaszek stuknął mocniej. - A może ty?

- Ja też.

Chłód, jaki legł między nimi, był czymś nowym. Żadnej z nich się to nie spodobało, ale też żadna nie zrobiła nic, żeby to przemóc.

- Jak dojdziemy, to zobaczycie.

Na przewężeniu ścieżki Rudawka puściła wiedźmę przodem, a potem już do niej nie dołączyła. Niby trochę zamarudziła przy Gniotku, który zaczął popiskiwać przez sen, ale tak naprawdę czekała tylko na to, aż kobiety nadejdą, żeby schować się wśród nich.

Bezdrzewny, trawiasty wierzchołek wzgórza wystawał nad lasem jak wyspa otoczona morzem. Między kamieniami szemrało źródło, a kręty warkocz wody unosił na dół suche liście. Słońce grzało teraz mocniej z czystego nieba, jakby na przekór wspomnieniom po ostatniej nocy.

Rybacy bez słowa rozleźli się po wzgórzu, żeby łamać gałęzie na szałas, baby siadały nad strumieniem i zanurzały poodgniatane stopy w zimnej wodzie. Woje złożyli grodzierzcę pod sosną, pokręcili się trochę markotnie, a potem obsiedli go dookoła jak szczeniaki śpiącą sukę. Patrzyli na rybaków kłęczących szałas i milczeli. Nie zauważyli, kiedy Wojsław otworzył oczy. Ale kiedy pierwszy z nich poleciał na plecy z krwawiącym nosem, zerwali się jak stadko spłoszonych wróbli.

- Co to ma być? Babiniec czy drużyna? - odezwał się Wojsław twardym,

pewnym głosem, jakby właśnie obudził się z krótkiej drzemki. - Pomóżcie mi wstać.

Dwaj zrzucili szyszaki i przewiesili sobie jego grube ramiona przez karki. Dźwignęli go, stękając, zaparli się na szeroko rozstawionych nogach.

- Puście.

Poleciał do tyłu, z rozrzuconymi rękami i ustami otwartymi ze zdumienia. Podniósł się na łokciach i przyjrzał swoim nogom. Im dłużej patrzył, tym bardziej szarzał na twarzy.

- Jeszcze raz.

Tym razem woje najpierw spojrzeli po sobie, a dopiero potem podeszli. Kiedy go podnosili, trzeci stanął z tyłu. Wybałuszył z wysiłku oczy, kiedy grodzierzca całym ciężarem opadł na jego rękę. Położył go ostrożnie na trawie, ale nie zdołał już uskoczyć przed ciosem między oczy.

- Precz!

Więcej nie wchodzili w zasięg jego pięści. Rozumieli, że człowiek nie staje się z woja kaleką w jednej chwili, że trzeba na to czasu. Może dnia, może roku. A może i całego życia będzie za mało. Co do jednego się zgadzali, poszeptując w gromadzie: póki może bić, póty jest grodzierzcą.

Kiedy cień kijaszka Lubichy położył się na jego piersi, wszyscy się uciszyli i popodnosili głowy. Czekali, że chwyci za nóż. Ale Wojsław tylko ruszył wąsami do góry i na dół, a potem zaczął skręcać w palcach pojedyncze źdźbła trawy.

- Nie śpieszyło ci się do mnie - zawarczał.

- Nie wołałeś mnie.

- A, to tak! - Spojrzał prosto na nią. - Zrobiłem swoje, to teraz mam tu sobie zdechnąć po cichu?

- Ty wcale nie umierasz. Ale żeby odzyskać siły, musisz jeść. - Przywołała ręką Kościucha, który przyniósł przypalony placek. - Twoja złość niczemu

nie zaradzi.

- Myślisz, że to było łatwe? - Pstryknął palcami. - Tak mnie tam w górze przemroziło, że ledwo przypomniałem sobie zakłęcie. Wypowiedziałem je w ostatniej chwili.

- Przecież to było tylko... - Kościuch przerwał w pół słowa, kiedy wiedźma podsunęła mu pod nos kijaszek. - No co?

- To jest teraz zwykły patyk i nie mogę cię nim zamienić w ropuchę. Ale zawsze mogę poszczerbić ci łeb, jeśli nie przestaniesz mleć ozorem!

Kościuch położył Wojsławowi placek na piersi i odszedł, mamrocząc przekleństwa i wymachując rękami. Grododzierzca patrzył za nim, póki nie zniknął między drzewami.

- Co on chciał powiedzieć?

Wiedźma postępując usiadła ostrożnie koło niego. Trzęsącymi się palcami oderwała kawałek placka i wetknęła mu do ręki.

- Pewnie coś głupiego, jak zwykle. Nieważne. - Przetarła wilgotne oczy. - Ja dobrze wiem, że to nie było łatwe. Wszyscy wiedzą. Tyle ci powiem, że udało ci się mnie zadziwić, a to nie jest częste w moim wieku. Nie każdy przeżyłby spotkanie ze strzygą, i to w powietrzu, w jej własnym żywiole.

- Co to ma być? - Nagryzł placek i zaczął go powoli żuć. - Pocieszasz mnie?

- Zapominasz, że jestem wiedźmą. Takim jak ja nie wolno kłamać.

Wojsław obrócił głowę i wypluł kęs placka na trawę.

- Nigdy?

- Nigdy.

- No to odpowiedz na jeszcze jedno pytanie. - Pod cienką powłoką obojętności w jego oczach wrzała niepewność. - Będę chodził?

Lubicha od samego początku rozmowy czekała na to pytanie. Po to do niego podeszła, żeby mógł poznać odpowiedź. Ale i tak musiała jeszcze raz

poszukać w sobie odwagi, zanim to powiedziała.

- Nie.

## R O Z D Z I A Ł X V I I I

Ludzie siedzieli w ciemności, a między nimi snuł się gorzki zapach strachu. Wstrzymywali oddechy, szeroko otwierali oczy i czekali. Krakanie okaleczonych wron chwilami słabło, a wtedy w lesie, poza czerwonym kręgiem ognia, coś zaczynało się dziać. Tu trzasnęła gałązka, tam coś otarło się o pień. Czasem wzmagął się wiatr, ale nawet jego szum wkłuwał się do uszu trwogą. Brzmiał jak daleki szept, a może tylko jak westchnienie. Wysoko na niebie półkolistą kresczka księżycy jarzyła się blado, jakby zaraz miała zgasnąć.

Lubicha krążyła wokół ognia jak ogromna cicha ćma. Dorzucała dREW, dźgała rozpalone główne kijaszkiem, a czerwone iskry opadały jej na włosy, osnuwając skronie wianuszkami dymu. Potem odchodziła tak daleko, jak się dało, aż do miejsca, gdzie zlewało się rozedrgane światło z napierającym mrokiem. Przystawała, opierała się na kijaszku i nasłuchiwała. Wydawało się, że jeśli zrobi jeszcze jeden krok naprzód, to smolisty cień wchłonie ją i już nie wypuści. Szelesty milkły, las przyczajał się do skoku. Ale wiedźma nie wysunęła stopy nawet o paznokieć dalej, niż mogła. Spluwała w krzaki, wracała i podsycala ognisko.

Była w pół drogi między ogniem a skrajem lasu, kiedy nagle na jej kostce zacisnęły się czyjeś palce. Podniosła kijaszek, ale zanim uderzyła, spojrzała w dół.

- Masz szczęście, że jeszcze całkiem nie oślepiłam! - burknęła. - Byłabym ci przetrąciła rękę.

Podawała mu koniec kijaszka. Wojsław podciągnął się i usiadł. Wąsy miał oblepione błotem, a twarz mokrą od rosy.



- A bo niby jesteś taka stara, a biegasz jak kot z pęcherzem! Musiałem cię jakoś zatrzymać.

- Mogłeś zawołać.

- Nie chciałem, żeby ludzie słyszeli.

Na ile miała sił, pomogła mu podczołgać się kawałek dalej, gdzie leżał wilgotny, próchniejący pień. W zagłębieniu pod nim stała zatechła woda. Wojsław oparł się plecami o drzewo i z ulgą położył dłonie na nieruchomych kolanach. Spod połamanych paznokci sączyła się krew.

- No to mów! - Lubicha pochyliła się nad nim. - Ciekawa jestem, grododzierzco, jaka tajemnica była warta takich wysiłków.

Wojsław przymknął oczy, pierś unosiła mu się w spokojnym oddechu.

- Nie jestem już grododzierzcą, tylko kaleką. Ale nie o to chodzi. - Podniósł dłoń, chociaż oczy miał ciągle zamknięte. - Chcę ci pomóc.

Ludzie siedzący przy ogniu zauważyli ich rozmowę i rzucali na nich niespokojne spojrzenia. Byli wyczerpani z sił i z nadziei. Wola życia ciągle jeszcze tliła się w ich oczach, ale za słabo, żeby ich popchnąć do czynu.

- Doceniam to, ale tej nocy nic nie możesz zrobić. - Lubicha prześlizgnęła się wzrokiem po jego nogach i szybko dodała: - Nikt nie może.

Wojsław albo jej nie słyszał, albo wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Mówił dalej tak, jakby coś tłumaczył upartemu dziecku.

- Masz dość drewna, żeby do świtu utrzymać duży ogień. Wszystko, co ma oczy, będzie trzymało się w cieniu. Kazałaś poprzybijać wrony. Jeśli nie zdechną przed wschodem słońca, to odstraszą swoim krzykiem wszystko, co ma uszy.

- Gdybyś był początkującą wiedźmą, to bym cię pochwaliła. Ale nie jesteś. A ja zbyt wiele w życiu widziałam, żebyś mógł mi powiedzieć coś, czego nie wiem.

- Nie? No to popatrz na to.

Woda w zagłębieniu pod pniem była czarna. Mrugające w niej kropeczki gwiazd zatańczyły, kiedy przez powierzchnię przebiegły małe zmarszczki.

- Wieje wiatr. - Lubicha zmąciła wodę kijaszkiem. - I co z tego?

- To nie wiatr. To drży ziemia.

Wiedźma powoli wstała. Poczekała, aż woda znowu się ustoi, a potem przygarbiła się nad nią. Kiedy podniosła głowę, w jej źrenicach odbijał się blask ogniska.

- Mów.

Wojśław oparł się wygodniej i założył dłonie za kark.

- To się dzieje od dłuższego czasu, od kiedy zaszło słońce. Idzie od samych trzewi ziemi. Czasem milknie, ale na krótko. Potem odzywa się jeszcze głośniej. Jakby... Jakby coś przegryzało się przez ziemię w naszą stronę.

Lubicha milczała. Nie musiała już patrzeć na kałużę. Czuła to pod stopami, czuła pod palcami zaciśniętymi na kijaszku.

- Nie wiem, co to jest. - Wojśław nie patrzył na nią. - I nawet nie chcę się domyślać. Ale jeśli to żyje pod ziemią, to na pewno nie ma ani oczu, ani uszu. Twój ogień i twoje ptaszyska nic tu nie pomogą. Wpędziłaś nas we wnyki, stara wierzbo. Stąd nie ma ucieczki.

- Gliździec - głos wiedźmy zaszeleścił jak zeschła trawa. - To jest gliździec.

- Przez całe życie biłem się z ludźmi i nie było mi z tym źle. A teraz, na koniec, muszę poznać cały ten twój wiedźmowy zwierzyniec. Tfu! Psi los.

Wiedźma zrobiła kilka drobnych kroków w stronę ognia. Potknęła się, przystanąła. Kiedy odwróciła się do Wojśława, szurając nogami, w brzdach koło jej nosa zalegała czern.

- Gliździec. Starszy niż ludzie. Starszy niż drzewa i kamienie. Odwieczny. Od tysięcy, tysięcy lat żaden z nich nie pchał się na powierzchnię. - Kostki jej

dłoni zaciśniętej na kijaszku stały się białe. - Nie wiem, jak się przed nim bronić.

Jeszcze raz przyjrzała się uważnie grodzierzcy, jakby dostrzegła w nim coś, czego nie знаła.

- Mówiłeś, że... możesz pomóc.

- A ty mówiłaś, że nie potrzebujesz pomocy. - W pełgającym świetle twarz grodzierzcy wydawała się nieruchoma. - Cóż, nie dziwię ci się. W końcu teraz jestem tylko gadającą kupą tłuszczu.

- Przedtem nią byłeś. - Lubicha wróciła i trąciła go kijaszkiem w bok. - Ale teraz możesz stać się kimś więcej, po raz pierwszy w twoim życiu.

- I ostatni. - Wojśław uśmiechnął się prawie wesoło.

Po chwili ciszy podziemne drzenie powtórzyło się, tym razem o wiele mocniej. Kilka grudek żaru wytoczyło się z ognia i zakopciło na mokrej trawie. Wśród rybaków podniosły się zaniepokojone głosy.

- Gadaj! - ponagliła wiedźma.

- Słyszałaś kiedyś, jak szewczyk Skuba pokonał smoka?

Gwiazdy w kałuży rozpięchły się jak spłoszony rój świecących muszek. Głuchy chrobot zbliżał się ciągle, cierpliwie i nieubłagane. Woje powyciągali miecze i przytupując w miejscu, oglądali się na grodzierzcę.

- Nie masz owcy. Nie masz siarki. - Lubicha kolejno rozprostowała dwa palce. - No i to nie jest smok, tylko coś o wiele groźniejszego.

- Chodzi o zasadę. Jak nie można walczyć, wtedy trzeba chytać się podstępem.

Wiedźma wciągnęła dolną wargę między gołe dziąsła. Przymknęła w zamyśleniu oczy, a kiedy znowu je otworzyła, pokręciła głową.

- Nie. Jeśli myślisz, że mógłbyś... Nie, nie mogę na to pozwolić.

Wojśław wyszarpnął ręce spod głowy i usiadł wyprostowany.

- Posłuchaj, jędzo! Ja cię nie pytam o zgodę. I tak to zrobię. Książę

powierzył mi pieczę nad tymi kmiotami i twoje marudzenie tego nie zmieni. Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że kiedy ja... że potem zostaniesz sama i cała odpowiedzialność spadnie na ciebie. Nie chciałem cię zaskakiwać.

Grododzierzca zdał sobie sprawę z tego, że krzyczy, a rybacy z otwartymi ustami słuchają każdego jego słowa. Przerwał, wysapał złość i skończył ciszej:

- To przez ciebie mam przetrącone kulasy. Jak już to wszystko się skończy, chciałbym, żeby moja drużyna nie musiała się czerwienić na wspomnienie o mnie. Pomóż mi w tym.

Drzenie było teraz tak silne, że z drzew zaczęły spływać liście. Ucichły wszystkie inne głosy w ciemności, jakby cały las zamarł w oczekiwaniu. Ognisko zaczęło się rozsypywać, strzelając wysoko snopami iskier.

Lubicha stuknęła kijaszkiem.

- No, grododzierzco. Nie masz wiele czasu.



Woje położyli koło ognia tarczę, wklęsłą stroną do góry. Najpierw nasypali do środka grubą warstwę popiołu, a potem zaczęli wygarniać z płomieni czerwone węgielki. Chwyтали je dłońmi owiniętymi w szmaty i rzucali na tarczę. Wypełnili ją żarem prawie po brzegi, znowu przesypali popiołem i przyłożyli drugą tarczą. Na koniec całość mocno powiązali rzemieniami, tak, że brzegi tarcz ściśle do siebie przylegały. Kiedy skończyli, Wojsław odprawił ich ruchem ręki. Została tylko Lubicha, milcząca, posępna i jeszcze starsza niż zwykle.

Dreszcz rozpruwanej ziemi objawiał się teraz nie tylko swędzeniem pięt, ale zaczynał być słyszalny Brzmiał jak daleki pomruk zbierającej się burzy albo jak kamienna lawina schodząca gdzieś w odległych górach. Rybacy

podnosili się jeden po drugim i stawali na rozkraczonych nogach, jakby bezwiedne przeczucie wyostrzone przez lata spędzone na morzu mówiło im, że niedługo ziemia wzburzy się pod nogami. Baby piszczały i rwały się do biegu, ale zatrzymywały się przed czarną ścianą lasu, a potem wracały, narzucając chusty na głowy i zbierając dzieci do kupy roztrzęsionymi rękami.

Wojśław leżał w trawie na brzuchu. Przytulił policzek do ziemi, a drugie ucho przycisnął palcem. Pod zamkniętymi powiekami oczy skakały mu w lewo i w prawo, jakby rozglądał się w ciemności.

- Musi być ogromny! - Na chwilę odetkał ucho i spojrzał na Lubichę, która garbiła się nad nim. - Na czym się tak spał tam na dole?

- Nie wiem, synku. Ludzie mówią, że gdzieś pod ziemią jest piekło. Może dostaje na żer potępieńców?

Wojśław spotkał się z nią oczami, ale nie trwało to długo. Przyłożył dłonie płasko do ziemi i znowu zaczął nasłuchiwać.

- Dobra! - mruknął. - Idź już. Kiedy wylezie na powierzchnię, ty pilnuj, żeby ludzie trzymali się z daleka.

Wiedźma pokiwała głową, ale nie odeszła od razu. Zamamlała nad nim wargami, odchrząknęła.

- Grododzierzco...

- Cicho! - skrzywił się Wojśław. - I tak nie wiesz, co teraz trzeba powiedzieć. Ja też nie. Po prostu idź i zajmij się tym, co masz do zrobienia.

Rozszlochane baby wyciągały do niej ręce, kiedy się zbliżała. Woje stali z boku, patrząc spod opuszczonych głów na grododzierzcię. Wysłuchali w milczeniu, co Lubicha miała im do powiedzenia, a potem pospuszczali głowy jeszcze niżej.

Po zachodniej stronie wzgórza zaczęły chwiać się drzewa. Nie tak, jak na wietrze, ale jakby jakieś wielkie łapy chwytaly jedno po drugim za korzenie i wściekle szarpały.

O ziemię zastukał deszcz szyszek, połamanych gałęzi i ptasich gniazd. Potem była cisza, kiedy syczały tylko płomyczki z rozsypanego ogniska, a przybite do drzew wrony wrzeszczały jak oszalałe. I znowu to samo, tylko jeszcze głośniej. Pod puszczą coś się rwało i osypywało, dudniło i chrobotowało, tarło, parło i przepychało. Ten oddolny grzmot przerastał ludzkie doświadczenie, unieruchamiał, dusił i rzucał na kolana. Ludzie zatykali uszy i zamykali oczy. Dzieci krzyczały z przerażenia, chociaż nikt nie słyszał ich płaczu.

Nagle ziemia wybrzuszyła się na całej długości łagodnego stoku wzgórza. W jednej chwili wyrósł wysoki na chłopa wał, z którego osuwały się spękane kawały darni i powyrywane z korzeniami krzewy. Wyglądało to tak, jakby jakaś istota wspinała się z mozołem z otchłani nocy do światła. Po jej przejściu wał zapadał się, tworząc rów wypełniony przemieloną ziemią i drewnem. Wzgórze pękało coraz bliżej i bliżej, odpryskiwały na boki kamienie, a czarny spód leśnego poszycia, wystawiony na blask ognia i księżyca, mrugał kropelkami wilgoci.

Wężowate wybrzuszenie niepowstrzymanie posuwało się naprzód. Dążyło uparcie w stronę ludzi, bliżej i bliżej, pchając przed sobą rosnącą stertę liści i gałęzi. Wydawało się, że nie spotka już na swojej drodze nic, co mogłoby opóźnić jego pełzanie, ale właśnie wtedy w wysokiej trawie pokazała się głowa grodzierzcy. Z trudem dźwignął się na rękach i usiadł. Ruchomy wał wyrastał prosto przed nim. Wojsław zacisnął dłonie w pięści i zabębnił w ziemię. Hałas przycichł, a zaraz potem ustał całkowicie. Z wysokiej sterty ziemi jeszcze przez jakiś czas z szelestem osypywał się pył i drobne kamyczki.

Nastąpiła cisza.

Przez krótką chwilę stłoczeni ludzie myśleli, że to koniec. Odklejali spocone ręce od uszu, wycierali łzy. Ale ten pusty czas między jedną trwogą a drugą urwał się nagle, kiedy ziemia znowu się poruszyła. Ci, którzy wciąż jeszcze patrzyli, zobaczyli wyrastające nad Wojsławem usypisko, jak

ogromny kopiec kreta. Ziemia wystrzeliwała z czarnej dziury na jego wierzchołku w gwałtownych, wymiotnych skurczach i przyprószała całe wzgórze pyłem drapiącym w gardle. Coś, co chciało wydostać się na świat, musiało teraz być tuż pod powierzchnią. Tak blisko, że gdyby miało ślepie, mogłoby zobaczyć rozgwieżdżone niebo.

Grododzierzca przyciągnął do siebie związane tarcze i położył je sobie na kolanach. Ze szczelin między drewnem a okuciem wysnuwał się dym. Wojsław podparł się z tyłu rękami i podniósł głowę.

Wąż ziemi przestał rosnać. Ostatnia skiba wyleciała w górę i rozbiła się w trawie kilkanaście kroków dalej. Skończył się jęk rozszarpywanej ziemi, ale to tylko pogłębiło grozę.

Wojsław spodziewał się, że gliździec będzie obrzydliwy. Że będzie potrzeba wysiłku, żeby na jego widok nie odwrócić oczu. Ale to, co zobaczył, przerosło jego najbardziej chorobliwe sny. Ogarnęła go ciemność. Musiał aż do bólu szarpnąć się za brodę, żeby nie stracić przytomności. Po raz pierwszy poczuł ulgę na myśl o tym, że nie ma już władzy w nogach. Nie był wcale pewien, czy inaczej fala strachu i obrzydzenia nie odrzuciłaby go w tył.

Wielki biały robak, gruby jak stare dębisko, zaczął wysuwać się z czarnej dziury. Jego ciężkie pierścieniowate cielsko lśniło od śluzu. Pęczniał i cieniał, naciągał się i skracał, ale powoli wywlekał się z usypiska, pierścień za pierścieniem. Bezgłowy i bezmózgi, wyglądał jak jakaś nieudana pierwocina życia, która na samym początku Stworzenia została strącona przez Boga na samo dno czeluści. Ale ona nie zginęła, tylko przetrwała i spotężniała, a teraz, przywołana, powróciła. Na obłym, tępym końcu z głośnym mlaśnięciem zwierzał się i rozwierał okrągły, błoniasty otwór. Jak gęba albo jak odbyt, a może jak obie te rzeczy naraz.

Chwila, w której gliździec wyczuł obecność Wojsława, była najgorsza. Jakby nagle przestał być ślepy i głuchy. Jednym płynnym ruchem wysunął

się jeszcze bardziej, wygiął się łukowato i zawisł nad głową grodzierzcy. Błona wokół otworu naprężyła się, a czarna dziura powiększyła się prawie na całą szerokość cielska. Wojsław odruchowo podniósł dymiące tarcze ponad siebie, żeby chociaż na mgnienie oka schować się za nimi.

- Nie! - Krzyk Lubichy był zadziwiająco mocny jak na jej wysuszone starością ciało. - Nie tak, bo wypluje!

Dosłyszał ją. Powoli, jakby powietrze nad nim zestaliło się i stawiało opór, opuścił związane tarcze w dół i objął je ramionami jak matka niemowlę. Poczul na włosach ciepły powiew z gardzieli gliźdźca. Zrobiło mu się całkiem zimno. Odwrócił głowę w stronę ludzi. Rozpaczliwie chciał jeszcze raz zobaczyć oczy Lubichy, ale z tej odległości mógł dostrzec tylko jej zmęczoną, przygarbioną postać. Coś poza nią błysnęło, Wojsław zamrugał powiekami. Zanim je zamknął, zrozumiał, że to woje wyciągnęli miecze i oddają mu cześć.

Poczul błonę gliźdźca na czole i zaczerpnął oddechu, jak przed skokiem do głębokiej wody.

Rybacy poodwracali głowy, ale Lubicha z wojami patrzyła do samego końca. Myślała, że to będzie trwało, ale wszystko przebiegło tak szybko, jakby wrzucić kamień do gęstego bagna. Otwór mlasnął i zwarł się, a na cielsku pojawiło się zgrubienie, które zaczęło przesuwac się w tył.

Z początku szło płynnie i bez oporu. Potem zwolniło, a gdzieś w połowie cielska utknęło na dobre. Gliździec zamarł bez ruchu.

Nagle spuchł tak mocno, że fałdy na jego skórze prawie się wygładziły. Rozwarł otwór gębowy jeszcze szerzej niż przedtem i spróbował zwrócić to, co połknął. Ale uleciało z niego tylko trochę dymu, nic więcej. Szarpnął się. Lubisze się zdawało, że pod jego lśniąca skórą widzi zapierające się pięści Wojsława. Ale nie była pewna, bo oczy miała już słabe.

Gliździec zdychałby w długich męczarniach, gdyby nie woje. Nie czekali, aż żar wypali mu dziurę w boku, tylko rozsiekli go mieczami na parujące



kawały.

Wojśława pochowali w kopcu. Tak samo, jak chowano dawnych królów, o których pieśni przetrwały przez wieki.



Ludzie czekali na słońce jak na zbawienie, ale kiedy wreszcie wątle światło pokazało się na wschodzie, wcale nie przyniosło ulgi. Ranek był wilgotny i zimny. Niebo powlekło się szarzyzną, a w powietrzu unosiła się prawie niewidzialna mżawka, skraplając się w małe strumyczki na korze drzew i na twarzach ludzi. Ciężko było wstawać i prostować zastałe mięśnie, a powieki puchły, jakby ktoś w oczy sypnął piaskiem. Nawet dzieci nie płakały, tylko wodziły osowiałym wzrokiem za rybakami, którzy kręcili się bez ładu po wzgórzu.

Tylko gderliwe ponaglenia Lubichy jątrzyły w tym trupim rozleniwieniu, wdzierały się boleśnie w uszy.

- Baby, nie łażcie jak kołowate! Trzeba coś ciepłego uwarzyć. I zebrać to ścierwo - trąciła nogą zimny strzęp gliźdzca. - Musimy się tutaj urządzać na jakiś czas.

Obeszli z Kościuchem skraj lasu. Wrony jeszcze próbowały dźwigać łebki i otwierać dzioby, ale już nie miały siły, żeby wydobyć z siebie głos. Ich unieruchomione skrzydła przez noc powlokły się dziwnym zielonym nalotem. Kościuch podobijał je po kolei, mrużąc do siebie ze złości. Kiedy wyrzucił w krzaki ostatnią, z obrzydzeniem wytarł pozieleniałe palce w mokrą trawę.

- Taka wilgoć, że nawet ptaki zielenieją za życia!

- Przed wieczorem musisz nałapać nowych. - Lubicha nie zwracała uwagi na jego sarkanie. - Nie ma innej rady.

- Wrony to nie żołędzie, żeby je wygrzebywać spod liści! Jeśli posiedzimy tutaj kilka dni, to wytrzebimy je w całej okolicy.

- O to się nie bój. - Lubicha powiodła palcem po niebie. - Całe setki zleciały się na żer.

W kilku miejscach nad lasem kłębiły się stada czarnych ptaków. Ich krakanie, porywane przez zimny wiatr, niosło się bardzo daleko.

- Tam pewnie też poginęli ludzie. Może nawet całe wioski. - Kościuch zaklął. - Straszny czas.

- Straszny. Ale my jeszcze żyjemy i musimy zrobić wszystko, żeby tak dalej zostało.

W miejscach, gdzie stoki wzgórza znikają w cieniu lasu, trawa była wygnieciona, a krzewy stratowane. Tam, gdzie zalegało błoto, w odcisniętych śladach łap zbierała się woda. W powietrzu ciągle jeszcze snuła się gęsta, drażniąca woń.

- I co? - Kościuch pokręcił głową nad tymi śladami. - Długo tak nie wytrzymamy. Ludzie po tej jednej nocy wyglądają, jakby już na dobre wystygła w nich krew.

- Bo ta noc była najgorsza. Dalej może być tylko łatwiej. Gliźdźce nie pojawiają się na świecie ot, tak. A z całą resztą sobie poradzimy.

Wracali już, kiedy Kościuch zwolnił i potarł zmarszczone czoło.

- Lubicha, ja wiem, że... Nie o wszystkim możesz mówić. Ale jedno w końcu musisz powiedzieć głośno, bo ludzie już zaczynają psioczyć za twoimi plecami.

Spojrzała w górę stoku. Stukały siekierki, a w kociołkach zaczynała parować woda. Powolutku, krok po kroku, ludzie starali się utkać wokół siebie trochę zwyczajności.

- Co?

- Dlaczego to właśnie na nas spadło, a nie na kogo innego?

- Widziałeś wrony nad lasem. - Lubicha oparła się mocniej na kijaszku. - Gdzie indziej też nie jest lekko.

- Ale gliździec był u nas. Lazł prościutko, jak pies do ciecarki. Przedtem myśleliśmy, że to wszystko przez Północnicę. Ale jej już nie ma. - Kościuch splunął i rozłożył ręce. - Więc co?

- Gdybym to wiedziała, nie poginęłoby tylu naszych. Ale nie wiem.

Z daleka, zza kiecki Żywuli wypatrzył ich Pestek. Puścił się z góry koślawym cwałem, piszcząc z radości. Za nim wyskoczył Lestek, goniąc chwiejnie na krzywych nóżkach. Dopadli Kościucha, wczepili się z obu stron w nogawki jego gaci i rozwrzeszczeli, aż puchły uszy.

- No już, już! - Kościuch położył dłonie na ich jasnych główkach. - Co to się dzieje?

- Uafka! - Lestek był tak przejęty, że aż przebierał nóżkami. - Uafka! Uafka!

- Rudawka? - Kościuch podniósł ich do góry, jednego na prawej, drugiego na lewej ręce. - Co z nią?

- Ćpi! Ćpi!

- Aha. No to niech śpi, czy ja jej bronię?

Chciał zestawić ich na ziemię, ale podnieśli taki krzyk, że zaraz znowu się wyprostował. Żywula patrzyła na nich z góry, jakby zaniepokojona.

- Czeka! - Lubicha powstrzymała Kościucha, który chciał iść dalej. - Widziałam, jak Rudawka szła w las zbierać chrust, a ci dwaj kicali za nią.

Podeszła bliżej, chwyciła Pestka pod brodę i zajrzała mu w ślepkę.

- Gdzie jest Rudawka? Pokaż!

Wyciągnął przed siebie rączkę z wyprężonym palcem i pokazał na ciemny skraj puszczy.

- Ćpi!

Kościuch pognął na górę wielkimi krokami, wcisnął pierwszej lepszej

babie na ręce Lestków-Pestków i zziajany przyskoczył z powrotem. Za nim, zbierając wokół kolan kieckę, przybiegła Żywula. Oboje wyrwali się naprzód, ale bali się sami wchodzić między drzewa. Musieli poczekać na wiedźmę, która kuśtykała za nimi tak szybko, jak mogła. Kijaszek ślizgał jej się na mokrych liściach, kiedy wreszcie weszła pod ociekające wodą gałęzie.

- Zostańcie! - rzuciła przez ramię. - Najpierw sama zobaczę.

Zniknęła w gęstwinie, jak znika się z jasnego obejścia w mrocznej izbie. Kościuch z Żywulą błysnęli między sobą oczami, ale zanim zdążyli pozbierać myśli, już usłyszeli jej skrzypiący głos.

- Jest tutaj. Chodźcie.

Leżała pod kolczastym krzaczkiem, na wznak. Oddychała równo i spokojnie, nigdzie nie było śladu krwi. Wyglądała, jakby po prostu wyczerpały się wszystkie jej siły i pokonała ją senność. Ale wyglądała tak tylko do chwili, kiedy Kościuch uklęknął i pochylił się nad jej twarzą.

- Co za lichy! - wyprostował się gwałtownie.

Rudawka miała otwarte oczy, ale i tak nic nie mogłaby zobaczyć, nawet gdyby była przytomna. Jej gałki oczne powlekała zgniłozielona pleśń. Na całej powierzchni, równiutko, od kącika do kącika. Cienkie, jasne włoski wyglądały jak pierwszy meszek na główce niemowlaka. Nie było źrenic, nie było białek, tylko warstewka pleśni.

- Nie! - Lubicha złapała Żywulę za nadgarstek wyciągniętej ręki. - Nie dotykaj, bo ciebie też oblezie!

- Ale... Jezusie! - Żywula schowała rękę za plecy. - Jakoś musimy jej pomóc!

- Musi mieć ciepło i sucho. Trzeba sklecić szalas, obłożyć szmatami i napalić w środku. Jeśli pleśniak nie zdążył wdrzeć się głębiej, to uratujemy jej oczy.

Kościuch podniósł Rudawkę pod pachy i zarzucił ją sobie na plecy. Żywula chwyciła ją za włosy i podtrzymała jej głowę w górze. W świetle

słońca jej oczy wyglądały jak zarośnięte trzęsawisko.

Zeszło aż do południa, zanim Lubicha przepatrzyła wszystkich po kolei. Siedziała na pniaku, a ludzie podchodzili do niej nadzy i przestraszeni. Wywijiała im powieki, kazała szeroko otwierać usta. Wsadzała palec do uszu i do nosów, nawet zaglądała do tyłków. Ale u nikogo nic nie wypatrzyła. Tylko jedna Żywula parsknęła gniewnie, kiedy na koniec wiedźma do niej podeszła.

- Idź do diabła! Nie będziesz mi patrzyła w zęby jak krowie! - Założyła ręce z tyłu na plecach. - Ani nigdzie.

- Nie będę cię zmuszać. - Lubicha spojrzała w stronę, gdzie stał dymiący szczelinami szałas. - Ale jeśli się okaże, że jednak na ciebie przelazło, może już być za późno.

- No to co. Ziemia wszystko wyciągnie.

- Nie za bardzo ci się spieszy? Jeszcze jesteś młoda.

Żywula przekrzywiła głowę i zapatrzyła się na szałas.

- Ja już swoje przeżyłam. Ale tej małej znajdy byłoby szkoda. Kto wie, czy nie jest najdzielniejsza z nas wszystkich.

- Jest.

- No widzisz? I to właśnie ją musiało dopaść to gównno. Los bywa szydercą, nie?

- Bywa. - Wiedźma skinęła głową, ale było widać, że myśli już o czymś innym. - Los, mówisz. Los...

## R O Z D Z I A Ł E X I X

- Patrz do góry!

Lubicha kciukiem i palcem wskazującym przytrzymała powiekę Rudawki, a w drugiej dłoni miała czystą szmatkę nasączoną wywarem o mocnym ziołowym zapachu.

- Szczypie!

- Musi szczypać. - Wiedźma przemywała oczy bardzo uważnie, kilka razy sprawdzając pod światło, czy nie zaplątała się gdzieś choćby szczypta zeschłej pleśni. - Poczekaj, już kończę. O! Teraz zamrugaj i możesz wytrzeć w kieckę.

Słońce świeciło ostro. Wzgórze było rozjaśnione i o wiele zieleńsze niż wtedy, kiedy Rudawka widziała je po raz ostatni. Z początku nawet przestraszyła się tej zieleni i roztarła mocno powieki palcami, ale kiedy znowu spojrzała, nic się nie zmieniło.

- Nie bój się. - Wiedźma pogładziła ją po policzku. - Nie zostało nawet śladu po pleśni. Po prostu jest piękny dzień.

- Myślałam, że już nigdy nie wróci słońce.

Przez długi czas wszyscy tak myśleli. Plucha trwała i trwała, chociaż ani na chwilę nie padał prawdziwy ulewny deszcz. Ale pomimo tego woda była wszędzie. We włosach, w jedzeniu, w ubraniach. W ludziach. Przesycała powietrze, którym oddychali, i sprawiała, że nawet ich sny były mokre i zimne. Co jakiś czas natykali się tu i tam na włoskowate placki pleśni, a wtedy Lubicha wypalała je żywym ogniem, jak zarazę. Ludziom się zdawało, że kiedy płonąca pochodnia zbliżała się do zielonej narośli, pleśń kurczyła się

i zwieriała w sobie, jakby wyczuwała niebezpieczeństwo. Ale w strachu ludzkie oczy często widzą rzeczy, których nie ma. Dość, że jakoś wszyscy ustrzegli się przed tym, co spotkało Rudawkę. A i ona dzięki suchemu szalasowi i opiece Lubichy po kilku dniach doszła do siebie.

Po pierwszej nocy, kiedy Wojsław wypalił gliźdźcowi bebechy, wszystkie następne były o wiele spokojniejsze. Czuli, że nie są na wzgórzu sami i że z mroku patrzą na nich złe ślepie, ale plama jasności wokół ogniska stanowiła szaniec, za którym byli bezpieczni. Czasem trzaskały gałęzie, wrony krakały w nieprzytomnym strachu, a ludziom po karkach chodziły dreszcze, ale nic więcej. Powoli, dziwiąc się sami sobie, zaczęli się przyzwyczajać do tego odmienionego świata. Rankami zbierali grzyby, które wyrastały pod lasem ogromne, powyżej łądki. Rwali leśne owoce. Pozakładali wnyki, ale z mięsem nie było dobrze, bo prawie cała zwierzyna gdzieś się wyniosła. Czasem trafiła się jakaś nastroszona wiewiórka, nic większego. Ale kiedy pewnego świtu rozstały się chmury i wyjrzało słońce, zaczęli różnie myśleć o tym, co będzie.

Znaleźli się nawet tacy, którzy chcieli wracać. Wprawdzie długo nikt tego Lubisze nie powiedział prosto w twarz, ale i tak każdy wiedział, że najbardziej na dalsze chowanie się po puszczy pyskował Kopyść. Patrzył na wiedźmę spode łba i zagadywał do ludzi półgębkiem. A kiedy uznał, że ma już za sobą wystarczająco wielu niezadowolonych, splunął w dłonie, przygładził rzedniejące włosy i podszedł do niej z wyzywająco podniesionymi brwiami.

- Trzeba by zobaczyć, co się dzieje we wiosce. - Niby patrzył jej w oczy, ale tak naprawdę błędził wzrokiem gdzieś po jej czole.

- Wiatr rozwiewa popioły i grzechoczą połamane deski na pomoście. A co ma być?

- Trzeba zobaczyć. - Kopyść przez chwilę wyglądał, jakby urwała mu się myśl. - Znaczy, trzeba wracać i odbudować. Dosyć tułaczki.

Ludzie udawali, że zajmują się swoimi sprawami, ale uszy aż im czerwieniały, żeby nie uronić ani słowa. Lubicha obejrzała się wokół siebie, a potem zatrzymała wzrok na twarzy Kopyścią.

- Jeśli pójdziesz, twoja Plizga nie będzie nawet mogła popłakać sobie przy mogile. Nie zostanie po tobie nic, co można by pochować.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, trochę zbyt szybko i zbyt sztywno. Związał trochę najpotrzebniejszych rzeczy w chustę i zarzucił ją sobie na plecy. Plizga miała czerwone oczy, ale nie odważyła się chwycić go za rękaw.

- No! - Wyprostował się i rzucił w przestrzeń, do wszystkich: - Kto chłop, za mną.

Poszedł w stronę lasu. Ludzie opuszczali oczy, kiedy ich mijał. Zwolnił, kiedy pierwsze drzewa rzuciły cień na jego twarz, ale za plecami ciągle miał stężałą ciszę. Nikt nie zrobił kroku, tylko Plizga chlipała coraz głośniej. Kopyść splunął, rozgarnął ramionami krzaki i zagłębił się w puszcę.

Jeszcze tej samej nocy, przy jasnym księżycu okazało się, że wiedźma miała słusność. Chociaż nie do końca.

Najpierw rozbrzmiał w lesie śmiech. Tak to sobie później, za dnia, nazwali: śmiech - bo nie znali innego słowa na to, co usłyszeli. Ten głos budził najgłębsze, najpierwotniejsze przerażenie. Dochodził gdzieś z bliska, może nawet zza grubego pnia na samym brzegu jasności. Rozchichotał się plugawo, wył i rzeził jednocześnie, wzniósł się do jakiegoś opętańczo wysokiego tonu, a potem nagle zamilkł. Coś wyleciało w górę, a potem upadło koło ognia. To była ludzka dłoń. Nikt się nie ruszył. Podsycali ogień, póki pierwsza zorza nie zapaliła się na wschodzie. Wtedy siłą przyciągnęli Plizgę i zmusili, żeby patrzyła. Po szerniałym paznokciu poznała, że to od Kopyścią. Ludzie w milczeniu wykopali dołek i pochowali tę rękę, zaznaczając miejsce kamieniem.

Nigdy więcej nie usłyszeli takiego śmiechu, ale od tego czasu nie



rozmawiali już o powrocie. Pilnowali nawet jeden drugiego, żeby o tym w ogóle nie myśleć.

Dni biegły. Jesień zrobiła się słoneczna, ale noce były coraz chłodniejsze. Rankami, kiedy ludzie wygrzebywali się ze swoich szałasów, pod stopami chrzęścił im szron.

Lubicha nie pozwalała tknąć zapasów, które udało się ususzyć na zimę, więc za żarciem musieli chodzić coraz dalej w las. Zbierali wszystko, nawet szyszki i żołędzie. Rozrzucali patykami mrowiska i wygrzebywali tłuste larwy, które rzucone na żar skwierczały i odłaziła z nich przezroczysta skórka.

A najlepsza w lesie, jak dawniej, była Rudawka. Nigdy nie wracała z pustymi rękami. Sama jadła niewiele, ale dla Gniotka zawsze wyciągała zza kiecki pasek uwędzonego mięsa. Najczęściej chodziły we dwie z Żywulą. Rudawka na nią nie narzekała, bo Żywula częściej ostatnio zamyślała się, niż gadała bez powodu i można było przy niej snuć swoje własne myśli. Tak, jak Rudawka była przyzwyczajona od najmłodszych lat. A Żywuli Rudawka chyba przypominała Żarka, chociaż nigdy nie padło między nimi o tym nawet jedno słowo. Dobrze im było ze sobą. Ale wiedziały też i to, że ich spokój jest bardzo kruchy i należy spodziewać się jego końca każdego dnia.

Rudawka odkryła prawdę całkiem przypadkiem. Klęczała między korzeniami drzewa i wydłubywała nożem jakieś jadalne bulwy, kiedy Żywula odeszła na bok za potrzebą. Nie było jej dłużej niż zwykle. Wróciła blada, z rozbieranymi oczami, bezwiednie przyglądając dłońmi kieckę.

- Co jest? Rudawka wstała zostawiając bulwy, ale podnosząc nóż.

- Nic. Chodźmy dalej.

Znała Żywulę na tyle dobrze, żeby nie próbować dalszych pytań. Wyminęła ją i poszła w krzaki, gdzie jeszcze chwiały się po niej listki. Przystanęła nad gorącą kałużą, która parowała wsiąkając w ziemię. Miała nadzieję, że w jej głosie nie będzie słychać strachu, kiedy wróciła do Żywuli i

objęła ją ramieniem.

- Czemu nic nie mówiłaś?

- O czym? - Plecy Żywuli stwardniały.

- Że sikasz na zielono.

- Myślałam, że to minie. - Pochyliła się, westchnęła. - Wiesz, że jakoś się wypłucze.

- Trzeba powiedzieć Lubisze. **Tylko** ona może ci pomóc.

- Nie, nie... Za późno. Czuję to w sobie, w środku. Czuję, jak rośnie, rozłazi się na boki i łaskocze tymi swoimi włoskami. - Oblizła wargi, a wtedy Rudawka zobaczyła, że jej język jest przyprószony zielonym kurzem. - Ja umieram, dziecko.

Nie powiedziały nic ani wiedźmie, ani nikomu. Żywula umarła po kilku dniach. Cicho, w nocy, kiedy nikt nie patrzył. Zakopali ją pod lasem. Ale zaraz na drugi dzień musieli rozgrzebywać mogiłę, bo pleśń aż kipiała. Ułożyli stos i spalili wszystko, razem z ziemią, którą wygarnęli z grobu. Ludzie odwracali się plecami i chowali twarze w koszule, żeby nie wdychać tłustego dymu. Tylko jeden Kościuch przez cały czas stał przy stosie, a kiedy wiatr owiewał mu głowę dymem, rozkaszliwał się sucho. Raz czy dwa razy obejrzał się na Lestków-Pestków, ale widział, że są przy Rudawce. I znowu patrzył w ogień.



Rudawka domyśliła się, że wiedźma już wie, jeszcze zanim Lubicha sama jej o tym powiedziała. Mało się ostatnio widywały, bo Rudawka urabiała ręce przy swoich sierotkach, a wiedźma miała jakieś inne sprawy. Ale kiedy się już zdarzało, że czuła na sobie spojrzenie jej siwych oczu, bała się podnieść głowę. Wiedziała, że nie może spodziewać się od niej uśmiechu.

Dlatego tym bardziej zdziwiła się, kiedy wreszcie usłyszała stuknięcie kijaszka za plecami. Odwróciła się z ociąganiem. Pod nastroszonymi brwiami Lubichy czaiły się cienie.

- Chodźmy w las. Pomożesz mi.

Powiedziała to całkiem tak samo, jak tysiące razy wcześniej. Ale nie myślała o tym samym i Rudawka umiała dosłyszeć to w jej głosie. Przycisnęła do siebie Gniotka.

- A co z nimi? - Pokazała za siebie, gdzie za niskim płotkiem sterczały małe łebki.

- Plizga ci przypilnuje. - Lubicha podniosła brwi i ruchem kijaszka pokazała na Gniotka, który bawił się włosami Rudawki. - Tego też zostaw.

- Ale ja go nigdy nie zostawiam. Będzie za mną płakał.

- Jeśli chcesz dla niego dobrze, to tym razem go zostawisz.

Rudawka ostrożnie wyswobodziła włosy z jego paluszków i lekko musnęła wargami obie piąstki. Nagarnęła suchych liści i położyła go na nich bez słowa. Złapał się za piętę, szeroko otworzył ciemne oczy. Rudawka poczuła, że gdzieś pod mostkiem utknęła jej lodowata bryłka. Ale to nie był strach, tylko żal.

Idąc za wiedźmą myślała o tym, jak to się stanie. Nóż? Kamień? Sznur? Ale wtedy Lubicha musiałaby mieć kogoś do pomocy, bo sama by sobie nie poradziła. Nawet wtedy, gdyby Rudawka nie stawiała oporu. No więc? Truczizna. Tylko to zostawało, jeśli wiedźma chciała, żeby to się stało tylko między nimi dwiema.

Potknęła się, kiedy Lubicha nagle się zatrzymała. Były całkiem blisko od obozu, słyszała krzyki dzieci i pohukiwania bab. Zdawało się jej, że potrafi z tego zamieszania wyłowić skarżący się płacz Gniotka, ale zmusiła się do myślenia o czymś innym.

- Dalej pójdziesz sama.

Rzęsy Lubichy były tak nisko opuszczone, że równie dobrze mogłaby mieć zamknięte oczy. Ale odwróciła głowę, kiedy Rudawka ją mijała. Umiała wyczytać z jej warg pytanie, choć Rudawka była pewna, że zadała je tylko w myślach.

- Gdzie mam iść?

- Przed siebie, mała. Przed siebie.

Czuła, jak pod powiekami zaczynały ją piec łzy. Mała? Po co tak powiedziała, jak za dawnych lat? Zamiast łatwiej, zrobiło się od tego o wiele trudniej. Może to miało być pożegnanie? Zamrugła szybko powiekami, żeby pozbyć się mgiełki, która osiadała jej na źrenicach. Zobaczyła przed sobą pomarszczoną dłoń zaciśniętą na kijaszku. Pochyliła się, dotknęła jej czołem, a potem odwróciła się i poszła wąską ścieżką w las. Kolczaste gałązki czepiały się jej kiecki, gdzieś w głębi puszczy stukał dzięcioł. Z każdym krokiem stąpała pewniej i wyżej podnosiła głowę.

- Stój!

Zamarła ze stopą uniesioną do następnego kroku, a potem powoli opuściła piętę na wilgotną ziemię.

- Wysuń przed siebie rękę. Bardzo powoli.

Aż do tej chwili była pewna, że za którymś z najbliższych drzew czeka na nią woj z obnażonym mieczem. Ale teraz ta pewność prysła. Bardzo chciała, żeby wiedźma powiedziała jej coś więcej. Choćby jedno słowo, byleby słyszeć jej głos. Ale za jej plecami legła cisza. Skupiła wzrok na małym, drżącym liściu, podniosła dłoń i wyprostowała rękę.

Coś śmignęło z boku, szarpnęło ją za rękaw i przycisnęło rękę do pnia. Jakiś czas stała całkiem nieruchomo, czekając, czy coś jeszcze się wydarzy. Dopiero kiedy zachrząścił z tyłu posuwisty krok Lubichy, walcząc z zeszywniałym karkiem przechyliła głowę i spojrzała na swoją rękę. Długa, zielona igła tkwiła głęboko w korze, przebijając szeroki rękaw koszuli blisko nadgarstka. Jeszcze drgała, kiedy Rudawka dotknęła jej palcem.

- Ościeniak. - Lubicha obeszła ją bokiem i pomogła jej uwolnić rękaw. - Słyszałam o nim dawno temu, kiedy byłam w twoim wieku. A potem już nigdy.

Pokuśtykała na przeciwległy skraj ścieżki i kijaszkiem rozgarnęła paprocie. Rudawka przetknęła palec przez obie dziurki w rękawie, pokręciła głową. Podeszła do Lubichy i zajrzała w cień lasu ponad jej przygarbionymi plecami. Szybko zamruwała powiekami.

- Co to jest?

Wyglądało jak gruba żerdź nabita wieńcami zielonych igieł, od dołu aż do samej góry. W miejscu, gdzie brakowało jednego kolca, w wyszarpanej dziurce nabrzmiewała kropla gęstej cieczy.

- Widzisz ten sok? - Na twarzy wiedźmy pogłębiły się zmarszczki. - To jest najzjadliwsza trutka, jaką znam. Gdyby kolec cię drasnął, nawet nie zdążyłabyś pomyśleć, że umierasz.

Wiedźma przystawiła kijaszek do nogi i pozwoliła paprociom znowu zbić się w przetkaną słońcem zasłonę. Rudawka obejrzała się na igłę wbity w drzewo, a potem starannie wytarła w trawę palec, którym jej dotknęła. Cofnęła się trochę.

- Nie bój się. Teraz trzeba mu trochę czasu, żeby znowu był gotowy.

Rudawka myślała, że do końca będzie umiała zachować spokój. Ale kiedy się odezwała, głos jej drżał.

- Prawie wszystko rozumiem, oprócz jednego. Czemu mnie zatrzymałaś w ostatniej chwili?

- Bo wcale nie chciałam, żeby stała ci się krzywda. - Po raz pierwszy od wielu dni patrzyły sobie prosto w oczy.

- Sama mówiłaś, że wystarczyłoby draśnięcie.

- Wystarczyłoby. - Zmarszczki wokół ust Lubichy ułożyły się jakoś inaczej, ale nie był to jeszcze uśmiech. - Ale cię nie drasnęło. Nie było

innego sposobu, żeby sprawdzić, czy...

Urwała. W oczach miała smutek, ale taki zwyczajny, bez goryczy. Rudawka miała ochotę przygarnąć ją do siebie.

- Co sprawdzić?

- Sama dobrze wiesz, co. Chodziłam tą ścieżką wiele razy. Chodziły baby, chłopcy i dzieci. Grube, chude, wrzeszczące i ciche. I nigdy nikomu nic się nie stało. Nikt nawet nie wiedział, jaka diabelska samosiejka wyrosła w tych krzakach. Znalazłam tego ościeniaka przypadkiem, kiedy szukałam ziół. A ty przesłaś jeden, jedyny raz. I strzelił.

Rudawce po twarzy rozlewał się ciemny rumieniec.

- Co to znaczy?

- Że to ty jesteś przyczyną naszych nieszczęść. To na ciebie polują, a nie na Gudrun, jak myśleliśmy. Nie wiem, czemu, ale tak właśnie jest. Póki jesteś między nami, narażasz wszystkich innych. Nawet Gniotka.

Teraz Rudawka zaczynała sobie uświadamiać, że sama domyślała się tego od dawna. Chyba nawet od samego początku. Od tej nocy, kiedy plugastwo wyroiło się z morza. Ale pewności nie miała, aż do teraz. Opuściła głowę i w milczeniu patrzyła, jak koniec wiedźmowego kijaszka kruszy zeschnięte liście.

Lubicha położyła jej dłoń na głowie.

- Teraz tylko jedno jest ważne, żebyś powiedziała mi całą prawdę. Tamtej pierwszej nocy musiałaś zrobić coś, przez co w oczach Złego wyszłaś z ukrycia. Co to było?

Rudawka opuściła głowę jeszcze niżej. Na ścieżkę skapywały jej łzy, ale płakała bez głosu. Wiedźma pogładziła ją po włosach, a potem chwyciła pod brodę i podniosła jej twarz.

- Zresztą nie mów. Wystarczy na ciebie spojrzeć. Ale powiedz przynajmniej, dlaczego?

- A bo... a bo... Żarek zaczął łązić z tamtą. Całkiem o mnie zapomniał. -

Rozszlochała się jak małe dziecko. - A Głuptak się napatoczył... Dumy jak wół, ale miły. Ale to był tylko ten jeden raz! Naprawdę!

- Wystarczyło. No, gdybyś wtedy od razu do mnie przyszła, może coś byśmy jeszcze zaradziły. Ale teraz już jest za późno. Diabelstwo będzie ci deptać po piętach. A ten Głuptak... Szepnij mu ode mnie, żeby lepiej nie włąził mi przed oczy. Mogę nie wytrzymać.

- Nie jego wina. - Rudawka uspokajała się powoli, wycierając dziurawym rękawem oczy. - Sama do niego poszłam.

Lubicha pogładziła ją po policzku i uśmiechnęła się, teraz już prawie wesoło.

- Dobrze już, mała. Starczy tego ślinitania. Przyznałaś się dobrowolnie, a to ważne. Teraz już wiemy, czego się trzymać. Ale ciągle nie rozumiem tego, czemu Zły czai się właśnie na ciebie.

- Ja też tego nie wiem, naprawdę! Ale od dawna czuję się tak, jakby jego ślepie wypatrywały mnie przez mrok.

- Z czasem dowiemy się i tego. Nie martw się. A teraz musimy coś zaradzić na to, co jest.

Rudawka obejrzała się za siebie, gdzie od strony obozu dochodził gwar. Zadrżały jej wargi.

- Wiem, że muszę odejść, żeby odciągnąć niebezpieczeństwo od nich. - Potarła nos wierzchem dłoni. - Ale czy mogę zabrać Gniotka? On ma teraz tylko mnie.

Wiedźma długo patrzyła przed siebie. Oparła dłoń na kijaszku, potem przymrużyła oczy.

- Mogłabyś - odezwała się wreszcie. - Są takie miejsca w puszczy, gdzie można się zaszyć na długie lata. Nawet na całe życie. Ale co to za życie?

Rudawka odetchnęła głęboko. Policzki miała już suche, tylko oczy jeszcze jej lśniły.

- To co? Mam się sama zabić, czy jak?

- Nie. To byłoby najgłupsze. Ale jest inna rzecz, którą mogłabyś zrobić. Nie została ci po Żarku jakaś pamiątka?

- Pamiątka? - zamyśliła się Rudawka. - Nie, nic. Chyba że...

- Co?

- Włosy. Kiedyś dał mi jeden swój kędziorek, a ja mu swój. Wiesz, jak to między dziećmi.

- O to właśnie mi chodzi! Z takim kędziorkiem dobra wiedźma może zrobić więcej, niż kto inny z całym człowiekiem. A i dla Głuptaka znajdzie się robota - zarechotała skrzekliwie. - Niech wie, że nie trafiłaś mu się za darmo, jak liskowi wróbelek.



Woń kaszy okraszonej skwarkami napłynęła Kościuchowi do nosa tak niespodziewanie, że przez dłuższą chwilę stał na miejscu, skubiąc wąsa. Ciepły, gęsty zapach unosił się nad kępą krzaków o przywiedłych liściach, otulając głowę wspomnieniem wioski i domowego jedzenia. Jego rozżalenie splotło się z głodem, a żołądek bulgocąc zassał powietrze. Kościuch cicho podszedł bliżej i wstrzymał oddech. Chrobot łychy o dno miski sprawił, że zaswędziało go język. Kiedy rozgarniał mokre gałęzie, wilgotne rękawy lepiły mu się do ramion.

- Aleś mi nastrząsał wody za koszulę! - Pod wypchanymi policzkami Głuptaka między zębami trzeszczały ziarna. - Idź, idź!

Położył pustą miskę między nogami, a obok wbił w miękką ziemię łyżkę. Przejechał językiem po świecących tłuszczem zębach, odbiło mu się. Jego szczęście było tak pełne, że kiedy Kościuch wywlekał go z krzaków za nogi, bronił się niemrawo, jak ożarta mucha.



- Co, co? Puszczaj!

- Dzieciaki wysysają nietoperze kosteczki, a ty się zażerasz kaszą w krzakach? - Kościuch trzasnął pięścią prosto w jego uśmiech. - Masz, sukinsynu!

Głuptak rozpląkał się jak małe dziecko. Zasłonił głowę przed następnym ciosem, ale Kościuch już nie uderzył, tylko podniósł go za włosy na nogi.

- Gdzieś ukradł?

- Nie ukradłem! - Głuptak zachlipał, smarki z jego nosa mieszały się z krwią. - Dostałem po dobroci! Nie bij!

- Nie łzyj, gnido, bo przekonasz się, czym jest prawdziwe bicie. - Kościuch trochę ochłonął, ale zaraz przypomniały mu się głodne oczy Lestków-Pestków i ręce znowu mu się zatrzęsły. - Od kogo dostałeś?

- Od Starego! Nie łzę, nie łzę!

- To już ja mu wygarnę za takie dobre serce! - Kościuch puścił Głuptaka i odszedł w stronę szalasów, charcząc ze złości. - Nie będzie się obżerał byle chłystek, kiedy nie starcza dla dzieci!

Zatrzymał się po kilkunastu krokach. Postać chwilę, zanim się odwrócił. Podeszedł powoli, patrząc, jak Głuptak wyciera sobie twarz wiechciami trawy. Pochylił się nad nim, zniżył głos.

- Twoja durnowatość cię chroni, ale nie aż tak. Gadaj prawdę albo cię zabiję.

- To prawda! - Czerwone żyłki w kącikach jego oczu zgrubiały. - Stary mi dał. Nie ukradłem.

- Jesteś za głupi, żeby łąć. Stary nie żyje.

Głuptakowi obwisła dolna warga. Z portek między jego nogami zaczęła parować gorąca wilgoć. Otworzył oczy najszerzej, jak mógł, i patrzył na Kościucha wzrokiem psa bitego za coś, za co go zawsze chwalono. Wściekłość Kościucha jeszcze nabrzmiała, zamigotała przed oczami złotymi

plamami i pękła. Została po niej pustka.

Odchodząc, słyszał za sobą ciche jęki Głuptaka. Pełzał za nim jego strach.

Lubicha siedziała w szałasie, skulona pod kozuchem i pogrążona w odrętwieniu. Ale nie spała. Kiedy wszedł Kościuch, jej siwe brwi drgnęły nad zamkniętymi oczami. Poczekała, aż znajdzie sobie w półmroku miejsce. Kiedy zapadła cisza, zsunęła kozuch na plecy.

- Coś się stało? - Nie zabrzmiało to jak pytanie. Szara plama twarzy Kościucha zniknęła i pojawiła się znowu, kiedy pokiwał głową.

- Głuptak podbiera kaszę.

Kościuch nie spodziewał się innej odpowiedzi, ale i tak dreszcze rozbiegły mu się wzdłuż kręgosłupa, kiedy ją usłyszał.

- Nie mamy kaszy.

- Ktoś musiał przynieść ze sobą z wioski i teraz chowa przed innymi. A Głuptak wyniuchał i kradnie. Miał pełną miskę, nawet ze skwarkami. Tylko łycha śmigąła.

Zaszurał kijaszek. Wiedźma przyciągnęła go do siebie i wstała.

- Nie mamy ani misek, ani łyżek.

Suche gardło Kościucha skurczyło się boleśnie, kiedy chciał przełknąć ślinę. Zatęsknił za tym, żeby wyjść z szałasu i odetchnąć chłodnym powietrzem, chociaż wiedział, że nie przyniesie mu to ulgi.

- Mówi, że dostał kaszę od Starego.

Przygarbiona postać Lubichy przesłoniła popielate chmury, kiedy wychodziła z szałasu. Wlokła kijaszek przy nodze, jakby źdźbła trawy czepiały się go i przytrzymywały przy ziemi. Kościuch przez chwilę miał nadzieję, że dla niego ta sprawa już się zakończyła. Siedział bez ruchu, żeby nie kusić licha. Ale Lubicha i tak machnęła do niego ręką, nawet się nie odwracając.

- Chodź.

Najpierw przetrzepali kępę krzaków. Powoli, uważnie, krok po kroku i gałązka po gałązce. Trawa była pognieciona, butwiejące liście wtarte w ziemię, ale nic więcej. Ani Głuptaka, ani miski. Zapach jedzenia wtopił się już w ciężkie opary wilgotnego lasu i zniknął bez śladu.

- Schował miskę na następny raz, złodziej usmarkany! - W Kościuchu na samo wspomnienie znowu grzała się krew. - A jak mlaskał, jak sapał, świński ryj!

Lubicha schyliła się. W trawie leżało ptasie gniazdko, obrócone dnem do góry i wgniecione do połowy w rozmokłą darń. Kościuch zmarszczył czoło. Wiedźma podniosła gniazdko i wyskubała ze środka trochę liści. Zamieszała palcem głębiej, wyłowiła jakieś okrawki i położyła je sobie na otwartej dłoni. Spojrzała na Kościucha unosząc brwi.

- Trzaskało mu w zębach, mówisz?

- A trzaskało. Co tam masz?

- Łupinki żołądzi. - Pokiwała głową, jakby wszystko było już dla niej jasne. - Wyglądają, jakby ktoś je porozgryzał.

Kościuch wyjął gniazdko z jej dłoni. Trzepnął dnem w udo, parę łupinek żołądzi zawirowało w bladym słońcu i upadło w błoto. Potem rzucił gniazdko i starannie rozgniół je piętą.

- Ja to widziałem. Czułem zapach, nawet śliniłem się jak pies na gnata. Przecież nie pomieszało mi się w głowie!

- Nie mówię, że tego nie widziałeś. Ale to jeszcze nic nie znaczy. Oczy najłatwiej oszukać. No, zresztą przekonajmy się.

Znaleźli Głuptaka bez trudu, bo zawodził tak głośno, że naschodziły się baby i pochylały nad nim z troską. Leżał na boku, twarzą do paleniska, tak blisko ognia, że iskry przeskakiwały na jego koszulę i tliły się przez chwilę, zanim zgasły. Był blady i trząśł się z zimna, chociaż czoło miał mokre od potu. Oddychał chrapliwie, z bólu zaciskał powieki.

Lubicha przykucnęła przy nim i lekko dotknęła jego brzucha. Zgiął się w

pół, zapłakał urywanym szlochem.

- No, nic! - skrzywiła się. - Weszło, to wyjdzie. Kościuch! Podnieś go, obejmij od tyłu i ściśnij.

Nie od razu się udało, bo Głuptak na początku tylko stękał i wytrzeszczał oczy, ale kiedy wiedźma wepchnęła mu w gardło palec, chlusnął mętną strugą, jak z konwi. Kościuch odczekał, aż znowu złapie oddech, a potem pozwolił mu osunąć się na trawę. Podszedł do Lubichy, która końcem kijaszka rozcierała wymiociny.

- I co? - zapytała cicho. - Są?

Pokruszone łupinki żołądzi nawet nie zaczęły się rozpuszczać w żołądku.

- Są - Kościuch ledwo poruszył wargami.

Głuptakowi siły wracały szybko. Siność na twarzy ustąpiła, skończyły się drgawki. Wytarł rękawem usta, usiadł i zapatrzył się na stojący w ciszy las. Lubicha położyła mu rękę na ramieniu.

- Czy on coś do ciebie mówił, synku?

Głuptak zaniepokojony zerknął na Kościucha, ale przy Lubisze nie musiał bać się bicia. Znowu opuścił wzrok na drzewa.

- Był dobry. Pytał, co u mnie. Powiedziałem mu, że dobrze, tylko głodno. Wtedy dał mi jeść.

- Coś jeszcze?

- Że nie może być u nas dobrze, kiedy rybacy słuchają się starej baby.

Ludzie tłoczyli się już wokół nich rozszeptaną cizbą. Słyszeli, co się stało. Ale kręcili z niedowierzaniem głowami, bo sprawa dotyczyła Głuptaka, a z nim wiadomo, jak jest. Trzeba było, żeby Lubicha pociągnęła Kościucha za rękaw, a on odwrócił się do tłumu, rozkładając ręce.

- Tak, ja też to widziałem. Zjadł kaszę, a wyrzygał żołądzie.

- A Starego? - Z pierwszego szeregu wyrwała się Chwałka. - Starego też widziałeś?

- Nie.

- E! - Ciżba zafalowała. - Głuptak wszystko sobie zmyślił.

Lubicha podeszła do przodu, żeby ludzie przenieśli uwagę z Kościucha na nią. Uciszyli się, pozacinali wargi.

- Może zmyślił, może widział. To nieważne. Teraz napchał brzuch żołądziami, a następnym razem to może być wilcza jagoda. Wtedy nic nie pomoże, nawet gdyby wyrzygał wątpia. Ludzie! - podniosła głos. - Wskrzeszanie umarłych jest tylko w mocy Boga, nie Złego. Jeśli ktoś z was zobaczy kogokolwiek z tych, którzy nie żyją, niech nie pozwoli się oszukać. Nie gadajcie z nimi. Nie bierzcie nic z tego, co wam dają.

- Głuptak to Głuptak - ktoś zawołał zza pleców innych. - Ale my przecież nie jesteśmy dziećmi.

- Zły jest chytry, zawzięty i zna się na ludziach. Może być tak, że kiedy przekonał się, że ten sposób zawiódł, spróbuje czegoś jeszcze innego. Nie wiem. Ale jeśli się zdarzy, że do Plizgi przyjdzie Kopyść, do Gniotka matka... - odwróciła się do Kościucha, kozuch zsunął się z jej pleców na ziemię - ...a do ciebie Żywula, wtedy niech nikt z was nie ulega pokusie.

Wreszcie zrozumieli. Zamlaskały stopy w błocie, tłum zrzędł. Ludzie rozchodzili się do swoich zajęć, patrząc na siebie spod czoła. A kiedy przypadkiem spotykały się ich oczy, opuszczali głowy.

## R O Z D Z I A Ł E ( X X )

Kiedy Głuptak zniknął, nikt za bardzo się o niego nie martwił. Większość ludzi pewnie nawet tego nie zauważyła, bo przecież wcześniej też często przepadał, czasem nawet na wiele dni. Prawda, że to było we wiosce, a nie w lesie, ale wiadomo - durnego diabeł nie bierze. Tylko Rudawka rozpytywała trochę między babami, pokręciła się wśród najbliższych zarośli. Na koniec, przed samym wieczorem, założyła ręce na piersi i poszła prosto do Lubichy.

Wiedźma siedziała na pniaczku przed swoim szałasem. Na widok Rudawki złożyła obie dłonie na kijaszku i oparła na nich brodę.

- Coś z nim zrobiła? - Rudawka stanęła tuż przed nią, zasłaniając sobą zachodzące słońce.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - odezwała się wiedźma spokojnie, rozciągając słowa. - Siadaj.

Rudawka zmieszała się, ale tylko na chwilę. Podciągnęła sobie drugi pniaczek i usiadła naprzeciwko, pochylając się do przodu.

- Mówiłam ci, że to nie była jego wina, tylko moja. Jeśli ktoś musi ponieść karę, to ja, a nie on.

- Uspokój się. Jestem wiedźmą, a nie katem. Nikogo nie karzę.

Rudawka oparła łokcie na kolanach i zwiesiła głowę. Kilka razy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale minęło jeszcze sporo czasu, zanim się przemogła.

- Wybacz. To przez gadanie ludzi. Chodzą słuchy, że to z Kopyściami... Że to było przez ciebie i...

- Dość! - Lubicha podniosła chudy palec. - Wiem, co gadają. Ale ty masz

swój rozum i czasem powinnaś go używać. Ja nigdzie Kopyścią nie wyganiałam. Nawet go ostrzegałam, żeby nie szedł.

Rudawka pochyliła się jeszcze bardziej, pokręciła pięścią w oku.

- Wybacz - powtórzyła. - Ostatnio trudno zachować wiarę w cokolwiek Nawet w ciebie.

Z przygiętego karku Lubichy, spomiędzy jej siwych włosów ostrożnie wycłapała wielka ropucha. Miała wilgotną, guzowatą skórę i nieruchome ślepia. Niezdarnie przyciągnęła za sobą tylne łapki, najpierw jedną, a potem drugą. Usiadła na ramieniu wiedźmy, jakby tu właśnie było najlepsze miejsce.

- Wierz w siebie - uśmiechnęła się Lubicha. - To będzie najlepszy początek.

- E! - Rudawka machnęła ręką, ale jej czoło już zaczynało się wygładzać. - Po ci to obrzydliwe ropuszysko?

Wiedźma opuszką palca pogładziła podgardle ropuchy, z dołu do góry. Żółtawe ślepia przymknęły się z zadowolenia, a z obu stron płaskiego łba wyrosły wielkie pęcherze.

- Wcale nie jest taki brzydki. Nie mów tak, bo się obrazi.

- Niech się obraża. Wcale nie musimy się zaprzyjaźniać.

- Chyba musicie, bo przez jakiś czas nie będziesz oglądała nikogo innego.

Wiedźma wciąż mówiła swobodnie, jakby rozmawiały o jakichś błahostkach, ale Rudawka już dawno nauczyła się odczytywać to, co zdradzały zmarszczki wokół jej oczu. Wyprostowała łokcie i podniosła głowę.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że nadchodzi już twój czas. Nie możesz dłużej zwlekać.

Rudawka wstała. Niepewnie zatarła ręce, jakby nagle zrobiło jej się chłodno. Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie, na ludzi, ale nikt nie patrzył w

ich stronę.

- Była mowa o tym, że muszę odejść. Ale ani słowa o ropuchach!

- Była mowa o tym, że wy musicie odejść. - Głos Lubichy stwardniał, - Ty i Głuptak.

To, co kryło się za jej słowami, za mgłą na starczych oczach, objawiło się Rudawce całkiem nagle, jak błysk. Wstrząs był tak wielki, że zachwiała się na nogach. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, musiała szukać pieńka po omacku. Uklęknęła przed nim, przyłożyła czoło do szorstkiego drewna i długo czekała, aż ustąpi bolesny ucisk w gardle. Kiedy poczuła się na tyle silna, żeby podnieść oczy, skupiła wzrok na dłoniach Lubichy spoczywających na kijaszku. Pilnowała się starannie, żeby jej spojrzenie nie ześlizgnęło się na ropuchę.

- A jednak jesteś katem.

- No nie! - prychnęła wiedźma. - Rozumiem, że musisz się do tego przyzwyczaić, ale nie zachowuj się tak, jakbyś miała zemdleć. Jeśli kiedyś chcesz zostać wiedźmą, to musisz o wiele lepiej nad sobą panować.

Rudawka wytarła w kieckę spocone ręce, a potem kilka razy głęboko odetchnęła. Wolno, z wysiłkiem przeniosła wzrok z dłoni Lubichy na ropuchę. Zbladła jeszcze bardziej, ale nie odwróciła głowy.

- Czy on... - szybko oblizała wargi. - Czy on nas słyszy?

- Pewnie. - Lubicha wzruszyła ramionami, a ropucha szerzej rozstawiła łapy, żeby się nie zsunąć. - Słyszysz, widzi i rozumie. To przecież cały czas jest ten sam Głuptak, chociaż wygląda inaczej.

Wielkie, wyłupiaste ślepie nieruchomo patrzyły w dwie strony naraz. Podgardle wzdymało się i opadało leniwie. Rudawka starła kropelkę potu, która spłynęła jej po skroni.

- Myślałam, że tego od dawna już się nie robi.

- No wiesz? - Żrenice wiedźmy zbiegły się ku nasadzie nosa, kiedy



obróciła głowę i spojrzała na ropuchę z bliska. - Te dzisiejsze młode więdźmy ledwo się wyuczają, jak psuć mleko u krowy, a już mają się za Bóg wie co. A są takie czary, takie zaklęcia, które poznaje się dopiero z czasem. Trzeba na to wielu lat, może nawet całego życia. I bardzo dobrze.

Rudawka pokiwała głową. Pierwszy strach zaczynał już od niej odpływać, zostawiając w okolicach kolan uczucie słabości. Wyciągnęła szyję, zbliżyła twarz do ropuchy i lekko dmuchnęła w jej szeroki pysk.

- Głuptak?

Dwa pęcherze nabrzmiały powietrzem, a zaraz potem podgardle rozedrgało się rechotem. Z pyska wyskoczyła ruchliwa macka języka, pacnęła ją miękko w nos, zwinęła się i schowała z powrotem. Wiedźma zaświstała cichym śmiechem.

- No i co? Sami swoi, he, he, he!

Rudawka usiadła na pieńku. Zmarszczyła nos, jakby ją zaswędziało.

- Ludziom to się raczej nie spodoba.

- Wiem. Dlatego nic im nie powiemy. Ludzie lubią mieć pod bokiem mocną więdźmę, ale znowu nie za mocną. Po prostu znikniecie jutro o świcie.

Zmrok zapadał już bardzo wcześnie. Niebo ciemniało, od lasu zaczynało ciągnąć chłodem. Rybacy rozpalili ogień. Rudawka czuła na plecach lekki dotyk ciepłą, ale wcale jej nie ciągnęło do rozjazgotanych bab.

- Rozumiem. Jestem na to gotowa. Ale ciągle jeszcze mi nie powiedziałaś, po co mi ropucha?

Lubicha potarła dźiąsłem o dźiąsło i zmrużyła oczy. Widać było po niej, że coś jeszcze ma do powiedzenia i zwleka, szukając w głowie odpowiednich słów. A Rudawka bała się ją przynaglać.

- Nie chodzi o to, żebyś się ukrywała. - Wiedźma zawierała się na swoim pieńku. - To by pewnie oddaliło niebezpieczeństwo od rybaków, ale nie na

długo. Prędzej czy później Zło by cię wywęszyło, choćby na krańcu świata. A potem co? Nie byłoby już żadnej przeszkody, żeby piekło mogło rozpętać swoje moce po całej ziemi.

Rudawka siedziała sztywno, z dłońmi położonymi płasko na kolanach. Słuchała uważnie, ale jednocześnie gdzieś głębiej, poza myślą i poza uczuciami, przygotowywała się na to, co musi być powiedziane.

- To ty musisz znaleźć go pierwsza - wyszeptała wiedźma. - Znaleźć i pokonać.

- Domyślałam się tego. Czułam to. Zrobię wszystko, co mogę, ale... Tylko nie ropucha. Proszę.

Wiedźma pokiwała kijaszkiem, westchnęła.

- Nie bój się. Przecież to nie będzie na zawsze. Wierz mi, że długo nad tym myślałam i nie znalazłam innego sposobu. Musisz się przeprawić przez morze.

- Ale ropuchy nie pływają w morzu! - Rudawka schowała twarz w dłoniach. - Może być ptak, ryba albo nawet ćma, ale nie ropucha!

Wiedźma odczekała chwilę, zanim plecy Rudawki przestały się trząść. Położyła dłoń na jej głowie i miękko ją pogładziła.

- Jest zaklęcie na orła, jest na psa i jest na świnię. No i na ropuchę. Innych nie ma i nigdy nie było. Świnia i pies utopią się, zanim zdążą stracić z oczu brzeg. Orła dopadną strzygi. Zostaje ropucha.

Rudawka nie podniosła głowy wcześniej, zanim nie poczuła, że obeschły jej łzy. Ale kiedy wreszcie zajaśniała w mroku blada plama jej twarzy, brwi były ściągnięte, a wargi zaciśnięte.

- Jedno musisz mi obiecać. Nie! Musisz przysiąc na Boga.

Wiedźma zamknęła oczy. Jej głos znowu był starczy i bełkotliwy.

- Co, dziecko?

- Jeśli coś pójdzie nie tak i nie będziesz mnie mogła z powrotem... No

wiesz, jeśli do końca życia będę musiała kumkać i łapać muchy, wtedy mnie odnajdziesz i rozgnieciesz mi głowę kijaszkiem.

Wiedźma milcząc zaszurała piętami w trawie.

- Przysięgnij! - powtórzyła Rudawka.

- Przysięgam - ledwie poruszyła wargami w ciemności, ale Rudawce to wystarczyło.

Ropucha na ramieniu wiedźmy rozrechotała się niespokojnie. Rudawka pstryknęła palcem między jej szeroko rozstawione ślepia.

- A Głuptaka możesz tak zostawić na zawsze. Na taką czaszkę jego rozumek jest w sam raz.



To była zła noc. W życiu Rudawki dotąd nie było gorszej. Była straszniejsza niż ta, kiedy z babami i dziećmi gnała przez las, a wilkołaki kłapały oślinionymi zębiskami. Straszniejsza niż ta, kiedy gliździec wy dostał się z czeluści na świat. Pewnie nawet straszniejsza niż ta przed laty, kiedy porzucono ją samą w lesie na żer dzikim zwierzętom, chociaż tak daleko nie umiała sięgnąć pamięcią.

- Zbieraj się! - Lubicha zaczęła się śpieszyć, kiedy tylko nad wierzchołki drzew dźwignął się księżyc. - Czas na nas.

W miarę, jak szły, powietrze prześwietlone czerwonawą mgiełką od ogniska ciemniało. Przed nimi czerniały przysadziste, konarzaste drzewa, wyciągając gałęzie wysoko nad ich głowy i naradzając się między sobą cichym szeptem liści. Paprocie słały się pod ich nogi, ciemność otaczała je, wchłaniała i zwierzała się za nimi jak grób.

- W puszczy? - Dźwięk własnego głosu wydał się Rudawce obcy. - Przecież tam są..

- Są. Ale tej nocy dadzą nam spokój. Urządzimy takie czary, na które nikt nie będzie chciał patrzeć. Nawet pacholki Złego.

Rudawka nie umiała zgadnąć, w jakim szły kierunku ani nawet jak długo. Ale chyba nie odeszły bardzo daleko, bo kiedy wiedźma chwyciła w mroku jej dłoń, z tyłu ciągle było widać poświatę od ogniska na grzbiecie wzgórza.

- Rozbierz się.

Rudawka zrzuciła kieckę i pomacała ręką obok siebie za jakąś gałęzią, na której mogłaby ją rozwiesić. Ale wokół było pusto. Miała dziwne uczucie, że ciemność dotyka jej skóry jak coś gęstego i lepkiego. Otrząsnęła się.

- Możesz wyrzucić kieckę. Nie będzie ci już potrzebna.

Podniosła głowę i pozwoliła zimnemu wiatrowi bawić się włosami. Czuła pod bosymi piętami wyschnięte igielki, które opadły z drzew. Przez nos wciągnęła zapach butwiejącego drewna. Przestała się kulić, wyprostowała plecy, a wtedy zimne liźnięcie nocy spłynęło z niej jak woda, zostawiając po sobie gęsią skórkę. Dopiero teraz jej oczy zaczęły przyzwyczajać się do mroku. Zobaczyła, że stoi pośrodku okrągłej łąsinki, szerokiej od krańca do krańca zaledwie na kilka kroków. Wysoko, wyżej niż zwykle mrugały gwiazdy, jakby oglądane z dna głębokiej studni.

Gdzieś z gęstwiny usłyszała kroki i sapanie, ale wszystkie głosy omijały polankę z daleka, milknąc w ostępach.

- Teraz będziesz musiała wszystko robić tak, jak mówię. Słuchaj każdego mojego słowa i nie daj ponieść się strachowi, a będzie dobrze.

Wiedźma lekko pchnęła ją w plecy. Rudawka zrobiła pół kroku naprzód i poczuła pod palcami stóp wilgoć. Spojrzała w dół. Wyglądało to tak, jakby zatrzymała się tuż nad czarnym otworem nie zasypanej mogiły.

- To jest bagienko, takie całkiem małe. - Wiedźma kijaszkiem rozbełtała czerń pod stopami Rudawki, plusnęła woda. - Nic się nie bój. Nie sięga wyżej niż twoje kolana. Wejdz i połów się w nim. Spokojnie.

Rudawka zanurzyła piętę i cofnęła ją z obrzydzeniem.

- Mam się taplać w tym bajorze?

- Gdyby to było zwyczajne błocko, to bym cię przecież do niego nie pchała. Ale nie jest, bo trochę je... doprawiłam. Włóż.

Pierwsze wrażenie było bardzo nieprzyjemne. Ciecz była gęsta i mazista. Wolno wspinała się wzdłuż łydek, kiedy Rudawka stanęła w bagnie obiema nogami. Dno było grząskie, ale ustępowało pod jej ciężarem tylko przez pierwszych kilka chwil, dopóki muł nie oblepił jej kostek. Poruszyła palcami u nóg i usłyszała głośne mlaśnięcie. Była niemal pewna, że teraz już nie udałoby się jej wyrwać nóg z powrotem. Ale wolała tego nie sprawdzać.

- Teraz się kładź. Powolutku!

Poczuła się pewniej, kiedy Lubicha podała jej ramię i mogła się na nim wesprzeć. Ostrożnie przykucnęła i odruchowo zacisnęła zęby, czekając, aż zimna ciecz dotknie jej pośladków. Aż gwizdnęła ze zdziwienia. Bagno było ciepłe. Spojrzała na wiedźmę, ale w ciemności dostrzegła tylko spokojne kiwnięcie głowy. Usiadła, wyprostowała nogi i położyła się na plecach. Bagno rozstało się pod nią miękko, a potem z głośnym cmoknięciem zlało się w czarną gładź nad jej brzuchem. Odgięła szyję do tyłu, głowa zakołysała się swobodnie na powierzchni.

Zamknęła oczy i puściła rękę Lubichy.

- Nie jest źle! - Uszy miała pod wodą i nie była pewna, czy szepce, czy mówi głośno. - Trochę cuchnie, ale poza tym nic strasznego.

Skłamała. Tak naprawdę sama nie pamiętała, kiedy ostatni raz było jej tak dobrze. Czuła się lekko, bezpiecznie i zacisznie. Ciepło pieszczotliwie łaskotało jej skórę, rozluźniało mięśnie i przenikało aż do kości. Mogłaby tak leżeć i leżeć, mogłaby zasnąć i śnić same jasne sny.

Dłoń wiedźmy z chlupotem zanurzyła się w bagno, chwyciła ją za włosy i dźwignęła głowę w górę. Rudawka otworzyła oczy. Na wargach poczuła smak drewna.

- Zagryź zęby na tym kołku, dziecko.

Zrobiła to, a wtedy wiedźma szybkim ruchem przeciągnęła przez kołek rzemień i mocno związała z tyłu głowy. Rudawka szarpnęła się gniewnie.

- So ty łobisz?

- To tylko po to, żebyś nie krzyczała. - Lubicha puściła jej włosy, głowa zanurzyła się na chwilę i wypłynęła. - Jeszcze by cię ludzie usłyszeli, a sama wiesz, jacy są strachliwi.

Rudawka zrobiła wysiłek, żeby wstać. Bagno trzymało mocno, błoto przyssało się do jej pleców, ud i łydek. Otworzyła szeroko oczy i wpatrzyła się w księżyc.

- Nie móiłaś, sze to bezie boeć.

Wiedźma obesza bagienko, stanęła u stóp Rudawki i oparta na kijaszku, pochyliła się nad nią. Wyglądała tak, jakby w białe włosy miała wplecione gwiazdy.

- Będzie. Stwarzanie zawsze boli. Ale wytrzymasz.

Zanim odeszła, na jej twarz padła niebieskawa, ledwo uchwytna jasność. Rudawka domyśliła się, że to zaczyna świecić bagno. Modre iskierki z cichym trzaskiem rozbiegły się po powierzchni. Było ich coraz więcej. Wyskakiwały gdzieś z dna i łączyły się w cieniutkie, świecące żyłki. Bagno stało się jeszcze cieplejsze. Wielkie gazowe bąble z trudem przepychały się przez gęstą maź i cmokając, rozrywały się, pryskając cuchnącymi kropelkami.

Kiedy zaczął się ból, Rudawka wbiła zęby w kołek.

Cierpienie było większe, niż mogłaby sobie wcześniej wyobrazić. Nie skupiało się w żadnym określonym miejscu ciała, ale rwącymi falami przelewało się od głowy do pięt i z powrotem. Zmieniało się, ale nie popuszczało ani na chwilę. Kiedy gnieździło się w kościach, łamało i kruszyło. Kiedy przenikało mięśnie, było rwaniem i kluciem. Przybierało każdą postać, jaką człowiek jest zdolny odczuć. Trwało i trwało, targało Rudawką jak wietrzysko trzcinką.

Ale to, co najtrudniejsze do zniesienia, ciągle było przed nią. Kiedy zrozumiała, że jej ciało się zmienia, ból podszył się zwierzęcym strachem.

To było jak jednoczesne kurczenie się i rozciąganie. Czuła, jak jej stopy oddalają się od kolan, czaszka rośnie, a oczy spływają na boki. Cieniały jej biodra i pęczniały barki, skóra marszczyła się w grube fałdy. Puchnął język. Błoniasto rozcapierały się palce, zęby chowały się w dziąsła, a dziury po nich zasklepiały się. W ustach czuła zgniły smak błota. Była taka chwila, kiedy ból, osamotnienie i rozpacz mieszały się w jeden szary wir i wtedy pomyślała, że to właśnie jest śmierć. Poczuła, jak koniec kijaszka wiedźmy napiera na jej czoło i wbija jej obolałą głowę w muł. Jakimś sponiewieranym strzępem świadomości rozpoznała kołaczące się uczucie, które było już tylko żalem.

Ocknęła się nagle, jakby coś wybiło ją ze snu. Pamiętała ból i strach, ale teraz miała głębokie poczucie tego, że wszystko jest w porządku.

Obróciła się na brzuch. Zanurzyła głowę, ale oczy ciągle utrzymywała na powierzchni. Bagno było wielkie jak jezioro. Zgięła kolana i wystrzeliła do przodu, pchając przed sobą falę brudnej wody. Sprawiała jej przyjemność łatwość, z jaką płynęła. Nisko nad bagnem ciągle snuła się ta sama woń zgnilizny, ale teraz już nie była dla niej odpychająca. Pobudzała ją do ruchu, wyostrzała zmysły. Dopłynęła do brzegu, wdrapała się na suche igliwie i przysiadła, żeby pomyśleć. Na powietrzu było o wiele gorzej niż w wodzie. Zamarła bez ruchu i przez dłuższy czas skupiła się na odczuwaniu, jak wiatr wypija wilgoć z jej skóry. Miała wielką chęć wskoczyć z powrotem do bagna. Ale nie zrobiła tego. Wiedziała, że nie może tu zostać.

Spomiędzy wysokich jak drzewa traw dobiegło ją rechotanie. Nadeła podgardle, odpowiedziała i skoczyła w ciemność.

## R O Z D Z I A Ł E ( X X I )

Prawie nie odczuwał jej ciężaru. Niósł ją przed sobą jak dziecko, z głową kiwającą się na boki i luźno zwieszonymi rękami. Przez ostatnie dni zmieniły jej się rysy twarzy - kości policzkowe stały się bardziej widoczne, nos wysmukłał. Przełożyła chudą rękę przez jego szyję i trochę się podciągnęła.

- Wystarczy - powiedziała, rozglądając się po okolicy.

- To dobre miejsce.

Płaska, biała pustynia otaczała ich ze wszystkich stron. Gdzieś daleko łamały prostą linię widnokregu niewysokie skały. Żarek położył ją na śniegu, ale nie od razu wysunął dłoń spod jej głowy.

- Na pewno?

- Tak będzie najlepiej - uśmiechnęła się samymi wargami. - Nie chcę, żeby ktoś mnie widział. Ani słyszał.

Powietrze zadrgało. Gdzieś wysoko, pod szczytami, schodziła lawina.

- Nawet ja?

- Zwłaszcza ty.

Hen, w cieniu skał nieruchomo tkwiła przysadzista postać góralki. Żarek splunął na wiatr i potarł dłonią kark.

- Łazi za mną przez cały czas. Czego ona chce?

Gudrun włożyła rękę za pazuchę i lekko zmarszczyła czoło. Żarek wiedział, po co sięgała.

- Ona czeka na swoją nagrodę. - Gudrun znalazła to, czego szukała, ale nie wyciągnęła ręki. - Na tym świecie nie ma nic za darmo, a ty jesteś ładny. No,



jak na tutejsze warunki. Więc przyrzekłam jej ciebie.

Lawina przeszła, między szczytami znowu była cisza.

Żarek odwrócił się i odszedł w stronę, gdzie stała góralka. Po paru krokach zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

- Czy to cię będzie bardzo bolało?

- Jak wszyscy diabli. Zmiataj.

Przeszedł jeszcze dwa kroki.

- Myślałem, że... że trochę ci na mnie zaczęło zależeć.

- A skąd wiesz, że tak nie jest? - Z trudnością podniosła głowę. - Jeśli chodzi o góralkę, to zawsze możesz się z nią potargować, nie? A teraz już idź.

Kiedy odchodził, w uszach gwizdał mu wiatr. Nie obejrzał się już ani razu. I tak wiedział, że Gudrun patrzy za nim do samego końca. Zbliżył się do skał, góralka wyszła mu naprzeciw. Uśmiechnęła się szeroko, a jej oczy prawie zniknęły pod niskim czołem.

- Zapomnij o tym! - warknął, minął ją, nie zwalniając kroku. - Może jestem głupi i naiwny. Ale na pewno nie ślepy.

Kiedy wrócił pod skalny nawis, blade słońce było już wysoko. Górale kręcili się wokół lodowego dołu. Żarek widział z daleka, jak ćwiartują mięso i upychają je do skórzanych worów. Wyminął ich szerokim łukiem i cicho wsunął się do kamiennej niszy. Zebrał rozsypane wokół paleniska resztki diablego łajna, pogrzebał nożem w popiele i rozdmuchał żar. Podciągnął kolana pod brodę, skulił się i zamknął oczy.

Znowu wrócił ten sam obraz. Widział go równie wyraźnie jak wtedy, kiedy jeden jedyny raz obejrzał się za siebie, wspinając się po stoku kotlinki. Diabeł pół siedział, pół leżał wsparty na łokciach, a między jego nogami śnieg nasiąkał ciemną czerwienią. Odrzucił łeb do tyłu. Na chudej szyi grdyka chodziła w górę i w dół. Z nieba leciały mokre płatki śniegu i

oblepiały mu rogi. Wciąż wył, trochę jak człowiek, a trochę jak zwierzę. Im dłużej, tym straszniej. Ryczał, charczał, krztusił się. Znowu wył. Żarkowi się zdawało, że ten głos wdusza go w śnieg i wysysa z niego siły. Gdyby nie wyciągnięte ręce górali, nie dałby rady przeleźć z powrotem przez krawędź kotlinki.

Odeszli stamtąd w milczeniu, jak najszybciej. Dopiero dalej, gdzie skały trochę przytłumiły ryk, Żarek podniósł do oczu zaciśniętą pięść. Między palcami przeciekała mu ciemna jucha.

Przed wieczorem ocknął się z drętwoty. Ogień zgasł, mróz zaczynał tężeć. Był głodny, ale mdliło go na samą myśl o jedzeniu. Wygrzebał się z niszy, przeszedł parę kroków po skrzypiącym śniegu. Zatrzymał się, kiedy mu się wydało, że usłyszał coś dziwnego. Wstrzymał oddech, nasłuchiwał. Nic. Przeszedł jeszcze kawałek i znowu stanął.

A jednak. Z daleka po płaskim stoku niósł się ledwie dosłyszalny krzyk. Czasem słabł, zamierał aż do zupełnej ciszy, ale za każdym razem odzywał się znowu. Był tak ulotny, jakby rodził się gdzieś między zimnymi gwiazdami, które po kolei rozpalały się nad widnokregiem.

To nie był głos, jaki znał. Ale to na pewno była Gudrun. Wsłuchiwał się weń w skupieniu, wydmuchując przez nos białe kłęby pary. Myślał o tym, jak długo zdoła się powstrzymać, żeby nie pobiec do niej po białej skrzypiącej płaszczyźnie.

Wzdrygnął się, kiedy poczuł na ramieniu ciężar czyjejś dłoni. Obrócił niechętnie głowę i rozpoznał w szarzyźnie wieczoru mięsistą twarz górali.

- Mówiłem ci już, że nic z tego nie będzie! - Strząsnął z siebie jej rękę. - Lepiej się ode mnie od...

Zmełł w zębach ostatnie słowo. Coś w jej spojrzeniu sprawiło, że poczuł się niepewnie. Uśmiechnęła się, ale jakoś inaczej niż przedtem. Podetkała mu coś pod nos i prawie go odurzył zapach pieczonego mięsa. Chociaż tego nie chciał, poczuł gwałtowny napływ śliny do ust.

- Nie jestem trupojadem! - Chwycił ją za przegub i odepchnął jej rękę w bok. - Prędzej zdechnę.

Pokręciła głową, jakby go zrozumiała. W oczach miała prośbę. Powoli podniosła mięso do góry, przed jego twarz.

- Nie ludzkie? - W brzuchu mu zaburczało, przed oczami zatańczyły mroczki. - Przysięgniesz na swoją twardą, pustą główkę, że to nie ludzkie?

Uśmiechnęła się szerzej. Żarek zamknął oczy i wyżarł jej wszystko prosto z ręki, jak pies. Gdyby ugryzł ją w palec, nawet by tego nie zauważył.

Odetchnął głęboko, usiadł prosto w miękkiej zaspie. Daleki głos ciągle falował pod ciemniejącym niebem. Żarek skrzyżował nogi, przygarbił się i schował twarz w dłoniach. Słyszał, jak skrzypnął śnieg pod góralką, kiedy siadała koło niego. Trąciła go lekko w ramię i położyła na jego kolanach mały skórzany worek. W środku coś chlupotało.

- A to co? - Spojrzał przez palce. - Krew noworodków? Twoje poranne szczyny?

Z cichym cmoknięciem odetkała zatyczkę. Żarkowi zakręciło się w głowie od samych oparów.

- A, to tak się tutaj rozgrzewacie! - mruknął. - Niech będzie. Byle tylko nie słyszeć tego tam...

Przechylił worek nad otwartymi ustami i wlał spory łyk. Po gardle spłynął mu płomień, wysuszając przełyk. Odetchnął, rozpuścił na języku grudkę śniegu, a potem pociągnął znowu. Na niebie przemieszały się gwiazdy, te żółte z tymi prawie białymi. Spojrzał na góralkę i uśmiechnął się do niej. Oparł się lewą ręką w śniegu, zadarł brodę i jeszcze raz przytknął worek do warg.

Obudziło go łaskotanie na twarzy. Z trudem podniósł jedną powiekę, ale ostre światło dnia rozjątrzyło mu w głowie trzaskający ból. Zmarszczył nos, kiedy poczuł smród. Otworzył oczy, zamrugał.

Siedział okutany w gruby kozuch. Poruszane wietrzykiem włosie łaskotało

go po czole. Gdzieś w pobliżu nosa przebiegła wesz. W ramionach trzymał góralkę, spała z otwartymi ustami. Wesz przebiegła po jej górnej wardze i zniknęła we włosach za uchem.

- Co? Targ ci się nie udał?

Zobaczył przed sobą łydki Gudrun. Dwie smukłe, gładkie łydki. Zerwał się, góralka potoczyła się w śnieg. Ból głowy sprawił, że zachwiał się na nogach.

- Jezu, Gudrun! To już?

- Jeden piekielny dzień i jedna piekielna noc. To chyba wystarczy? - Patrzyła na niego, lekko wydymając wargi, z dłońmi splecionymi na plecach.

- Ale nie przeszkadzajcie sobie. Możemy pogadać potem.

- Nie, to nie tak! - Żarek podniósł garść zimnego puchu i przyłożył sobie do czoła. - Ty myślisz, że ja z nią... tego...

Góralka siedziała w śniegu i tarła rozspane oczy. Gudrun pokiwała głową, na jej czarnych włosach zaśniły płatki śniegu.

- Pewnie, w porządku. Tak tylko sobie siedzicie. Ale teraz zbieraj się, bo czas ruszać w drogę!

Zamiotła włosami i odeszła, rozbryzgując nogami śnieg.

Górale stali zbitą ciżbą, przytupując w miejscu. U ich bród wisiały cienkie sople. Żarek dogonił Gudrun i chwycił ją pod łokieć.

- Czekałem na ciebie, ale nie mogłem słuchać twoich krzyków! Spiłem się.

- Czuję. - Zmarszczyła nos i wysunęła ramię z jego ręki. - Lepiej nie pij tego więcej. Mocne jak cholera. Pędzą to na uszach.

Górale zarzucali wory na plecy, dopinali pasy. Żarek zarył się w śnieg piętami.

- Na czym?

- Na uszach. - Nie czekała na niego, dalej poszła sama. - Mówiłam ci, że to surowy kraj.



Od rana aż do południa górale szli równym krokiem, jeden za drugim. Rozciągnięty wąż przecinał stok na skos, omijając tylko większe zaspy. Póki mogli dostrzec za plecami na białej płaszczyźnie baby z dziećmi, stojące nieruchomo i patrzące za nimi, odwracali od czasu do czasu głowy i pokrzykiwali na pożegnanie. A potem wbili oczy w roziskrzony śnieg pod nogami i dalej szli w milczeniu.

Żarek pętał się gdzieś w ogonie pochodu. Czasem zaczerniły mu daleko z przodu włosy Gudrun, ale nie starał się jej gonić. Ból głowy powoli wietrzył na lekkim mrozie, choć obrzydliwy niesmak w ustach pozostawał. Próbował ssać śnieg, pomagało tylko na chwilę. Wreszcie skupił wzrok na plecach górala idącego przed nim i przestał o tym wszystkim myśleć. Trzeba było szybko wyrwać nogi ze śniegu, żeby nie zostać z tyłu.

Nie od razu zauważył poruszenie w pochodzie. Ludzie przystawali i oglądali się za siebie, psując szyk. Dopiero kiedy całkiem zgubił krok, podniósł głowę.

Gudrun stała z boku, w głębokim śniegu. Czekwała na niego. Przepuściła koło siebie cały sznur ludzi, a kiedy Żarek zrównał się z nią, chwyciła go za rękę i wyciągnęła z szeregu.

- Czego? - spytał niechętnie.

Popatrzyła na niego uważnie, jakby dawno go nie widziała.

- Co, jeszcze się boczysz? Jesteś gorszy niż stara baba.

- Ja się boczę? - Bardziej go zdziwiło to odwrócenie kota ogonem, niż zezłościło. - Od samego rana oglądam cię najczęściej od strony tyłka!

Na samym końcu szedł Twarda Czaszka. Kiedy ich mijał, rzucił jakieś krótkie pojedyncze słowo i splunął za siebie.

- Niedobrze - pokręciła głową Gudrun. - Coś za nami lezie.

Przez stok biegła prosta, ciemna krecha śladów górali. Wyżej i niżej leżał nieskalany śnieg. Żarek wspiał się na palce i osłonił ręką oczy.

- Nic tam nie widzę.

- Ja też nie. - Gudrun wzruszyła ramionami. - Ale my nie jesteśmy z Gór, a oni tak. Jeśli mówią, że coś lezie, to lezie.

- Człowiek? - Głos podniósł się Żarkowi o jeden ton wyżej.

- A jednak już chwytasz różnicę między tutejszymi ludźmi a zwierzętami! - uśmiechnęła się krzywo. - No, nieważne. Cokolwiek to jest, trzyma się na odległość. Jeśli nie będzie chciało, to go nie zobaczymy.

- Wolę, żeby nie chciało.

- Póki jest dzień, możesz być spokojny. Ale jak się ściemni, różnie może być. Chodź.

Poszła za góralami wydeptanym śladem. Stawiała wydłużone kroki, jakby wciąż nie zdążyła się nacieszyć odzyskaną swobodą chodzenia. Żarek jeszcze chwilę podreptał w miejscu, patrząc na śnieżną pustkę. Pomyślał, że gdzieś tam z tyłu może teraz wybałuszają się jakieś ślepia i patrzą prosto na niego. Zaswędziało go kark, pobiegł za Gudrun.

Słońce zaczęło się już zniżać, kiedy górale zaczęli sięgać do swoich worów po jedzenie. Nie zatrzymywali się, tylko pchali wielkie kawały mięsa pod policzki i żuli idąc. Jeden z nich podetknął Gudrun pod nos otłuszczony gnat, ale nie przyjęła go.

- Co cię tak odmieniło? - Żarek położył dłoń na żołądku. - Sumienie czy obrzydzenie?

- Jeśli miałabym dzięki temu przeżyć, zjadłabym. Ale nie muszę. Po ostatniej nocy jestem taka... no, czuję, jak kipi we mnie życie. To chyba tak właśnie powinno być po tym, co połknęłam. Mam zapas sił na najbliższe parę dni.

- Jak zwykle. Ty zawsze masz dobrze, a ja jak ten pies parchaty. Z dnia na dzień!

- A kto ci bronił łyknąć jedno jajo? Mnie wcale nie były potrzebne dwa!

- Nie wziąłbym od ciebie nic. Nigdy.

- Znowu zrzędzisz! - Wsadziła rękę za koszulę i pogmerała chwilę. To, co wyciągnęła, sprawiło, że Żarkowi pociekła po brodzie ślina.

- Jabłko? Skąd masz?

- A zachowałam jedno na trudne czasy Ale ty pewnie jesteś zbyt porządny, żeby brać od takiego potwora, jak ja. - Przerzuciła pomarszczony owoc z ręki do ręki i uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Sprawia ci to przyjemność, żmijo? - warknął Żarek.

- Dobra, przecież ci nie wmuszam. - Podniosła jabłko do ust i lekko nagryzła. - Zjadłabym sama, ale naprawdę nie jestem głodna.

Odwróciła się, wzięła głęboki zamach i odrzuciła owoc jak najdalej. Jabłko spadło w puszystą zaspę i utknęło głęboko. Żarek zatrzymał się i otarł ślinę z drżącej brody. Z całych sił walczył ze łzami napływającymi do oczu.

- Czemu mi to robisz?

Stała naprzeciw niego, chwyciła oburącz jego głowę i przyciągnęła do siebie.

- Żebyś raz wreszcie ogarnął swoim wątlym rozumkiem, że póki jesteśmy w tym kraju, póty jesteśmy na siebie skazani. Ty na mnie i ja na ciebie. Jeśli mamy przeżyć, musimy trzymać się razem.

Przycisnęła wargi do jego warg, aż zęby stuknęły o zęby. Kiedy wypuściła z dłoni jego głowę, zachwiało się na nogach.

- A poza tym nie lubię, jak się mnie zostawia dla jakiejś brudnej karlicy! Teraz idź po to jabłko, bo następne żarcie będzie dopiero jutro.

Dopadł zasy w kilku skokach. Trzęsły mu się ręce, kiedy odrzucał śnieg na boki. Serce mu waliło, policzki miał czerwone.

- Jezu! Nie ma!

- Jak to nie ma? - Gudrun zrobiła w jego stronę krok, ale przystanąła. - Szukaj dobrze!

Usłyszał ciche, pospieszne mlaskanie. Wyciągnął ręce ze śniegu i wyprostował się powoli. Obejrzał się jeszcze na Gudrun, a potem chwycił nóż i obszedł zaspę z drugiej strony.

Diabeł siedział skulony w niszy wygniecionej w zaspie. Podniósł łeb i spojrzał na Żarka przekrwionymi ślepiami. Oblizwał się długim czarnym jęzorem, odbiło mu się głośno. Sierść na jego barkach i plecach pokryta była szronem.

Skrzypnął śnieg i Gudrun stanęła koło niego. Diabeł opuścił powieki, a potem z widocznym wysiłkiem podniósł je znowu. Wyglądał, jakby zasypiał.

- Schowaj nóż - powiedziała cicho Gudrun. - On jest niegroźny.

Wycofali się tyłem, odeszli kawałek. Diabeł wystawił ponad zaspę rogaty łeb i patrzył za nimi.

- Co z nim jest? - Żarek na chwilę zapomniał o głodzie. Ślepią diabła budziły w nim dziwne uczucia. Inne niż strach.

- Chyba odrzuciła go wataha po tym, jak zrobiłeś z niego rzezańca. Musiał stracić wiele juchy. Ledwo dycha.

- Ale czemu lezie za nami? - Żarkowi się zdawało, że rogi diabła wiszą coraz niżej nad śniegiem.

- Nie za nami, tylko za tobą. Tak to już z nimi jest. Albo rządzą, albo służą. Inaczej nie umieją. Ty go powaliłeś, no to teraz jest twój.

- Ale ja go nie chcę!

- Wiem - skrzywiła się. - A kto by chciał? Ale nie przejmuj się. Ten tutaj jest za bardzo osłabiony, żeby iść dalej. Nie da rady, padnie.

Diabeł wyprostował na śniegu łapy i spróbował podciągnąć się do przodu. Zakrzywione pazury bezradnie szukały zaczepienia, ale udało mu się



podczołgać trochę w górę. Podniósł ogon, majtnął w prawo i w lewo. Widać było, że męczy go słońce, ale nie zamykał ślepi.

- Może by tak... - Żarek podrapał się po głowie. - Jakoś, nie wiem...

Gudrun spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem.

- No co? Miękniesz? On zeżarł twoje jabłko.

- A co miał zrobić? Przecież mu rzuciłaś!

- Żarek! Przed chwilą chciałeś o to jabłko skoczyć mi do gardła!

- Ale mi przeszło. Nie mogę go tak zostawić. To w końcu też stworzenie boskie. Tfu! - Teraz dopiero schował nóż.

- Może i nie boskie, ale stworzenie. No, co się tak gapisz?

Gudrun ciągle szukała wzrokiem jego oczu, choć czoło jej się wygładziło. Uśmiechnęła się, bez szyderstwa, ale i bez radości. Jakoś smutno.

- Chyba jednak nie jesteś takim kmiotem, za jakiego cię miałam.



Kiedy weszli między pierwsze przywalone czapami śniegu drzewka i Twarda Czaszka zatrzymał pochód, Żarek padł na kolana. Rozluźnił ramiona, a wtedy owłosione łydki diabła wysunęły mu się spod pach. Był zły na własną litość, która kazała mu wlec go za nogi przez pół dnia. Był zły na górali, którzy zamiast mu pomóc, obchodzili go z daleka, i na Gudrun, za ten jej z trudem duszony śmiech. Roztarł na twarzy garść śniegu, głośno parsknął, a potem obejrzał się przez ramię. Diabeł leżał na grzbiecie bez ruchu, z łapami splecionymi na brzuchu i oszronioną bródką. Za nim ciągnął się wyryty w śniegu podwójny ślad rogów. Przez dwie wążutkie szparki między powiekami patrzył, jak Żarek wstaje na nogi.

- Ciężki?

Żarek mógłby wydrapać jej oczy tylko za to, że były takie wesołe. Musiała

to wyczuć, bo zatrzymała się kilka kroków od niego i nie podchodziła bliżej.

- Pewnie, że ciężki! — burknął. — Jak trzech albo nawet i czterech ludzi. Gdyby tylko ktoś mi pomógł...

- Górale go nie dotkną, brzydzą się. - Gudrun przekrzywiła głowę. - Widać mają swoje zadawnione żale.

- Ale ja tak dalej nie dam rady!

- Nie musisz. Sama się dziwię, czemu nie pozwolisz mu iść na własnych kopytach.

Żarek bezgłośnie otworzył usta, a potem je zamknął. Sposób, w jaki diabeł strzygł uszami, słuchając ich głosów, nagle wydał mu się pełen wyczekiwania.

- Przecież on jest ranny!

- Był. Nie ma na świecie drugiej takiej istoty, na której rany goją się tak szybko.

Żarek zrobił krok w stronę Gudrun, a ona dwa w tył. Diabeł podniósł łeb, zostawiając odcisnięty w śniegu rogaty kształt.

- To czemu leży jak kłoda?

- Bo mu kazałeś.

- Ja? Kiedy?

- Kiedy zaczynałeś go wlec. Sama słyszałam, jak mu powiedziałeś, żeby się nie ruszał.

Żarek zacisnął zęby i poszedł wzdłuż rozciągniętego cielska. Przykucnął przy łbie i pochylił się nad lekko odsłoniętymi kłami.

- Niby jak mógł mnie zrozumieć? Nie zna mojego języka.

- Jest diabłem. - Gudrun rozłożyła ręce i teraz całkiem jawnie pokazała w uśmiechu zęby, ze szczerbą pośrodku. - Diabły zawsze rozumieją, co gadają ludzie.

Żarek czuł, jak z twarzy paruje mu pot. Wystające kły diabła zlały mu się

w jedno z uśmiechem Gudrun. Podniósł się, założył ramiona na piersi.

- Wstań!

Diabeł skoczył na nogi tak żwawo, jakby na nic innego nie czekał. Otrzeptał się ze śniegu jak pies. Żarek musiał wysoko zadrzeć głowę, żeby nie stracić z oczu jego pyska. Kiedy odwinął wargi aż po czarne dziąsła, nie mogło być wątpliwości, że to objaw zadowolenia.

- A jak mu teraz rozkażę, żeby ci rozwalił głowę, to co się stanie?

Diabeł podniósł łapy, a na końcach jego palców wysunęły się zakrzywione pazury. Żarek nie chciał odwracać się do niego tyłem, dlatego pozwolił sobie tylko na jedno króciutkie spojrzenie na Gudrun. Wyraz jej twarzy sprawił mu tak głęboką przyjemność, że aż ciarki przeszły mu po plecach.

- Takie żarty wcale nie są śmieszne, Żarek.

- E, naprawdę tak myślisz? Mnie się podobało! - Poklepał diabła po kolanie. - Dobry czorcik, dobry! A ty nigdy więcej nie rób ze mnie głupka, bo wtedy bardzo źle o tobie myślę. A jak myślę, to i mówię. A jak mówię, to on słucha. A jak...

- Dobra. - Gudrun niecierpliwie klasnęła w dłonie. — Najpierw spróbuj go jakoś uspokoić.

Diabeł puścił z nozdrzy dwa strumienie pary. Stał na przygiętych kolanach gotów do skoku i wyczekująco strzygł uszami.

- Znikaj! - powiedział Żarek i pstryknął palcami.

Tym razem była krótka, ale wyraźna chwila wahania.

Diabeł podniósł ogon, okręcił się na pięcie i charknął głucho, z głębi piersi. Ale zaraz potem rzucił się na głęboki śnieg łbem naprzód, jakby skakał do wody. Śmignęły kopyta, zawiercił się chudy zad i już go nie było. Lekko wypukła warstewka śniegu poruszała się prawie niedostrzegalnie w miarę, jak oddychał.

- Nie zamarznie? - zaniepokoił się nagle Żarek i urwał, bo wyprostowany

palec Gudrun był tuż przy jego nosie.

- Jeśli jeszcze kiedyś się tak rozdokazujesz - warknęła - nie wybroni cię przed moim mieczem nawet cała diabła wataha!

Wczesny zimowy wieczór najpierw omiół góry porywistym wiatrem, a potem zaczął jedna po drugiej zapalać na niebie mrugające gwiazdy Górale stłoczeni w jednym miejscu owinęli się kożuchami aż po skołtunione czubki głów i kładli się do snu prosto w śniegu. Gudrun pokręciła się chwilę koło smutnych kikutów drzew, a potem zniknęła Żarkowi z oczu. Spod pokładów zmęczenia i sprzecznych wrażeń znowu coraz natarczywiej zaczął się przebijać głód. Żarek wymościł sobie w śniegu zagłębienie i położył się w nim skulony, z kolanami pod brodą. Tylko sen stanowił ucieczkę przed dręczącymi myślami o jedzeniu. Stopniowo, coraz szybciej napływała drętwa, która nie przynosiła ulgi.

Coś wybiło go ze snu tak nagle, że z początku nie mógł skupić rozlazłych myśli. Usłyszał to znowu - coś jakby głuche, jednostajne powarkiwanie. Ucichło, zawarczało, ucichło. Zmarszczył czoło, ale się nie poruszył. Odgłos nie mógł dobiegać z daleka, bo wywoływał drżenie śniegu, który z brzegu jamy osypywał się do środka. Im bardziej Żarek starał się to zrozumieć, tym bardziej rosła w nim pewność, że umyka mu coś bardzo ważnego. Był już blisko, bardzo blisko, kiedy skrzypienie kroków zmieszało ciąg jego myśli. Czarna postać przesłoniła mu gwiazdy.

- Nie śpisz?

- Gdzie cię nosi po nocy? - Usiadł i przetarł oczy.

Gudrun wsunęła się pod kożuch i przytuliła się do jego boku. Była przemarznięta, szczękały jej zęby.

- Szukałam czegoś do żarcia. Czegokolwiek. Ale tutaj nic nie ma, tylko zeschła trawa pod śniegiem. - Zadrzała.

- Byłam nawet przy worach górali.

- I... co? - Żarek mimo woli odsunął się trochę.

- I nic.

Wmawiał sobie, że go to nic nie obchodzi, ale i tak się ucieszył.

- Mówiłaś, że przez parę dni nie będziesz potrzebowała jedzenia.

- Kłamałam. Żebyś w końcu zeżarł to cholerne jabłko.

Dziwny odgłos powtórzył się, śnieg osypał się im na twarze. Gudrun umościła się głębiej i zamknęła oczy.

- A temu twojemu koziołkowi też nie jest lekko - wyszeptała sennym głosem. - Gra mu we wnętrznościach, że hej.

Żarek zeszywniał. To było tak oczywiste, że aż bał się wypowiedzieć na głos to, o czym pomyślał.

- A co jedzą diabły? - zapytał ostrożnie.

- To, co upolują. Mają węch i słuch lepszy od wilka. No i widzą w nocy, jak ty w dzień.

Jeszcze kilka razy szczęknęła zębami, ale potem nagle przestała. Oboje bez słowa wygrzebali się spod kożucha i wystawili głowy z jamy. Żarek odchrząknął.

- Ty! Diabeł!

W księżycowej poświacie ze śniegu wyrosła para rogów i rzuciła dwa długie cienie.

- Wstań.

Szelest śniegu był jedynym odgłosem, który naruszył ciszę nocy. Z wysoka, spomiędzy gwiazd zaświeciły ślepie, które miały barwę rozpalonego w ogniu żelaza.

- Upoluj coś i przynieś nam.

Żarek miał wrażenie, że jeszcze nie dopowiedział ostatniego słowa, a diabeł już pędził po stoku z pochyłym łbem, jak nacierający baran. Wśród górali ktoś krzyknął ostrzegawczo, brzęknęły miecze. Żarek wyskoczył z jamy i zamachał rękami.

- Nie! Ludzi nie! Szukaj gdzieś dalej!

Przez chwilę wydawało się, że jest za późno. Diabeł nie zwolnił ani nie zmienił kierunku biegu. Na jego spotkanie wysunęło się kilkanaście ostrzy, w których odbijały się gwiazdy. Ale parę kroków przed góralami diabeł odbił się z obu nóg, przeleciał nad ich głowami i zarył kopytami w śniegu po drugiej stronie. Wstał, wyprostował się i zaryczał z całej piersi w czarną przestrzeń. Potem zniknął w ciemnościach, ale cichnący pogłos jego ryku jeszcze przez jakiś czas tłukł się między szczytami.

Tej nocy Żarek i Gudrun zjedli na surowo tłustego gryzonia, którego nazwy woleli nie zgadywać.

## R O Z D Z I A Ł X X I I

To była pierwsza noc, która przyniosła ze sobą prawdziwy mróz. Nie taki, który szczypie nosy i policzki, ściska palce i osadza ludziom ich własne oddechy bielą na brodach i wąsach. Prawdziwy. Taki, przy którym boli każdy powiew wiatru, a głowę ściska lodowa obręcz. Taki, który rozszczenia dęby i odmraża łapy wilkom i lisom. Straszny, północny, górski mróz.

Górale wiedzieli, że przyjdzie. Jeszcze przed zmierzchem patrzyli na dalekie wierchy i szeptał między sobą, słuchali wiatru. Przyspieszyli kroku w pochodzie. Kiedy znaleźli dobre miejsce na nocleg, z trzech stron osłonięte od wiatru nierównymi wybrzuszeniami stoku, nie chcieli iść dalej, chociaż do zmroku zostało jeszcze trochę czasu. Gudrun skłęła ich, naurągała Twardej Czasce, ale on nie zważał na nią bardziej niż na bzykającą muchę. Wreszcie sama zakasała rękawy i wzięła się za rąbanie drewna na opał.

Żarek przedarł się przez głęboki śnieg na szczyt wybrzuszenia. Kilka razy zapadał się w zaspy powyżej pasa, ale wtedy diabeł chwycił go za kożuch na grzbiecie i dźwigał do góry. Chłopak myślał, że stamtąd zdoła dojrzeć coś w dole ponad wierzchołkami drzew, ale zawiódł się. Przed nim zbocze schodziło do niewidzialnego morza, a las rósł gęsto, pień przy pniu.

- Czego sterczycie na widoku! Jeszcze was ktoś wypatrzy! - Gudrun wbiła topór w ociosany pień i wyprostowała plecy. - Na ciebie można by machnąć ręką, ale twojego rogacza nikt przecież nie pomyli z jelonkiem.

- Boruta, hop!

Ześlizgnęli się w dół na zadkach, wzbijając nad sobą śnieżną kurzawę. Gudrun patrzyła koso, jak Żarek zbiera się na nogi, otrzepując gacie, a diabeł

z radości wywala czarny ozór.

- Boruta? - Oparła łokieć na trzonie topora. - Więc tak go nazwałeś?

Żarek lekko poczerwieniał. Ale to mogło być od pędu zimnego powietrza, kiedy zjeżdżał po zboczu.

- Jakoś przecież musi się nazywać. A w moich stronach Boruta to dobre imię dla... takiego jak on.

- Dobra, dobra! - Gudrun podniosła otwarte dłonie. - Tylko za bardzo się sobą nie zauroczcie, bo tym boleśnieszka będzie rozłąka.

- Jeśli masz tak szydzić, to już lepiej idź sobie powrzeszczyć na Twardą Czaszkę!

- Nie szydę. Przypominam ci tylko, że ty masz swój świat, a on ma swój. Tak zawsze było i tak będzie. Teraz jesteście razem, bo taki mamy parszywy czas. - Splunęła, a jej ślina bardzo szybko zmieniła się w pęcherzykową bryłkę lodu. - Ale to się skończy. I wtedy co?

- Inaczej mówiłaś, kiedy go wyciągałem z zasy.

- Pewnie, że inaczej. Podziwiałam cię, bo okazałeś wielkoduszność. - Wydęła wargi. - I głupotę.

Żarek odszedł na drugi kraniec wydłużonej dolinki. Skrzypiące człapanie, które nie ustawało za jego plecami, nagle bez powodu go rozzłościło. Kopnął zmrożoną śniegową skibkę, która przy zachodzącym słońcu rozpadła się na setki mrugających gwiazdeczek.

- A ty za mną nie łaź! - syknął. - Jak mi się zachce psa, to sobie jakiegoś przygarne.

Znalazł sobie ciche miejsce pod pochyłym drzewem i usiadł między jego korzeniami, naciągając kozuch na głowę. Zrobiło mu się ciepło i sennie. Jednym palcem rozgarnął w kozuchu szparę i spojrzął przez nią na ciemniejącą dolinkę. Górale kończyli układać stos drewna. Gudrun wymachiwała rękami przed nosem Twardej Czaszki, a blizna na policzku



górala zmieniała barwę z sinawej na czerwoną.

Boruta stał nieruchomo w tym samym miejscu, w którym go zostawił. Patrzył ciągle na Żarka, z wywiniętą dolną wargą i ogonem przyciśniętym do nóg.

Zimno.

Obudziło go złe, pełznące po ciele zimno. Ktoś próbował zderzyć z niego kozuch, a on z całych sił zaciskał na nim sztywne palce. Lodowate powietrze, które wdarło się przez szparę, spędziło mu z oczu resztki snu.

- Żarek! Wyłaż, bo się już nigdy nie obudzisz!

Gdyby udało mu się naciągnąć kozuch z powrotem, nie usłuchałby. Ale Gudrun wyczekała, aż osłabnie jego czujność, a potem szarpnęła kozuch mocno, obiema rękami. Miał uczucie, jakby uderzenie mrozu wgniało go w śnieg.

- Jezusie! - wystękał. - Dawaj kozuch!

- Wstawaj! Musisz się ruszać. Nie jesteś niedźwiedziem, nie przeżyjesz takiego snu.

Spróbował się podnieść, ale zaraz musiał niezdarnie podeprzeć się rękami. Nie czuł nóg od kolan w dół. Wydawało mu się, że przy każdym ruchu trzeszcza mu stawy.

- Obejmij mnie za szyję! Tak. Oddychaj przez nos. - Gudrun miała białe wargi, jej głowę otaczał obłok pary. - I ruszaj się. No!

Najgorzej było rozprostować się po raz pierwszy, bo wtedy mróz wdarł się przez skórę do krwi i do kości. Zamierał oddech, a serce przyczaiło się bez ruchu. Musiał postawić pierwszy krok, a potem następny, walcząc z zimnem przenikającym do mózgu. Dalej było już łatwiej. Krew znowu zaczęła krążyć, wystukując swoje przypływy bolesnym ukłuciem w palcach u stóp. Oddech, najpierw przyspieszony i urywający się po każdym kroku, powoli się uspokajał. Zęby zakleszczyły się w zwarciu, ale tak było lepiej, bo ich szczękanie nie odbijało się w głowie echem.

Droga do ognia trwała tyle, ile wynosi odległość od śmierci do życia. Ruchliwa jasność, rozpychająca noc, dymiąc unosiła do księżyca powykrzywiane cienie ludzi. Ciepło pojawiło się dopiero później, kiedy Żarek był już na tyle blisko, żeby widzieć pojedyncze żółte jęzory. Najpierw wyczuł zmianę w powietrzu, które wciągał do płuc. Potem ustąpił lodowaty ucisk na skroniach i Żarek mógł zamrużyć, żeby zetrzeć z oczu mgłę. Przestał ścisnąć szyję Gudrun i ruszył naprzód sam. Gorąco buchnęło mu w twarz, rozkrzyżował ramiona.

- Stój, bo wleziesz w ognisko!

Odgiał się do tyłu, kiedy Gudrun wczepiła się pięścią w jego włosy. Osunął się na kolana. Huczał ogień, huczało mu w głowie. Krzyk Gudrun sprawiał mu ból.

- Nie tak, nie tak! Z przodu cię spali, a z tyłu zmrozi. Będziesz wył w męczarniach, zanim umrzesz. Biegaj!

Otworzył oczy, dźwignął się. Górale krążyli wokół ognia jak wielkie ćmy, huk płomieni głużył ich kroki. Żarek poszedł powoli do przodu. Zderzył się z kimś, ale ustał. Chwiejnie włączył się w ich koło. Ktoś nadepnął mu na piętę, ktoś inny łokciem prawie wepchnął go w płomienie. Pobiegnął. Przed sobą miał węzłasty kark górala, za sobą świst czyjegoś oddechu. Raz i drugi mignęły mu zielone oczy Gudrun. Ciepło zaczęło wsączać się w niego powolutku, a krew rozprowadzała je po całym ciele. Odżywał.

Myśl o Borucie uderzyła go tak nagle, że się potknął. Wbił oczy w bok, w ciemność, ale w miarę jak biegł, obracała się wokół niego tylko zwarta noc. Z drugiej strony, ponad ogniem, wypatrzył włosy Gudrun lśniące na jej kożuchu jak smugi mokrej sadzy. Zwolnił, przepuścił koło siebie kilku sapiących górali. Kiedy się obejrzał, Gudrun była już za nim.

- Biegaj, biegaj! - wydyszała mu w policzek. - Mam ci wetknąć rozżarzoną szczapkę w tyłek?

- Gdzie Boruta?

- W piekle! - Charknęła mu kropelkami śliny w twarz, wargi wykrzywił jej gniew. Chciała go uderzyć łokciem w żołądek, ale nie trafiła. Żarek zwolnił jeszcze bardziej, a ona klnąc i potykając się, pobiegła dalej. Obejrzała się za nim, ale Żarek gładko wysunął się z kręgu biegnących i zaraz zasłoniły ją czyjeś plecy.

Przystanął, odwrócił się plecami do ognia. Pamiętał, że musi iść cały czas w górę dolinki, ale to był jedyny pewnik. Za rozmazaną granicą, gdzie gasł czerwonożółty śnieg, mogło być wszystko i nic. Ruszył w noc. Po dwóch krokach ciepło spłynęło z jego karku, pleców i pośladków. Po dwóch następnych mróz wessał mu brzuch pod żebra, wbił głowę w ramiona i ponaciągał wszystkie ścięgna. Pragnienie powrotu było natychmiastowe i oczywiste, jak marzenie tonącego o oddechu. Ale nie zawrócił. Suwał pięty po zmrożonej gładzi i łykał powietrze, które wnikało w każdą dziurkę w zębach jak rozpalona igła. Dygotał, rzeził, ale szedł. Łzawiące oczy powoli zaczęły łapać jakieś szare kształty, pnie drzew, wybrzuszenia zasp. Noc podszyta mrozem ogarniała go krok po kroku, wolniutko, ale nieustępliwie.

Pewnie nie znalazłby Boruty, gdyby nie wpadł na niego w ciemności. Uderzył czołem w coś twardego i głowa odskoczyła mu w tył. Najpierw pomyślał, że to drzewo, ale namacał palcami zeszywniałe od zimna włosie.

Diabeł był zimny, sztywny i szorstki. Ciągle tu stał, nie ruszył nawet kitą na ogonie. Żarek obszedł go bokiem, stanął przed nim i podniósł głowę. Nie mógł zobaczyć jego pyska, ale zdawało mu się, że ślepie wciąż błyszczą jak dwa oblodzone płatki róży. Umarł, stojąc. Umarł, patrząc i czekając.

Żarka ogarnęła senność. Nie żal, nie strach, tylko senność. Osunął się na śnieg, trąc policzkiem o goleń Boruty, a twarda sierść drapała mu skórę jak kolce. Wiedział, że to koniec. Ale najpierw chciał zasnąć. Zasnąć, żeby przespać ten straszny mróz.



Dalekie światełka między drzewami zapalały się i gasły. Skakały do góry i w dół, krążyły wokół siebie, scalały się i rozdzielały. Wyglądały jak róż świecących muszek, które w gorącą, letnią noc cicho mrugają nad paprociami. Były piękne, spokojne i łagodne. Zbliżały się.

Pierwszą trzeźwą myślą Żarka było zdziwienie, że jeszcze nie umarł. Mógł patrzeć, mógł wodzić za światełkami wzrokiem i czekać na to, co stanie się dalej. Potem zaniepokoił się. A może jednak? Może taka właśnie jest śmierć? Zaciśnął dłonie w pięści. Rozluźnił, zaciśnął znowu. Palce go słuchały i nie czuł przy tym żadnego bólu. Podciągnął kolana pod brodę i usłyszał, jak w ciemności osypuje się z nich śnieg. Ruszył głową, zamarł. Coś go trzymało. Szarpnął mocniej, a wtedy przymarznięta do policzka sierść diabła puściła. Każdy włoszek pokryty lodową skorupką wydał swój własny cichy trzask. Żarek oparł się ręką w głębokim śniegu i natrafił na twarde sklepienie stopy. Wtedy po raz drugi pomyślał o śmierci. Przyszło mu do głowy, że nawet jeśli umarli oboje, on i diabeł, to trafili do całkiem innych piekieł. Jemu było ciepło i mógł się ruszać, a Boruta stał jak lodowy słup czekający na wiosnę, kiedy wreszcie będzie go mogła wchłonąć rozmiękła po roztopach ziemia.

Wstał lekko. Gdzieś w gardle załaskotało go zadowolenie, jakie daje poczucie sprawności własnego ciała. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak dobrze. Przeciągnął się szeroko, a stawy jeden po drugim wskakiwały na swoje miejsce. Czuł głód, ale nawet to było przyjemne, jak zapowiedź nasycenia. Ziewnął i rozejrzał się.

Ognisko górali przypłaszczyło się i snuło smolisty dym tuż nad ziemią. Ciągłe biegali, a śnieg pod ich stopami był ubity na kamień. Dudnienie ich kroków przewalało się przez brzegi dolinki i gasło w gęstwinie. Spróbował znaleźć wśród tych migocących cieni Gudrun, ale nie udało mu się. Może przykucnęła na chwilę przy ogniu, a może po prostu padła, a górale wdeptali ją w śnieg. Żarek zmarszczył czoło i zbierając myśli, zastanowił się, czy jej brak powinien go martwić. Nie wiedział. A skoro nie wiedział, to przestał

sobie tym zaprzętać głowę.

Spojrzał w stronę lasu, uniósł brwi. Przez ten czas, kiedy patrzył na ognisko, światełka bardzo się przybliżyły. Widział już, że to są drgające płomyczki, płynące przez noc między drzewami na wysokości ludzkiej głowy. Pochodnie! Ucieszył się. Nie wiedział, skąd ta radość się w nim bierze, i nie chciało mu się tego zgłębiać. Zmrużył oczy i wyciągnął szyję. Wokół płomyczków tworzyły się kuliste pęcherze światła, o brzegach różnobarwnych jak rozmazana tęcza, ale poza nimi trudno było coś zobaczyć. Drzewce pochodni, zarysy smukłych dłoni. Rozbłysk odrzucanych do tyłu włosów, jakiś ruch na samej granicy jasności. Cichy, wesoły, przyjazny śmiech.

Nogi mu się wrywały, żeby wybiec naprzeciw światłu i zajrzeć w twarze tym, którzy nadchodzą. Czuł, że spotka między nimi kogoś, kogo zna. Kogoś, kto przyłoży dłoń do jego skroni, ukoi i odpowie na każde pytanie. Ale nie ruszył się, bo samo oczekiwanie też było piękne. W kącikach oczu zebrały mu się ciepłe łzy i spłynęły wzdłuż nosa, kiedy powiał wiatr.

Światła kolejno znikwały, kiedy schodziły do podnóża wybrzuszenia od strony lasu, ale Żarek nie zdążył się zmartwić zgaśnięciem żadnego z nich, bo zaraz znowu rozbłysły na grzbiecie. Westchnął, jak wzdycha się po powrocie do domu z bardzo dalekiej podróży. Płomienie pochodni zbliżyły się do siebie, ich poświata zlała się u góry w jedną półkolistą zorzę. Po stromym zboczu do dolinki spływała jasność. Łagodnie otulała pojedyncze drzewa i krzewy, mieniając się na śniegu jak złoty piasek. Dotknęła stóp Żarka, objęła kolana, a potem zalała go całego, odgradzając od mroźnej nocy. Ogrzewała ciało i myśli, głaskała, łagodziła, koła.

Teraz mógł wreszcie zobaczyć wszystko. Patrzył, szeroko otwierając oczy, powstrzymując się od mrugania, żeby niczego nie uronić.

Młode dziewczyny stały nad dolinką, a ich szare cienie tańczyły na zboczu. Były nagie. Światło pełgało na ich jasnej skórze. Kiwały się w

biodrach jak jodełki na wietrze, każda z wysoko uniesioną pochodnią. Rozpuszczone włosy to zasłaniały im twarze, to uciekały na plecy, pokazując roziskrzone oczy i białe zęby. Były piękne. Olśniewały swoją urodą aż do zaniemówienia, do drżenia kolan. A mimo to patrzyły przychylnie, a kiedy się śmiały, to bez kpiny. Nie przywoływały Żarka, nie przynaglały go. Czekały, aż sam przyjdzie.

Kiedy do nich biegł, jego stopy prawie nie zagłębiały się w śniegu. Pchało go uniesienie i tęsknota. Płomienie były coraz bliższe, coraz jaśniejsze, ale nie raziły oczu. Podświetlone od spodu drzewa szumiały uroczyście, a kiedy od czasu do czasu z gałęzi osypywał się śnieżny nawis, opadał powoli, jak ognisty deszcz. Skłon wybrzuszenia łagodniał, ciemność w dolince skapywała coraz niżej. Jeszcze kilka kroków i Żarek stanął na górze. Każda z pochodni płonęła nad nim jak osobny księżyc.

Otoczyły go. Ich bose stopy rozmigotały się na śniegu. Podchodziły bliżej i cofały się, przekrzywiając głowy, patrzyły na niego z ciekawością dzieci. Uśmiechały się, a on odwzajemniał uśmiech. Nie wstydziły się swojej nagości, nie próbowały się niczym zasłaniać, ale też nie było w ich ruchach żadnego wyuzdania. Miały dobre i mądre oczy. Wyciągały ręce, jakby chciały dotknąć jego czoła, ale nie robiły tego. Poruszały wargami w szepcie zbyt cichym, żeby mógł go zrozumieć.

Poczuł na karku muśnięcie palców i odwrócił się. Miał w sobie tylko szczęście i spokój, nie zostało już miejsca na zaskoczenie. Powiał wiatr i zburzył rude włosy, które załaskotały go w policzki. Wydzielały zapach, który znał. Kiedy opadły na ramiona, mógł cały zanurzyć się w głąb oczu, które kochał. Przygarnął ją do siebie, zamknął ramiona na jej plecach, a pochodnia z sykiem upadła na śnieg i zgasła.

Drgnął, kiedy nagle łopatki zbiegły jej się przy kręgosłupie. Obwiła w jego uścisku. Nie wiedział, co się dzieje. Wyprostował się i spojrzał jej w twarz. Jeszcze złapał jej spojrzenie, chociaż źrenice już mętniały. Wydawało mu się, że nie zdążyła mu powiedzieć nic z tego, co chciała. Przez jej dolną

wargę na brodę przelała się stróżka krwi.

Serce mu zlodowaciało. Ułożył ją bokiem na śniegu i oparł jej głowę na swoich kolanach. Trzęsącymi się rękami sięgnął ponad jej ramieniem i znalazł to, czego szukał. Nóż tkwił wbity w jej plecy po samą rękojeść. Żarek nie płakał. Nawet nie jęknął. Pozwolił stygnącej głowie ześlizgnąć się z kolan, wyszarpnął nóż spomiędzy łopatek i wstał.

Było ciemno. Dziewczyny z pochodniami zniknęły, tylko ich ślady ciemniały na śniegu, rozbiegając się we wszystkie strony. Żarek ścisnął w dłoni znajomy kształt kościanej rękojeści i poszedł w mrok.

Gudrun nie uciekała. To chyba sprawiło, że się na chwilę zatrzymał. Stała oparta bokiem o drzewo, z opuszczonymi rękami, i patrzyła na niego źrenicami powiększonymi w ciemności.

- Idę, żeby cię zabić - powiedział.

- Nie dasz rady. - Miała zmieniony głos, jakby z trudem poruszała ustami.

- Sam już prawie jesteś martwy. Zamarzasz.

Podniósł nogę. Zachwiał się i upadł na twarz, jak podcięte drzewo. To było wszystko, co mógł zrobić. Widział na śniegu swoją dłoń zaciśniętą na nożu, ale już nie mógł poruszyć ręką. Jakaś kłębiasta mgła zaczęła gęstnieć mu przed oczami, a razem z nią przychodziło zobojętnienie.

Usłyszał, że Gudrun się zbliża. Nie zatrzymała się, przekroczyła go i poszła dalej. Potem przez długą chwilę trwała cisza, a Żarek kilka razy tracił przytomność. Kiedy ją odzyskiwał, mgła przed jego oczami była coraz bardziej nieprzenikniona.

- Nie. Tak łatwo ci nie pójdzie! - Ocknął się znowu, poczuł, że Gudrun ogrzewa mu własnym oddechem oczy, nos i wargi. - Jeszcze nie. Najpierw przyjrzyj się temu.

Coś głucho uderzyło w śnieg koło jego twarzy. Zmrużył oczy, a wtedy mgła zaczęła się rozpraszać.

- Urznęłam jej łeb, żebyś sam zobaczył, co obściskiwaleś. - Jej głos był raz

dalej, raz bliżej. - Przyjrzyj się dobrze. Bardzo dobrze.

Przerażenie było mocniejsze niż oblepiająca go niewidzialna pajęczyna śmierci. To, na co Gudrun kazała mu patrzeć, wyglądało jak zasuszona główka przedwcześnie urodzonego płodu. Jak coś, co dopiero mogłoby stać się człowiekiem. Albo było nim kiedyś, bardzo dawno temu.

- To jest wiła. Umie wyglądać tak, jak człowiek chce, żeby wyglądała. Ale taka jest naprawdę. - Gudrun ledwo mówiła, głos więznął jej w gardle. - Kto nie umie odwrócić oczu, kiedy ją spotyka, ten zdycha.

Odkopnęła głowę na bok i przykucnęła tak, żeby Żarek mógł ją widzieć. Jej oddech był spowolniony jak we śnie. Odezwała się bełkotliwie i wtedy dopiero zrozumiał, że ona też zaczyna zamarzać.

- A teraz, jeśli ciągle jeszcze chcesz mnie zabić, to pomogę ci. Położę się przy tobie i umrzemy sobie razem, a górale znajdą nas o świcie i ułożą o nas jakąś głupią, rzewną pieśń. Ale mogę cię też zaciągnąć do ogniska. Nie wiem, czy wystarczy mi sił, ale spróbuję. Muszę tylko wiedzieć, że ty też tego chcesz.

Oczy były ostatnim miejscem na jego ciele, nad którym jeszcze miał władzę. Opuścił do połowy powieki, a potem je podniósł. Gudrun poklepała go lodowatą dłonią po policzku, chwyciła pod ramiona i zaczęła ciągnąć w dół stoku.



- Pst!

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był czarny od sadzy palec Gudrun. Przyciskała go do warg patrząc z bliska w oczy Żarka i czekała, aż wróci do nich przytomność. Chciał wstać, ale Gudrun oparła łokieć na jego piersi.

- Cicho.



Leżał na wznak, na rozścielonym kozuchu. Niebo, które prześwitywało przez włosy Gudrun, było czyste i dalekie. Obrócił głowę. Odbite od śniegu światło poraziło go tak mocno, jakby patrzył w samo słońce. Ale wytrzymał, nie zamknął oczu. Po chwili wśród bieli dostrzegł rozstrzelone, poruszające się kształty. Nie od razu zrozumiał, na co patrzy. Dopiero kiedy błysnęła guzowata łysina Twardej Czaszki, poznał, że to pięty czołgających się górali.

- Co się dzieje? - Wydawało mu się, że zapytał cicho, ale Gudrun mocniej wbiła łokieć pod jego obojczyk.

- Czekaj. - Też patrzyła w tamtą stronę. - Górale poszli sprawdzić, ale wydaje mi się, że... Dobra, w porządku.

Pomogła mu wstać, bo nogi rozjeżdżały mu się na ubitym śniegu jak młodemu kociakowi. W ustach czuł obrzydliwy smak. W górze stoku, gdzie przez śnieg ciągnęła się wydeptana wstęga pochodu, ciemniał las. Urywał się nagle, jak odrąbany toporem. Goła płaszczyzna schodziła niżej i niżej, a powietrze zaczynało tracić swoją górską przejrzystość. Żarek spojrział w dół, gdzie jego wzrok przyciągnęli podnoszący się na nogi górale. Chciał odchrząknąć i zakrztusił się własną śliną. Przed góralami, niczym nie osłonięci i widoczni z każdej strony, siedzieli wokół wypalonego ognia Północnicy. Milczeli, jakby zastanawiali się nad tym, czy warto dla górali wypłatywać się z kozuchów i wyciągać miecze.

- Nie zobaczyli nas! - Rozejrzał się spłoszony za jakąś kryjówką, ale wokół nie było nic, ani krzaczka.

- Twoje męstwo zwala mnie z nóg! - Gudrun przyjrzała mu się z uśmiechem, mrużąc oczy. - Gdybym nie znała twojej matki, pomyślałabym, że wykarmiła cię zajęczycą.

Żaden z Północników się nie poruszył, kiedy górale ostrożnie zaczęli wchodzić między nich. Pochylając się, zaglądali im w twarze. Końcami mieczów trącali ich szyszaki, a wtedy odgłosy uderzenia żelaza o żelazo rozchodziły się szeroko po pustym zboczu. Któryś rozgrzebał popiół szukając

żaru, ale miejsce po ognisku było już całkiem zimne.

Żarek poczerwieniał z gniewu, ale za to zrobiło mu się o wiele cieplej.

- Skąd mogłem wiedzieć, że oni są martwi? Teraz łatwo ci kpić. Ciekawe, jak wyglądałaś, kiedy ich zobaczyłaś pierwszy raz?

Nie odpowiedziała. Odchodząc w stronę górali, mrugnęła do niego. Zanim się odwróciła, jeszcze raz sparzył go jej uśmiech. Przemknęło mu przez głowę pytanie, co zrobiliby górale, gdyby uderzył ją pięścią w twarz. Pewnie nic. Zmusił się do odczekania, aż Gudrun będzie miała za sobą połowę drogi, a potem podreptał za nią.

Było ich sześciu. Wielkie chłopcy, barczyste, o grubych szyjach i szerokich szczękach. Siedzieli wyprostowani, z otwartymi oczami i ośnieżonymi brodami, a ich skóra była pozbawiona wszelkiej barwy. Dłonie mieli złożone na kolanach, miecze tkwiły w pochwach.

- A jednak górale mieli słuszość z tym bieganiem wokół ognia. - Żarek pokręcił głową. - Ci siedzieli, i ot co.

- Górale zawsze mają słuszość, jeśli chodzi o mróz i śnieg. - Gudrun bezwiednie ściszyła głos. - A we wszystkich innych sprawach możesz słuchać się mnie. Tak będzie najlepiej.

Żarek spróbował pierwszemu z brzegu Północnikowi zdjąć z głowy szyszak, który jednak był przymarznięty do czoła na kamień. Spojrzał z boku na twarz trupa. Brwi, rzęsy i włosy sterczące z nosa lśniły jak ostre lodowe niteczki. Nos kiedyś musiał krzywo zrosnąć się po złamaniu, bo odchyłał się na prawą stronę. Żarek przykucnął przed nim i zajrzał w jego martwe oczy.

- Ech!

Poderwał się nagle, młóćąc ramionami powietrze, upadł na plecy, znowu skoczył na nogi. Kiedy podbiegła do niego Gudrun, spojrzął na nią tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Ale i ona już się nie uśmiechała. Niepewnie trąc podbródek, oglądała się za siebie, na siedzącego trupa.

- Co ci jest? Osłabłeś?

- Nie, wszystko dobrze. - Otrzeptywał gacie ze śniegu, błędząc wzrokiem gdzieś pod swoimi stopami. - Tylko jakoś mnie tak... Nie wiem.

Gudrun przysunęła się jeszcze bliżej. Zaplotła dłonie na jego karku i przyłożyła czoło do czoła.

- Mów.

- Sama widzisz - powiódł ręką dookoła. - Trochę to wszystko dziwne, nie? Nie wygląda na nagłą śmierć.

- Pewnie, że nie. Mam ci przypomnieć ostatnią noc? Można było sobie nabić guza spluwając pod wiatr. Zamarzli i tyle.

- Ludzie tak nie zamarzają.

- Jak?

- No, tak. Spokojnie. Jakby na to czekali.

Gudrun puściła jego szyję, odsunęła się. Chuchnęła w złączone dłonie. Popatrzyła w zamyśleniu na plecy Północnika, szerokie i wyprostowane.

- Nie wiemy, kim oni byli. Jeśli to zbiegowie z królewskiego dworu, to mogli z własnej woli wybrać taką śmierć. Każda inna mogłaby okazać się o wiele gorsza. - Klepnęła się otwartymi dłońmi w uda. - Ale nie wyglądają na takich. Są za dobrze ubrani i nie widać, żeby głodowali. No i palili ogień.

- Myśmy też palili.

- Ale w dolince, w lesie, a nie na otwartym stoku. Oni nie bali się pościgu. Może to straż, która pilnowała zejścia do dworu od gór. Z tej strony Zły nie spodziewał się zagrożenia, więc posyłał tylko takie liche zwiady.

- Ostatni wierni? - szepnął Żarek.

- Jedni z ostatnich - przytaknęła. - No, ale tego już się nie dowiemy. Czas w drogę.

Gudrun widziała, że Żarek przestał jej słuchać, zanim jeszcze skończyła mówić. Patrzył gdzieś poza nią. Przy każdym oddechu na nowo rozklejał wargi, jak ciężko chory człowiek. Odwróciła się. Górale krzatali się przy

Północnikach, próbując oderznąć nożami wszystko, co miało jakąś wartość. Ale szło to bardzo ciężko, ostrza zostawiały na zlodowaciałych pasach i pochwach mieczy tylko cieniutkie rysy. Nagle oczy Żarka rozszerzyły się jak u kota wrzuconego do ciemnej izby. Twarda Czaszka cofnął się, wziął krótki rozbieg i podeszwą stopy kopnął w skroń jednego z Północników. Coś trzasnęło, szyszak przechylił się na bok. Góral dwoma palcami odgiął zamarznięte ucho i przyłożył tam ostrze noża. Ciął mocno, jednym naciśnięciem.

- Nie! - Żarek aż się zachwiał od własnego krzyku. - Zostaw go!

Twarda Czaszka trzymał odcięte ucho przed sobą i skrobiąc się nożem po karku, wodził wzrokiem między Gudrun i Żarkiem. Inni górale nie wiedzieli, co się dzieje, ale słysząc krzyk, prostowali plecy i kładli dłonie na głowniach mieczy.

- Co znowu? - syknęła Gudrun.

- Niech on przestanie ich rżnąć!

Gudrun przesunęła się tak, żeby stanąć między Żarkiem a Twardą Czaszką. Jej ręka niespokojnie zakołysała się przy boku. Ze zmarszczonym nosem patrzyła, jak górale skupiają się w jednym miejscu, ramię przy ramieniu.

- Jezu, Żarek! Dużo się napracowałam, żeby ich przeciągnąć na swoją stronę. Nie psuj tego tylko dlatego, że masz zły dzień.

- Mam same złe dni od tak dawna, że sam już nie pamiętam, jak może być inaczej. Wszystko mi jedno. Powiedz im, żeby nie dotykali Północników albo...

- Albo co? - zapytała szybko.

- Powiedz im.

Przez długą chwilę próbowała coś wyczytać z jego twarzy. Ale nie przebiła się przez zaciśnięte wargi i źrenice, w których kotłowało się zbyt wiele uczuć naraz. Skrzywiła się z niechęcią i rzuciła przez ramię Twardej Czaszce kilka słów. Przestał się skrobać nożem po karku, namyślał się z otwartymi ustami.

Potem wzruszył ramionami, splunął i wbił nóż za pas. Górale rozeszli się w milczeniu, szukając dla siebie dobrych miejsc do odpoczynku.

- I co? - Żarek z niedowierzaniem zamrugał oczami.

- Gównu. Wykupiłam te pozostałe jedenaścioro uszu za złoto, którego jeszcze nie mam! - syczała jak żmija, której ktoś macha patykiem przed pyskiem. - Dlatego mi teraz wyłóż, jasno i powoli, czemu to zrobiłam.

- Bo jesteś dobrą królową. - Żarek starał się pokazać w uśmiechu górne zęby, ale mówił z trudem, na wydechu.

Nie od razu odzyskała panowanie nad sobą. Musiała się wyprychać i wysapać, ale wreszcie jej się udało. Odetchnęła, uderzyła się otwartą dłonią najpierw w jeden policzek, a potem w drugi. Ale za to kiedy znowu podniosła na Żarka oczy, jej rzęsy ocieniały tylko chłodną zadumę.

- Już ci kiedyś tłumaczyłam, po co im są uszy. Oni nie piją tego tak jak my, dla uciechy Nigdy nie bywają pijani. Dla nich to coś o wiele więcej, jak woda życia. A zostawić na zmarnowanie tyle świeżych młodych uszu to coś więcej niż głupota. To występek. Zresztą gdyby nie mieli ze sobą tego samogonu, to już byś nie żył. Nad ranem wyglądałeś prawie tak samo, jak ci tutaj. - Trąciła nogą najbliższego Północnika. - Ale sączyli ci w gardło kropelka po kropelce i jakoś rozgrzali ci krew. Nawet w skronie ci wcierali.

Żarek przypomniał sobie gorzki smak w ustach i odruchowo przycisnął język do podniebienia.

- Nie prosiłem ich o to.

- Tak? To szkoda, że tego nie wiedzieli, kiedy cię dźwigali przez pół dnia na kozuchu jak kłodę. Mogliby cię zwalić w pierwszą lepszą zaspę. A i uszy ci odstają jak się patrzy.

- Przestań. Nie o to chodzi. - Wyjrzał zza ramienia Gudrun i zdążył zobaczyć, jak Twarda Czaszka chowa odcięte ucho do woreczka. - Co dzień patrzę, jak ogryzają ludzkie kości. Przyzwyczailem się. Nie chce mi się już wymiotować z byle powodu.

- Więc co?

- Ci ludzie nie są martwi.

Gudrun zadreptała w miejscu, jakby chciała uklepać pod sobą mały placyk. Roztarła palcami powieki, pociągnęła głośno nosem.

- Jesteś bardzo zmęczony. Nie ma się czemu dziwić, po takiej nocy każdy by był.

- Przyjrzyj się ich oczom.

Zwlekała tak długo, że Żarek zwątpił, czy to zrobi. Stała i patrzyła, jakby w całych górach byli tylko oni dwoje. Ale w końcu kiwnęła głową, leciutko, prawie niezauważalnie. Podeszła do tego samego Północnika, przed którym przedtem był Żarek. Pochyliła się.

Kiedy znowu się podniosła, włosy opadły jej na twarz. Nie poprawiła ich. Powietrze było nieruchome, wiatr przytulił się gdzieś za grzbietami gór.

- Róg jednorożca - wyszeptwała.

Żarek trącił ją w ramię, bo wyglądała, jakby jej myśli uciekły gdzieś daleko. Otrząsnęła się.

- Róg jednorożca należy do mojej rodziny od wieków. Od zawsze. Przechodzi z ręki do ręki, z króla na króla. Ma w sobie moc, która pozwala panować nad innymi ludźmi. Ten, kto umie na nim grać, może zrobić prawie wszystko. Może tchnąć w starców taką siłę, że pójdą w bój i będą bić się jak młodzieńcy. Może postawić na nogi chorych i słabych. Ale może też zrobić z ludzi to - pokazała ruchem głowy na siedzących wojów. - Widać, że przestali być już potrzebni temu, któremu zaprzedał się mój ojciec. Są teraz między życiem a śmiercią. Nie można im pomóc. Chyba żeby znowu zagrać na rogu.

- Czy to działa jak łza smoka?

- Gorzej. Oni widzą i czują. Są jak drzewa, które mają oczy i uszy.

Żarek przygarbił się. Pragnął odejść stąd jak najszybciej. Ale przedtem musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

- A Borutę chociaż pochowaliście?

- Diabły nigdy nie zamierzają na śmierć. Słońce jeszcze trochę poświeci, to odtaje i nas dogoni - powiedziała i miękkim krokiem zaczęła schodzić w dół.

- Czas w drogę.

## R O Z D Z I A Ł X X I I I

Żarek powiódł drżącym palcem po brzegach odbitego w śniegu śladu bosej stopy Dotknął miejsca, gdzie odcisnął się najmniejszy palec, a potem wsadził tam piść. Zmieściła się cała.

- A więc to prawda - wyszeptał. - Olbrzymy istnieją!

- A co? Myślałeś, że bajka? - Gudrun musiała przebiec kilka kroków, zanim zatrzymała się przy następnym śladzie. - Przez ostatnie lata namnożyło się tego całkiem sporo, odkąd ojciec zakazał ich zabijać.

- Zakazał? Czemu?

- Bo udało mu się wprząc je do swojej służby. Dobrał sobie samych młodych i silnych i kazał kuć dla nich topory, których nie udźwignie nawet pięciu ludzi. No i trzyma ich teraz przy sobie, nie odstępują go nawet na krok. To jego psy, ostatnia obrona. A teraz, kiedy wszystko, co miał najwścieklejszego, poszczuł za morze, chyba nawet jedyna.

- Ale jak ich do tego zmusił? - Żarek zgarniał nogą śnieg, próbując zasypać ślad. - Myślałem, że olbrzymy i ludzie zawsze byli wrogami.

Gudrun patrzyła w inną stronę. Położyła dłoń na rękojeści miecza i pomacała językiem w szczelinie między przednimi zębami.

- Właśnie dlatego myślę, że mój ojciec już od dawna nie jest człowiekiem.

- No a... inni ludzie? Północnicy? Po czyjej będą stronie?

- Tam pewnie nie ma już innych ludzi. Kiedy uciekałam, poszły za mną te resztki, które wytrzymały przy ojcu aż tak długo. Ale ludzie wykruszali się od dawna, od lat.

Jedni pochowali się po wykrotach i żyją jak zwierzęta, inni poszli między



kmieci i udają rybaków.

- Chcesz powiedzieć, że twój ojciec żyje sam w pustym dworze?

- Samiuteńki. Chyba że... Ale nie, to niemożliwe.

- Co?

- Nic. Chodźmy, bo nam się górale stracą w tej puszczy.

Odkąd zeszli z gołych stoków i zagłębili się w las, Żarkowi zrobiło się o wiele raźniej na duszy. Przestał z niepokojem patrzeć pod nogi, czy spod śniegu nie wyłazą rude mrówki, przestał mieć poczucie, że jest bezbronny i wystawiony na cios. Z ulgą zanurkował pod pierwsze nisko zwieszające się gałęzie. Było tu bezwietrznie, ciszej, a nawet jakby cieplej. Skończyła się ciągła troska o jedzenie, bo zwierzyna, przez lata nie oglądając ludzi, przestała się ich bać. Zaraz pierwszego dnia opchali się dziczyzną po same gardła. Nawet górale wyrzucili swoje wory w krzaki i obstąpili Gudrun, śliniąc się na widok połci mięsa, które wyciągała z ognia. Leśny półmrok sprawił, że Boruta z radości coraz częściej odsłaniał czerwień swoich ślepi. Wdrapał się nawet na drzewo jak ogromna czarna wiewiórka i stamtąd rzucał w ludzi szyszkami, rycząc z uciechy, kiedy udawało mu się trafić w czoło któregoś z górali.

Ale drugiego dnia o świcie natknęli się na te ślady i znowu wszystko wokół zszarzało i zbrzydło. Trop biegł z góry na dół, a kawałek dalej drugi piął się w odwrotną stronę.

- Pilnują. - Kiedy ruszyli dalej, Gudrun zaciągnęła pas o jedną dziurkę ciaśniej i położyła rękę na boku, tuż przy mieczu. - Nawet tutaj, u siebie, Zły nie czuje się bezpieczny.

Żarek obejrzał się na swoje własne ślady. Przy tamtych wyglądały jak trop jeża.

- Chyba musimy się umówić, co powiemy, jak ich spotkamy.

- Co powiemy? - Gudrun nie dość dokładnie ukrywała rozbawienie. - Nie wiem. Możemy na przykład spróbować błagać ich o litość. Ale tak króciutko,

bo pourywane głowy nie gadają.

- Nie wierzę, że nie masz na nich żadnego sposobu! Nie byłabyś taka pewna siebie.

- A jestem? - Wsunęła mu rękę pod ramię i uśmiechnęła się zalotnie. - Nie daj się zwieść. Muszę trzymać głowę wysoko, bo taki jest los księżniczki na wygnaniu. Wiesz, są takie muszki, które mają na odwłokach żółte paski, żeby udawać osy. Ja jestem właśnie taką muszką.

- Nie. - Żarek odwzajemnił uśmiech, ale bardzo krzywo. - Ty jesteś szerszeniem, który udaje muszkę.

Aż do samej nocy nie spotkali już niczego, co mogłoby wzbudzić niepokój. Ale i tak w pochodzie ucichły krzyki, skróciły się popasy, a uszy wyczuliły się na leśne szelesty. Kilka razy Twarda Czaszka przystawał, włożył na drzewo i długo rozglądał się ponad puszcza. Złaził, wymieniał z Gudrun spojrzenia, a potem szli dalej. Wieczór zapadał rozwlekłe, jakby opieszale. Zaczynał się tkaniem nitek mroku pod drzewami, żeby z wolna odebrać ludziom i rzeczom ostrość kształtów i barw. Zrobiło się zimniej, drzewa trzaskały na mrozie. Wydychane powietrze oblepiało brody szronem.

Ale było coś jeszcze. Żarek przystanął, zamknął oczy i kilka razy szybko zmarszczył nos. Gudrun zawróciła i stanęła przed nim.

- Co jest?

- Morze. Czuję morze.

- To znaczy, że jesteśmy już blisko! - Wsadziła dwa palce w usta i cicho gwizdnęła na górali. - Na dziś wystarczy. Musimy nabrać sił na jutro.

Tej nocy nie palili dużych ognisk. Tyle, żeby z grubsza opiec kawałki mięsa i wchłonąć w siebie trochę ciepła. Potem górale wystawili dwóch spośród siebie na stróżę, a reszta znieruchomiła wokół żarzących się palenisk. Żarek zawinął się w swój kozuch, ale zostawił szparę na oczy i uszy. Kiedy wyrównał mu się oddech, wsłuchał się w odgłosy zimowej nocy. Co jakiś czas z gałęzi osypywały się zwały śniegu, gdzieś dalej uderzyły

skrzydła sowy. Jakieś większe zwierzę tarło bokiem o pień drzewa. A nad tym wszystkim sączył się ledwo uchwytny, ale upragniony szum niedalekiego morza.

Czekał na nią. Nie przyznawał się do tego sam przed sobą, ale gorąc jej oddechu był właśnie tym, czego chciał.

- No co, znawco kobiet? - zaszepiała. - Wpuścisz mnie pod kozuch czy boisz się, że użądle?

Podniósł rękę, a kiedy wsunęła mu się pod pachę, przygarnął ją do siebie. Zasnęła prawie od razu. Przypomniało mu się, jak czasem kołysał do snu Lestka albo Pestka, kiedy wyrzynały im się pierwsze zęby i budzili się nocami z płaczem. Nucił im cicho, a oni wiotczeli mu w ramionach i głowy leciały im na bok.

Pociągnął nosem i zacisnął szczęki. Złe myśli tłukły mu się po głowie prawie do samego świtu, a potem na krótko zmorzył go ciężki, męczący sen. Mieszały mu się w tym majaku czasy i twarze, wspomnienia splatały się z przecuciami, a z każdego obrazu wylewał się żal za czymś, co zostawiło się za sobą i do czego nie ma powrotu.

Kiedy się obudził, miejsce po Gudrun było już zimne. Wygrzebał się spod śniegu, szczękając zębami. Czuł się słaby i chory, miał wyschnięte gardło i opuchnięte powieki. Poprawił miecz, roztarł pięściami oczy i rozejrzał się. Górale sposobili się do drogi. Krzątali się w całkowitym milczeniu, a twarze mieli jeszcze bardziej ponure niż zwykle. Boruta leżał z łapami pod karkiem i trąc kopytem o kopyto, od niechcienia krzeszał iskry. Kiedy usłyszał, że Żarek wstał, podniósł się na łokciach i wywinął wargi.

- Nie widziałeś Gudrun?

Diabeł lewym rogiem wskazał na krechę wydeptanego śniegu, która wiodła w las. Żarek rozgrzebał żar i ogrzał dłonie. Odczekał chwilę, a kiedy Gudrun ciągle nie wracała, poszedł za śladem w chaszczce.

Najpierw pomyślał, że coś jej się stało. Klęczała w śniegu z opuszczoną

głową, pośrodku plamy światła, które zlewało się na ziemię przez wyrwę w koronach drzew. Drgnęła, kiedy krzaki za nim zwały się z szelestem. Spojrzała na niego z ukosa. Podniosła się na nogi, otrzepała kolana.

- Czego chcesz?

Był zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć jej składnie. Najlepiej byłoby odejść bez słowa, ale to było jeszcze trudniejsze.

- Modliłaś się — powiedział cicho.

- No to co? Boruta mógłby się tym zgorszyć, ale ty?

- Nie, nie! - szybko zamachał rękami. - To nie tak! Ja... Myślałem, że tylko kmiotki się modlą.

Czerwień z policzków Gudrun powoli spłynęła na szyję, a potem zniknęła.

- No to już wiesz, że księżniczki też. Zwłaszcza te na wygnaniu. Pan Bóg jest dla wszystkich. - Zamyśliła się na chwilę, patrząc na ślady swoich kolan w śniegu. - Nie pasuje ci to, co? Tak naprawdę nie wierzysz w to, że mogę być inna niż mój ojciec.

- Co ty gadasz? Pewnie, że wierzę!

Podeszła do niego. Wydawało mu się, że jej twarz jest teraz starsza niż wczorajszego wieczora.

- Dzisiaj się wszystko rozstrzygnie. Został do zrobienia tylko jeden krok. Ale to może być krok najtrudniejszy.

- Roztarła wierzchem dłoni nos i nagle spojrzała mu prosto w oczy. - Nie chcę, żebyś tam ze mną szedł.

Gdyby napluła mu w twarz, jakoś by to zniósł. Ale po tych słowach długo nie mógł złapać oddechu.

- Zgłupiałaś? - wykrztusił.

- Nie. Ale tam będzie tak łatwo o śmierć, jak nigdy dotąd. Ja wiem, z jakiego powodu nadstawiam karku. Górale też. Ale ty?

Żarek po raz pierwszy przekonał się, jak cieniutka może być granica

pomiędzy wściekłością a bezsilą. Oklapł, zwiesił głowę.

- Sama mnie w to wciągnęłaś - powiedział bardzo cicho.

- Wiem. I właśnie dlatego chcę, żeby rodzice jeszcze cię zobaczyli żywego.

Westchnął, podniósł głowę. Łzy na mrozie znikają bardzo szybko.

- Jeszcze ci będę potrzebny, mądralo. Zobaczysz. Przyjdzie taki dzień, że przeprosisz mnie za każde z tych parszywych słów. Może o tym nie wiesz, ale kmioty też mają swoją dumę.

Kiedy wychylili się zza oblodzonego głazu, ostre światło odbite od morza i pokrytego śniegiem brzegu zmusiło Żarka do zaciśnięcia powiek. Musiała minąć dłuższa chwila, zanim spojrzał w dół bez mrużenia oczu. Zobaczył skalisty brzeg, który piał się stromo nad wąską zatoką, ale wyżej stromizna łagodniała, zamieniając się w osłoniętą wzgórzami płaszczyznę. Na samym środku stał drewniany budynek o spadzistym dachu, a wokół niego bez pośpiechu kręcili się zbrojni.

- A gdzie jest ten dwór? - Na widok morskiej wody Żarka załaskotał w gardle nagły przypływ żalu. Spróbował skupić myśli na tym, co go czeka, i dopiero to trochę pomogło.

- Ślepy jesteś? - Gudrun podsunęła się bliżej niego. - Prosto przed tobą!

Jakiś zziębnięty ptak przysiadł na zwieńczeniu stromego dachu, wciągnął łebek i rozdał się jak pierzasta kula. Konie, uwiązane do żerdzi na obejściu, tupały w miejscu i prychały parą.

- Co, ta stodoła? U nas w takich trzyma się siano.

Gudrun wycofała się, szurając kolanami. Żarek jeszcze raz rzucił okiem na idące od południa grzywacze, a potem poczołgał się za nią. Dalej, gdzie za skalnym załomem mogli już wstać na nogi, czekali górale. Boruta przykucnął z boku, obejmując ramionami golenie, i kalał biel śniegu gorącymi bobkami.

Gudrun ze złością otrzepała kolana.

- To jest kraj morskich wojowników! Nasi królowie nie gnuśniejają między kamiennymi ścianami, jak u was. Mogą przezimować w byle norze, a od wiosny nad głową znowu mają tylko niebo.

- U nas też są tacy ludzie. Nazywamy ich zbójcami. - Żarek podniósł obie ręce, widząc, jak Gudrun blednie z gniewu. — Ja tylko jestem ciekaw, jak przekonasz górali, żeby przelewali krew za taki lichy łup.

- Lichy? Co ty tam wiesz. Na Północy tylko dureń obnosi się ze swoim bogactwem, bo tutaj bardzo łatwo jest skrzyknąć setkę mieczy przeciwko takiemu, u którego blask złota bije przez próg.

- Zauważyłem. - Żarek obejrzał się na górali. - Ale i tak ciągle czegoś mi brakuje, żeby wszystko było jasne. Jeśli w tej stodole zamiast siana jest złoto, to czemu pilnuje jej garstka ludzi?

Gudrun wsadziła kciuki za pas i wzruszyła ramionami.

- Wyściubiłeś nos kawałek dalej, niż sięga wasz wioskowy pomost, zdążyłeś zobaczyć to i owo, a ciągle jeszcze myślisz jak kmiot. Bierzesz pozory za prawdę.

- Przecież wiem, co widziałem!

- Gównu wiesz. To nie byli ludzie.

Żarek z namysłem przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę.

- Wyglądali jak ludzie.

- Ha! Z daleka może i tak. Chociaż gdybyś przyjrzał im się dobrze, zamiast wybrzydzać na dwór, to byś zobaczył, że końskie uszy sięgają im najwyżej do pasów! Ale mnie nie zwiedli, bo za dobrze ich znam! Dawniej często patrzyłam na nich z bliska. Oni jedzą jak ludzie, piją jak ludzie i... resztę też robią jak ludzie. Są wprawdzie wielcy, ale nie to jest najważniejsze. Różnica jest tutaj - postukała się zgiętym palcem w skroń. - Jakby w ich głowach siedział ktoś, kto im szepce, co mają robić. Nie mają swojej woli. Żyją tylko po to, żeby strzec swojego pana, i nawet nie wiedzą, że możliwe jest też inne życie. Myślę, że to sam Zły trzyma w garści ich zatraczone dusze i nie

wypuści ich już nigdy.

Żarek oblizwał wargi i obejrzał się w stronę, z której przyszli.

- Nasi górale też przecież nie noszą mieczy po to, żeby drapać się po plecach. Wyglądają na takich, którzy umieją walczyć, i to z pogardą dla śmierci.

- Z pogardą dla śmierci? - Gudrun najpierw szeroko otworzyła oczy, a potem kwiknęła krótkim śmiechem. - Kto ci tak zamulił głowę? Tacy, którzy gardzą śmiercią, nigdy nie żyją długo. Łatwo ich dziabnąć nożem pod zebro. Nie, Żarek. Pogarda dla śmierci to głupota, a nie odwaga. Trzeba mieć zimną głowę, pewne oko i mocne ręce.

Wyciągnęła zza pasa miecz i uśmiechnęła się. Chyba chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Twarda Czaszka coś do niej krzyknął i odeszła w jego stronę. Żarek dopiero teraz zauważył, że wszystkie worki leżą złożone na jedną kupę, a w rękach górali lśnią miecze i topory. Gudrun zamieniła z nimi tylko kilka słów, Twarda Czaszka pokiwał łysą głową, a potem już w całkowitej ciszy podzielili się na małe grupki i wsiąknęli między skały.

- Co, tak od razu? - Żarek podbiegł do Gudrun. - Myślałem, że...

- Za dużo myślisz. Trzymaj się mnie, a wszystko będzie dobrze.

Pobiegł za nią ogłupiały, ledwo zdążył krzyknąć przez ramię na Borutę. Nie spodziewał się, że to będzie tak szybko, prosto z drogi. Wyciągnął miecz, a kiedy wyrósł przed nim oblodzony głaz, przywarł brodą do śniegu obok Gudrun. Podczołgali się jeszcze trochę i wystawili zza głazu głowy.

Na dole ciągle był spokój. Konie sennie kiwały łbami, ptaszysko na dachu puszyło się tak samo jak przedtem. Po obejściu powolnym krokiem przechadzali się brodaci olbrzymi. Wyglądali zwyczajnie i zachowywali się zwyczajnie. Ot, łążą sobie. Ale kiedy Żarek przyjrzał się im uważniej, złudzenie zwyczajności prysło w jednej chwili. Zalegająca na dole cisza zaczęła budzić strach.

Olbrzymi nie rozmawiali ze sobą. Nie śmiali się, nie klęli, nie pluli i nie

smarkali, tylko chodzili tam i z powrotem, za każdym nawrotem odmierzając tę samą odległość. Ani o krok więcej, ani mniej. Spod szyszaków patrzyli na otaczające dwór wzgórze. Żarek był pewien, że gdyby po stoku ześlizgnęła się najmniejsza skibka śniegu, wszystkie oczy zwróciłyby się w tę stronę.

- Jezu, mówiłaś prawdę! - westchnął. - To jakieś przeklęte miejsce!

- Dobrze, że w końcu to do ciebie dotarło.

Położyła przed sobą miecz i oparła brodę na dłoniach.

- Co robimy?

- Nic. Czekamy.

Żarek wciągnął przez nos mroźne powietrze. Prawie od razu zrozumiał, dlaczego ten dwór wydawał mu się taki obcy. Nie było dymu! Ktokolwiek tam mieszkał, w tej chwili siedział w ciemności i chłodzie. Tkwił w izbie bez okien, o nie domkniętych, skrzypiących drzwiach, i słuchał odgłosu kroków na obejściu, których nikt nigdy nie zmylił.

Między łopatkami przeleciały mu ciarki.

- Zróbmy już coś, bo... Bo mi zimno!

Gudrun spojrzała na niego uważnie. Położyła mu na karku chłodną dłoń i pokręciła głową.

- To nie wstyd, że się boisz. Dzięki temu więcej widzisz i więcej słyszysz, jak ścigany zając. Ale na razie musimy czekać. - Pokazała brodą w stronę dworu. - W otwartej walce z nimi nie damy rady. Musimy ich zaskoczyć. Górale umieją skradać się jak koty i jeśli będziemy mieli szczęście, to otoczą dwór, zanim sami zostaną zauważeni.

Przerwała. Na dole coś się zmieniło. Żarek też to czuł, chociaż jeszcze nic nie zobaczył. Trącił łokciem Gudrun, ale ona z zadartą głową patrzyła w niebo.

- Nie podoba mi się to.

Drewniany dach był pusty. Ptak cicho zataczał nierówne koła nad



wzgórzami. Olbrzymi na dole chyba nie zwrócili na to uwagi albo tylko nie dawali tego po sobie poznać.

- Coś go przepłoszyło? - szeptem zapytał Żarek.

- Nie wiem. Ale jeśli to jest... Patrz!

Ptak zawisł w powietrzu i bijąc pod siebie skrzydłami, walczył z porywami wiatru. Był jedynym ciemnym kształtem na rozświetlonym ogromie nieba.

- Zły ich widzi! - Gudrun ścisnęła w dłoniach dwie garście śniegu. - Patrzy na górali przez ptasie oczy! Trzeba go jakoś strącić, bo...

Zgrzyt wysuwanych mieczy zagłuszył jej szept. Olbrzymi przy dworze zrobili to tak zgodnie, jakby usłyszeli rozkaz. Spokojnie rozstawili się półokręgiem w równych odstępach, ani przez chwilę nie odrywając oczu od wzgórz. Gdyby padło między nimi choć jedno słowo, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale nie padło.

- Za późno! - Gudrun przestała panować nad swoim głosem, trochę chrypiała, a trochę piszczała jak dziecko. - Są gotowi.

Wcisnęła między zęby całą pięść i zamknęła oczy. W bolesnym naprężeniu jej pleców Żarek odgadł zwątpienie i przestraszył się tego bardziej, niż czegokolwiek innego. Położył rękę na wierzchu jej dłoni i siłą podciągnął do przodu, aż jej palce natrafiły na rękojeść leżącego w śniegu miecza.

- Trochę za długo cię znoszę, żebyśmy teraz mieli się poddać.

Chciał być twardy, ale wyszło to jakoś blado.

Na szczęście wystarczyło. Gudrun chwyciła miecz i podniosła się na kolana. Zaraz potem na szerokim półkolu wzgórz zaczęły pokazywać się głowy górali. Zza skał w stronę ptaszyska poleciał kamień. Chybił, ale przeleciał na tyle blisko, że ptak trzepnął mocniej skrzydłami, a potem wyrównał lot i zaczął krążyć w innym miejscu.

- Wprawdzie nie wiesz, o czym mówisz, ale dzięki. - Gudrun otarła rękawem wilgoć pod oczami i wstała. Wyciągnęła przed siebie miecz i

ostrzem wskazała dwór. - Jest jeszcze nadzieja. Za tymi drzwiami oprócz wroga może wciąż jest ktoś, kto potrafi nam pomóc. Byle zechciał. Ale żeby się o tym przekonać, sami musimy to sprawdzić.

Zaczęła schodzić po stoku. Żarek od razu zrównał z nią krok.

- A jak ten ktoś nie zechce?

Nie odpowiedziała, tylko przyspieszyła kroku i zaczęła biec.



Jeszcze zanim dobiegł do połowy stoku, już pożałował swojego przyływu szaleństwa. Starał się, żeby odległość między nim a Gudrun nie powiększała się, ale kiedy spojrział wokół siebie i zobaczył górali ostrożnie schodzących noga za nogą, podeszwy stóp zaczęły mu się kleić do mokrego śniegu. Wcale nie chciał znaleźć się na dole przed innymi.

- Gudrun! - wyzijał roztrzęsionym głosem. - Stój!

Nawet nie zwolniła. Biegła równo, co jakiś czas przerzucając miecz z dłoni w dłoń. Widział tylko tył jej głowy, rozwiane włosy i zaczerwienione uszy, ale łatwo mógł sobie wyobrazić jej twarz stwardniałą w zawziętości. Wydłużył krok, potknął się, ale zdołał złapać ją za ramię.

Szarpnęła się tak mocno, że prawie go przewróciła. Ale stanęła.

- Czego?

- Poczekajmy na górali!

Jej oczy zrobiły się obce. Wyglądały tak samo jak zawsze, tylko lśniły jakoś inaczej. Szarpnęła jeszcze raz i uwolniła się.

- Muszę tam być pierwsza! Tylko wtedy ona zobaczy, że to ja, a nie ktoś inny.

- Gudrun, popatrz na nich! Każdy z nich może skrócić ci kark w dwóch palcach!

Wyciągnął do niej rękę, ale zaraz opuścił ją bezradnie. Stracił ochotę na to, żeby jej dotykać. Odwrócił głowę, bo znał odpowiedź, jeszcze zanim ją usłyszał.

- Wracaj na górę, chłopaczku. To nie jest zabawa dla ciebie.

Znowu widział jej oddalające się plecy. Oparł się na mieczu i zwiesił głowę. Nie czuł strachu ani gniewu, nie czuł nic. Pustka. Pomyślał, jak dobrze byłoby położyć się na stoku i zasnąć, a potem spać jak najdłużej. Póki to wszystko się jakoś samo nie skończy.

Z trudem wyrwał ze śniegu nogę i zrobił pierwszy krok. Dalej poszło łatwiej, chociaż ciągle nie opuszczało go wrażenie, że stąpa na drewnianych szczudłach. Nie podnosił wzroku, ale kącikami oczu widział po obu stronach zsuwające się cienie górali. Starał się nie iść ani szybciej, ani wolniej od nich. Spod opuszczonego czoła widział przed sobą na śniegu tylko ślady Gudrun. W miarę, jak schodził, przesuwały się w jego stronę następne, coraz głębsze i coraz bardziej rozstrzelone. Widocznie się rozpędzała. Wiedział, że gdzieś w dole ślady się skończą, ale na myśl o tym tylko głębiej wciągnął głowę w ramiona. Nie chciał tego zobaczyć ani o mgnienie oka wcześniej, niż będzie musiał.

Usłyszał coś. Najpierw pojedynczy odgłos, jakby ktoś uderzył otwartą dłońią w czoło, tylko o wiele głośniejszy. A potem coś zderzyło się z ziemią. Potknął się, ale nie przystanął. Widział, że górale podnoszą miecze i topory, a ich stopy zaczynają szybciej młócić śnieg. Przyspieszył. Nagle podwójna linia śladów zwęziła się i urwała. Cienka skorupka na powierzchni śniegu była gęsto podziurawiona czerwonymi otworkami, jakby z nieba spadł gorący krwawy deszcz.

Żarek podniósł głowę.

Olbrzym był tak blisko, że chłopak mógł policzyć cieniutkie sopolki na jego czarnej brodzie. Był o wiele większy, niż się wydawało z daleka. Jego gołe ramię powyżej łokcia było grubsze niż człowiek w pasie. Trzymał jedną

ręką topór w pół trzonu i patrzył na Żarka z góry, jak patrzy się na szczura, którego trzeba rozdeptać.

- Ruszaj się! Nie stój, bo cię rozrąbie na pół!

Głos Gudrun dochodził gdzieś z góry. Żarek gwałtownie zadarł głowę i odchylił się do tyłu. Ostrze ogromnego topora ze świstem zatoczyło łuk tuż przed jego szyją, podmuch powietrza wybił go z równowagi. Upadł na plecy. Przez chwilę widział jasne niebo, a zaraz potem znowu zobaczył topór, który spadał na niego spod chmur. Przeturlał się na bok, zmarznięta ziemia za nim stęknęła pod uderzeniem. Zerwał się na nogi gotów do odskoku, ale topór uwiązał w zmarzlinie aż po trzon i olbrzym sapiąc wydobywał go krótkimi szarpnięciami. Żarek zachwiał się, wyciągnął przed siebie miecz. Czuł się jak komar, który szuka dogodnego miejsca do ukłucia.

- Nawet o tym nie myśl! Trzymaj się poza zasięgiem topora!

Oczy rozbiegły mu się gorączkowo. Starał się nie przegapić chwili, kiedy olbrzym uwolni topór, a jednocześnie odnaleźć miejsce, skąd krzyczy Gudrun. Śnieg, ściana dworu... Jest! Wisiała pod samym dachem, obejmując ramionami wystającą belkę. Machała nogami w pustce i z wielkim trudem odwracała głowę.

- Cała jesteś? - Żarek poczuł, jak odprężenie rozplywa mu się ciepłem pod skórą.

- Pilnowałam się przed toporem, a ten pustogłowiec mi po prostu przykopał! - Gudrun spróbowała się podciągnąć, ale zaraz znowu obwisła na wyprostowanych rękach. - Mówię ci, leciałam jak żaba... Pad!

Rzucił się twarzą w przód, zimny powiew liznął mu kark.

- W lewo!

Wielka stopa rozgniotła śnieg w miejscu, gdzie przed chwilą była jego głowa. Odotoczył się jeszcze dalej i uderzył plecami w ścianę. W chwili, kiedy się podnosił, cień olbrzyma przesłonił światło dnia:

- Dobra! Teraz się nie rusz!

Nogi Gudrun kiwały się prosto nad jego głową. Krwawa kropla opadła mu na czoło i spłynęła między oczami. Widział przed sobą zdobienia na pasie olbrzyma, napinające się mięśnie jego ud. Odgadł, że ostrze topora właśnie kończy swoją drogę w górę i zaraz spadnie w dół. Przyłgął plecami do ściany i skurczył się, jakby ktoś uderzył go w żołądek. Zamknął oczy.

Na górze zakotłowało się, a potem nagle ucichło. Odliczył jeszcze pięć uderzeń serca, zanim odważył się spojrzeć.

Najpierw spocił się ze strachu. Olbrzym stał wciąż tak samo, na rozstawionych nogach, z toporem w górze. Ale coś się zmieniło... Między guzami jego szyszaka pokazała się twarz Gudrun. Krew zalewała jej usta, jakby dziewczyna chłęptała ją prosto z tętnicy, ale uśmiechała się jak czorcica. Udami obejmowała gruby kark wielkoluda.

- Uważaj, bo cię przywali!

Olbrzym zaczął wolniutko przechylać się na lewy bok. Trzon topora wysunął mu się z palców, oczy zmętniały. Runął na śnieg jak podcięte drzewo. Gudrun przekoziołkowała do tyłu i zatrzymała się, siadając na piętach. Wstała, podeszła do olbrzyma i nie czekając, aż ustaną drgawki, wyciągnęła z jego ucha swój miecz, który tkwił wbity aż po rękojeść.

- Dwie małe myszki zagryzły kocura.

Wytarła woskwinę z ostrza o brodę olbrzyma i napluła mu do otwartego oka. Jej ślina była zmieszana z krwią.

- Ale z ciebie cieknie. - Żarek przykucnął, bo nagle zakręciło mu się w głowie.

Gudrun podniosła garść śniegu i przyłożyła sobie do twarzy.

- To nic, tylko rozbity nos. Sama się dziwię, że wszystkie kości całe. Dobrze, że jakoś się złapałam tam na górze, bo na chwilę zniknęłam mu z oczu, a potem pojawiłeś się ty. - Obeszła nogi trupa i rozejrzała się.

Dookoła dworu trwała walka. Górale obskakiwali olbrzymów we trzech i czterech, jak wilki jelenia. Kąsali szybkimi pchnięciami mieczy i zaraz

uciekali do tyłu przed furkoczącymi toporami. Ci, którym się nie udało, przelatywali ponad głowami innych i spadali w śnieg jak poszarpane ochłapy. Ale reszta nie ustępowała.

- Górale myślą, że ich jakoś zameczą, ale to na nic! - Gudrun pokręciła głową. - Te woły mogą się tłuc choćby całą noc.

- Chociaż tego jednego zadźgaliśmy...

- Ja zadźgałam. - Gudrun czubkiem miecza odrzuciła grudkę śniegu, a potem wspięła się na palce i wyjrzała zza Żarka. - Ale temu chyba już nie damy rady.

Białowłosey, orlonosy olbrzym szedł w ich stronę, a za jego plecami leżało kołem pięć góralskich trupów. Przerzucił sobie topór przez ramię i zbliżał się do nich bez pośpiechu, jakby wracał z wyrębu przesieki. Kiedy mijał drzwi dworu, lekko skrzypnęły zawiasy.

Gudrun wsunęła miecz do pochwy i położyła dłonie na biodrach. Zwróciła się w stronę drzwi.

- Teraz albo nigdy! — Jej głos w mroźnym powietrzu zadzwonił na soplach wiszących pod dachem. — Minał twój czas do rozmyślań!

Każdy krok olbrzyma był jak cztery ludzkie. Gdyby tylko chciał, mógłby dopaść ich w dwóch skokach. Idąc, zsunął topór z ramienia i chwycił go obiema dłońmi. Żarek usiadł w śniegu i położył miecz na kolanach. Nie chciał, żeby Gudrun zobaczyła jego trzęsące się łydki.

I wtedy usłyszał granie rogu. Ciche, płaczliwe, dziwne granie. Dobiegało zza uchylonych drzwi i rozlewało się po stoku, a jęki i chrapliwe oddechy ludzi i olbrzymów zdawały się w nim topnieć.

- Jezu, ona to robi! Jednak to robi!

Żarek spojrzał. Olbrzymy przestawały walczyć i zamierały z opuszczonymi toporami, mrugając powiekami, jakby obudzone ze snu. Ale górali ten śpiew zauroczył tylko na kilka chwil. Podpełzali, krztusząc się żądzą mordy, a potem cięli po goleniach i kolanach. Olbrzymy padały i

ginęły, milcząc, ale aż do samego końca szeroko otwartymi oczami rozglądały się dookoła, jakby chciały zapytać, co się dzieje.

Białowłosemu Gudrun sama rozpruła brzuch.

## R O Z D Z I A Ł E   X X I V

Była jasnowłosa, zielonooka i piękna. Kiedy stanęła na progu z dumnie uniesioną głową, na jej bladej twarzy nie było cienia strachu. Nie miała broni. Górale ucichli i opuścili miecze, a ona spokojnie, bez pośpiechu powiodła po nich wzrokiem. Ale nie zatrzymała się dłużej na żadnej twarzy, tylko podniosła oczy i lekko ocieniając je rzęsami, patrzyła, jak słońce zapala ogień na lodowcu.

- Nie będziesz się chyba chowała za plecami swoich najmitów, Żdziebeczko?

To nie była mowa Północy. Dopiero po chwili do Żarka dotarło, że może zrozumieć każde słowo. Obłoczek pary unoszący się z ust i z nosów górali zgęstniał nad nimi, kiedy zaczęli posapywać ze zdumienia. Zaskrzypiał czerwony śnieg, rozstąpili się robiąc szerokie przejście. Na jego końcu stała Gudrun, oparta na mieczu, którego ostrze lepiło się od posoki.

- Nie będę. - Zostawiła miecz wbity w śnieg i wolno podeszła do przodu. - Witaj, matko.

Górale stłoczyli się ciaśniej, kręcąc głowami i głośno cmokając. Żarek musiał wspiąć się na palce, żeby coś dojrzeć zza ich pleców. Nawet gdyby nie słyszał, o czym one między sobą mówią, nie mógłby mieć wątpliwości, kim dla siebie są. Zdradzał to sposób, w jaki odgarniały z czoła włosy, ułożenie dłoni na biodrze i przymrużenie powiek, kiedy patrzyły sobie w zielone oczy. Górale też to zauważyli i kłęby pary buchnęły w niebo jeszcze obficiej.

- Tęskniłam za tobą. - Głos królowej był bezbarwny, nie zdradzał ani



szczeroci, ani szyderstwa. - Ale pomimo tego nie cieszy mnie twój powrót. Łudziłam się, że znajdziesz spokój tam, gdzie cię rzucił los.

- Nie jestem tu po to, żeby ci sprawiać radość. — Gudrun zrobiła jeszcze jeden krok i stanęła blisko, twarzą w twarz. - I nie odeszłam szukać szczęścia, ale siły. Dobrze o tym wiesz. Czy on tu jest?

Zanim królowa się odezwała, poruszyła cicho wargami.

- Jest. Ale nie ma potrzeby, żebyś do niego wchodziła.

- Kpisz sobie? - Gudrun zsiniały policzki. - Wiesz, ile zostawiłam za sobą trupów przyjaciół i wrogów, żeby tutaj dotrzeć? Zejdź mi z drogi!

- Posłuchaj, Żdziebeczko...

- Nie ma Żdziebeczki! Umarła dawno temu, kiedy straciła najpierw ojca, który oszalał dla potęgi, a potem matkę, która oszalała dla niego. Z drogi!

Królowa pokiwała głową i odstepiła na bok.

- Jeśli musisz przez to przejść do końca, to zrób to. Idź. A jak będziesz potem chciała ze mną rozmawiać, znajdziesz mnie.

Gudrun pochyliła się i z trzaskiem rozgniotła piętą czerwone grudki, szybko tężejące na mrozie.

- Za łatwo godziłaś się na to wszystko, matko. Za łatwo. Nigdy mu się nie przeciwstawiłaś. Nie myślę, że ze strachu. Po prostu nie chciałaś. I wiesz co? Będzie o wiele łatwiej, jeśli cię już tutaj nie będzie, kiedy wyjdę.

- Tylko ci się wydaje, że wiesz już wszystko. Ja...

- Dość! - Gudrun znowu się wyprostowała. - Nie masz prawa dłużej do mnie mówić. Nie jesteś już królową. Nie jesteś nawet matką.

Żarek przepchał się przez tłum, kiedy plecy Gudrun zniknęły w ciemnym wejściu. Starał się nie patrzeć na królową, bo wyraz jej oczu budził w nim strach. Przemknął się cicho koło niej, przestąpił próg i utonął w zimnym mroku wnętrza.

Prawie od razu gwałtowna chęć powrotu zatrzęsała mu łydkami. Zdawało

mu się, że pod gołym niebem było cieplej niż tutaj. Jeśli gdzieś w tej mroźnej czerni było palenisko, widocznie wygasło dawno temu. Zatechłe powietrze gęstniało zaraz za progiem, przy każdym kroku stawiając prawie wyczuwalny opór. Drżące światło od wejścia wsiąkało do środka i rozpuszczało się bez śladu pod belkami dachu.

- Gudrun!

Nie widział jej, ale słyszał przyspieszony oddech. Nie mogła być daleko. Przemógł się i ruszył do przodu. Szedł pochylony, z rękami odstającymi na boki, jakby musiał pokonywać opór wody. Strach go nie opuszczał, wił się dookoła skroni niewidzialnymi smugami i wnikał do niego z każdym oddechem. Nie miał źródła ani postaci, ale był tu ciągle, cicho patrzył z ciemności. Żarek wiedział, że gdyby teraz spróbował odwrócić się i pobiec do wyjścia, potknąłby się o własne nogi. A wtedy strach odebrałby mu zdolność myślenia. Więc szedł naprzód.

Poczuł zapach potu, wyciągnął na ślepo rękę i dotknął gorącej twarzy Gudrun. Lepkość jej skóry powiedziała mu, że dzielą tę samą trwogę. W jakiś dziwny sposób dodało mu to odwagi. Wziął ją pod rękę i dalej poszli razem, potykając się i podtrzymując nawzajem.

Nie wiedział, czego się spodziewać. Miał wrażenie, że idą wystarczająco długo, żeby dotrzeć do przeciwległej ściany, ale mrok ciągle ustępował przed nimi, żeby zaraz za plecami zewrzeć się znowu. Stęchlizna, zimno i ciemność zlewały się w jedno doznanie, duszne i niepokojące jak myśl o własnej śmierci.

Poczuł, że Gudrun lekko ściska mu ramię. Zatrzymał się, wyciągnął przed siebie rękę. Dotknął palcami zimnego drewna, serce rozszalało mu się gwałtownie. Dotknął znowu, powiódł ręką w górę i w dół. To była jakaś rzeźbiona podpora, pierwszy trwały kształt w ciemności.

- Jesteśmy na środku, gdzieś tutaj musi być palenisko. - Kiedy Gudrun wysunęła dłoń spod jego łokcia, poczuł się nagle całkiem samotny. - Czekaaj,

spróbuję skrzesać ogień.

Szelest jej oddechu spłynął niżej, na wysokość jego kolan. Zaskrobało. Snop czerwonych iskier był jak błyskawica na nocnym niebie. Wydarł z ciemności podporę, obłożone kamieniami palenisko i pochylone plecy Gudrun. Zgasł szybko, chociaż jeszcze przez jakiś czas trwał pod powiekami. Błysnął jeszcze raz, i jeszcze, aż wreszcie z rozpalonych drobinek wzniecił się maleńki płomyczek. Gudrun rozdmuchała go bardzo ostrożnie, zebrała z klepiska w obie dłonie pokruszone kawałki chrustu i rzuciła w ogień. Wyprostowała się dopiero wtedy, kiedy płomień trzaskał równo i jasno.

Żarek zobaczył to już przy pierwszym rozbłysku iskier. Niewyraźnie, kątem oka, ale zobaczył. Teraz, kiedy czerwona jasność zagoniła cienie pod sam dach, nie odrywał oczu od Gudrun podnoszącej się z kolan. Myślał tylko o tym, jak ominąć wzrokiem tamto miejsce pod ścianą, gdzie skupił się jego strach. Chciał coś powiedzieć, ostrzec ją, ale nie potrafił. Patrzył, jak Gudrun powoli obraca się w tamtą stronę, jak rozszerzają się jej źrenice i bieleją wargi. Zrozumiał, że jeśli nie odważy się spojrzeć tam teraz, w tej chwili, prosto i w świetle ognia, to strach stanie się nie do zniesienia. Zmusił głowę do obrotu. Niemal słyszał, jak trą o siebie kręgi w szyi.

Było tak, jakby coś cichutko pękło w samym środku głowy. Jakby skończył się rozgorączkowany sen, a zaczęła się jawa. Ogień grzał pośladki, po plecach spływały krople potu. Trwoga zabrała z gardła zimne paluchy i krew znowu zaczęła płynąć w żyłach.

Pod ścianą, na ławie, siedział nieboszczyk.

- Uch, myślałem, że... - Żarek odchrząknął, w ustach miał sucho. - Coś mi się zwidziało. Kto to jest?

Po długiej chwili ciszy, jaka upłynęła, zanim usłyszał odpowiedź, poznał, że wcale mu się nie zwidziało.

- To jest... To był mój ojciec.

Wysechł i ściemniał, ale nie było od niego czuć zgnilizną. Siedział oparty

plecami o ścianę, a dłonie o długich paznokciach leżały na jego kolanach. Oczy miał zamknięte, między postrzępionymi wargami sterczały żółte zęby. Szyja o wystającej grdyce była tak cienka, że zdawało się, jakby lada powiew mógł strącić głowę z karku. Na łuszczące się czoło zsunęła się obręcz wysadzanej kamieniami korony.

- Nie umarł dzisiaj. - Żarek był prawie gotów podejść i ucałować go w suche, zapadnięte policzki. - Ani nawet wczoraj.

- I to cię cieszy, głupku?

Tego się nie spodziewał. Złość, która rozbłysła w jej oczach, kazała mu cofnąć się o krok.

- O co ci chodzi? Wznieciłaś wojnę i właśnie ją wygrałaś. Urządziłaś taką rzeź, że strumienie krwi roztopiły śnieg w dolinie. - Czuł, jak teraz w nim samym rośnie gniew. - To czego teraz cudaczysz?

Ogień szybko strawił to, co Gudrun rzuciła na palenisko, i zaczynał już dogasać. Cienie znowu rozpełzały się po ścianach.

- Jeśli on nie żyje, to przeciw komu rozpętałam tę wojnę?

W niknącym blasku pokurczony trup zdawał się zapadać w siebie. Żarek wsadził dłonie pod pachy, bo ręce nagle zaczęły mu się trząść.

- No? Mów.

Gudrun nie odpowiedziała od razu. Wyciągnęła rękę w stronę trupa, jakby chciała dotknąć jego korony. Ale nie zrobiła tego. Znowu wracał brudny, lepki, obezwładniający strach.

- Choć raz sam się tego domyśl - wyszeptała.



Górale rzeli jak młode ogiery, kiedy zaglądali w srebrne zwierciadła. Po raz pierwszy w życiu oglądali własne twarze i ten widok poruszał ich do

głębi.

- Lepiej by było, gdyby dalej paśli swoje wszy tam, pod szczytami. - Gudrun tak mocno zgrzytała zębami, że aż Żarkowi robiło się słabo. - Zapaćkają tylko brudnymi łapami wszystkie te świecidełka. Jezu, Jezu!

Wynosili z lochów ciężkie, kute skrzynie i rzucali je na śnieg. Odbijali wieka, zanurzali w kosztownościach ramiona aż po pachy. Owijali szyje złotymi łańcuchami, wciskali po kilka pierścieni na każdy palec.

- Tak się przecież z nimi umówiłaś. Twój skarbiec za ich miecze.

- No, tak. - Gudrun była bliska łez. - Ale skąd mogłam wiedzieć, że ojciec tyle tego zdążył nagrabić? Taki łup! I na co im to? Połowę pogubią w drodze powrotnej, a resztę wyłudzą od nich kupcy za wino i niewolnice. Ech, równie dobrze można by zatopić to w morzu!

- Jakoś sobie przecież poradzisz. - Żarek podrapał się w tył głowy. - Nigdy nie słyszałem o żadnej królowej, która umarła z głodu.

- A słyszałeś o królu, który nie żyje, a włada? No widzisz. Nic jeszcze nie jest przesądzone. Jak poczuje na skroniach koronę, a pod tyłkiem tron, wtedy nazywaj mnie królową. A na razie, póki nie znajdę rady na to...

Drewniany dwór stał w mdłym zimowym słońcu, obwieszony sopłami i przyciśnięty do ziemi grubym kozuchem mokrego śniegu. Uchylone drzwi skrzypiały poruszane wiatrem. Białe drobinki prószyły przez próg do ciemnego wnętrza.

- A może to tylko jakaś złuda? - Żarek sam nie wiedział, czy bardziej chciał pocieszyć siebie, czy ją. - Wiesz, ostatnio wszystko dzieje się bardzo szybko. Jesteśmy zmęczeni, mogło nam się tylko wydawać.

Gudrun przestała zgrzytać. Chciała splunąć w stronę górali, ale wargi miała odrętwiałe z zimna i tylko obśliniła sobie brodę. Wytarła się i spojrzała na Żarka oczami skutymi lodem.

- Złuda? Co nazywasz złudą? To, jak oniemiałeś ze strachu? A może to, że nikt z tych śmierdzieli nie odważył się nawet wściubić nosa za te drzwi? On

tam jest, Żarek. Czułeś go tak samo jak ja. Poszczerbiliśmy mocno jego potęgę, ale go nie złamaliśmy. Jeśli pozwolimy mu zebrać siły, znowu będą się działy straszne rzeczy.

- A może podpalimy dwór?

- Nie! To jest moje rodowe gniazdo. - Gudrun otuliła się ciasniej kożuchem. - A zresztą to by nic nie dało.

- Aleś się rozmemłała! To co? Będziesz się tak rozczulała nad sobą do wiosny? - zniecierpliwił się Żarek. - Beze mnie! Ucałuj ode mnie Twardą Czaszkę na pożegnanie, wracam do domu.

Pierwszych kilkanaście kroków prawie przebiegł, jakby chciał zatrzymać się dopiero na samym brzegu zatoki. Ale potem zwolnił, nogi zaczęły mu więznąć w głębokim śniegu. Zatrzymał się, pokręcił głową. Gudrun stała nieruchomo, patrzyła na niego. Za jej plecami łopotały na wietrze płaty drogocennych tkanin i biły pod chmury zmieszane ryki górali.

- Ty nie masz domu - powiedziała mu cicho, kiedy wrócił czerwony na twarzy — Nikt nie będzie miał, póki ja nie odzyskam swojego.

- Możliwe. Tylko jak chcesz to zrobić?

- Jeszcze nie wiem. — Machnęła ręką w stronę, gdzie zza zasy unosił się dym. - Ona mi powie.

Królowa siedziała skulona przy wąłym ogieńku. Tutaj, za zaspą, porykiwania górali nie wierciły aż tak bardzo w uszach. Podniosła głowę, kiedy na śniegu zaskrzypiały kroki. Żarkowi się zdawało, że od rana zdążyła wychudnąć i zmizernieć.

- A, jesteś! - Pogrzebała pod kożuchem i wyciągnęła pękaty dzban. - Popijam tu sobie po trochu, ale jeszcze ociupinkę zostało. Chcesz?

Gudrun obesza ognisko z drugiej strony i przyklękła w śniegu. Kiwając głową, patrzyła na matkę ze zmarszczonym czołem.

- Co ty wyprawiasz?

- To czasem pomaga, Żdziebeczko. - Czknęła i uśmiechnęła się bezradnie.  
- Miałam nawet kubek, ale jeden z tych twoich zarośniętych przyjaciół nasikał mi do niego.

Przytknęła brzeg dzbana do ust i przechyliła głowę. Ciemne czerwone wino pociekło z obu stron jej szyi. Gudrun chwyciła ją za nadgarstek i siłą odgięła rękę w dół.

- Chcę z tobą porozmawiać, zanim się upijesz.

- Wiesz, kiedy tak wieczór po wieczorze siedziałam w tej zimnej i ciemnej izbie, często myślałam o tym, jak to będzie, kiedy w końcu się zjawisz. - Królowa przymknęła zamglone oczy. - Jaka będziesz... No, w ogóle. To były bardzo piękne myśli. Ktoś, kto leży w grobie, pewnie tak właśnie marzy o dniu zmartwychwstania. Ha! Doczekałam się.

Znowu podniosła dzban, ale tym razem ledwo zamoczyła wargi. Język zaczynał się jej plątać, płatki śniegu osiadały na rzęsach.

- Nie liczyłam na to, że rzucisz mi się na szyję. Ale też nie spodziewałam się, że każesz mi iść precz. A twoja drużyna też nie bardzo... Nasikali do kubka. Już mówiłam? No tak. Jeden tylko zachował się jak człowiek. Jest brzydki jak noc i niewiele gada, ale zawsze to inaczej, niż pić samej.

- Co ty mówisz? - Gudrun chwyciła ją pod łokieć i potrząsnęła. - Otrzeźwiej!

- Ale chyba nie był nawykły do wina, bo szybko go wzięło. Śpi.

Teraz dopiero Żarek dostrzegł wystające z zasy wielkie stopy pokryte czarnym włosiem. Królowa zauważyła jego otwarte ze zdumienia usta i mocno zamruwała oczami, jakby chciała odegnać senność.

- Ach, no i jesteś jeszcze ty, chłopcze. Co? Przymierzasz się do księżniczki? Przemyśl to jeszcze, dobrze ci radzę. To jest gorsze bagno, niż możesz sobie wyobrazić. Wszyscy królewieta mają nie po kolei w głowie.

Żarek chciał odpowiedzieć, ale Gudrun uciszyła go niecierpliwym ruchem ręki. Chwyciła w dwa palce brodę królowej i skierowała jej twarz do siebie.

- Otrzeźwiej, matko. Potrzebuję twojej pomocy.

Królowej tylko przez chwilę udawało się trzymać głowę prosto. Potem skuliła się i naciągnęła kozuch głęboko na twarz.

- Nie, Żdziebeczko. - Niespodziewanie jej głos nabrał wyrazistości. - To ja potrzebuję twojej pomocy. Ja i twój ojciec.

- Mój ojciec nie żyje. I dobrze, bo gdyby żył, musiałabym go zabić własnymi rękami.

- Jego dusza ciągle tam jest. Nie może odejść. Cierpi.

Gudrun wstała, otrzepała ręce ze śniegu. Patrzyła w ciemne miejsce pod kozuchem, gdzie powinna być twarz królowej.

- To mnie nie obchodzi. Dusze drani powinny cierpieć, jeśli ma być po śmierci jakaś sprawiedliwość. Ja chcę tylko odegnać Złego i objąć moje dziedzictwo.

- Wiem, dziecko. Ale chociaż mówimy o czym innym, to myślimy o tym samym. Jest tylko jeden sposób. Musisz wziąć koronę i założyć sobie na głowę. Jeśli zrobisz to z czystym sercem, dusza twojego ojca będzie mogła odejść, a Zły wróci tam, skąd go przywołano.

Gudrun końcami palców dotknęła skroni i wtedy Żarek zobaczył, że ma mokre czoło.

- Z czystym sercem? Co to znaczy?

Królowa nie odpowiadała przez dłuższy czas. Powoli kiwała się do przodu i do tyłu, a spod kozucha sączyła się mgielka oddechu. Kiedy znowu się odezwała, jej szept był prawie całkiem trzeźwy.

- Odpowiedź jest tylko w tobie, córko. Nikt inny jej nie zna. Tylko ty, krew z jego krwi, możesz zabrać jego koronę i zdjąć z niego ten straszny ciężar. Potęga Złego ma swój początek tam, gdzie spotyka ludzkie przyzwolenie.

- Takie gadanie nic nie znaczy! Spiałś się i bredzisz.



Królowa ciężko podniosła się na nogi. Zachwiała się w głębokim śniegu, ale nie upadła.

- Dzisiaj jest ten dzień, córko, tylko dzisiaj. Nigdy więcej nie uda ci się do niego zbliżyć, bo będzie się miał przed tobą na baczności. A więc zrób to, Żdziebeczko, i niech Bóg ma cię w swojej opiece. A jeśli nie... Uciekaj. Zostaw nas samych. I niech Bóg ma w opiece cały świat.

Królowa zatoczyła się, przewróciła nogą dzban, rozchlapując czerwone wino. Zsunęła z głowy kozuch, podniosła twarz i wystawiła ją na spotkanie płatków śniegu.

- To koniec, Żdziebeczko. Cokolwiek postanowisz.

Gudrun pokiwała głową. Była blada, ale oczy znowu miała spokojne.

- Co on mi może zrobić?

- Może spełnić twoje pragnienia.



Królowa przysunęła się tak blisko, że Żarek czuł przez jej gruby kozuch nierówne kołatanie serca. Wychylali się oboje zza tego samego głazu, skąd zobaczył dwór po raz pierwszy. Wierzył przeciw temu, że Gudrun uparła się iść sama, ale nic na to nie mógł poradzić.

- Tym razem naprawdę nie będziesz mógł mi pomóc - zbyła go, ale o wiele łagodniej niż zwykle. - A poza tym nie chcę, żeby matka została sama. Ktoś musi być przy niej, gdyby coś się stało.

- Poczekam u drzwi.

- Nie! Zostaniecie na górze. Nikt jeszcze nigdy tego. nie robił i...

Żarek patrzył na jej zaciśnięte usta, ale nie dokończyła. Podał królowej ramię, a ona od razu zwiśla na nim całym ciężarem. Musiał ją wlec pod górę, bo nogi jej się plątały, a głowa opadała na piersi. Jej oddech przesyczał gorzki

zapach młodego wina. Dobrnęli do głazu i zwalili się w śnieg.

Kiedy spojrzeli za siebie, w dolinę, Gudrun stała już przed drzwiami dworu. W ciągu dnia gęsty śnieg przykrył rude plamy, a tam, gdzie leżały trupy olbrzymów, potworzyły się zaspasy. Gudrun wyglądała z wysoka jak mała muszka na rozpostartej bielutkiej chuście. Wystarczyłoby pacnąć otwartą dłonią, żeby ją rozgnieść.

- Niech się tyle nie zastanawia! - Głos królowej był przyduszony, ale całkiem trzeźwy. — On umie ukryć się w gąszczu ludzkich myśli jak kocur w wysokiej trawie. Już za późno na rozterki. Niech idzie!

Gudrun nie mogła jej usłyszeć, ale mogła poczuć na karku jej wzrok. Wyprostowała się, odetchnęła i uchyliła drzwi. Czerń za nimi była tak szczelna, że zdawało się, jakby zaraz miała przelać się przez próg jak smoła. Przyjęła Gudrun w siebie, wchłonęła i nastała cisza.

Żarek w myślach liczył kroki, jakie są potrzebne na przejście od drzwi do paleniska. Rozważne, krótkie kroki, stawiane w ciemności i w strachu. Raz, dwa, trzy... Cisza. Skrzypienie drzwi w przeciągu. Oddech królowej. Już powinna dojść! Teraz drżącymi palcami, po ciemku, szuka krzesiwa.

- Nie zapalaj ognia! - Królowa położyła się w śniegu na wznak, patrząc w niebo przyblakłymi oczami. - Nie patrz. Nie myśl. Po prostu weź ją.

Cisza. Płatki śniegu wirowały na wietrze i parzyły skórę, przylegając do policzków. Niebo ciągle było takie samo, ale jego odcień chyba się zmienił, jakby oddaliło się od ziemi. Zmroziło się i stwardniało. Obcość i strach jak dreszcz przebiegły po górskich żlebach, a mgiełka wokół wierchów wyglądała jak siny, chory wyziew.

- Weź ją. Weź.

Wiedzieli, kiedy palce Gudrun dotknęły żelaznej obręczy korony. Nie stało się nic takiego, co można by zobaczyć albo usłyszeć, ale i tak wstrząs był większy, niż gdyby rozstały się góry. Nad doliną przesunął się cień. Słońce nie przestawało świecić, śnieg iskrzył, ale głębia i chłód cienia były równie

prawdziwe jak światło. Albo prawdziwsze. Coś jak zmierzch dotknęło Żarkowi czoła i osiadło mrozem na źrenicach. Wzbudzało strach i podziw, wstret i pożądanie. Przeszło bezszelestnie i nagle się urwało. Ale świat, jaki po sobie zostawiło, nie był już ten sam. Było tak, jakby ktoś zerwał koszulinę ze złotowłosego dzieciaczka, który pod spodem okazał się trędowaty. Jak czerwone jabłko z malutką, czarną dziurką, z którego po rozgryzieniu wyłażą spasionie robaki. Ukazało się prawdziwe oblicze świata, takie, jakie jest, albo takie, jakie mogłoby być.

Wszystko trwało tak długo, póki w Żarku chwiał się jeszcze jakiś promyk nadziei. Kiedy zgasł, nastąpiła straszna chwila rozpacz, a potem naraz wszystko się skończyło. Górą wichur szarpał chmury, dołem po białej dolinie biegały blaski.

Świat znowu należał do Boga.

Kiedy przewracając się Żarek zbiegał po stoku, słyszał za sobą wołanie królowej. Nie dbał o to. Czarna czeluść za otwartymi drzwiami skakała mu przed oczami w górę i w dół, ale była coraz bliżej. Jasna plama, jak twarz topielca na powierzchni bagna, patrzyła na niego zielonymi oczami Gudrun. Był przy niej w chwilę po tym, jak przekroczyła próg. Broda jej drżała. Zatoczyła się i plecami oparła o ścianę. Żarek chciał ją chwycić za ręce i przyciągnąć do siebie, ale nie zrobił tego.

Korona na jej skroniach onieśmiała go.

Nie usłyszał kroków królowej, ale poczuł zapach wina. Stała przy nim, mógł spojrzeć z boku na jej twarz. Była skupiona, odświętna, jakby podświetlona od środka.

- Czy to już? - Gudrun zamknęła oczy i oparła tył głowy o szorstką belkę. - Zrobiłam to?

- Masz ją na głowie - powiedziała cicho królowa.

- Czy to wystarczy?

Gudrun podniosła rękę i dotknęła obręczy, ale zaraz ją cofnęła. Wysunęła

koniec języka i spróbowała znowu. Przejechała dwoma palcami po srebrnych guzach nad czołem, musnęła rzeźbione w pnącza i listki zwieńczenia.

- Nikt tego nie może wiedzieć oprócz ciebie.

- Ale ja nie wiem! Nie jestem pewna...

Królowa powoli opadła na jedno kolano, potem na drugie. Pochyliła się, podjęła Gudrun pod łydki i dotknęła czołem śniegu.

- Jesteś królową! - Włosy osłoniły jej twarz, kiedy ucałowała stopy Gudrun. - Cały kraj jest teraz twój. Razem z morzem, górami, jeziorami i lasami. Z ludźmi i zwierzętami. Rządź nim dobrze. Lepiej niż twój ojciec.

Wstała, otrzepała kolana. Miała lekko zaczerwienione powieki, ale z oczu zniknęło napięcie.

- A teraz pozwól, że pójde się zająć jego zwłokami. Czekał na to bardzo długo.

Stuknęły drzwi, zostali sami. Każdy z drogich kamieni osadzonych w koronie zamykał w sobie barwny odprysk słońca, rzucając na czarne włosy Gudrun migotliwe plamki. Żarek błędził wzrokiem po śniegu wygniecionym kolanami królowej. Przygiął plecy.

- Jeśli to zrobisz, kopnę cię prosto w zęby!

Wyprostował się, podrapał po głowie. Podniósł wzrok i z ulgą napotkał pod obręczą korony ciągle te same oczy Gudrun.

- To jak mam cię uczcić, królowo? - rozłożył ręce.

- Mam na imię Gudrun! - syknęła. - Już nie przełazi ci to przez gardło?

Przykucnęła pod ścianą, pokazała mu miejsce koło siebie. Było trochę lepiej, kiedy blask korony nie kłuł go prosto w oczy. Zatarł ręce, odchrząknął. Nigdy by nie pomyślał, że w milczeniu może być tyle udręki. Wyłamał po kolei wszystkie dziesięć palców.

- Jak to jest, kiedy się ma na głowie królewską koronę? - spróbował niepewnie.

- Wrzyna się w uszy - odwarknęła. - Chcesz przymierzyć?

Spłoszył się, zanim zrozumiał, że to tylko kpina.

- Nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć...

- Wiem, co miałeś na myśli. Że to już koniec i czas się rozstać.

Zmarszczył czoło. Wcale nie chciał o tym mówić, choć na pewno przyszło mu to do głowy. Ale dopiero jej słowa, które nadały tej myśli jasność i prostotę, rozbuchały w nim prawdziwą tęsknotę za swoimi. Po raz pierwszy od dnia, w którym patrzył ze statku na smugę dymu unoszącą się nad wioską, powrót stał się możliwy. Był na wyciągnięcie ręki.

- Tak - odpowiedział bardziej samemu sobie, niż jej. - Czas wracać.

Pokiwała głową. Korona zjechała jej na czoło, poprawiła ją niezdarnie. Ciągle była blada i ukrywała za tą bladością wszystko to, co naprawdę się w niej działo.

- Górale wyczyścili skarbiec do samego dna. Nie mam nawet z czego wypłacić ci nagrody.

- Obejdzie się. Każ tylko odstawić mnie z powrotem na jakimś dobrym statku, no i tym razem bez kajdan.

- Jedyna cenna rzecz, jaką mam, to korona. - Albo go nie słuchała, albo udawała, że nie słucha. - A tego ci nie mogę dać.

- I dobrze! Miałbym przerzucać w koronie gnój przy świniakach?

- A czy w ogóle jest coś takiego, co mogłabym ci dać?

Nie patrzyła na niego, utkwiała wzrok prosto przed siebie. Bladość jej policzków topniała w oczach. Wiedziała, że się rumieni, i złościło ją to. A wtedy rumieniła się jeszcze bardziej. Żarek pomyślał, że ona pewnie już żałuje tego, co powiedziała. Dał jej czas, żeby jakoś z tego wybrnęła. Ale ona milczała.

- Słuchaj, Gudrun - na chwilę zapomniał o jej koronie i odezwał się do niej tak samo, jak zrobiłby to jeszcze dzisiaj rano. - Nie o to chodzi, że ja cię nie...

Tylko...

- Dobra! - ucięła ostro, wstała. - Lepiej nie kończ, bo cokolwiek powiesz, będzie żałosne.

- Ale, Gudrun...

- Cicho! - Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy i przytłoczyła go siła jej wściekłości. - Aż do wiosny nie odejdzie w morze żaden statek. Będziesz miał we dworze dach i żarcie, czy co tam jeszcze ci potrzeba. A potem rób sobie, co chcesz.

Od wzgórz, nieprzetartym szlakiem, schodzili jacyś ludzie. Z daleka wyglądali na złachmanionych żebraków, ale przy pasach mieli miecze, a w dłoniach topory. Żarkowi się zdawało, że idąc, złorzeczą zachmurzonemu niebu. Ale kiedy podeszli bliżej, zrozumiał, że oni płaczą ze szczęścia.

## R O Z D Z I A Ł E X X V

Żarek wiedział, że z Borutą będzie kłopot, jak tylko pojawili się pierwsi ludzie. Udało mu się w ostatniej chwili wepchnąć czorta we drzwi dworu, chociaż zapierał się w progu kopytami. Był tutaj jakiś zapomniany zapach, który jeżył mu na karku sierść. Może ślad kadzidła, a może coś innego. Uległ dopiero wtedy, kiedy Żarek wyrzeszczał mu rozkaz prosto w klapnięte ucho. Udało się, tym razem jeszcze nikt go nie zobaczył. Zresztą tamci obszarpańcy okazali się powracającymi z tułaczki pastuchami, którzy dawniej służyli przy królewskich koniach. Nie pchali się do środka nie proszeni, a Gudrun pozwoliła obcałować sobie stopy przed drzwiami. Pokazała im miejsce, gdzie mogli sklecić sobie szalas, i odprawiła ich. Kiedy wróciła, położyła ręce na biodrach i spojrzała na Borutę krzywo.

- Trzeba go schować. W końcu przyjdzie ktoś znaczniejszy i co? Nie może być tak, żeby diabeł mieszkał we dworze, a ludzie pod gołym niebem.

- Ogłoś, że on nie jest groźny. Że jest pod twoją opieką czy jakoś tak.

- Mogę go nawet usynowić, ale to i tak nic nie pomoże. Ludzie najpierw rozszarpią go pazurami, a dopiero potem będą myśleć.

- No to co będzie? - Żarek sposepniał.

- Nic. Dawaj go tam.

Z tyłu izby, w rogu, był w posadzce otwór przywalony ciężką klapą. Gudrun znalazła pod ścianą jakiś zakurzony drąg, podważyła pokrywę, a Żarek sapiąc dźwignął ją do góry. Wilgotny zaduch buchnął z dziury jak para z kotła.

- Do lochu? - Żarek bał się nawet zaglądać do środka.

- On nie jest zbójcem, żeby go zamykać!

- Jeśli ma przeżyć do wiosny, niech włazi! I nie użalaj się nad nim. U siebie, na wysoczyźnie, pół życia spędził w takich norach.

Loch był głęboki, ale i tak diable rogi sterczały nad otworem, kiedy kopyta już skrobały o kamienie na dnie. Gudrun nie czekała, aż Boruta się umości, tylko trzasnęła klapą i przyciągnęła na to miejsce okutą skrzynię. Żarek zagryzł wargę.

- Nie zasłużył sobie na to. Jest wierniejszy niż pies.

- Świat jest pełen niewdzięczników! - Spojrzała na niego zimno. - Nie zauważyłeś?

Na tym na razie stanęło.

Żarek zaglądał do otworu wczesnymi rankami, kiedy Gudrun spała jeszcze na ławie. Zwijała się w kłębek jak dziecko, a dłoń kładła na koronie. Nie budził jej. Odsuwał skrzynię, uchylał klapę i przez szparę wrzucał do środka jedzenie. Boruta siedział cicho, ale Żarek wiedział, że nadstawia ucha i czeka na jego słowo. Raz zobaczył dwie czerwone plamy ślepi i ścisnęło mu się serce. Zamknął klapę, przesunął skrzynię i przez cały dzień włóczył się po zboczach doliny, patrząc, jak powoli odradza się tu życie.

Tak przeszło aż do powrotu biskupa.

Biskup Arnulf był chudy jak koza na przednówku. Głód wyssał z niego cały tłuszcz i mięśnie, cienka skóra zapadała się między żebrami. Policzki miał wklęsnięte, zęby ruszały mu się w rozmiękłych dziąsłach. Śmierdzący łach na jego grzbiecie był tak zbutwiały, że rozłaził się w szwach. Kiedy zeszedł z gór, na początku nikt go nie rozpoznał. Dano mu miche kaszy, jak każdemu, ale nie otwarto przed nim drzwi dworu. Dopiero kiedy rozchylił łachmany i pokazał nagą pierś, ludzie pochylili przed nim głowy. Na biskupim krzyżu srebrny Chrystus zwieszał udręczoną głowę w bok, a złote gwozdeczki w Jego dłoniach i stopach świeciły jak iskierki.

Z dawnej rady królewskiej był przedostatnim, który się pojawił. Inni



dotarli do dworu przed nim, a po ostatniego, Eryka Chyżonogiego, Gudrun posłała wojów na Cuchnące Wybrzeże. Mieli też podobno jakieś inne rozkazy, ale o tym nikt nic pewnego nie wiedział. Zresztą wokół dworu przez ostatnie dni działo się tyle, że ludzie chwyтали nowiny jednym uchem, ale zaraz wypuszczali drugim. W ciągu pierwszej nocy po tym dniu, kiedy nastala nowa królowa, w dolinie wyrosła cała wieś. Chatki były koślawe i wiatr hulał w nich, jak chciał, ale zawsze było to coś lepszego od zawilgoconych pieczar. Ludzie brali się nie wiadomo skąd, jakby Stwórca dziesiątkami lepił ich ze śniegu. Ci, którzy przychodzili z dołu, od morza, wyglądali jeszcze jako tako. Na pierwsze spojrzenie jeden w drugiego rybacy. Dopiero potem się okazywało, że ten jest kowal, tamten woj, a jeszcze inny mnich. Ale ci, którzy zwlekali się z gór, ledwo stali na nogach. Widać było po nich, że przez kilka lat żyli jak zwierzęta. Zwykle pierwsza łycha ciepłego żarcia przywracała im siły, choć byli i tacy, którzy dostawali skrętu kiszek i umierali. I tak dziwne było, że tak wielu zbiegów przechowało się pod samym bokiem Złego. Gdyby tylko ktoś miał czas ku temu, żeby się dziwić.

Życie w dolinie zaczynało wrzeć od nowa.

Dorobek kilku łupieskich pokoleń zaginał w mroźnej zadymce razem z góralami i królowa nie miała czym opłacić drużyny. Ale poradziła sobie. Z początku trzymała pod rozkazami tylko paru mętów bez imion i przeszłości, którzy służyli za jedzenie i za to, że ich nie pytano, skąd się wzięli. Szybko pięścią i groźbą wymusili posłuch między ludźmi. Trzymali porządek. A że czasem we wsi ginęło to i owo, kura, nóż czy garść miedziaków, cóż? Tak bywa. Potem, pojedynczo, zaczęli skapywać prawdziwi, dawni woje. Ten miał miecz, ale nie miał tarczy, tamten miał tarczę, ale chodził w dziurawych portkach. Kręcili nosami na pusty skarbiec. Chcieli, żeby od razu było tak samo, jak za pierwszych lat króla. Wielu odchodziło szukać szczęścia gdzie indziej, ale byli i tacy, którzy zostawali. Słuchali opowiadań Gudrun o tym, gdzie zamierza pchnąć pierwsze najazdy, zaraz po tym, jak dmuchnie wiosna.

Liczyli przyszłe łupy, a tymczasem łatali koszule i opukiwali rdzę z toporów. A kiedy zaczęła zbierać się królewska rada, kiedy wielmoże powyjmowali z lisich nor i wiewiórczych dziupli swoje ostatnie mieszki złota i rzucali je Gudrun do nóg w imię zysków, jakie dopiero na nich spłyną, sprawy ruszyły zwawiej. Tych pierwszych mętów Gudrun kazała powywieszać za złodziejstwo, a drużyna przestawała być zbieraniną oprychów. Skrzyknięto kowali i rozdmuchiowano od dawna wygasłe kuźnie. Przekuwano na miecze wszelkie żelastwo, obciążano świeżymi skórami wyszczerbione tarcze. Na przystaniach naprawiono statki. Od rybaków szły do dworu kosze pełne suszonych ryb, odbijano jakieś zapomniane loszki z dzbaniskami pełnymi ziarna. Wszystko szło tak, jak pod ręką dobrej królowej powinno iść, i na myśl o nadchodzącej wiośnie ludziom krew burzyła się w głowach.

I na to wszystko właśnie przyszedł biskup. Czekano na niego, a jakże. Królowa bez biskupa nigdy nie będzie w pełni królową. Ale stajnie dla koni były już pobudowane, szopę dla drużyny właśnie kończono kryć słomą, a czarne żerdki po spalonym kościele ciągle jeszcze straszyły, jak dawniej. Arnulf musiał to wszystko widzieć już z daleka, z góry. Nic nie mówił, bo stary król w porywie szaleństwa kazał wyrwać mu język, ale patrzył. A oczy mu świeciły jak w gorączce.

Ludzie rozstąpili się, kiedy przez próg dworu przeszła Gudrun. Uklęknęła, ucałowała krzyż, a potem pokazała biskupowi drogę do środka. Pokręcił głową. Zsunął z ramienia wypłowiwały wór, zanurzył w nim ramię i wyciągnął gliniany dzbanuszek z drewnianą zatyczką. Podniósł go w górę, żeby wszyscy widzieli. Między ludźmi przeszedł szmer. Jedni parli do przodu, żeby lepiej widzieć, inni zaczęli cofać się w popłochu.

Biskup wyrwał zatyczkę zębami, a odgłos cmoknięcia zdawał się wypełniać echem całą dolinę. Nie widziano tutaj święconej wody od wielu lat. Arnulf wsadził do dzbanuszka dwa palce, uniósł rękę nad głowę, a potem nagle strzepnął dłonią w stronę ludzi. Raz i drugi, jakby strzelał biczem.

Żarek stał w samym środku tłumu, ściśnięty ze wszystkich stron. Poczuł na

nosie kroplę wody. Pozwolił jej spłynąć na język. Mlasnął, połknął. Nic, woda jak woda.

Biskup znowu zmoczył palce, znowu chlapnął. Człowiek, który wbijał Żarkowi łokieć w żebra, nagle zawył. Przycisnął dłonie do twarzy, jakby ktoś chlusnął mu w oczy wrzątkiem. Łkając z bólu, próbował schować się za plecami ludzi, ale tłum za nim zwarł się jeszcze mocniej. Ci, którzy stali blisko, odskoczyli na boki, pociągając Żarka za sobą. Jęczący człowiek upadł na kolana, a potem na brzuch. Wcisnął twarz w śnieg. Arnulf podszedł do niego. Wyciągnął rękę z dzbanuszkim nad jego plecy i wolno przechylając, uрониł kilka kropel.

Człowiek zwinął się jak robak przypalony żelaznym prętem wyjętym z ognia. Nie krzyknął, tylko stęknął, jakby już nie miał w płucach powietrza. Zagiętymi szponiasto palcami zbełtał śnieg i znieruchomiał. Ludzie przez jakiś czas patrzyli na niego w ciszy. Potem pochylili się nad nim i odwrócili go na plecy.

Twarz miał usianą czarnymi kropeczkami, jak jakimiś diabelskimi piegami. Jakby ktoś rozrzucił drobinki żaru na lodowej skorupie, kropelki święconej wody przepaliły skórę, przetopily kość i wżarły się w głąb głowy. W szeroko otwartych oczach stężało lśnienie przerażenia, jakie można zobaczyć u prosiaka wleczzonego na rzeź. Ale nie u człowieka.

Żarek przepchał się do Gudrun. Odsuwał ludzi na swojej drodze, a oni ustępowali przed nim miękko i bez oporu.

- Kto to był? - Spojrzał trupowi w oczy i splunął. - Co to było?

- Nie wiem. Czy to ważne? - Gudrun nie spuszczała wzroku z ręki Arnulfa i glinianego dzbanuszka. - Jakaś sierota po Złym. Nikt nie wie, ile ich jeszcze włączy się po kraju, ani nawet jak mogą wyglądać. Pewnie miną całe lata, zanim ich wybijemy.

- Uch! Nie chciałbym więcej oglądać czegoś takiego.

- To jeszcze nic. - Oczy Gudrun ściemniały. - Przygotuj się na

niespodziankę. Biskup zabiera się za święcenie dworu.

- To co? Widać tak trzeba.

Położyła palec na ustach. Żarek ściągnął brwi, ale po chwili też to usłyszał. Nierównomierne, rozpaczliwe, bezsilne walenie w spód ciężkiej pokrywy, przywalonej drewnianą skrzynią.



Wojom udało się go związać tylko dlatego, że Arnulf przez cały czas stał okrakiem nad otworem lochu, gotów święcić na pierwsze warknięcie Boruty. Żarek leżał na brzuchu wychylając głowę nad ciemną czeluść i nawoływał cicho, starając się opanować drzenie głosu.

- Nic, nic, Boruta. Wszystko dobrze. Spokojnie.

Diabeł pocił się ze strachu i jego kwaśny smród bił z lochu na izbę. Woje przewlekli przez otwór sznury i pociągęli, ale Boruta rozparł się łokciami na boki, dygocąc jak szczenię. Dopiero kiedy biskup cofnął się pod ścianę i schował dzbanuszek za pazuchę, diabeł zwiotczał i pozwolił wywlec się na izbę, a dalej przez próg. Ciągęli go za rogi na wznak, rozrzucone kopyta ryły śnieg. Ludzie stali z obu stron w dwóch rzędach i pluli w jego oślepienie słońcem oczy. Dostał kilka kopniaków w żebra, pokazały się cepy, ale biskup ukrócił to wszystko jednym zmarszczeniem brwi. Dopilnował, żeby przykuto Borutę łańcuchem do kamiennego słupa przed dworem, postawił przy nim dwóch wojów i odszedł, zostawiając po sobie ciszę. Ludzie postali jeszcze chwilę, pokiwali głowami, a potem rozskrzypiał się śnieg, kiedy zaczęli rozchodzić się do swoich chat.

Żarek przyklęknął przy Borucie i dotknął jego skroni. Pozlepiane potem klaki zaczynały sztywnieć na mrozie.

- Czekaj na mnie. - Spojrzał na łańcuch. - To znaczy leż spokojnie.

Niedługo wrócę.

Cicho wsunął się do dworu, ale nie znalazł tam Gudrun. W izbie było pełno ludzi. Słudzy zmywali z podłogi smugi czarciego łąjna, wielmoże z rady siedzieli na ławie i pochylając do siebie głowy, rozmawiali głośno. Łysy mnich okadzał ściany wonnym dymem, mrużąc pod nosem modlitwę. Żarek nie czekał, aż go ktoś zaczepi. Wymknął się jak złodziej.

Kościelne pogorzelnisko było trochę na uboczu, poza gwarem wsi i dworu. Mało kto tutaj zaglądał. Po nocnych opadach nikt jeszcze nie przetał ścieżki. Jasna płaszczyzna leżała nietknięta, poza jedną linią śladów, drobnych i całkiem świeżych. Żarek poszedł za nimi. Były znajome, chociaż chyba trochę głębsze niż dawniej.

Gudrun siedziała w samym środku czarnego obrysu, który wyznaczał dawne ściany kościoła. Miała zamknięte oczy, jakby się modliła. Żarek zatrzymał się niepewnie, ale Gudrun, nie patrząc na niego, przywołała go palcem.

- Jeśli chciałaś tu być sama, to już sobie idę. - Podrapał się za uchem.

- I tak mnie w końcu dopadniesz - wzruszyła ramionami. - Chodzi o diabła?

- Tak. Chodzi o Borutę.

Zerknął na jej twarz. Oczy ciągle miała zamknięte.

- Nic nie da się zrobić.

- Co ty gadasz? - Jej spokój tylko podsycił w nim gniew. - Każ biskupowi go wypuścić! Jesteś królową czy nie?

- Jestem. A biskup jest biskupem. - Otworzyła oczy i zaraz je przymrużyła przed odbitym od śniegu światłem.

- Zrozum, on wcale nie jest mściwy. Ani ja. Ale tak trzeba. Ludzie muszą zobaczyć, że Zło naprawdę szczeło. Musi im się to odcisnąć w głowach raz na zawsze, żeby znowu zaczęli żyć.

Przestraszył się jej. Po raz pierwszy naprawdę zaczął się jej bać.

- Jak to będzie? Stos? Ćwiartowanie?

Wyczuła w jego głosie coś, czego przedtem nie było, i drgnęła.

- Biskup ma swoje sposoby. Zresztą sam widziałeś.

- Gudrun! Co z tobą jest? Przecież to dzięki czortowi chodzisz teraz na dwóch nogach, a nie na jednej! Dzięki niemu jesteś królową!

Wstała, czerwony płaszcz wydał się i spłynął jej na plecy.

- Jestem królową dzięki sobie. A co do czorta, to nie zapominaj, że na początku sam marzyłeś o tym, żeby jakoś się go pozbyć.

Kłula słowami jak soplami lodu, aż Żarek się zmieszał i zaczerwienił.

- Na początku. Teraz jest oswojony.

- Owałaszony, a nie oswojony. To różnica. - Podeszła do czarnej krechy na śniegu, podniosła garść popiołu i puściła go na wiatr. - Stare odchodzi, Żarek. Musi odejść, żeby mogło przyjść nowe. Musimy wytępić nie tylko to, co Zły ulepił ze swoich śmierdzących wyziewów na ludzką szkodę, ale też to, co przez wieki żyło obok ludzi. Jakby w innym świecie. Topieluchy. Węże morskie. - Odwróciła się do niego. - I diabły. Już wysłałam ludzi, żeby głazami przywalili jaskinie w górach.

Wytrzymał jej wzrok.

- Tego jednego diabła oszczędź. Wywiozę go daleko, nikt nigdy więcej go tu nie zobaczy. Proszę.

Wciąż patrzyła. Na czole pojawiały jej się zmarszczki i zaraz nikły, jakby coś próbowała sobie przypomnieć i nie mogła.

- Mogłeś prosić o wszystko. Wtedy. Byłam gotowa, żeby dać ci wiele, czegokolwiek byś chciał. A ty wzgardziłeś. Wzruszyłeś nade mną ramionami, jakbym była pierwszą lepszą gęsiareczką! - Jej głos wzniósł się prawie do zwykłego babskiego wrzasku, ale nie przekroczył tej niewidzialnej granicy. - Teraz już nie proś, bo to nic dla mnie nie znaczy.

Myślał, że ją uderzy. Nie powstrzymałby go ani strach, ani nawet barwne rozbłyski na jej koronie. Ale nie zrobił tego, chociaż drgnęła mu ręka. Odsunął się wolno, jak człowiek cofający się przed naprężoną do skoku zmią. Odwrócił się plecami dopiero wtedy, kiedy minął spaloną ścianę kościoła. Zaczął biec.

- Żarek!

W jej krzyku był przymus, który oplótł mu nogi. Nie taki, jaki brzmi w rozkazie królowej, ale jaki słycać w płaczu przerażonego dziecka wołającego matkę.

- Żarek!

Wrócił. Klęczała na śniegu z poszarzałą twarzą i oczami wypełnionymi czernią rozszerzonych źrenic. Lewą dłonią obejmowała nadgarstek prawej ręki i trzymała ją przed sobą jak jakąś obcą rzecz.

- Coś mi się... - parę razy szybko odetchnęła, świstając przez zęby. - Coś mi się dzieje z ręką.

Zrobiło mu się słabo. Musiał przykucnąć i podeprzeć się pięściami, żeby nie upaść.

Dłoń Gudrun zmieniała się. Kurczyła się, wysychała, więdła, a skóra pękała z cichym trzaskiem i zwijała się w suche płaty. Kości i ścięgna stały się widoczne, a żyły zmieniły się w bladoniebieskie powroziki, w których już nie płynęła krew. Paznokcie poczerniały, palce wydłużyły się i schudły. To nie była już dłoń Gudrun, ale ręka staruchy. Gołe kości, strzępy skóry. Kurza łapka.

- Wynieś mnie! - Opanowała się pomimo bólu. - Wynieś mnie z kościoła, bo sama nie dam rady!

Wstał, zataczając się zaszedł ją od tyłu i chwycił pod pachy. Trzymała rękę nad głową, tuż przed jego oczami. Zaparł się piętami, szarpnął w tył. Widział biel śniegu, spopieloną ścianę, znowu biel.

- Starczy, puść!

Wyprostował się ocierając z czoła pot. Gudrun szybko pozbierała się ze śniegu. Pobieźnie obejrzała dłoń, z wierzchu i od wewnątrz. Była taka sama jak druga.

- W ostatniej chwili, to zaczynało już podchodzić w górę ramienia! - Uchwyciła jego wzrok i drgnęła. - Na co się tak gapisz?

- Co to było? - zapytał drętwym głosem.

Poprawiła koronę, wygładziła płaszcz. Obejrzała się przez ramię na popielisko.

- Nie wiem. Po prostu czasem tak mi się dzieje. Niektórych rzeczy nie mogę dotykać, bo... Widziałeś.

- Popiołu? Nie możesz dotykać popiołu?

- Mogę, głupku! - Rozdrażniona, niecierpliwie odgarnęła włosy znad oczu. - Tylko tutaj nie mogę. To był kościół.

Teraz Żarek się obejrzał, ale w drugą stronę, na wieś.

- I czego jeszcze nie możesz dotykać?

Spojrzała na niego chmurnie, opuściła głowę. Nie odpowiedziała.

- No, czego? Może święconej wody?

Milczała. Żarek zrobił krok w jej stronę.

- Krzyża?

Cisza.

- A może spróbuj powiedzieć: „Jezus Chrystus Zbawiciel”. - Dotąd nie wiedział, że potrafi w ten sposób cedzić słowa. - Nie? Sparzy ci gardło?

- Przestań! To nie jest tak, jak myślisz.

Żarek zrobił jeszcze jeden krok i założył ramiona na piersi.

- Jest. To ciebie trzeba wypalić jak wrzód, a nie Borutę.

- Jeden mój krzyk, przybiegną woje i przestaniesz szczekać. - Naciągnęła płaszcz na ramiona, jakby zrobiło jej się zimno. - Nie próbuj mojej



cierpliwości.

- Jeden mój szept w ucho biskupa, a odwiedzi cię z kropidłem.

Najpierw musiała się wysapać, ale kiedy się w końcu odezwała, zabrzmiało to pojednawczo.

- Wiem, że to nie wygląda dobrze. Ale ja nad tym panuję, naprawdę.

- Właśnie widziałem.

- Tym razem było silniejsze niż zwykle. Może dlatego, że w kościele. Ale to minie, kiedy doprowadzę tę wojnę do samego końca. Wiem to, czuję.

Powiał wiatr, podniósł z pogorzelska chmurkę popiołu i rozdmuchał ją nad ich głowami. Gudrun pobladła, ale wytrwała na miejscu.

- Dobra! - Żarek uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Zrobimy tak. Pójdę teraz do Arnulfa. Powiem mu, że Złego trzeba szukać nie tam, gdzie go widać, ale najpierw tam, gdzie jest. - Widział, że Gudrun zsiniały wargi. - Ale będę szedł wolno. Bardzo wolno. Jeśli się pospieszysz, na pewno będziesz u biskupa pierwsza. I kto wie? Może nawet go jakoś przekonasz, żeby wypuścił Borutę?

Odszedł. Na śniegu ciągle były te same ślady, jego i Gudrun. W połowie drogi do dworu usłyszał za sobą kroki. Gudrun zrównała się z nim, czerwony płaszcz przesłonił mu pół nieba i zniknął.

Zatrzymał się, odetchnął.



Gudrun krążyła między rzeźbionymi podporami, mrużąc do siebie przekleństwa. Przy każdym nawrocie czerwony królewski płaszcz wzdymał się za nią jak żagiel wypełniony wiatrem. Ogień na palenisku przygasał, ale zaraz rozbłyskiwał z nową siłą.

- Głupie, niewdzięczne, uparte bydlęta! - Zatrzymała się gwałtownie przed

ławą, na której siedział Żarek, a kurz z klepiska wzbił się ponad jej kolana. - Ocaliłam ich grube tyłki, a oni mają jeszcze śmiałość stawiać mi warunki!

Żarek patrzył, jak chmurka kurzu bardzo powoli osiada wokół stóp Gudrun. Nie wiadomo skąd wykluło się w nim wspomnienie Żywuli, która w świetle wieczornego słońca stoi w drzwiach chaty i wymiata przez próg całodzienny brud. Zamknął oczy i potrząsnął głową.

- Nic na to nie poradzisz, jeśli taki tutaj jest obyczaj.

- Gównno, a nie obyczaj! - Gudrun znowu wzniesła kurzawę tupnięciem nogi. - Ja nie potrzebuję żadnego męża! Chcą mi narzucić jakiegoś obślinionego starucha, żeby zrobić ze mnie swoje popychadło.

- Nie jest źle mieć w radzie mądrych ludzi. - Pod przymkniętymi powiekami Żarek widział teraz Starego, jak siedzi na pniaku, opierając dłonie na kolanach. - U nas we wsi...

- Co ty mi tu z twoimi kmiotami! - Płaszcz zafalował, ogień przygasł. - Tu chodzi o królestwo, rozumiesz? Wyludnione, biedne, zmyte krwią, ale królestwo.

Żarek przez dłuższy czas siedział bez ruchu. Miał uczucie, jakby powietrze przesiąknięte było pyłem, który oblepia nos i gardło. Odkaszlnął, splunął. Pomyślał o czystej bieli śniegu, którą można spotkać tylko tam, po drugiej stronie morza. Wstał. Był już u drzwi, kiedy szuranie kroków Gudrun urwało się nagle.

- Co ty robisz?

Nie odwrócił się. Patrzył na jasnoblękitną wyrwę w półmroku, którą tworzyła szpara niedomkniętych drzwi.

- Muszę wyjść.

- Jest taki mróz, że aż trzeszczą ściany. Gdzie chcesz łązić?

- No, nie wiem - wzruszył ramionami. - Ale muszę.

Nie czekał na jej odpowiedź. Pchnął drzwi i wciągnął do płuc mroźne,

kłujące powietrze. Wydeptane w śniegu ścieżki rozchodziły się w różnych kierunkach. Patrzył na nie, a w sercu pełgał mu smutek, którego nie potrafił nazwać. Wolałby, żeby tych ścieżek nie było aż tak wiele.

Skrzypnęły za nim drzwi. Przestraszył się, że zaraz poczuje na ramieniu dłoń Gudrun, i wielkimi krokami poszedł naprzód. Wybrał wąziutką ścieżynę, którą ciągle od nowa przysypywał świeży puch. Odbijała w bok i w górę, zбочem łagodnego wzgórze. Dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, dokąd ta ścieżka prowadzi, ale już nie zawrócił.

Królowa stała nad niskim kopczykiem, usypanym z grud zamarznętej ziemi. To miejsce było wystawione na uderzenia lodowatego wiatru, ale ona trzymała się prosto, z wysoko podniesioną głową. Żarkowi się zdawało, że poruszała ustami, lecz zamilkła, kiedy go zobaczyła. Nie wyczuł w jej postawie niechęci, więc podszedł i stanął po drugiej stronie grobu. Spojrzała na niego, a wtedy dostrzegł drgnienie kącików jej ust. Gdyby wcześniej nie znał jej córki, nie domyśliłby się, że to oznacza uśmiech.

- Nie chciałem przeszkadzać. - Odkaszlnął w zaciśniętą pięść, chociaż teraz nic nie drapało go w gardle. — Trochę pobłądziłem.

Powoli pokiwała głową, nie spuszczać go z oczu. Był pewien, że przejrzała jego kłamstwo, chociaż chyba wcale jej to nie obeszło.

- Jesteś pierwszy, który tutaj zajrzał od dnia pogrzebu. A przecież nawet go nie znałeś za życia. Ci, którzy znali go od wielu lat, wolą unikać jego mogiły. Był król i nie ma króla.

- Nie zostawił po sobie dobrej pamięci. - Żarek zaczerwienił się. - Sama wiesz.

- Wiem. Jestem... Byłam jego żoną. I pamiętam go takiego, jakim był, zanim zaczęły się jego chore marzenia.

Żarek schylił się, podniósł ze śniegu czarną grudkę, która się stoczyła z kopczyka, i rzucił ją na grób. Nie miał nic do powiedzenia, ale rozumiał, że teraz nawet milczenie może mieć swoją wagę.

- Gudrun zmieniła się, prawda?

Drgnął. Głos królowej był teraz całkiem inny, jakby wróciła myślami z daleka i skupiła je wszystkie właśnie na nim.

- Trochę. Ale chyba nie ma w tym nic dziwnego, teraz jest królową.

- Masz dziewczynę?

Tym razem nie zapanował nad opadnięciem szczęki. Oczy królowej bez pośpiechu ślizgały się po jego twarzy, choć nie było w tym spojrzeniu żadnej natarczywości. Sam nie wiedział czemu, ale zapragnął tę rozmowę przeprowadzić do samego końca.

- Tak. Nie. To znaczy... Dawno jej nie widziałem.

- Przez ostatnie dni bardzo dużo się na was napatrzyłam. Na ciebie i na Gudrun. Przyznaję, że na początku źle cię oceniłam. - Zmarszczyła nos i odsłoniła górne zęby. - Ale nie miej mi tego za złe. Jeśli taki ładny chłopak płata się koło córki króla, to... Łatwo zgadnąć, po co.

- Powiedziała mi prawdę o sobie dopiero wtedy, kiedy wszystko zaszło już bardzo daleko. Nie mogłem jej przecież zostawić samej.

- Wierzę ci, że tak właśnie było. Dlatego chcę ci pomóc. — Wsadziła rękę pod kożuch i wyciągnęła mały woreczek. - Tutaj jest trochę srebra. Wystarczy, żebyś uchował się u jakichś prostych ludzi do wiosny. A kiedy tylko z morza zejdzie lód, wsiadaj na pierwszy statek kupiecki i zapomnij, że tutaj kiedykolwiek byłeś.

Woreczek z brzękiem upadł w śniegu koło jego stóp. W jakiś dziwaczny sposób mróz zaczął palić Żarkowi policzki.

- Ale... Co to ma być?

Oczy królowej zwęziły się. Nachyliła się przez grób i wyciągnęła rękę, dotykając palcami jego twarzy.

- Czyżby już było za późno? Rozmawiała z tobą o tym?

- Jezu, ale o czym?

- O małżeństwie.

Bezwiednie cofnął się, ale nie na tyle, żeby stracić z oczu woreczek. Królowa przypatrywała mu się jeszcze przez chwilę, a potem wyprostowała się i nieoczekiwanie parsknęła krótkim śmiechem.

- Zobaczysz, że twoja prostoduszność kiedyś cię zabije! A co ty sobie myślał? Moźni postanowili, że młoda królowa musi mieć męża. Ona na razie wierzga, ale szybko zacznie się nad tym zastanawiać. Wiem, bo to jest moja krew. Stręczą jej bezzębego Thorleifa, bo to i wdowiec, i z wieku należy mu się pierwszeństwo. A Gudrun zdusi wściekłość i w końcu zgodzi się na zamążpójście, ale weźmie sobie takiego, który nie będzie się wtrącał w jej sprawy. W rządzenie! Czyli jakiego? Albo głupca, albo pijaka. Albo... ciebie.

Z nieba zaczęły lecieć grube płaty śniegu. Żarek niemal słyszał cichy syk, jaki wydawały osiadając na jego rozpalonej twarzy.

- To niemożliwe.

- Przyglądałam się wam, przecież ci mówiłam. Myślisz, że nie potrafię właściwie ocenić sposobu, w jaki moja własna córka patrzy na chłopczyne, którego lubi?

- Jeśli masz rację, to muszę z nią jakoś pomówić! - Żarek zrobił mały krok naprzód, bo woreczek zaczynał już znikać pod ciągle padającym śniegiem.

- I co? Chcesz ją upokorzyć, a potem spokojnie pójść w swoją stronę?

Razem ze świstem wiatru doleciał odgłos kroków. Na przełaj stoku pokracznie brnął przez zaspy diabeł. Dostrzegł Żarka i zatrzymał się. Nie podchodził bliżej, tylko przykucnął i patrzył z oddali, strzygąc uszami jak koń.

- Masz jego. - Królowa kiwnęła ręką w stronę diabła.

- Ceń to sobie. Gwizdnij na niego i idźcie, nie oglądając się za siebie. Inaczej kiedyś, po latach, własnymi rękami usypiesz tutaj drugą mogiłę, a potem będziesz nad nią sterczał jak chochoł, rozpamiętując gorzką przeszłość.

- To przez tę koronę, prawda? - Żarek szybko oblizał wargi. - Chcesz mi powiedzieć, że z Gudrun będzie to samo, co z jej ojcem?

Królowa obeszła grób, podniosła woreczek i ściskając rękę Żarka, położyła mu go na dłoni. Potem przytuliła go do siebie i pogłaskała po głowie, jakby był małym dzieckiem.

- Nie wiem. Nie mogę być tego pewna. Ale dzisiaj rano rozmawiałam z ludźmi, którzy wracali z gór. Mówili, że na przełęczy zeszła lawina. Śnieg porwał górali, wszystkich, co do jednego. Tylko skrzynie ze złotem jakoś wypłynęły na wierzch i leżą teraz rozbite na stoku. Ale nikt nie wziął nawet jednej złotej blaszki, ludzie się boją. Nie zapomnieli, kto zgromadził całe to bogactwo. No i nikt nigdy nie słyszał, żeby górale ginęli w lawinach...

- To się Gudrun ucieszy! - westchnął Żarek. - Nie mogła tych skrzyń odzłować.

- Ucieszy się. - Królowa nie przestawała mierzwić jego włosów. - Na pewno.

Poczuł, że wetknęła mu coś za pas. Spojrzał w dół i zobaczył okuty srebrem brzeg rogu jednoroźca. Jego ciemne wnętrze kryło głębię, która przyciągała wzrok. Królowa odsunęła go od siebie na odległość wyciągniętych rąk, żeby móc spojrzeć na jego twarz.

- Wczoraj była dobra noc. Wietrzna. Wyszłam wysoko ponad dolinę i zagrałam, żeby wiatr mógł ponieść jego głos wszędzie tam, gdzie jeszcze są jacyś nieboracy związani jego mocą. Kto przetrwał, ten wstanie na nogi i wróci.

- Po co mi go dajesz?

- To Gudrun powinna zagrać. To był jej pierwszy obowiązek, a ona nawet o tym nie pomyślała. Więc lepiej będzie, jeśli nie dostanie go nigdy do ręki. Nie zasługuje na niego. A jeśli nie ona, to nikt. Kiedy już będziesz na samym środku morza, ciśnij go do wody. - Pchnęła go lekko palcami. - Idź.

## R O Z D Z I A Ł   X X V I

Ośnieżona droga była gładziutka, nietknięta stopą od wielu dni. Obwałowana z obu stron wysokimi zaspami, wiodła znikąd donikąd, zapomniana i nikomu niepotrzebna. Dlatego właśnie ją Żarek wybrał. Szerszymi, przetartymi szlakami na pewno szło by się wygodniej, ale nie sposób było uniknąć setek ciekawych oczu.

To była jedna z tych rzeczy, o których nie pomyślał uciekając z dworu. Boruta nie miał dokąd wracać i dla Żarka było jasne, że musi go zabrać ze sobą. Ale co dalej? Ciągnąć go między ludzi? Teraz, kiedy nawet kmieci dzieci śnią o zemście za te wszystkie lata strachu? A przecież wieść o tym, co wydarzyło się na dworze, z pewnością dotarła już do najędzniejszej nory, nad najbardziej odległą zatoką. Żarek jeszcze przed swoją ucieczką zdążył się przekonać, jak wygląda świat, który nagle został uwolniony z mroźnych okowów trwogi. Z gór, z ciemnych jarów, nawet spod ziemi wyłazili ludzie, którzy aż dotąd musieli się ukrywać. Najwięcej wśród nich było możnych i wojów, którzy nie chcieli zaprzysięgać wiary opętanemu królowi, ale byli też prości kmiotkowie. Przez całe wybrzeże przetoczyła się taka pijatyka, że podobnej nie było od wieków. A może nigdy. Ludzie chlali, ryczeli ze szczęścia i rznąli nożami wszystko, co wyglądało im podejrzanie.

Zjeżony kark Boruty i jego odsłonięte kły zatrzymały Żarka w pół kroku, po kolana w śniegu.

- Co?

Spojrzał szybko za siebie, a potem w dół, wzdłuż drogi. Było pusto i cicho. A jednak na końcach długich palców Boruty wysunęły się pazury. Diabeł pochylił łeb i nadstawił rogi. Żarek nie namyślał się dłużej, tylko skoczył w

bok, za zaspę, i przycupnął w krzakach. Boruta wczołgał się za nim, powarkując ze złości, bo rogi wplątywały mu się między kłujące gałązki.

- Cicho! Chcesz, żeby ktoś cię zobaczył? Choćbyś merdał ogonem najprzymilniej jak umiesz, ludzie i tak zatłukliby cię cepami. Nie pasujesz do tego świata.

Droga iskrzyła się w słońcu, gałęzie drzew uginały się pod brzemieniem śniegu. Niżej, za zakrętem coś otarło się o drzewo i śnieżna czapa osypała się, prosząc błyszczącymi drobinkami. Boruta głośno kłapnął zębami.

- Zamknij się, bo sam cię dźgnę! - Żarek wparł łokieć między rogi diabła i wtłoczył jego pysk w śnieg. Przez chwilę się szamotali, ale wreszcie wyprężony ogon opadł i Boruta znieruchomiał.

Drogą ktoś szedł. Z dołu, od wybrzeża, w głąb lądu. Nie było go jeszcze widać, ale jego ciężkie sapanie mąciło jednostajny szum lasu. Najpierw zakołysał się nad zaspą ciemny czub wysokiego kaptura, a potem wychudzona twarz i cała reszta. Człowiek z trudem brnął pod górę, zataczając się na boki jak pijany. Był owinięty płaszczem, ale Żarek i tak rozpoznał go prawie od razu. Pochylił niżej głowę i pozwolił mu przejść koło siebie, a potem cicho wyszedł na drogę za jego plecami.

- Ciągle jeszcze się ukrywasz, Eryku Chyżonogi?

Tamten musiał być bardzo zaskoczony, słysząc niespodziewanie swoje imię na takim odludziu, ale nie okazał tego nawet jednym niespokojnym ruchem. Przystanął na chwilę, jakby szukał w pamięci twarzy, która mogłaby do tego głosu pasować. Powoli się odwrócił.

- Ukrywać się, a być ostrożnym to dwie różne rzeczy.

- Odrzucił kaptur na plecy i uśmiechnął się całą nierówno zarośniętą gębą.

- Witaj, rozbitku.

Żarek nie spodziewał się, że widok przyjaznej twarzy może sprawić mu tyle radości.

- Witaj! Już nie musisz się niczego bać. Król nie żyje. To znaczy, całkiem



nie żyje.

- Ho, ho! - Eryk uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Zhardzialesz w tych górach, jeśli teraz zajmujesz się udzielaniem porad starszym.

- Nie, ja tylko tak, z życzliwości. Myślałem, że nie wiesz, skoro przemykasz się lasem.

- Wiem. Ty też wiesz, a pomimo to zaryłeś się w śniegu, jak tylko usłyszałeś moje kroki.

Żarek poczuł, że krew napływa mu do twarzy. Rzucił ukradkowe spojrzenie w bok, gdzie sznur jego śladów zniknął pod krzakami.

- Mam swoje powody - mruknął niechętnie.

- A ja mam swoje. - Chyżonogi pokiwał głową i milczał przez chwilę, jakby na coś czekał. - A twój towarzysz ma chyba z nas wszystkich największe, bo nawet nie pokazuje nosa.

- Mój... kto?

- Ten, który wierci się w krzakach. Chciałbym go poznać.

Żarek popatrzył spode łba na chwiejące się gałązki. Zagryzł dolną wargę i rozłożył ręce, nie podnosząc oczu.

- Chyba lepiej będzie, jak po prostu rozejdziemy się w swoje strony.

- Nalegam! - Eryk schował prawą rękę pod płaszcz. - Polubiłem cię, ale ja nigdy nie pokazuję pleców obcym.

- On... my... - Żarek chciał się cofnąć, ale w mokrym śniegu trudno było zrobić do tyłu nawet jeden krok. - Chcemy tylko znaleźć jakiś statek i odpłynąć wreszcie z tego przeklętego kraju! Nie obchodzi nas, dokąd idziesz. Ani po co.

- Bardzo dobrze. - Eryk odchylił połę płaszcza i pokazał rękojeść miecza, oczy mu się zwężyły. - A więc nie ma powodu, żeby ten tam dalej odmrażał sobie jaja w śniegu. Wołaj go.

- On już nie ma... - Żarek nie skończył myśli, tylko ze złością machnął

ręką. - A niech tam, sam tego chciałeś. Boruta!

Diabeł wstał szybko, zanim Chyżonogi zdążył obrócić w jego stronę głowę. Wyprostował się na całą wysokość i wyrywając ze śniegu długie golenie, zaczął iść w ich stronę. Oddychał ze świstem, bił ogonem po bokach.

- Biegnij w las! - Po pierwszym osłupieniu Eryk podniósł miecz i drugą ręką zerwał spięty pod szyją płaszcz, który spłynął po jego plecach na drogę.

- Zatrzymam go, jak długo się da!

- On jest ze mną.

- Uciekaj! To jest diabeł! On cię... - Eryk zamrugał szybko powiekami, kiedy dotarło do niego to, co powiedział Żarek. - Co?

- Jest ze mną. To mój diabeł.

- Zgłupiałeś? - W miarę, jak Boruta się zbliżał, źrenice Eryka robiły się coraz szersze. - Nikt nie może mieć diabła!

- W takim razie ten nic o tym nie wie. Opuść lepiej miecz, bo jeszcze pomyśli, że chcesz komuś zrobić krzywdę.

Ostrze drżało, kiedy Chyżonogi wbił miecz w śnieg. Boruta zatrzymał się tuż przed nim i pochyliwszy łeb, dmuchnął dwoma strumieniami ciepłej pary w czubek jego głowy. Chyżonogi skulił się odruchowo, ale szybko wyprostował plecy i spojrzał na Żarka.

- Ludzie gadali o waszej wyprawie różne dziwactwa, ale nie chciałem we wszystko wierzyć. - Był ciągle blady, choć z każdym oddechem odzyskiwał panowanie nad głosem. - Jak go okiełznałeś?

Fala podziwu dla odwagi Eryka szybko zalała w duszy Żarka iskierkę złośliwego zadowolenia, które wywołał widok Boruty pochylonego nad kulawym człowieczkiem.

- Długo by gadać — wzruszył ramionami. - Wcale się o niego nie prosiłem, ale jest, to jest. Muszę go jakoś przeprowadzić na statek, bo tutaj prędzej czy później ktoś go ustrzeli.

- Raczej prędej. Po tych wszystkich latach ludzi świerzbią palce na takich jak on. - Eryk był już całkiem spokojny, wyciągnął miecz ze śniegu i wsunął go za pas. - Nawet nie próbuj marzyć, że się z nim przemkniesz.

- Myślałem, żeby go okutać w jakieś szmaty czy jak...

- Jezu, chłopcze! Ty w tej dziczy całkiem zapomniałeś, jak wyglądają ludzie! Nawet jak mu upiłujesz rogi i odrąbiesz ogon, to i tak zdradzi go wzrost. - Skrzywił się, kiedy spod diablego ogona wypadło kilka bobków. - No i te jego obyczaje.

- Mam srebro. - Żarek sięgnął ręką za pazuchę, ale zaraz ją cofnął, jakby pożałował przedwczesnej szczerości.

- Mogę przekupić, kogo trzeba.

- O! I to jest drugi po twoim włochaczu powód, żeby poderżnąć ci gardło. - Eryk zerknął w górę i szybko zapytał: - Czy on rozumie, co mówię?

- Każde słowo.

- E... No tak. W każdym razie nikogo nie chciałem urazić.

Odszedł kilka kroków w bok, ale Boruta wyraźnie przestał na niego zwracać uwagę. Wyskubywał sobie z brzucha tłuste wszy, kładł je na wyciągniętym języku i zjadał, mlaskając głośno jak pies, który złapał muchę.

Żarek gwizdnął na Borutę, odgarnął do tyłu włosy i spojrzał Chyżonogiemu w twarz.

- Dziękuję za dobre rady, ale nie mam wyboru. Muszę spróbować. No, czas na nas.

Oczy Chyżonogiego przez chwilę błądziły gdzieś daleko, po wierzchołkach drzew, a może po niebie. Kiedy znowu opuścił je na Żarka, w ich głębi twardniało postanowienie.

- Spotkaliśmy się idąc w przeciwnych kierunkach, ale kto wie? Może nasz cel jest ten sam.



Nic się tutaj nie zmieniło. Te same ziemianki z czarnymi plamami popielisk przed wejściem, baby brzękające świecidełkami i rybacy łypiący ponuro na obcych. Kilka psów rzuciło się na nich z ujadaniem, aż piana z pysków pryskała na boki, ale starczyło jedno syknięcie Eryka, żeby rozbiegły się tuląc uszy. Ludzie pokazywali ich sobie z daleka palcami. Bez pośpiechu wyłazili ze swoich nor, chwyтали w pół grube kije i czekali w milczeniu.

- Na pewno nic nam nie zrobią? - Żarek zwolnił kroku. - Poprzednim razem trochę ich tutaj... Ee, no...

- Oszukałeś. - Chyżonogi z grymasem podobnym do uśmiechu podpowiedział brakujące słowo. - Okpiłeś, okradłeś, oskubałeś...

- Wystarczy! Wiem lepiej od ciebie, jak to było. Zresztą stracili na tym jedną niewolnicę, a za to teraz mają nową królową.

- I to właśnie jest prawdziwy kłopot. - Głos Eryka spoważniał. - Ten, któremu wtedy sprzedałeś Gudrun, od dawna nie żyje i o nic już się nie upomni. Ale tego, kim ona naprawdę była, tutaj nawet się nie domyślają. I w tym twoja głowa, żeby się nie dowiedzieli. Na samą myśl o tym, że mieli ją w rękach i nie wrzucili jej z powrotem do morza, mogłaby krew uderzyć im do łbów. Nawet twój pękaty mieszek by ich nie ułagodził.

- Jezu! — Żarek szedł teraz całkiem wolniutko, noga za nogą. - To nawet już tutaj zdążyła zaleźć ludziom za skórę?

- Ano zdążyła. Zarządziła, że Cuchnące Wybrzeże dłużej już nie będzie cuchnące. Patrz tam!

Na płaskim, ośnieżonym brzegu morza leżał martwy wąż. Rozciągnięty na całą długość cielska, mierzył od czubka tępego pyska do ogona chyba ze czterdzieści kroków. W wydźganych ślepiach czerniła się zlodowaciała krew. Rozkrzyczane ptaki obsiadły jego grzbiet i wsuwając dzioby pod twarde łuski, wyszarpywały po kawałku mięso.

Żarek musiał na chwilę przystanąć, bo nagle kolana zrobiły mu się miękkie.

- Ale czemu? - zapytał szeptem.

- Kto ją tam wie? Złe wspomnienia albo po prostu taki kaprys. Naschodziło się tutaj wojów jak na bitwę. Siedziałem w lesie, bo nie chciałem, żeby mnie któryś rozpoznał, ale i tak swoje widziałem. Pod groźbą wyrznięcia całej wsi kazali się prowadzić do gniazd, gdzie były jaja. Wykłuli wszystkie, a potem zaczęli łowy. Nie było nocy, żeby nie dopadli choć jednego gada. Ten był ostatni. - Eryk pokiwał głową. - Ot, nie ma już węży morskich. Została po nich tylko bajka.

Żarek musiał poczuć na plecach jego rękę, żeby ruszyć dalej. Jeszcze przez jakiś czas szedł z głową obróconą na bok, nie odrywając oczu od długiego, nieruchomego kształtu. Nie umiał nazwać swoich myśli. Nie rozumiał, czemu ten widok prawie odebrał mu mowę. To było tak, jakby ktoś przemocą wypłukał mu z głowy wszystkie marzenia. A może tylko złudzenia.

Rybacy nie przyjęli ich wrogo, raczej obojętnie. Lnianowłósy, przysadzisty mruk o czerwonym karku i włochatych rękach, który po śmierci kudłacza przewodził we wiosce, pokiwał głową na powitanie Eryka i pokazał im ciemny otwór ziemianki. Kiedy Żarek odchylił skórę zasłaniającą wejście, w pierwszej chwili zatęchłe powietrze zatkało mu oddech. Wsunął się do środka na czworakach i poczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie.

- Uch! - westchnął. - Ostatnio odwykłem od takich przyjemności.

Eryk skrzesał mały ogienek i wyciągnął nad nim obie dłonie. Prześwietlone końce jego palców stały się czerwonawe.

- Nie wątpię. Jeszcze nie zapomniałem, jak się żyje na dworze.

Żarek zmarkotniał. Był na siebie zły, ale nie potrafił powściągnąć swoich uczuć, które zmroziły mu się w gardle w lodową bryłkę, wiążącą żal i zagubienie.

- To do niej szedłeś, prawda? - Podniósł głowę, jakby coś postanowił.

- Do niej.

- Dlaczego zawróciłeś?

- Bo spotkałem ciebie.

Gdzieś daleko, pod lasem, znowu zaczął ujadać pies. Jego oszalałe szczekanie z trudem przebijało się do ziemianki, ale i tak drażniło uszy.

- Zawróciłeś z połowy drogi tylko po to, żeby pomóc mi wydostać się razem z Borutą z tego kraju? Trudno w to uwierzyć.

- Trochę za późno, żeby się dziwić, chłopcze. - Eryk zabrał ręce znad ognia i roztarł dłonie. - Ale jeśli to cię gryzie, to możesz być spokojny. Nie robię tego tylko z wrodzonej dobroci.

- No to co zyskasz, jak mnie tu nie będzie? Łatwiej ci będzie przekonywać Gudrun?

Żarkowi się zdawało, że Chyżonogi podrapał grubą szczecinę na policzku tylko po to, żeby ukryć wesołość.

- Gdybym chciał się ciebie pozbyć, znalazłbym kilka prostszych sposobów niż wysyłanie cię za morze.

Żarek był zbyt przytłoczony zniechęceniem, żeby zdobyć się na trud jasnego rozumowania. Przymknął oczy. Słuchał szczekania psa i pozwalał snuć się swoim rozwłóczonym myślom. Jedna po drugiej powoli zlewały się w całość, która chyba powinna go przerażać. Ale nie przerażała.

- Nie szedłeś z nią rozmawiać. Szedłeś ją zabić.

Żarek ciągle miał opuszczone powieki, ale wcale nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, co się dzieje. Potrafił się domyślić każdego drgnienia na twarzy Chyżonogiego, umiał wyobrazić sobie jego czujne oczy. Cisza trwała bardzo długo. Tak długo, aż zaczęła ich obu uwierać.

- Znałem ją od niemowlęcia. - Od razu, od pierwszego słowa Żarek wiedział, że Eryk wcale nie mówi tego do niego. - Kładłem ją sobie na kolanie i podtrzymywałem ręką jej chwiejącą się główkę. Patrzyłem, jak

rosła. A później, kiedy rozpanoszyło się Zło, patrzyłem, jak próbuje stawiać mu opór. Podziwiałem ją. Ale nie miałem żadnych wątpliwości, że wreszcie ulegnie. Wokół niej robiło się coraz bardziej pusto, ludzie znikali jeden za drugim. Byłem wśród ostatnich. Wtedy już wiedziałem, że będzie próbowała zebrać tych, co zostali, i jakoś się stamtąd wyrwać. A potem okrzepnąć i wrócić, żeby wyszarpać królowanie dla siebie. Nie wierzyłem, że jej się uda.

Przerwał. Do ujadającego psa dołączył się drugi, miotały się w jakiejś dzikiej gorączce. Żarek siedział bez ruchu. Bał się głośniej oddychać, żeby nie spłoszyć tej jednej jedynej chwili, która pewnie nigdy już się nie powtórzy.

- Raz jeden dałem się ogłupić nadziei. Wtedy, kiedy wróciła z za morza. Cokolwiek ją gnało, chęć zemsty, duma czy zwykła chciwość, rozпалиło się w niej na tyle mocno, że byle przeszkoda nie mogła jej już zatrzymać.

- A gnało! - Żarek w myślach uśmiechnął się sam do siebie. - Nawet nie wiesz, jak mocno. I w końcu dostała to, czego pragnęła.

Żarek czuł, że Chyżonogi patrzy prosto na jego twarz. Niechętnie otworzył oczy. Zrobiło mu się nieswojo, kiedy napotkał jego stężały wzrok.

- Byłeś z nią przez cały ten czas. - Eryk zniżył głos. - Mogłeś ją poznać jak nikt inny na świecie. Naprawdę myślisz, że to, co ma teraz, jest właśnie tym, za czym tęskniła?

- Myślę... Ona jest samotna.

- To nie ma znaczenia. - Eryk niecierpliwie wzruszył ramionami. - Królowe zwykle bywają samotne.

- I nieszczęśliwa.

- Patrzysz na nią kmięcymi oczami, chłopcze. To błąd. Szczęście czy nieszczęście może spotkać rybaka albo woja, albo kogokolwiek innego. Ale nie ją. Ona chciała tronu, Żarek. Chciała sławy, chwały i potęgi. Swojej potęgi, ale nie dla siebie. Walczyła o to, żeby w niej odrodziła się pamięć o rodzice. O ojcu, takim, jakim był na początku. Chciała być dla tego kraju

wybawieniem i zadośćuczynieniem, chciała ludziom wydrzeć z pamięci wszystkie czarne lata. Chciała im być prawdziwą królową.

Żarliwy szept Eryka i szczekanie psów mieszały się ze sobą w ledwo zrozumiały szmer. Ogień się wypalił, niskie ściany ziemianki ziębiły plecy. Żarka zaczynała boleć głowa.

- Nigdy do mnie nie mówiła takich rzeczy. - Dotknął palcami czoła, było gorące. - Chyba wymyśliłeś sobie coś, czego nie ma.

- Nie mówiła, bo i tak byś tego nie zrozumiał. Ale teraz to wszystko już nie jest ważne. Ona przegrała.

- Przegrała?

- Będzie z nią to samo, co z ojcem. Powtarza jego drogę. Jeszcze tego nie wie, jeszcze się nie domyśla, ale dla niej już jest za późno na odwrót. Szept Zła w jej uszach brzmi teraz tak leciutko, że trudno go odróżnić od szmeru strumienia, ale jest. A ona mu ulega.

Nagle Żarek zrozumiał. Zmarszczył czoło. Chciał coś zrobić, cokolwiek, ale bagno zubożenia wciągało go coraz głębiej.

- Jej ojca nikt nie mógł zabić oprócz niej. Tylko ona mogła wziąć jego koronę - ledwo poruszył rozpalonymi wargami.

- Tak. Jeszcze nie jest za późno, bo Gudrun ciągle jest człowiekiem, a nie żywym trupem. Ale z każdym dniem jej podejrzliwość będzie rosła. Nikt nie będzie miał do niej przystępu, jeśli ona sama tego nie zechce. Przyjdzie taki czas, że nawet nocnik będzie wypróżniała samodzielnie. Wiem, patrzyłem na to przez całe lata na dworze króla. A wreszcie zniknie, rozplynie się w nicości. Zostanie po niej tylko wysuszone ciało, w którym na dobre zagnieździ się Zły. I nie będzie nikogo, kto zdejmie koronę z jej głowy i przyniesie jej zapomnienie. Teraz rozumiesz? Szedłem ją zabić, żeby ją uratować.

Tępy ból głowy rozmywał słowa, Żarek osunął się na plecy. Poczul rękę Eryka pod pachami i jego twardy zarost przy uchu.



- Jesteś chory. Potrzeba ci wypoczynku. Czekaj, przyniosę wody. — Zawiesił głos, nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz. - Te psiska tak wypluwają sobie płuca, jakby obszczekiwały samego diabła.



Nie mógł się podnieść przez trzy dni. Nocami, kiedy nasilała się gorączka, tracił zupełnie więź ze światem i zostawał sam na sam z własnymi koszmarami. W dzień było lepiej. Czuł, że ktoś się nim opiekuje, zwilża mu śniegiem wargi i czoło. Trzeciego dnia mógł już wypić trochę grzanego piwa, a po dusznej nocy o świcie stanął na drżących nogach i odsunął skórę wiszącą u wejścia.

- Kiedy chorował, kilka razy zdawało mu się, że słyszy porykiwania Boruty. Ale słyszał też wiele innych rzeczy - śmiech Rudawki, postękiwanie Lubichy, wrzaski Lestków-Pestków, jak to zwyczajnie bywa przy gorączce. Wszystko to zmieszane zabrzęczało mu w głowie, a potem uleciało. A gardłowy charkot diabła pozostał. Teraz, kiedy stanął w pełnym świetle wschodzącego słońca i zobaczył Borutę przechadzającego się długim krokiem między ziemiankami, szeroko otworzył usta, łapiąc oddech. Był zbyt słaby, żeby krzyknąć. Przykucnął na piętach i pomachał na diabła obiema rękami.

- Nie tak szybko, chłopcze! - Eryk musiał być gdzieś blisko, bo podtrzymał Żarka, zanim ten osunął się na bok.

- Teraz musisz nabrać sił.

Boruta też go zobaczył. Ryknął tak głośno, że aż poderwało się w górę rozświergotane stadko wróbli. Podbiegł, rozbryzgując topniejący śnieg. Powietrze zaświstało, kiedy zaczął się z radości chlastać ogonem po bokach. Żarek chciał powiedzieć mu coś uspokajającego, ale zanim się odezwał, z góry doleciał piszczący, rozgniewany głos. Żarek zadarł głowę. Na karku

Boruty, zaciskając pięści na jego rogach, siedział chłopiec. Bódl piętami jego wystające obojczyki i próbował na nim wymóc, żeby stał bez ruchu.

- Wszystko w porządku! - Chyżonogi krzyknął kilka słów do małego, który zsunął się po plecach Boruty, czepiając się jego kłaków, i klapnął stopami w zimne błoto. - Tak już się dobrali, duży bies z małym biesidełkiem.

- Ja go pamiętam! Był moim przewodnikiem. Chyba teraz jest sierotą?

Diabeł opadł na kolana i łokcie, żeby Żarek mógł go wytarosić za uszy.

- Tak. Ale nie brakuje mu sprytu. Daje sobie radę, jak widzisz.

Mały chwycił w dwa pałce szpiczasty koniec ucha Boruty i szepcząc coś do czarnego wnętrza, próbował go przekonać, żeby wstał.

- Ty, Biesidełko! - Żarek strzelił palcami. - To się robi tak. Boruta, wstań!

Chłopiec zdążył złapać się za róg i teraz wisiał wysoko, bezradnie machając nogami. Diabeł dźgnął go pazurem w tyłek, mały pisnął i jednym skokiem dosiadł jego karku. Boruta odwrócił się ostrożnie i odszedł wyprostowany, a kiwająca się leniwie na końcu jego ogona kita wyrażała zadowolenie. Ludzie patrzyli na niego wilkiem, ale schodzili mu z drogi.

- Jak to się stało, że go nie zabili?

- Dzięki małemu. - Eryk błysnął oczami. - Dzięki Biesidełku. Psy znalazły Borutę w tej samej zaspie, w której kazałeś mu leżeć i czekać. Ludzie najpierw myśleli, że to wilki zeszły od lasu i dlatego psy się jeżą. Ale wreszcie poszli sprawdzić. A tam już był mały. Wyskubywał diabłu robactwo z pleców, a on ślinił się ze szczęścia. Rybacy uradzili, żeby zabić ich obu, bo im to wszystko było podejrzane, ale przybiegłem w samą porę. Trochę ich postraszyłem, trochę przepłaciłem, no i dali spokój. Tak już zostało.

Żarek potarł skronie. Zakłuło go w piersi, kiedy na głos wypowiedział to, co mu przyszło do głowy, ale jakoś odgonił niespodziewane uczucie zazdrości.

- Bardzo dobrze się to ułożyło. Teraz będę mógł płynąć dalej sam, a Boruta zostanie tutaj.

- Nie byłbym taki pewien. Kiedy leżałeś w chorobie, on po kilka razy na dzień wtykał łeb do ziemiarki, żeby poczuć twój zapach i usłyszeć oddech. A miejscowi nie ruszą go tylko tak długo, jak długo ja tu jestem.

Od morza w krótkich, gwałtownych targnięciach dał wicher. Napierające fale rozkruszały osłabioną odwilżą lodową zaporę i wdzierały się na brzeg. Śnieg topniał w oczach. Ze wzgórz setkami strumieni spływała woda, żłobiąc w topniejącej zmarzlinie węzowate koryta i napełniając powietrze jednostajnym pluskiem. Kiedy Eryk podniósł Żarka pod rękę i poprowadził w dół, ku morzu, nogi grzęzły im po łydki w blocku. Dalej, za ostatnimi ogniskami, ziemia była bardziej kamienista i szło się o wiele łatwiej. Żarek wysunął ramię z dłoni Eryka i odetchnął z całej piersi.

- No! Teraz tylko jeszcze jeden skok przez morze i będę u siebie. Kiedy popłynę?

- Spokojnie! Ledwo się podźwignąłeś. Trzeba poczekać do wiosny. Chyba że taka odwilż utrzyma się dłużej. Umówiłem już statek, nic się nie martw.

Weszli na mokry piasek. Tu i tam leżały jeszcze łachy wilgotnego śniegu, ale pod kruchą skorupką szemrała już woda. Eryk przystanął. Podniósł kamień, cisnął w wodę i chwilę patrzył w milczeniu, jak zaciekawione mewy zbierają się nad pęczniejącymi na wodzie kręgami.

- Nie chcesz wiedzieć? - zapytał cicho.

- Czego?

- Jakiej zapłaty od ciebie zażądam.

Żarek rzucił kamień w ślad za poprzednim. Nie wiadomo czemu, tym razem mewy rozpierzchły się pod chmurami.

- Mów.

- Chcę, żebyś tam, na swoim brzegu kogoś odnalazł. Kogoś ważnego.

Odnalazł, a potem wyprawił do mnie.

Żarek szybko zamrugał oczami. Drobinki lodu porywane przez wiatr dotkliwie siekły go po twarzy.

- Kto to ma być?

- O tym, co ci teraz powiem, wie bardzo niewielu ludzi. - Eryk teraz szeptał. - I chciałbym, żeby tak zostało. Będziesz musiał nauczyć się milczeć.

- Mówże wreszcie!

- Gudrun nie była jedynym dzieckiem króla. Król spłodził bękarta z jakąś niewolnicą, ale kiedy zobaczył niemowlę, spodobało mu się i uznał je. A królowa właśnie czekała na swoje rozwiązanie. Sam rozumiesz, że nie mogła się na to zgodzić. Opłaciła człowieka, który wykradł dziecko. Król z początku się wściekał, ale kiedy po kilku dniach przyniesiono mu córkę z prawego łóża, machnął na to ręką.

- I co? - Żarek wzdrygnął się. - Co się stało z tamtym pierwszym?

- Wywieziono go na tamtą stronę morza i zostawiono na brzegu, ale tak, żeby ludzie go znaleźli. Tyle.

Żarek poczuł nagły skurcz w brzuchu i opadł kolanami na piasek. Eryk wziął go pod brodę i zajrzał mu w oczy.

- Co ci jest?

- Nic, jestem słaby. Mów dalej.

Chyżonogi wyciągnął rękę i dotknął wciśniętego za pas Żarka, okutego srebrem rogu.

- Pewnie myślałeś, że nie wiem, co to jest, bo inaczej byś go ukrył. - Zobaczył niespokojny błysk w oczach Żarka i uspokajająco poklepał go po ramieniu. - Nie obawiaj się, wcale nie chcę ci go odebrać. Nawet nie jestem ciekaw, jak go zdobyłeś. Chcę tylko, żebyś wiedział, że to właśnie on jest odpowiedzią na wszystkie twoje pytania. Jeśli w niego zadmiesz, królewska krew go rozpozna. Na pewno.

- To byłeś ty! - Żarkowi drżały wargi. - Ty ją wywiozłeś i zostawiłeś w lesie!

Eryk milczał przez długi czas. Położył dłoń na głowie Żarka, palcami drugiej ręki bezwiednie gładząc róg. Patrzył w morze tak uporczywie, jakby chciał dostrzec tamten brzeg.

- Nie mówiłem ci, że to była dziewczynka - powiedział wolno. - I nie mówiłem, że podrzuciłem ją w lesie. Jedno z dwojga: albo umiesz przenikać cudze myśli, albo znasz królewską córkę.

Żarek zacisnął zęby i wstał. Teraz każde słowo kosztowało go bardzo wiele trudu. Mimo zimnego wiatru na czole skroplił mu się pot.

- Po co ci ona?

- Korona jest ciężka, chłopcze. Przytlacza. Daje potęgę, ale jest też brzemieniem. Nie każdy może bezkarnie poczuć na skroniach jej chłodny dotyk. Król upadł pod nią. A Gudrun... Ona też upadnie. Już zaczyna się chwiać, chociaż sama o tym jeszcze nie wie.

- Nie! - Żarek prawie się rozplakał. - Rudawka się do tego nie nadaje!

- Rudawka? - Wzrok Eryka był chłodny i czujny. - Tak się teraz nazywa? A więc znasz ją lepiej, niż myślałem!

- Zapomnij o niej! Nie. Ona jest inna niż wy!

- Jest królewską córką. Nie wiem, co tam między wami było, chociaż się domyślam. Ale zrozum, chłopcze, że to się już nie liczy. Wcale. Ty ją widzisz taką, jaką chcesz, żeby była. A w jej żyłach płynie inna krew. Chcesz wiedzieć, jaka ona jest naprawdę? - Wyszarpnął róg, wcisnął go Żarkowi w dłoń i siłą zacisnął na nim jego palce. - Zadmij przy niej! Sam zobaczysz. I nie sądź jej wedle siebie, bo jesteś przy niej tylko pyłkiem.

Żarek trzymał róg w drętwiejących palcach, a łzy wymywały jasne zawijasy na jego brudnych policzkach.

- Sam to zrób - wyszeptał.

- Jestem Północnikiem. Dostałbym strzałę w gardło po pierwszym kroku na waszym łądzie.

- A jeśli odmówię? Nie dasz mi statku?

- Dam. - Teraz dopiero Żarek zauważył znużenie w opadniętych kącikach jego warg. - Zostaniesz tam u siebie i może nawet weźmiesz sobie księżniczkę za żonę. Narobisz jej dzieciaków, zapędzisz do roboty. Będziesz patrzył, jak z wiekiem puchnie i brzydnie. A kiedyś, po latach, pod sam próg waszej chaty znowu podpełźnie piekło. Takie samo jak teraz. Takie samo.

Odstąpił krok do tyłu. Żarek zachwiał się na wietrze jak trawka, ale ustał.

- A jeśli nie chcesz zrobić tego dla Rudawki, zrób to dla Gudrun.

## R O Z D Z I A Ł X X V I I

Stali na mokrej skalnej odnodze, wpierającej się w wodę na kilkanaście kroków od brzegu. Po obu stronach morze kipiło na kamieniach, fale rozbijały się z hukiem o czoło występu. Z nieba siąpił lodowaty deszczyk, wciskając się za koszulę i wypłukując ze skalnych nisz resztki brudnego śniegu.

- W taki dzień strach wejść w wodę po kolana. - Skulony Żarek kiwał się na piętach. - A co tu mówić o żeglowaniu.

- Właśnie o to chodzi. - Eryk starł wilgoć z twarzy. - Gudrun już zdążyła posłać w morze swoje statki, żeby nikogo nie przepuściły. Ale w taką psią pogodę oni też siedzą na przystani.

Żarek głębiej naciągnął kaptur na oczy. Odwrócił się bokiem do wiatru i schował zziębnięte dłonie pod pachy.

- I to wszystko przez moją ucieczkę?

- Nie tylko. Kraj teraz jest osłabiony i księżę na Południu dobrze o tym wie. Mógłby spróbować uderzyć z zaskoczenia, żeby odkuć się za wszystkie poprzednie klęski. Ale ciebie też na pewno szukają. Podobno Gudrun wybiła zęby jakiemuś nieborakowi, który pierwszy jej doniósł o twoim zniknięciu.

- Zawsze była porywczą.

- Na razie wali w gębę. Za miesiąc będzie łamać kości, a za rok rozrywać koźmi. Wtedy wreszcie uwierzysz, że to już nie jest ona?

Z tyłu, na piaszczystym brzegu Boruta z Biesidełkiem uskakiwali przed wodą wpełzającą na ląd. Wszystko, co fala zostawiała na brzegu, nawet muszelki i kawałki drewna, Boruta podnosił i zżerał, mlaskając. Biesidełko

pomagał mu wyszukiwać jakieś strzępki wodorostów, a potem znowu uciekali do tyłu, przewracając się i wyjąc z uciechy.

- On wie, że zostaje? - Żarek pokazał oczami na małego. - Widać, że się bardzo polubili.

- Jak wyrzutek z wyrzutkiem, nie ma się co dziwić. Co poradzisz? Przeżył śmierć matki, a potem ojca, przeżyje też rozstanie z biesem.

- Brr! - Żarek zadrżał. - Gdzie ten statek? Jeszcze trochę takiego gadania, a stracę do tego przekonanie.

- O, już jest! Tam.

Żarek wywinął brzeg kaptura i spojrzał na morze. Porywisty wiatr wycisnął mu z oczu łzy.

- Gdzie? Nic nie widzę!

- Bo patrzysz w złą stronę.

Ostrożnie, żeby nie poślizgnąć się na mokrych kamieniach, Żarek odwrócił się w stronę lądu. Jakiś człowiek powoli wspinał się na skalny występ. Podtrzymywał ramionami opartą na czubku głowy dłubankę. Walczył z napierającym wiatrem, klął na głos, potykając się i szukając dogodnego podejścia.

Żarek z początku patrzył na niego obojętnie. Kiedy dotarło do niego, że to właśnie tego człowieka pokazuje mu Eryk, zachłysnął się mżawką i długo potem odkasliwał wodę.

- Ten pniaczek? - wysapał. - To jest dobre na staw, ale nie na morze!

- Nie przesadzaj. Trzeba tylko pilnować, żeby nie nabrało się za dużo wody. No i nie wolno przestawać wiosłować.

- Jesteś szalony. Tego się nie da zrobić!

- Da się. Boruta ci pomoże, on tak szybko się nie męczy.

- Jeśli chcesz na mnie oszczędzać, to trzeba było wcześniej mnie uprzedzić! - rzucił Żarek przez zaciśnięte zęby. - Mam srebro. Sam sobie



kupię miejsce na porządnym statku.

Chciał odejść, ale Eryk zacisnął palce na jego nadgarstku. Mówił cicho i wolno, a płaszcz łopotał za nim jak czarny żagiel.

- Gudrun zajęła wszystkie łodzie na wybrzeżu, każdą najmniejszą dziurawą łupinkę. Ta tutaj - skinął głową na bok - kosztowała mnie tyle, że mógłbym za to przez rok żyć jak panisko. A jeśli ktoś z wioski mnie wyda, to dam gardło, i ten człowiek też. Więc rusz, chłopcze, zadek i wsiadaj, bo inaczej pošlę cię za morze bez łodzi.

- Nie popłynę!

- A ja ci mówię, że...

Wyciągnął przed siebie drugą rękę, ale nic więcej nie zdążył zrobić. Żarek nagle zobaczył podeszwy jego butów. Roztarł obolały nadgarstek i podniósł głowę.

Boruta trzymał Eryka za włosy w wyprostowanej łapie. Wiatr nim kołysał jak przejrzałą gruszką. Chyżonogi musiał bardzo cierpieć, bo poniżej napiętej skóry na czole oczy wyszły mu na wierzch, jak rybie. Nie mógł oddychać, dusił się.

- Puść go, Boruta! - krzyknął Żarek.

Eryk opadł na skałę jak wymięta szmata. Wstał chwiejnie, przyciskając do czaszki obie dłonie. Żarek znowu naciągnął kaptur i popatrzył na Chyżonogiego z cienia.

- Popłynę. Nie dla ciebie i nie dla Gudrun. Dla nikogo. Popłynę, bo mam już dosyć tego twojego dzikiego kraju, gdzie ludzie sami robią sobie piekło, a sierotami zajmują się diabły. Ale pamiętaj! - Podniósł palec. - Jeśli morze wyrzuci nas z powrotem gdzieś tutaj, nie pozwolisz mi zeżreć psom, tylko usypiesz mi mogiłę i postawisz krzyż. I jemu też - obejrzał się na Borutę. - Mogiłę, nie krzyż.

Dłubanka plasnęła dnem o wodę. Żarek zsunął się do niej po kamieniach i stanął w niepewnym rozkroku. Boruta zatrzymał się nad samą krawędzią

skały. Obejrzał się, podkulił ogon i zawył żałośnie jak zbity pies.

- No już. Chodź! - zachęcił go Żarek.

Na brzegu stał Biesidełko. W wyciągniętej ręce trzymał zdechłą rybę, oczy miał mokre. Lodowata woda splukiwała mu kostki, ale on tego nie czuł. Żarka coś załaskotało w gardle. Nie chciał się rozpłakać, przynajmniej nie teraz. Odwrócił się plecami do małego, do Boruty i Chyżonogiego. Zwarł szczęki aż do trzeszczenia zębów. Musnął palcami przypięty do pasa róg jednorożca. Zateśknił za jego odurzającym dźwiękiem. Podniósł go, przytknął do warg. Pomyślał, że kiedy słyszał go poprzednim razem, jeszcze nie wiedział, czym naprawdę jest gorycz.

Zadał długo, przeciągle, wkładając w to całe wzbierające szlochanie. Ukojenie rozlewało się w nim jak ciepłe wino. Przerwał, nabrał pełne płuca powietrza i chciał zadać jeszcze raz, ale ręka mu drgnęła.

Biesidełko wrzeszczał, jakby w gacie ktoś nasypał mu żaru. Ryba, którą przedtem trzymał w dłoni, teraz miotała się w płytkiej wodzie u jego stóp. Eryk zbiegł ze skały i pochylił się nisko, opierając dłonie na udach. Woda spłynęła, ale ryba została. Podskakiwała prawie pod sam jego nos.

- Co się stało? - zawołał Żarek.

- Wracaj na brzeg!

To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Przyjemnie było stąpać znowu po ubitym piasku, ale na myśl o tym, że znowu czeka go walka z samym sobą, kąsała go złość. Za sobą słyszał człapanie Boruty.

- Czego? - syknął.

- Skacze.

- Może ryba była nie całkiem śnięta, to się zdarza. Nagle masz takie miękkie serce?

Eryk podniósł głowę. Był blady, włosy mokrymi strąkami opadały mu na czoło.

- To nie ryba. To ropucha.

- No i co z tego?

- Ropuchy nie żyją w morzu.

Żarek przykucnął. Ropucha leżała na grzbiecie, już się nie ruszała. Tylne łapki miała wyprostowane, przednie przykurczone pod szerokim pyskiem. Była zimna i sztywna.

- Ropucha jak ropucha. - Żarek nacisnął kciukiem jej pomarszczony brzusek. - Boruta! Zeżryj to ścierwo i idziemy.

- Nie! - Chyżonogi gwałtownym rzutem wyciągnął nad wodą ramiona, jakby chciał zasłonić ropuchę własnym ciałem, i powtórzył z uporem: - Ropuchy nie żyją w morzu.

Żarek poczuł się dziwnie. Wiedział, że powinien coś zrobić, ale wcale nie chciał brnąć w to dalej. Podniósł ropuchę za chudą nóżkę i zamajdał nią Erykowi przed twarzą.

- No dobra. Nie żyją w morzu. I nie podskakują tak wysoko. A już na pewno nie wtedy, kiedy są zdechłe. Ale my chyba mamy inne kłopoty, nie?

- Ona nie jest zdechła, tylko wyziębiona.

- A jak ma nie być wyziębiona! Jest zima!

- Ropuchy nie żyją w morzu. - Eryk otarł wargi i przełknął ślinę. - I nie łążą w zimie.

Żarek w pierwszym odruchu chciał cisnąć płaza na głęboką wodę, jak najdalej od brzegu. Ale wreszcie powoli zaczęła mu się przebijać do głowy myśl, że nigdy jeszcze nie widział Chyżonogiego tak bardzo poruszonego. Nigdy! Odszedł kawałek dalej, gdzie nie sięgała woda, i położył ropuchę na odłamku zbutwiałego drewna.

- Co teraz? - Założył ramiona na piersi. - Cucimy ją?

Boruta łakomie oblizwał się czarnym ozorem, Biesidełko rękawem osuszył policzki z łez. Eryk poskrobał się pod brodą. Odezwał się niepewnie, patrząc

gdzieś w bok:

- Zadmij jeszcze raz.

Żarek dmuchnął od niechcenia, byle tylko wydobyć z rogu jakiś dźwięk. Ropucha wywinęła się na brzuch i podskoczyła na wysokość sprzączki u jego pasa. Róg zamilkł. Klapnęła na piasek bezwładnie, z otwartym pyskiem.

Żarek długo i starannie przywiązywał róg do boku. Cisza brzęczała w uszach. Kiedy wreszcie podniósł oczy na Eryka, twarz mężczyzny pod zarostem była jak wyrzeźbiona w lodzie.

- No tak. - Żarek nie patrzył na ropuchę. - Widziałem już o wiele dziwniejsze rzeczy. Ale jeśli uważasz, że ona ma dla nas jakieś znaczenie, to mów. Miejmy to za sobą.

Eryk zmrużył oczy.

- Pocałuj ją.

Żarek odwrócił się bez słowa i zaczął iść w stronę dłubanki. Ale schrypnięty głos Chyżonogiego odbierał mu siły, a stopy grzęzły w piachu.

- Wróć i zrób to. Inaczej do końca życia, dzień po dniu, będziesz łykał łyzy. Nigdy sobie tego nie wybaczysz. Pocałuj ją, chłopcze.

Przystanął. Rdzawe chmury przerzedzały się, pokazała się bladziutka tarcza słońca.



Żarek wrócił dopiero przed samym wieczorem, kiedy ogniska zaczynały już słać przed ziemiankami czerwoną poświatę. Nogi miał ubłocone po kolana, a we włosach jakieś strzępy leśnego śmiecia. Szedł przygarbiony, oczy miał opuchnięte z niewyspania, wargi popękane. Boruta na jego widok przypadł kościstymi łokciami do ziemi i rozpuścił ogon na boki, aż pryskało zmrożone błocko. Ale Żarek tylko klepnął go między rogami i poszedł dalej.

Eryk czekał na niego przed swoją ziemianką. Grzał ręce nad ogniem, popijał piwo i rozmyślał, trąc łysiejące czoło. Przyglądał się Żarkowi uważnie przez cały czas, odkąd tylko dostrzegł go na skraju lasu. Teraz, kiedy chłopak nastroszony jak puszczański odmieniec podszedł do ognia, Północnik opuścił wzrok.

- I co? - Zakołysał kubkiem, zaglądając do środka, jakby spodziewał się zobaczyć na dnie utopioną muchę. - Wyszumiałeś się?

Żarek usiadł obok niego, stękając jak starzec. Z ulgą rozprostował nogi. Pozasychane błoto kruszyło się wokół jego kostek.

- No.

- I przeszło ci?

- Przeszło.

Milczeli. Od czasu do czasu chowali twarze w zgięciu ramienia, kiedy wiatr dmuchał dymem w oczy. Skądś przyplątał się Biesidełko, jego kroki zacamokały w błocie. Pokręcił się wokół nich, poszturchał nogą tlejące drwa, ale widząc ich pobrużdżone czoła i odęte wargi, pobiegł nad wodę szukać Boruty. Żarek splunął w żar. Ślina syknęła i już jej nie było. Spojrzał ukradkiem na osłonięte skórą wejście do ziemianki, podrapał się w koniec nosa.

- Ciągłe śpi?

- Śpi.

Podciągnął nogi, sięgnął po ułamany patyk i zaczął odłubywać z nogawek sztywniejącą skorupę.

- Chcę, żebyś wiedział, że nie zrobiłem tego ze strachu. To znaczy... - Wysunął język przed zęby, odłupał większą grudkę. - Jasne, że się bałem. Ale nie dlatego uciekłem.

Eryk pokiwał głową i westchnął. Jemu też pod oczami wisały ciemne worki.

- Myślisz, że ja się nie bałem? Bałem się. I to jak. Każdy by czuł strach, ktokolwiek by na to patrzył. Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać.

- Nie rozumiesz! - Żarek nagle rzucił patyk w ogień, a Chyżonogi drgnął, kiedy iskry wystrzeliły mu przed oczy. - Nie usprawiedliwiam się. Chodzi o to, że... Dla ciebie to nie było nic wielkiego. Różne rzeczy się dzieją, nie? Więc płaz może zamienić się w człowieka. Siup, trach i po bólu. Ale ja ją przecież znam! Dobrze znam. Nie mogłem na to patrzeć tak jak ty. Kiedy przez tę mokrą zielonkawą skórę na jej głowie zaczęły przebijać się pierwsze włosy, to były jej włosy. Rude. Kiedy oczy zlazły się koło nosa i popatrzyła na mnie, to było jej spojrzenie. Rozumiesz? A najgorzej było wtedy, kiedy przestała skrzeczeć i zaczęła krzyczeć jak baba. Wtedy już nie mogłem... No, po prostu nie mogłem. Musiałem uciec.

- Było, minęło. Dobrze, żeś się gdzieś w tym lesie nie zawieruszył na dobre. Już myślałem, czy nie posłać za tobą paru ludzi. - Teraz Eryk spojrział na wiszącą skórę i lekko podniósł brwi, jakby się czemuś dziwił. - Wiesz, ona cię chyba wołała.

Żarek skoczył na nogi. Zatoczył się, prawie wpadł w ogień.

- Psiakrew! Teraz dopiero mi to mówisz?

- Nie wrzeszcz, bo ją obudzisz, a niczego jej teraz nie potrzeba bardziej niż snu. - Eryk próbował go uspokoić wyciągając przed siebie ręce, ale jemu samemu drżały dłonie. - Jak ci miałem powiedzieć, jeśli zaryłeś się w głuszy? Siadaj.

- Jezu Chryste, co ze mnie za ćwok! - Żarek opalił sobie piętę w żarze, ale nawet tego nie poczuł. - Hyc w krzaczki, jak poszczany ze strachu szczeniak! Ona wołała, a mnie nie było! Jezu, Jezu!

Chyżonogi podniósł wysoko głowę, jakby chciał przyjrzeć się chmurom, ale oczy miał przymknięte.

- Znowu cię woła.

- Lisia suczka jestem, a nie chłop! - Żarek z rozmachem walił się w czoło,

na przemian obiema pięściami. - Ona umiała znieść ból, przepłynąć morze i kto wie, co jeszcze! A ja co? A ja w las! Jak mam jej teraz spojrzeć w oczy? - Zatrzymał pięść w połowie drogi do czoła, a potem powoli ją opuścił. - Co ty powiedziałaś?

- Obudziłeś ją. - Chyżonogi wstał. - Przestań się ciskać, to sam usłyszysz.

Wstrzymał oddech. Wołanie było słabiutkie, jak popiskiwanie myszy pod progiem, ale to na pewno była ona. Pod Żarkiem ugięły się nogi. Nie mógł zrozumieć słów, ale przecież nie pomyliłby jej głosu z żadnym innym. Wsadził sobie nadgarstek między zęby, żeby się nie rozplakać. Wciągnął przez nos nasycone dymem powietrze, odchylił zasłonę i na kolanach wpełzł do ziemianki.

Rudawka leżała na boku, oparta na łokciu, i patrzyła rozlanymi od ciemności źrenicami prosto na niego. Pod wystającymi na policzkach kośćmi gęstniał cień. Każdy jej oddech przeciskał się z cichym świstem między suchymi wargami.

Żarek przysiadł na piętach. Chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko kilka razy poruszył szczęką, w górę i w dół. Kusilo go, żeby po prostu położyć głowę na jej kolanach i zamknąć oczy. Nie zrobił tego. Nie śmiał.

- Mnie też cieszy nasze spotkanie - odezwała się Rudawka cicho, ale całkiem wyraźnie.

To był głos, który śnił mu się nocami, a potem, po przebudzeniu, jeszcze przez kilka chwil okrywał go złudzeniem swojskości. Teraz brzmiał tu naprawdę. Rudawka pochyliła głowę, a wtedy w gasnącym świetle dnia precedzonym przez zasłonę jej włosy zabarwiły się płomienście.

- Eee... - szczęka Żarka zakłapała teraz bardzo szybko, raz, dwa, raz, dwa.  
- Ee!

- Miałam nadzieję, że przyjdiesz do mnie wcześniej. Ale chyba nie miałeś czasu.

- Y! - Żarek zmarszczył czoło, a potem docisnął kciukiem dolną szczękę

do górnej. Patrzył na nią spiałymi oczami i prosił ją tym spojrzeniem, żeby zrozumiała.

- Dobrze. - Przez jej bladą twarz przeleciał cień wesołości. — Spróbujemy inaczej. Co u ciebie?

Żarek ostrożnie oderwał dłoń od podbródka. Kiedy nic się nie stało, z ulgą wypuścił powietrze z płuc.

- Dobrze.

Rudawka podniosła się z trudem i usiadła prosto. Jej kiecka luźno zwiśla na sterczących kościach ramion. Żarek zbliżył się do niej suwając kolanami po zimnym klepisku, jakby się obawiał, że gwałtowniejszy ruch powietrza mógłby ją rozwiać, a potem wessać przez dymnik. Nachylił się, zbliżył swoją spoconą twarz do jej policzka. Zachwiał się, przypadkiem musnął wargami jej nos. Rudawka zamrugła powiekami, a wtedy mu się wydało, że czuje łaskotanie jej rzęs.

- A co u Gudrun?

Otrzeźwiał, jakby ktoś wrzucił mu sopel za koszulę. Wygładził sobie ręką miejsce koło niej i mościł się tam o wiele dłużej, niż było potrzeba.

- Nie wiem. Nie widziałem jej od jakiegoś czasu. - Objął ją ramieniem. Poczul, że jej plecy były twarde i sztywne.

- Dziwne. Dawniej prawie się nie rozstawaliście.

Poruszyła się, jego ramię się zsunęło. Już go nie próbował podnosić. Szukał w głowie jakichś słów, jakichś myśli, ale wszystkie były jałowe, jak wysuszona ziemia. Oczy Rudawki znowu pełgały całkiem blisko.

- Dobrze całujesz. Kto cię uczył?

- Co? - Zastanawiał się nad tym, jak ona mogła tu wytrzymać, w tej duchocie, przez cały dzień.

- Mówię, że dobrze całujesz - powtórzyła spokojnie, patrząc na niego zza kosmyka włosów. - Ropuchy też to potrafią ocenić. Dziwisz się?



- Przestań.

- Ej, Żarek, nie złość się! A może nie powinnam tak do ciebie mówić? Może ty już jesteś woj? - Odsunęła się trochę od niego i znowu oparła na łokciu. - Albo, powiedzmy, książę?

Nie wzbudziła w nim gniewu, tylko smutek. Zwiesił głowę i w milczeniu zaczął skręcać w palcach włosy na kozuchu. Wiedział, że powinien teraz sobie pójść i pozwolić jej odpocząć, ale nie mógł się na to zdobyć.

- Żeby coś ocenić, trzeba mieć co porównywać — mruknął do swoich kolan, jakby wcale nie mówił do niej.

- O czym ty gadasz? - Wzruszyła ramionami, ale jej oczy zrobiły się czujne.

- O całowaniu. Mówię o całowaniu.

Patrzyła na niego długo, milcząc i zagryzając wargę. Potem położyła się na plecach, naciągnęła kozuch pod samą brodę i zamknęła oczy. Szare niebo za odchyłoną zasłoną dawało już tak mało światła, że poznikały cienie na ścianach.

Nagły hałas przed ziemianką Żarek przyjął jak wybawienie. Mógł teraz odwrócić się plecami do Rudawki, do słów, jakie między nimi padły, i do tych wszystkich pogmatwanych myśli, przez które nie umiał się przedrzeć. Odsunął zasłonę, wystawił głowę i pozwolił świeżo rozdmuchanemu ogniowi okadzić się sosnowym dymem.

Boruta, Biesidełko i Eryk klęcząc pochylali się nisko nad ziemią. Pierwszy podniósł głowę Chyżonogi. Oczy miał okrągłutkie jak księżyc, który właśnie wypływał nad las.

- Jest następna - wyszeptał.

Żarek wytoczył się z ziemianki, wcisnął ramiona między diabła i małego Północnika. Tkwiło w nim jakieś głęboko utajone przeczucie, że tym razem będzie umiał dostrzec coś więcej. Ale nic takiego się nie stało. Chudziutka, wyziębiona, podtopiona ropucha ze wzdętym brzuszkiem leżała z bezwładnie

rozrzuconymi łapkami, a żar ognia wysuszał jej skórę.

- Boruta ją wypatrzył i skoczył za nią w morze. Nie ruszała się, ale jest żywa. - Chyżonogi koniuszkami palców chwycił za płetwę tylnej nogi, podniósł ją i zajrzał gdzieś pod spód. - To samczyk.

- Dużo wiesz o ropuchach. - Żarek skrzywił się nieufnie. - Można by pomyśleć, że masz z czymś takim do czynienia nie pierwszy raz.

- Nie mówiłem ci? Moja ciotka była wiedźmą. Czasem, jak sobie popiła i brała ją na kogoś złość, to... - podrapał się z tyłu głowy. - Nieważne.

Cichy szelest za nimi sprawił, że wszyscy czterej wyprostowali karki. Jedna połowa twarzy Rudawki oświetlona była ogniem, a drugą zakrywała ciemność.

- Straciłam go z oczu kilka dni temu. Myślałam, że nie przeżył. - Zwilżyła językiem wargi, spojrzała na Żarka. - Nie bój się. Teraz moja kolej.

Położyła się na brzuchu, podsunęła palec pod łebek ropuchy i uniosła go trochę. Cofnęli się wszyscy o kilka kroków. Zanim stuliła usta do pocałunku, rzuciła Żarkowi jeszcze jedno łzawe spojrzenie.

- To była głupia rozmowa. Nie wracajmy do tego więcej, dobra?



Statek miał potargane żagle i strzępiące się liny. Stękał, skrzypiał i trzeszczał, jakby zaraz miał rozpaść się jak stara beczka, ale i tak to był pierwszy od wielu lat kupiecki knor z prawdziwego zdarzenia, który dobił do przystani. Nic dziwnego, że cała wioska wyległa na brzeg, patrząc w cichym skupieniu na jego czarny, gładko roztrącający pianę dziób.

Żarek stał razem z innymi, w gardle tlił mu się żal. Myślał o tym, że ci ogorzali ludzie, którzy sypali się jeden po drugim z boków statku do płytkiej wody, na pewno bywali na wielu innych przystaniach, po tej i tamtej stronie

morza. A jeśli tak, to może... Zmrużył oczy. Żyłaste chłopcy, z gołymi ramionami i włosami targanymi przez wiatr, przerzucali sobie przez karki grube liny i idąc tyłem, wciągali statek na brzeg. Dno zachrzęściło na zwirowatym piasku.

- Ledwo się jako tako sprawy uładziły, a im już zapachniało srebro. - Eryk głośno pociągnął nosem i splunął na wiatr. - Ha! Tym razem nie bardzo się obłowią, bo u rybaków nędza ćwierka z każdego kąta.

Żarek potarł skroń. Zrobił to głównie dlatego, żeby ukryć przed Chyżonogim uparcie nabrzmiewającą w zakolu oka łzę. Starł ją paznokciem i odetchnął.

- Jacyś biedni ci kupcy. Wyglądają jak obszarpańcy.

- To zwiad. Popatrzą, posłuchają i popłyną dalej. Na pewno doszły ich wieści, że królowa zgarnia dla siebie wszystko, co może utrzymać się na wodzie, i dlatego wyprawili się takim próchnem. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócą tu za kilka dni. W trzy okręty. A na każdym towar będzie się piętrzył do połowy masztu.

Kupcy wytaszczyli na piasek dwie ogromne kute skrzynie i odbili wieka. Ludzie jeszcze przez jakiś czas stali w miejscu, trącając się łokciami, ale w końcu zaczęli pojedynczo schodzić w dół. Najpierw brzękające wisiorkami baby, za nimi dzieci, a na samym końcu chłopcy. Zaglądali do skrzyń, gdzie lśniły nieskalanym blaskiem ostrza noży i toporów, kabłączki, zauszniki, obręcze. Próbowali zachować swoją wyniosłą wieśniaczą godność, ale nie bardzo im się to udawało. Zdradzały ich oczy, wielkie jak przy gorączce.

- Ten z krzywym nosem chce z tobą gadać.

Żarek poczuł pociągnięcie za rękaw w chwilę po tym, jak Chyżonogi odszedł za rybakami. To był Głuptak. Jeszcze słabo trzymał się na nogach, nie dochodził do siebie tak szybko, jak Rudawka. Skórę miał napiętą i szarawą, jak po długiej chorobie. Oстрыm podbródkiem pokazał w tył, gdzie z założonymi rękami stał obcy Północnik. Wyglądał tak, jakby wcale nie

ciekawilo go to wszystko, co dzieje sie przy statku. Patrzyl prosto na Żarka, bez ruchu, żując siwawego węża. Jego złamany nos rzucał cień pod prawe oko.

- Ze mną? - Natarczywość tego spojrzenia sprawiła, że Żarek obejrzał się niespokojnie na Rudawkę. Ale ona zapomniała o całym świecie, razem z innymi babami grzebała w skrzyniach. - Czego chce?

- Nie wiem. Ale lepiej idź. On chyba cię zna.

Żarek odwrócił się plecami do gwaru, który narastał z każdą nową błyskotką wydobywaną ze skrzyń. Północnik stał na uboczu, pod wydumą, gdzie nie można było go dostrzec ani z dołu, ani od wioski. Kiedy Żarek ruszył w jego stronę, tamten wypluł węży i przyglądał je palcami do policzków.

- Mężniejusz w oczach. Ledwo cię poznałem - odezwał się w mowie Południa całkiem swobodnie, jak większość kupców. Pokiwał głową i w uśmiechu pokazał czerniejące zęby.

- Pomyliłeś mnie z kimś. Ja niczego od ciebie nie kupię, bo jestem biedny.

- A ja niczego nie chcę ci sprzedawać.

- To co z ciebie za kupiec?

- Byłem nim. Kiedyś, dawno temu, kiedy jeszcze po tych wodach można było spokojnie pływać, jak po wszystkich innych.

Żarek podniósł brwi. Na przystani gęstniały krzyki, kiedy baby ścisnęły już w dłoniach swoje upatrzone świecidełka, a ich mężowie dopiero dowiadawali się o ceny.

- No a... tamto, na dole?

- Udajemy! - Północnik machnął ręką. - Tylko tak możemy pływać od przystani do przystani, nie ściągając na siebie uwagi królowej.

- Ale po co pływacie? Szukacie czegoś?

- Szukamy ciebie.

Żarek zrobił krok w tył.

- Mówię ci przecież, że się mylisz! Nie znam cię.

- A jednak już się spotkaliśmy. Nawet patrzyliśmy sobie w oczy. Nie pamiętasz?

- Nie.

Północnik odgarnął włosy z boku głowy. W miejscu, gdzie powinno być ucho, czerwieniała zablizniająca się rana.

- A teraz?

Najpierw, zanim jeszcze przypomniał sobie tamtą zamarzną twarz, ze skrzywionym nochem zlodowaciałym na sople, wróciło do niego uczucie, które wtedy podcięło mu kolana. Znowu cofnął się o krok.

- Wiedziałem, że byliście żywi! Gudrun nie chciała mi wierzyć, ale ja widziałem to w twoich oczach.

- Nawet się nie domyślasz, jak bardzo chwałę sobie twoją spostrzegawczość. Dzięki niej te górskie bydlaki zostawiły mi chociaż jedno ucho. Pomyśl o wdzięczności tych, którym ocaliłeś oba! - Machnął ręką w dół, gdzie kupcy przekrzykiwali się z rybakami. - I może wreszcie przestaniesz się mnie bać?

Jakiś kabłączek widocznie okazał się za drogi, bo zawodzący babi szloch spłynął na spokojną wodę i ześlizgnął się dalej, na pełne morze. Ktoś próbował uspokajać, ale wreszcie skończyło się suchym klaśnięciem otwartej dłoni. Płacz się urwał.

- Kim ty jesteś? - zapytał Żarek.

- Dotąd byłem psem króla. - Północnik wzruszył ramionami. - Albo Tego, którego król miał nad sobą. Jednym z wielu. Kiedy zabrakło pana, psy rozbiegły się po świecie. Niektórzy z nich dali się z powrotem zagonić do psiarni, bo uwierzyli w nową królową. Ja nie.

Północnik poruszył się niespokojnie, zmarszczył czoło. Na ścieżce, z dołu,

zachręściły kroki. Chyżonogi dostrzegł ich z daleka, podniósł rękę i przyśpieszył kroku.

- Słuchaj. Teraz wypłyniemy, ale w nocy wrócimy. Nie wodą, tylko lasem. Wyjdź po wschodzie słońca ze wsi, wejdź w puszcę na prawo od drogi. Znajdziemy cię. Wtedy porozmawiamy.

- Najpierw powinienś poznać Eryka. - Żarek podrapał się w kark. - Ja już dawno przestałem nadążać za tym, co tutaj się dzieje.

- Ani słowa o mnie. Ani słowa o reszcie. - Północnik mówił teraz rozwlekłym szeptem, ponad głową Żarka patrząc na zbliżającego się Chyżonogiego. — Nigdy. Nikomu. A zwłaszcza jemu.

Splótł dłonie na plecach i zaczął schodzić wielkimi krokami. Nie powiedział nic więcej, nie obejrzał się. Kiedy mijali się z Erykiem na wąskiej ścieżce, trącili się lekko barkami. Północnik nie zatrzymał się, póki nie wszedł między rozgorączkowanych targiem ludzi.

- Czego chciał? - Eryk sapał bardzo długo, przytrzymując dłonią drżące kolano krótszej nogi. Żarek nie odpowiedział od razu i Eryk wpatrzył się w niego uważniej. - Wypytywał cię?

- E, nic takiego... - Chwila zwłoki między pytaniem a odpowiedzią mogła być roztargnieniem, ale mogła być też czymś innym. - Chciał wiedzieć, kto w wiosce jest wypłacalny, a kto goły.

- Uważaj! Pilnuj języka, bo łatwo możesz wszystko zepsuć jednym głupim słowem.

- Nie martw się. To tylko kupcy. Sam wiesz, jacy oni są ciekawscy.

Eryk powoli pokiwał głową. Ani na drgnienie powieki nie oderwał wzroku od twarzy Żarka.

- Uważaj - powtórzył.

Odchodził krokiem o wiele wolniejszym. Żarek ruszył za nim dopiero wtedy, gdy policzki przestały go palić.

Był już prawie przy swojej ziemiance, kiedy coś skoczyło mu na plecy. Nie przestraszył się, poznał śmiech Rudawki. Ugryzła go lekko w ucho i nie wypuszczając z ramion jego szyi, stanęła przed nim.

- Dziękuję! - Odchyliła się do tyłu, a wtedy pod jej włosami błysnęły srebrne kółka wiszące na przekłutych uszach. - Nie spodziewałam się tego po tobie. Są przepiękne!

Żarkowi zabrakło słów, ale Rudawka musiała coś wyczytać z jego wykrzywionych warg. Opuściła ręce, broda jej zadrżała.

- Tamten krzywonosy... Powiedział, że to od ciebie... Że zapłaciłeś. No to wzięłam.

Żarek wspiął się na palce, spojrział w stronę przystani. Wieka skrzyń były już zatrzaśnięte, ludzie rozchodzili się do swoich zajęć. Północnicy krzatali się przy statku. Żarek chciał wypatrzeć tego, z którym rozmawiał, ale z tej odległości nie było to łatwe. Wreszcie dojrzał tylko plecy mężczyzny, który brnął przez wodę spychając statek w morze.

- Dobrze, dobrze - powiedział cicho. - Wszystko jest dobrze.

## R O Z D Z I A Ł E   X X V I I I

Pierwszy brzask przecierał niebo na wschodzie, kiedy Żarek śnił swój niespokojny sen. Stał na dziobie statku i wypatrywał na widnokręgu białej skały. Morze zaczynało się burzyć, słońce przepadło za czarnymi skołtunionymi chmurami. Bał się, czy zdążą dobić do brzegu przed nawałnicą. Ciężkie krople deszczu zabębniły na deskach pokładu, zaraz potem uderzył grom. Burza od razu rozpełtała się z całą swoją złością, dudniąc i dudniąc, a krzyk Rudawki ginął gdzieś w oddali, przytłoczony grzmiotem.

Rudawka? Przebudził się, kiedy zimny podmuch liznął mu twarz. Ktoś zdarł zasłonę u wejścia. Tęgie dłonie zacisnęły się wokół jego kostek i wywlekły go prosto w zimny, dżdżysty świt. Dudnienie nie ustawało, ale wiedział już, że to nie burza. Kopyta łomotały wszędzie dookoła, przed oczami mignęły mu końskie pęciny. Próbował wstać, ale ktoś kopniakiem w żołądek zgiął go w pół. Znowu usłyszał Rudawkę, bardzo blisko, ale nie mógł jej dojrzeć w kotłowaniu koni, krzyczących ludzi i zmrożonego błota.

- Witaj, Żarek. To ja. Cieszysz się?

Gudrun siedziała w siodle. Patrzył na nią z dołu, głowę miał dociśniętą do ziemi czyimś kolanem i ręce wykręcone na plecy. Jej czerwony płaszcz opadał na smolisty zad konia, a korona mieniła się coraz wspanialej w miarę, jak rodził się dzień. Była piękna. Piękniejsza niż kiedykolwiek. Twarz ciągle miała szczupłą, ale już nie wychudzoną. Do oczu powrócił dawny, czarodziejski, zielony żar. Trzymała się prosto. W kącikach jej pełnych warg czaiło się coś, czego dotąd nie widział. Wydoroślała.

- Mogłem się czegoś takiego spodziewać - stęknął, bo kolano boleśnie



ugniatało mu kość policzkową. - Widać tutejsi rybacy mają zdradę we krwi.

- Rybacy? - uśmiechnęła się. - Nie, Żarek. Za bardzo mnie nienawidzą, bo kazałam wytepić całe to ich gadzie plugastwo. Teraz muszą pracować jak inni, zamiast grzebać w gównie.

Ryk Boruty wstrząsnął powietrzem. Czarny ogier pod Gudrun wspiął się na zadnich nogach, ale osadziła go po krótkiej walce. Szczęknęły wyciągane miecze, zatupotały ciężkie kroki wojów.

- Żywego! - Gudrun wychyliła się z siodła w stronę, z której dobiegał ryk.  
- Brać tylko żywego!

Żarek zamknął oczy. Cieszył się, że nie musi na to patrzeć. Ale musiał słuchać. Dopadli Borutę na skraju lasu, kiedy wracał ze swojego nocnego łążegowania. Bronił się tak długo, jak mógł. Któregoś Północnika chyba nawet wziął na rogi, bo przeraźliwy ludzki skowyt odbił się od lasu i urwał. Ale woje musieli być przygotowani do tego starcia, bo wiedzieli, jak zaświecić diabłu pochodnią w ślepiach. Związali go grubymi na dwa palce sznurami, tak ciasno, że ledwo oddychał.

Rzucili go niedaleko Żarka, ocierając z czoła pot.

Gudrun dała znak ręką i kolano przestało uciskać skroń Żarka. Obrócił się na plecy i odpychając się związanymi nogami, przesunął się do Boruty. Spojrzał z bliska na jego pysk. Diabeł miał przymknięte powieki, powarkiwał gardłowo i półprzytomnie. Gdzieś spomiędzy rogów spływała posoka, zlepiając capią bródkę w sztywny kłak.

- Nie martw się. - Osłaniając oczy przed wstającym słońcem, Gudrun patrzyła na miejsce walki. - To nie jego krew. Został tam jeden z bebechami na wierzchu.

Żarek dotknął wilgotnych chrapów diabła. Boruta natężył się, wysunął jęzor, ale po chwili oklapł z westchnieniem bardzo podobnym do ludzkiego.

- Puść go. On nie zrobił ci nic złego. Masz mnie.

- Pewnie, że nic! — Roześmiała się tak głośno, że koń pod nią znowu

zatańczył. - Ale co z tego? To jest mój kraj. Biorę z niego to, co mi jest potrzebne.

- Ale Boruta? Do czego może ci być potrzebny bies?

- A do czego tobie?

Żarek się zmieszał. To było pytanie, na które sam od początku szukał odpowiedzi, ale nie potrafił jej znaleźć. Gudrun wiedziała o tym, dlatego nie przestawała się uśmiechać.

- To będzie podarunek dla Arnulfa. Biskup bardzo się zmartwił, kiedy diabeł mu się poprzednio wywinął. A ja jestem dobrą królową i muszę o swojego biskupa dbać, żeby zajmował się tym, czym powinien, a nie zaglądał tam, gdzie nie musi. No i nie chciałabym, żeby robił mi trudności ze ślubem.

Żarek usiadł z wysiłkiem, sznur wpijał mu się w nadgarstki. Żeby widzieć oczy Gudrun, musiał zadzierać głowę bardzo wysoko.

- Wychodzisz za mąż?

- A wychodzę. Rada się uparła, a ja nie mogę pędzić tych leśnych dziadków na cztery wiatry, chociaż mnie kusi! - Mrugnęła. - Na razie.

- No a... za kogo?

Poruszyła się w siodle, pochyliła lekko nad plecioną końską grzywą.

- Za ciebie, oczywiście.

Żarek gwałtownie poczerwieniał, od podbródka po same włosy. Zrobiło mu się słabo. Udawał, że wytrzymuje jej wzrok, ale naprawdę patrzył w pustkę, gdzieś koło jej ucha.

- Ta korona jest za ciężka. Chyba uciska ci głowę.

- Mało liczysz się ze słowami jak na kogoś, kto tak naprawdę nie ma nic do gadania! - Szybko poradziła sobie z nagłym napadem złości, poprawiła się w siodle. - Nic na to nie poradzę, że ludzie nie chcą mieć na tronie starej panny, a ty jesteś jedyny, który nie wzbudza we mnie odrazy.

- Zapomniałaś o czymś. Jestem kmiotkiem. Tacy jak ja wżeniają się do

królewskich rodów tylko w bajkach.

- U nas na szacunek pracuje się mieczem, a nie pochodzeniem. Zresztą jesteś tu obcy i nikt cię nie zna. Dla rady będziesz tylko tym, kim ja powiem, że jesteś. A ja lubię bajki.

- Jak to sobie obmyślałeś? Chcesz mnie rzucić przed Arnulfa spętanego jak warchlaka i żądać, żeby dał nam ślub?

- No, nie! - zachichotała. - Co by ludzie powiedzieli? Każę ci wlać w gardło takich ziółek, po których będziesz mówił to, co trzeba.

- To na nic. Taki ślub będzie nieważny przed Bogiem.

- Ale dla rady będzie ważny! - Gudrun wyprostowała się i zmarszczyła brwi. - To wystarczy. Wreszcie przestaną mi szeptać za uszami, co mi wolno, a czego nie wolno. Na początek nie marzę o niczym więcej.

- Gudrun! Co ty gadasz? Przecież każde paskudztwo, którym mnie spoisz, w końcu przestanie działać. I co wtedy?

- Nic. Staniesz się królem i może nareszcie spojrzysz na to wszystko przychylniejszym okiem. Będziesz rządził, tyle tylko, że każdy swój rozkaz najpierw usłyszysz ode mnie. — Nakreśliła kędzior z końskiej grzywy na palec, teraz ona nie patrzyła na Żarka. - Nie martw się. Naprawdę, to nie będzie dla ciebie złe życie. Na początku będzie ci trudno, ale z czasem na pewno się przyzwyczaisz. A ja nie zamierzam być dla ciebie utrapieniem. Będziemy mieli osobne izby i... I w ogóle.

Żarka zaczęły boleć plecy i barki. Coraz trudniej było mu utrzymać uniesioną głowę.

- Nie.

Gudrun nie odzywała się bardzo długo. Siedziała nieruchoma, wyprostowana, i piękniała z każdym nowym promieniem słońca, który dotykał jej policzków. Patrzyła między końskie uszy, a woje oglądali się na siebie, przeczesując palcami brody. Wreszcie, kiedy zaczęli już dreptać w miejscu, gniotąc zwiędłą trawę, Gudrun gwizdnęła pod nosem. Niezbyt

głośno, ale rozstąpili się natychmiast, tworząc między sobą przejście. Dwóch z nich prowadziło kogoś pod rękę.

Nie poznał jej od razu. Szła za zwieszoną głową i od czasu do czasu chyba mdlała, a wtedy jej nogi bezwładnie wlokły się po ziemi. Była ubłocona i obszargana, włosy opadały jej na twarz. Ale kiedy podprowadzili ją bliżej, spod spłowiałej powłoki brudu na skroniach zaczęły się przecierać rude smugi. Żarek poczuł, jak więzy mocniej wpijają mu się w skórę.

- To wcale nie miało tak być - usłyszał cichy głos Gudrun. - Zmusiłeś mnie do tego.

Rudawka nie stała o własnych siłach, wisiała w ramionach Północników. Wyglądała jak wynędzniała starucha, której ktoś ukradł laskę. Kilka kroków za nią prowadzili Głuptaka, ale tego już Żarek nie widział.

- Błagam cię, oszczędź ją! - Słowa mu się rwały. - Ona nic nie... Ona jest...

Gudrun mu nie przerywała. Spokojnie czekała, aż skończy. Ale głos mu zmizerniał i zgubił się w niespokojnym oddechu. Dopiero wtedy Gudrun odezwała się nadspodziewanie łagodnie, aż Żarek podniósł na nią piekące oczy.

- Nie ma po obu stronach morza nikogo, kto bardziej zasłużył na śmierć. Myślała, że wolno jej porwać się na koronę tylko dlatego, że nasz ojciec kiedyś pokłócił się z matką i poszukał zapomnienia u innej. - Kiedy mówiła, wszystko prócz jej ust rozpląnęło się Żarkowi we łzach. - Dlatego spróbuj docenić to, co ci chcę dać. Jej życie za twoje.

Żarek skwapliwie pokiwał głową.

- Zabij mnie. Ale ją puść.

- Nie zrozumiałeś. Daruję jej życie, ale nie mogę jej wypuścić. Kto raz zobaczył koronę w świetle dnia, ten już nigdy nie zrezygnuje z marzeń. Dwie księżniczki do jednego tronu to za dużo. Tak samo, jak dwie panny do jednego chłopca. Na wolności byłaby dla mnie jak żmija, która tylko czeka, żeby znowu ukąsić. Dlatego będzie żyła, ale tak ją ukryję, że świat o niej

zapomni. I ty z czasem też. Ale najpierw łaskawie przyjmiesz moje oświadczenia. I tak za długo się dopraszam. Jeszcze ci się poprzewraca w głowie.

Żarek zaciskał powieki tak długo, aż zobaczył roje zielonych i żółtych muszek.

- A co z Głuptakiem?

- On? Wszystko jedno. Niech sobie idzie. Nie jego wina, że jest dumy i każdy wodzi go za nos, jak chce. Byle nie pętał mi się przed oczami.

Żarek położył się na boku. Wiedział, że kiedy otworzy oczy, świat nie będzie już taki sam. Cokolwiek postanowi. Poruszył wargami jak ryba na piasku. Odezwał się głosem odrobinę niższym niż zwykle.

- Niech ją zabiorą.

Odgłos kroków i szurania wlokących się po ziemi stóp mieszał się z gwałtownym łomotaniem krwi w skroniach. Oddalał się, cichł, a wreszcie zniknął, przytłoczony innymi hałasami. Dopiero wtedy, kiedy zrobiło się całkiem cicho, Żarek otworzył oczy.

Niebo było jasne. Zniknął czerwony płaszcz, układający się na czarnym zadzie w równe fałdy. Zniknęły konie i ludzie, zostało po nich tylko stratowane błoto wymieszane z łajnem. Z ziemianek cicho wychylały się blade twarze rybaków, psy z podkulonymi ogonami przebiegały chyłkiem, otumanione natłokiem obcych woni.

Chyżonogi pojawił się bez szelestu, jakby wypłynął na zimną przestrzeń nieba. Przeciął Żarkowi sznury na rękach i nogach, pochylił się nad nim.

- Możesz wstać?

Żarek obrócił się na plecy. Zdrętwiałe ręce rozleciały się na boki, jakby były martwe.

- Powinienem cię zabić, zdrajco! Wszystko robiłeś tylko po to, żeby Gudrun mogła dostać Rudawkę. Byłeś z nią w zмовie, od początku do

końca.

- Nie w zmowie, Żarek. - Eryk się nie zmieszał, jednostajnie nawijał sznur na dłoń. - Byłem w służbie, a nie w zmowie. Ona jest moją królową.

- Wierzyłem ci! - Krążenie krwi wracało i Żarek położył rękę w miejscu, gdzie przedtem leżał Boruta. Jeszcze nie wystygło.

- Kiedyś to zrozumiesz. Jeszcze nie teraz, ale kiedyś tak. - Chyżonogi prześlizgnął się wzrokiem po morzu, a potem spojrzał mu prosto w oczy. - Mój królu.



Osamotnienie było zupełne. Takie, jakie spada na człowieka w ostatniej chwili przed śmiercią, kiedy zostaje się sam na sam z własnym sumieniem. Wokół Żarka kręcili się ludzie, ktoś coś mówił, dotykając jego ramienia, ale wszyscy oni byli tylko rozmytymi cieniami. Wiedział, że w końcu przyjdzie taka chwila, kiedy będzie musiał wstać i iść. Nie chciał teraz przypominać sobie, dokąd. Jeszcze nie. Szczelnie owinięty milczeniem, ukryty, przyczajony, skupiał się na samym trwaniu. Bał się rozpaczy, która tylko czekała na jakąś chwilę jego słabości, kiedy pozwoli sobie na myślenie.

Ale Chyżonogi odebrał mu nawet to. Chlusnął kubłem zimnej morskiej wody prosto w jego twarz, a potem stojąc nad nim w krzywym rozkroku, pozwolił mu smakować sól na wargach i na języku.

- Chcesz zapleśnieć? Wstawaj!

Było tak, jakby ktoś kopniakiem otworzył drzwi do ciemnej chaty. Uderzył mocny, pachnący morzem wiatr i Żarek wreszcie poczuł ziąb. Przemoczona koszula lgnęła mu do pleców, strużki spływające z włosów chłodziły policzki. Kiedy się podnosił, zeszywniałe od wilgotnego piasku nogawki ocierały mu kolana.

Nagle, jak objawienie, rozbłysła w nim pewność tego, co powinien zrobić. Wyciągając przed siebie obie ręce, zdążył się jeszcze zdziwić, że tak długo z tym zwlekał. Położył opuszki palców na szerokim karku Eryka, a kciukami dotknął jego grdyki. Nacisnął. Wbił bielejące paznokcie tak głęboko w krtań, jak tylko mógł. Chyżonogi zatrzepotał ramionami jak mewa ze zwichniętym skrzydłem. Wydał jakiś dziwny głos, jakby skierowany do środka, a nie na zewnątrz. Oczy uciekły mu do góry. Skrobął palcami po owiniętej w skórzane paski rękojeści miecza, a potem zsiniał i zwiotczał.

Ostry ból przeszył Żarkowi przedramię, od łokcia po dłoń. Zwolnił uścisk. Chyżonogi spłynął na piasek jak brudna szmata. Żarek podniósł drętwiejącą z bólu rękę i przyjrzał się jej z bliska. Ślad po ugryzieniu wytłoczył się na skórze dwiema półkolistymi pręgami, a w każdym pojedynczym wgłębieniu wolno pęczniała kropla gęstej krwi.

Krzyk Biesidełka był piskliwy i rozedrgany, na jego wargach schły ciemnoczerwone plamki.

- Jeśli mnie zabijesz, wioskowi zabiją ciebie! - Chyżonogi z trudem dźwigał się na drżących rękach.

Żarek podniósł głowę. Rybacy trzymali się w pewnej odległości, stali luźnym kołem. Noże mieli powtykane za pasy, ale ręce niespokojnie kiwały im się przy biodrach. Patrzyli i czekali.

- Co im do tego?

- Boją się, że królowa będzie się na nich mścić.

- A on? - Żarek znowu opuścił wzrok na małego. - Czego mnie gryzie?

- Dba o ciebie, bo ma nadzieję, że przyprowadzisz Borutę. Kto ma po niego iść, jeśli ty umrzesz?

Eryk charknął, z głośnym jękiem wciągnął powietrze i przetoczył się na plecy. Przez chwilę zbierał siły, plując krwawą śliną.

- Powiem to tylko raz - odezwał się chrapliwym szeptem, nie podnosząc oczu. - Jeśli jeszcze kiedykolwiek zaświerzbi cię ręka, postaraj się poskromić

w porę swoje zachcianki. Bo zabijając mnie, zabijesz Rudawkę.

- Nie wierzę ci. Ani krzty. Nie wierzę nikomu. Nie wiem nawet, czy ona jeszcze żyje.

Eryk wstał. Wiatr rozwichrzył jego brodę, zaczerniały podskórne wybroczyny na szyi.

- Masz wybór: nie wiedzieć, czy żyje, albo wiedzieć, że nie żyje. Zastanów się dobrze, co wolisz. I zrób to szybko. Jutro rano musimy wyruszyć w drogę, bo we dworze nas oczekują.

Rybacy patrzyli gdzieś na kolana Żarka, kiedy ich mijał. Przez jakiś czas słyszał za sobą drobne kroki Biesidełka, ale kiedy obszedł ostatnie ziemianki i zaczął schodzić ku morzu, ogarnęła go rwana wichrem cisza.

Na przygarbionych plecach Głuptaka łopotała koszula, jak potargana przez burzę sieć. Z daleka wyglądał, jakby zagubił się na szerokiej łasze piasku między morzem a lasem i rozmyślał nad tym, dokąd iść. Żarek musiał wiosłować ramionami jak pływak, żeby się do niego przedrzeć przez porywisty wicher. Był już całkiem blisko, kiedy Głuptak obejrzał się na niego. Pokazał ręką przed siebie. Żarek zatrzymał się, osłaniając twarz ramieniem, bo wiatr wypychał mu oddech z powrotem do gardła.

- No i co tak sterczysz? - Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć wzburzone morze.

- Ale wielki! Gruby jak drzewo! - Głuptak przyciskał koszulę do boków i trząśł się z zimna, ale oczy mu błyszczały. Przed nim, do połowy zagrzebany w piachu, leżał martwy wąż. Przez kilka ostatnich cieplejszych dni słońce zrobiło swoje. Mięso zaczynało już gnić. Ale wiatr rozpraszał smród i można było stać nad padliną bez odwracania głowy.

- Do końca życia będziesz mógł się chwalić, że go widziałeś. Wiosną zostaną z niego tylko kości, a potem wessie je piach.

- To ten cię łyknął? - Głuptak przechylił głowę i zmrużył jedno oko, jakby próbował przymierzyć do gada samego siebie.



- Nie wiem. Może i ten. Ale na ciebie wystarczyłby zaskroniec, taki jesteś chudy. Jadłeś coś dzisiaj?

Koszula Głuptaka znowu poderwała się wysoko w górę. Każdy z kręgów na jego plecach, od pasa po kark, sterczał pod skórą osobno.

- No, nie.

- A widzisz. Chodź, wracamy. Musisz jeść, bo inaczej zmiecie cię wiatr.

- Nie jestem głodny.

Żarek przesunął się tak, żeby stanąć plecami do wichru, a twarzą do Głuptaka. Aż się wzdrygnął, kiedy spojrział na niego z bliska. Chłopak tak zmizerniał, że pod bladą skórą wyraźnie było widać obrys czaszki, razem z dziurami oczodołów.

- Co się z tobą dzieje? Źle się czujesz?

Głuptak wolno podrapał się po wklęsłym policzku. Stawy w jego palcach wyglądały jak zgrubiałe narośle.

- E, nie. Ale jak jem, to on rośnie. - Poklepał się gdzieś pod żebrami, gdzie chorobliwie wzdymał się brzuch.

- Głuptak! Gadaj do rzeczy! Co rośnie?

- No, ten... To, co mam w środku. W sobie. A ty czego wrzeszczysz? - obruszył się nagle. - Nie twoja sprawa.

Żarek położył mu obie dłonie na ramionach. Zdawało mu się, że Głuptak ugiął się pod tym ciężarem.

- Spokojnie, po kolei. - Starał się mówić do niego tak, jak dawniej mówił do Lestków-Pestków, kiedy ich oduczał sikania do gatek. - Skąd wiesz, że tam coś jest?

Głuptak wzruszył ramionami, a wtedy pod palcami Żarka przemieściły się jego obojczyki.

- No jak to skąd? Czuję go. Jest już duży, ale ciągle rośnie i rośnie. Boję się, że w końcu będzie za wielki i mnie rozepcha. Czasami tak głośno

bulgoce, że nie mogę spać. Chcesz posłuchać? - Uniósł koszulę na brzuchu, żeby Żarek mógł przyłożyć ucho.

- Nie! - Żarek trochę zbyt gwałtownie pokręcił głową.

- Wierzę ci. Nie martw się. Jak wrócisz do domu, Lubicha na pewno coś na to poradzi. Na tasiemce są sposoby.

- Wiem, że są. Miałem już kilka. Ale to nie jest tasiemiec.

Pierwszy raz w życiu Żarek poczuł się przy Głuptaku onieśmielony. Spokojna pewność siebie wypłukała z jego twarzy tępotę. W jego spojrzeniu była chęć poddania się czemuś, co jest nieuchronne, ale też przezierała z nich wyraźnie uchwytna tkliwość. Żarek zabrał dłonie z jego ramion. Coraz trudniej było mu patrzeć w oczy, które zrobiły się jakby większe, wilgotne i przymglone. Głuptak wsłuchiwał się w samego siebie.

- Jak nie tasiemiec, to co? - Ostatnie słowo Żarka brzęknęło jakoś nieudanie.

- Jestem w ciąży.

Położył rękę na brzuchu gestem, który przeraził Żarka. Znał ten ruch. Przypomniał sobie Żywulę, jak stała chwiejąc się na popuchniętych łydkach, krzesząc uśmiech z obrzękłej twarzy i gładząc napiętą skórę nad pępkiem, którą Lestki-Pestki bodli piętami od wewnątrz.

- Nie jesteś babą! - jęknął. - Nie możesz być w ciąży!

- A ropuchą mogłem być? - odparł Głuptak jak ktoś, kto nie wątpi we własny rozsądek. - No, powiedz, mogłem? Nie mogłem. A byłem.

- To było co innego. Zakłęła cię Lubicha.

- No właśnie! I w ciąży też jestem przez nią.

Żarek czuł się tak, jakby z boku przysłuchiwał się swoim własnym słowom. Wiatr wściekle szarpał go za włosy, nogawki wokół kostek klaskały.

- Jesteś w ciąży z Lubichą?

- Nie! - Głuptak skrzywił się, a wtedy przez chwilę wyglądał tak, jak

dawniej. - Przecież ona jest za stara.

Pustka w głowie Żarka rozrastała się coraz bardziej, nieprzyjemnie dzwoniąc w uszach. Przełknięcie śliny pomagało, ale tylko na krótko.

- To z kim?

- Najbardziej to chyba z tobą. Miała twój kędziorek. Gdybyś tylko wiedział, co ona umiała zrobić z tym jednym kędziorkiem!



Chyżonogi szybko zwietrzył, że coś się zmieniło, ale długo nie wiedział, gdzie szukać źródła własnego niepokoju. Biegał po wiosce, wlokąc za sobą sztywnego kulasa i wtykając nos do ziemianek, powarkiwał na rybaków. Co chwila oglądał się na Żarka, który siedział z głową odrzuconą do tyłu i grzał twarz w bladym słońcu. Eryk bał się stracić go z oczu. Wiedział, że musi poradzić sobie sam z niezrozumiałym poczuciem zagrożenia, więc miotał się jak ćma w pajęczynie. Ale w końcu przystanął, podrapał się po czole i podszedł prosto do Żarka.

- Zniknął Głuptak! - Wykrzyczał to prawie z ulgą, jak po wyrwaniu bolącego zęba. - Nigdzie go nie ma. Wiesz coś o tym?

Żarek nie odpowiedział. Przesunął się trochę na bok, poza cień rzucany przez Chyżonogiego, i wzruszył ramionami.

- Znowu coś uknułeś, tak? - Eryk przeczesał brodę palcami. - To nic nie da. Znasz Gudrun, powinieneś wiedzieć lepiej.

Żarek milczał. Chyżonogi roześmiał się, kręcąc głową.

- Wiesz co? Z początku nawet się dziwiłem, czemu ona po prostu nie przytroczy cię do siodła i nie powlecze po kamieniach, żeby cię trochę okrzesać. Ale teraz już rozumiem. Zostawiła cię tu po to, żebyś miał czas rozstać się ze swoją ostatnią nadzieją, jeśli ją jeszcze gdzieś tam chowasz.

Jest mądra. Wie, że co nagle, to po diable! - Znowu zarechotał. - Szkoda tylko, że wmieszałeś w to Głuptaka. Mógłby chłopczyna dożyć swoich dni w spokoju.

Żarek przyciągnął do siebie obie nogi, wstał nie patrząc na Eryka, wyminął go i poszedł kamienistą drogą w górę, w stronę lasu. Chyżonogi zrównał z nim krok dużo później, kiedy powykręcane morskim wiatrem gałęzie zaskrzypiały im nad głowami.

- Nie wiedziałem, że tak szybko z ciebie wytrząsnę te mrzonki! - mruknął.  
- Ale to dobrze, że wreszcie zmądrzałeś. Teraz możemy... Hej! To nie jest droga do dworu!

Naprawdę zaniepokoił się dopiero wtedy, kiedy Żarek zboczył z szerokiego szlaku w wąską leśną ścieżkę. Trudno było ją w ogóle dostrzec, była jak jaśniejsza skaza na ciemnorudym podłożu. Ale Żarek wsunął się w zarośla bez zastanowienia, ani na chwilę nie gubiąc kroku.

- Tędy nie dojdziemy do dworu! - Eryk dokuśtykał do niego i chwycił go za rękaw. - Wracaj do drogi.

Żarek zakręcił się na pięcie, wrywając rękę. Zęby miał zaciśnięte, ledwo poruszał wargami, cedząc słowo po słowie.

- Możesz mnie kłuć nożem w plecy, jeśli cię kusi. Nie mam broni. Ale póki żyję, będę chodził tam, gdzie chcę!

- Lasy jeszcze nie są całkiem spokojne. - Lekkie podniesienie brwi było jedynym objawem zdziwienia, na jaki sobie pozwolił Eryk. - Wielu ludzi, którzy zapuszczali się w głusz, już nie wróciło.

- A kto ci każe za mną leżać? Przyczepiłeś się jak rozdeptany ślimak do podeszwy.

Nasłoneczniona droga była sucha i ciepła, ale od lasu ciągnęło chłodem. W cieniu drzew leżały zwały śniegu, spod których sączyły się cieniutkie niteczki wody. Bezlistne, powykręcane gałęzie wyglądały jak chore. Czuć było zgniliznę.

- Nie jestem twoim wrogiem. - Eryk przekręcił pas tak, żeby pochwa z mieczem przesunęła się do przodu. Przeskakiwał niespokojnym wzrokiem po wykrotach i stwardniałych na kamień zaspach.

- Jasne. Zdradziłeś mnie tylko tak sobie, dla żartu.

Gniew przemknął po czole Północnika falą zmarszczek, ale stłumił go. Przestał rozglądać się na boki i skupił oczy na Żarku.

- Moja wierność jest tylko jedna. Należy do królowej. Tobie nigdy nie przysięgałem, więc nie zarzucaj mi zdrady. Dla mnie jesteś przyszłym królem i dlatego muszę cię chronić. Ale przestań bawić się w ten sposób słowami, bo chociaż cię lubię, to jestem tylko człowiekiem.

Żarek bez słowa odwrócił się i poszedł dalej, w wymarłą szarość lasu. Przez kilka pierwszych kroków za plecami miał tylko ciszę. Potem zaszeleściły zrudziałe, zeszlóroczne liście.

- Teraz już wiesz, że nim nie będę - odezwał się przez ramię, nie patrząc w tył. - Możesz wracać do Gudrun i powiedzieć jej, że za szybko odtrąciła zaloty tego bez zębów.

Przyspieszył kroku. Im dalej w tyle zostawała droga, tym ciaśniej drzewa splatały się w górze konarami. Tęsknił do chwili, kiedy wreszcie zostanie sam i będzie mógł usłyszeć szept puszczy. Ale póki co, świdrowało mu w uszach sapanie Eryka, któremu coraz trudniej było wlec dłuższą nogę po nierównej ścieżce.

Z początku nie odstawał. Kiedy las zgęstniał i ścieżynka coraz częściej znikwała między nagimi krzewami, wyciągnął miecz i zaczął siec gałęzie, a kawałki kory odpryskiwały, bębniąc Żarkowi po plecach. Tam, gdzie Żarek mógł wsunąć się bokiem i przemknąć bez przystawania, on musiał dopiero wyrąbywać sobie przejście. Powiew powietrza ciętego ostrzem miecza coraz słabiej ziębił Żarkowi kark, aż wreszcie ustał. Chyżonogi nie nadażał. Potykał się, rzeził, kłął. Kiedy jego ciężkie kroki umilkły, las oddał ciszę dzwoniącym w uszach pogłosem.

Żarek zwolnił i po paru krokach zatrzymał się. Obejrzał się kątem oka. Eryk stał zgięty wół, oparty na mieczu wbitym w wystający korzeń, i przyciskając łokieć do boku, walczył z kolką. Nie podniósł oczu, chociaż musiał słyszeć, że Żarek do niego wraca. Charknął, splunął, drżącą dłonią otarł wargi.

- Masz dosyć? - Żarek nachylił się do jego ucha, żeby mieć pewność, że Eryk go usłyszy. - Nie lepiej by ci było wygrzać kości przy ogniu, zamiast przeskakiwać krzaki?

Prawa ręka Eryka wyrwała się nagle do przodu, palce zacisnęły się na włosach Żarka z tyłu głowy. Żarek chciał się wyrwać, ale oszołomił go ból. Eryk powoli nagiął jego kark, aż ich twarze znalazły się na tej samej wysokości.

- Pewnie, że lepiej. - Na jego czole i szyi napuchły żyły. - Ale jesteś, mamincycku, pod moją opieką i będziesz pod nią tak długo, póki nie zdechnę jak zgoniony pies! Rozumiesz?

Żarek stracił równowagę. Nie upadł tylko dlatego, że Chyżonogi mu na to nie pozwolił. Odgiął jego głowę jeszcze bardziej do tyłu, a wtedy Żarkowi zwilgotniały oczy.

- Rozumiesz?

- Tak! - zajęczał chłopak. - Puść!

Kiedy podnosił się chwiejnie, otrzepując kolana z liści i igliwia, z twarzy Eryka już zdążył spłynąć nadmiar krwi. Stał z rękami założonymi na plecach i tylko lekko przyspieszony oddech zdradzał, że przed chwilą był u kresu sił.

- I co dalej? — zapytał, wyrywając miecz z ziemi i wsuwając go do pochwy.

Żarek ukradkiem spojrział w bok. Wystarczyłyby dwa skoki między kłujące chaszczce, które sterczały na wysokość kolan, a Chyżonogi zostałyby równie daleko, jakby rozdzieliły ich góry. Pewnie nawet nie próbowałyby pogoni. Ale spokojny wzrok Północnika sprawił, że tylko wzruszył

ramionami.

- Nie zrobię nic, czym mógłbym skrzywdzić Gudrun.

- Wiem o tym. - Eryk pokiwał głową. - Zdążyłem cię poznać lepiej, niż ci się wydaje. Ty wcale jej nie nienawidzisz. Chociaż robisz wszystko, żeby tak właśnie o tobie myślała.

- Bzdura! Ja tylko nie chcę się z nią żenić. Nie mogę.

- I to wystarczy! - Chyżonogi uśmiechnął się weselej po raz pierwszy od tego ranka, kiedy Żarka obudziło walenie końskich kopyt. - Oprócz tego, że jest królową, jest też kobietą. Igrasz z czymś, nad czym nikomu jeszcze nie udało się zapanować.

Twarz mu stężała, kiedy między łopatkami poczuł ukłucie ostrza. Jego rozciągnięte w uśmiechu wargi zwiotczały. Zbladł. Żarek stał przed nim z rękami założonymi na piersiach. Chyżonogi próbował z jego oczu wyczytać prawdę o tym, co go czeka, ale znalazł tam tylko znużenie.

- Miałeś przyjść sam! - Głos za jego plecami mówił językiem Południa, chociaż było jasne, że to jest dla niego obca mowa. - Po co przyprowadziłeś tego kulawca?

Żarek zmarszczył czoło, jakby zaskoczyło go to pytanie. Spojrzał ponad ramieniem Eryka, a potem znowu przeniósł wzrok na jego twarz.

- Nie wiem. Ale nie zabijaj go. Chcę, żeby najpierw wszystko sam zobaczył.

- Musimy być bardzo ostrożni, chłopcze. On tylko czeka na sposobność, żeby znowu cię sprzedać. Trzeba go zarżnąć!

Ostrze napało mocniej. Chyżonogi otworzył usta, na jego skroniach pojawił się pot. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić słowa. Patrzył na Żarka okrągłymi źrenicami.

- Nie! - Żarek potrząsnął głową. - Zabierz tę włócznię, Jednouchy.

Bolesny ucisk na plecach Eryka ustąpił. Nagle ze wszystkich stron naraz

zasześciła ściółka i zza drzew zaczęli wyłaniać się ludzie. Eryk patrzył na ich miecze, tarcze i szyszaki, a z otwartych ust po brodzie zaczęła cieknąć mu ślina. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy Żarek podszedł tak blisko, że prawie przydeptał mu stopy.

- Żyjesz tylko dlatego, że teraz to ja chcę się przekonać, jak szybko umiera twoja nadzieja.



## R O Z D Z I A Ł   X X I X

Głuptak wisiał głową w dół. Pętla zaciskała się wokół kostek jego nóg, sznur przerzucony był przez wysoką gałąź i przywiązany do pnia drzewa. Żył na jego zwieszonych ramionach grubiały od nadmiaru krwi. Końcami palców muskał trawę, ale nie mógł sięgnąć ziemi. Oczy miał zamknięte, oddech mu się rwał.

- Matko Boska! - Chyżonogi zatrzymał się, chociaż grot włóczni Jednouchego ciągle kłuł go w plecy. - A ten czym wam się naraził? Przecież to przygłup!

- Nie większy niż ty, jeśli ciągle wierzysz tej małej czarownicy we dworze!  
- Jednouchy podciął mu drzewcem od tyłu kolana. - Siadaj i nie szczerkaj.

W miejscu, gdzie między kamieniami ciurkała woda, zebrała się brudna kałuża. Żarek uklęknął, zaczerpnął w złączone dłonie tyle, ile mu się udało, i podszedł do Głuptaka. Chlusnął mu na zapadniętą pierś i na szyję, a potem jeszcze otrząsnął ręce nad jego twarzą.

- No i jak? — Przykucnął, przekrzywił głowę. - Wytrzymasz?

Głuptak otworzył oczy, ale powieki zaraz znowu mu się skleiły. Żarek zdążył zobaczyć, że białka jego oczu były podbiegnięte krwią. Z trudem dźwignął rękę, jakby była bardzo ciężka, i dotknął swojego wielkiego brzucha, na którym skóra napinała się jak na bębnie.

- Muszę - odpowiedział przyduszonym głosem. - Nie da się inaczej. Lubicha mi mówiła, że jeśli stchórzę, to ten skurwysyn sam wydrapie się ze mnie pazurami.

Gałki oczne pod jego powiekami nagle skoczyły w górę i w dół, ramiona

opadły. Żarek zerwał się na nogi, wbijając przestraszone oczy w Jednouchego. Skronie miał wilgotne.

- To nic, nie bój się. - Jednouchy osuszył rękawem czoło. — On co jakiś czas traci przytomność. Możemy tylko mu życzyć, żeby jak najczęściej.

Chyżonogi drgnął, ale poczuł na ramieniu czyjąś ciężką dłoń i tylko pokręcił głową. Wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem. Czemu każecie mi na to patrzeć? Wiem, jak się zamęcza ludzi. Widziałem to wiele razy.

- Tego jeszcze nie widziałeś. - Żarek lekko się zacinał.

- Nikt tego nie widział.

Zza pleców któregoś z Północników cicho wysunął się skudlony starzec o pokurczonej twarzy, ze zmarszczkami wypełnionymi zleżałym brudem. Podszedł do Głuptaka, położył dwa palce na jego szyi i nastroszył brwi, jakby czegoś nasłuchiwał. Potem zerwał kępkę trawy i dokładnie oczyścił mu obie dziurki w nosie.

- A to kto? - Żarek stał z jedną nogą wysuniętą do przodu, w każdej chwili gotów podbiec i odciągnąć starucha. — Nigdy go przy was nie widziałem.

- Pastuch owiec. - Jednouchy wbił drzewce włóczni w ziemię. — Ludzie mówią o nim, że jest najlepszy w okolicy. Umie poskładać do kupy wszystkie kości, nawet te najdrobniejsze.

- No dobra, ale co z tego? Nie idziemy na wojnę.

- Pomyślałem, że może się przydać Głuptakowi. No wiesz... Na końcu.

Głuptak ocknął się. Jęknął, rozłożył ręce i odruchowo zgiął się wpół, przyciskając brodę do piersi. Wyglądał jak robak nabity na haczyk przy wędce. Jego stopy, odcięte od dopływu krwi, zrobiły się prawie niebieskie.

- Zaczyna się! - zapiszczał. - Zaczyna się!

Ludzie zastygli, wpatrzeni w jego brzuch. Zaczął się jakiś powolny, ostrożny ruch. Najpierw brzuch się wyostrzył i przez długą chwilę sterczał

jak kretowisko na skoszonej łące. Potem znowu rozlał się na boki, rozpychając żebra. Pępek zrobił się wielki jak pięść. Głuptak oddychał teraz bardzo szybko, z jego włosów pot kapał ciurkiem jak z mokrej miotły.

- Obraca się! Już się obraca! Uch!

Żarek patrzył. Wszystko, co widział, wydawało mu się spowolnione, senne i nieprawdopodobne. Nawet jęki Głuptaka, coraz głośniejsze i coraz bardziej rozpaczliwe, ledwo podrażniały jego uszy. Ale kiedy dojrzał pod skórą na brzuchu Głuptaka odcisk maleńkiej ludzkiej dłoni, świat znowu skulił się wokół jego głowy i zaczął sączyć grozę przez wszystkie zmysły naraz.

Inni też to widzieli. Żarek słyszał, jak stęknęli ze strachu, prawie jednym głosem. Jednouchy krzyknął coś do owczarza, który stał z wywalonym na brodę językiem i bardzo szybko mrugał oczami. Wreszcie splunął, obszedł Głuptaka lukiem i zbliżył się do niego z tyłu, od pleców. Wsunął kościste łapy z obu stron na biały, rozedrgany brzuch.

- Powiedz mu, żeby nacisnął! - Głuptak gwałtownie zamachał rękami, ale jego dłonie łapały tylko powietrze.

— Inaczej nie ruszy, ugrzęźnie!

Jednouchy przetłumaczył to owczarzowi w mowie Północy, rozsiewając przed sobą maleńkie kropelki śliny. Stary wystawił zza Głuptaka głowę i coś odwarknął, nie przestając obmacywać brzucha z różnych stron.

- Mówi, że przy nim okociły się zdrowo tysiące owiec i nie potrzebuje żadnych głupich rad. Ten... To... — Jednouchy odetchnął. - Ułożyło się odwrotnie, niż powinno.

Oczy Głuptaka były wielkie, nieruchome i łzawe. Słabł. Przestał się miotać, jego wychudzona twarz tkwiła wciśnięta między obojczyki. Powolutku okręcił się na sznurze najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Kiedy znieruchomiał, jego wzrok zatrzymał się prosto na twarzy Żarka. Poruszył wargami, jakby go przyzywał. Żarek zrozumiał od razu. Podszedł, pochylał się i zbliżył ucho do jego ust.

- Ja nie jestem owcą. - Głuptak każde słowo oddzielał od poprzedniego cichym świstem. - Wytłumacz to pastuchowi, bo ja za chwilę nie będę już mógł powiedzieć niczego. Jest ustawiony odwrotnie, ale tak ma być. Teraz tylko trzeba mu pomóc. Nacisnąć. Mocno. Bardzo mo...

Zemdlał. Żarek wyprostował się i szybko przebiegł oczami po twarzach ludzi. Potem odepchnął owczarza, stanął na jego miejscu i objął brzuch Głuptaka. Pod palcami czuł niespokojny takt jego serca. Zamknął oczy, na chwilę przestał oddychać. Kiedy udało mu się wyczuć inne stukanie, o wiele cichsze i o wiele szybsze, zwarł ramiona.

Najpierw przestraszył się, że nacisnął w złym miejscu, bo bicie obu serc nagle się urwało. Ale zamiast rozluźnić uchwyt, naparł jeszcze mocniej. I wtedy poszło. Gładko, jakby wycisnąć ze śliwki pestkę. Brzuch przesunął się pod ramionami Żarka, a w puste miejsce pod skórą wlał się ciepły bulgot. Żarek odskoczył, obszedł Głuptaka na drżących nogach. Chciał iść dalej, żeby nie patrzeć na to z bliska, ale zrobiło mu się słabo. Usiadł w mokrej trawie i zacisnął zęby. Nie oderwał oczu do samego końca.

To, co Głuptak miał w sobie, zaczęło przesuwać się w stronę jego gardła. Było widać pod skórą, jak wwierca się coraz dalej i dalej, przewycięzając rosnący opór. Po chwili można było nawet to usłyszeć. Zatrzeszczały żebra i rozstały się tak mocno, jak to tylko było możliwe. Szyja Głuptaka u samej nasady zaczęła się poszerzać, aż wreszcie stała się grubsza niż jego głowa. Od strony żołądka coś wciskało się do przełyku, walcząc o każdy kawałeczek krótkimi, ale silnymi szarpnięciami. W miejscu, gdzie Głuptak powinien mieć grdykę, nagle całkiem wyraźnie pokazał się małeńki, przyplaszczony nos, a nad nim dwa wklęsnięcia oczu. Głuptak przestał oddychać, jego twarz zsiniała w kilka chwil. Koniuszkami palców zaczął leciutko skrobać ziemię.

Była taka chwila, kiedy wydawało się, że umrą oboje. To, co wtłoczyło się w wąski przełyk, przestało się poruszać. Oczy Głuptaka wyszły na wierzch i sterczały jak dwa półkoliste, krwawe wybrzuszenia. Ludzie patrzyli w milczeniu, przytłoczeniu strachem i obrzydzeniem. Pierwszy opamiętał się

owczarz. Dосkoczył do Głuptaka, wziął zamach i uderzył go pięścią w żołądek. Coś pękło, coś trzasnęło, zgrubienie na szyi przesunęło się dalej.

Później poszło już szybko. Szczęki Głuptaka zaczęły się rozwierać, kąciki jego warg napinały się coraz bardziej, łuszcząc się i bielejąc. Osiągnęły stan, w którym nie mogły już ustąpić ani o paznokieć dalej. Wytrzymały jeszcze chwilę, a potem pękły. Podniebienie Głuptaka oblała ciemna krew. Jego głowa odchyliła się, jakby ktoś z tyłu pociągnął go za włosy. Trzasnęło. Dolna szczęka oderwała się od reszty czaszki, trzymając się na samej skórze.

Powolutku, jakby niechętnie, w rozdartych ustach Głuptaka pokazało się pokryte krwawym śluzem ciemiączko.

- Musicie go zabić.

Już dawno przestali Chyżonogiego pilnować. Gdyby chciał, mógłby odejść w las i nikt by się za nim nawet nie obejrzał. Siedzieli otępiali, ogłuszeni niemilknącym krzykiem głodnego niemowlęcia. Odeszli najdalej, jak mogli, ale tak, żeby nie tracić z oczu nieprzytomnego Głuptaka i owczarza pochylającego się nad jego umęczonym ciałem. Co jakiś czas widzieli unoszące się ponad wysoką trawę małe zaciśnięte pięści. Mieli wrażenie, że wrzask nie przygasa, ale wzmagą się z każdą upływającą chwilą.

- Ktoś musi tam wreszcie pójść, żeby z tym skończyć!

- Chyżonogi podniósł głos, ale z początku nie wywołał u nich większego poruszenia, niż zrobiłaby to bzykająca mucha. — Nie widzicie, że to stworzenie się męczy?

Żarek patrzył spod oka, jak owczarz ostrożnie wsuwa dłoń pod głowę Głuptaka i powolutku ją podnosi. Wyłamana szczęka opadła luźno na pierś, jakby nie była częścią ciała.

- To tylko noworodek. Jak się zmęczy, to uśnie.

- Nie uśnie! Nie wiem, jakim sposobem wywołaliście to z piekła, ale to na pewno nie jest człowiekiem. Takiego wrzasku nie wytrzymałyby ludzkie płuca. I wiecie, co wam powiem? On nigdy nie przestanie krzyczeć. Jest

głodny, a wy nie wiecie, jak go nakarmić. Trzeba go zabić!

Eryk wstał, ale dostrzegł niedbałe przesunięcie dłoni Jednouchego po drzewcu włóczni i został w miejscu.

Owczarz wyglądał tak, jakby ból wkręcający się przez uszy do mózgu jego jednego jakoś omijał. Spokojnie, kawałeczek po kawałeczku obmacywał głowę Głuptaka, mrużąc do siebie, prychnąc i wysuwając koniec obślinionego języka. Niedaleko za jego plecami wierzgnęły patykowate nóżki, wyprężyły się, zatłukły piętami po ziemi i znowu były w górze. Wrzask, wrzask, wrzask. Wyżej, na gałęziach brzoźki siedziały zwabione zapachem krwi dwa kruki, ale otumanione krzykiem tylko stroszyły pióra na karkach i błyskały raz jednym, razu drugim okiem.

- Głuptak wie. - Żarek czuł się tak, jakby pod każdą z powiek ktoś sypnął mu garść piasku. - Lubicha musiała mu powiedzieć, jak się z tym obchodzić.

- No to trzeba go było pytać, kiedy miał jeszcze całą krtań - wzruszył ramionami Jednouchy. - Przez najbliższe dni nie wydusi ani słowa. Jeśli uda mu się przeżyć, oczywiście.

- To może przyprowadzić tutaj jakąś babę? We wsi są takie, które karmią.

- Zapomnij o tym! - Jednouchy czujnie się wyprostował. - Nikt nie może wiedzieć. Wystarczy, że ściągnąłeś nam na kark tego kulawego parszywca.

Owczarz lewą ręką przytrzymał szczękę Głuptaka, przyjrzał się z boku przymykając jedno oko, a potem nagle wolną dłoń zwinął w pięść i uderzył. Żarek syknął, jakby to jego zabolowało. Uciskając lekko miejsca pod uszami Głuptaka stary sprawdził, czy wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Zadowolony pokiwał głową. Podwiązał mu brodę chustą, wytarł kępkami trawy resztki krwi z jego policzków i odrzucił je za siebie. Otrzeptał ręce. Dwa kruki sfrunęły z gałęzi i bijąc skrzydłami, zaczęły walczyć ze sobą o pogniecione źdźbła.

- No to trzeba wydoić krowę. Albo kozę. Albo...

Żarek nie dokończył. Wydało mu się, że powietrze nagle się rozrzedziło,

jak w wysokich górach. Zakręciło mu się w głowie. Zobaczył wojów podnoszących się na nogi i zrozumiał, że to po prostu zapadła cisza.

- Zdechł? - Chyżonogi wspiał się na palce, próbując coś dojrzeć.

Jednouchy chwycił włócznię w obie dłonie i ruszył naprzód, trzymając ostrze skierowane ku ziemi. Żarek z Erykiem spojrzeli po sobie i pobiegli za nim. W miarę, jak się zbliżali, zwalniali kroku. Owczarz ciągle kręcił się przy Głuptaku, ledwo obrzucając ich niechętnym wzrokiem. Za nim, w rozkołysanej trawie, coś się poruszało. Widzieli tył miękkiej główki, słyszeli jakąś szamotaninę. Ale dopiero w chwili, kiedy szurając piętami zatrzymali się nad niemowlęciem, naprawdę zaczęli się bać.

- Mówiłem! - Eryk zlizął kropelkę potu wiszącą u górnej wargi. - Nie możecie pozwolić, żeby to dalej żyło.

Dziecko leżało na plecach, z pomarszczonymi rączkami rozrzuconymi na boki. Każda z piąstek zaciskała się na podgardlu kruka. Ptasie oczy już gasły, chociaż dzioby były jeszcze półotwarte. Jednouchy wysunął do przodu nogę i dotknął drżącym czubkiem stopy czoła niemowlęcia. Obejrzał się na Żarka.

- I co powiesz? To naprawdę nie wygląda za dobrze.

- A jak ma wyglądać? - Żarek starał się nadać głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie. - Przecież on nie jest tu po to, żebyśmy mieli kogo przewijać, ale po to, żeby nam pomóc. Zresztą przynajmniej jeden kłopot mamy z głowy.

- Jaki?

- Sam się nakarmi.

Patrzyli w milczeniu, jak dziecko dźwignęło rączkę i położyło sobie martwego ptaka na twarzy. Pod rozcapierzonymi skrzydłami zniknęła cała główka, nic więcej nie zobaczyli. Ale nie żalowali. To, co mogli usłyszeć, wystarczyło.

- Koniec tego wszystkiego! - Chyżonogi odwrócił się plecami do niemowlęcia i rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał zasłonić im widok. -

Nie zgodzę się na to, żebyście znowu splugawili ten kraj takim pomiotem, kiedy ledwo zaczyna odżywać! Dajcie mi miecz. Nóż. Chociaż kamień. Sam go ubiję, jeśli się boicie.

Niebo pociemniało. W głębi lasu, między drzewami zaczął skupiać się mroczny bezruch. Z chmur posypały się drobniutkie kawałeczki lodu. Osiadały ludziom na włosach i na rzęsach, szybko zamieniając się w kropelki wody i ściekając po policzkach jak łzy.

- Ani się obejrzysz, jak twoja pani napełni las wypierdkami Szatana! - Jednouchy musiał trochę ustąpić pod naporem Eryka. - Tyle że wtedy będzie już za późno, żeby z nią walczyć.

- Łzesz! Wymyślasz to wszystko przez zawiść, bo zostałeś wyrzutkiem między porządnymi ludźmi! Ale innym nie mieszaj w głowach. A zwłaszcza takim dzieciakom jak Żarek. Jesteście tylko zbieraniną bezdomnych psów i królowa może jednym pstryknięciem palców kazać powywieszać was na waszych własnych pasach. A ja będę na to patrzył, póki nie wyprężą wam się nogi i nie przestaniecie gryźć waszych kłamliwych, opuchniętych jęzorów!

Wokół jego pięt, jedno po drugim, spływały na ziemię czarne pióra. Lodowa kasza jednostajnie szumiała na nagich gałęziach. Jednouchy pokiwał głową, jakby zgadzał się z całą tą wściekłością wykrzychaną mu prosto w twarz. Wydymając policzki wypuścił z płuc powietrze, jak przed nieprzyjemną robotą, która musi być wykonana. Trącił łokciem Żarka, ale nie spuszczał przymrużonych oczu z Eryka.

- Jeśli miałeś co do niego jakieś złudzenia, to najwyższy czas je porzucić. Z niego nic już nie będzie. Gudrun omotała go swoją pajęczyną, że nawet nie piśnie przeciw niej. Nawet gdyby chciał. Zabijając go zrobimy mu przysługę. Bo teraz umrze jak człowiek, a za rok zgniłby za życia jak robak.

Za plecami Chyżonogiego od dłuższego czasu szeleściła trawa, ale nikt tego nie słyszał oprócz Żarka. Kiedy urwało się siorbanie i ostatnia ptasia łapka zakończona kitką z piórek odtoczyła się na bok, nieznacznie przesunął



się w prawo, żeby lepiej widzieć. Aż czknął zaskoczony, kiedy niemowlę przewróciło się na brzusek i uniosło ciężką główkę. Do czubka jego zadartego noska przylepiło się pióro i trzymało się tak przez chwilę, póki nie zdmuchnął go wiatr. Eryk z Jednouchym, zajęci sobą nawzajem, niczego nie zauważyli, a reszta wojów stała zbyt daleko.

- Żarek! - Jednouchy podniósł włócznię i oparł ostrze na piersi Eryka. —  
Mówię do ciebie!

Niemowlę podciągnęło pod siebie kolana i zaczęło pełznąć w stronę wystających z trawy łydek Chyżonogiego. Po brodzie kapała mu krew kruków. Kędziorki nad uszami podskakiwały wesoło. Żarek był pewien, że przedtem ich nie było.

- Nie... - odkaszlnął, chwycił Jednouchego za nadgarstek. - Nie zabijaj. Nie trzeba.

Dziecko parło naprzód, niezdarnie kołysząc się na rączkach. Kiedy uderzyło czołem w nogę Eryka, znowu podniosło głowę. Szeroko otworzyło usta i wtedy Żarek zobaczył, że ma już przednie ząbki.

- Jak to nie trzeba? - huknął Jednouchy. - Dlaczego?

Chyżonogi zawył i upadł na kolana. Ostre siekacze wbiły się w mięsień jego łydki, nie za głęboko, ale nieustępliwie.

- Dlatego - odpowiedział Żarek cicho.

Chyżonogi szarpnął nogą, zaskomlał z bólu, szarpnął znowu. Zdziwił się, że zwarcie szczęk niemowlaka może być takie silne, i ta zwłoka strawiona na podniesienie brwi kosztowała go życie. Małe paluszki wczepiły się w jakieś zielsko i nie puściły, a kiedy Eryk pochylił się, żeby zadusić dziecko, nagle zeszła z niego cała siła.

- Jad! - wychrypiał Jednouchy, cofając się w popłochu.

- To jest jadowite!

Oczy Eryka zamgłiły się. Udało mu się jeszcze raz unieść twarz, ale kiedy

Żarek złapał jego wzrok, nie było w nim już przytomności. Przewrócił się na bok, drgnął jeszcze kilka razy i znieruchomiał.

Przypomnieli sobie o owczarzu, kiedy roztrącając ich przepchał się do przodu i przyklęknął nad Chyżonogim. Przyglądał się długo, bez pośpiechu wydłubując sobie z uszu woskowe kuleczki.

- To cwaniak! A nam od tego wrzasku mało czaszki nie popękały! - Jednouchy sapnął. - Żeby go...

- Co to? - Żarek położył palec na wargach i zmarszczył brwi. Zamilkli, słuchali w napięciu.

- No żre! - Jednouchy machnął ręką.

- Nie, nie to! Coś jakby... Nie wiem.

Teraz usłyszeli. Brzmiało to tak, jakby ktoś nagiął do oporu gałązkę leszczyny, która trzeszczy, ale się nie poddaje. Głośno trzeszczy. Coraz głośniej.

Owczarz wytarł dłonie w koszulę na piersi i rzucił w ich kierunku kilka słów, patrząc na to miejsce w trawie, gdzie powinna być noga Eryka.

- Stary mówi, że to wzrost. - Jednouchy skubnął brodę.

- Co?

- Ten odgłos. Dziecko rośnie, i to tak szybko, że aż słyhać. Tfu! Czasami żałuję, że w ogóle się zadałem z wami, Południowcami.



Wiosna wezbrała z dnia na dzień, jakby aż dotąd siedziała przyczajona gdzieś w swoim mateczniku, czekając na odpowiednią chwilę. Słońce przygrzało, wyganiając z cienistych jarów resztki zszarzałego śniegu. Górskie potoki zaszumiały na kamieniach w niecierpliwym pędzie do morza, gubiąc własne łożyska i podmywając korzenie drzew. Bładziutka, wątła zieleń

wykluwała się z miękkiej ziemi tysiącem drżących łodyżek, a nad tym wszystkim wisiał furkot skrzydeł ptaków, które pod niebem napełnionym jasnością wykrzykiwały swoje szczęście.

Kiedy Żarek szedł przez wioskę do dworu, ludzie patrzyli na niego zza płotów, zaciskając dłonie na żerdkach. Ich twarze były nieruchome, skupione w oczekiwaniu. Odprowadzali go wzrokiem tak długo, póki nie wszedł na utopioną w słonecznym blasku pustą przestrzeń między chatami a dworem. Wtedy pospuszczali oczy.

Próg pod skrzypiącymi drzwiami wydawał się wyższy, kiedy zniknął śnieg. Po nagrzanym ścianach łaziły muchy, w gniazdku uwitym pod samym okapem wierciły się pisklęta. Tylko ciemność w szparze za drzwiami odpychała tak samo, jak dawniej. Cicha, zwarta i czujna.

Zatrzymał się. Dokoła niego spod zeszłorocznej trawy przezierały już nowe źdźbła. Bardzo chciał obejrzeć się za siebie, na wioskę, jeszcze choćby raz, ale bał się, że nie odnajdzie tam już niczyich oczu. A w chwilę potem było już za późno. Zawiasy pisnęły, przeszły przez długi zgrzyt i umilkły. Skażony słońcem mrok cofnął się do środka jak przestraszony ślimak. Gudrun przestąpiła próg, zbierając na zgiętym łokciu ciągnący się za nią płaszcz.

- Trudny z ciebie narzeczony. - Z jej głosu nie dało się poznać, czy się cieszy, czy nie. - Najpierw zastanawiasz się nad moimi oświadczeniami dłużej niż kmiot nad maciorą, a jak już przychodzisz, to bez zapowiedzi.

Żarek czuł, jak czerwienieją mu uszy. Patrzył w jej twarz i myślał o tym, jak to możliwe, że jest aż taka piękna. Była jak ciepłe tchnienie budzącej się wiosny. Jak zdrowie po długiej chorobie, jak śmiech po rozpaczach. Z każdym nowym uderzeniem gorącej krwi Żarek przetykał ślinę i gorączkowo szukał powodu, dla którego nie miałby paść jej do nóg.

Znalazł go, w ostatniej chwili. Jej równiutkie, białe zęby wychylały się zza wilgotnych warg. Nie zobaczył wąskiej czarnej szczyrby. A powinna tam

być.

- Chciałem posłać przodem Głuptaka, ale pewnie do połowy drogi zapomnieliby, o co chodzi. - Oddech Żarka był krótki, jak po biegu. - A Chyżonogi nie żyje.

Gudrun zamknęła oczy. Słońce prószło złotym pyłkiem na jej rzęsy, po czole przeskakiwały ruchliwe blaski. Kiedy powoli podniosła powieki, Żarkowi zrobiło się duszno. Jej oczy były zimne i nieruchome jak ślepie węża. Stała i patrzyła na niego. Albo przez niego. Albo w niego. Spijała wszystko to, co ciemnymi złogami leżało w jego głowie, a o czym nawet nie wiedział, że tam jest.

- Zmieniłeś się - wyszeptała.

- Wszystko się zmieniło. Ty. Ja. Wszystko.

Wytrzymał jej spojrzenie do samego końca, póki zielone obramowanie źrenic znowu nie nabrało takiej barwy, jak zawsze. Dopiero wtedy podszedł bliżej. Wyciągnął rękę i wierzchem dłoni potarł jej policzek. Drgnęła, ale nie odwróciła głowy. Uśmiechnęła się blado. Gdyby Żarek mógł przypomnieć sobie ten dzień, kiedy wygramolił się z górskiej kotlinki, ścigany rykiem zranionego diabła, a Gudrun pochylała się nad nim, ścierając mu kciukiem spod oczu łzy, poznałby ten uśmiech. Ale nie mógł. Nie pamiętał nic. Zrobił jeszcze jeden krok i objął ją w pasie, ale tym razem się uchyliła.

- Naprawdę się zmieniłeś! - Parsknęła śmiechem, chociaż płatki jej nosa rozdęły się jak u spłoszonej sarny. - Sama nie wiem, czy na lepsze. Ale nie zapominaj, że jestem królową. Ludzie na nas patrzą. Chodź!

Nogą odchyliła drzwi i weszła do dworu tyłem, pociągając go za sobą. Potknął się na progu, ale pozwolił się prowadzić w głąb izby. Im dalej od wejścia, tym robiło się jaśniej. Ławy były zarzucone skórami, na ścianach wisiała broń. Grzejące się przy ogniu psy zastrzygły uszami, ale nawet nie popodnosiły pysków złożonych na przednich łapach.

- Co tu tak pusto? - Żarek mówił trochę głośniejszym głosem niż trzeba.

- Nie miewam wielu gości, bo ich nie zapraszam. Przychodzą tylko ci, którzy muszą. Martwi cię to?

- Nie. - Ich dłonie się rozdzieliły. - Ale się dziwię. Nie umiałbym żyć w takiej ciszy. Prędzej czy później chyba bym oszalał.

- Nie jest tak źle. Jak już naprawdę muszę, to gadam do psów.

Obeszła rzeźbioną podporę i usiadła na ławie, na wilczej skórze. Zostawiła koło siebie wolne miejsce. Mało, ale Żarek wiedział, że to dla niego. Kiedy usiadł, była tak blisko, że czuł dotyk jej biodra. Położył rękę na jej karku i wsunął dłoń pod włosy. Wyprostowała się. Odwróciła do niego twarz, poczuł zapach jej oddechu. Był słodkawy, jakby tuż przed jego przyjściem piła wino.

- Co ty robisz? - zająknęła się, ale Żarek wiedział, że ciągle jest czujna. Nie odpowiedział. Pochylił się i pocałował ją leciutko, prawie samym musnięciem warg. Kiedy podniósł powieki, jej źrenice były tuż przed nim. Domyślił się, że ani na chwilę nie zamknęła oczu.

- Kiedyś to się musi stać - powiedział cicho. - Dlaczego nie tu i nie teraz?

- Nie jestem wiejską dziewczuchą o brudnych nogach, Żarek. Nie rób ze mnie głupiej. Mów, co knujesz.

- To, na co wygląda. - Potarł nosem jej ucho, a pod opuszkami palców na jej karku poczuł gęsią skórę. - Nic więcej.

- Może bym ci uwierzyła, gdybym nie wiedziała, jak trudno było cię tutaj ściągnąć. - Jej oddech parzył. - Oboje dobrze wiemy, czym cię przekonałam.

Wypuścił ją z ramion, ale nie odsunął się. Oparty plecami o ścianę zapatrzył się przed siebie, gdzie wzdłuż podpory wspinał się podświetlony ogniem dym.

- Musisz zrozumieć, że nie jesteśmy do siebie podobni.

Ty albo zwyciężasz, albo umierasz. A ja czasami się poddaję.

- A... ona?

Żarek widział kątem oka jej twarz. Była biała jak śnieg. Dym wznosił się coraz wyżej i wyżej, pod samym dachem rozsnuwając się w siwe kłęby.

- Byliśmy dziećmi. Myślałem, że jesteśmy dla siebie wszystkim, ale teraz wiem, że wcale tak nie było. Inaczej nie zapomniałbym o niej tak szybko. A potem? - Zmarszczył czoło, jakby chciał trafnie nazwać to, co czuł. - Miłość spala. Płonąłem, płonąłem i nic ze mnie nie zostało. Tylko popiół i dym.

- I co? Chcesz mnie przekonać, że teraz zapłoniesz dla mnie?

- Nie. Popiół się nie pali. Zresztą ty na to wcale nie czekasz, prawda? Nigdy nie czekałaś. - Żarek wyciągnął nogi do ognia i rozsiadł się wygodniej.

- Jestem już zmęczony. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Myślałem, że jak stąd odpłynę, to jeszcze wszystko będzie jak dawniej. Nie zdążyłem. Ona przypłynęła pierwsza. I co? I nic. Złajęła mnie jak psa, a ja przypłaszczyłem uszy. Patrzyłem na nią, słuchałem i z każdym jej słowem coraz lepiej rozumiałem, że nic już nie będzie jak dawniej. A ja chcę odpocząć. Muszę. I dlatego tu jestem.

Gudrun bardzo długo milczała. Wielki czerwony kamień w koronie co chwilę inaczej załamywał światło, kiedy w zamyśleniu ledwo dostrzegalnie kręciła głową.

- Wzruszające. Nawet jeśli to tylko kłamstwo. Jednego tylko nie rozumiem. Czemu, do cholery, zachowujesz się jak królik w rui?

Żarek mrugnął do niej i uśmiechnął się po raz pierwszy od bardzo dawna. Rozgarnął palcami włosy na jej czole i znowu ją pocałował. Nie przestawał, dopóki nie zamknęła oczu. Potem oderwał na chwilę wargi i mocniej objął ją pod łopatkami.

- Bo nie jestem z drewna. I ty też nie.

Wydawało mu się, że jej oczy znowu przyblakły. Ale trwało to na tyle krótko, że mogło być tylko odbłaskiem zwodniczej, pełgającej jasności.

- Z tobą jest coś nie tak. Jakbyś był obcy. Masz... Masz pustą głowę.

- Zaglądasz mi do głowy?

Uśmiechnęła się nieznacznym podniesieniem brwi.

- A pewnie. Lubię wiedzieć, na czym stoję.
- Nie jestem obcy.
- Nie masz marzeń. Nie masz wspomnień. Nie masz nic.
- Nie mam, bo nie chcę mieć.
- Ale...
- Ty też się zmieniłaś. - Nie pozwolił jej dokończyć, przygarnął ją mocniej.
- Na przykład o wiele za dużo gadasz.

Było cicho. Gwar wioski szemrał jak wartki górski potoczek. Kiedy Gudrun odłożyła koronę na ławę, stuknięcie ugrzęzło w obłokach dymu pod powałą. A potem znowu cisza.

## R O Z D Z I A Ł E ( X X X )

Dzień ślubu był słoneczny, ale rzeński. Od samego rana, ledwo tylko słońce ozłociło grzbiety wzgórz wokół dworu, do doliny zaczęli napływać ludzie. Szli milczącymi gromadami. Wspinali się od morza i ściekali z gór kamienistymi żlebami, jak czarne potoki. Wypełnili zieloną nieckę prawie po same brzegi, chociaż stali ciasno, głowa przy głowie. Miejscami ponad szarym ludzkim nalotem mrugało światłem ostrze włóczni. Woje z drużyny Gudrun tkwili w tłumie jak chore wypryski na skórze, a dokoła nich robiło się luźniej. Im bliżej dworu, tym więcej błysków zapalało się nad ciżbą. Przy samym wejściu woje stali półkolem, w dwa rzędy, z gołymi mieczami i wzrokiem rozbieganym po twarzach wieśniaków.

Kiedy Żarek wyszedł ze dworu, zostawiając za sobą ciepły półmrok, słońce wślizgnęło się już wysoko na niebo. Oślepiająca jasność jak płomień przelewała się po dolinie, przeskakując od włóczni do włóczni. Cisza. Tłum, bezruch i cisza.

- Po co kazałaś spędzać ludzi, jeśli się ich boisz? - Pod ciężkim królewskim płaszczem Żarkowi wilgotniały plecy.

- Muszą to widzieć. - Gudrun stanęła koło niego, sztywna i trochę blada. - Nie wystarczy im ogłosić, że od dzisiaj jesteś ich nowym królem. Każdy z nich musi to zobaczyć na własne oczy.

Ruszyła przed siebie, biorąc Żarka pod łokieć. Roztrącany drzewcami włóczni tłum rozstępował się przed nimi w popłochu.

Kościółek był maleńki, nie większy od rybackiej izby, ale jego ostry dach piał się wysoko w górę. Z daleka kusił żywicznym zapachem świeżo ściętego



drzewa. Jasnożółte, odarte z kory bale bardzo powoli oddawały nagromadzoną przez lata wilgoć.

- I jak? - Chociaż Gudrun zatrzymała się w pewnym oddaleniu od rzeźbionych drzwi, poranne słońce rzuciło jej cień prawie pod sam próg. - Śliczny, co? Zapędziłam do roboty najlepszych cieśli, jakich udało się znaleźć.

- Śliczny - pokiwał głową Żarek. - Tyle tu zdobień, że nie wiadomo, na czym zatrzymać oczy W środku pewnie jeszcze piękniej?

- Nie wiem. Jakoś nie miałam czasu, żeby zajrzeć.

Żeby wejść na wolną od ludzi przestrzeń przed kościołem, biskup Arnulf musiał przedrzeć się przez zaporę mieczy, tarcz i napierśników. Kiedy wreszcie stanął przed królową, zasapany i czerwony, wyglądał jak zmęczony życiem starzec, który zabłądził tam, gdzie nie powinien. Gudrun dała mu znak ręką, żeby zaczekał.

Żarek wiedział, po co tu przyszli. Nie były mu potrzebne żadne wyjaśnienia. Czuł, że każde jego słowo mogłoby teraz zakłuć Gudrun jak kolec. Ale ona się uparła, żeby niczego nie pozostawiać milczeniu. Naciągnęła na głowę kaptur czerwonego płaszcza, jakby chciała schować przed ludźmi oczy.

- Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek w życiu weszła do kościoła. Takie miejsca mi nie służą. Sam wiesz, widziałeś... A wtedy były tutaj tylko zgliszcza. - Odchrząknęła, założyła ramiona na piersi. — Teraz pewnie byłoby jeszcze gorzej.

- To po co go odbudowałaś?

- Musiałam jakoś uspokoić Arnulfa, bo chociaż niemowa, już zaczynał jątrzyć ludzi przeciwko mnie. A jeszcze nie jestem na tyle mocna, żeby mu... żeby go...

- No i dobrze. Będziemy mieli ślub jak się patrzy.

- To nie potrwa długo - mruknęła. - Ksiądz w zastępstwie Arnulfa powie

tylko tyle, ile trzeba. Ty kiwaj głową, to wystarczy. Jeśli pomimo mojego zakazu biskup spróbuje machać kropidłem, bądź tak dobry i zasłoń mnie. Nie lubię się moczyć.

Żarek milczał. Patrzył prosto przed siebie, ponad upierzonymi szyszakami, ponad ostrzami włóczni, na wzgórze. Gudrun pstryknęła mu palcami przed nosem.

- Co jest? Za późno na rozmyślania. Spróbuj chociaż się uśmiechnąć, tak dla przyzwoitości.

Pokazał zęby, ale to nie był uśmiech, na jaki czekała. Zmarszczyła brwi.

- Chodź! - syknęła mu niespodziewanie w ucho. - Biskup nie ucieknie. Chcę, żebyś najpierw coś zobaczył.

Obeszli kościół szerokim zakolem. Gudrun cały czas patrzyła na jasne ściany, jakby pilnowała, żeby nawet ich nie liznąć własnym cieniem. Za czarnymi szczelinami wąskich okien było całkiem cicho.

- A jaką wymyślisz dla mnie karę? - Żarek szedł za nią, złamany dziób jej kaptura chwiało mu się przed twarzą. Wyprostowała się lekko, ale nie przystanąła.

- A co? Masz coś na sumieniu, o czym jeszcze nie wiem?

- Kiedy po raz ostatni byliśmy tutaj razem, nie rozstaliśmy się w zgodzie.

- Powiedzmy, że mieliśmy burzliwe narzeczeństwo. Ludzka rzecz. Dla mnie o wiele ważniejsze jest to, co zrobisz teraz.

Po drugiej stronie kościoła nie było ludzi. Leżał tu tak głęboki cień, że przez długą chwilę oczy musiały przyzwyczajać się do ciemności. Żarek roztarł powieki pięściami. Poczował zapach mokrej zwierzęcej sierści.

Boruta wyglądał jak zbity, zagłodzony pies. Był przykuty tak samo, jak poprzednio, z żelazną obręczą na szyi i grubym łańcuchem oblepionym odchodami, nad którym brzęczały tłuste muchy. Ledwie przypominał siebie samego. Siedział skulony, obejmując ramionami chude golenie, i patrzył tępo

na swoje stopy. Wróble obsiadały jego rogi i pstrzyły mu uszy białymi cętkami. Przygaszona czerwień jego ślepi utraciła dawny żar. Nie poruszył się na widok Żarka. Był w stanie, który przestawał już budzić litość. Zostawała tylko odraza.

- Przedtem kazałam go uwięzić przed kościołem, przy wejściu, żeby ludzie mogli na niego pluć, a dzieciaki rzucać kamieniami. - Gudrun bardzo uważnie przyglądała się twarzy Żarka. - I wiesz co? Pluli, ale tylko na początku. Szybko przestali. Potem nawet zaczęli znosić mu żarcie. Myślę, że to biskup ich podbechtał.

W skąpym świetle nie dało się dostrzec, czy policzki Żarka pobladły. Ale oddech miał równy, głos mu się nie łamał.

- To byłby pierwszy na świecie biskup, który chroni diabła - wzruszył ramionami. Gudrun ciągle na niego patrzyła.

- A może dla Arnulfa gorsza od diabła jestem ja?

- Może.

- A ty?

- Co ja?

- Kogo wolisz? Mnie czy jego?

Powoli odwrócił do niej głowę. W jej oczach było napięcie i niepewność, ale bardzo łatwo mógł rozognić się w nich gniew.

- Czy to jest jakaś próba?

- Nie mądrz się, tylko odpowiadaj.

Dawniej zatrząśłyby mu się ręce i krew uderzyłaby mu do głowy. Ale nie teraz. Uśmiechnął się, kładąc dłonie na biodrach.

- Pewnie, że ciebie. Przecież przyszedłem.

- Dobra! - Zieleń jej oczu przelewała się wokół czarnych rdzeni źrenic zimnymi błyskami. - Przekonaj mnie o tym.

Szybkim ruchem sięgnął do jej pasa i chwycił za nóż. Drgnęła, jakby

chciała mu przeszkodzić, ale nie zrobiła nic więcej. Ostrożnie wysunął nóż z pochwy i przytrzymał go przez chwilę, z ostrzem blisko jej brzucha. Wstrzymała oddech. Chyba na to właśnie czekał, bo znowu się uśmiechnął. Zwrócił oczy na Borutę.

- A teraz patrz dobrze, moja narzeczono.

Ruszył bez wahania, pewnym krokiem. Płosząc wróble, diabeł wyprostował kark. Spojrzał na Żarka spod opuszczonych powiek. Łańcuch brzęknął, rój much rozbzykał się wzlatując ponad smugę cienia.

- Uważaj! On ciągle jest mocny! - Zmieniony głos Gudrun tylko pobudził Żarka do biegu.

Boruta podniósł się na nogi i wyprostował sparszywiałe plecy. Jego rogi zaświeciły w pełnym słońcu. Wywinął wargi i obnażył kły. Żarek jeszcze przyspieszył bieg, skupiony tylko na tym, żeby odbić się od ziemi w odpowiednim miejscu i od razu dosięgnąć gardła Boruty. Sprężył się i tuż przed skokiem skrócił krok.

Nie skoczył. Zderzył się z czymś, co nagle przed nim wyrosło, i ogłuszony upadł na trawę. Długo trwało, zanim niebo i ziemia przestały się kręcić i z powrotem zajęły właściwe miejsca. W głowie mu huczało. Bezwiednie dotknął językiem przednich zębów i poczuł, że wszystkie się chwieją. To go otrzeźwiło. Dźwignął się przyciskając dłońmi skronie i rozejrzał się wokół siebie.

Boruta wciąż jeszcze stał na przygiętych nogach, napinając za sobą łańcuch, ale pazury na końcach jego palców już zaczynały się cofać. Między Żarkiem a diabłem, zwinięta w kłębek jak dziecko, leżała matka Gudrun. Twarz miała schowaną w zgięciu ramienia, a jej jasne włosy rozpełzły się między puszystymi główkami dmuchawców.

- Musiała zabiec mi drogę, bo jej nie widziałem!

Żarek krzywiąc się obmacywał swoje obolałe żebra. Ludzie wychylali zza rogu kościoła przestraszone twarze, gdzieś tam błysnęło łyse czoło Arnulfa,

ale wystarczyło zniecierpliwione spojrzenie Gudrun, żeby głowy poznikały.

- Pewnie znowu się spała, jak zwykle. - Gudrun podeszła do Żarka, rozgarnęła stopą wysoką trawę i podniosła swój nóż. Nie wsadziła go od razu za pas, tylko przez chwilę obracała go w palcach, jakby zastanawiała się nad czymś.

Żarek wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

- Jeśli dalej mi nie dowierzasz, daj nóż. Dokończymy próbę.

Gudrun spojrzała na Borutę. Stał mocno pochylony, z luźno zwieszającymi się ramionami, jak strach na wróble przy bezwietrznej pogodzie.

- Nie trzeba. Już po próbie. Dowiedziałam się tego, czego chciałam.

Kiedy odchodzili, stara królowa podniosła głowę i patrzyła za nimi, póki nie zniknęli za rogiem.



Tutaj, wysoko w górach, zima ciągle się nie poddawała. Z dnia na dzień słońce piekło coraz mocniej, ale wygładzony wiatrem śnieg zalegający zbocza jeszcze nawet nie zaczynał topnieć. Umoszczone pod szczytami lodowce płonęły żywym ogniem, rażąc oczy, kiedy zatrzymywało się na nich dłużej wzrok. Ale z tyłu, prawie na wyciągnięcie ręki, ciepłym oparem kopciły wyściełane zielenią doliny. Wystarczyło się obejrzeć, żeby nabrać ducha do dalszej wspinaczki.

- Naprawdę przeniosłeś ją tędy na plecach? Wierzyć się nie chce! - Jednouchy stawiał bardzo szeroko nogi na zlodowaciałej pochyłości. - Mnie zatyka co kilka kroków, chociaż nic nie dźwigam.

- Była lekka. - Żarek szedł ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie, jakby gdzieś między porozrzucanymi głazami dostrzegał już kres wędrówki.

- Lekka, nie lekka, ale ja i tak nie rozumiem, jak mogła cię do tego zmusić.

Gdybyś ją tutaj wtedy zostawił, wiele rzeczy potoczyłoby się inaczej.

Żarek zatrzymał się i podniósł głowę. Długo patrzył na wznoszące się przed nimi skalne usypisko.

- Nie zmuszała mnie - odezwał się wreszcie. - A gdybym ją zostawił, ty do dzisiaj siedziałbyś na tyłku, gapiąc się ciągle na to samo drzewo. Aż wreszcie zeżarłyby cię wilki.

- Ech, bo tak to się wszystko naplotło, że coraz trudniej znaleźć jakąś prostą ścieżkę. Zawsze tak się dzieje, kiedy w ludzkie sprawy wdaje się Zły. No, chodźmy dalej.

Pod kamiennym nawisem, w głębokim cieniu, coś się poruszyło. Żarek głośno wypuścił powietrze.

- Doszliśmy.

Miecz Jednouchego płynnie wysunął się z pochwy i zatoczył łuk. Znieruchomiał, wskazując czubkiem skałę. Pierwszy z górali, który postawił nogę na śniegu, zawahał się patrząc spod płaskiego czoła. Mruknął coś za siebie, w mrok, i powoli wylazł z niszy. Zza jego pleców pokazały się głowy następnych.

- To tutaj? - Miecz obwisł. - Udało im się przezimować w takiej norze? Chryste! Zaczynam ich doceniać. A co jedli?

- Jakoś sobie poradzili.

Żarek rzucił szybkie spojrzenie w bok, gdzie powinien być dół. Nie zauważył, żeby coś sterczało ponad jego krawędzią. Nieznacznie odetchnął i znowu wpatrzył się w twarze górali. Z odległości kilkunastu kroków prawie się od siebie nie różnili. Te same cofnięte, blisko osadzone oczy, wychudzone policzki i zadarte nosy.

Powiał wietrzyk, stępując ostre grzbiety zasp, a oni zachwiali się, jakby to była wichura.

- Ledwo stoją na nogach! Nędza, żal patrzeć. - Jednouchy schował miecz

do pochwy. - A poza tym widzę tu tylko samych starców i trochę dzieci.

Jeden z górali odłączył się od reszty i zaczął iść w ich stronę. Był niski, prawie karzeł. Postrzępiony kozuch świecił łysinami łat. Kości policzkowe górala odstawały tak szeroko, że przez to cała głowa wydawała się spłaszczona. Idąc, patrzył tylko na Żarka i zatrzymał się dopiero tuż przed nim, twarzą w twarz. Wspiął się na palce, objął ramionami jego szyję i potarł wargami i nosem jego policzek. Jednouchy z obrzydzenia zachłysnął się własnym oddechem.

- Co to ma być?

- Nic. - Żarek stał sztywno, z rękami przyciśniętymi do tułowia. — Tylko się witamy.

Jednouchy zatupał spłoszony, niby w miejscu, ale tak naprawdę odsunął się pół kroku w bok.

- Nie wiedziałem, że masz takie... skłonności.

- Wiem, że trudno ci będzie uwierzyć, ale to jest dziewczyna. - Żarek sięgnął obiema rękami za siebie i rozplątał palce górala zaciśnięte na swoim karku.

- Masz rację, trudno. - Jednouchy przestał przebierać niespokojnie nogami i zmarszczył brwi. - Czy to ta, której szukamy?

- Ta sama.

- Uf! Wprawdzie nigdy nie twierdziłeś, że będzie piękna, ale mogłeś mnie chociaż uprzedzić, że wygląda jak troll. Czy ty z nią?... - Zrobił w powietrzu nieokreślony ruch ręką.

- Nie! Tylko wypiliśmy razem trochę wódki.

Północnik znowu był o krok dalej.

- Tej wódki, o której myślę? - Dotknął swoich długich włosów w miejscu, gdzie dawniej było ucho.

- Tak. To znaczy nie! Zresztą pogadamy o tym kiedy indziej. Ona chce coś

powiedzieć.

Głos góralki był słaby, jakby przygaszony chorobą. Pokazała krótkim, grubym paluchem śnieg za plecami Żarka, gdzie z doliny wspiwały się dwie bruzdy śladów. Ludzie stojący pod skałą nagle zaszemrali jak potok na kamieniach. Jednouchy słuchał uważnie, pochylając w jej stronę głowę.

- To jakaś wilkołacka mowa, ale da się zrozumieć. Ona pyta, gdzie są ich chłopcy.

Żarek nie opuścił wzroku. Wiedział od początku, że nie będzie łatwo, i przygotował się na to. Jego twarz pozostała nieruchoma, choć na plecach skropił się pot. Ale tego góralka nie mogła zobaczyć.

- Powiedz jej, że idą za nami. Zostali z tyłu, bo dźwigają bogate łupy.

Jednouchy zbladł.

- Przecież oni wszyscy poginęli pod śniegiem. Co ty wyprawiasz?

- Powiedz.

Powtórzył w pośpiechu, łykając końcówki słów, a potem przykucnął, w obu dłoniach podniósł pryzmę śniegu i wtarł ją sobie w twarz. Góralka przez ramię wykrzyczała nowinę, a wtedy w ludzi nagle wstąpiło życie. Szczęrzyli do siebie chwiejące się w rozmiękłych dziąsłach zęby, poklepywali się nawzajem po plecach i po głowach, a ich śmiech niósł się wysoko ponad skały jak skarga bitego osła.

- Za długo wałęsałeś się z Gudrun! - Jednouchy pokręcił głową. - Nie myślałem, że jesteś zdolny do takich rzeczy. Czego jeszcze cię nauczyła?

- Tego, że do pokonania Zła najpierw trzeba samemu trochę zdiabnąć.

Góralka przytuliła się do Żarka i oparła głowę na jego ramieniu. Miał wrażenie, że jej lepkie włosy ciągle się poruszają, chociaż wiatr już ucichł. Kiedy się odezwała, zaczął oddychać przez usta.

- Pyta, czy powróciłeś do niej na zawsze. - Jednouchy znajdował przyjemność w tłumaczeniu tych słów i wcale tego nie ukrywał.



- Powiedz, że tak. Ale najpierw musi nam pomóc.

Góralka podniosła twarz. Po raz pierwszy Żarek dostrzegł, że w jej małych oczkach jest więcej rozumu, niż mu się dotąd wydawało.

- Powiedz, że chcemy, żeby nas zaprowadziła do czarnej kotlinki.

Poczuł, jak góralka najpierw tężeje, a potem powoli odsuwa się od niego. Teraz jej oczy prawie zniknęły w dwóch szczelinach między fałdami skóry.

- Mówi, że już tam byłś. Możesz trafić sam.

- Nie mogę. Byłem wtedy półprzytomny ze strachu i prawie nic nie pamiętam. Jeśli nas nie poprowadzi, na pewno się zgubimy i zamrzniemy.

- Ona pyta, co tam chcesz znaleźć, w tej dziurze do piekła. - Jednouchy przydreptał bliżej, nie wstając z przysiadu, i dodał ciszej: - Myślę, że ona coś wie. Pewnie dużo widziała, a jeszcze więcej się domyśla. Obcy ludzie nie mogli przecież przemknąć tędy niezauważeni. Uważaj, żebyś nie pobłądził w swoich kłamstwach, bo wcale nie jesteś w tym taki dobry, jak ci się wydaje.

Żarek sięgnął za pazuchę i wyciągnął przed siebie rękę, trzymając coś w zaciśniętej pięści. Kiedy rozchylił palce, na jego dłoni leżało zasuszone skrzydło motyla. Góralce zadrżały grube wargi.

- Widzisz? Ciągle go mam. Nigdy się z nim nie rozstawałem. - Mówił teraz prosto do niej, nie dbając o to, czy Jednouchy nadaża z tłumaczeniem. - Musisz mi uwierzyć. Wrócę i nigdy więcej już cię nie zostawię. Zamieszkamy sobie w jakiejś cichej dolince, nad szmerzącym strumieniem, i machniemy ręką na cały świat. Ty mnie nauczysz swojego języka, a ja cię nauczę, że czasem trzeba się umyć. No?

Łzy musiały żłobić sobie w brudzie zakola, żeby opłynąć jej wystające policzki. Góralka siorbnęła głośno nosem i pokiwała głową. Żarek położył ręce na jej ramionach, zamknął oczy i pochylił się. Miał nadzieję, że udało mu się przytrzymać wargi na jej czole tak długo, jak powinien.

- Wiesz co? - Głos Jednouchego był dziwnie gardłowy.

- Myślałem, że jak już będziemy mieli to wszystko za sobą, to siądziemy sobie gdzieś przy piwie i pogadamy jak przyjaciele. Ale już tak nie myślę. Nie piję z draniami.

Góralka poprawiła kożuch, rozmasała łyzy wierzchem dłoni i poszła przez głęboki śnieg w poprzek zbocza. Po kilkunastu krokach obejrzała się i przynagliła ich niecierpliwym ruchem ręki, coś wołając. Ruszyli za nią równocześnie, nie patrząc na siebie.

- Ona pyta, który z nas będzie schodził do piekła, ja czy ty - burknął Północnik.

- Żaden.

Żarek wsadził do ust dwa palce i gwizdnął. Przenikliwy dźwięk rozlał się po zboczu i ześlizgnął w dół, budząc cichnący pogłos. Kiedy przebrzmiał, na śniegu zadudniły kopyta.



Od dnia wesela Gudrun zaczęła się dziwnie zachowywać. Gdyby Żarek potrafił ocenić, jak bardzo się zmieniła, być może stałby się bardziej ostrożny. Nie chodziło o to, że noc poślubną spędzili osobno, pod przeciwległymi ścianami izby, a potem wszystkie kolejne noce tak samo. Moźni z rady szybko się w tym połapali i zaczęli nawet mruczeć po kątach, że co to za małżeństwo, ale wreszcie uznali, że między młodymi czasem tak bywa i z biegiem dni na pewno wszystko samo się dotrze. Sedno zmiany nie leżało też w tym, że ostatnio Gudrun częściej rozmawiała z matką. Pogwarzały sobie na boku cicho, z długimi przerwami na jakieś dziwne zamyślenia, a kiedy ktoś im przeszkadzał, Gudrun wpadała we wściekłość i ciskała na oślep tym, co jej wpadło pod rękę. No, ale to też ludzie umieli sobie wytłumaczyć. Młode mężatki często przecież szukają u matek wsparcia i pomocy, bo żadna nie rodzi się z wiedzą, jak sobie radzić z chłopem.

Ale kiedy uciekł Boruta, wszyscy zrozumieli, że z królową naprawdę dzieje się coś niezwykłego.

Zawiadomiono ją bez zwłoki. Zanim przyszła za kościół, młody mniszyna, któremu biskup zlecił pieczę nad diabłem, zdążył się wypowiedzieć i pogodzić z myślą o czekającej go szubienicy. W milczeniu, pochylając głowę, podał Gudrun przepiłowane ogniwo łańcucha.

- Tak myślałam - krzywo uniosła jeden kącik ust. - Sprzysiężenie miłośników czortów nie próżnuje.

I tyle. Każdy, kto przy tym był, otworzył ze zdumienia usta, a mniszyna jeszcze długo potem stał nad łańcuchem, kręcąc głową i pieśczośliwie dotykając opuszkami palców swojej długiej szyi.

Wreszcie nadszedł ten ranek, na który Żarek oczekiwał. Wstał chłodny i trochę mglisty. We wiosce chrypiał stary kogut, ale poza tym było cicho. Żarek wygramolił się spod skór na ławie, przeszedł przez izbę i cicho zbliżył się do Gudrun. Wyciągnął rękę, ale zanim zdążył dotknąć jej ramienia, otworzyła oczy. Wzrok miała przytomny i czujny, jakby w ogóle nie spała.

- Znalazłem w lesie niedaleko stąd dobre miejsce, gdzie można postrzelać do zajęcy. - Źle zrobił, że nie zaczął najpierw mówić o czymś obojętnym, ale było już za późno. - Chcę cię tam zabrać. Dobrze ci zrobi, jak się wyrwiesz ze dworu.

Zgodziła się od razu. W milczeniu przytaknęła samymi oczami, o nic nie pytając. Żarek myślał z troską, jak pozbyć się dwóch szerokobarych płaskonosych, którzy łazili za nią krok w krok, kiedy tylko opuszczała dwór, ale okazało się, że tym też niepotrzebnie się martwił. Zaraz za progiem odprawiła ich jednym ruchem dłoni i ruszyła przodem, jakby to ona знаła drogę, a nie Żarek.

Póki nie dotarli na miejsce, nie zamienili ani słowa. Gudrun szła z uniesioną głową i wzrokiem nieruchomo utkwionym przed siebie, a Żarek niespokojnie dreptał koło niej, opędzając się od leśnych muszek. Dopiero

teraz, prawie u celu, zaczął mieć wątpliwości. Wszystko toczyło się jakoś za gładko, a to mogło oznaczać, że poczucie panowania nad wydarzeniami jest tylko pozorne.

Jednouchy był tam, gdzie powinien. Stał oparty plecami o pień drzewa i wcale nie próbował się ukrywać, tak że mogli go dostrzec z daleka. Gudrun tylko nieznacznie poruszyła brwiami, nawet na chwilę nie zmyliwszy kroku. Podeszła całkiem blisko, wsunęła dłonie za pas i stanęła w lekkim rozkroku.

- Poznaję cię. - Zmrużyła jedno oko. - Służyłeś mojemu ojcu, a potem go zdradziłeś.

Jej spokojna pewność siebie musiała na nim zrobić wrażenie, jednak zdołał to ukryć.

- Oboje go zdradziliśmy, ty i ja. I oboje postąpiliśmy słusznie. Teraz ważne jest to, co stało się potem.

Gudrun wspięła się na palce i przesunęła wzrokiem po krzewach za jego plecami. W uśmiechu, który na chwilę rozjaśnił jej twarz, była kpina.

- A gdzie reszta przysiężenia?

Jednouchy oderwał plecy od pnia i wysunął miecz z pochwy do połowy ostrza. Kilkakrotnie przebiegł oczami od Żarka do Gudrun i z powrotem.

- Wygadałeś się przed nią? - warknął.

Zanim Żarek zdążył zebrać myśli, Gudrun położyła mu rękę na ramieniu i lekko odsunęła go od siebie.

- Daj mu spokój. - Uśmiech wciąż igrał w jej oczach.

- Zrobił, co mógł. I tak bardzo długo udawało mu się mnie zwodzić. Może nawet oszukałby mnie do samego końca... gdyby tylko był Żarkiem.

Miecz Jednouchego z cichym szelestem zniknął w pochwie. Twarz mu się wydłużyła, rozłożył ręce.

- No to kto zdradził?

- Nikt nie musiał. Boruta go obwarczał, a ja jestem na tyle rozsądna, żeby

w takich sprawach polegać na diable. Ale to było pomysłowe, doceniam. Czuję w tym rękę Lubichy. Nie myślę się?

- Nie mylisz się. Chociaż z twoim rozsądkiem nie wszystko jest w porządku, jeśli o tym wiedziałaś, a pomimo to dałaś się tutaj przyprowadzić.

Wsadził do ust dwa palce i gwizdnął. Gudrun powoli rozejrzała się na boki i za siebie, jakby chciała dokładnie ocenić liczbę strzał, które powysuwały się w jej stronę z krzaków.

- Twoje królowanie tutaj się kończy - powiedział Jednouchy. - Stąd nie ma ucieczki.

Gudrun zbyła go wzruszeniem ramion. Wychyliła się na bok i znowu wpatrzyła się w gęstwinę za Jednouchym.

- Żarek? - zawołała. - Wyjdź wreszcie, bo twój przyjaciel zaczyna być niemiły.

Nie poruszył się ani jeden listek. Na policzki Gudrun wypłynął rumieniec, tupnęła nogą w miękkiej ściółce.

- Jeśli natychmiast nie wyjdiesz i nie spojrzysz mi w oczy, będę cię miała za tchórza.

Kiedy, otrzepując z włosów kawałki połamanych gałązek, Żarek stanął obok Jednouchego, Gudrun pokiwała głową i wciągnęła powietrze przez zęby.

- No i co, złodzieju serc naiwnych dziewczyc? Dzięki ci choć za to, że przysłałeś zastępstwo do ślubu, bo byłby wstyd na cały kraj.

- Daruj sobie! - Tak jak chciała, podniósł na nią oczy, ale szybko je opuścił. - Jednouchy mówi prawdę. Musisz oddać koronę.

Gudrun zbliżyła rękę do czoła i paznokciem postukała w złotą obręcz. Wydawało się, że ten cichy odgłos na chwilę przytłumił szum lasu. A potem niespodziewanie zdjęła koronę z głowy i wyciągnęła ją oburącz przed siebie.

- Podoba się wam? No to bierzcie!

Żarek z Jednouchym równocześnie cofnęli się o krok. Nawet drugi Żarek, w królewskim płaszczu, niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Daję wam ją! - Oczy Gudrun błyszczały, a uwolnione z obręczy włosy rozsypały się po jej plecach. - Bierzcie!

Ruszyła w ich stronę. Rozbiegli się w przeciwnych kierunkach.

- Hej, zajaczki! - Teraz szydziła już na cały głos, krztusząc się śmiechem. - Nie uciekajcie! Bierzcie, bierzcie!

- Wystarczy. Ja ją wezmę.

Rudawka wysunęła się zza tego samego krzaka, skąd przedtem wyszedł Żarek. Jej oczy były wielkie, policzki płaskie, a nos wyostrzony. Widać było po niej, że przez dłuższy czas głodowała.

- Po prostu mi ją oddaj i skończmy z tym - powiedziała cicho. - Nie masz wyboru.

- A! Siostrzyczka! - Gudrun powiesiła sobie koronę na jednym palcu, jak na haku. - Od razu zrobiło się milej. Rodzinnie. Ale nie mogę się z tobą zgodzić. Zawsze jest jakiś wybór. Mogłabym na przykład wbić ci kciuki w oczy, a żaden z zajaczków nie zdążyłby nawet pisnąć. Umiem to robić, uwierz mi.

Palce Północników na cięciwach łuków posiniały, a groty strzał zaczęły drżeć. Rudawka podeszła jeszcze bliżej.

- Daj mi koronę, Ździebeczko.

Słońce schowało się za chmurami, ale kamienie na obręczy nie przestawały się mienić.

- A jeśli odmówię?

- Oni cię zabiją. - Rudawce odpłynęła z twarzy cała krew. - To nie jest żadna gra. Naprawdę zginiesz.

- Nie wątpię. Tylko co to zmieni?

Rudawka wyglądała tak, jakby z każdą chwilą ubywało jej sił. Szeroko

otworzyła oczy, rozchyliła wargi, ale nic nie mówiła. Korona na palcu Gudrun zachwiała się, rzucając na pnie drzew zmienne blaski.

- Czyste serce, siostrze. - Głos Gudrun brzmiał tak, jakby oddalała się od nich. - Pamiętasz? Potrzebne jest czyste serce. Inaczej jedną królową zastąpi inna, ale władza wciąż pozostanie w tych samych rękach.

Coś się z nią działo. Rysy jej twarzy ciągle były te same, ale poprzednia uroda zniknęła starta jakimś dziwnym, odpychającym skurczem. Rudawka wyciągnęła przed siebie ręce, jakby chciała się przed nią zasłonić.

- Mam wybór...

Gudrun chyba chciała powiedzieć coś więcej, ale już jej się to nie udało. Zamiast słów w jej gardle rodził się tylko urywany świst. Wyprostowała zagięty palec, a wtedy korona zsunęła się i upadła u jej stóp. Schyliła się od razu, drapieźnie, ale jej nie podniosła. Zacisnęła dłonie w pięści i pokracznie pochylona, z włosami prawie dotykającymi ziemi, zaczęła się cofać. Po kilku nieporadnych krokach zachwiała się i z ramionami rozrzuconymi na boki upadła na plecy, bezwładnie jak kłoc.

- Podnieś to, Rudawka.

Słowa Jednouchego zabrzmiały prawie świętokradczo, jak coś, co w tym miejscu i w tym czasie nie powinno być wypowiedziane. Ale za to podziałało jak chluśnięcie zimnej wody na rozgorączkowane głowy. Woje pozdejmowali strzały z cięciw. Rudawka podbiegła do korony i przykucnęła. Wydawało się, że różnobarwne kamienie nie świecą już tak ładnie, jak przedtem. Założyła włosy za uszy, zmarszczyła brwi. Podniosła koronę i bez wahania wsadziła ją sobie na głowę. Wstała, odwróciła się do Jednouchego i przez jakiś czas łapała oddech otwartymi ustami, jak ktoś, kto właśnie wynurzył się z głębin.

- To koniec - powiedziała tak mało zdecydowanie, że zabrzmiało to niemal jak pytanie.

- Nie, dziecko. To dopiero połowa drogi.

Nikt nie wiedział, jak długo stara królowa stała w cieniu lasu. Może od samego początku. Weszła w szarzyznę wyblakłego dnia i powiodła wzrokiem po ich twarzach. Dłużej patrzyła na nieruchome ciało Gudrun i wtedy było widać, jak drży jej podbródek.

- Nie powinnaś tutaj przychodzić, pani. - Jednouchy w zakłopotaniu podrapał się pod pachą. - Taki widok nie może być przyjemny dla matki. Ale ona dojdzie do siebie.

Królowa zwróciła na niego zielone oczy. Wzruszyła lekko ramionami, ale na tyle wyraźnie, żeby mógł to dostrzec.

- Czy myślisz, że Gudrun zrobiłaby to, co zrobiła, gdybym jej do tego nie przekonała?

Jednouchy przez chwilę trzepotał rzęsami.

- Ale... czemu?

- Właśnie dlatego, że jestem matką. Nie zapominaj, że ja już przez to przechodziłam. Wtedy nie umiałam walczyć, póki nie było za późno. Ale drugi raz nie popełnię takiego samego błędu.

Bez pośpiechu przeniosła wzrok z Jednouchego na Rudawkę. Korona na jej głowie wydawała się o wiele za duża i za ciężka, usztywniając szyję i całe plecy.

- Teraz ty panujesz nad krajami Północy, dziecko - powiedziała łagodnie. - Ty postanowisz.

Żeby obejrzeć się na Żarka, Rudawka musiała obrócić cały tułów. Nie znalazła w jego spojrzeniu takiego wsparcia, jakiego potrzebowała.

- Co postanowić?

- O losie twojej siostry.

Skinęła głową, a obręcz korony tym razem nie zsunęła się na czoło. Chyba pasowała lepiej, niż się z początku zdawało.

- Dwie księżniczki do jednego tronu to za dużo. Sama tak powiedziała. - W



zamyśleniu nawinęła na palec kosmyk włosów.

- Ja pytam o to, co ty myślisz.

- Nie wiem! - skrzywiła się zniecierpliwiona Rudawka. - Muszę się tym zajmować teraz? Czy o mnie też tak dopytywałaś, kiedy mnie wlekli do tej diabelskiej dziury?

- To ja uwolniłam Borutę z łańcucha, żeby cię stamtąd wyciągnął.

- A więc dobrze! Zabieraj ją i idźcie sobie, gdzie chcecie. Byle daleko.

Królowa ani drgnęła. Stała i patrzyła, jakby ciągle jeszcze na coś czekała. Rudawka położyła ręce na biodrach i podniosła brodę. Pięknie było jej w koronie. Coraz piękniej.

- No? - rzuciła ostro. - Nie słyszysz?

- A Gniotek? - To był głos Żarka.

Rudawka zakręciła się na pięcie. Jej policzki znowu zrobiły się białe, prawie przezroczyste.

- Skąd wiesz o Gniotku? Głuptak się wygadał?

Żarek był jedyny, poza matką Gudrun, który nie musiał odwracać wzroku przed blaskiem korony.

- Co z nim? - powtórzył twardo.

- Każę go sprowadzić.

- I myślisz, że Lubicha ci go tak po prostu odda?

- A czemu nie?

- Bo jesteś w mocy Złego.

Rudawka wyprostowała się jeszcze bardziej i zaplotła ramiona na piersi.

- Po czyjej ty właściwie jesteś stronie, Żarek?

- Zawsze po tej samej.

Podciągnął portki, zapiał pas o jedną dziurkę dalej i ruszył w bok, między drzewa. Nie szukał ścieżki, ale szedł na przełaj, przez krzaki, byle szybciej.

Rudawka patrzyła za nim na poły zdziwiona, na poły przestraszona.

- Gdzie idziesz? — zawołała.

- Do domu.

Gałęzie, które zbiegły się za jego plecami, pokiwały się jeszcze trochę, a potem znieruchomiały.

To, co stało się potem, wyglądało całkiem zwyczajnie. Jeśli gdzieś w sercu Rudawki starły się dwie przeciwstawne moce, na jej twarzy nie odbił się żaden ślad tych zmagañ. Jednouchy, kręcąc głową, mruczał między wąsami najplugawsze przekleństwa, jakie potrafił wymyślić. Żarek w czerwonym płaszczu naciągnął kaptur głęboko na oczy i starał się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Tylko matka Gudrun nie przestawała łowić wzrokiem oczu Rudawki. Kiedy je znalazła, poruszyła wargami.

- Czyste serce.

Gudrun jęknęła. Z trudem usiadła i rozgarnęła włosy na twarzy. Kiedy zobaczyła, że Rudawka idzie w jej stronę, zacisnęła usta. Wstrzymała oddech na tak długo, póki się wszystko nie dokonało. Rudawka przykucnęła, zdjęła koronę i mrużąc oczy przed blaskiem, nałożyła ją na głowę Gudrun.

Kiedy Zły odchodził, nie wydarzyło się nic, co można by potem nazwać i opisać. Ale nikt, kto przy tym był, nie miał wątpliwości, że stało się to właśnie teraz. Jakby ktoś jednym pociągnięciem wilgotnej ścierki zmył warstwę kurzu z błękitu nieba, z lasu, z twarzy ludzi. Wreszcie mogli oddychać czystym powietrzem i snuć swoje prawdziwe, nie zatrute myśli.

Matka pomogła Gudrun wstać. W ostatniej chwili podtrzymała koronę, która zsunęła się jej na kark.

- Trzeba będzie kazać zmniejszyć obręcz, bo wyglądasz, jakbyś miała na głowie garnek. - W oczach miała łzy, ale panowała nad głosem.

Gudrun nie wypuściła jej ramienia. Wyglądała jak ktoś, kto robi pierwsze kroki po długiej chorobie. Uśmiechnęła się słabo do Rudawki.

- Matka ciągle myśli, że to ona mnie namówiła. Nie było tak. Nie wierzyłam, że tego dokonasz, ale musiałam już wreszcie z tym skończyć. Jakkolwiek. Nie nadaję się do tego, żeby ktoś mną powodził jak koniem. Nawet Zły.

Rudawka odwzajemniła jej uśmiech. Wsadziła rękę pod jej drugi łokieć i poklepała ją po policzku.

- To miał być spisek przeciwko tobie, a wyszło na to, że był przeciwko mnie.

- Nie narzekaj. Gdybym mogła, pewnie bym się z tobą zamieniła.

Rudawka rzuciła ukradkowe spojrzenie na krzaki, za którymi zniknął Żarek. Gudrun wzięła ją pod brodę i przymknęła jedno oko.

- Nie martw się, siostrze. Bez mojej zgody nie odbije od brzegu żaden statek. W końcu jestem tu królową. Jak będziesz chciała, to woje przywloką ci narzeczonego na powrozie.

Parsknęły śmiechem jak dwie dziewczynki. Nachyliły się ku sobie, przyłożyły czoło do czoła i zajrzały sobie nawzajem głęboko w oczy. Rudawka spoważniała.

- A ty? — zapytała cicho.

- A ja jestem przecież mężatką. - Spojrzała w stronę, gdzie na tle lasu kłuła oczy czerwień królewskiego płaszcza, i zmarszczyła brwi. - Gdzie on jest?

Płaszcz wisiał przewieszony przez gałąź, wiatr bawił się jego pustymi rękawami. Jednouchy odchrząknął bardzo głośno, żeby ściągnąć na siebie uwagę Gudrun.

- Odszedł w góry, królowo. - Mówiąc, patrzył na swoje czarne paznokcie. - Jest tam taka jedna góralka, której Żarek obiecał... To znaczy... W zamian za siebie...

Skończył prawie szeptem i urwał. Nie podnosząc głowy, przestąpił z nogi na nogę. Słyszał przyspieszony oddech Gudrun i spodziewał się najgorszego.

Ale zamiast tego usłyszał łagodny głos starej królowej.

- Czy myślisz, że pozwoliłabym skazać cię na taki wstyd, córeczko? Nigdy. Mam dla ciebie lepszego męża niż tamten dziwoląg. Ludziom się powie, że bardzo pomógł w przegonieniu Złego i tym sposobem wywalczył sobie prawo do twojej ręki. Jest w tym zresztą wiele prawdy. Doznał w tej walce srogich ran i jeszcze nie całkiem doszedł do siebie, ale wyliże się. Poza tym jest pełen zalet. Ma miłe usposobienie i ani krzty nie ciągnie go do rządzenia. Trzeba mu będzie tylko wymyślić dostojniejsze imię, bo to, które nosi, jakies takie nie bardzo... No i nie zrażaj się tym, jeśli kiedyś usłyszysz złośliwe plotki, że zdarzało mu się być ropuchą.

Gudrun wysłuchiwała tego cierpliwie, patrząc na matkę spod oka.

- Wszystko przewidziałaś, co? Aż do najmniejszej drobnostki?

- Ktoś przecież musiał wreszcie o was się zatroszczyć, bo inaczej powyrzynalibyście się do nogi. Ale to już naprawdę koniec. Od dzisiaj przestaję zajmować się cudzymi sprawami. Muszę teraz poukładać swoje życie. Przecież nie jestem jeszcze taka stara.

Spojrzała przelotnie na Jednouchego. A może nie całkiem przelotnie, bo blizna po jego uchu zrobiła się czerwona.



Pod deskami pomostu chlupotały fale. Żarek z Kościuchem siedzieli koło siebie, z nogami spuszczoneymi nad wodę i brodami opartymi na dłoniach. Północny wiatr dmuchał im w twarze, niosąc ze sobą słony smak morza.

- Nawet mogiłki nie ma? - zapytał Żarek. - Nawet najmniejszego kopczyka?

- Nic, synku. Tylko popielisko po stosie, a i to pewnie już się rozwiało. Nie wiedziała, biedaczka, że już nie wyjdzie z lasu, kiedy odchodziła z wioski.

Znowu milczeli. Dobrze im się tak siedziało, kiedy słońce przetaczało się cicho po niebie, a oni nie musieli spieszyć się z rozmową. Mieli czas.

- A co innych bab wtedy poginęło! A co dzieci! - Kościuch westchnął. - Boże mój, Boże...

Żarek wyprostował się i położył dłoń na kolanie ojca.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Mów, synku, mów.

- Nad tamtym brzegiem wyrastają wielkie góry. I w tych górach, pod samymi szczytami, na przyszłe lato pewnie będą biegać twoje wnuki.

Kościuch zawiercił się na deskach pomostu, splunął w wodę.

- No cóż... Byłeś daleko od domu. I sam. Różne rzeczy mogły ci się przytrafić. Ale dobrze, że mi powiedziałeś, może kiedyś nawet wybierzemy się tam w odwiedziny?

Żarek otworzył usta, jakby chciał coś wyjaśnić, ale zamiast tego machnął ręką.

- Mniejsza o to. Jest coś ważniejszego.

- Mów, synku, mów.

- Nie poznałeś jeszcze wszystkich, którzy ze mną przypłynęli.

- No to dawaj ich tu!

- Powoli, powoli. Najpierw ci powiem. Jeden to dziecko. Chłopak. Nazywa się Biesidełko i jest dla mnie jak syn.

Kościuch spojrział na niego spod kędzierzawych brwi. Przez chwilę się wydawało, że się rozgniewa, ale zaraz twarz mu się rozjaśniła.

- E, co tam! Miejsca w chacie jest dosyć. Bylebyś tylko na tym nie poprzestał i sprawił się z Rudawką jak należy, bo chciałbym jeszcze doczekać rodzonych wnuków. Chociaż ja, jeśli Żywula nie mogła.

Żarek pokiwał głową, głośno wypuścił powietrze. Długo zabierał się do tego, co chciał powiedzieć. Wreszcie zabębnił piętami po czarnym, mokrym

palu.

- A Lestki-Pestki jeszcze śpią w zagródce po świniakach?

- Gdzie tam! Takie chłopcy! Mają już swoje wyrka.

- Ale zagródki nie rozebrałeś?

- Nie.

- Bo chciałbym tam trzymać takiego... No, coś jak koza. Tylko bardzo duże. I czarne.

- A trzymaj, synku. Trzymaj - zgodził się Kościuch.

Ale widać było po nim, że już nie bardzo słucha. Kiwał się na boki jak liść kołysany wiatrem, a daleki krzyk mew nie rozpraszał jego senności.

Postarzał się przez te ostatnie miesiące.